

aga  
kaliczka

# Mephisto

PRZAPRYSIĘŻONY, DO PIEKŁA STRĄCONY,  
PO KRĘS ZWIĄZANY PRZYSIĘGĄ

seria mano d'onore #2



*Aga Kalicka*

*Mephisto*

**Mano d'onore #1**



## Wcześniej

Gruby, jutowy sznur, krępujący nadgarstki dziewczyny, obcierał, dogłębnie ranił jej delikatną skórę. Z każdym wykonywanym ruchem, chaotycznym szarpnięciem, uciskał coraz mocniej, potęgując odczuwany ból. Chciała krzyknąć, zamiast tego jedynie wiała się szaleńczo. Narastający strach przemieniał się w obezwładniające przerażenie, kiedy obserwowała poczynania człowieka, który z prędkością pędzącej strzały wtargnął do leśnej chaty. Sprawiał wrażenie podjudzanego przez samego diabła, gdy barwił wnętrze piekielną czerwienią. Skoncentrowany na celu, okrutny i srogi. Bezduszny. Bestia tak potężna, jakby w jej ciele skoncentrowana była siła dwóch dzikich drapieżników.

Z ust dziewczyny wydostało się przeciągłe, bojaźliwe jęknięcie, kiedy mężczyzna w końcu odwrócił głowę i przyłożył palce wskazujące do skroni. Na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech, niewspółgrający z bezwzględnością spojrzenia. Dostrzegła ją, wpatrując mu się intensywnie w oczy, tonąc w ich bezdennej czeluści. Mrocznej otchłani. Jej serce wybijało nieznaną rytmem, pulsując szaleńczo, gotowe rozerwać żebra, by tylko odzyskać wolność.

Cofnął się o krok, wpadając na stojący za nim stolik, i gwałtownie potrząsnął głową. Nie był na to przygotowany. Nie przypuszczał, że krocząc po rozżarzonych węglach, czując swąd przypalanej skóry, znajdzie kawałek rozbitego, zgubionego przed laty lustra. Ruszył w stronę wyjścia. *Nieboskie stworzenie uchyliło bramy piekieł.*

Miała wrażenie, że znajduje się na skraju obłąkania, a nieokiełznana chęć wkroczenia do królestwa ciemności przejmując kontrolę nad wszystkimi zmysłami. Spojrzała w stronę otwartych na oścież drzwi, gdy poczuła na policzku delikatny podmuch wiatru. Mimowolnie przymknęła powieki, słuchając kojącego szelestu liści. „Mała, uciekaj. Gdziekolwiek. Najdalej”. Nie była pewna, czy to umysł płata jej figła, czy słowa wydostały się z ust człowieka unoszącego nonszalancko dłoń w geście pożegnania. Nie mógł jej tu zostawić. Nie mógł!

– Błagam! – zapiszczała. – Nie możesz wyjść!

Nie odwrócił się.

– Oddam wszystko, co mam! Nie wiesz, kim jestem! – Jej głos prześlizgnął się desperacją. – Ofiaruję ci, co tylko zechcesz. Przysięgam na moją duszę! Przysięgam! – Załkała zrezygnowana, nie wiedząc nawet, że nie musi się smucić. Nie mając pojęcia, że słowo klucz już padło. Taki był w końcu plan. Szatańska intencja.

Przyciskając zakrwawiony palec do czystej kartki, czuła, jakby ktoś uchylił przed nią wrota niebios. Patrzyła w oczy swojego anioła, a jego twarz była jak zwierciadło, w którym mogła się przejrzeć. Zadrżała, dostrzegając, że odbicie jest zniekształcone. Brakowało kawałka lustra. Rozejrzała się dookoła, szukając utraconego elementu, gdy na nadgarstkach zatrzasnęły się zimne, wytrącające ją ze stanu otumanienia, kajdanki.

– *Un alma hermosa*<sup>1</sup> – powiedział, wpatrując się z zafascynowaniem w jej oczy. Zobaczył w nich zapomnianą, straconą do piekła część swojej duszy.

Im dłużej to robił, tym większej nabierał pewności, że jest taka jak on. Mimo że nie miała o tym pojęcia. Była w posiadaniu tego, co utracił. Piekielny handlarz zażądał „uczciwej” wymiany.

\*\*\*

Dusza Almy jest czysta jak źródłana woda. Tak krystaliczna, że często sama jej nie chce. Dusza Mephista jest mroczna jak przedsionek piekła. Tak okrutna, że nieraz sam nią gardzi.

Znajdując odłamek zgubionego, roztrzaskanego lustra można się skaleczyć. Składając je w całość, trzeba liczyć się z tym, że to, co się ujrzy, nie będzie piękne. Będzie prawdziwe.

Patrząc na swoje odbicie, można je pokochać na zawsze lub zniechęcić na wieki.

<sup>1</sup> *Un alma hermosa* (hiszp.) – piękna dusza.

# ROZDZIAŁ 1

## *Alma*

Obejmuję głowę rękami. Od kilku miesięcy mam wrażenie, że przytwierdzona jest do niej tykająca bomba albo dwie. Jedna skonstruowana przeze mnie, druga przez mających moją kondycję psychiczną za nic, palantów, monterów pieprzonych wind i innych dźwigów. Nad pierwszą całkowicie panuję. Autodestrukcja kontrolowana.

Ostatnie półrocze to przede wszystkim spektakularna metamorfoza naszej chaty. Zakład dla obłąkanych, nazywanych potocznie rodziną La Mantide, zamienia się w placówkę medyczną z jednym czubem na czele i nami, małymi, skaczącymi dookoła niego czubkami. A wszystko za sprawą bezkonkurencyjnego w swej zajebistości Efesta, który nawet nie wie, gdzie uderzyć, żeby załatwić sprawę raz, a porządnie.

Od rana do późnej nocy po domu rozchodzą się odgłosy wjeżdżającej i zjeżdżającej windy. Korzysta z niej nie tylko sparaliżowany od pasa w dół ojciec, ale też podekscytowane urządzeniem siostry. Ja lawiruję między „schoďoładami gąsienicowymi”, przytwierdzonymi do wszystkich domowych schodów, modląc się o niewyjebanie i niepodzielenie losu naczelnego oszołoma. Dziś montują podnośniki sufitowe i wannowe, hałasując tak bardzo, że nie słyszę żadnej ze swoich dobrych myśli. Te złe mają za to mocne gardła, a ich donośny krzyk drąży dziurę w mózgu skuteczniej niż wiertniczy świder.

Najgłośniej wrzeszczy ten natręt, który rozgościł się w mojej głowie na dobre i tkwi w niej odkąd przekroczyłam próg leśnej chatki. Śmieje się ze mnie i za nic nie umiem go uciszyć. „Nie potrafi ocalić siebie, a zabiera się za ratowanie małych kotków. Naiwna idiotka. Nie zatykaj uszu, może to durnowate dobro w końcu ci nimi wyjdzie. Wszczep sobie w pośladki tytanowe płytki, nie będzie bolało, gdy ktoś znów skopie twoją łatwowierną dupę! I przestań marzyć o zapierającej dech w piersiach miłości. To. Się. Nie. Wydarzy. Nadajesz się tylko do szorowania plecami kabin w klubowych kiblach. Zresztą na tym polu też PORAŻKA”.

Naciągam kołdrę, zakrywając się po czubek głowy i czekam. Cierpliwie wyczekuję tego, co nadejdzie, plonów, owoców umysłu. Gdy zaciskam dłonie na materiale, a palce stóp się podkurczają, wiem już, że dziś moim przeciwnikiem będzie odrętwienie. Reakcje mojego ciała na destabilizujące myśli są dwojakie. Sama nie wiem, jakie ich następstwo wolę bardziej. W tym przypadku nie czuję nic oprócz sztywności ciała, napięcia mięśni. W takim stanie jedyne, co odczuwam, to obojętność. Tak, jakby moja dusza na moment wydostała się ze swojej skorupy, stanęła obok i dosłownie na moich oczach zaczęła się rozpadać. Nie lubię tego uczucia, dlatego zadaję sobie ból.

*Robię to, by czuć ból.*

Ten fizyczny daje mi poczucie istnienia, a chcę żyć i pragnę odczuwać. Problem pojawia się też w drugim przypadku, gdy wpadam w emocjonalny wir. Wówczas nie potrafię leżeć spokojnie. Puls przyspiesza, w głowie nie ma ani jednej czystej myśli, której mogłabym się chwycić. Są za to niemające ujścia napięcie i ogromny dyskomfort. Ciało jest wtedy jak arena, na której rozgrywają się wewnętrzne konflikty. Dlatego zadaję sobie ból.

*Robię to, by nie czuć bólu.*

W tej krótkiej chwili, kiedy wyrządzam sobie krzywdę, świat nabiera kolorów. Od pięt do czubka głowy przepelnia mnie euforia. To moment, w którym każda zła myśl, poczucie niesprawiedliwości, całe pieprzone zło i naiwne dobro zostają uwolnione. Ulatują przez niewielkie nacięcie, wypływają z rany jak trucizna. Gdy ekstaza mija, głos zabierają wyrzuty sumienia. Chcąc je uciszyć, muszę dać im wolność. Nie mogę ich więzić. Jestem dobra. Wtedy znów się tnę. To zamknięte koło. Być może mogłabym przestać, tylko po co? Dla kogo?

Wyciągam rękę spod kołdry i otwieram szufladę. Sunę opuszkami po dnie, na ślepo przerzucając znajdujące się w niej drobiazgi, do czasu, aż wyczuwam rzecz, której szukam. Szczelniej otulam się kołdrą, lecz pomimo tego, że chowam się jak żółw w skorupie, nie jest przytulnie, ani miło. Nie

odczuwam bezpieczeństwa. Nic. Zero. Kompletna pustka. Otwieram agrafkę i wbijam ją w kciuk, aż nie wyczuję oporu. Ostra część ociera o paliczek, a przez ciało przechodzą dreszcze. To bardzo boli. Pomału wysuwam zaostrowany drucik. Palec pulsuje, gdy na opuszkach pojawia się krew. Odrzucam przykrycie na bok i idę do łazienki. Przemywam ranę wodą utlenioną. Czerwień zamienia się w róż, a uczucie odrętwienia w pragnienie. Zwyczajną chęć życia.

Słyszę pukanie. Oplukuję w pośpiechu umywalkę, przyklejam plaster i podchodzę do drzwi. Staram się nie zapominać o ich zamykaniu, bo pełnosprawny czy nie, świr zawsze pozostaje świrem. To paradoks, ale ojciec zrobił się jeszcze bardziej nieprzewidywalny. Być może zawsze taki był, ale gdy mieszkała z nami Etna, większość frustracji wyładowywał właśnie na niej. Teraz przemieszcza się korytarzami, krzycząc: „Zapoluję na was! Nie znacie dnia ani godziny!”. A jego śmiech, zabarwiony nutą czegoś na wskroś niepokojącego, odbija się echem od ścian. Wierzę mu. Pochowałyśmy z siostrami broń znalezione w gabinecie, a kiedy się zorientował, jedynie postukał się po głowie i zza paska wyciągnął rewolwer. „Durne gęsi. Głupotę i naiwność macie w genach. Po matce”. Nie zamierzam oponować. Coś w tym jest. I wiem, że może nadejść dzień, gdy powystrzela nas jak te gęsi, do których jesteśmy przyrównywane. Zwłaszcza że nasza pozycja w organizacji jest niepewna, spada na łeb na szyję, a ojcu kończą się karty. Czasem odnoszę wrażenie, że wraz z nimi wyczerpuje się także jego cierpliwość. Chciałoby się powiedzieć: „tik-tak”, ale lepiej nie wywoływać wilka z lasu, diabła z piekła.

– Kto tam?! – wołam, kładąc dłoń na klamce.

– Mama. Otwórz.

Uchylam lekko drzwi, żeby przekonać się, czy na pewno jest sama. Wyobrażnia tak, jak natrętne myśli, podsuwa różne scenariusze. Mama przekracza próg i wieszka na skrzydle szafy bladą różową, zwiewną sukienkę. Kieckę z wycięciem na plecach!

– Co to jest? – pytam z niedowierzaniem. – Mówiłam, że chcę inny model. – Biorę materiał w palce.

Etna wychodzi jutro za mąż. Aż mną telepie, gdy pomyślę, że muszę trzymać fason, żeby nie zepsuć jej tego ważnego dnia. Chociaż nie wiem, czy to już nie nastąpiło. Notoryczne odmawianie i wykręcanie się od pomocy w organizacji wesela nie stawia mnie w najlepszym świetle. Na pewno nie zdobędę tytułu siostry roku, ale nie jestem zachłanna. Blask pucharu naiwniaczki dekady wystarczająco oślepia.

– Sukienka – odpowiada.

*Serio?*

– Wszystkie macie takie same. Etna prosiła... – Nie jest dane jej dokończyć.

– A ja prosiłam o inny krój! Zapomniałyście już, że mam na plecach TO COŚ?!

– Niby co? Masz na myśli ten ślad sprzed niemal roku? Córeczko – zniża głos – to była płytka rana. Teraz na pewno jest już ledwo widoczna. Gwarantuję, że nikt nawet nie zauważy – zapewniam, a mnie robi się gorąco. – Pokaż, ocenię. – Uśmiecha się ciepło i chwyta mnie za łokieć.

– Nie trzeba, masz rację. – Wyswobadzam się z uścisku i podchodzę do okna. Wyglądam przez nie. – Zaraz przyjedzie po mnie Ivo, więc jakbyś mogła... – Staram się grzecznie zasugerować, żeby już wyszła, ale nie rusza się z miejsca. – Idź stąd.

– Jutro będzie wspaniały dzień. Jestem taka szczęśliwa, że Etna znalazła drugą połówkę.

Dawno nie widziałam jej takiej podekscytowanej. Szczerze, to chyba nigdy.

– Nie do końca ona znalazła – poprawiam ją. – No, ale mniejsza o większość. – Macham ręką w geście rezygnacji. – W każdym razie hip, hip, hurra. Umowa dotrzymana. Będą z tego dzieci – ironizuję.

– Ta drwina słyszalna w twoim głosie jest zbędna. Nie wiem, co się ostatnio z tobą dzieje. – Przygląda mi się badawczo.

– A od kiedy cię to obchodzi?

– Od zawsze. – Robi krok w moją stronę. – Tylko czasem, zazwyczaj, sama nie mam już do tego wszystkiego siły – przyznaje, zakładając włosy za ucho. – I nie za bardzo wiem, jak z tobą rozmawiać, bo bez względu na to, co powiem, zawsze atakujesz.

– A ty, bez względu na to, co powiem, zawsze się wycofujesz! – Przerzucam ubrania w szafie, poszukując swetra. – Czasem trzeba kogoś przycisnąć i nim potrząsnąć, ale co ty tam wiesz. – Drżą mi

ręce. Nienawidzę tego. – Każdy odpuszcza i nikt nie chce o mnie zawalczyć! Nikt nie widzi MNIE!

– Widzę cię.

Kładzie rękę na moim ramieniu, ale ją strącam. Czuję dudniący w uszach puls, krew szalejącą w żyłach i nadciągającą falę wściekłości, która zaraz zaleje nas wszystkich.

– Nieprawda! Patrzysz, ale nie widzisz! – Zaciskam pięści. – Nawet nie starasz się dostrzec tego, co siedzi w środku! – Uderzam pięścią w mostek, zdecydowanie zbyt mocno. – Co mam zrobić?! Wypruć sobie flaki i podać ci je na tacy, żebyś coś dojrzała?! Jezu, wyjdź już stąd. – Otwieram drzwi i próbuję ją wypchnąć, ale stawia opór. – Rusz się albo coś ci zrobię – sapię – i sobie. Zabiję się – spazmuję.

– Co ty wygadujesz?! – Zapiera się piętami, ale wściekłość to potężna siła. – Wezwę lekarza. Da ci coś na uspokojenie. Już dobrze. Uspokój się. Tylko spokojnie. – Odwraca się i siłuje ze mną, podczas gdy wystarczyłoby mnie tylko przytulić. Drży każdy mój organ, serce obija się o żebra. Ona mi nie pomoże. Nie ma na to szans.

– Przestań tak mówić!

W korytarzu pojawia się Nino. Podbiega do nas i rozdziela, klnąc pod nosem.

– Porozmawiamy o tym po weselu. – Mama odgarnia włosy z czoła. – Nie zniszcz siostrze ślubu. Ona zasługuje na szczęście.

– Wolałabym teraz wyjaśnić – proponuję płaczącym głosem. – Bo inaczej będzie mnie to gryzło. – Patrzę na Nina. Jest mi głupio, że widzi mnie w takim stanie. – Nie chciałam tak powiedzieć. Przepraszam.

– A ja nie chciałam tego usłyszeć. – Kręci głową z rezygnacją. – Żadna matka nie chce usłyszeć, że dziecko coś jej zrobi.

– Przepraszam. I za to drugie również. – Nabieram powietrza. – Nie zrobiłabym wam tego, siostrze i tobie. No, no... – zacinam się z nerwów – bo ja was kocham.

– Czyli? Jakie drugie?

Zatrząskuję drzwi przed jej nosem i opieram się o nie plecami. Sunę w dół, niżej, coraz niżej. Nie tylko nikt mnie nie widzi, ale też nie słucha. I mam tego dość. Tak samo, jak swojej niestabilności. Czasem wydaje mi się, że w moim ciele mieszkają dwie osoby i sama nie wiem, której strony osobowości nienawidzę bardziej. Czy tej nadwrażliwej, łkającej: „Bo ja was kocham”, czy suki wrzeszczącej: „Idź stąd!”. Moje plecy podrygują, gdy ktoś uderza w drzwi.

– Co?! – wrzeszczę.

– Ivo przyjechał, czeka przed bramą – odzywa się Nino. – To! – dodaje, po czym jeszcze raz obijam się o drzwi, bo najpewniej w nie kopnął.

To dom wariatów. Nie mam wątpliwości. Do tego ten cały Nino, sam już chyba niewiedzący, gdzie jego miejsce. Krąży między naszą chatą a rezydencją Selvaggiów pod pretekstem pomocy w organizacji ślubu, ale każdy głupi by zauważył, że on po prostu nie potrafi odczepić się od Etny. „Na świecie jest tylko jedna osoba, za którą jestem odpowiedzialny. Ty nią nie jesteś”. Słowa, jakie wypowiedział w dniu urodzin Efesty, obijają się o ściany mojej czaszki jak piłeczka kauczukowa. Nie zdziwiłam się, słysząc je, bo nigdy nie byłam dla nikogo wystarczająco ważna. Siostra od zawsze kombinowała, uciekała i łamała narzucane zasady. Ja nie muszę robić żadnej z tych rzeczy. Nie, bo nikt niczego ode mnie nie oczekuje, nie wymaga. Mam ochotę wyjść z domu, wychodzę. Chcę się upić, szlajać po najpodlejszych zakątkach Sycylii, pociąć się, wciągać białe kreski dopóki z nosa nie pójdzie farba, MOGĘ! Brak ograniczeń, podczas gdy ja ich potrzebuję. Muszę je mieć, widzieć przed sobą wysokie ogrodzenie, granicę nie do przeskoczenia. Tymczasem żadna bariera nie oddziela mnie od przepaści, więc lecę, więc spadam. Gdyby ktoś zadał sobie trud, zbudował dla mnie mur, oznaczałoby to, że jestem ważna, cenna, że komuś zależy. Okazuje się jednak, że niektóre marzenia są trudne do spełnienia. Prędzej piekło zamarznie, niż złapie mnie za rękę ktoś na tyle śmiały, by podjąć ryzyko i spróbować ochronić mnie przed samą sobą.

Wychodzę z domu, nie mówiąc, kiedy wrócę i dokąd idę. Nikt o to zresztą nie pyta. Zajmuję fotel pasażera, a wyraźnie zniecierpliwiony Ivo bębni palcami o kierownicę.

– Przepraszam, ale dłużej się nie dało? Płakałaś? – Wyłapuje moje spojrzenie. – Nie martw się. Zobacz, Etna też początkowo nie była zadowolona. A teraz ona jest, a wszyscy inni nie. No, może poza

Efestem – nawija, lecz zupełnie nie wiem, o co mu chodzi. – Mieszkanie z nią pod jednym dachem to koszmar. Wszędzie wtyka nos i generuje problemy tylko po to, żeby potem chwalić się, że je rozwiązała. Kłopoty, które sama stworzyła. Wyczuwasz ten paradoks?

Włącza radio.

– Ivo, o czym ty mówisz?

– Yyy. – Drapie się nerwowo po czole. – W sumie to nie wiem. – Jest wyraźnie zmieszany. – To dlaczego płakałaś?

– Z wielu powodów – przebakuję i doznaję olśnienia. – A, bo ty myślałaś, że z powodu tego rzekomo podpisanego – robię cudzysłów w powietrzu – papierka? Że niby rozpaczam, bo jakiś leśny człowiek może się po mnie zgłosić? – Śmieję się gorzko.

– Mephisto.

– Tak ma na imię? Jak upadły anioł?

– Jak diabeł. Nazywajmy ludzi po imieniu – stwierdza rzeczowo.

– Jakoś, gdy wcześniej cię o niego pytałam, to nie pamiętałaś. – Przewracam oczami. – Etnie też nie udało się dowiedzieć, kim on jest. Zresztą to już nieistotne. Było, minęło. – Macham ręką, a Ivo tak głośno przetyka ślinę, że słyszę ten odgłos, mimo grającego radia.

– Masz te cytaty? – Zmienia temat. Nawet i lepiej. Nie ma co tego roztrząsać, ale teraz przynajmniej mogę dopasować imię do twarzy. Nie, żebym często ją sobie wizualizowała. Robię to rzadko. Czasem. Nieważne.

Wyjmuję z torebki siatkę wypełnioną karteczkami, na których napisałam różne sentencje. To mój wkład w przygotowanie wesela siostry.

– Pod każdy talerz jedna – instruuję. – Nie można ich czytać wcześniej i dobierać do danej osoby. To ma być jak wróżba. Wiesz, taka niespodzianka. Nikt nie ma pojęcia, jaką miłosną mądrość znajdzie pod swoim nakryciem.

Ivo wykrzywia twarz w grymasie, gdy przejmuje ode mnie woreczek.

– Mam nadzieję, że nie napisałaś na żadnej: „Co się gapisz, palancie?” lub „Miłość nie istnieje” – burczy.

– Nie. – Parskam śmiechem.

Ivo jest moim najlepszym kolegą. Proponowałam mu nawet małżeństwo, ale powiedział, że nie chce się poparzyć. Cokolwiek to znaczy. W skrócie, dał mi kosza.

– Etna kazała mi doręczyć jakąś szmatę dla ciebie. – Sięga do tyłu. – Twoja stara zapomniała zabrać. – Kładzie pudełko na moich kolanach. Otwieram je i wyciągam biały sweterek z różowymi guzikami w kształcie kwiatków. Przykładam go do policzka.

– Ale miękki. – Zachwycam się i podsuwam w jego stronę, żeby też dotknął, ale odpycha moją rękę. – I te guziki są super. No co? – pytam, bo ma nietęgą minę.

– Jakoś cię w nim nie widzę – rzuca krótko. – Nie pasuje po prostu. To znaczy, nie zrozum mnie źle. To znaczy trochę cię już znam – mota się. – Brzydki – wypala.

– Sam jesteś brzydki. – Patrzę na niego z wyrzutem, a on wzrusza ramionami. – Jest delikatny i subtelny.

– No właśnie. – Wzdycha. – Przypomnij sobie, jak zdobyłaś zaświadczenie od ginekologa.

– Przypomnij sobie, że ogarnęła mnie czarna rozpacz – odpowiadam w takim samym tonie.

– Powiedziałaś Etnie, że to magia mojego nazwiska.

– Ale ona dużo papła. Co za palantka!

– A to była magia spluwy przyciśniętej do skroni doktorka.

– To szczególnie, Ivo.

– Diabeł tkwi w szczegółach.

– Zawieź mnie do Francesca. – Tym razem to ja chcę zmienić temat. – Jesteśmy umówieni na pierwszy seks.

Przez chwilę wpatrujemy się w siebie i wybuchamy śmiechem.

– O tym właśnie mówiłem – jęczy. – Alma. Delikatna i subtelna.

Wpisuję w nawigację adres, mimo że Francesco mieszka kilka przecznic dalej. Poznałam go w

księgarni, w której pracuje. Gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały, zachwiał się na drabinie, a z jego nosa niemal spadły okulary. To było słodkie i rozczulające.

– Jutro go poznasz, bo będzie moją osobą towarzyszącą. Jakbyś był ciekawy, co mnie w nim urzekło, to mogę wymienić. A więc tak – nabieram powietrza – jest bardzo miły i spokojny. Spędza wolny czas kreatywnie, czyli robi coś z niczego. Na przykład przedwczoraj zrobił dla mnie różę z papieru. Oto ona. – Szperam w torebce i wyjmuję małe, wygniecione dzieło. – Nie jest wulgarny. Jak się zezłości, ale to rzadko, mówi: „Kurczę blade”.

– Brzmi jak ideał. – Ivo zaciska usta, ale mimo to nie udaje mu się pohamować śmiechu. – Przechyla głowę. – Wkręcasz mnie?

– Nie, dlaczego?

– Jakoś cię z nim nie widzę. – Wzrusza ramionami i znów się śmieje.

– Co cię tak śmieszy?

– Jezu, nic. Mam nadzieję, że gumka, którą założy na fiuta, nie będzie ręcznej roboty czy tam z jakiegoś recyklingu, kurwa. – Pociera twarz. – To znaczy, kurczę blade, przepraszam.

– To tu, o! Zatrzymaj się! – Uderzam w deskę rozdzielczą, a Ivo hamuje z piskiem opon. – Jeśli chcesz, to możesz na mnie poczekać – proponuję. – Nie wiem – stukam palcem w brodę – godzinę? Jak myślisz, ile nam to zajmie, skoro on też jeszcze tego nie robił?

– Przepraszam, ale dziękuję. Nie jestem alfonsem. Mam tu stać i trzymać kciuki? To nie w moim stylu. – Ściska nasadę nosa. – Gdy wrócisz, na bank będzie niezręcznie. To jakieś popierdalone.

Wzruszam ramionami w geście „nie to nie” i sięgam do klamki. Staję przed furtką obrośniętą różowymi oleandrami i naciskam przycisk domofonu. Po chwili drzwi domu są już otwarte, a po schodach, potykając się o własne nogi, zbiega Francesco. Jego nieporadność jest rozczulająca. Kiedy wpuszcza mnie na teren posesji, Ivo odjeżdża.

– Hej – mówię, gdy ujmuję moją dłoń i energicznie nią potrząsa.

Rozglądam się dookoła. W głębi ogrodu ustawiona jest trampolina. W tej chwili użytkowana przez młodszą siostrę Francesca. Z każdym wykonywanym przez nią skokiem urządzenie coraz bardziej trzeszczy i skrzypi. Jest to tak denerwujący dźwięk, że nie słyszę własnych myśli. Francesco podąża za moim spojrzeniem.

– Ona potrafi tak skakać cały dzień. Co chcesz zrobić?

– No to, na co się umówiliśmy, tak? – Zerkam na zegarek. – Chcę wrócić do domu zanim się ściemni, więc tak jakby do dzieła?

Francesco poprawia okulary.

– Myślałem, że najpierw zagramy w jakąś grę, co ty na to? Planszową lub na konsoli. Mogę też poczytać ci jakieś wiersze. – Porusza brwiami, a ja unoszę swoje.

– Możemy iść po prostu do ciebie? – Zmierzam w stronę drzwi wejściowych, a Francesco podąża za mną. Po chwili chwyta mnie za łokieć i zatrzymuje. Obdarzam go pytającym spojrzeniem. Na jego twarzy perlą się kropelki potu, a okulary ześlizgują się z nosa. – O co chodzi, Francesco?

– Tylko się nie śmieję, dobra? Wiesz, w pokoju. Ja wszystko przygotowałem. – Przeciera czoło przedramieniem. – Trochę się denerwuję. – Przeszępuje z nogi na nogę, aż w końcu mnie wymija i wchodzi do środka. Idę za nim. – Tylko cicho. – Odwraca się i kładzie palec na ustach. – Rodzice oglądają „Jumanji”.

Idę na paluszkach po schodach prowadzących na piętro. Wlepiam wzrok w tyłek Francesca, próbując właściwie ukierunkować myśli. Mówiąc wprost, zastanawiam się, jak prezentuje się bez spodni i czy jego pośladki są takie twarde, na jakie wyglądają. Dźgam go palcem, żeby sprawdzić, a on podskakuje i piszczy.

– Co robisz? – pyta ledwo słyszalnie i odwraca głowę.

– Zaczepiam cię. – Śmieję się cicho.

– To znaczy? – pyta, a gdy stajemy przed drzwiami jego pokoju, uchyla je i wchodzi do środka.

– Zobacz. – Wykonuje gest ręką, więc patrzę na łóżko. – Robi wrażenie?

Pewnie, że tak. Na całej powierzchni materaca rozłożony jest długi łańcuch. Są to połączone ze sobą małe, papierowe kółka.



– To jakby narzuta lub prześcieradło z papieru, czy co dokładnie miałeś na myśli, tworząc to? – Zakładam włosy za ucho.

– Bingo! Prześcieradło. Sklejałem te kółeczka osiem godzin. – Rozpiera go duma. – To nie wszystko, spójrz na lampę.

Unoszę głowę i widzę wykonaną z papieru gwiazdę.

– Uchylę okno. Gdy zawieje wiatr, to będzie się poruszać – kontynuuje podekscytowany Francesco, zacierając ręce.

– Bardzo ładna. – Uśmiecham się. – Mam nadzieję, że za niedługo zobaczę przed oczami więcej gwiazd, a nie tylko jedną. – Mrugam do niego sugestywnie.

– Nie. Zrobiłem tylko jedną. I tak dużo czasu na to straciłem.

– Miałam na myśli kosmiczny, międzygalaktyczny orgazm. – Zaplatam dłonie na jego karku. – To wszystko, co zrobiłeś, jest bardzo miłe i romantyczne.

– Wiem.

Przybliżam się, licząc, że zacznie mnie dotykać lub pocałuje, ale nic z tego. Wyswabada się z moich objęć i podchodzi do okna, żeby je uchylić. Kiedy to robi, słyszę odgłos skrzypienia trampoliny.

– Teraz gwiazda będzie się poruszać – stwierdza.

Ściągam sweter i koszulkę. Francesco bacznie mi się przygląda. Zsuwam z nóg spodnie. Skłamałabym, mówiąc, że nie podoba mi się, gdy mnie obserwuje. Stoję przed nim w samej bieliźnie. Unosi rękę.

– Mogę mieć prośbę?

– Pewnie – odpowiadam i uśmiecham się lekko, chcąc mu dodać śmiałości. To chyba działa, bo też ściąga spodnie, podskakując zabawnie to na jednej, to na drugiej nodze.

– Możesz nie pozbywać się biustonosza?

Patrzę na niego pytająco, licząc, że rozwinie wątek.

– Piersi będą wydawać się mniejsze, takie wolę. Ogólnie twoje są spore. Myślałem, że małe – mota się – bo pod swetrem nie było widać – tłumaczy.

– W porządku.

Kładę się na plecach. Wyjątkowe papierowe prześcieradło szeleści i jestem pewna, że nie tylko zdążyłam już pognieść, ale i potargać kilka kółek. Przez chwilę nie słyszałam odgłosu skrzypienia dobiegającego z dworu. Skupiłam uwagę na Francescu, ale teraz, gdy leżę i czekam na to, co nastąpi, dźwięk ten wydaje się wyjątkowo natrętny. Nabieram powietrza. Przyjemny wiaterek owiewa policzki, nad głową dynda zrobiona z myślą o mnie gwiazda, łóżko jest miękkie, a Francesco w gruncie rzeczy sympatyczny. Czekam, aż w końcu się rozbierze. Walczę ze sobą, by nie zamknąć oczu. Gdybym to zrobiła, przeniosłabym się do klubowego kibla. Poczulałabym na twarzy pożądające, całujące z pasją usta nieodpowiedniego mężczyzny i ten cudowny, wprawiający ciało w drżenie, kurewsko palący ogień. „Nie przymykaj powiek. Jesteś delikatna i subtelna. I naiwna”. Wzdrygam się i przygryzam wargi.

– Co tak długo? – pytam, chcąc go pospieszyć. Uciec przed falą wzbierających myśli.

– Pytałem, czy będziemy używać prezerwatyw, ale chyba się zamyśliłaś. – Potrząsa trzymanym w dłoni pudełkiem.

– Biorę pigułki, ale i tak załóż gumkę. I najlepiej wyjdź ze mnie, gdy poczujesz, że dochodzisz. Tak zrób.

Zdejmuje koszulkę i wskakuje na łóżko. Jego ramiona są chudsze od moich, a klatka piersiowa lekko zapadnięta. Nie jest moim wymarzoną mężczyzną, ale jest odpowiedni. Kładzie się obok i opiera głowę na zgiętej ręce. Drugą głaska mnie po włosach. Trampolina skrzypi. Gwiazda porusza się w lewo, w prawo jak wahadełko hipnotyzera. Odwracam się twarzą do Francesca i napieram na jego usta. Całuje delikatnie, ledwo wyciągając język. Co jakiś czas całkowicie go zabiera i obdarza mnie słodkimi całusami. Odslaniam szyję, żeby zasugerować, gdzie najbardziej chciałabym, żeby pocałował. Podoba mi się, że bez problemu odczytuje ten znak, lecz odgłos pojedynczych cmoknięć jest równie irytujący i rozpraszający, jak trzeszczenie tej przeklętej trampoliny. Powstrzymuję się, żeby nie jęknąć z frustracji, z narastającego zdenerwowania.

– Mógłbyś całować trochę mocniej? Polizać, nawet ugryźć, dobra?

Odsuwa się lekko i przeciera język wierzchem dłoni.

– Niezbyt, bo spryskałaś szyję perfumami i ma taki dziwny posmak, więc nie.

– W porządku. To całujemy się w usta.

Łapię go za kark i przysuwam bliżej, żeby ponownie złączyć nasze języki. Francesco kładzie rękę na moim brzuchu. Pogłębiając pocałunek, gdy zaczyna zataczać kółka na skórze. Wierci palcem w moim pępku, a to zamiast podniecać, tylko irytuje. Mam zamiar mu o tym powiedzieć, ale w końcu wsuwa kciuk za gumkę moich majtek. Jęczę przeciągle.

– Ciszej, bo w domu są rodzice. – Zabiera dłoń i schodzi z materaca, by po chwili wrócić z kołdrą, którą na mnie narzuca. – Zapomniałem. Tak będzie milej i trochę stłumi głos, jakbyś jeszcze chciała wydać jakiś dźwięk.

Nakrywa nas i wraca do przerwanej czynności. Zsuwam majtki i rozszerzam nogi, żeby ułatwić mu dostęp. Przesuwa palcem po moim wzgórkę, w górę i w dół. Nie mam pojęcia, jaki jest cel tego działania.

– Co robisz? – pytam wprost. – To na mnie nie działa. Dotknij niżej, dobra?

Nie odpowiada, ale przynajmniej kładzie palce na mojej łechtaczce. Postukuje nimi, jakby grał na pianinie.

– Pod kołdrą od razu przyjemniej – mówi zadowolony.

– Na pewno goręcej – stwierdzam. – Pośliń palce, Francesco. Będzie mi lepiej.

– Co? Nie zamierzam tego robić. Zaraz będzie dobrze. – Ślinię swoje i dotykam się, napotykając jego dłoń. Od razu ją zabiera. – O rety, ty serio to zrobiłaś, fuj.

– Ciszej, bo twoi rodzice usłyszą. Dotykaj.

Mija chwila zanim znów decyduje się na pieszczoty. Jego gesty są chaotyczne. Próbuję zsynchronizować je z ruchem moich bioder, ale to niewykonalne. Zsuwam z głowy kołdrę i patrzę w sufit. Nic z tego nie będzie. Francesco też się wyswobadza, nabiera powietrza i mówi:

– Jak chcesz, to pośliń jeszcze, bo już się starło.

Wzdycham. Trampolina skrzypi. Gwiazda się kołysze. *Zamknij oczy.*

– Czekał, zaraz zrobię się mokra. – Przymykam powieki.

To nie jest trudne. Myślałam jednak, że da się inaczej, że nie muszę uciekać w świat wyobraźni, żeby poczuć przyjemne mrowienie w podbrzuszu i przyprawić serce o szybsze bicie. Sądziłam, że nie muszę fantazjować o dzikiej sile, nieposkromionej męskości, na myśl o której zapiera dech w piersiach. Myliłam się. Jestem naznaczona. Nie tylko dosłownymi, widocznymi gołym okiem, dającymi wyczuć się pod palcami nacięciami na plecach. Gdy po raz pierwszy przekroczyłam próg leśnej chaty, trzymając pod pachą małego, puchatego kota, wiedziałam już, że zostałam strącona do piekła...

Czas mijał, nadzieja wzięła nogi za pas, a myśli były czarne jak smoła. Wtedy pojawił się on. Niespodziewanie, gdy brudne, gnębiące mnie paluchy wyznaczały sobie trasę, wędrowały, błąkały się po drżących udach, jakby szukając najszybszej drogi prowadzącej do raj. Nigdy nie zapomnę pełnego bezwzględności głosu, mówiącego: „Zbłądziłeś”, świstu przecinającej powietrze, pędzącej strzały. Nie pozbędę się wypalonego na mapie moich myśli śladu, bo nie da się go wyciąć żyłką. Mephisto. To on mnie nazaczył, a potem zniknął. Nie dałam mu nic, oprócz odcisku zakrwawionego palca, a spojrzał na mnie tak, jak nikt wcześniej. Tak, jakby zdobył, widział coś niezwykle cennego.

A przecież to byłam tylko ja.

Czasem wyobrażam sobie, że nie tylko mi się przygląda, ale też dotyka. Niemal czuję jego duże dłonie na biodrach i przyciśnięte do moich usta. I wtedy, mimo że obdarza mnie nieludzkim, zimnym spojrzeniem, jest mi gorąco.

– Francesco, już.

– To dobrze, bo zaczynałem się nudzić. – Ziewa. – Myślałem, że zasnąłaś.

Ponownie kładzie palce na mojej łechtaczce i zaczyna ją ugniatać.

– Chcesz, żebym cię dotknęła? Mogę się o ciebie ocierać, czy coś takiego. Masz ochotę?

– Niezbyt. Czekał, wezmę gumkę.

– Ale ja jeszcze nie odczułam atmosfery – mówię wprost. Francesco przypatruje mi się wnikliwie i kładzie rękę na moim udzie. – Może po prostu sama będę się dotykać, a ty będziesz szeptał mi do ucha

podniecające słówka? – proponuję.

– Na przykład?

– No nie wiem... „Lubię patrzeć, jak się dotykasz” albo „Jesteś piękna i cudowna”. Zgoda?

– To porypane – odpowiada, więc zaciskam dłonie na papierowym prześcieradle. – Ale trzęsą ci się nogi – stwierdza.

– Wkurw mną trzęsie! – wrzeszczę i siadam na łóżku, odwracając się do niego tyłem. – Nic ci nie pasuje. To dopiero porypane! – Odchylam kołdrę, żeby zlokalizować majtki, ale za nic nie mogę ich znaleźć. Zerkam na Francesca, bo milczy jak zaklęty. Nie dziwię się, skoro przyciska pięści do ust tak mocno, że aż zbieleły mu kostki. – A tobie co?

Wytrzeszcza oczy, gdy wskazuje na mnie drżącym palcem.

– Co ty masz na plecach? – wydusza, a ja czuję, że krew zaczyna mi szybciej krążyć w żyłach.

Kompletnie zapomniałam o nacięciach. Ściągnęłam bluzkę, dając ponieść się chwili, która i tak nie była tego warta. Nawet przy Etnie, będąc po ostrej imprezie, pamiętałam, żeby nie odkrywać tego, co ZAWSZE powinno być zakryte. Obrazu malowanego nie pędzłem, lecz ostrym przedmiotem. Każde pociągnięcie nim jest jak plaster na moje serce. A każde nowe nacięcie harata duszę coraz bardziej, coraz głębiej. Sprzeczność. Zamknięte koło.

– Wpadłam w żywopłot.

– Kurczę blade, ale to obrzydliwe. Po prostu fuj. – Krzywi się. – Aż mi się odbiło. – Zakrywa usta i kręci palcem ponagląco. – Błagam, ubierz się.

– Właśnie to robię, jakbyś nie zauważył. – Trzęsą mi się ręce, gdy zapinam guzik w spodniach.

– Nie boisz się, że to ci nie zniknie? – pyta, przez co puls zaczyna dudnić mi w uszach, a myśli ulatują z głowy. – Współczuję, że wpadłaś w krzaki, ale oby znikło, bo teraz masz plecy jak monstrum.

Bum, bum, bum.

– Słyszysz, co mówię? – Macha dłonią przed moją twarzą. – O której mam być jutro na ślubie? Hej, słyszysz? No, kurczę blade! – Potrząsa moimi ramionami.

– Gdzie jest łazienka? Zamów mi taksówkę. Bądź... – Nabieram powietrza. – Bądź o trzynastej. Albo nie, jednak nie chcę z tobą iść. – Urywa mi się oddech. – Albo tak. Tak, bądź. To gdzie ten kibel?

Unosi brwi i poprawia okulary. Obdarza mnie pełnym niezrozumienia spojrzeniem i wcale mu się nie dziwię. Nie ma przecież pojęcia, że prawdziwy potwór czai się w ciemnych zakamarkach mojego umysłu i że właśnie, zupełnie nieświadomie, stał się jego mężem, inspiracją do stworzenia kolejnego krwawego dzieła. Ave, Francesco!

Zgarniam z podłogi resztę swoich rzeczy, w tym pudełko ze swetrem i wybiegam z pokoju. Otwieram drzwi mijanych po drodze pomieszczeń, aż w końcu znajduję łazienkę. Wrzucam torebkę do umywalki i przeczesuję jej zawartość zdominowana przez siłę, której nie potrafię się sprzeciwić. Dominująca energia i uległa ja. Gdzie ona jest, do cholery?! Musi gdzieś być. MUSI. Mogę zapomnieć zabrać telefon, ulubioną truskawkową pomadkę, ale nigdy, NIGDY nie zapominam żyletki! Wysypuję zawartość torebki na blat. Pieczenie w klatce piersiowej rozchodzi się po całym ciele jak zaraza. W końcu znajduję to, czego szukam, w bocznej kieszonce. Zamek zacina się, jakby świat chciał dać mi czas na podjęcie właściwej decyzji. „Masz plecy jak monstrum. Fuj. Po prostu obrzydliwe”. Tylko, że ja już ją podjęłam. Odpakowuję żyletkę dygoczącymi palcami i odwracam się tyłem do lustra, unosząc koszulkę. Przyzwyczajona do widoku swoich pleców, nie dostrzegam tej obrzydliwości, o której mówił Francesco. Na tym płótnie jest jeszcze dużo wolnego miejsca. Przykładam ostrze do skóry. Zatapia się w niej głębiej niż zwykle, bo podskakuję w przestkach, słysząc pukanie.

– Co tak długo? Taksówka już przyjechała – ponagla Francesco.

– Dwie minuty! – odkrzykuję, przykładając do rany mokry papier, który błyskawicznie zmienia barwę.

Zasysam powietrze, pozwalając uldze wędrować po zakamarkach ciała i otulać umysł błogą przyjemnością. Mimo że czerwień uznawana jest za najbardziej energetyczny kolor, na mnie działa odprężająco. Widok krwi uspokaja. Wyrzucam pobrudzony papier, jednocześnie rozwijając z rolki kolejną warstwę, którą przyłożę do rany zanim wyjdę. Patrę na swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Mam zaróżowione policzki, a oczy błyszczą, jakby gałki wypolerowane zostały ściereczką nasączoną

endorfinami. Lubię ten stan szczęścia, wewnętrznej harmonii. Sposób pozwalający mi na jej osiągnięcie jest brudny i szczyplawy, ale innego nie znam.

Zbieram porozrzucane w pośpiechu rzeczy, w tym żyletkę, którą owijam i chowam z powrotem do torebki. Pozbędę się jej w drodze powrotnej. Ścieram krew z podłogi i wsadzam bluzkę w spodnie, żeby uniknąć zgubienia prowizorycznego opatrunku. Pewna, że nie pozostawiłam żadnych śladów, wychodzę. Francesco stoi w korytarzu i nerwowo postukuje podeszwą buta o dywan.

– Już pewnie naliczyło kilka euro – oznajmia z wyrzutem, jakby to na nim spoczywał obowiązek zapłaty za mój przejazd. Wymijam go, chcąc już wyjść, ale łapie mnie za ramię. – Nie wyszło tak, jak planowaliśmy. Jesteś zła? Nie obraż się, ale trochę inaczej cię postrzegałem. Wydawałaś się, no, po prostu inna. I to jednak nie jest dobry pomysł, żebym jutro szedł z tobą na wesele twojej siostry.

– O nie, nie. – Dźgam go palcem tak mocno, że aż robi krok w tył. – Nie wystawisz mnie – syczę, a on poprawia okulary. Mam ochotę zmienić ich kształt. Niekoniecznie uprzednio ściągając je z jego nosa. – Radzę ci się pojawić. – Zaciskam usta.

Nie mam najmniejszej chęci na jego towarzystwo, ale nie o ochotę tu chodzi. Chcę wszystkim pokazać, że mam chłopaka, którego wybrałam sobie sama. Nikt nie musi wiedzieć, że grot strzały Erosa nie był dostatecznie mocno nasączony miłosną trucizną. Nie zorientują się, że przyspieszony puls to nie wynik euforycznego zauroczenia, lecz konsekwencja wzmożonej chęci jebnięcia otwartą dłońią w czoło Francesca.

– Dobrze, kurczę blade, przyjdę, bo widzę, że ci zależy. – Przełyka głośno ślinę. Jestem pewna, że niedostatecznie zamaskowałam chęć dokonania mordy. – Ale potem już nie chcę się spotykać. Tak jakby zrywam z tobą – wydusza.

– Będę płakać nocą w poduszkę. Na razie!

Po jego minie wnoszę, że uznał to za ironię, podczas gdy ja naprawdę mam zamiar się rozryczeć. Na pewno jednak nie zrobię tego tutaj. Miękką poduska wydaje się wymarzonym miejscem.

Szybkim krokiem przemierzam ogród, zrywając po drodze kilka oleandrów, które planuję podarować Basimie. Jej imię oznacza „uśmiechnięta”, ale rzadko można zobaczyć uśmiech na jej pięknej twarzy. Pojutrze o tej porze będzie już w Tunezji, w swoim kraju, z rodziną, która na pewno za nią tęskni, a wtedy wszystko się zmieni. W końcu będzie szczęśliwa.

Trzymam dłoń na klamce, chcąc wsiąść do taksówki, ale cofam się, żeby zerwać również kilka kwiatów dla Zity. Na jej szczęściu też mi zależy. Chociaż nie jest osobą, która rozczuła się, widząc jakieś kolorowe badyle, na pewno będzie jej miło, że o niej pomyślałam. Od czasu gdy poznałyśmy się w katańskiej kawiarni, jesteśmy niemal nierozłączne. Zita ma niespożytą energię i potrafi znaleźć wyjście z każdej sytuacji. Gdybym nie wiedziała, że pochodzi z szanowanej prawniczej rodziny, pomyślałabym, że jest córką ulicy. Udało się jej nawet uciec z radiowozu zanim gliniarz, który zgarnął nas z klubu, doprowadził ją pod drzwi domu. Urodzona w czepku, czy coś.

Wsiadam do auta.

– Dzień dobry – mówię, zajmując miejsce na tylnej kanapie. Taksówkarz odpowiada skinieniem głowy. – Proszę mnie zawieźć na teren starej przetwórnicy ryb. Tej niedaleko stacji Eni.

– O tej porze w takie miejsce? To chyba niezbyt bezpieczne. – Nasze spojrzenia krzyżują się w lusterku. – Mam córkę mniej więcej w twoim wieku i nie chciałbym, żeby kręciła się po terenach, gdzie diabeł mówi dobranoc.

– Rozumiem. Proszę jechać – ucinam temat. Mężczyzna kręci głowę z dezaprobatą, ale w końcu rusza spod domu Francesca.

Prawdą jest, że lokalizacja magazynów nie zachęca do zapuszczania się w tamte rejony, ale dla mnie jest to zaletą, nie wadą. Ukrywanie kogoś przez kilka dni, nie wzbudzając przy tym niczyich podejrzeń, nie jest łatwą sztuką. Może i umiejętność radzenia sobie z emocjami w moim przypadku kuleje, ale zdolnościom logistycznym nie mam nic do zarzucenia.

Mijamy stację benzynową i wjeżdżamy na tereny obrosnięte wysokimi chaszczami. Na pierwszy rzut oka widać, że natura rządzi tu twardą ręką. Szkielety budynków poowijane są bujnym bluszczem, gdzieś stoją pokryte smołą metalowe beczki i poplamione, nadszarpnięte zębem czasu, samochodowe kanapy oraz fotele. Pozornie nie ma tu żywej duszy. W innych okolicznościach czułabym

się nieswojo, a po moich plecach pełzałyby dreszcz niepokoju, ale wiem, że ta nicość, jaką odczuwa się będąc tu, jest tylko złudzeniem. Na tyłach głównego budynku, w dawnym, okazałym magazynie czekają na mnie Zita i Basima.

– Poczekać?

– Nie, nie, dziękuję. – Wyciągam z kieszeni wymięty banknot. – Reszty nie trzeba. Do widzenia i miłego wieczoru.

Wysiadam i czekam, aż kierowca odjedzie. Zanim wrzuci wsteczny, chwilę mi się przygląda. Czasem chciałabym potrafić czytać w cudzych myślach. Samochód znika z pola widzenia, więc idę w stronę magazynu. Po wykonaniu kilku kroków przyspieszam, bo mimo wszystko niewielki, ale jednak strach, siedzi mi na ramieniu. Próbuję uspokoić przyspieszony oddech, lecz udaje się to dopiero w momencie, gdy zauważam ciepłe światło padające przez niewielkie magazynowe okienko. Pukam pięć razy w blaszane drzwi, dając tym samym sygnał, że to ja.

– Możesz opuścić broń – zwracam się do Zity, przechodząc przez próg.

Nie jestem pewna, czy w ogóle zapamiętała, jak ją obsługiwać, mimo że Etna udzieliła nam wyczerpujących wskazówek. Ja wyniosłam z tej lekcji niewiele. Zwalam to na karb stresu, bo sprowadzenie Basimy w to miejsce było skomplikowaną akcją obarczoną dużym ryzykiem niepowodzenia. Uważam jednak, że było warto, a dobry uczynek zaprocentuje. Dobro wraca. Na pewno nie od razu, bo odkąd dziewczyna się ocknęła i zauważyła, że jedną rękę ma przypiętą do żeliwnego kaloryfera, jest wściekła jak osa. Czasem wręcz odnoszę wrażenie, zapewne mylne, że denerwuje ją sam dźwięk mojego głosu. Najpewniej jest po prostu rozczarowana, bo nie udało mi się załatwić jej transportu do Tunezji szybciej. Ma takie prawo. Prawo do rozczarowania.

– W końcu jesteś. – Zita wzdycha z ulgą. – Mam już dość siedzenia tutaj. Z nią. – Wskazuje na śpiącą Basimę. – Nie można jej tu po prostu zostawić i tylko odwiedzać? – Przewraca oczami. – Przecież nasza obecność nic nie zmienia. Jeśli ktoś się tu dostanie, to po prostu zamiast jednego trupa będą dwa lub trzy...

– Nie można. Jakby się czuła, będąc tu sama i do tego przypięta?

– To ją odepnijmy. Ona na pewno mówiła ci, że chce popłynąć do domu i że ją przetrzymują w tym klubie?

– No raczej, przecież od tego się zaczęło. Nie możemy ściągnąć kajdanek, bo ma ochotę wrócić do ludzi, którzy wyrządzali jej krzywdę, a ja nie mogę do tego dopuścić. Uzależnili ją od siebie. Wczoraj już z nią rozmawiałam na ten temat, tłumaczyłam – mówię, ale na twarzy Zity maluje się niepewność. – Nie martw się. Będzie dobrze – zapewniam, ale wciąż nie wydaje się przekonana. – Nie rozumiesz, że los tej dziewczyny jest w naszych rękach i że ratujemy właśnie jedno istnienie? Czy to nie jest wspaniałe?

– Jakoś nie wygląda na ofiarę. To znaczy nie wyglądała – poprawia się – dopóki Etna jej nie przywaliła.

– Musiała. – Rozkładam bezradnie ręce. – Zobacz, jaka ona jest duża. Nie mogłyśmy sobie z nią poradzić.

Zita śmieje się cicho. To do niej niepodobne, bo zazwyczaj rzy jak koń. Domyślam się, że nie chce obudzić Basimy. Kiedy śpi, wszystko wydaje się mniej skomplikowane. Przyjaciółka siada na materacu i poklepuje miejsce obok. Odchyła się, żeby dosięgnąć siatkę, a gdy jej się udaje, słycać brzdęk szkła. Wsuwa ją między nogi i wyciąga dwa piwa truskawkowe.

– Mam tego więcej. – Uśmiecha się szeroko. – I dwa wina. Byłyby trzy, ale Basima jedno wypija.

Siadam obok niej, gdy sprawnie, jednym ruchem pozbywa się kapsla, podważając go zapalniczką.

– Wypiję tylko jedno piwo. – Unoszę ostrzegawczo palec. – Jutro muszę być w formie. Spróbuję jak najszybciej zerwać się z wesela i cię zmienić. Etna zrozumie. A pojutrze z samego rana przyjadą po Basimę goście z portu w Syrakuzach. Miło z ich strony, że się pofatygują, co nie? Kilka godzin w podróży, mało komu by się chciało.

– Za taką kasę przyjechałabym po nią nawet na hulajnodze. – Zita śmieje się, biorąc łyk piwa. – Chcesz kreskę? – Wyjmuje z kieszeni woreczek strunowy wypełniony kokainą.

– Nie, ostatnio myślałam, że umrę.

– Ale to nie ten towar, do którego dodałam to białe ciulstwo. Tamten już sprzedalam przed uniwersytetem. – Wkłada rękę do kieszeni i wyjmuję kilka banknotów. – Miałaś dobry pomysł, żeby wymieszać kokę z wypełniaczami. Czysty zysk. – Szczerzy się. – Ja bym na to nie wpadła, ale nie jestem Alną La Mantide, tylko Zitą Belamonte, wychuchaną córeczką sędziego. – Mruga sugestywnie. – Masz, bierz ile chcesz. Możesz nawet całość, bo pewnie jesteś splukana przez tę całą akcję. – Wskazuje głową na Basimę i podsuwa kasę w moją stronę. – Wydać tyle pieniędzy na obcą osobę. Jesteś jakaś – marszczy usta – nietypowa. – Wysypuje biały proszek na przegub dłoni.

– W najbliższym czasie już nikogo nie uratuję. Ostatnie pięćdziesiąt euro dałam taksówkarzowi.

– To skąd on cię wiózł? – Zita pociąga nosem i wybałusza oczy.

– Wybiło dziesięć, ale dałam mu napiwek. – Wzruszam ramionami. – On ma córkę w naszym wieku.

– No i?

– No i pewnie potrzebuje pieniędzy.

– Każdy potrzebuje – burczy Zita. – Pewnie z bliżej nieokreślonych przyczyn zrobiło ci się go żal, a przed oczami zobaczyłaś smutną historię jego życia – oznajmia z rozbawieniem. – Trochę cię już poznałam. Nie zaprzeczaj, na bank tak było. Na bank! Ta dobroduszość kiedyś wyjdzie ci bokiem. – Przechyla głowę. – E tam, na zdrowie. – Stuka butelką w moją.

– Każdy mówi, że mnie zna. Szkoda, że ja nie mogę tego o sobie powiedzieć. Nie mam pojęcia, jaka jestem naprawdę. Boże, Zito. – Patrzę na nią. – Kim ja, do cholery, jestem?

– Zaczyna się – jęczy. – Czekaj, otworzę wino.

## ROZDZIAŁ 2

### *Mephisto*

Zapinam ostatni guzik koszuli i wkładam marynarkę. Poruszam ramionami, licząc na to, że materiał nie będzie przylegał do pleców jak druga skóra, ale nic z tego. Wizja spędzenia kilkunastu godzin w tym kostiumie gentlemana totalnie mnie osłabia. Duszę się, mimo że nie zawiązałem jeszcze krawata. Zgarniam z blatu golarkę i sunę nią po ryju, w międzyczasie poszukując w szafie eleganckich butów. Kątem oka rejestruję ruch w pościeli, więc podchodzę do łóżka i uderzam dłonią w mały, całkiem niezły tyłek.

– Zbieraj dupę – mówię, rozsiadając się na materacu.

Dziewczyna marudzi pod nosem, ale w końcu siada i rozpościera ręce. Prześcieradło, w które jest zaplątana, zsuwa się z ciała, ukazując naprawdę świetne cycki. Podskakują zachęcająco, gdy roztrzepuje włosy i jestem więcej niż pewien, że nie wykonuje tego gestu przypadkowo. Jestem, bo wiem, jak działa jej mózg. Pasywny organ. Wymarzony warsztat diabła.

Brak reakcji z mojej strony zapewne utwierdza ją w przekonaniu, że musi się bardziej postarać. Wstaje niespiesznie i pierwsze, co robi, to wkłada buty. Wzdycham nerwowo, bo cierpliwość nie jest moją mocną stroną, a działania te i tak nie przyniosą żadnego efektu. Moje ręce nie chcą ponownie zaciskać się na jej biodrach, a kutas nie podryguje z ekscytacji na myśl o ponownym zerżnięciu jej szparek. Może kręcić dupą tuż przed moją twarzą, mieć na sobie same szpilki, jęczeć wymownie, schylając się po majtki, ale to niczego nie zmienia. Wziąłem już od niej wszystko, co miała do zaoferowania. Nie było tego dużo. Sam również dałem jej to, co mogłem. Nie było tego wiele.

– Ty to chyba musisz mieć buty szyte na zamówienie, co? – próbuje zagaić rozmowę, kiedy schylam się, żeby zawiązać sznurówki.

– Nie.

Wstaję i przeszukuję pościel, bo albo za słabo się stara, albo rzeczywiście nie może znaleźć swoich ubrań. W końcu dostrzegam jakąś błyszczącą szmatę.

– Ręce do góry – mówię, a ona uśmiecha się leniwie, gdy spełnia rozkaz. Pewnie myśli, że to część jakiejś erotycznej zabawy, ale muszę ją rozczarować. Nie po drodze mi z mundurowymi i nie podążam ścieżką prawa nawet na niby. Pomagam jej włożyć sukienkę i obracam plecami do mnie, żeby zapiąć suwak. – Gotowe. Miałaś torebkę?

Odwraca się w chwili, w której zerkam na zegarek.

– W nocy byłeś inny niż w świetle dnia. – Świdruje mnie wzrokiem, marszcząc cienkie brwi. – Miałaś bardziej przystępny sposób bycia.

– Jak myślisz, dlaczego?

– Nie wiem, bo byłeś bardziej zrelaksowany? Nie taki sztywny jak w tym momencie. – Zaciska dłoń na moim ramieniu. – Teraz jesteś spięty. Niby oddychasz, a jesteś jak zimny, twardy kamień. Dla porównania ja cały czas jestem miła.

Uśmiecham się. Jestem pewien, że litościwie. Naiwność wisi w powietrzu. Na szczęście jej opary są dla mnie jak tlen. W przeciwnym razie padłbym trupem. Gdzie się nie obejrzę, naiwniak naiwniaka popycha.

– Jesteś, bo na coś liczysz. Czegoś ode mnie chcesz. Ja już niczego od ciebie nie potrzebuję.

Otwiera usta, zamyka, znów otwiera.

– Czyli mnie oszukałeś! Udawałeś sympatycznego, żeby osiągnąć to, czego w danej chwili pragnąłeś.

– Nie, to twój mózg cię oszukał. Nie ja. – Wzdycham. – Zobaczyłaś na rogach – przykładam palce do skroni – napis: „Aniołek” i założyłaś, że nim jestem. To za mało, by nim być. Nie sądzisz?

Nie mam szansy poznać jej opinii, może i lepiej, bo odbijanie piłeczki to ostatnie, na co mam ochotę. Moja racja, twoja racja, przyczyna, skutek. Roztrząsanie tego w sytuacji, gdy zarówno ona, jak i ja dobrze się bawiliśmy jest kompletną stratą czasu. A głupotą natomiast oczekiwanie niemożliwego.

Ona myślała, że przeciętne pieprzenie jest równoznaczne z „żyli długo i szczęśliwie”? Błagam. Dla takich dusz nie chce mi się nawet uchylać wrót piekieł.

Do pokoju wbiega mój piętnastoletni brat Vittorio. Jego ubranie ujebane jest krwią, a on sam zachowuje się, jakby emocje miały rozsadzić mu łeb. Podskakuje w miejscu, licząc zapewne, że w ten sposób rozprowadzi je po całym ciele i pozbędzie się tego znanego mi aż za dobrze łupania w czaszce. Patrzy na dziewczynę, a następnie obdarza mnie błagalnym spojrzeniem.

– Nie chcę cię poganiać, ale... – zwracam się do niej, lecz nie jest mi dane dokończyć, dodać pożegnalnego, magicznego słowa.

– Oczywiście, że chcesz – fuka w odpowiedzi. – Odkąd wstałam, próbujesz chamsko się mnie pozbyć.

Vittorio przewraca oczami, słysząc to przepełnione przesadnym dramatyzmem wyznanie.

– Ale wiesz, co? Wyjdę stąd bardzo chętnie. – Zamaszystym ruchem otwiera drzwi, lecz odwraca się jeszcze, celując w moją stronę palcem. – Jesteś najmniej taktownym facetem, jakiego kiedykolwiek poznałam, a znam wielu – syczy. – I do tego kiepskim w łóżku. – Unosi hardo brodę. – To był najgorszy seks w moim życiu. Jesteś jak robot! Bezuczuciowa maszyna!

Trzaska drzwiami, chcąc dać upust swojej frustracji i pokazać, jak bardzo jest wzburzona. Takie zachowanie nie skłania mnie do żadnej refleksji. Gdyby przymknęła je cicho, być może poruszyłaby jakąś strunę. Hałas i chaos to moja codzienność. Spokój zawsze zastanawia. I intryguje. Bo go nie znam.

– Co się stało? – pytam, przyglądając się bratu.

Vitto pociera czoło przegubem dłoni. Nabiera powietrza, więc zaraz z jego ust wydostanie się seria bardziej lub mniej zrozumiałych słów. Obstawiam to drugie. Wyraz jego twarzy każe mi sądzić, że spóźnię się na ślub w rodzinie Selvaggio. I... i jest mi to totalnie obojętne.

– Przylecieli kokainowi turyści. Pojechaliśmy po nich na lotnisko Falcone-Borsellino, co nie? I ja jechałem w aucie z Casimirem. Dobrze, że było zatankowane. Nie wiem, kto o tym pomyślał, bo to moje zadanie, a zapomniałem wieczorem dotankować. W każdym razie super. Nie, żeby to jakoś pomogło, bo... – zacina się, więc obdarzam go ponaglącym spojrzeniem. – Rety, wzięliśmy takiego jednego grubasa i taką à la Chinkę. – Wzrusza ramionami. – A Sisto resztę.

– Do rzeczy, Vittorio.

– To jak do rzeczy, to chodź ze mną. – Ciągnie mnie za rękę. – Musisz mi pomóc. No proszę – piszczy, więc idę za nim. Jest coraz bardziej nakręcony. – Wszystko było elegancko, ale w pewnym momencie ten tłuścioch tak, kurwa, beknął... – Krzywi się z obrzydzenia. – A mówiłem Casimirovi, żeby nie był taki zasadniczy. No, bo wiesz, to on kazał tucznikowi zapiąć pas, a kiedy zahamował, to coś tam mu się widocznie w bebechach ścisnęło i tyle.

– Ile straciliśmy? – pytam, bo wiem, do czego zmierza ta historia.

– No i przez moment miał twarz, jakby go coś poraziło. Tak spięły mu się mięśnie. Zwarcie na stykach, a z jego ust zaczęła wypływać biała piana. – Wciąż nie puszcza mojej ręki, gdy prowadzi mnie schodami do jednego z pomieszczeń piwnicznych. – A ile straciliśmy to nie wiem, bo ja właśnie w tej sprawie. W sensie nie umiem z niego tego wydobyć. – Znow bierze głęboki oddech. – Przejeżdżaliśmy koło domu, Casimiro powiedział, że, zanim dojedziemy do magazynów, może rozpuścić się więcej towaru, ta kobieta zaczęła spazmować, więc mnie tu wysadził z tym zwłokiem, a chłopaki pomogli mi go wnieść. – Wskazuje na drzwi piwnicy. – I to bez sensu, bo ja tyle czasu ci to opowiadam, żeby wszystko było zrozumiałe, że na pewno już ktoś by z niego to wyciągnął w magazynie. A muszę jeszcze dodać, że zanim pobiegłem po ciebie, to pół godziny grzebałem w tym spaślaku.

– A gdzie Rufo?

– Pojechał z ojcem do banku po kasę, bo dziś jest ten ślub. – Zerka na zegarek. – Zadzwoń i powiedz, że się spóźnisz? To akurat potrafię. – Patrzy wyczekująco. – Tak to załatwię, że każdy będzie wiedział, że nie pojawisz się o czasie. – Szczerzy się i otwiera drzwi.

Na betonowym stole leży wspomniany przez Vittoria gość. Podpalam papierosa, bo z dwojga złego wolę smród dymu niż zapach krwi, którą wyczuwam coraz intensywniej, gdy zbliżam się do zaćpanego grubasa. Toksyny w niej zawarte naprawdę cuchną. Tak bardzo, że ma się wrażenie, jakby smród ten zmieniał jej konsystencję. Ludzie zapytani o to, jak pachnie krew, z reguły odpowiadają, że



rdzawo, metalicznie. Jak dłoń, w której wcześniej trzymało się śrubki. Mówią tak, bo nie mają do czynienia na co dzień z tym, co przetacza się przez tysiące kilometrów tętnic, żył, naczyń włosowatych w płucach, skórze, mózgu. Jucha śmierdzi życiem. I śmiercią. Po tysiącokroć wołę swąd przypalanej skóry, bo on przypomina mi chociaż o przyświecającym mi celu. O tym, kim byłem i jestem.

Nadejdzie jednak dzień, kiedy ujrzę na rękach jedyną krew, której zapachu jestem ciekaw.

Krew tego, który strącił mnie do piekła.

Mogę mieć wiele twarzy, mieć poparzone stopy, ale nie kolana.

Nie klękam. Przed nikim. I nigdy.

Przyglądam się leżącemu przede mną typowi. Nie wiem, czy widziałem go wcześniej, ani jak długo u nas pracuje. Pracował. Czas przeszedł. I szkoda. Smutne to i przykre, i przepełnia mnie żal, bo czasu poświęconego na jego wyszkolenie już się nie odzyska. Kilku życiowych prawd nawet diabeł nie podważy. Mianowicie: czas to pieniądz i nie zna się dnia ani godziny. Naciągam rękawiczki i zdejmuję marynarkę. Gdy odrzucam na bok koszulę, z ust stojącego za mną Vittoria wydobywa się cichy syk. Boli go to, co widzi, a ponieważ nie zdążyłem jeszcze rozpruć mojego pacjenta, nie mam wątpliwości, że to nie widok treści żołądkowych wywołał tę reakcję. Bywa. Kolejna niepodważalna prawda: ogień parzy. Woda parzy. I następna: białko tkankowe ulega nieodwracalnemu uszkodzeniu, gdy skóra ma styczność z temperaturą wyższą niż 55°C. Martwica, strupy, blizny. To nie tylko brzmi obrzydliwie. To autentycznie jest paskudne. I gdybym miał pokusić się o krótkie podsumowanie, a kuszenie to moja specjalność, powiedziałbym, że właśnie to szkaradztwo jest we mnie prawdziwe. Jest dokładnie tym, na co wygląda.

Zerkam na niewielkie, wykonane przez Vittoria nacięcie na brzuchu denata. Nie mam pojęcia, w czym grzebał przez wspomniane pół godziny, ale jest więcej niż pewne, że nie w żołądku. Sięgam po położony na metalowym wózku nóż sekcyjny o szerokim ostrzu, idealny do przecinania powłok i wykonuję dwa prostopadłe, głębokie cięcia. Otwieram jamę brzuszną, a Vitto nachyla się nade mną.

– Co to? – Wskazuje na żółtą ciecz, znajdującą się w jamie otrzewnej.

– Płyn surowiczy. Podaj nożyczki kulkowe.

– Zaraz rzygnę. – Beka, ale robi, co mówię. Rozcinam ścianę żołądka i wciskam do niego paluchy. Wyciągam pierwszą kapsułkę.

– Podstaw pojemnik – instruuję. Wrzucam do niego kolejne, wypełnione towarem zawiniątka. – Oczyść je z błony śluzowej, krwi i dokładnie policz.

Zanim ściągnę rękawiczki, dla pewności jeszcze raz dokładnie sprawdzam, czy niczego nie pominąłem. Straty są wpisane w ten biznes, a sytuacje takie jak ta nie zdarzają się często. Pacjent miał po prostu pecha i trafił na źle zabezpieczony pakiet lub obzałł się w trakcie lotu. W obu przypadkach skutek jest taki sam, więc olać przyczyny. Poświęcanie energii na drobnicę, jaką przemycają muły, bo tak nazywamy przemytników, jest sprzeczne z moim systemem zarabiania kasy, dlatego tym na polecenie ojca zajmują się bracia. Osobiście wołę dwa dobre pierdolnięcia w roku. Większe ryzyko, większy zysk i więcej wolnych dni. Nie każdy jednak wie, jak się za to zabrać. Niewielu potrafi zorganizować niemożliwe, wybrać odpowiednie szlaki, przez które można przeprowadzić dużą ilość towaru, a w razie konieczności zareagować, gdy robi się gorąco i odbić w inną stronę. Nie wystarczy cechować się nieobliczalnością. To za mało. Trzeba nią być. A ja nią jestem.

Moja nieprzewidywalność jest zgubą moich wrogów. Obawiają się jej. Słusznie, kurwa. „Ha, ha”, słyszę w głowie. „Ha, ha, ha”. To normalne? No jasne! Szalone? W życiu! Co najwyżej nietypowe. To zapewne dlatego, że jestem taki w chuj wyjątkowy, ludzie trzymają się ode mnie z daleka. Ledwo usłyszą „diabeł”, a ich spanikowana dusza już siada na ramieniu, przytrzymując w drżących dłoniach trzęsące się portki. Boją się, że nabiję ich na widły lub uduszę ogonem, wrzucę do rozgrzanej kadzi. Kurwa, tak!

– Z czego się tak cieszysz? – Z zamyślenia wyrывa mnie głos Vittoria. Posyłam mu pytające spojrzenie. – Mieszasz w tych flakach i się szczerzysz.

– Kto? Ja czy ja? – Śmieję się, a Vitto stuka palcem w czoło.

– Ty to ty. – Przewraca oczami.

I tu się myli, ale nie ma co tego roztrząsać, płakać nad ogniem, który już się rozpałił, bo nie ma tyłu łez, żeby go ugasić. A co ważniejsze, pora kończyć operację, bo czas nie jest z gumy, a boruta na

ślubie Selvaggiów nie zrobi się sama.

A chciałem, naprawdę miałem „szczerę” chęć, „dobre” intencje i popychany zewem „dobroduszości”, niczym halnym wiatrem, stawilem się wczorajszego wieczora w rajskiej chacie rodziny La Mantide, żeby załatwić swoją sprawę. Naszą. Moją i jej – Almy. I zgubiłem się! Trafiłem do jakiegoś ośrodka dla obłąkanych, a nie do jebanego raj! W zakładzie tym myślą, że gdy udaje się, że się kogoś nie zna, problem rozwiązuje się sam. W pewnym momencie zacząłem nawet grzecznie, z odpowiednią dozą nieśmiałości literować: N-A-Z-Y-W-A-M S-I-Ę M-E-P-H-I-S-T-O G-O-T-T-I, ale don Alfredo wciąż odgrywał gościa z radykalnie postępującą amnezją. Kurwa, serio nie chcę naginać faktów, ale to silniejsze ode mnie. Ściemę mam po prostu we krwi. Za chuja tak nie było. Mimo że najpewniej powinno.

Na pewno mógłbym cicho zapukać w drzwi, przedstawić się, poprosić o rękę jego najpiękniejszej, najbardziej niewinnej, tfu, naiwnej córki i zapewnić, że jestem w stanie oddać za nią swoją łapę, ale to się nie wydarzy. Nie, bo po pierwsze nie znajduję się na jakimś miłosnym hajcu i nie podziwiam w lusterku swojej świeżo wyhodowanej cipy, a po drugie jestem bardzo przywiązany do swoich łap.

W momencie, w którym machałem przed twarzą bossa La Mantide krwawym papierkiem, leśnym zobowiązaniem, nie byłem skłonny oddać za Almę nawet małego palca. Nie żeby ktoś tego ode mnie oczekiwał. Stary nie chciał niczego. Nawet nie próbował nic ugrać. NIC. Pierwszy raz w życiu poczułem, że coś tu, kurwa, śmierdzi i nie był to swąd przypalanej skóry. Odniosłem wrażenie, że to ja wyświadczam mu przysługę. Zwykle, gdy przybywam po to, co moje, zabieram to przy akompaniamencie mojego śmiechu i spazmów udręczonych, a nie wzdychających z ulgą dusz. Mógłbym pomachać mu przed nosem ulotką z supermarketu, a on i tak bez mrugnięcia wepchnąłby córkę w moje piekielne ramiona. Zrobiłby to, gdyby wiedział gdzie jest, z kim i co robi. Nie miał jednak pojęcia, gdzie znajduje się moja mała, śliczna duszyczka, dlatego musiał się ze mną trochę pobawić. Nie mogłem opuścić jego domu niezadowolony. To tak nie działa. Zgubić duszę. To jest poważne?

– Słuchasz mnie? – Vitto szturcha mnie w ramię i wciska w dłoń mokry ręcznik. – Dzwoniłem do ojca. Powiedział, że masz absolutnie nie przyjeżdżać na wesele. I ja się z nim zgadzam, bo, gdy wparowałem do twojego pokoju, to byłeś spokojny, wiesz, nawet dla tej laski bardzo miły i miałeś te swoje wolne ruchy znudzonego słonia. A teraz już jesteś nakręcony i zachowujesz się jak nadpobudliwy goryl. Uśmiechasz się diabolicznie, w kółko przeciągasz i machasz łbem, jakbyś nie mógł się doczekać, aż komuś przypierdolisz. Weź zostań.

– Rozumiem. – Sprawdzam, czy dokładnie powycierałem ręce i sięgam po koszulę.

Vitto przygląda mi się wnikliwie.

– Czyli nie jedziesz?

– Oczywiście, że jadę. Wyglądam ci na takiego, za którego trzeba podejmować decyzje? – Uderzam go w potylicę. – Słoń ma twardą skórę, Vitto, ale gwarantuję, że to nie on, ale właśnie impulsywny goryl zostanie królem tej płonącej dżungli. – Wkładam marynarkę.

– Ale z ciebie diabeł. – Brat uśmiecha się szeroko. Odwzajemniam się tym samym, przykładając palce do skroni i idę w stronę drzwi.

Dwanaście lat temu, gdy byłem w wieku Vittoria, umarłem. Po to, by jeszcze tej samej nocy narodzić się na nowo. Spopieliłem się jak wytatuowany na mojej klacie Feniks, którego odbicie codziennie widzę w lustrze. Wtedy też po raz pierwszy nacisnąłem na spust. Ojciec zawsze powtarzał nam, że uwolnienie dziewiczego naboju naznacza na zawsze, a dziurawa dusza szczęśliwca, który przyjął kulkę, od tej pory zawsze jest pół kroku za nami. Depcze nam po piętach. I o ile nie pomylił się w pierwszym przypadku, to w drugim już tak. Za mną nikogo nie ma. Ta dusza jest we mnie. I kocham ją w chuj. Tę dziurawą duszę.

Vitto jest całkowitym przeciwieństwem mnie, gdy byłem w jego wieku. Zadbałem o to. Wytresowałem każdego diabła, mieszkającego w naszym domu. Cały rząd dusz. A to, że żyją oznacza, że treser ze mnie zacy. Dawno temu przekonałem się, że na życie w piekle trzeba zasłużyć. Nie każdy ma szansę, żeby powstać z martwych. Ja ją dostałem. Dlatego z determinacją pcham tę kulę ognia i dbam o to, żeby mój łeb był wystarczająco zryty. A może wcale się nie troszczę, nie staram nadto, tylko on już

taki jest? Ha, ha. Jedno z dwóch.

Wychodzę z piwnicy i mrużę oczy osłepiony słonecznym blaskiem. Od kilku dni urzędujemy w naszej katańskiej rezydencji z racji tego, że jest bliżej ogrodu, w którym odbędzie się wesele Selvaggio i La Mantide. W tej posiadłości okna nie są zasłonięte ciężkimi, nieprzepuszczającymi światła dziennego kotarami, w drzwiach nie ma metalowych zasuw, nie śmierdzi olejem parafinowym, z żadnego kominka nie bucha ogień. Tu jest dziwnie.

W holu spotykam drugiego brata, młodszego ode mnie o trzy lata Sista.

– Dlaczego tu jest tak zimno? – Krzywi się i energicznie pociera ramiona. – Młody dalej babra się w mule? – Sisto wiecznie zadaje tysiąc pytań i jak mniemam sam odpowiada na nie w myślach, bo nigdy ich nie ponawia, gdy nie uzyskuje odpowiedzi. Nie inaczej jest tym razem. Zawsze więc odpowiadam tylko na te, na które chcę. – Dzwonił ojciec i powiedział...

– Że absolutnie mam się nie pojawiać na weselu. – Wybucham śmiechem. – Spakowałeś mój łuk?

– Się wie. Zabierasz tylko swoich pancernych, czy sługusów też?

Mianem pancernych określamy ludzi ochraniających mi plecy. Strzegą, żeby nikt się do nich nie zbliżał. Cechują się ponadprzeciętnym refleksem i opanowaniem. Jedyńymi, którzy dotykają moich pleców są bracia. Robią to, bo muszą. I chociaż mają ciary podczas wklepywania kremów i maści, pilnuję, by nie zamykali oczu. Nie dlatego, żeby poczuć satysfakcję z ich zakłopotania czy poczucia winy. Każdy z nich ma obowiązek dbać o swoją historię. Po prostu. I zapamiętać raz na zawsze, kurwa, że kolana służą do walenia nimi w zdradzieckie mordy. Nie do klękania!

– Bierzemy. Kilku z rzędu „A” i dwa złotka.

W naszej rodzinie wszyscy żołnierze poddawani są starannej, regularnej selekcji. Wydobywanie najbardziej rozżarzonych węgielków, czyli najskuteczniejszych sługusów zasilających rząd „A” to zadanie Sista. Każdy chce znaleźć się w tej kolumnie, a ci, którzy już w niej są, robią wszystko, żeby się w niej utrzymać. Nie tylko dlatego, że mogą liczyć na najlepsze wynagrodzenie. Powodem jest też to, że podczas gorących akcji nie są na pierwszej linii ognia. Zawsze osłaniają ich ci z rzędu „B”, czyli tak zwane mięsko. Z czasem każdy węgiel się wypala, to naturalna kolej rzeczy. Eliminacją tych, które nie dają już satysfakcjonującego ciepła, zajmuje się kolejny z braci, Casimiro. Największy mruk w rodzinie, z którym łączy mnie tylko jedno. Obaj mamy pierdolca na punkcie krwi. On naprawdę ją kocha. Może zaciągać się jej wonią bez końca. Nigdy nie ma dość. Dla mnie jest nieodłącznym elementem codzienności, ale jej nie znoszę. Bo śmierdzi. Złotka z kolei to żołnierze mieszkający w naszym domu. Tylko oni mogą szwendać się po rezydencji i zaglądać w każdy, nawet najciemniejszy kąt. To ludzie, którzy nie raz udowodnili swoje bezgraniczne oddanie. Członkowie rodziny, z którymi nie łączą nas więzy krwi. Szaleńcy kochający piekło.

– Wiedziałem, że to powiesz. – Szczerzy się i poprawia krawat. – Już zapakowali się do puszki. Będą jechać za nami. Po drodze zgarniemy Nadię.

– Ona nie jest mi do niczego potrzebna – oznajmiam.

– Całe, kurwa, szczęście – mówi pewnie, dźgając mnie palcem w klatę. – Odgryzłeś jej koniuszek języka! I to tylko dlatego, że chciała cię pocałować! Wiesz, ile czasu musiałem ją przekonywać, że jestem jednym z tych dobrych braci, zanim porządnie otworzyła usta?

– Bronilem się, jasne? Powiedziałem jej, że całowanie odpada. Nie wyraziłem na to zgody. Ona chciała mnie wykorzystać.

Przecieram twarz ręką, żeby zetrzeć z niej uśmiech niewspółgrający z tragizmem mojej smutnej historii.

– Aleś ty biedny – obrusza się Sisto i wyciąga z kieszeni telefon. – Casimiro napisał, że już po ślubie. Mamy od razu jechać na przyjęcie. Czeka, zadzwonię do niego.

Odchodzi, a ja idę do kuchni, umyć porządnie ręce, bo wciąż czuję zapach lateksu i smród krwi spaślaka.

Szoruję dłonie drucianą myjką i potrząsam barkami, chcąc pozbyć się uciążliwego napięcia. Myśl, że lada moment ponownie zobaczę te wielkie, brązowe, wpatrujące się we mnie, jakby zobaczyły coś, czego szukały całe życie, oczy sprawia, że mam ochotę wyć do księżycy i machać z radości

diabelskim ogonem. Prędej lub później, obstawiam to drugie, Alma uświadomi sobie, że nie jestem, nie byłem i nigdy nie będę kimś, kogo szuka i naprawdę potrzebuje. Do tego czasu będzie się ślinić i uganiać za przynętą, bo spowity oparami naiwności mózg zawsze widzi tylko ją. Opary te mają to do siebie, że w wyniku różnych czynników i zdarzeń w końcu wyparowują. Nie spędza mi to snu z powiek i nie boleję nad tym szczególnie. Nie, bo gdy to się dzieje, jest już za późno. Każdy łowca dusz wie, na co nabija się przynętę. W tym właśnie tkwi haczyk.

– Nie no, nawet nie będę pytać, bo wiem, że to prawda! – Sisto wpada do kuchni, wrywa mi z rąk kuchenny ręcznik i uderza nim o blat stołu, jednocześnie furiacko podskakując. Unoszę brwi. Robię tak za każdym razem, gdy ktoś zachowuje się nedorzecznie. Czasem wręcz odnoszę wrażenie, że w naszej rodzinie jestem jedyną stabilną, racjonalnie zachowującą się osobą. To oczywiście tylko odczucie. I jest ono mylne. – Kiedy ty w końcu zrozumiesz, że jesteś Diabłem, a nie Bogiem! – furczy.

– Kontynuuj.

– Byłeś wczoraj w domu La Mantide?

Aaa, o to chodzi.

– I powiedziałaś don Alfredowi, że nie wyjdiesz, dopóki odpowiednio cię nie ugości? Że zabawianie gościa to obowiązek gospodarza?

Nie odpowiadam. Tak jak wspominałem, Sisto tego nie oczekuje.

– Uderzałaś kijem do krykieta w jego nogi i wrzeszczałaś: „Niech stanie się jebaniutki cud! Powstań, gdy żąda tego tropiciel dusz!”. Serio?

– Kiedy to opowiadasz, brzmi to równie zabawnie. Idziemy. – Ruchem głowy wskazuję na drzwi. Ruszam przed siebie, a brat biegnie za mną.

– Dla ciebie to jest zabawne? – sapie.

– Nie wiem, co jest z tobą nie tak, skoro uważasz inaczej – rzucam z rozbawieniem. – Nie potrafię uleczyć twojej niewesołej duszy. – Rozkładałam bezradnie ręce.

– A konsekwencje? Co z nimi?

Chowam dłonie do kieszeni, a Sisto się cofa. Niby mnie zna, a jednak nie do końca. Gdybym naprawdę chciał zrobić mu krzywdę, uwięzienie rąk w kieszeniach na pewno by mnie nie powstrzymało. Na razie odczuwam po prostu dyskomfort, małą chęć wytłumaczenia oczywistości inaczej niż słownie.

– A co, bolą cię już kolana? Może język od lizania cudzych butów? Dłonie od składania ich w błagalnym geście? A nie piecze cię coś tak kurewsko w środku? – Uderzam pięścią w tors, a on kręci głową. – Powinno. – Podchodzę do niego i wciskam kciuki w jego splot trzewny. – Wszystko popękane. Wielkie, kurwa, nic. – Cmokam. – To, co miałeś najcenniejszego, spierdoliło przez tę dziurę. – Poklepuję go po kłacie.

– Możesz mówić po ludzku, a nie po diabelsku?

Śmieję się gorzko.

– Po ludzku oznacza to, że już jej nie masz, Sisto. Twoja godność osobista zrobiła „puff”. – Wykonuję dłońmi gest eksplozji. Brat otwiera usta, ale nie chce mi się go słuchać, więc kontynuuję, zanim cokolwiek powie. – Nie pytaj, co z konsekwencjami. Zapytaj, jak to jest chodzić wyprostowanym. Odpowiem ci wtedy, że to naprawdę piękne uczucie. Nawet – unoszę palec – jeśli nie będziesz oczekiwał odpowiedzi.

Wychodzę z domu i przywołuję Galla. Moje najcenniejsze złotko. Człowieka, który podczas arestowania i maglowania go przez karabinierów, pamiętał jedynie, jak się nazywa. Jego pamięć nie okazała się lepsza nawet wtedy, gdy roztaczali przed nim wizję krótszej odsiadki. Każdy, kto ma wyobraźnię i świadomość, w jakich realiach żyje, wie, że najbardziej należy obawiać się wyroku, jaki organizacja wydaje na kapusiów. Zawsze jest on taki sam i brzmi: „Śmierć”. Nie uchronią przed nim nawet najwyższe mury, bo służba więzienna cierpi na euro ślepotę. Im więcej kasy, tym mniej widzą. Lojalność z kolei oznacza życie. Dobre życie. A ta idzie w parze z zaufaniem. Nie tylko my musimy ufać pracującym dla nas ludziom. Oni nam również. Dzięki comiesięcznym składkom, które rodziny organizacji wkładają do wspólnego skarbcza, możliwe jest wymknięcie się z macek systemu. Ręka rękę myje. Wystarczy jedynie wiedzieć, czyją należy wyszorować w danym momencie. To nie spluwa ma największą moc sprawczą, lecz banknoty emitowane przez Europejski Bank Centralny.

Gallo podchodzi do auta i otwiera drzwi od strony kierowcy. Patrzy na mnie.

– Dzwonił twój ojciec i powiedział...

– Tak, tak, słyszałem to już – przerywam mu. – Tyle razy, że nawet gdybym był ułomem, na bank już bym zrozumiał. A ponieważ nim nie jestem... – Rozkładam ręce. – Wsiadaj.

Sisto łąduje się na tylną kanapę.

– A ty, co robisz? Wyskakuj. – Wyszarpuję go z wozu.

– Ale jak to? Jeszcze dziesięć minut temu mieliśmy jechać razem. Ja bym tak wolał.

– Dziesięć minut temu nie miałem ochoty usiąść z tobą z tyłu i gdy nabierzemy prędkości, otworzyć drzwi i cię wyjechać. Teraz mam. Piszesz się na to?

– Nie. – Uderza pięścią w dach.

Zajmuję fotel pasażera, a Gallo rusza z podjazdu. Wystukuję palcami nieznany rytm, uderzając nimi o uda, bo czuję kumulującą się energię, wprawiającą w drżenie każdy mięsień. Znam kilka skutecznych sposobów na jej rozładowanie, na wskazanie drogi ujęcia, ale żaden w tej chwili nie wydaje się w punkt. Nie, bo jedyną osobą, którą mógłbym teraz zabić, jest Gallo. A jedyną dupą, którą mógłbym zerznąć, jest również, no cóż, dupa Galla. Chyba musi wyczuwać unoszące się w powietrzu agresywne napięcie, bo mówi:

– Możesz wałnąć czołem w deskę rozdzielczą. To twoje auto. – Wzrusza ramionami. – Zatrzymać się?

Chyba dostrzega w moich oczach ten niemy krzyk, ponieważ od razu parkuje na poboczu, niemal wjeżdżając na pole obsadzone krzewami winogron. Wyskakuję z samochodu, a po przebyciu kilkudziesięciu metrów wydzieram się tak głośno, że wydaje mi się, jakby pod wpływem wibracji owoce same miały pospadać z krzaków. Od razu mi, kurwa, lepiej. Do czasu, aż odwracam głowę i zauważam, za kim podąża spojrzenie opierającego się przedramionami o dach Galla. Obok naszego auta przebiega dziewczyna. Nie byle jaka, bo moja. Pędzi, jakby ją sam Diabeł gonił, a przecież nawet nie ruszam się z miejsca. Nie wiem, jaki ma cel, ale najwyraźniej, jest na nim bardzo skupiona. Na tyle, że nie rozgląda się na boki, tylko biegnie przed siebie, niemal potykając się o własne nogi, które mam wrażenie, że wyprzedzają resztę jej ciała. Idę w stronę wozu, jednocześnie patrząc na to oddalające się w pośpiechu nieszczęście.

– Wiesz, że właśnie przebiegła koło nas twoja żona? – Przy ostatnim słowie robi cudzysłów palcami. – Albo ktoś bardzo do niej podobny. Taka mocno styrana wersja. – Przeciera czoło przedramieniem. – Całkowite przeciwieństwo lasek, które sprowadzasz do domu. Inna planeta.

– Masz rację.

Wsiadamy z powrotem do auta. Na twarzy Galla maluje się niezrozumienie.

– Mam rację? – Dziwi się. – To po co w ogóle zawracasz sobie nią głowę?

– Odpowiedzią są dwa ostatnie wypowiedziane przez ciebie zdania twierdzące.

– Wyczuwam pieprzone kłopoty.

– Taa. – Szczere się.

Jestem na nie gotowy, bo skutki problemów, rozgrywających się na arenie nazwanej rajem nie napawają mnie trwogą. O jakich zmartwieniach mowa? Mało puszysty, niebiański obłoczek naiwności, czy inna bzdura. Kłopoty w raj. Coś takiego w ogóle istnieje?

Być może powinniśmy zawrócić i zobaczyć, czy to pędzące indywiduum nie nabiło sobie guza, ale nie zostałem obdarzony genem troskliwości. Mało tego, bawi mnie towarzyskie *faux pas*, jakie bez wątpienia będzie jej udziałem. Mniej zadowolony jestem z tego, że stwarza mi konkurencję. A wiadomo, co się z nią robi...

Gallo parkuje przed bramą wjazdową. Teren, na którym odbywa się przyjęcie, oświetlony jest kiczowatymi lampkami. W zamyśle działanie to pewnie miało na celu stworzenie jakichś pozorów romantyzmu. Ktoś, kto wpadł na ten pomysł, musi mieć kolorowo we łbie. Nie muszę nawet wysiadać, żeby widzieć, że atmosfera na przyjęciu znacznie odbiega od zamierzeń. Gdy tylko wystawiam nogę z auta, czuję tę wiszącą w powietrzu nerwowość. I... i zaczyna mi się tu podobać!

– Myślałem, że to będzie przyjęcie z pompą – stwierdza Gallo, a ja odwracam głowę, żeby na niego spojrzeć. – Dlaczego tu jest tak mało osób?

– A czyj to ślub?

– No Efešta i Etny.

– W jego towarzystwie można wytrzymać godzinę. Może dwie, jak jest się głuchym. Nikt o zdrowych zmysłach go nie ogarnia. Wiesz, czym on torturuje ludzi?

– Czym?

– Rozmową, kurwa. – Śmieję się, a Gallo stuka palcem w czoło. – A Etna, no cóż, to kwintesencja słowa kłopot. – Przecieram twarz. – Gdybym miał dziewczynę, która najpierw robi, a potem myśli, strzeliłbym do niej z łuku.

Chyba że miałyby najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Wielkie i brązowe. Wtedy, zanim rzuciłbym się w pościg, dałbym jej trochę czasu. Powiedziałbym: „Mała, uciekaj. Gdziekolwiek. Najdalej”. A nie, to nie działa. Mówiłem jej to w leśnej chacie i za nic nie chciała skorzystać z podyktowanej dobrocią mojego serca rady. Nie przemawia do mnie argument, że była związana. Węzeł bramszotowy stosowany w dawnych czasach do wiązania liny na harpunach jest odporny na szarpanie i z każdym gwałtownym ruchem zaciska się mocniej, ale, do diabła, ona nie jest wielorybem, tylko lekką duszą!

Wyciągam z bagażnika łuk. Przewieszam go przez ramię i czekam, aż dołączą do mnie pancerni, Auro i Aris. Przy wejściu do ogrodu weselnego stoją ludzie Efešta. Podążają wzrokiem za małolatem, krążącym nerwowo tam i z powrotem po usłanej płatkami kwiatów ścieżce. Mamrocze pod nosem i zapisuje coś na kartce, co jakiś czas postukując długopisem o brodę. Gdy moje plecy są już odpowiednio chronione, ruszam w stronę bramy. Dołączają do mnie ludzie z rzędu „A”, którzy dojechali przed momentem, a Gallo dotrzymuje mi kroku.

– Więcej was matka nie miała? – rzuca ze śmiechem człowiek Selvaggiów. Zdaje się, że to Bernardo, ale ręki nie dam sobie za to uciąć.

– Miała, ale ojciec spalił – odpowiadam.

Jeszcze głośniejszy śmiech. Też rechoczę, bo fakt, że on uważa to za żart, autentycznie mnie bawi.

– No, kurczę blade – mamrocze małolat. Przystaje przy nas i zatrzymuje wzrok na moim łuku. – Mogę dotknąć?

– Nie, do cholery – oburzam się. – To tak, jakbyś zapytał, czy możesz pomacać mi fiuta.

Na jego twarzy pojawia się pieprzony rumieniec.

– Ale – kontynuuję i unoszę palec – możemy pobawić się w chowanego.

Gallo pokasłuje. Zerkam na niego, lecz zakrywa oczy dłońmi. Nie wiem, jak interpretować ten gest. Są dwie opcje: „Nie chcę na to patrzeć” lub „Tak! Zabawa w chowanego jest super!”. Obstawiam tę drugą.

– A na czym polega ta zabawa? – dopytuje chłopak.

– Co z tobą? – Uderzam go w potylicę. – Nigdy się w to nie bawiłeś? Jak sama nazwa wskazuje, musisz się schować, a ona będzie szukać, dopóki cię nie znajdzie.

– Jaka ona? – Zdezorientowany rozgląda się dookoła.

– On ma na myśli strzałę, Francesco. I nie, to się nie wydarzy. Nie na moim weselu.

Zerkam w stronę, z której dobiega głos. Efešto opiera się ramieniem o pień drzewa. Krążące o nim pogłoski, jakoby potrafił zjeść nawet najlepszą zabawę, okazują się faktem. Przywołuje mnie ręką, sugerując, żebym wszedł na teren ogrodu, ale małolat Francesco widocznie sądzi, że znalazł sobie nowego przyjaciela. I jestem nim, kurwa, ja. Odpalam papierosa.

– Ocenisz mój wiersz? – pyta Francesco. Krztuszę się, a Efešto wybuchając śmiechem. – Dym wyszedł ci uszami.

– Oцени, oцени – wtrąca rozbawiony Efešto, ale po chwili poważnieje. – Zrób to. Nie chcę od ciebie koperty, tylko to, kurwa, zrób. – Znów się śmieje, ale trwa to dosłownie chwilę, bo nie tylko ja zauważam biegnącą w naszą stronę Etnę. Za nią pędzi Niccolo. Efešto zaciska usta i kładzie na nich palec.

Na pierwszy rzut oka widać, że dziewczyna ma misję do spełnienia. I coś czuję, że odgrywam w niej ważną rolę, bo biegnie ze wzrokiem wlepionym w moją skromną osobę i furią wypisaną na twarzy.

Na szczęście, oczywiście dla mnie, gdy przebiega obok swojego świeżo poślubionego męża, ten łapie ją za rękę i przyciąga do siebie, przyciskając dłoń do jej ust. Dobry ruch. Etna czerwienieje z emocji, miota się wariacko, ale postanawiam zaryzykować i do nich podejść, mimo że naprawdę szalenie się boję. Ponownie, na szczęście dla mnie, Efesto szepcze jej coś do ucha. Coś na tyle uspokajającego, że dziewczyna postanawia wziąć się w garść, nie zachowywać jak obłąkana i co najważniejsze, nie zagrażać mojemu życiu. Ha.

– Próbowałem ją dogonić – sapie Niccolo. – O, cześć. – Wystawia rękę w moją stronę. – W końcu coś się zadzieje, bo ona – wskazuje na Etnę – widocznie postanowiła nic nie odwalić na swoim weselu. Wieje nudą. – Macha ręką z rezygnacją, gdy przygląda się swojej bratowej, a ta z kolei wlepia wzrok we mnie.

– Nie patrz tak, jakbyś mnie znała – mówię, na co tupie nogą, żeby dać upust narastającej z niewiadomych przyczyn frustracji. – Gdzie twoja siostra?

– Nie twoja sprawa – warczy. – Albo i twoja. Powiem ci. – Na jej twarzy pojawia się cwany uśmiech. – Almy nie będzie. Wyjechała do Francji ze swoim wymarzoną mężczyzną. – Unosi hardo brodę.

– Jak to możliwe, skoro jestem tutaj? – Śmieję się, a ona zaciska pięści. Efesto zamyka ją szczelnie w swoich ramionach.

– To co z tym moim wierszem, ocenisz?

Odwracam się. Francesco macha kartką przed moimi oczami.

– On? – dziwi się Etna. – Jestem pewna, że nawet nie będzie potrafił go zinterpretować. To nie ten typ, Francesco. – Patrzy na mnie buntowniczo. – Wiesz, kim jest ten chłopak? – zadaje mi pytanie, wskazując na małolata. – To ukochany Almy. Romantyk. Pisze dla niej wiersze i wykonuje różne rzeczy z papieru.

Och, kurwa.

– To jest miłość. Powinieneś brać z niego przykład. Rozumiesz?!

– Nie. – Wzruszam ramionami.

– Nie miałaś odpowiadać na to pytanie! – Frustratka podskakuje w miejscu. – Nic. Nie. Mów.

– No dobrze, to zaczynam. – Francesco chrząka. – Wiersz mojego autorstwa. Nadałem mu tytuł: „Papierowa dziewczyna”.

– Ale piękny tytuł, Francesco. Jesteś najlepszy! – emocjonuje się Etna, a chłopak się rumieni. – Najromantyczniejszy mężczyzna na Ziemi!

Żyła na skroni Efesta podryguje w chaotycznym tańcu. A proponowałem, pobawmy się z Franceskiem w chowanego, to „nie, w życiu, to się nie wydarzy, no coś ty, cóż to za diabelski pomysł!”.

– Ciekawe, czy jest też najlepszy w spierdalanii przed szukającą go strzałą – syczy Efestu do ucha Etny. – Nie przeginaj, kotku, a ty – obdarza Francesca ostrym spojrzeniem – czytaj już ten jebany wiersz.

Francesco wytrzeszcza oczy, ściera przedramieniem pot z czoła i poprawia okulary. Nabiera powietrza, czyta:

– Narysowałem ją ołówkiem z zaostrzonym czubkiem. Wyciąłem starannie, wymarzoną pannę. Nie ma oczu ani ust, toż to, kurczę blade, cud. Nie wystawi nigdy mnie, bo w dłoni trzymam nożyczki swe. Jeden nierozważny ruch – wtedy przetnę ją na pół.

Cisza. Cisza. Cisza.

– Powiesz coś? – pyta niemrawo Etna.

– Miałem się zamknąć – odpowiadam.

– Jednak coś powiedz, dobra?

– Co chcesz usłyszeć? – Uśmiecham się do niej. – Słowo Diabła – kładę dłoń na klacie – że posłucham twojej rady i wezmę przykład z Francesca. Zresztą – przechylam głowę – jakby się tak nad tym głębiej zastanowić, wiesz, odpowiednio zinterpretować, to jestem jednym wielkim chodzącym romantyzmem. Wprawdzie wycinanki to nie moja bajka i w dłoni nie trzymam nożyczek, tylko strzałę, ewentualnie szpikulec do lodu – mrugam do niej sugestywnie – ale, jak ty to powiedziałaś? To jest miłość.

– Świetny wiersz, Francesco – wtrąca Efesto i patrzy na mnie znacząco. – Sugerujący, że jesteś właściwym wyborem. – Akcentuje ostatnie słowo i uwalnia Etnę z uścisku. Rusza przed siebie, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Poeta, kurwa.

– Tak, super. – Niccolo unosi kciuk. – *Creepy*, ale tylko trochę. Tyle, co nic. – Śmieje się pod nosem i biegnie za bratem.

Etna wpatruje się we Francesca, jakby widziała go po raz pierwszy.

– Francesco. – Zaczyna. – Ty jesteś jakiś, jakiś wyjątkowo... – jąka się.

Pewnie szuka właściwego słowa, więc postanawiam jej pomóc, bo nie taki diabeł straszny, jak go malują. Nachylam się nad jej uchem.

– Romantyczny – rzucam krótko, a ona warczy i unosi rękę, bo zapewne sądzi, że stoi przed nią chłopiec do bicia.

– Nie radzę ci robić tego, co planujesz.

– Bo co mi zrobisz? – Podchodzi bliżej. – Dziś jest moje wesele.

Ona w ogóle mnie nie zna.

– Uważasz, że w tym dniu nożyczki są mniej ostre? Nie – odpowiadam za nią, bo się zapowietrzyła. – Moje rogi też takie nie są, więc schowaj, kotku – celowo używam tego określenia – pazurki.

– Współczuję mojej siostrze. – Drży jej broda.

– Ja też. – Przystawiam palce do skroni. – Ja też – powtarzam, gdy spieprza w podskokach. – Ja też!

Gallo wybucha śmiechem, a przestraszony Francesco tkwi w miejscu. Chyba zobaczył Diabła we własnej osobie. Wpatruje się we mnie, potem zerka na moich towarzyszy i też ucieka. Co jest z tymi ludźmi?!

Niespiesznie ruszamy za nimi, aż w końcu docieramy do ustawionych w kwadrat stołów. Pierwszą znaną mi osobą, jaką zauważam jest Alfredo La Mantide. Przejeżdża przez parkiet, a gdy nasze spojrzenia się krzyżują, nabiera prędkości, najeżdżając kołami na stopy podrygującej w tańcu kobiety. Już wczoraj odkryłem, że jest ponury i kompan do zabawy z niego marny. Liczyłem, że dziś da się poznać z innej strony, ale już spierdolił.

Przy stole starszyny siedzi ojciec, więc pędzę do niego, bo kto zrozumie syneczka, jak nie tatuś. Zachodzę go od tyłu i poklepuję w ramię. Odchyła głowę i rzuca sztućce na talerz.

– Mówiłem, że masz nie przyjeżdżać! – Zawsze to samo i jest to już nudne. Na szczęście za jakiś czas zagramy w grę wymyśloną przeze mnie. Będzie ciekawa, bo jej zasady będę znał tylko ja. Ha. – Czego chcesz? – warczy.

– Przyszedłem się poskarżyć. – Uśmiecham się pod nosem.

– Co? – Marszczy brwi.

– Nikt nie chce się bawić. Każdy ucieka. – Szarpię go za ramię. – Tato, zrób coś! Każ im się ze mną bawić! – Sięgam po cukierka. Mieszam ręką w misce, bo nie mogę znaleźć czerwonego. – Nawet truskawkowa landrynka spierdoliła. No, tatooo – jęczę przeciągle.

– Wesoło masz z tym twoim synem. – Selvaggio się śmieje.

– Wesoło to dopiero będzie, jak przejmie po nim stołek – mówi z powagą Rufo. Prawa ręka ojca.

– No, ale nie ma co się martwić na zapas – pociesza sam siebie. – W naszym świecie wszystko potrafi wywrócić się do góry nogami w jeden dzień i...

– Nie do końca się z tobą zgadzam – przerywam mu. Na twarzy Rufa maluje się niezrozumienie. Kiwam palcem. Chcę, żeby wstał, zbliżył się, bo to, co powiem, jest przeznaczone tylko dla jego uszu. – Godzina. Tyle potrzebuję, żeby piekło stało się bardziej gorące.

Ściera pot znad górnej wargi, a ja poklepuję go po ramieniu i wybucham śmiechem.

– Ale masz minę, kurwa, człowieku, ja jestem Diabłem. Nie wierz mi!

Śmieje się nerwowo i siada. Teraz będzie się zastanawiał, czy mówiłem poważnie, czy jednak nie. W końcu stwierdzi, że sprzedałem mu jakiegoś farmazona i będzie spał spokojnie.

Do czasu aż go obudzę.

Macham ręką, jednocześnie witając się i żegnając, bo uświadamiam sobie, że zapomniałem o tym



pierwszym. I co? I nic. Prawo Diabła.

Podchodzę do stołu, przy którym siedzą młodzi. Krążę tam i z powrotem, poszukując kartki ze swoim imieniem. I ach, ta moja wrażliwość! Z trudem powstrzymuję cisnące się do oczu łzy, gdy zauważam, że mam miejsce w jego najodleglejszej części. Najbliższe towarzystwo znajduje się w odstępnie pięciu krzeseł ode mnie. Pięć krzeseł. To ma być ta magiczna granica oddzielająca dobro od zła? Ech, te naiwne dusze. Piekło nie ma granic, a jeśli ma, ustalę je ja.

Patrzę na boki w poszukiwaniu Galla, który, jak się okazuje, rozgościł się na amen i nawet nie potrzebuje do tego swojego krzesła. Jemu wystarczy talerz. Wkładam palce do ust i gwizdę, żeby go przywołać. Przepycha się między tańczącymi na parkiecie ludźmi.

– Nawet smaczne żarcie – stwierdza, gdy podchodzi. – Co, któryś z nich – wskazuje na stojących za moimi plecami pancernych – chce iść to kibla? Czy mam jakieś inne arcyważne zadanie w dniu, kiedy obiecałeś mi wolne? – Wzdycha.

– Zorientuj się, gdzie siedzi Alma. Posadź nas naprzeciwko. I daj mi kluczyk od auta. Zapomniałem o kopercie.

– Wiem, gdzie jest jej miejsce. Już to sprawdziłem.

Uśmiecham się. Właśnie dlatego jest moim złotkiem. On jest w pracy zawsze.

– I załatwię, co trzeba. – Unosi kciuk. – Słowem lub czynem. – Mruga i wciska mi w rękę kluczyk, patrząc tak, jakby mnie znał. I coś w tym, kurwa, jest.

Wyciągam z kieszeni telefon i ruszam w stronę parkingu, w międzyczasie włączając nawigację, bo droga do raju jest kręta, a dokładnie tam zamierzam się udać.

– Łap ją! – krzyczy Aris, ale zanim zdążę ogarnąć, co lub kogo, to coś zderza się ze mną i pada u mych stóp.

Dusze bywają spóźnialskie, piękne i, kurwa, fajtłapowate! Robię krok w tył, bo niebo właśnie się rozstało.

– Moje kolana! Jakim trzeba być palantem, żeby...

Chwytam ją za ramiona i unoszę. Jest lekka jak piórko. Mówiłem, lekka dusza. Syczy z bólu, sapie, przeciera nerwowo nos, aż w końcu unosi wzrok. I cisza. Nie słyszę oddechu, mimo że jej klatka piersiowa unosi się w szaleńczym tempie. Patrzy na mnie, jakby jednocześnie ziścił się jej najpiękniejszy sen i najstraszniejszy koszmar.

Jestem przekonany, że moje spojrzenie wyraża to samo. Kropka w pieprzoną kropkę.

Nie chce być inaczej, gdy widzę te wielkie, brązowe i... zaćpane oczy.

Chowam ręce do kieszeni, bo jej podrygująca krtań niczym magnes chce przyciągnąć dłoń Diabła.

Nachylam się, czuję chłód jej policzka.

– Nigdy nie klękaj przed demonami – szepczę.

Kurewsko się trzęsie.

I wzorowo klęka.

## ROZDZIAŁ 3

### *Alma*

Przysięgam na wszystko, co najulubieńsze, że nigdy, przenigdy i w życiu nie będę już wyobrazać sobie tego mężczyzny z lasu. Już dawno powinnam przestać i przyrzec przed samą sobą, że koniec, *finito!* Gdybym to zrobiła, to będąc na haju nie miałabym omamów. Nie tylko wzrokowych czy słuchowych, ale też czuciowych. O tak, pod wpływem tych ostatnich poczułam, jakby dosłownie ścięto mnie z nóg, ponieważ kolana same się pode mną ugięły. Najpewniej jest to stan daleko posuniętej psychozy, bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że przed oczami zmaterializował się władca moich snów?

Odczucie ocierającego się o mój policzek szorstkiego zarostu było tak realne, a pochylająca nade mną sylwetka tak przytłaczająca, że przez moment zapomniałam, jak się oddycha. Mephisto sunął wzrokiem po mojej twarzy. Dotykał zimnym jak ostrze sztyletu spojrzeniem, a z każdą mijającą chwilą czułam, że wbijało się ono coraz głębiej w moje drżące ciało. Tak, jakby pragnęło zatopić się, zatracić w duszy, wyżłobić w niej ścieżkę i podążyć nią do szaleńczo bijącego serca. Ciął mnie. Chryste, to tak bardzo bolało. I, mimo że z ran nie sączyła się skażona destrukcyjnymi myślami, zwichrowanymi emocjami krew, poczułam się czysta. I tak cholernie wolna, lekka jak piórko. Przez chwilę moja dusza ważyła tyle, co nic. Rety, ależ to było uczucie! Na samą myśl włoski na przedramionach się unoszą i jest mi tak cudownie, do czasu aż słyszę...

Mlaskanie. Wielkie niedopowiedzenie. To niemal chrumkanie. Brak odgłosów przeżuwania. Po prostu pochłanianie.

Uchylam powieki. Na ciemnym, roztaczającym się przed oczami bezkresnym tle, migoczą przepiękne, kolorowe lampki. Rozglądam się na boki i uśmiecham do siebie, ponieważ Etna wzięła sobie do serca moją sugestię i rozwiesiła je wszędzie. Zauważam też tę świnię. Wielkiego, siedzącego na ławce dzika. Wieprza, który za moment tak zatraci się w pochłaniającej go bez reszty czynności, że zeżre nawet widelec. Obserwuję go z dołu, bo leżę. Przy jego posturze trzymany w dłoniach talerz wygląda na spodeczek. Przyglądam się mu i chyba to wyczuwa, bo nastaje cisza. Unoszę brwi, a on uśmiecha się szeroko. Mojej uwadze nie umykają, odznaczające się wyraźnie na tle reszty zębów, dwa złote siekacze.

– Dzień dobry? – pytam, mimo że chciałam stwierdzić. Nie żeby ten dzień był jakiś wybitny, ale kultura nakazuje się przywitać.

– Dla mnie na pewno – mówi bez zawahania. – Gdy to jem – postukuje sztucem o talerzyk – czuję, jakby ktoś lizał mi jaja. – Potrząsa ramionami. – Kosmos. – Nawija makaron na widelec i otwiera usta.

– Żrę – poprawiam go, bo powiedział: „Jem”, a przecież żre.

– Ja jem. Nażreć to można się strachu. – Uśmiecha się tajemniczo. – Próboweś go kiedyś? Wiesz jak smakuje? – Nie czeka na odpowiedź. – Wyglądam, jakbym właśnie przeżywał najlepszy orgazm w życiu? – On. Wylizuje. Talerz.

– Wyglądasz groźnie – przyznaję szczerze i podnoszę się z ziemi. Masuję tył głowy, przy okazji wyciągając z włosów źdźbła trawy.

– To tylko pozory. A one czasem mylą. Człowiek, który obserwuje falę i dokonuje dekapitacji tylko w niedzielę, nie może być groźny. – Drapie się widelcem po czole. – Cipka taka. – Wzrusza ramionami.

– Nie mów tak o sobie. Jesteś super – rzucam pokrzepiająco. – I tak, masz rację. Surferzy nie są straszni. Musisz po prostu znaleźć więcej czasu na swoją pasję. Jak jest duża fala, to wtedy dekapitujesz, tak? – zastanawiam się głośno. – Czyli co robisz? Co to oznacza w slangu surferów? Czym jest ta cała dekapitacja?

Wybuchu śmiechem.

– To odcięcie głowy od tułowia – mówi ot tak. Otwieram usta zszokowana. – Mózg w świątym łbie emituje niezwykle silną falę energii. Gdybym był surferem – mruga – z całą pewnością wzniosłbym się na tej śmiertelnej fali. I dzięki. Wiesz, za komplement, że jestem zajebisty. Przebywanie w moim

towarzystwie będzie dla ciebie wielką radością.

Wykluczone, nie zamierzam spędzać czasu z tym „surferem”. Najchętniej już bym odeszła, ale jestem rozdarta, bo nie chcę, żeby odczuł satysfakcję, wiedząc, że mam pietra. To, co powiedział, nieco mnie zaniepokoiło. No dobra, bardzo. A ponieważ czytałam kiedyś, że świry karmią się przerażeniem, postanawiam go nie okazywać. Co jak co, ale apetyt to ten gość ma. Siadam na ławce, niechcący ocierając się o niego ramieniem. Odskakuje.

– Twoje ramię parzy. Nie rób tego – burczy z jawną pretensją, a ja dotykam swojej ręki. Jest lodowata.

– Ja... Ja... – dukam. To by było na tyle w kwestii panowania nad strachem. – Muszę już iść, bo i tak jestem spóźniona. Potem cię znajdę i jeszcze porozmawiamy. – Mijam się z prawdą. – Jak masz na imię?

– Możesz mówić na mnie złotko. – Palcami unosi wargę, żeby pokazać błyszczące uzębienie. – Lub Gallo. Surfer też jest w deseczce. – Śmieje się, coraz bardziej się ode mnie odsuwając.

– Zanim zemdlałam, zderzyłam się z kimś. To na ciebie wpadłam?

– Nie.

– A widziałeś tu może kogoś takiego... – Stukam palcem w brodę, szukając odpowiednich słów.

– Kogoś takiego...

– Wysłów się w końcu. – Opiera dłonie na udach. Wydaje mi się, że jest coraz mniej rozmowny.

– Mam na myśli człowieka, ale to nie jest takie do końca oczywiste.

Gallo wytrzeszcza oczy. Zapewne sądzi, że postradałam zmysły.

– Raczej taką – szukam odpowiedniego słowa – przemykającą tędy kulę ognia lub innej nieokreślonej energii?

Jeszcze większy wytrzeszcz.

– Kogoś, kto patrzy na ciebie i masz wrażenie, że wyssie twoją duszę, ściśnie ją w wielkiej łapie, a ty rozpadniesz się na kawałki. – Przecieram ramię, bo coś kapnęło na mój sweter. – To jak, widziałeś?

Gallo wstaje i unosi wzrok. Patrzy na coś znajdującego się za mną. Chcę sprawdzić, co go tak zaciekawilo, ale na moim karku zaciska się czyjaś dłoń.

– Jeśli nie przestaniesz ćpać, to zobaczysz takiego kogoś, a twoje wyobrazenie się urzeczywistni.

– Tuż przy uchu słyszę znany mi głos.

Cisza. Kolejna kropla spada na moje ramię.

– On tu jest, tak? – szepczę, patrząc na schylającego się po talerz Galla. Każdy mój mięsień napięty jest do granic możliwości, a serce wali szaleńczo.

– To ja pójdę po dokładkę – oznajmia Gallo i przybliży twarz do mojej. – Następnym razem, gdy jakiś świr opowiada ci o dekapitacji, którą wykonuje w niedzielę, a akurat jest ten dzień, to znak, że masz spierdalać. Gdybyś to zrobiła, nie byłoby cię tu i nie przeżywałabyś tego, co przechodzisz teraz. Nie wiem, zawału, czy co tam teraz skuteczniejsz. – Śmieje się i odchodzi.

Też mam taki zamiar. Próbuję wstać, ale jest to niemożliwe, bo Mephisto kładzie ręce na moich ramionach, jakby sugerując, że mam nie ruszać się z miejsca.

– Zostań – mówi i okrąża ławkę, żeby po chwili na niej usiąść. On w przeciwieństwie do Galla nie dba o zachowanie odpowiedniej odległości. Za nic ma czyjaś przestrzeń osobistą. Kładzie rękę na oparciu i krzyżuje w kostkach długie nogi. Drugą dłonią roztrzepuje czarne, mokre włosy. Po wygolonych bokach głowy spływają kropelki wody. Jedna sunie leniwie po skroni, policzku i zatrzymuje się na linii szczęki. Chcę ją zlizać. To znaczy zetrzeć. Chusteczką higieniczną. Bezkontaktowo.

Staram się nie okazywać, jak jego obecność na mnie działa, nie gapić się, nie rozdziawiać ust i ich nie oblizywać, mimo odczucia, że są suche jak pieprz. To właśnie ta chwila, kiedy mam okazję przyjrzeć mu się z bliska, a ja, zamiast z niej skorzystać, skupiam uwagę na spływających kroplach, nie będąc w stanie oderwać od nich wzroku. Pragnę przesunąć opuszkami po tym szorstkim policzku, wskazać im drogę i kontynuować obserwowanie tej fascynującej wędrówki.

– Powiedziałem, żebyś została – mówi. Unoszę wzrok, a on wychwytuje moje spojrzenie. – Nie, żebyś przestała oddychać.

Cisza. A ja rzeczywiście nie oddycham. I nie zacznę, jeśli w tej chwili nie przestanie się we mnie

wpatrywać. Chryste, że też nie zapamiętałam należycie jego oczu! Co za niedopatrzenie! Wyglądają, jakby były obrysowane czarną kredką, totalnie usmolone, zapierające ten przekłęty dech.

– Mówią na mnie Diabeł...

– A na mnie Alma. Miło mi – wchodzę mu w słowo. Chwytam go za rękę i nią potrząsam. Energicznie. Jakby totalnie mi odwaliło. On za to uśmiecha się szeroko, a w jego oczach dostrzegam niezdefiniowane szaleństwo. Może po prostu odbijam się w nich ja.

Mephisto unosi do tej pory niedbale zarzuconą na oparciu rękę i wsuwa palce w moje splątane loki, chyba chcąc je rozczesać. Co jakiś czas dotyka skóry mojej głowy, a wtedy sama nie wiem, czy mam ochotę ziewnąć i zamknąć oczy, bo jest mi tak błogo, czy pocierać ramiona, na których pojawia się zdradziecka gęsia skórka. Dość tego!

– Co robisz? – wyduszam, krzywiąc się, bo czuję, że wrywa mi pojedyncze włosy. – Nie rób tak, bo wtedy czuję... – W ostatniej chwili gryzę się w język. – Bo wtedy czuję...

– Cię wszędzie – dopowiada, a ja zszokowana otwieram usta, ale tylko na moment.

– Wcale, że nieprawda!

– Diabła nie oszukasz. Śliczna buzia nie wystarczy, gdy w głowie siano. – Wyjmuje z moich włosów suchą trawę i pstryka palcami, odrzucając ją, jakby była jakimś petem. A kiedy myślę, że nie powie już nic równie niedorzecznego, on wypala: – Nie okłamuj mnie, bo strzelę do ciebie z łuku. – Rozsiada się wygodnie i przechyla głowę. – Na pocieszenie powiem ci, że tylko raz. – Uśmiecha się lekko. – Bo nie chybiam.

Przełykam głośno ślinę.

– Myślałam, że jesteś normalny.

– Skąd taki wniosek? – Rozpościera ramiona na oparciu i odchyła głowę do tyłu. Dopiero teraz zauważam, że za naszymi plecami stoją dwaj, na bank podsłuchujący, faceci. Mephisto spędza chwilę w takiej pozycji. Jego krtań podryguje. Aż w końcu się prostuje i zerka na mnie, mrużąc oczy. – Takie plotki o mnie krążą?

– Nie dopowiadaj sobie – odpowiadam rzeczowo. – Nikt o tobie nawet nie rozmawia.

– A wiesz, dlaczego?

– Bo jesteś tak pospolity, że trudno cię zapamiętać? – Uśmiecham się podstępnie, a on wybucha śmiechem.

– A nie dlatego, że jestem kulą ognia lub innej nieokreślonej energii? A może po prostu boją się wywoływać diabła z piekła? Nie wiadomo, duszyczko, co w nijakich duszach gra. – Rozkłada ręce jak dyrygent i zaczyna nimi wymachiwać w takt rozbrzmiewającej z głośników muzyki. On. Jest. Dziwny. – Gdybym nie był Erosem, mógłbym być Apollem. To ten typ z lirą i łukiem. Muzyka i krwawy mord. Połączenie doskonałe.

– Nie jesteś żadnym Erosem. To bóg miłości. Ktoś, kto sprawia, że pływa się w oceanie namiętności. – Rety. Jestem tak samo szurnięta jak on. – Ty jesteś Mephistem. Diabłem kojarzonym z bólem trawionych w płomieniach dusz. – Przewracam oczami.

Przestaje dyrygować. Rozpina mankiet jednego z rękawów koszuli i podwija go, ukazując wydziarane przedramię.

– Co widzisz?

– Na ręce masz wytatuowane jakieś piórka. – Wzruszam niedbale ramionami.

– To nie są jakieś piórka. – Krzywi się i patrzy na mnie tak, jakbym go obraziła. – Co z tobą, duszyczko? To skrzydło. – Szczerzy się. – Zamknij oczy i pod żadnym pozorem ich nie otwieraj. – Potrząsa barkami.

Jest nakręcony. Zachowuje się tak, jakby właśnie proponował mi najlepszą zabawę na świecie. Jego ekscytacja jest zaraźliwa. I chociaż nie mam pięciu lat, do cholery, chcę się z nim bawić! Zapomnieć o swoim nieźrównoważeniu. Tej przekłętej niestabilności. Nie czuć bólu.

– Dobrze, zamknę. – Potakuję z zapałem.

Usta Mephista rozciągają się w prawdziwie chłopcym uśmiechu. Takim, w którym mogłabym się zakochać. W międzyczasie rozplývając się pod jego ciepłym spojrzeniem.

– Odwróćcie się. – Zerka za siebie. – Zaufaj mi – dodaje, więc zamykam oczy.

I czekam. Nie mam pojęcia, na co. Siedzę napięta jak struna. Gdyby Mephisto rzeczywiście był Apollem, mógłby teraz na mnie zagrać. Zamknięcie oczu wyostreza inne zmysły. Słyszę szuranie materiału i jest mi coraz cieplej. Zbliża się. Chcę przełknąć ślinę, ale to niewykonalne. Mam sucho w ustach, a powód tego stanu sunie delikatnie po mojej nodze. Czuję lekkie jak piórko muśnięcia palców i wstrzymuję oddech.

– Jesteś napięta jak cięciwa mojego łuku – szepcze mi do ucha. – Łuku Erosa.

„Oddychaj, oddychaj”, powtarzam sobie, gdy Mephisto dociera do uda i kładzie dłoń na osłaniającym go materiale sukienki. Jest to tak ciepły i subtelny dotyk, że odnoszę wrażenie, jakby zostało ono objęte miękkimi, a jednocześnie na tyle silnymi skrzydłami, że gdyby nadeszła konieczność, ochroniłyby mnie nawet przed samą sobą. Nie czuję bólu. Odczuwam narastające podniecenie. I sama nie wiem już, czy mam się skupić na oddychaniu, czy na tym, co Mephisto robi z moim ciałem, zaledwie lekko je muskając. I cofam to, co powiedziałam. On jest Erosem.

Jego usta ponownie przy moim uchu. Dłoń pieszcząca moją nogę. I ten cudownie seksowny odgłos mruczenia. Gdyby w tej chwili powiedział: „Skacz, na dole jest raj”, skoczyłabym. Zrobiłabym to.

On jednak nic nie mówi. Zabiera rękę i znika całe ciepło, które przed momentem mi ofiarował. To szaleństwo. To, że jestem tu z nim, że wdałam się w tę dziwną rozmowę i nie czuję skrępowania, gdy mnie dotyka. Być może zbyt wiele razy wyobrażałam sobie te wielkie, obejmujące mnie dłonie, a w wyobraźni wcale nie były one takie niewinne, nie sunęły po materiale sukienki. Nie były grzeczne.

Uchylam powieki, mimo że uprzedzał, żeby pod żadnym pozorem tego nie robiła. Gdybym posłuchała, nie zobaczyłabym wyrachowanego uśmiechu, mrocznej głębi nieludzkiego spojrzenia. Mam wrażenie, że w tej krótkiej chwili, gdy nie czułam już jego dotyku, usiadł przy mnie ktoś zupełnie inny, że skuteczniła się jakaś niezarejestrowana przez świadomość podmiana. Jestem rozbita. W głowie zaczynają piętrzyć się sprzeczne myśli i jest ich tak dużo. Zbyt wiele. Puls niebezpiecznie przyspiesza, więc skubię skórę przy paznokciu, licząc, że uszkodzę ją na tyle, by poczuć ulgę. Chcę czuć ból.

Mephisto rozpina drugi mankiet i podwija rękaw.

– Co widzisz?

– Płomienie. Ogień.

– Zamknij oczy i...

– I pod żadnym pozorem ich nie otwieraj. Wiem, wiem. – Potakuję energicznie, chcąc go pospieszyć.

– Nie. – Śmieje się diabolicznie. – I nie piszcz.

Patrzę na niego z powątpiewaniem, mocniej wbijam paznokcie w skórę i zamykam oczy. Chcę już stąd iść. Prosto do łazienki. W wyobraźni już zmierzam w jej kierunku, uchylam drzwi, ale nie zdążę przejść przez próg, bo czuję mocne szarpnięcie. Dosłownie przejeżdżam tyłkiem po ławce, gdy Mephisto bez żadnego uprzedzenia ponownie zaciska dłoń na moim udzie i przyciąga mnie bliżej siebie. Odruchowo otwieram oczy i piszczę zaskoczona tym gwałtownym ruchem, a on poluzowuje uścisk, zatyka mi usta ręką i zaczyna się śmiać.

– I, co ważne, bo zapomniałem dodać – syczy wprost do mojego ucha. – Nie ufaj mi.

Coś słyszalnego w tonie głosu Diabła każe mi sądzić, że rzeczywiście nie powinnam, a jednocześnie, gdy jego usta lądują na mojej szyi, zasysając skórę, czuję, jakby każde zakończenie nerwowe zostało spętane, wzięte za zakładnika tego szaleńca. Dłoń Mephista ponownie ląduje na mojej nodze. Śmiało wsuwa ją pod sukienkę, a gdy mocno zaciskam uda, znów się śmieje. Przesuwa palcami wzdłuż łączenia moich ud, drapie jak dziki kot. Z całych sił staram się, żeby nie wydać żadnego dźwięku, nie rozłożyć tych pieprzonych nóg, bo to tak przyjemnie boli, jest cudowną obietnicą spełnienia najskrytszych pragnień. Gdyby szepnęła teraz: „Skacz, na dole jest piekło”, skoczyłabym. Zrobiłabym to.

– Wiesz, jak w moim świecie nazywa się to, co robię? – Przejeżdża językiem po mojej szyi, miejscu, które przed momentem zasysał. I nie wytrzymuję. Drżący oddech opuszcza usta. Nie zaciskam już ud. Czekam, gotowa na intensywne doznania, ale one nie nadchodzą. – Kuszenie – odpowiada sam sobie i śmieje się cicho, a odgłos ten przypomina chichot zadowolonego z siebie diabła. Zabiera rękę, gryzie mnie w płatek ucha i...tyle. – Rozumiesz, co chcę ci przekazać?

– Co? – Mrugam szybko, starając się powrócić do rzeczywistości. Najwyższa pora, do cholery!  
– Już nic mi nie zrobisz?

– Nie pytaj mnie o takie rzeczy! – wrzeszczy. – Pół godziny w moim towarzystwie i kusisz jak najpodlejsza psotnica. – Dźga mnie palcem w ramię, jakbym była jego starym kumplem. – Ucz się od najlepszych, ale trochę wolniej. – Rozsiada się wygodnie i rozkłada ręce na oparciu. Jest z siebie wyraźnie zadowolony, a ja sobą totalnie rozczarowana. – To jak, rozumiałaś, co chciałem ci przekazać czy nie?

– Zrozumiałam jedynie, że jestem pierdolnięta! Dałam się obmacać na, na – jąkam się – na weselu mojej siostry! W każdej chwili ktoś mógł tu przyjść. – Zapowietrzam się. – I jeszcze ci, o, oni, mimo że się odwrócili. – Zerkam za siebie, a jeden z gości uśmiecha się do mnie z góry. – Kurwa, nawet nie są odwróceny. – Zrywam się z ławki, a Mephisto się śmieje. – Przecież mówiłeś im, żeby to zrobili. Co za kanał – jęczę zażenowana.

– Tak, gdy rządził Eros. – Macha do mnie ręką, na której wytatuowane ma te całe piórka. – W momencie, kiedy do głosu zostaje dopuszczony Mephisto, zasada jest tylko jedna, a brzmi ona: „Brak zasad”. – Uśmiecha się słodko i trzepocze tymi swoimi usmolonymi rzęsami. – Który z nich podoba ci się bardziej?

Zaskakuje mnie tym pytaniem. Każdy z nich, o ile można tak powiedzieć i stracić na drugi plan jawne rozdwojenie jaźni mojego rozmówcy, dał mi to, czego w danej chwili potrzebowałam.

– Nie wiem. Nie znam ich. – Przy ostatnim słowie robię cudzysłów palcami. – Czego ty w ogóle ode mnie chcesz?

– Erosa i Mephista łączy to, że obaj pożądamy tego, co piękne i dobre. – Patrzy prosto w moje oczy, ale równie dobrze mógłby tego nie robić, bo jego spojrzenie nic nie wyraża. – A skoro tak bardzo tego pragnę, oznacza to, że tego nie posiadają. Pragnienie to jest tak silne, że aż boli. – Wzdryga się, a po moim ciele też przechodzi dreszcz. – Na tym podobieństwa między nimi się kończą. – Zapina mankiety rękawów. – Gdyby Eros zdobył to, czego pragnie, dbałby, żeby na zawsze takie pozostało.

– A Mephisto?

– Dowiesz się w swoim czasie. – Kręci głową, rozciągając mięśnie. – Poczujesz to i usłyszysz. To tąpnięcie.

– Jakie znów tąpnięcie? – sapię.

– Co ci będę tłumaczył. – Uśmiecha się pobłaźliwie. – Gdy to nastąpi, na pewno tego nie przeoczysz. Nie bój nic, a póki co – wskazuje ręką na bawiących się w oddali ludzi i nachyla nade mną, przybliżając usta do mojego ucha – hulaj dusza, piekła nie ma.

I rusza przed siebie, a za nim tych dwóch podglądaczy. Nie tak wyobrażałam sobie nasze kolejne spotkanie, bo przyznaję, wizualizowałam je w głowie, podobnie jak inne rzeczy. Mój mózg lubi myśleć. I w tym tkwi problem. Moje największe zmartwienie. Czasem pragnę go po prostu wyłączyć, co nie jest równoznaczne z tym, że chciałabym umrzeć. Ot, taki paradoks. Jak cała moja osoba. W wyobraźni człowiek z lasu, Yeti, bo tak określałam go, gdy jeszcze nie znałam jego imienia, spełniał to, co mi obiecał, a nie obmacywał na ławeczce, siejąc w mojej głowie zamęt. Wprawdzie robił to i wiele innych rzeczy, ale w innych miejscach i okolicznościach. Nie na ławce. No właśnie. Co jest ze mną nie tak?!

Wtedy, w lesie, gdy wiedziałam już, że jestem bezpieczna i do mojej świadomości dotarło, na co zgodziłam się, przykładając palec do tego przeklętego papierka, postanowiłam zrobić wszystko, by nie dopuścić do konieczności spełnienia obietnicy. Zaświadczenie od nieprzekupnego ginekologa miało być moją tarczą. Jednak, kiedy okazało się, że ojciec obiecał moją rękę staremu Bommarito, któremu nie przeszkadzało, że nie jestem dziewicą, modliłam się skrycie, żeby pojawił się on. Mephisto. Tak się jednak nie stało. Miałam fart, że don Mauricio miał wrogów, którzy go odstrzelili. W przeciwnym razie teraz spędzałabym czas, zabawiając starca, a nie, wróć, w ogóle by mnie tu nie było, bo leżałabym kilka metrów pod ziemią. Zabiłabym się. Przyrzekam, że bym to zrobiła!

Aż w końcu nadszedł ten wielokrotnie obmyślany w mojej głowie dzień i oto jest, Diabeł jak malowany! Ruszam przed siebie z zamiarem dogonienia go, bo nie uważam, że wyjaśniliśmy sobie już wszystko. Jasne aż nadto jest tylko to, jak reaguje na niego moje ciało. Nie poprosił mnie o rękę, nie powiedział nic, co świadczyłoby o tym, że chce, żeby danemu w chatce słowu stało się zadość. Tylko

czekać, aż ojciec znajdzie mi kolejnego „wymarzonego” kandydata. Po moim trupie!

– Poczekaj! – wołam za Mephistem, ale nie raczy się nawet odwrócić. – Aaaa, na pomoc! Zostawcie mnie! – wydzieram się, udając, że zostałam napadnięta. Nadal nic. Przyspieszam, zrównuję się z nim i łapię go za ramię, sapiąc. Przystaje i patrzy na mnie nieobecny wzrokiem. – Nie słyszałeś, że wołałam o pomoc?

– Zamyśliłem się.

– Co? – Nie dowierzam. – Oni też? – Wskazuję na dwóch, stojących za jego plecami, osiłków. Mephisto ogląda się za siebie.

– Oni nie są od chronienia twojego tyłka. A wręcz mają trzymać się od niego z daleka. – Rusza dalej, ale nie puszczam jego ramienia. Nie dam się spławić.

– Pamiętasz, że masz ten papierek z moim odciskiem?

– Taa. – Wyszczorza zęby w uśmiechu.

– I? – Nie odpuszczam. Mephisto znów przystaje, wzdycha, ale nie odpowiada. – Bo wiesz, jest wielu chętnych, którzy chcą, żebym została ich żoną – zmyślam, a on wybuchu śmiechem. Przykłada dłoń do czoła imitując daszek i rozgląda się dookoła.

– Chętnych jest w kurwę. Cała kolejka seniorów. – Przeciera twarz.

– Ty nie jesteś normalny – stwierdzam z rezygnacją, a on tak bardzo ściąga brwi, że pojawia się między nimi pionowa zmarszczka.

– Ale jestem – syczy. – Prawdziwy. Nie wymyślony. Skończyłem.

Tego argumentu nie podważę. Trudno. Niech sobie idzie i tak już za dużo czasu na niego straciłam. Najpierw poświęcałam mu go w wyobraźni, a dziś w rzeczywistości. I to nic, że były to najciekawsze chwile, jakie kiedykolwiek przeżyłam. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Już z oddali widzę siedzącego przy stole Francesca. Ciekawe, czy poinformował już wszystkich, że jest moim chłopakiem, a jeśli tak, to jakie wrażenie wywarł. Chciałam odpowiednio poprzeżywać to, że w gruncie rzeczy wczoraj ze mną zerwał, ale nie miałam jeszcze takiej okazji, bo w magazynie nie ma poduszek, w które mogłabym się wypląkać.

Nie potrafię stwierdzić, czy film urwał mi się przed opróżnieniem ostatniej butelki wina, czy po, ale nie będę tego roztrząsać, skoro efekt jest ten sam. Jedno jest pewne. Nastąpiło to, zanim zdążyłam nastawić budzik. Gdyby nie natrętnie przedzierające się do świadomości spazmatyczne krzyki Basimy i promienie będącego już wysoko na niebie słońca, pewnie spałabym do tej pory. Po przebudzeniu wiedziałam już, że zapomniałam o czymś bardzo ważnym, a gdy dotarło do mnie, o czym, poczułam, jakbym oberwała patelnią w głowę. Najpewniej właśnie z tego powodu nie mogłam zwlec się z materaca. Z twarzą przyciśniętą do stęchłego materiału, szarpałam Zitę za ramię, na co ona jęknęła przeciągle, uniosła pięść i wydusiła: „Siła to ja”. Niedługo potem wciągnęłam białą kreskę i sprintem pobiegłam do domu. Przez moment żałowałam, że dałam taksówkarzowi całą swoją kasę, a po tę, którą Zita podsunęła mi za sprzedane działki, nie byłam w stanie wyciągnąć ręki. To nie w moim stylu. Cała ja. Sprzecznosc.

Przeciskam się między tańczącymi. Dostrzegam szalejące na parkiecie siostry, a także ojca, który patrzy mi prosto w oczy i wykonuje gest podrzynania gardła. Podchodzę do Francesca. Pewne jest, że moja obecność lub jej brak nie stanowi dla nikogo różnicy. Nawet on, pochłonięty składaniem serwetki, nie zauważa, że usiadłam obok. Krzesła naprzeciwko zajmują Gallo, moja niemogąca znaleźć drugiej połówki i tracąca wiarę w miłość kuzynka Patricia oraz Mephisto, który żarliwie z nią dyskutuje, potrząsając trzymanym w dłoni pudełkiem zapalek.

– Cześć, Francesco. – Poklepuję go po ramieniu, a on podskakuje w przestraszu.

– A, to tylko ty. – W jego głosie słyszalna jest ulga. – Gdzie ty, kurczę blade, byłaś?! – unosi się.

Nabieram powietrza i zamykam oczy, bo wymyślanie skomplikowanego, a jednocześnie wiarygodnie brzmiącego kłamstwa, gdy są otwarte nigdy nie przychodzi mi łatwo. Zaczynam się tłumaczyć:

– Najpierw zaszwankował zamek w drzwiach mojego pokoju, ale poradziłam sobie, rozkręcając go z pomocą śrubokręta. Byłam tak roztrzęsiona, że bałam się zejść po schodach. Bardzo drżały mi nogi, więc postanowiłam skorzystać z windy ojca i to był błąd. Wielki. Niedługo potem zablokował się mechanizm. W sensie winda stanęła. To znaczy nie było prądu, a ona jest zasilana elektrycznie. I tak

tkwiłam w niej wiele godzin, dopóki nie wznowili dostawy energii. Dobrze, że nie zabrakło mi tlenu.

Uchylam powieki i w tej samej chwili mam ochotę zacisnąć je ponownie, bo o ile wcześniej nikt nawet nie zauważył, że przybyłam, tak teraz spojrzenia wszystkich są skierowane na mnie. Nie licząc Diabła, który oparł czoło o blat stołu.

– Hej. – Macham do ogółu, ale gest ten odwzajemnia tylko Etna. Pewnie jest ciekawa, co z Basimą, ale nietrudno dojść do wniosku, że nie ma tu warunków do rozmowy, skoro opowiada się coś jednej osobie, a słuchają wszyscy.

– Muszę się zaraz zbierać. – Francesco patrzy na zegarek. – Średnio czuję się w towarzystwie tych osób ze stowarzyszenia. Nie mamy wspólnych tematów, a gdy chcę włączyć się w rozmowę, to przestają rozmawiać i żartują sobie, że jeśli poznam tajemnice zawodu, to będą musieli mnie zabić. – Śmieje się nerwowo.

– Co? Jakiego stowarzyszenia? – Wytrzeszczam oczy.

– No, stowarzyszenia ślusarzy włoskich, a niby jakiego? Ten ze złotymi zębami groził mi śmiercią. – Wskazuje łyżką na Galla. – Powiedział, że potrafi otworzyć wszystko, a jego kolega, ten z obłędem w oczach – zerka na Mephista – wszystkich. Co to niby znaczy? – szepcze. – Ja układam książki na półkach, nie jestem żadną konkurencją. Dokończę składanie kwiatka i idę.

– A zdążyłeś powiedzieć komuś, że jesteś moim chłopakiem? – pytam.

Francesco wydaje się zdziwiony.

– Po pierwsze już nim nie jestem, a po drugie, kurczę blade, wspominałem przed momentem, że nikt nie chce ze mną rozmawiać. Słuchaj uchem, a nie brzuchem. I fuj – krzywi się – nie obgryzaj paznokci. Wiesz, ile jest na nich bakterii? A! – wykrzykuje. – Prawie zapomniałem! Znalazłem taki sam łuk! – Kiedy słowa te opuszczają jego usta, wyglądający na znudzonego Mephisto unosi głowę, a Francesco wyciąga komórkę. – Kropka w kropkę. Identyczny. Tej samej firmy. Sprzęt dla bogaczy – sapie. – To już wolę sobie zrobić z kijka i sznurka – mówi jakby do siebie i wystawia rękę, w której trzyma telefon.

– Żaden z tych łuków nie jest taki sam – stwierdza Diabeł.

– No przecież widzę, że są – obstaje przy swoim Francesco i poprawia okulary.

– Są unikatowe. Tak jak bliźniacy. Niby tacy sami, a jednak różni.

– Ciekawe, jak robi się taki sznurek. – Stuka palcem w ekran.

– Czort wie. – Mephisto wzrusza ramionami i przykłada palec do ust. – Nie mów do mnie już nic więcej. – Wyjmuje kilka zapalek i zaczyna je układać.

Nagle muzyka cichnie, a przy stole robi się zamieszanie. Słychać odgłos brzęczących monet. Do Etny ustawia się kolejka mężczyzn, chcących z nią zatańczyć. Stojący przy Efeście szpakowaty mężczyzna, który wydaje się starszą wersją Diabła, uderza łyżeczką w kieliszek, a siostra chowa twarz w dłoniach.

– W mojej rodzinie śluby są kameralne – zaczyna – ale to impreza rodziny Selvaggio, więc żeby tradycji stało się zadość, panowie, sakiewki w dłoń! Za każdy taniec z panną młodą, jej mąż będzie pobierał opłatę. Ich pomyślność finansowa jest w waszych rękach!

– Debilizm – wrywa mi się, zanim zdążę ugryźć się w język. Znowu spojrzenia wszystkich skierowane są na mnie.

– Co powiedziałaś? – Facet zadaje pytanie, a Etna posyła mi jakieś sygnały wzrokowe i kręci głową.

Wstaję, mimo że wołałabym schować się pod stół.

– Sądzę, że ten zwyczaj powinien zostać zniesiony. – Macham do słuchaczy, żeby rozładować atmosferę, ale ta zdaje się zagęszczać. Jedyne Mephisto uśmiecha się pod nosem, układając tę swoją piramidkę. – Mówić dalej? – Nikt nie odpowiada, więc kontynuuję: – Moim zdaniem należy tańczyć tylko z osobami, z którymi ma się ochotę. Wiadomo, na weselu wypada być miłym, więc czasem można wyrazić zgodę na pląsy z kimś, kto w jakimś sensie obrzydza. – Słyszę znany mi już chichot Diabła. – Ale – unoszę palec – to jakieś niepojęte, żeby mąż pobierał opłatę za to, że ktoś obmaca jego żonę. Nie sugeruję – rozglądam się dookoła – że macie zamiar obłapiać moją siostrę, ale wiecie, o co mi chodzi. Podczas wymuszonej zabawy jest się sztywnym jak kijek, a na twarzy gości nieszczerzy uśmiech, ale



czego oczekiwać, skoro czując niechcianą rękę na ramieniu lub biodrze, ma się ochotę ją złamać w kilku miejscach. Ja w każdym razie tak mam. – Cisza. – Yyy, to miłego tańczenia, czy coś. – Siadam.

– Ta dziewczyna jest... – Gość chrząka, jakby chciał wydusić z siebie kolejne słowo, ale to nie następuje. Nie mam pojęcia, dlaczego jego wzrok wlepiony jest w Diabła. Drapię skórę przy paznokciu, bo atmosfera zrobiła się jakaś ciężka. Etna przygryza wargę, więc zaczynam żałować szczerości. Co mi strzeliło do głowy?! Gdy nie ryczę po kątach, to paplam, co mi ślina na język przyniesie. Jestem totalnie beznadziejna.

– Tak, tato. – Mephisto stwierdza tonem bez wyrazu i unosi głowę patrząc na, jak się okazało, ojca. – Ta dziewczyna jest... – nie kończy, tylko zwraca się do mnie: – Zamknij na moment oczy.

Robię to zanim do świadomości dojdzie, jakie to głupie, więc szybko je otwieram. Mimo to jest już za późno. Cokolwiek bezgłośnie chciał przekazać ojcu, już to zrobił.

– I totalnie wyjątkowa – dodaje i się szczyrzy.

– Po moim trupie – odpowiada stanowczym tonem mężczyzna.

– Gwarantuję, że przed. – Diabeł rzuca na stół pudełko z zapalkami. – A teraz już cichutko. Możesz kontynuować o tym zwyczajnie.

Facet gotuje się z wściekłości, ale robi dobrą minę do złej gry. Niby się uśmiecha, ale gołym okiem widać, ile wysiłku go to kosztuje.

– Kontynuując... – Pokasłuje. – Jeśli dłonie partnerów panny młodej – patrzy na mnie znacząco – będą niegrzeczne, pan młody będzie uderzał w nie drewnianą łyżką. Każde klepięcie to konieczność włożenia kolejnej monety do sakiewki pary młodej.

– Czyli im bardziej obmacana, tym bardziej zarobiona. – Zasłaniam usta. Naprawdę nie chciałam tego powiedzieć.

– Ja jebię. – Gallo krztusi się makaronem, wypluwając go na talerz. – Opanuj buźkę. Żarcia szkoda. Dlaczego nic nie jesz? – Sięga po paszteciki i wpycha je do gęby.

– Almo, przestań natychmiast! – krzyczy Etna. Wygląda, jakby miała się rozpląkać.

Muzyka rozbrzmiewa, a pierwszy taneczny partner ciągnie siostrę na parkiet. Efesto podąża za nimi, a Diabeł uderza pięściami w blat. Podskakuje nie tylko ułożona na obrusie zastawa, ale każdy siedzący przy stole człowiek, włącznie ze mną.

– W końcu, kurwa, bo nudą wiało! – wrzeszczy Mephisto. Podbiega do niego Niccolo i przybija mu piątkę. Zupełnie nie wiem, o co chodzi i co się dzieje.

– Widziałeś minę Efesta, gdy Alma opowiadała o tym macanku? – emocjonuje się Nicco. Jest nakręcony. – Almo, z tobą piekło będzie gorętsze! Aż mam ciary, gdy pomyślę o tych wszystkich cudownych kłopotach w waszej piekielnej rodzinie!

Mephisto szepcze mu coś do ucha.

– Sorry. – Niccolo unosi ręce. – Myślałem, że wie.

– A o czym? – pytam, a Francesco szturcha mnie w ramię.

– Chyba się posikałem – oznajmia z rozbrajającą szczerością. – Zaraz wracam.

– Zakład o kilo śniegu – mówi Nicco. – Ja obstawiam, że Efesto wytrzyma cztery piosenki, zanim komuś przypierdoli. W końcu to tylko taka zabawa. – Wzrusza ramionami.

– Szkoda, że nie znasz swojego brata – stwierdza beznamiętnie Diabeł. – Skoro ja wytrzymałbym zero – robi kółko z palców – to on da radę jedną. Prosta matematyka. – Mruga do mnie. I rety, jeden szybki ruch powieką, a mnie trzęsą się nogi. To szalone. Nienormalne jak on. I... i jak ja. Jezu.

Rozbrzmiewają gwizdy. Robi się zamieszanie. Etna wrzeszczy. Mój ojciec ponownie popełnia samobójstwo na niby, podrzynając sobie gardło, Mephisto macha łbem, jakby był na koncercie rockowym, Gallo oblizuje uświnione tłuszczem palce, Nicco jęczy: „Przegrałem, ale i tak kocham kłopoty”, a ja po prostu zamykam oczy, bo za chwilę będę miazgą. Cisza. I jeszcze większy hałas. I jakie to szczęście, że opatrność czuwa nad Franceskiem, że ma nieodporny na stres pęcherz! Jego krzesło jest połamane, a na podłodze leży zakrwawiony gość. Przytykam dłonie do ust i wielokrotnie mrugam, ale to na nic, obraz się nie zmienia.

Podbiega do mnie Etna i potrząsa mną wściekle.

– Ty naiwna idiotko! Myślałaś, że możesz opowiadać takie rzeczy bez konsekwencji?! –

wrzeszczy.

Gallo zrywa się z miejsca, rzucając serwetką o stół. Diabeł się śmieje i kładzie rękę na jego ramieniu, nakazując mu usiąść z powrotem.

– Da sobie radę – rzuca krótko. – Efesto, świetna impreza! – Unosi pięść i odwraca się w stronę Niccola.

Etna nie przestaje mnie szarpać. Chowam twarz w dłoniach, próbując się uspokoić.

– Przepraszam – wyduszam. – Myślałam, że nie chcesz w tym uczestniczyć. Bardzo mi przykro, że źle cię odczytałam.

– Nie myśl, to nie jest twoja mocna strona. – Patrzy na mnie ze złością, a Gallo opiera brodę na złączonych dłoniach i przygląda mi się intensywnie. Nie je. Nawet on stracił apetyt. – Wiesz, że Efesto pobił swojego kuzyna?

Zerkam pod nogi. Jakaś kobieta przeciera podłogę mopem, a dwóch facetów próbuje ocucić leżącego gościa.

– Po co go tak nakręcałaś?!

Przez moment tracę oddech. Dosłownie mnie zatyka. Wczepiam paznokcie w sukienkę, mimo że mam ochotę przejechać nimi po twarzy. Głowa pulsuje, na przedramionach pojawia się gęsia skórka. Staję do niej bokiem, ale nie puszcza mojego ramienia, coraz mocniej zaciskając na nim palce. Powtarzam sobie to nic, wszystko jest dobrze, ale nie jest, bo emocje potrzebują uwolnienia, a ja nawet nie wiem, gdzie znajduje się pieprzony kibel!

– Nie szarp mnie, palantko! – Gwałtownym ruchem wyswobadzam się z uścisku. – Ty w ogóle wiesz, kto jest twoim mężem? Myślisz, że pan „chodząca konsekwencja” nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi? Efesto! – Macham do niego, ale nie wiem, czy mnie zauważa, bo rozmawia ze swoim ojcem i zawzięcie mu coś tłumaczy. – Twoja żona uważa, że jesteś idio...

Etna przyciska rękę do moich ust. Odsuwam się i sięgam po przewieszoną przez oparcie krzesła torebkę.

– Myślałam, że zmądrzałaś – sapie.

– Nie myśl tyle, to nie jest twoja mocna strona – wypalam, a ona otwiera usta. – Gdzie łazienka? – Rozglądam się, bo potrzeba jest pałaca. Dosłownie płonę w środku. Krew się gotuje. I jest tylko jeden sposób na to, by w końcu ugasić ten płomień. W sumie dwa, ale nie chcę iść do paki.

– Daj ten worek. – Podchodzi do nas Efesto, odczepia przypiętą przy talii Etny sakiewkę i okręca się na pięcie.

– Dokąd idziesz? – pyta siostra.

– Wymusić te pieprzone monety. A niby gdzie? – Patrzy na nią, jakby była niespełna rozumu. – Ci wszyscy ludzie uparli się, żeby zjechać nasze wesele. – Wskazuje na kolejkę, która mimo zaistniałej sytuacji, wcale się nie przerzedziła. Efesto nerwowo ścisną nasadę nosa i wchodzi w bawiący się tłum.

– Powiesz gdzie ta łazienka? – ponawiam pytanie.

– W tamtym niskim budynku. – Etna wskazuje palcem. – Widzisz? Iść z tobą?

Już mam odpowiedzieć, ale dostrzegam coś, co bardzo mi się nie podoba. Przy Diable stoi nasza kuzynka Patricia. Robi do niego słodkie oczy, kokietuje z zapałem, nabijając na widelczyk smakołyki, którymi go karmi! Gdy on otwiera usta, gotowy przyjąć kolejną porcję, ona też to robi!

Etna stuka mnie w ramię.

– Nie. Jednak później pójdę. Twój teść cię przywołuje. – Wskazuję na niego ruchem głowy. – Lepiej idź.

– Dobra. – Przygryza wargę. – Dalej się kochamy? – Uśmiecha się lekko.

– Tak. – Przewracam oczami. – Ale i tak mam ochotę cię zabić.

Etna śmieje się cicho i odchodzi, a ja siadam na krześle i zerkam na Galla, rozlewającego do kieliszków alkohol.

Uważam, że Mephisto nie powinien już pić. Ewidentnie ma słabą głowę i widocznie ledwo może ustać na nogach, skoro zarzucił rękę na ramiona Patricii. Zdecydowanie cięży jej ta wielka łapa, bo chwieje się na obcasach, ale i tak hardo wypina ogromne, na moje oko wręcz nieproporcjonalne do sylwetki cycki! Stukam palcami w uda. Jestem rozdarta. Chcę iść do łazienki i uwolnić sięgające zenitu

napięcie, a jednocześnie boję się, że przegapię moment, kiedy oprócz skrzących się iskier, między obserwowaną przeze mnie dwójką buchnie prawdziwy ogień namiętności. Muszę tu siedzieć i ugasić go w porę.

– Powiedz mu, żeby usiadł, bo to wesele siedzące – zwracam się do Galla i gestem wskazuję na odwróconego plecami do nas Diabła.

– Co ty pieprzysz? – Śmieje się i patrzy na mnie jak na idiotkę. Wybaczam, bo sama się tak poczułam, gdy tylko wypowiedziałam to zdanie. – Siedzące wesele. Ja jebię. – Kręci głową z rozbawieniem i polewa makaron dużą ilością sosu.

– Zobacz, co on robi – szepczę, pochylając się nad stołem.

Gallo zerka za siebie i wzrusza ramionami.

– Niby co? – Unosi brwi. – To, co zwykle.

– Obmacują się – mówię niemal bezgłośnie.

– To chyba twoje ulubione słowo. – Przeciera usta serwetką. – Nie zliczę ile razy go dziś użyłaś. – Uderza pięścią w klatkę. Tak, jakby chciał wymusić beknięcie, ale coś mu nie wychodzi. – Mam trzy siostry. Znam te wasze dziewczynskie zagrywki, panno „siedzące wesele”. – Przeciąga się. – Dobra, ostatnia porcja i serio koniec, bo tak się spase, że cię nie dogonię, gdy będziesz spierdalać. – Mówiąc to, wpatruje się w talerz, więc odganiając myśl, że słowa te są skierowane do mnie.

Ktoś chrząka za moimi plecami. Odwracam się i widzę krzyżującego nogi Francesca.

– Ojciec już po mnie przyjechał. Jednak mi się nie zdawało. – Dotyka rozporka. – Nie podobało mi się tutaj. Dziwni ludzie i w naszej części stołu mało jedzenia, bo ten – wskazuje palcem na Galla – wszystko wyjada. Rozważałem, czy dać ci drugą szansę, ale szybko się pocieszyłaś – oznajmia z wyrzutem.

– W jakim sensie?

– W takim, że zakolegowałaś się już z tym gościem od łuku. Żałuj, bo gdybyś była ze mną, to miałabyś dużo miejsca w łóżku, jeśli byś u mnie spała lub ja u ciebie. Gralibyśmy na konsoli i jedli popcorn. – Rozmarza się. – A przy nim będziesz musiała spać na skrawku, bo się nie zmieścisz i zapomnij o popcornie. Jeden ruch tą łapą i pudełko będzie puste. A może już wcześniej byłaś jego dziewczyną, tylko potrzebowałaś urozmaicenia i padło na mnie? Wiem, że moja kreatywność podoba się kobietom.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nie jestem jego dziewczyną.

– Tak? To dlaczego powiedział: „ta dziewczyna jest moja”, gdy skończyłaś mówić te głupoty o tańczeniu i zamknęłaś oczy? Ale to było denne, Almo. Aż mi było niezręcznie, że obok ciebie siedzę. – Poprawia okulary. – On wypowiedział słowo „moja” bezgłośnie, ale mam wiele talentów i potrafię czytać z ruchu warg. A zresztą, do widzenia. – Macha ręką i odchodzi, nienaturalnie rozszerzając nogi.

Uśmiecham się do siebie. To oznacza, że Mephisto traktuje serio naszą leśną umowę. Wystarczy jednak, że odwrócę głowę, a radość wyparowuje. Patricia bawi się palcami Diabła, podczas gdy on pogrążony jest w rozmowie z Niccolem. Bezwstydnie przesuwając długimi, najpewniej sztucznymi pazurami po jego ręce! Odruchowo zerkam na swoje zdewastowane paznokcie i żałuję, że je poobgryzałam, ponieważ to automatycznie stawia mnie na przegranej pozycji podczas ewentualnej walki na szpony. Patricia przygląda się profilowi Diabła i stając na palcach, przez co jej nogi wydają się jeszcze smuklejsze, szepcze mu do ucha. Żałuję, że Francesco się ulotnił, bo skoro ma te przeróżne zdolności, to i słuch może też absolutny. Mephisto porusza nadgarstkiem.

– To skrzydło. Wyrasta z mojej klaty – tłumaczy jej, więc pewnie pochwaliła jego tatuaż.

– Ja też mam dziarę – mówi Patricia.

– Pokaż – wtrąca Niccolo.

– W tajemnym miejscu. – Kuzynka się rumieni i znów przybliża usta do ucha Diabła.

– Nie mogę – odpowiada Mephisto.

Rety, ona pewnie zaproponowała, że mu pokaże. Bardzo jej nie lubię.

– Kurwa, ciągle zapominam, że się żenię.

Dosłownie czuję, jak opada mi szczeka. On się żeni! W końcu zabiera rękę z ramienia Patricii i dodaje:

– Sio i precz.

Niccolo się śmieje. Nawet Patricia sprawia wrażenie rozbawionej. To najgorszy dzień mojego życia. Do tej pory mogłam chociaż żyć złudzeniami i pławić się w wyobrażeniach. On mnie obmacał, mimo że się żeni. Dlatego powiedział, że ciągle o tym zapomina. Co za... przetykam ślinę, bo się odwrócił i spojrzał mi prosto w oczy, najprzystojniejszy facet na Ziemi! Jezu, mam ochotę się spoliczkować! Diabeł opiera dłonie na blacie stołu i pochyla się w moją stronę. Robię to samo. Wszystko mu wygarnę i powiem, co o nim myślę!

– Chcesz coś podpalić? Jedno słowo. – Szczerzy się, a ja stukam w skroń, żeby zasugerować to, co już dziś mu mówiłam. Mianowicie, że jest nienormalny. – A strzelić do kogoś z łuku?

– Już przedź. Najchętniej do ciebie. – Celuję w niego palcem, a on tak przewraca oczami, że przez moment widzę tylko białka gałek. To obrzydliwe.

– Powiedz to jeszcze raz. Twoje groźby robią robotę. Przez chwilę miałem takie ciary, że aż poczułem, jakbym gałkami dotknął mózgu. – Kręci głową, zataczając kółka. – A tak mniej serio, to wybierz inny cel, bo ja odpadam z zawodów. Zostałem już ustrzelony.

– Wiem, słyszałam, jak mówiłeś o tym mojej kuzynce. – Mam nadzieję, że udało mi się zamaskować rozczarowanie.

– I dlatego jesteś wściekła?

– Nie jestem – syczę.

– Chcesz powarzyć na osobności? Gdy to robisz twoja krtka wchodzi w fazę „pieprz mnie” drżenia. – Przejeżdża palcami po pulsującej mi na szyi żyłę.

Nie oddycham.

Mephisto mruży oczy, świdruje spojrzeniem, jakby chciał odczytać wszystkie moje myśli, z naciskiem na te, których wołałabym nigdy nie zdradzać. Umieram ze strachu, że mu się uda. Mrugam i wypuszczam wstrzymywane powietrze.

– Nie zamierzam z tobą nigdzie iść, żeby porozmawiać – oznajmiam kategorycznie.

– Chyba przegapiłem moment, w którym padła propozycja rozmowy.

Teraz już nie tylko moja krtka drży, ale i ręce, na których się podpieram.

– W każdym razie jestem szczęśliwa. – Unoszę brodę, żeby nie dać mu satysfakcji, jaką bez wątpienia by odczuł, gdyby dowiedział się, że ubolewam nad tym, że to nie ja zostanę jego żoną.

– Nie taki był mój cel, ale niezbadane są wyroki piekła.

– Nie jestem rozczarowana twoim postępowaniem względem mnie, jeśli o to ci chodzi i nie zamierzam płakać z powodu decyzji, jaką podjąłeś. A wręcz nawet powiem ci, że możesz pocałować mnie w dupę.

O Boże, nie powiedziałam tego! To rozgoryczenie przemówiło w moim imieniu!

– Taa. – Szczerzy się. – Teraz oficjalnie mogę to zrobić.

Z czego on się cieszy?! Powiedziałam mu, że może mnie cmoknąć w tyłek, a on odebrał to jako zaproszenie na najmiłą zabawę świata.

– Właśnie teraz nie możesz. – Uśmiecham się z wyższością. Niech zapomni, skoro wystawił mnie do wiatru. Złamał dane w lesie słowo!

– Nie wystarczy uśmiechać się w ten sposób – dotyka moich ust – żeby być górą, duszyczko. – Szuka czegoś w kieszeni, a po chwili otwiera dłoń. Są na niej posklejane landrynki i monety. Krzywi się i przewraca je, aż w końcu znajduje to, czego szukał. – Podoba ci się? – Pokazuje mi pierścionek z różowym oczkiem.

– Tak, ładny – stwierdzam, a Mephisto wsuwa go na mój palec. – Dlaczego mi go dajesz?

– Zastanów się. – Patrzy na mnie z powątpiewaniem. – Dlaczego chcąc się ożenić, daje się dziewczynie pierścionek? Podpowiem ci, że powodem nie jest to, że na mnie jest za mały lub w różowym mi nie do twarzy. – Śmieje się i siada na krześle.

– Ty chcesz mnie przekupić. Boisz się, że powiem komuś, o tym, co wydarzyło się na ławce, a wtedy miałbyś kłopoty i nie doszłoby do ślubu – oznajmiam pewna swego.

– Taa – rzuca lekceważąco. – Jako jedyna mnie rozgryzłaś. Tak jak mówiłem, jesteś totalnie wyjątkowa. – Przechyla kieliszek i wykrzywia usta. – Tylko pamiętaj. – Opiera się na łokciu i nachyla nad stołem. – Nie mów nikomu, że jestem strachliwy, bo nie będę chciał się z tobą bawić. – Chichocze

diabelsko.

– Nawet nie mam ochoty się z tobą bawić. – Zakładam ręce na piersi.

– Nie bądź suką, bo... – uśmiecha się słodko – przypadkiem cię skrzywdzę.

Otwieram usta, przekonana, że wymyślę naprędce ciętą ripostę, ale Mephisto mnie uprzedza:

– I już cichutko. Pobawimy się po mojemu.

– Na pewno nie! – rzucam stanowczo.

– Czasem po twojemu? – Patrzy mi w oczy, jakby chciał mnie skusić!

– Wykluczone.

– Ale jesteś nudna. – Ledwo zdąży wypowiedzieć to zdanie, a jego głowa zderza się z blatem.

W szoku zakrywam usta, przekonana, że zemdłał. Patricia chce klepnąć go w plecy, ale dostaje po łapach od gościa, stojącego za Mephistem. Gallo z kolei niczym się nie przejmuje.

– Podaś mi ten zielony sos? – zwraca się do mnie. Odruchowo po niego sięgam. – Nie ten, ten zieleńszy. – Przekazuję mu go drżącą ręką. – Zjesz coś w końcu?

Nie, to wszystko jest chore. Stukam palcem po diabelskiej głowie, ale zero reakcji. Wstaję i przybliżam się do Mephista. Moje włosy opadają na jego kark.

– Dobrze się czujesz? – pytam cicho.

– Źle – wydusza zbolalym głosem.

– Wezwać pomoc? Co mam zrobić? – Nachylam się bardziej. Chcę odgarnąć włosy na bok, ale zanim zdążę to zrobić, Mephisto łapie za nie i przyciąga mnie bliżej.

– Powiedz, że będziesz się ze mną bawić – jęczy.

– To jakieś wymuszenie – sapię. – A poczujesz się wtedy lepiej?

– Mówisz czy nie? – warczy.

– Dobrze, będę się z tobą bawić. – Wzdycham. – Lepiej ci?

– Taa. – Podryguje ze śmiechu. On. Nie. Jest. Normalny. Puszczam go, więc odsuwam się i siadam. Chcę mu jeszcze coś powiedzieć, ale nie wiem co. Brak mi na niego słów!

Sprawdzam, która godzina, bo wczoraj obiecałam Zicie, że ją wymienię i spędzę czas z Basimą, a żebym mogła to zrobić, niedługo muszę się stąd ulotnić. Liczę, że Etna wychwyci moje spojrzenie i podejdzie, ale obściskuje się z Efestem. Nie mam złudzeń, w walce o uwagę na pewno z nim nie wygram.

Mephisto prostuje się na krześle, zgarnia porozsypywane na obrusie zapałki i skupia uwagę na ponownym ułożeniu z nich piramidki. Korzystam z okazji i przyglądam się biżuterii, jaką mi podarował. Różni się od błyskotek na co dzień ozdabiających moją szyję lub nadgarstki. Gustuję w kupowanych na straganach plastikowych bransoletkach i naszyjnikach zrobionych z koralików. W porównaniu z nimi pierścionek otrzymany od Diabła wydaje się jakiś poważny. Nigdy takiego nie miałam. Jest szansa, że pachnie landrynkami, skoro był wśród nich ukryty. Chcę sprawdzenia kusi, ale raczej nie jestem aż tak szurnięta. I trudno, że przyjęcie łapówki w zamian za milczenie źle o mnie świadczy. Najwyżej pójdę za to do piekła.

Przytrzymuję się blatu, bo przechodzący obok Serafino zahacza nogą o moje krzesło. Patrzę na niego z wyrzutem. Unosi ręce w przeproszającym geście i niemal widzę to pojawiające się w jego oczach olśnienie, które zwykle następuje, gdy dopasuje się twarz do wspomnienia.

– Ja cię znam. – Celuje we mnie palcem. Wstyd się przyznać, ale kiedyś, dawno temu byłam w nim zadurzona. – Przyszła niedoszła mojego starego. – Rechocze obleśnie i klęka w miejscu, gdzie stało wcześniej krzesło Francesca. – Gdyby los z nas nie zakpił, teraz miałbym na sumieniu seks z macochą. – Czka, a następnie oblizuje i tak mokre już wargi.

– Nie rozumiem.

– A co tu rozumieć? – Wstaje i pochyla głowę. – Wyruchałbym cię. W sumie – mlaska mi nad uchem – wciąż mamy szansę na ostre rżnięcie.

– Ja, ja... – jękam się i zanim zdołam sklecić sensowną ripostę, po której poszłoby mu w pięty, gwałtownie odsuwam się od stołu. – Obrus płonie! – wrzeszczę i zrywam się na równe nogi.

– Mephisto, do cholery! – wydziera się Efesto. – Ugaś to, kurwa!

Gallo przygniata płonąca piramidkę talerzem. W nerwach skubię skórki, mimo że palce już i tak pieką cholernie, a ulga nawet nie stoi u progu.

– Spokojnie, to tylko niewinna próba ognia – tłumaczy Gallo, bo Diabeł całkowicie odpłynął. Ma zamknięte oczy i wystukuje nieznany rytm, uderzając pudełkiem zapalek o blat.

Zajmuję krzesło w momencie, gdy uchyla powieki i rety, ktoś, kto postanowił, że mam siedzieć naprzeciwko niego, nie ma dla mnie litości! Znam to spojrzenie. Niemal czuję, jak po policzku przemyka zimny podmuch wiatru. Identyczny z tym, który poczułam, kiedy otworzyły się drzwi leśnej chaty i ta nieludzka, siedząca teraz oko w oko ze mną, siła wtargnęła do środka. Tak jak wtedy wyczuwam zapach świeżej krwi, aż w końcu pierwsza kropla spada mi na rękaw. Przecieram nos dłonią i patrzę na nią. Na tą uspokajającą, wybitnie terapeutyczną czerwień. A potem dostaję jakąś ścięgą w twarz.

– Czy możesz nie rzucać serwetką w moją siostrę?! – krzyczy Etna.

– Czy możesz, do kurwy, zająć się sobą?! – warczy Diabeł, a Efesto wstaje. – Nawet się tu nie fatyguj – uprzedza. – Za chuja się nie złękne.

– Sięgam po dzbanek. Też uważam, że moja żona – łypie na nią wzrokiem – powinna zająć się sobą. Lub mną. – Czochra jej włosy.

– W porządku. – Macham do niej. – Poleciała mi krew z nosa. – Przecieram buzię.

– A, nie zauważyłam – odpowiada Etna.

– Nic nie szkodzi – szepczę.

Niewidzialna Alma. Niewidzialna krew.

– Muszę zapalić – burczy Mephisto i wstaje od stołu.

Podążam za nim spojrzeniem. Zatrzymuje się przy krześle, na którym siedzi Serafino i pochyla się, przytrzymując go za ramię. Nie mam pojęcia, co mu mówi, ale z twarzy Bommarita schodzą wszystkie kolory.

– Co on mu powiedział? – zwracam się do Galla i wskazuję na Diabła.

– Czekał, wyciągnę szklaną kulę. – Rusza rękami, jakby rzeczywiście miał ją przed sobą. – O, widzę, widzę... – Wystawia język. – Chyba poinformował go, że zgubił swoją aureolę lub coś w tym stylu. Czy to ma sens? A, nie, czekaj, to jednak jakieś treści osiemnaście plus, ruchanie macochy, naprawdę ostre rżnięcie. – Patrzy przez palce. – Takie rzeczy. – Szczerzy się, a ja macham ręką z rezygnacją. – Nie wrzucaj tyle na nos – dotyka swojego – lepiej wrzuc coś na ząb.

– Daruj sobie te porady.

– Moim obowiązkiem jest cię ostrzec, a co z tym zrobisz, twoja sprawa. – Wzrusza ramionami. – Zdewastowana służówka to najmniej dotkliwa konsekwencja romansu z białym proszkiem. – Udaje, że kogoś mocno przytula. – Jeśli nie skończysz tej znajomości, to nadejdzie dzień, kiedy będziesz mnie błagać, żebym popłynął na twojej fali.

– Słucham? – Nie wierzę w to, co on wygaduje. – Uważasz, że poproszę cię, żebyś odciął mi głowę? – Parskam śmiechem.

– „Proszę” to słowo o zbyt lekkim wydźwięku. Chodziło mi raczej o zebranie. Zamykam kramik z wróżbami. – Sięga po ciasto i wpycha je do ust w momencie, w którym rozlega się przeokropny krzyk. Gallo nie sili się nawet na mrugnięcie. Jego nie dziwi nic. Niczym nie jest zaskoczony.

– Kurwa, co znowu?! – wrzeszczy Efesto i przebiega obok, więc odchylam się na krzesło, żeby zobaczyć, dokąd zmierza.

Słyszę śmiech Diabła.

– Złamał mi nos! – wydziera się Serafino. Wstaję, bo jestem ciekawa, co się dzieje, ale zgromadzeni goście ograniczają widok. Efesto przepycha się między nimi i o ile przez chwilę było tak głośno, że nie słyszałam własnych myśli, teraz nastąpiła cisza.

– I choćbym kroczył najciemniejszą z dolin, ciebie się nie ulękne. – Dobiega mnie głos Mephista. – Przed żadnym z was nie klękne. – Brzmi jak jakiś samozwańczy prorok.

– Zaczyna się. – Uśmiecha się Gallo.

– Co takiego? – pytam z zaciekawieniem.

– Zabawa.

## ROZDZIAŁ 4

### *Mephisto*

Zawsze to samo.

Ale to, kurwa, nudne.

Najpierw nikt nie chce się ze mną bawić. Sądzą mnie w najodleglejszej części stołu, wbijając mi tym samym zardzewiały, wygięty w „S” jak spierdalaj, gwóźdź w rozgrzane serce, a potem, gdy dostrzegają, że mimo przeciwności, kostek lodu rzuconych pod stopy, bawię się świetnie i potrafię znaleźć sobie zajęcie, złęknieni moją rozbuchaną kreatywnością, postanawiają wszystko zjebać.

Nie jestem wzorem cnót wszelakich, ale nawet nie kreuję się na takiego kogoś. Nie oszukuję siebie. Zwykle sprzedam, że coś w piekielnej głowie się święci, że wskrzeszam iskrę. To przecież podstawa dobrej zabawy. Danie komuś czasu na podjęcie gry, nagięcie, złamanie jej zasad albo po prostu spierdolenie jest tym, co nakręca najskuteczniej. W tym przypadku nie było inaczej. Podpaliłem przy Serafinie obrus, a ten głąb jak gdyby nigdy nic odszedł, żeby wpierdolić wieczerzę. Kto tak robi? To jest poważne?

Wiem, że samo wyobrażenie porządnego wypieprzenia tej wyjątkowej duszyczki zaburza percepcję wzrokowo-słuchową, ale, kurwa, znaki! Wszystkie na piekłoskłonnie układały się w kilka prostych słów. *Raz, dwa, trzy, Diabeł patrzy*. A on poszedł zreć. No to mu się odbiło. Rozgrzeszenia nie będzie. Nie jestem księdzem.

Dam im szansę. Mimo i pomimo. Zrobię to, bo przepełnia mnie bezkresna nadzieja i wiara w to, że naprawią swój błąd, że te wszystkie psuje, które uparły się, żeby zrujnować wesele Selvaggiów, w końcu się opamiętają! Taki jestem dobroduszny. Wierzę, że dadzą mi wiele cudownych wspomnień, do których będę wracał pamięcią w każdej przepełnionej nostalgią chwili. A tych przecież jest w mojej codzienności tak wiele. Ufam więc, bo człowiek ze mnie ufny bezdennie. Ha.

Koniec pierdolenia.

Boli mnie czoło. Nie, to by było zbyt pięknie. Cały łeb. Mózg pulsuje, lecz usilnie próbuje utrzymać go w stanie najwyższego skupienia. Koncentruję uwagę na niej. Tej kurewsko idealnej istocie, od której zostałem odseparowany, bo zaszczyt dotknął mnie wielki i przeskoczyłem w weselnej, stołowej hierarchii o kilka krzesel. Posadzenie na odludziu było ciosem w splot słoneczny, ale siedzenie obok Efesta to najgorsza z tortur. Wiem, co mówię. Od godziny nawija mi nad uchem. To przez niego boli mnie głowa. Zderzenie z nosem Serafina było pieszczotą, głaskaniem mojej mocno nerwowej duszy. I ta cała Etna. Czwarte miejsce na liście osób, którym chcę skrócić kark. Aż wreszcie ona, najpiękniejsza z dusz – Alma. Pierwsze miejsce. W każdej kategorii. W każdym możliwym spisie. Mam ochotę ją przelecieć, zabić, wskrzesić, znów przelecieć i ponownie zaplątać dłonie w jej skołtunione włosy, przygarnąć i nigdy nie puszczać, pchnąć w przepaść. I ochronić. I pocałować, bo wtedy podobno tworzy się ta owiana legendą więź.

Nie tylko ona usłyszy i poczuje to tąpnięcie, o którym jej opowiadałem, gdy patrzyła na mnie tym wybitnie naiwnym wzrokiem. Stanie się to, kiedy da mi kawałek swojej duszy. To, czego pragnę najbardziej na świecie. Dobro. Przysięgam, że złem się odpłacę. Piekielny handlarz. Uczciwa wymiana.

Gdyby Eros zdobył to, czego pragnie, zadbałby, żeby na zawsze takie pozostało.

Gdyby Mephisto zdobył to, czego pragnie, zadbałby, żeby zostało doszczętnie zniszczone.

Totalna dewastacja.

Mephisto. Ten, który rujnuje. Niszczyciel dobra.

Nie jestem Serafinem. Przy mnie Alma nie będzie się jąkać. Straci głos. Odbierze jej pieprzoną mowę.

Hola! Bez lamentów i łez. Na razie jedyne, co utraciła i zdecydowanie nad tym nie ubolewa, to rozum. Średnio raz na minutę wacha palec, na który wsunąłem pierścionek. Robiąc to, przymyka oczy, a gdy je otwiera i zauważa, że na nią patrzę, nawet się nie peszy. Nie zmienia się nic. Cudownie szurnięta.

I na pewno jest dla niej nadzieja.

„Niezbadane są w końcu wyroki piekła”. Bardzo lubię to zdanie. Dlaczego, Diabelku? Bo jest kłamstwem.

Ferro zajmuje miejsce przy stole. Z jednej strony on, z drugiej Efesto. W środku biedny ja.

– Idź stąd, kurwa, on się – wdech – wycisza! – Efesto wydziera się do mojego ucha. Nie brzmi, jakby wierzył w to, co mówi. Raczej jak ktoś, kto sam potrzebuje relaksu, a najlepiej terapii. Świeżo wykrochmalonego kaftana.

– Zaraz pójdę – syczy Ferro. – Mam do niego sprawę – tłumaczy. – Do ciebie w sensie – zwraca się do mnie i wyciąga z kieszeni woreczek z szarawą grudą. Wcisną mi go w dłoń pod stołem. – Powąchasz?

– W zamian za? – Rozsiadam się na krześle. Wydaje się wielce zdziwiony.

– W ramach przyjacielskiej, malutkiej – pokazuje palcami jak małej – przysługi.

– Sprowadź tu mojego przyjaciela w takim razie. – Oddaję mu woreczek.

– To znaczy?

– Przyjacielską przysługę wyświadcza się przyjacielowi. Nie widzę tu żadnego, więc albo go tu przyprowadzisz, albo precz. – Macham ręką i opieram czoło o blat. Jestem pewny, że nie stanie się jebany cud i Spirito, jedyny człowiek, którego mógłbym określić tym mianem, nagle się przede mną nie zmaterializuje. Czekam więc na inną, sensowną propozycję, bo ta na pewno nadejdzie. Nie ma w organizacji innej osoby, będącej w stanie ocenić jakość koksu po jego wyglądzie i zapachu. Wyczulony węch to moja mocna strona, ale też przekleństwo, bo wyczuwam tą przekłątą, cuchnącą krew.

– Jeśli zweryfikujesz dwie próbki, dostarczę ci do Palermo kilo śniegu.

– Razem dwa, bo Nicco...

– Mądrzy bracia... – warczy Efesto i zrywa się z krzesła. – Muszę się przejść.

Prostuję się, a Ferro wystawia w moją stronę dłoń, sądząc zapewne, że jej uścisk jest równoznaczny z przypieczętowaniem umowy. Tym razem to ja patrzę na niego zdziwiony.

– To zbędne. – Wskazuję na jego rękę. – Musisz mi uwierzyć na słowo. Słowo Diabła.

Ferro kręci głową z niedowierzaniem.

– A ty mi wierzysz, że dostarczę ci to, co obiecałem? – Na jego twarzy gości szablonowy uśmiech cwaniaka. To jednak za mało, by nim być.

– Wierzę w szybkość mojej strzały. Ona jest – uśmiecham się do niego tak samo, jak przed chwilą on do mnie – śmiertelnie poważna.

Ferro przetyka głośno ślinę. Bo mi wierzy.

Pochylam się, ponownie opierając głowę o stół, a Ferro podsuwa mi pod nos otwarty woreczek. Nie rozumiem, dlaczego tyle trudności sprawia im rozpoznanie dobrego towaru, skoro codziennie przerzucają kilogramy białych płatków. Koka wydziela wybitnie charakterystyczną woń. Całkowicie różniącą się od zapachu zastosowanych domieszek.

– I jak? – dopytuje.

– Śmierdzi mefedronem i rozpuszczalnikami. Typowa szaro-biała kreda.

– To chyba dobry znak, że tak wali.

– To znak, że ktoś zadał sobie dużo trudu. Postarał się za bardzo.

– Czyli?

– Gówno. – Chyba nie takiej odpowiedzi oczekiwał, bo sprawia wrażenie wybitnie zawiedzionego. – Przejedź palcem po wewnętrznej stronie woreczka. Może cię olśni.

Ferro klęka i wkłada ręce pod obrus. Po chwili wysuwa dłoń, pociera jednym palcem o drugi i przykłada je do nosa.

– Wnętrze natarte jest benzyną? – pyta.

– Taa. Jeśli ściśniesz tę grudę, rozsypie się w pył.

– Wątpię. Wygląda solidnie.

– Wygląda na spryskaną lakierem do włosów. Dzięki temu ten szajs jest w jednym kawałku i dlatego tak błyszczy. Wiesz, czym są pozory? Jeśli nie, to twój starszy brat na pewno ci wytłumaczy. – Śmieję się i rozglądam za Efestem, ale go nie dostrzegam. Ferro podaje mi kolejny woreczek.

Tak jak poprzednio pochylam się, żeby zachować te całe weselne pozory normalności. Uderza



we mnie chrzanowy zapach, nutka mentolo-acetonu i... i to jest dobre. I też to chcę! Krystaliczny alkaloid, opalizujący połysk wyglądem przypominający rybie łuski. Teraz tylko muszę wyciągnąć od Ferra informację, skąd ma ten towar, wziąć Almę pod pachę i mogę się zbierać.

– Wygląda jak koka od tego grubasa z Rzymu – ściemniam.

– Nie, to z Syrakuz – wyprowadza mnie z błędu. – Jeszcze nie doszedłem do źródła, bo tamtejszy system to ośmiornica z wieloma mackami. Mam to od jednej z nich. Głowa jest niewidoczna, ale dowiem się, kto nią jest. Chwila moment. – Milknie. – Kurwa, wymusiłeś informację – warczy. – Dlatego nikt nie lubi z tobą przebywać.

Ha. Ha. Jego szczerość mnie rozczuła.

– Mylisz się. Ja po prostu sam wybieram, z kim się bawię. Wracając do tematu. To – oddaję mu woreczek – sprawia wrażenie dobrego gówna. Wciągnij, nabierzemy pewności – proponuję, a on unosi brwi w zdziwieniu.

– My nie możemy – mówi wprost. – To wbrew zasadom. Może ty?

– Nie klękam przed demonami.

Świdruje mnie wzrokiem, jakby nie pojmował, co mam na myśli. I chyba rzeczywiście tak jest, bo aż nadto widoczny jest moment, kiedy na jego twarzy pojawia się zrozumienie.

– Świetne. To porównanie. Narkotyki to demony. Serio, w punkt. – Uśmiecha się szeroko.

– Taa. Idź gdzieś i ukrusz kawałek. Dam mojemu testerowi. Tylko nie kartą, bo się rozpierdoli. Żyletką. Czuję, że to będzie najpyszniejsze gówno, jakie przewinie się przez jego nos. – Zacieram ręce.

– Oczywiście, tak zrobię. – Przewraca gałami. – Na pewno co druga osoba na tym weselu ma przy sobie żyłkę. Tu są normalni goście. – Wzdycha i przygląda mi się dłużej niż to konieczne. – Pożyczysz?

Sięgam po portfel. Wysuwam z przegródki żyłkę, którą Ferro chwyta w dwa palce i odchodzi, mamrocząc pod nosem: „Wiedziałem”. Nie wie jednak, że nie zamierzam obdarowywać moich sługusów prezentami. Żaden z nich nie ma nic, czym mógłby się odwdzińczyć. Nie jestem pieprzonym świętym Mikołajem. Mimo że Ferro wie wiele, umknął mu ten drobny szczegół.

Zerkam na Almę, która znalazła sobie towarzystwo, a raczej to ono odnalazło ją. Ivo obejmuje ją ramionami i pochyla się, stykając policzek z jej twarzą. Zbyt blisko. Zbyt blisko, kurwa. Gwiżdżę, wkładając palce do ust. Zwracam nie tylko jego uwagę, chociaż na niej szczególnie mi zależy, ale wszystkich siedzących przy stole. I nie, mili państwo, toastu nie będzie. Robię z palców rogi i uśmiecham się szeroko. To czytelny znak. Przestroga dla tych, którzy sądzą, że mogą bez konsekwencji psuć to cudowne wesele. Młody Selvaggio jest bystry i w przeciwieństwie do Serafina potrafi połączyć kropki. Prostuje się i unosi dłonie w przeproszającym geście. Po co? Czy ja się gniewam? Obrażalski Diabeł, który zaraz wstanie, tupnie nogą, schyli się po łuk, a potem nadąsany da strzale wolność. Ha. Brzmi jak zapowiedź fenomenalnej zabawy, tylko czy gdybym tak zrobił, nie oznaczałoby to, że moje znaki nie są upomnieniami, lecz przepowiednią? Cóż. I w istocie. Odgrywanie roli dobrodusznego, dającego szansę i jeszcze więcej szans jednak mi nie wychodzi. Nie jestem aktorem. Bywam za to popieprzonym świrem. W przerwach między byciem ekscentrycznym szajbusem a nad wyraz oryginalnym narwańcem. Grunt to zaakceptować siebie, a potem jakoś leci. Ta strzała.

Wstaję, bo i tak miałem zamiar zmienić miejsce. Sięgam po łuk. Chwilę zajmuje mi wybranie odpowiedniej strzały. Decyduję się na taką z małym grotem. Można ją wykręcić, gdy teoretycznie jest już po bólu. Nazywam ją Sabira, cierpliwa obserwatorka. Przez te kilka sekund lotu będzie niosła przesłanie, szepnie: „Łapy przy sobie”, aż w końcu wymusi zachowanie odpowiedniej odległości. Jest straszną pieszczołą, łagodną jak muśnięcie wiatru. I tak też chce być traktowana. Wyciągając ją z rany trzeba być delikatnym. W przeciwnym razie szczypie. Obieram cel i naciągam cięciwę. Czekam, aż Ivo na mnie spojrzy, bo zajęty grzebaniem w kudłach Almy najwyraźniej zapomniał, że zabawa już się zaczęła, a przecież sam ją zaproponował. Czego w nich szuka? Swojego mózgu?

– Ivo! – krzyczę. Odwraca głowę w moją stronę i znów unosi te pieprzone ręce. – Zachęcając kogoś do psot, oczekuj psikusa! – Wypuszczam strzałę.

Pewne jest to, że leci.

I to, że nie trafia w niego.

Nie, bo pieprzony Serafino nie mógł znieść, że został pominięty i nie dostał zaszczytu udziału w wymyślnej rozrywce!

– On chce mnie dziś zabić! – wydziera się Serafino, na chama wyszarpując strzałę z ramienia. – Kurwa, ale szczypie! Zatrueś to czymś? Ile razy mam przepraszać?!

– Mephisto, czy ty celowałeś w Ivo?! – Alma się denerwuje. – Gdyby Serafino nie sięgał po ciasto, zabiłbyś mojego przyjaciela! – Dramatyzuje.

– O, kurwa. – Podbiega do mnie Niccolo. – Diabeł, wiesz, że uwielbiam kłopoty, ale przesadzasz. – Bierze wdech i się rozgląda. – Spokojnie – mówi najpewniej do siebie, bo ja w życiu nie byłem taki spokojny, jak dziś. – Jesteśmy na to przygotowani. Wiedzieliśmy, że tak będzie. Ty to ty. – Zatacza kółka na skroniach. – Ivo to mój brat, do chuja!

– A wiesz, kim jest Alma? Zakładam, że nie. W przeciwnym razie nawet nie prowadzilibyśmy tej bezsensownej rozmowy. Jeśli jednak masz świadomość, a mimo to postanawiasz położyć rękę na rozgrzanej do czerwoności kłamce, to wiedz, że nie spodoba ci się to, co zobaczysz, gdy uchyliš wrota. Ostrzegam cię. – Poklepuję go po ramieniu.

– Nie rób afery z niczego. Myślisz, że cię nie znam? Nie potrafisz się opanować nawet na weselu.

– Nie dogadamy się. – Rozciągam mięśnie karku. – Skoro mnie znasz, to wiesz, że dziś jestem naprawdę grzeczny. W każdy inny dzień wyciągałbym sobie spomiędzy zębów żyły twojego nierozważnego brata. – Kłapię szczęką, jakbym chciał go ugryźć. – Odgryzłbym mu łeb. Wiesz, że bym to zrobił. – Pewnie wizualizuje sobie tę obrzydliwość, bo minę ma nietęgą. – Tylko ze względu na szacunek do waszej rodziny i wyjątkową okoliczność, jaką jest dzień ślubu, nie oczekuję zadośćuczynienia za grzechy, jakich dopuściliście się wy i wasi goście – oznajmiam z powagą, a on się śmieje. Krzywię się, bo niezbyt ogarniam jego poczucie humoru. Zabawnie to będzie, gdy skończymy się bawić. Wtedy będę się śmiał. Teraz nie. – Moje ręce same rwą się do pustych głów, strzały do złych dusz. Ja ich nie szukam, Niccolo. Mimo że te drugie są dla mnie konkurencją.

– Według mnie i tak przesadzasz. To wesele. Co druga osoba mówi coś niewłaściwego, wszyscy obściskują się po kątach. – Zatacza rękami okrąg. – I nikt nie robi z tego afery. Wyluzuj.

– Masz rację. – Przykładam palce do skroni. – Pora wyluzować. – Potrząsam ramionami. – Zrozumiałem, że rzeczywiście bywam strasznie narwany. Rzucam się o byle gówno, jakbym łąził po rozżarzonych węglach lub wpadł do wrzątku. Od teraz będę się zachowywał tak, jak reszta gości. I nikt już nie powie, że jestem nienormalny. Gdy ktoś tak mówi, mam ochotę zacisnąć rękę na jego gardle, wbić paznokcie w skórę i wyszarpać tchawicę. Masz tak samo? – Uśmiecham się przyjaźnie. Tak robią normalni. Nie śmieją się szaleńczo i nie chichoczą szatańsko.

– Yyy, niezbyt. – Zakłopotany przeciera twarz. – Usiądź przy mnie. Napijemy się czegoś.

Kolejny, który chce mnie pilnować pod przykrywką spędzenia wspólnie czasu. Mam dziś naprawdę wielu przyjaciół. Nicco też coś ma. Bardzo ładną pomoc naukową.

– To Shadija. – Przedstawia mnie swojej dziewczynie, gdy podchodzimy do stołu. – A to Mephisto – zwraca się do niej. – Dotrzyma nam towarzystwa przez jakiś czas.

– Sha – di – ja – sylabizuję jej imię i siadam obok niej. Obdarowuje mnie pokrzepiającym spojrzeniem, niczym dzieciaka, z którym nikt nie chciał się bawić, więc w końcu dorośli pozwolili mu usiąść przy swoim stole. – Sha – di – ja – powtarzam. – Imię twojej dziewczyny, Nicco, brzmi jak melodia. – Przystawiam dłoń do ucha. – Sha – di – ja. Słyszysz, Niccolo? Piękna melodia, zapomniałem dodać. – Mrugam do niej, a ona śmieje się cicho.

– Nie słuchaj go – wtrąca Nicco. – Wszystko, co mówi, to iluzja, żeby nie użyć słowa kłamstwo. – Nakłada jedzenie na jej talerz.

– Mógłbyś nauczyć mojego chłopaka tworzenia tej całej iluzji. – Dziewczyna unosi dłonie i porusza palcami. – Nie miałabym nic przeciwko, gdyby mówił mi takie miłe rzeczy. – Znow się śmieje i przesuwa dłoń po policzku Niccola.

– Pewnie. Lubię wkładać wiedzę do głowy. Jestem w tym dobry.

Shadija klaszcze, a Nicco głośno wzdycha.

– Nie ciesz się tak – mówi Niccolo, poklepując ją po dłoni. – Raczej podziel przez dwa to, co usłyszałaś i dostrzeż ukryte znaczenie tych słów, a najlepiej to jedz. Idziemy porobić coś innego? – Patrzy

na mnie z nadzieją.

– Nie. Tu mi dobrze. Chcesz zagrać w grę? – zwracam się do niej.

– Ona nie chce w nic grać – warczy Nicco.

– Chętnie – odpowiada Shadija. – Co z tobą? – Zerka na niego.

– Właśnie, co z nim? – Wzruszam ramionami. – Zasady są proste, bo to niewinna walka na spojrzenia.

Shadija prostuje się na krześle, a na jej twarzy odmalowane jest szczere zaciekawienie.

– Przegrany musi przez minutę mówić miłe rzeczy wygranemu – dodaję.

– Czyli komplementy?

– Taa. – Uśmiecham się pod nosem. – Brzmi jak zapowiedź cudownej zabawy?

– Nie, kijowej. – Nicco przechyla kieliszek. – Ona nie ma pięciu lat.

– Według mnie brzmi super. Zaczynamy. – Jest podekscytowana. – Mam nadzieję, że wygram.

A można mrugać?

– Tak. Przegrany jest ten, który ucieknie wzrokiem. Nie wytrzyma napięcia. Nicco będzie sędzią, bo jest sprawiedliwy, nadzwyczaj wyrozumiały i – przyglądam mu się – cierpliwy. Zaczynamy.

Przesuwamy krzesła, żeby siedzieć naprzeciwko siebie. Nicco staje obok nas z założonymi rękami. Shadija mruga kilkakrotnie, chrząka, chcąc najpewniej jak najlepiej przygotować się do rozgrywki. Totalnie bez sensu.

– Start – mówię.

Dawno się w to nie bawiłem, bo zabawa ta nie sprawia mi już frajdy. Nie odczuwam dreszczyku niepewności, momentu załamania, zwątpienia. Zero wysiłku. Jedyne nudne wyczekiwanie na oficjalne zwycięstwo. Shadija wpatruje się we mnie. Jest napięta jak struna. I dopóki koncentruję wzrok na obranym punkcie jej tęczy, całkowicie nad sobą panuje. Schody zaczynają się, gdy odsłania przede mną duszę. Odpłacam tym samym. Lubię wymiany. Okazuje się wtedy, że uczucia są kręte i strome. Jeśli w odpowiednim momencie nie ucieknę spojrzeniem, spadnie, poturbuje kości. Złamie kark. Shadija woli nie ryzykować. W porę chwyta się poręczy.

– Przegrałaś – informuję, nie spuszczać z niej wzroku, a gdy ponownie unosi swój, tym razem peszy się od razu. – A teraz słucham. – Uśmiecham się lekko. – Możesz zaczynać.

– Nie musisz nic mu mówić – stwierdza Nicco.

– Musi. Powiedziałem, że masz zaczynać. Na co czekasz? – ponaglam. – Twoje komplementy będą najpiękniejszą melodią dla moich uszu. Twój chłopak może mierzyć czas.

– To nienormalne – sapie Niccolo.

– Nienormalne jest strzelanie do kogoś z łuku lub walenie czołem w nos, a nie patrzenie sobie w oczy i obdarowywanie komplementami. Co z tobą, Nicco, oszalałeś?

– Jesteś sympatyczny, miły, fajny – wymienia nerwowo Shadija.

– Postaraj się bardziej. I nie kłam. – Odchylam się i przymykam na moment powieki.

– Jesteś przystojny, dobrze zbudowany, wysoki.

– Słabo. Nie opisuj mnie w ten sposób. Bądź bardziej kreatywna.

– Masz najbardziej niesamowite rzęsy, jakie w życiu widziałam – wyrzuca z siebie, a Nicco sapie.

– A gdy na kogoś patrzysz – milknie na moment – nie, to dziwne – energicznie pociera policzki – kiedy to robisz, ma się wrażenie, jakby nagle wszystko miało obrócić się w pył, jakby trzęsła się ziemia, jakby jutro miało nie nadejść i...

– Dość – syczy Nicco. – Chodź na słówko. – Odchodzi od stolika i przywołuje mnie ruchem głowy.

Wybucham głośnym, oczywiście szczerym śmiechem. Teraz już mogę się śmiać. Teraz tak.

Podchodzę do niego.

– Coś nie tak, Niccolo? – pytam, bo niemal kipi ze złości. – Wyglądasz, jakbyś miał ochotę wbić mi strzałę w oko.

– Przestań jej mieszać w głowie – rozkazuje. – Jeśli twoim celem było wzbudzenie we mnie zazdrości, to cóż, nie udało ci się. – Jego mina zdradza coś z gołą przeciwnego.

– To nic, bo jeszcze nie skończyłem. – Przybliżam się do niego. – Posłuchaj, co zrobię w

następnej kolejności. Wróć tam, wplotę dłonie w jej włosy – nozdrza Niccola falują, a oddech przyspiesza – przybliżę twarz do jej policzka i powiem, że ostro ją zerżnę. Tak bardzo chcę usłyszeć, jak się jąka. – Zasysam powietrze. – To dopiero będzie piękna melodia, Nicco. – Nie odzywa się, więc dodaję: – Wyluzuj. To przecież wesele. Tutaj co drugi mówi coś niewłaściwego i obciskuje się po kątach – przytaczam jego wcześniejsze słowa. – Nie rób afery.

Nicco zaciska rękę na moim karku.

– Zrozumiałem to przesłanie – syczy przez zaciśnięte zęby. – Jesteśmy kwita.

Śmieję się gorzko.

– Kwita z Diabłem. Ćpasz? – Unoszę brwi. – Niccolito, Niccolito. – Stykam nasze czoła. – Nie wyciągaj z kapelusza gołębia pokoju, bo ukręcę mu łebek. – Poklepuję go po potylicy, odpycham od siebie i patrzę ponad jego ramię. – No i spójrz, co narobiłeś. Przyjechała dyskoteka. – Cmokam, widząc światła parkującego przed ogrodzeniem radiowozu.

– Dowiem się, o co chodzi – stwierdza.

Wzruszam ramionami, bo jeden policyjny wóz to z całą pewnością nie jest zapowiedź zabawy, którą przyszło pokolenia będą wspominać z rumieńcem na twarzy i znudzony, z rękami schowanymi w kieszeniach, okrążam stół. Siadam naprzeciwko Almy. Przeskakuje nerwowo wzrokiem, patrząc to na mnie, to na rozmawiającego z Niccolem policjanta.

– Co się dzieje? – pyta, wsadzając palce do buzi. – Trochę się przestraszyłam.

Śmieję się, słysząc to wyznanie.

– Co w tym zabawnego? – docieka.

– To, że najpewniej mówisz poważnie. – Przecieram twarz dłonią. – Niech boją się ci, którzy mają sumienie lub coś na nim. – Mrugam sugestywnie. – Moje jest krystaliczne, przezroczyste, a twoje?

– Też. – Przełyka nerwowo ślinę.

– No to relaks. – Kiwam głową, gdy przechodzący obok mnie Ferro wsadza mi do ręki próbkę tego, co obiecał. – Jesteś rozsądna. Na pewno nie masz w torebce żadnych niedozwolonych substancji.

Alma otwiera usta, jakby chciała wyznać wszystkie grzechy, ale tego nie robi, mimo że na pierwszym rzut oka widać, że zgrzeszyła.

– W pace nie jest tak źle – wtrąca Gallo. – Cipka, którą będziesz musiała wylizać, sama się do ciebie zgłosi. Jeśli wykażesz się zaangażowaniem – celuje widelcem w Almę – to jest szansa, że nowe koleżanki nie powieszają cię na prześcieradle już pierwszego dnia. – Unosi kciuk. – Zwracam się do ciebie, ale nie traktuj tego personalnie. Tak tylko mówię. – Wzrusza ramionami, a z twarzy Almy znikają wszystkie kolory. Sięga po mój kieliszek i wlewa w siebie jego zawartość. Teraz nie dość, że blada, to dodatkowo zdziwiona.

– Zapomniałaś się skrzywić – mówię.

– To woda – wydusza. – Ty cały czas udajesz, że pijesz?

– Cichutko – kładę palec na ustach – bo wyda się, że moje niezrównoważenie nie jest wynikiem dużej ilości wypitego alkoholu.

– Chore – kwituje.

– Taa. Cudownie popierdolone. – Szczerzę się. Alma wstaje z krzesła, kurczowo zaciskając dłoń na torebce. – Za późno na uciezkę, duszyczko. – W naszą stronę zmierza Niccolo i siedzący w kieszeni organizacji karabinier, Giuseppe Russo.

Alma w pośpiechu otwiera torebkę. Przeokropnie trzęsą jej się ręce, więc zapewne dlatego nie ma cęła i rzuca wyjętym z niej foliowym woreczkiem we mnie, a nie w inne, dowolne, kurwa, miejsce. Zgarniam go i patrzę na zawartość. Na samym dnie znajduje się odrobina białego nalotu.

– Wybacz. Ja nie wytrzymam w więzieniu, a ty sobie jakoś poradzisz – oznajmia, jak gdyby nigdy nic i siada z powrotem, zakładając włosy za ucho. – I to nie moje – dodaje.

– Moje też nie. – Odrzucam worek. Ona robi to samo i tak w kółko, do czasu, aż słyszy za sobą głos Niccola. Wtedy wpycha ten prezent, będący dowodem jej niezwyklej hojności, a przede wszystkim bezdennej głupoty, w miskę z sałatką.

– Od razu mogłam tak zrobić – szepcze i przybiera minę niewiniątka. – Ile grozi za taką ilość?

– Zero, kurwa. Mogłabyś tu postawić paletę koksu, a i tak byłoby jedno, wielkie, jebane zero.

Takie samo, jakie siedzi przede mną – odpowiadam.

Wlepia wzrok w talerz, bo zrozumiała przekaz.

– Cześć, Russo. – Witam się z karabinierem, a on wyciąga komórkę i odblokowuje ekran.

– Nie chciałem wam przeszkadzać, ale mamy problem. Znacie ją?

Ferro sięga po telefon, kręci głową, a następnie przekazuje go dalej. Krąży od osoby do osoby, aż w końcu ląduje w rękach Efasta. Przygląda się zdjęciu, unosi na moment wzrok i wlepia go we mnie. Również przeczy. To samo robi jego żona. Nadchodzi kolej Almy.

– Znasz ją? – dopytuje Russo.

– Nie. Nigdy jej nie widziałam. – Mówi to tak pewnie, jakby sama chciała w to uwierzyć, więc tego nie kupuję. – Jak widać nikt jej nie zna i do widzenia.

Nachylam się i zabieram komórkę z jej ręki, bo ewidentnie coś kręci.

– I oto jest nasza zguba! Basima! – krzyczę, a Efasto kaszle. – Moja zguba! – poprawiam się. – Masz ją? – zwracam się do Russo.

– Tak, siedzi w radiowozie i... – Macha ręką. – A zresztą, przyprowadzę ją, to wszystko wyjaśnicie. Ja muszę się zaraz zbierać. – Patrzy na zegarek.

Russo odchodzi, a Alma zrywa się z miejsca i nerwowo rozgląda, jakby nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Zerka na Etnę, ale ta siedzi ze spuszczoną głową, schowana za kotarą czarnych włosów. Efasto z kolei zasłonił twarz weselnym menu. Jednak zanim to zrobił, posłał mi wkurwione spojrzenie, mówiące: „Już nie żyjesz”. No cóż. Pieprzone przez niego konsekwencje, w tym przypadku dosłownie, nadchodzą wielkimi krokami. Alma odwraca się w moją stronę. Unoszę pytająco brwi, a ona rozpoczyna szaleńczy sprint dookoła stołu, potykając się o własne nogi. Przystaje przy Etnie i szarpie ją za ramię, ale ta ani drgnie, więc ponownie patrzy na mnie, nabiera powietrza i podbiega, stając przy moim krześle. Pochyla się, opierając dłonie na swoich kolanach i mówi:

– Obroń mnie tak, jak zrobiłeś to w lesie. Dobra?

Jest zdyszana. Sprawia wrażenie zdesperowanej. Śmieję się, a Alma zerka na stojącego przy wejściu do ogrodu Russo. Towarzyszy mu Basima.

– Jezu, ale ona jest wielka – sapie i zaciska rękę na moich policzkach. Tak, jakby chciała wymusić skupienie uwagi na swojej stukniętej osobie. Gdy to robi, czuję, jak drżą jej palce. Najlepsze uczucie na świecie. To, wywołane tym całym drżeniem.

Obejmuję ją w talii i wciągam na kolana, sadzając bokiem. Jest zaskoczona, a jej spojrzenie to jedno wielkie kotłowisko emocji. Chciałbym uchwycić chociaż jedną, dominującą, żeby zrozumieć, co dzieje się w tej pięknej głowie. Przez moment odnoszę wrażenie, że dusza Almy będzie mi bardzo ciężki, więc potrząsam łbem, żeby wyrzucić tę natrętną myśl.

– Co dzieje się w twojej głowie? – pytam wprost. To błąd, bo teraz nie tylko jej spojrzenie i wyraz twarzy, ale cała ona to jeden wielki chaos. Na przemian spina się i rozluźnia, jęczy, przygryza wargę, wierci się, ale nie spuszcza ze mnie wzroku. I to jest, kurwa, dziwne. – Mów, bo – zerkam ponad jej ramię – są już blisko – kłamię, żeby wyrzucić presję.

Prostuje się, nabiera powietrza i wyrzuca z siebie na wdechu:

– Co ci szkodzi obronić? Mogę coś obiecać lub dać w zamian. Ja nie łamię obietnic. – W złości marszczy brwi. – Skoro ty nie dotrzymujesz słowa, to proszę, żebyś oddał mi ten papierek z lasu, bo nie mogę żyć w takiej niepewności i napięciu. Kto wie, czy za parę lat nie zgłosisz się po nerkę, czy po coś, co tam sobie uroisz. Ja chciałam być twoją żoną, bo nie chcę kogoś – odchyła się nieco, żeby spojrzeć na mnie z szerszej perspektywy – jeszcze dziwniejszego od ciebie, ale skoro ty nie chcesz, to po prostu się odczep – sapie. – Gdy mnie już obronisz – dodaje.

– A kto ci powiedział, że nie chcę? Z czym, masz, kurwa, problem?

Odsuwa się, ale łapie ją za udo. Jest tak cudownie zimne, że najchętniej bym się w nie wtulił, żeby ostudzić gorącą głowę.

– Powiedziałaś, że się żenisz i ofiarowałeś pierścioneł, żeby zamknąć mi usta. Przeraza cię myśl, że dowiem się, kim jest twoja dziewczyna i powiem jej, że czasem patrzysz w moje oczy tak, jakbyś był zakochany. Do tego bez żadnego skrupowania i przy każdej nadarzającej się okazji kładziesz na mnie rękę. – Zerka na moją dłoń.

Wybucham śmiechem. Co za niemądra, naiwna istota.

– I to niby ja mam urojenia? Nie będę odnosił się do tych niedorzeczności. Od razu opiszę ci moją wybrankę, żeby ułatwić ci identyfikację, zgoda?

Alma potakuje z zapalem.

– Ubiera się jak przewodnicząca kółka różańcowego, ale niech cię nie zmylą pozory. – Unoszę palec. – Jest bardzo gorąca, mimo że zimna jak lód. Sprzeczność. Brzmi znajomo?

Przeczy, więc kontynuuję:

– Jej włosy przypominają gniazdo wróbla apenińskiego. Poplątane w chuj. Ciągłe nic? Ma uśmiech jak Harley Quinn, na pół gęby, obgryzione paznokcie i miękki tyłek. Nie tylko w przenośni. Wiem, bo czuję.

Na jej twarzy pojawia się zrozumienie, ale nic nie mówi.

– Jeśli ją spotkasz, to przekaż, że słowo Diabła jest warte tyle, ile sam chce, żeby było. A gdy obieca, że zrobi z jej życia piekło, jeśli nie przestanie ćpać, kłamać i kręcić, to tej obietnicy również dotrzymanie. Jasne jak słońce w raju, duszyczko?

– A, bo ja wcześniej nie rozumiałam. – Przygląda się pierścionkowi. – To jakby hura!, bo wizja ślubu z jakimś starym przykiem odchodzi w zapomnienie. – Poklepuje mnie po ramieniu, jakby gestem chciała przekazać: „Dobra robota, gościu”.

– I tylko dlatego zależało ci na dotrzymaniu przeze mnie słowa. Dobrze rozumiałem?

– No raczej. Chyba nie wzniosłeś się na wyżyny naiwności i nie sądzisz, że powodem jest beznadziejne zauroczenie lub że wyobrażam sobie twoją szaloną osobę przed zaśnięciem. – Znów mnie klepie. – Wyszło zabawnie – mówi nerwowo. – Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. – W jej głosie coraz mniej pewności. – Ładny pierścionek. – Przełyka ślinę. – Zaręczynowy. – Wygląda, jakby miała się rozryczeć.

– Po mojej matce. Mam nadzieję, że nie skończysz tak, jak ona i historia nie zatoczy koła – rzucam, a ona patrzy na mnie pytająco. – Zacięła się na śmierć. – Tym razem to ja ją klepię, tyle że w udo i podążam wzrokiem za przechodzącym obok Serafinem.

– On przeprosił. Powiedział, że nie chciał mnie obrazić ani przestraszyć.

– Uwierzyłaś mu?

– Oczywiście, dlaczego bym nie miała? – pyta z oburzeniem. – Czasem każdemu zdarzy się powiedzieć coś niemiłego.

Przyglądam się jej.

– Ty mówisz poważnie. – Śmieję się gorzko i zerkam ponad jej ramię, bo do stolika podchodzą policjant i Basima.

– Długo zeszło, bo poszliśmy jeszcze do łazienki. Musiała się trochę obmyć. – Russo wskazuje na Basimę. Wygląda na tak wymęczoną, jakby dopiero co przeorała pół albo i całe pole. Alma najwidoczniej nie ma zamiaru witać się z nowoprzybyłym gościem. Nie odwraca głowy, siedzi sztywno i wpatruje się we mnie, zaciskając usta. – Znalazłem ją w starych magazynach przy stacji Eni. Do kwestury zadzwonił taksówkarz, który podwiózł tam wczoraj młodą dziewczynę. Chyba się o nią martwił, bo polecił sprawdzić, czy nie dzieje się tam nic niepokojącego.

– Byłam przetrzymywana! – wrzeszczy Basima i zajmuje krzesło, na którym wcześniej siedziała Alma. – Gdyby nie pan policjant, na pewno byłabym już martwa! Takie wariatki torturowały mnie słowem i nie tylko. Jedna gorsza od drugiej.

Alma zaciska powieki.

– Możesz już iść – mówię do Russo. – Dzięki, że ją przywiozłeś.

Odchodzi, a Basima trzęsącymi się dłońmi wpycha do ust jedzenie.

– Dlaczego mnie nie szukaliście?! – docieka zirytowana. – A zresztą, po co pytam. Pewnie nawet nie zauważyłeś, że zniknęłam. – Macha ręką z rezygnacją. – Czyj to ślub? – Unosi głowę i zerka na stojącego przy niej Niccola.

– Etny i Efgesta.

– Nie mów. – Wytrzeszcza oczy. – A taki był we mnie zakochany.

– Co?! – Etna wstaje gwałtownie i zaciska pięści. Nagle przestało jej zależeć na skutecznym

kamuflażu.

– To ty ogłuszyłaś mnie pistoletem! – Basima celuje w nią palcem.

– I zrobiłabym to jeszcze raz! Byłeś w niej zakochany?! – Wrywa menu z rąk Efesta.

– Jasne, że nie.

– To dlaczego ona tak sądzi?

– A bo ja wiem? – Efesto wzrusza ramionami. Chce coś dodać, ale Niccolo wchodzi mu w słowo.

– Dlaczego niby Etna miałaby robić ci coś złego? – Zakłada ręce na piersi.

– Ona działała na zlecenie takiej drugiej, która była mózgiem operacji i zwabiła mnie do magazynu, mówiąc, że ma ciuchy znanych projektantów za śmiesznie niską cenę. Głupia byłam, że uwierzyłam, ale łachy to ja lubię – tłumaczy Basima. – Cały czas powtarzała, że porwała mnie dla mojego dobra. – Rozgląda się dookoła. – Nie widzę jej tu, ale miała uśmiech jak Joker.

Alma patrzy mi prosto w oczy. Ma taką niewinną minę, a przecież oboje wiemy, że mowa o niej. Przyciągam ją do siebie i szepczę jej do ucha:

– Jesteś troszkę popierdolona, co?

– Miałam dobre chęci – sapie cicho.

Wiadomo. Nimi wybrukowane jest piekło. Od momentu, gdy pierwszy raz spojrzałem w jej oczy wiedziałem, że odpowiednio zadba o nasze domowe ognisko. Ha.

– Przez większość czasu pilnowała mnie taka ogolona na łyso dziewczyna. Ta to dopiero była dziwna. – Basima łapie się za głowę. – Fanatyczka religijna. W kółko machała różańcem i krzyczała: „Wiara jest moją siłą, moim mieczem, a siła to ja!”. Płakała, śmiała się, mówiła do siebie. Jej bałam się najbardziej, bo nieobliczalne to takie. Nawet policjant nie był w stanie jej dogonić.

– Nieprawda! – Alma zeskakuje z moich kolan i odwraca się w stronę Basimy. – Masz skłonności do konfabulacji! Moja przyjaciółka taka nie jest!

– O, i oto ten cały mózg. – Basima się krzywi. – Specjalnie usiadłaś plecami do mnie. Ona – wskazuje ruchem głowy na Almę – wmawiała mi, że mam syndrom sztokholmski. Tysiąc razy powtarzałam jej, że chcę wrócić do klubu i tańczyć na rurce, a ta wciąż swoje.

– I znów nieprawda! Ona – celuje palcem w Basimę – mówiła mi, że jest przetrzymywana w klubie i zmuszana do tego i owego. – Wzrusza ramionami. – I że to najgorsza praca pod słońcem i nikomu jej nie życzy. Nawet wrogowi. I jeszcze, że robi to za darmo. Dlatego pomogłam i wszystko zorganizowałam. Skoro tak.

Gallo przypatruje mi się i kręci palcem przy skroni.

– Tak było? – pyta Niccolo, a Basima głośno wzdycha.

– Jezu, powiedziałam tak, ale...

– Mówiłam. – Alma zadziera brodę.

– Chciałam po prostu cię zniechęcić. Rety, tłumaczyłam ci to sto razy w magazynie! – warczy Basima. – Myślałam, że chcesz się zatrudnić w klubie, a to mi było nie na rękę. No, bo spójrzcie na nią. Taki, kurwa, aniołek. W wyobraźni już widziałam, jak sprząta mi wszystkich klientów sprzed nosa. Dlatego przedstawiłam tę pracę w samych negatywach. Logiczne, ale nie dla niej. – Unosi palec. – To nie wszystko. Ona poszła o krok dalej. Jutro mieli po mnie przyjechać przemytnicy, bo zorganizowała mi transport do Tunezji, no co za głąb!

– Chciałam uratować ci życie, tak? – Alma skubie skórki u rąk. – Wydałam na ciebie wszystkie pieniądze!

– Raczej odebrać. Też ci to tłumaczyłam, ale jak ty sobie coś ubzdurasz, to nie ma mocnych.

– Opowiedz mi o tym transporcie, jaki jej zorganizowałaś. – Chwytam ją za rękę.

– Co tu opowiadać? – oburza się. – Zwykła podróż z Syrakuz do Tunezji. – Wzrusza ramionami.

– Do tego z wygodami, za które dopłaciłam. Mam na myśli posiłki i jeden przystanek po drodze.

Patrzemy na siebie z Gallem i wybuchamy śmiechem, a Efesto wygląda, jakby z jego uszu miał zaraz buchnąć ogień.

– Zapewne przystanek na pięknej Lampedusie? Wyspie z uroczym portem i piaszczystymi plażami? – pyta ironicznie Efesto. – Ale wy, kurwa, jesteście mądre. – Łypie wzrokiem na Etnę, która schowała twarz w dłoniach.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że to byłby pierwszy i ostatni przystanek? – dorzucam swoje trzy grosze.

– Ostatnim byłaby Tunezja – mówi pewnie Alma.

– I weź z taką gadaj – jęczy Basima. – Nie dociera do ciebie, że nikt by mnie nie dostarczył do Tunezji i że tak naprawdę zapłaciłaś za to, żeby mnie wypatroszyli? Nawet za to dopłaciłaś. Wiesz, że już raz odbyłam taką podróż, tylko z Tunezji na Sycylię? Kuter był tak przeładowany, że powypadaliśmy za burtę, a ci, którzy byli zamknięci w kotłowni, po prostu się podusili. Straciłam wtedy całą rodzinę. Na Lampedusie pobraliby ode mnie organy i to byłby, kurwa, mój ostatni życiowy przystanek.

– My jesteśmy niewinne. – Alma kładzie dłonie na biodrach. – To dla ciebie przestroga, żeby nie kłamać. Wszystko zaczęło się od twojego kłamstwa. – Wzrusza ramionami. – Ale mimo to przepraszam. Nie chciałam sprawić ci przykrości, tylko pomóc. – Obgryza paznokcie.

– Naiwna i niewinna – kwituje Basima, a siedząca obok mnie Patricia chichocze. – Tak, jak wspominałam, istny aniołek. – Przewraca oczami.

– Może i naiwna, ale na pewno nie niewinna – wtrąca Patricia. – Wieści w rodzinie szybko się rozchodzą. Każdy wie, że sypiasz z kim popadnie, załatwiasz jakieś papierki od ginekologów i nie możesz znaleźć męża, bo nikt nie chce puszczalskiej zdziry. No co? – Patrzy na Alnę. – Mam się zamknąć?

– Tak, poproszę. – Alma odpowiada drżącym głosem. – Najpierw przymilasz się do mojego... – Pociera czoło. – Do niego. – Kładzie dłoń na moim ramieniu. – A teraz jeszcze mnie przedrzeźniasz, obrażasz i opowiadasz takie rzeczy, że – łamie jej się głos – ja, ja na pewno tego nie wytrzymam – wydusza. – I, i muszę już stąd iść. Podaj mi moje rzeczy. – Wystawia rękę w stronę Basimy.

– Co?! – Basima rzuca torebkę, którą Alma łapie w locie. – Sugerujesz, że jesteście razem? Nie wiem, komu bardziej współczuć. – Wachluje się dłońmi. – Wiesz co, aniołku? Wybaczam ci. Życie wystarczająco cię już skopało.

Spinają mi się mięśnie karku, a po kręgosłupie przebiega nieprzyjemne mrowienie. Kręcę głową, oczekując rozluźnienia, ale wiem, że przegapiłem ten newralgiczny moment, w którym działanie to miałyby jeszcze jakikolwiek sens. Rozpościeram ramiona, chcąc się przeciągnąć i kładę rękę na głowie Patricii. Drugą szturcham niechcący stojącą obok Alnę.

– Przepraszam – mówię, zerkając na nią.

– Za co? – Przystępuje z nogi na nogę. – A, już wiem. Spodziewałam się tego. – Mruga szybko. – W sumie mogłabym wyjaśnić, bo to nie do końca tak, jak wygląda, ale dobra, rozumiem. Zresztą i tak już muszę iść. – Zaciska pięści.

– Zmykaj. – Odganiem ją ruchem dłoni.

Nie mam pojęcia, po co wrzuca pierścionek do mojego kieliszka, co ta szopka ma na celu. Zanim zdążę zapytać, ucieka. Gallo rusza za nią, a ja głaszczę włosy Patricii, by wreszcie zacisnąć je w garści.

– Co robisz? – pyta spanikowana, próbując odgiąć mi palce i uwolnić kudły z uścisku. – To boli!

– Masz bardzo brzydką duszę. – Moją uwagę zwraca kręcący głową Efesto. Nie wiem, co ten gest oznacza w ich rodzinie. Być może, podobnie, jak w mojej, po prostu „nie”.

– Proszę, puść mnie.

– A pobawisz się ze mną? – Nachylam się, żeby spojrzeć jej w oczy. – Jeśli tak, to słowo Diabła, że nie tknę cię palcem. To jak, chcesz spędzić czas kreatywnie?

Potakuje, więc ją puszczam. Efesto unosi kciuk. Ewidentnie jest ze mnie dumny.

– W co chcesz się niby bawić? – warczy.

– Nie tak nerwowo, dobrze? Nie chciałbym, żeby udzielił mi się twój nastrój. Sama dobrze wiesz, jak trudno zapanować nad tym, co się mówi i robi.

– Ja potrafię nad sobą panować – fuka. – Chodzi ci o to, co powiedziałam Alnie?

– Potrafisz, tylko nie chcesz, tak? Łączy nas tak wiele. – Szczerzę się i robię z palców rogi. – Wybierz jedną rzecz ze stołu i ją rozwal. – Od razu sięga po porcelanową miskę i uśmiecha się szeroko. Nie jestem zdziwiony. To w końcu świetna zabawa. – Nie wytłumaczyłem zasad, a ty już zdążyłaś wybrać. – Wzruszam ramionami. – Woda, w której się kąpiemy jest bardzo gorąca, co?

– No dobrze i co teraz? Rozbić o ziemię?



– Jak to dobrze, że to nie ty wymyślasz zasady. – Obejmuję głowę, jakbym się zamartwiał. – To byłaby najnudniejsza zabawa na świecie! A nuda jest straszna!

– To o co mam uderzyć? – Patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– O głowę. – Poklepuję ją po czaszce. – Trudne? Kurwa, tak myślałem. – Drapię się po czole. – No dobra, skoro grasz w to pierwszy raz, to dam ci fory. Zrób na odwrót. Poziom nowicjusz. Nie uderzaj miską o głowę, lecz głową w miskę. Super? – dopytuję, ale nie odpowiada. – Mam nadzieję, że tak, bo jestem z tych, którzy aż trzęsą się w środku, gdy ktoś podważa zajebistość wymyślonej przez nich zabawy. – Przyglądam się jej. – Nie czaruj mnie tym spojrzeniem. – Zasłaniam oczy. – No i za późno. Najwyraźniej mam do ciebie słabość – jęczę. – Ustaw ją dnem do góry, ale to koniec, serio, nie wymuszaj kolejnych ułatwień.

– Jesteś nienormalny.

– Wiem – przyznaję. Nie będę się kłócił. – Jeśli będziesz potrzebowała pomocy, to mów. Pomaganie innym to mój konik. Zaczynaj.

Postukuję palcami o stół i uśmiecham się do siedzącej naprzeciwko Basimy, zdecydowanie niepodzielającej mojego dobrego humoru. Tak właśnie kończy się uszczęśliwianie kogoś na siłę. Alma jest w tym naprawdę dobra. Może i mógłbym poprawić jej nastrój, kreatywność to przecież moje drugie imię, ale uprzedza mnie Ferro. Zarzuca koc na jej ramiona, zgarnia na tackę trochę żarcia i mamrocząc pod nosem rzuca w przestrzeń coś w stylu: „Odwiozę ją do klubu”. Skoro tak, zerkam na Patricję, moją kompankę do zabawy, bo ewidentnie ma jakiś problem, a kim bym był, gdybym nie pomógł jej go rozwiązać?

– Nie zrobię tego – sapie. – Nie potrafię z własnej woli uderzyć w miskę głową.

– Smuteczek – cmokam. – Pomóc?

– Dobra, przykro mi, że tak nagadałam Almie. Zadowolony?

– Żałuję, ale nie. – Śmieję się. – O! – Przykładam dłoń do ucha. – Też to usłyszałaś? To coś w moim śmiechu. Aż sam się przeraziłem tą złowrogą nutą. – Wzdrygam się. – Chyba muszę uciszyć cię na wieki, żebyś już więcej mnie nie rozśmieszała. Ja naprawdę nie chcę się bać.

– Ty mówisz poważnie.

W końcu to do niej dotarło.

– Śmiertelnie. Bawmy się w końcu! – wydzieram się, a ona wali łbem w miskę, która rozpada się na dwie części. Unosi głowę i patrzy na mnie tymi pięknymi, załzawionymi oczami. – Nie wyszło, co?

– Wyszło, rozwaliłam i daj mi już spokój. – Pociera zaczerwienione czoło. – Boli mnie mózg.

Śmieję się dobrotliwie.

– Rozpadło się na dwie części, a powinny być cztery. Mówiłem o tym, gdy tłumaczyłem zasady.

– Żartujesz? Nic takiego nie powiedziałaś.

– Powiedziałem. Naprawdę. Słowo Diabła. – Kładę dłoń na piersi. – Jeszcze raz. – Chwytam ją za kark. – Albo i kilka. Zależy. Rób to do skutku, a ja w tym czasie coś zjem. – Puszczam ją i poklepuję pokrzepiająco w ramię. – Nie musisz mi życzyć smacznego.

– W ciągu całego swojego życia nie widziałam tak podłego człowieka – wydusza.

– Nie wierzę, że nigdy nie przeglądałaś się w lustrze.

## ROZDZIAŁ 5

### *Alma*

Ojciec zawsze powtarzał, że absolutnie, przenigdy i w życiu nie będziemy mieć psa. Śmierdzą, mają pchły i głośno dyszą. Mimo że, o dziwo, nie używał wtedy argumentów siły, żadna z nas nie wątpiła, że przynajmniej przez czas, kiedy mieszkamy pod jego dachem, pragnienie posiadania czworonoga pozostanie w sferze marzeń. Zapewne dlatego jestem dezorientowana, gdy przez pogrążoną w półśnie podświadomość przedziera się niewątpliwa, ale mokra przyjemność. Ciepły język sunie niespiesznie po moich policzkach, brodzie, nosie i skroniach, by chwilę później obdarować pojedynczymi, szybkimi liźnięciami. Czuję na sobie przyjemny ciężar i jest mi tak miło, kiedy otula mnie zmysłowy, nieoczywisty korzenny zapach. Wyczuwam nutę słodko-gorzkiego cynamonu, olejek drzewa sandałowego, nutkę odprężającego aromatu lawendy. I truskawki. Puls przyspiesza. Znam ten zapach i nie mam wątpliwości, że liże mnie dziki zwierz!

– Mephisto!

Ściskam mu policzki i próbuję odseparować nasze twarze, ale napina mięśnie karku i odciąga moją rękę. Odchyła głowę, wierci się, napierając na mnie całym sobą podczas próby dobrania najwygodniejszej dla siebie pozycji. W końcu znajduje ją, rozchylając mi nogi. Dopasowuje się do mnie i, mimo że barierą między nami są nie tylko moje majtki, ale też kołdra, to i tak wiem, że zaraz dokonam żywota.

– Co tu robisz? – wyduszam. – I złaż ze mnie.

Kładę dłoń na jego szyi, gdy opiera się na przedramionach i rękami obejmuje moją głowę, patrząc mi w oczy. Przełykam ślinę. Oko w oko z Diabłem. Dziki spojrzenie, mówiące: „I co mi zrobisz?”, usta rozciągnięte w niegrzecznym, dziecinnym uśmiechu i to niezidentyfikowane, zupełnie nieznanne, lecz przepelniające od palców stóp do czubka głowy uczucie odbierania mi tego, co moje. Z każdym hipnotyzującym mrugnięciem, ruchem usmolonych rzęs tracę oddech. A kiedy uświadamiam sobie, że mam nad sobą nieobliczalnego Diabła i że nie jestem w stanie przewidzieć jego kolejnego ruchu, wpadam w panikę.

– Ja mam klaustrofobię. Przytłaczasz mnie. Mam zaplątane nogi. Duszę się. – Macham na oślep rękami. Mam wrażenie, że im bardziej histeryzuję, tym głębiej zatapiam się w materacu.

– Zawsze tak długo śpisz? – Mephisto przygląda mi się, marszcząc brwi i całkowicie ignoruje to, co do niego mówię. – Już siódma – oznajmia, jakbym przespała co najmniej śniadanie, obiad i deser, a nie jakby był cholerny środek nocy! – Pomogę ci, bo już odebrało ci mowę. Musisz trochę zwolnić. – Uśmiecha się pod nosem. – Nasza znajomość rozwija się zdecydowanie zbyt szybko. Po kolei. – Kładzie rękę na mojej, zaplątanej w kołdrę, nodze, odsłaniając ją. To samo robi z drugą. – Lepiej?

– Nie, bo nie mam na tyle długich nóg, żeby cię nimi objąć i udusić – syczę. – Mów, co tu robisz albo – czuję, że cała się trzęsę – albo pożałujesz.

Śmieje się i obdarza mnie spojrzeniem, którego za nic nie potrafię zinterpretować. Nie wiem, czy oznacza „Nie bądź głupia”, a może jednak: „Uwielbiam, jak się złościć”. Coś każe mi sądzić, że taka interpretacja byłaby zbyt oczywista, a ostatnie, co mogę powiedzieć o pochylającym się nade mną człowieku, to, że jest przewidywalny. Przez głowę przemyka wizja, w której obraca mnie na brzuch, podciąga mi koszulkę i nastaje długa, głucha cisza. Myśl, że mogłoby do tego dojść, jest paraliżująca. Nie mam wątpliwości, że widok krwawych rysunków nawet jemu odebrałby mowę. Bylibyśmy kwita. On jednak nie planuje tego zrobić, a przynajmniej nie w tej chwili. Znowu obejmuje moją głowę i przez moment, zaledwie chwilę, dostrzegam w jego oczach coś, co sprawia, że czuję się jeszcze słabsza. Jakąś troskę, a może raczej pieprzoną litość. Mam nadzieję, że piekielna siła ma go pod swoją opieką, bo, kurwa, przesadził! Uderzam czołem w jego nos i nie żałuję tego. Absolutnie. Przez jakieś dziesięć sekund. Mniej więcej tyle czasu czuję się jak niezwykła Lara Croft, a chwilę później marzę już tylko o tym, żeby być kamforą. Ulotnić się, po prostu wyparować.

– Och, kurwa – syczy i wtula twarz w położoną na mojej piersi kołdrę. Serce wali mi jak szalone.

Mephisto porusza głową, pocierając nosem o materiał. I nic nie mówi. To jest najgorsze albo najlepsze. Sama nie wiem. – Już cię rozgryzłem – oznajmia w końcu, nie unosząc głowy. – Warto było dostać z główki, żeby potwierdzić teorię. – Wzdycha. – Musisz zapamiętać jedną rzecz, duszyczko. Gdy zrobisz mi coś raz, uznam to za impuls, mocno naciągany, ale jednak przypadek. Powtórzenie tego za działanie z premedytacją. Nie rób Diabłu tego, co tobie niemiłe. – Opiera się na przedramionach, wracając do poprzedniej pozycji. Patrzy na mnie, mięsień jego szczęki się porusza, ma czerwony nos i krew nad wargą. Zerka na kołdrę. – Wszystko ujebane.

– Przepraszam, ja nie chciałam tego zrobić, ale...

Wybuch głośnym śmiechem.

– Słowo „przepraszam” i kłamstwo w jednym zdaniu, do tego mówione przesiąkniętym niewinnością tonem. Mówiłem ci ostatnio, żebyś uczyła się od najlepszych, ale wolniej? Wytłumaczę ci, co się wydarzyło. Chcesz?

– Wiem, co. Zakradłeś się do mojego pokoju i do tej pory przyciskasz mnie do materaca i dusisz.

– To jakiś nieskuteczny ze mnie dusiciel, skoro nadal żyjesz. – Przeciera nos i się krzywi. – Wiesz, kiedy zaczęłaś się niby dusić? Gdy zorientowałaś się, że to mnie masz nad sobą. Nie zacząłem nagle bardziej przyciskać cię do materaca. Do tej pory podpieram się na przedramionach, zupełnie tak, jak wcześniej.

„Czuję na sobie przyjemny ciężar”, pomyślałam, zanim uświadomiłam sobie, że mam nad sobą Diabła.

– To nie ja cię duszę – mówi dalej – tylko twoje, jakkolwiek dennie to zabrzmia, uczucia. A ponieważ nie miałaś pojęcia, jak się z nimi uporać, zareagowałaś złością, kiedy z premedytacją posłałem ci pełne współczucia spojrzenie.

On nie ma pojęcia, że uderzenie go wcale mi nie pomogło. Nawet jakoś nieszczególnie zabolowało mnie czoło. A widok jego krwi nie uspokaja w najmniejszym stopniu.

– Wszystko, co uwiera tu – stuka palcem w moją głowę – musi znaleźć ujście. Jeśli chcesz, mogę nauczyć cię strzelać z łuku. W ten sposób rozładujesz emocje i poradzisz sobie z wrażeniem, jakie na tobie wywieram. – Wyszczorza zęby w uśmiechu.

Nie potrafię go rozgryźć. Kompletnie nie wiem, co mu w duszy gra i czego się po nim spodziewać. Tak jak teraz. Proponuje mi coś miłego i uśmiecha się szeroko, a jednocześnie patrzy tak, jakby tylko marzył o tym, żeby strącić mnie w przepaść, zamknąć na dziesięć spustów w podmokłym lochu i przelecieć. O ile dwa pierwsze to jedynie przypuszczenia, trzeciego jestem pewna. Nawet przez ubrania i będący skuteczną separacją materiał kołdry czuję, jak na mnie napiera.

I правда, zgadzam się, przyznaję mu rację, to on jest przyczyną mojego bezdechu. Ja nie potrafię zapanować nawet nad włosami, a tu, o, król piekła, władca pieprzonego tlenu i samozwańczy lekarz duszy, który ma w rękawie tysiąc różnych spojrzeń i uśmiechów. Mógłby sobie darować dopasowywanie ich do sytuacji i okoliczności, skoro i tak nie wiadomo, o co mu chodzi i co w tym szatańskim łbie się rodzi. Gdy zapraszam go do swoich wyobrażeń, robi dokładnie to, czego chcę. Z łatwością mogę nad nim zapanować, a jeśli poniesie mnie fantazja i sytuacja wymyka się spod kontroli, po prostu otwieram oczy i wracam do rzeczywistości. Mając go na wyciągnięcie ręki, czując realne ciepło jego ciała, wychodząc naprzeciw nieoczywistemu, nie jest tak łatwo. Dlatego gdy jest obok, nie spuszczam z niego wzroku. Nawet, kiedy zostaję przyłapana na żenującym wachaniu pierścionka. Może przywłaszczać sobie wspólny tlen, wywoływać we mnie uczucia, których nie potrafię posegregować, ba, nawet opisać, ale moja dusza nigdy się przed nim nie ugnie. Nie boję się patrzeć Diabłu w oczy. Odczuwam strach jedynie przed tym, co w nich ujrzę.

– Z wrażeniem, jakie na mnie wywierasz? – Kręcę głową z niedowierzaniem. – Zdajesz sobie sprawę, że owszem, sprawiasz wrażenie, ale obłąkanego?

Mephisto śmieje się i palcem odgarnia mi włosy z czoła.

– Czekaj, coś ci pokażę. – Podnosi się, klęka i przeszukuje kieszenie spodni. Wyciąga z nich pogniecione papierki. – Moment, bo mam tego pełno. – Uśmiecha się i jak zwykle ekscytuje niczym. – Dobra, jest. – Porusza karteczką, a resztę chowa. Kładzie się na mnie, podpierając, jak wcześniej, na przedramionach. – Przeczytaj. To moja riposta na to, co powiedziałaś. – Unosi świstek na wysokość

mojego wzroku.

– Trafiał swój na swego. – Krzywię się, a on parska śmiechem. – To mój charakter pisma. Miałaś tę karteczkę pod weselnym talerzem? I to nie cała myśl, potargała ci się ta kartka.

– Taa, bo wyrwałem ją takiemu gościowi. – Szczerzy się. – Mam ich kilkanaście.

– Co?! To nieuczciwe! – Odpycham go, kładąc dłoń na jego ramieniu. Mrugam kilkakrotnie, bo nie wierzę w to, co widzę. Na palcu mam truskawkowy pierścionek. – Zabrałaś kartki spod nakryć innych ludzi? – Nie dowierzam. – I oddałaś mi pierścionek?!

– Co z tego? Pójdę za to do piekła? Nie wierzę, że ty tylko swoją. – Pstryka mnie w nos. – Najgłośniej, że coś jest nieuczciwe, krzyczą ci, którzy sami kantują – mówi pewnie.

– Ja wzięłam swoją i Francesca, ale...

– Ha, wiedziałem! – wykrzykuje. – A pierścionka nie oddałem, bo nigdy go nie zabierałem. – Wzdycha.

– Ja myślałam, że...

– Wiem, co myślałaś. Zorientowałem się po czasie. – Ponownie mi przerywa. – Nie twórz problemów i nie doszukuj się ich tam, gdzie ich nie ma. Nie przeszkadza mi to, że nie jesteś dziewicą. Nawet lepiej. – Uśmiecha się pokrzepiająco.

– Jak to lepiej?

– Ta cała krew, jakieś podchody, żeby móc po prostu zaliczyć. – Wykrzywia twarz w grymasie. – Mizianie, delikatność i konieczność oszukiwania po fakcie, że było świetnie. Ja naprawdę nie lubię kłamać. – Śmieje się cicho. – W skrócie, brzmi jak przeciwieństwo dobrej zabawy, nie? Poza tym, co zapewne czujesz, mój kutas też jest nadpobudliwy, więc na pewno dogada się z twoją niespokojną cipką – rzuca lekko, a mnie znów zaczyna brakować powietrza. – Przed nami trudne wyzwanie, ale jakoś to będzie – stwierdza jakby od niechcenia.

– Wyzwanie?

– A jak inaczej nazwiesz bycie wiernym? – Unosi brwi. – Na razie idzie mi świetnie, od wczoraj z nikim nie spałem i w sumie to jestem z siebie dumny. – Błyszczą mu oczy. – Trochę mnie nosi i mam ochotę biegać w miejscu, ale gdy leżę na tobie, odrobinę mi lepiej.

Mógłby sobie darować to bycie nad wyraz szczerym.

– Od wczoraj z nikim nie spałeś – powtarzam głucho, a Mephisto kładzie palec na moich ustach.

– Ty mi się nie zwierzaj. Czuję, że mógłbym się wkurwić. A teraz wstawaj. – Poklepuje mnie po nodze. – Kto rano wstaje, temu Diabeł daje.

– Czy to normalne, że boję się zapytać, co?

– A ta cała normalność to jakiś pieprzony wymóg? – oburza się. – Zamknij oczy i otwórz usta.

– Boję się – wyduszam. – Tak odrobinę, ale zrobię to – dodaję, widząc, że skrzywił się na to wyzwanie.

– Lepiej usiądź. – Rusza ręką, sugerując, że mam się podnieść. – Nie chcę, żebyś się zakrztusiła.

Wytrzeszczam oczy, ale spełniam jego prośbę. Otwieram buzię. Czekam. Mephisto się śmieje.

– Nie tak szeroko. Powiedziałaś, że się boisz, więc będzie wersja dla strachliwych dziewczynek.

– Łapie mnie za brodę i unosi ją, lekko przymykając moje usta.

Wyczuwam, że się porusza, materac ugina się pod jego ciężarem, aż w końcu w mojej buzi łąduje... landrynka.

– Truskawkowa, moja ulubiona – stwierdzam fakt. – Twoja też?

Mephisto potakuje, energicznie zeskakuje z łóżka i podchodzi do okna. Przesuwa firanę, otwiera je na oścież i bierze głęboki wdech.

– Podejź.

– Nie jestem ubrana.

– No i? Masz koszulkę i majtki. Nie daj się prosić. – Składa ręce jak do modlitwy i uśmiecha się szeroko.

Nawet nie pytam, skąd wie, że mam je na sobie. Pewnie sprawdził, zanim wylizał moją twarz. Co za człowiek! Podchodzę do niego i od razu podskakuję w przestachu, bo rozpościera ręce i się wydziera:

– Bój się, świecie, wstaliśmy!!!

Szybko przykładam dłoń do jego ust.

– Ciszej, zaraz przyjedzie tu mój ojciec. – Panikuję. – I w ogóle, po co tak krzyczysz? – Zataczam kółka na skroniach.

– Bo lubię. I nie bój nic, skoro ja się nie boję, ty też nie musisz. – Znów się szczerzy i przymyka oczy. – O czym szumią dziś czarne topole? – rzuca w przestrzeń, a ja jestem pewna, że patrzę na niego jak na wariata. – O tym, że duszyczka nie jest spakowana, a Diabeł spieszy się do pracy.

– Nie sądziłam, że Gallo, gdy podwoził mnie do domu, był poważny, mówiąc, że mam się spakować. I w ogóle to jestem umówiona z przyjaciółką o dziesiątej, więc nie mam czasu na przeprowadzkę – wyrzucam na wdechu. Brzmie na spanikowaną, ale nic nie poradzę, że zarówno chcę, jak i boję się zmian. – I mam mieszkać z tobą? A gdzie? I czy wszyscy się cieszą na mój przyjazd i będą dla mnie mili? Bo ja jestem dla każdego – nawijam. – A tak zupełnie poza tym to topole włoskie, a nie jakieś czarne. – Przewracam oczami.

Mephisto zasysa powietrze.

– Jeśli masz na myśli to, czy przygotowali transparent powitalny, upiekli ciasto doprawione miłością, a na niebie namalowali tęczę, to muszę cię rozczarować, na pewno nie. Będą traktować cię z szacunkiem. – Przygląda mi się intensywnie. – Jeśli na niego zasłużysz. Samo bycie moją dziewczyną, narzeczoną czy tam żoną, to za mało. Suki traktuje się jak suki, prawda znana nie od dziś. – Robi z palców rogi. – I to topole czarne, odmiana Plantierensis. Włoskie mają – łapie mnie za biodra i przyciąga do siebie – smuklejsze kształty. Te rosnące w waszym ogrodzie nie mają bruzd na pniach. Są jak twoja dusza. – Pstryka mnie w nos, odsuwa się i podchodzi do biurka. Z wiszącego nad nim kalendarza odrywa kartkę, na której coś zapisuje. – Tu masz adres. Przyjeżdż pociągiem, bo ja muszę się już zbierać.

– Pociągiem? To gdzie ty mieszkasz? Ja jechałam nim tylko raz w życiu. A jak coś mi się stanie lub ktoś mnie porwie? – Staram się przełknąć gorzką pigułkę. Myślałam, że w końcu znalazł się ktoś, kto zbuduje ten przysłowiowy mur, ale widzę, że Mephisto, podobnie jak inni, ma mnie gdzieś.

– To będziesz porwana. – Wzrusza ramionami. – Jest ryzyko, jest zabawa.

Nie wierzę w to, co słyszę.

– A dokąd nim jechałaś? – pyta jeszcze, mrużąc oczy.

– Do Palermo.

– A po co?

– A, to w ważnej sprawie, bo tam jest taki targowy stragan i... – przełykam ślinę. Już żałuję, że nie wymyśliłam czegoś innego, bo to brzmi bezsensownie. No, ale przecież nie powiem mu, że Palermo kojarzy mi się tylko z klubowym kibelem. Rety – ...lubię tam kupować bransoletki od pewnej starszej pani. Ona ubiera się w kolorowe sukienki i ma chustę na głowie, i za każdym razem, gdy jestem w Palermo, to ją odwiedzam. – Unoszę kciuk.

– A ile razy byłaś w tym mieście?

– Raz – mówię pewnie.

– Ciekawe. Mówiąc: „Za każdym razem, gdy jestem w Palermo, to ją odwiedzam” – przytacza moje słowa – masz na myśli ten jeden raz. – Kręci głową z niedowierzaniem. – A ja byłem przekonany, że widziałem cię w swoim klubie, a Casimiro, mój brat, wyszarpał twoją dupę z łazienkowej kabiny. Ach, ten Diabeł. Tak często się myli. – Uśmiecha się pod nosem. – Może Casimiro ma lepszą pamięć. Na pewno. W końcu nie zapomina się osób, dla których plami się ręce.

– Dobrze, skłamałam – przyznaję, a Diabeł wzrusza ramionami, jakby zupełnie go to nie obchodziło. – Nie ma żadnej babci, ale bransoletki lubię. – Potrząsam ręką, prezentując te, które mam na nadgarstku. Uśmiecham się, zapewne głupio, ale chcę w ten sposób rozładować atmosferę, bo zrobiła się, delikatnie mówiąc, elektryczna.

– Nie każ na siebie długo czekać. Spakuj tylko najpotrzebniejsze rzeczy – mówi to pozbawionym niedawnej radości tonem i wychodzi z pokoju. W korytarzu stoją jego ludzie, ci sami, którzy krążyli za nim wczoraj jak cienie. Jest też Gallo, który odpycha się nogą od ściany, gdy Diabeł mówi: – Jedziemy.

Wielka mi rzecz, małe minięcie się z prawdą, ale skoro jej chce, to ją dostanie! Czuję znajome mrowienie w opuszkach palców, więc kawa na ławę.

– Skoro tak bardzo chcesz znać prawdę, to proszę bardzo! – wrzeszcze, ale nawet się nie odwraca.

– Żałuję, że twój nadgorliwy brat mi wtedy przeszkodził, bo było niezmiernie!

Mephisto staje w miejscu, a mięśnie jego pleców naprężają się, gdy bierze głęboki wdech. Gallo patrzy na mnie, wybałuszając oczy i nerwowo przykłada palec do ust. Nie zamierzam milczeć.

– Kiedy ten gość mnie całował, tak mocno, z całej siły, czułam, że żyję i dotykał, o tak, wszędzie.

– Sunę dłońmi po ciele, mimo że Mephisto nawet tego nie widzi, bo nie ma odwagi na mnie spojrzeć, zmierzyć się z prawdą. – I myślę o nim często. Praktycznie non stop. Śnił mi się nawet dzisiaj i sądziłam, że to on liże mnie po twarzy. – Nie potrafię przestać mówić, a to są już kłamstwa. – Prawie, tak ciut, ciut, byłeś tak dobry, jak on. Jeszcze długa droga przed tobą, zanim i o ile uda ci się doścignąć mistrza, ale trzymam za ciebie kciuki.

– Jezu, dziewczyno. – Gallo robi się błądliwy i trze tym paluchem po wargach.

– Nie jezuj mi tu, a ten palec wsadź sobie w tyłek. Głęboko, żebyś odczuł maksimum przyjemności – wypalam i od razu zakrywam buzię. – Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć, ale tamto wcześniejsze już tak albo i...

Nie jest dane mi dokończyć. Gallo doskakuje do mnie w chwili, gdy Mephisto odwraca się i z prędkością, której mogłaby mu pozazdrościć jego strzała, podbiega i przyciska dłoń do moich ust.

– Zamknij się – syczy. Jego ręka jak imadło zaciska się na mojej twarzy. – Zamknij się. – Każda wypowiedziana sylaba, to uderzenie moją głową w ścianę. W teorii, bo Gallo przykłada dłoń do mojej potylicy, maksymalnie naprężając mięśnie, czym niweczy diabelski, świrnięty plan. Spojrzenie Mephista to nienawiść w najczystszej postaci. I cóż. Prawda, półprawda, kłamstwo boją. – Zabieraj łapę. – Łypie wzrokiem na Galla.

– Zwolnij mnie z obowiązku chronienia jej – odpowiada rzeczowo. – Zrób to teraz, a w tej samej sekundzie ją puszczę – oświadcza. – Zobacz, jak ona się trzęsie. Jaka jest posrana.

Prycham w rękę Diabła i ją odciągam.

– Ktoś tu nad sobą nie panuje – rzucam lekko.

Uśmiecham się do Mephista, mimo że w środku naprawdę cała się trzęsę. I bardzo się boję. Nigdy nikt nie patrzył na mnie tak, jak on w tej chwili. Nie ufam temu spojrzeniu za grosz. Pod jego wpływem nawet moja naiwność wyparowuje.

– Debil z ciebie, Gallo – stwierdzam i od razu dodaję: – Przepraszam. – A zaraz potem, głównie dlatego, że lubię tak mówić: – Nie strach mną trzęsie, lecz wkurw. – Kładę dziarsko rękę na biodrze. – Powiem wam, co teraz będzie. Grzecznie wyjdziecie z mojego domu, a ja wam na to pozwolę.

Patrz na mnie z powątpiewaniem. W myślach przeklinam Efesta, bo ten tekst zapożyczyłam od niego.

– Módlcie się, żeby mi nie odbiło, bo jestem na skraju i mam wielką chęć zepchnąć was ze schodów. – Uśmiecham się pokrzepiająco. Chcę też poklepać Diabła po ramieniu, ale aż tak odważna nie jestem.

– To właśnie cała Alma.

Mephisto odwraca się w stronę, z której dobiega głos mojego ojca. Siedzi na wózku. Ręce ma założone na piersi, a na jego ustach błąka się ironiczny uśmieszek.

– Reklamacji nie przyjmuję. Ona jest po prostu stuknięta. I głupia. Ty wiesz – zwraca się do Diabła – że ta pannica myślała, że jak wrzuci mi do kąpielni pilot od podnośnika transportowego, to pokopie mnie prąd i będzie po tatusiu? – Stuka palcem w czoło. – Niby taka cicha woda, a nawet nie drgnęła jej powieka, gdy stała z pilotem w dłoni i mówiła: „Teraz pobawimy się po mojemu”.

– To prawda, ale... – zaczynam, a Mephisto wybucha śmiechem i potrząsa ramionami, truchając w miejscu.

– Już mi lepiej – stwierdza, patrząc na Gallo, który słysząc to puszcza moją głowę. Diabeł pochyla się i całuje mnie w jeden, a potem w drugi policzek. – Przepraszam.

Nabieram powietrza, skupiając wzrok na zaciskającym się mięśniu jego szczęki. Robi mi się gorąco, a natłok emocji ścisza gardło.

– Przez chwilę zapominałem, jak cudownie jesteś szurnięta.

I tyle. Nic więcej. To jednak wystarczająco, by przewrócić do góry nogami każdą myśl w mojej

głowie. Sama zresztą czuję się, jakbym stała na rękach co najmniej od godziny. Gdy Mephisto rusza przed siebie, a za nim jego ludzie, w końcu mrugam i pozwalam płynąć zgromadzonym pod powiekami łzom. Przy nim jestem jedną, wielką emocją. To źle, bo z tymi nie radzę sobie najlepiej. Obserwuję oddalającą się sylwetkę i nie mogę pozbyć się wrażenia, że prędzej czy później się pozabijamy. Obstawiam to pierwsze. Będziemy ranić się słowem, czynem, aż w końcu któreś z nas zada cios ostateczny. Poruszam głową, chcąc odpędzić te czarne, więcej niż pewne, że nie prorocze, wizje.

– Co tak stoisz?! – warczy ojciec. – Pakuj się i wypad. Chyba urzędę przyjęcie z okazji pozbycia się z domu kolejnego darmozjada. – Zaciera ręce i gdyby tylko mógł, najpewniej przebiegałby nogami z radości.

Przez chwilę nie wierzę w to, co słyszę. Zawsze powtarza, że jestem głupia po matce, że wszystkie najgorsze cechy odziedziczyłam właśnie po niej. Niestety się myli. Mówienie wszystkiego, o czym pomyślę, ranienie słowem jak brzytwą dostałam w prezencie od niego.

– Jesteś najgorszym ojcem na świecie. – Zaciskam pięści. – Cieszę się, że opuszczam ten dom wariatów.

– Ogrom szczęścia. – Wybucha głośnym śmiechem. – Masz najgorszego ojca, a lada moment będziesz mieć też najgorszego męża. I nie opuszczasz domu wariatów, głupia dziewczyno. Dopiero się w nim znajdziesz – sapie. – Z własnej woli, z tym swoim naiwnym uśmiechem na ustach, zamieszkaś pod jednym dachem z Mephistem Gottim. Twój ograniczony mózg nawet nie jest w stanie pojąć, kim jest ten człowiek. Uczyłem cię wstrzymywać powietrze w najmętniejszych bagnach, ale w tym nie dasz rady. Najlepiej od razu strzel sobie w łeb. – Przeciera twarz ręką i mówi na wdechu: – Gdy będziesz mieć kłopoty, a na pewno ich nie unikniesz, bo ty, to, kurwa, ty, zawsze zasłaniaj się ich nazwiskiem. Palermo to oni. Oni to Palermo. A teraz spierdalaj. – Macha ręką, jakby odganiał muchę.

– Każdy może powiedzieć, że ma na nazwisko Gotti – stwierdzam, skubiąc skórę przy paznokciu.

– I wielu mówi, idiotko. Tych Gottich poznajesz po tym, jak je wypowiadają. I co czujesz, gdy to słyszysz.

– Czyli? Dzień dobry, jestem Alma Gotti. Miło mi. – Szczerzę się. – Dałeś się nabrać?

Ojciec ewidentnie jest już na skraju wytrzymałości.

– Zapomnij o tym, debilko. Tobie jednak nic nie pomoże.

Odjeżdża, mamrocząc pod nosem, a ja zatrząskuję drzwi pokoju i szybko, bo niedługo mam spotkać się z Zitą, wyciągam z szafy walizkę. Pakuję tylko te rzeczy, bez których nie wyobrażam sobie życia. Sukienki obszyte koralikami, kilka swetrów i dwuczęściowe, zapinane pod samą szyję flanelowe piżamy. Trzęsą mi się ręce, gdy układam jedną na drugiej. Nieuchronność chwili, w której Mephisto zobaczy moje plecy, konieczność wykazania się kreatywnością, żeby odciągnąć jego uwagę od oszpeconej części ciała, napawa mnie przerażeniem i po ludzku przerasta. Tony fluidów nie zatuszują blizn, o najświeższych ranach nie wspominając. On nawet nie ma pojęcia, na jakiego kota w worku się zdecydował i boję się momentu, kiedy zorientuje się, że kociak ten jest dogłębnie, do krwi, poharatany.

– Almo! – Słyszę wołanie, więc podbiegam do okna. Uśmiecham się, widząc podskakującą przed bramą Zitę.

– Zaraz zejść! – odkrzykuję i macham do niej.

Biegam po pokoju, jednocześnie obgryzając paznokcie i zgarniając kolejne, w moim mniemaniu, niezbędne przedmioty. Ubieram się w pośpiechu i ciągnąc walizkę za sobą, wychodzę. Gdy Stefano uchyla bramę, Zita od razu rzuca się w moje ramiona i mocno ściska.

– Tęskniłam za tobą! – wrzeszczy wprost do mojego ucha, a kiedy się odsuwa, patrzy to na mnie, to na bagaż. – Ojciec wypieprzył cię z domu? – Wytrzeszcza oczy. – Ty wiesz, że ja naprawdę wczoraj ledwo co uciekłam z tego magazynu? Mam podrapane całe łydki. – Podwija nogawki. – I jeszcze wpadłam w pokrzywę czy coś podobnego. – Unosi bluzkę, pokazując zaczerwieniony, ale perfekcyjnie wyrzeźbiony brzuch. – Plan diabli wzięli, co? To od początku było bez sensu, ale jak ty się uprzesz... – Wzrusza ramionami. – Masz gdzie spać czy trzeba coś zorganizować? Jadłaś śniadanie?

– Nie mów tyle. – Potrząsam jej ramionami. – Jadę do Palermo. Opowiadałam ci przez telefon, co wydarzyło się na weselu. – Pokazuję pierścionelek.

– Powiesz jeszcze raz? Bo tak mnie piekł ten brzuch, że słuchałam jednym uchem. A zresztą. – Macha ręką. – Ty chcesz tam jechać czy niby musisz? Bo jeśli to drugie, to daj mi chwilę i coś wymyślę. – Znow się nakręca, więc przewracam oczami. – No co? – Dziwi się. – Zawsze jest jakieś wyjście. Idziemy na pociąg czy jakiś napakowany szofer po ciebie podjedzie? – Rozgląda się dookoła.

– Chodźmy na dworzec. – Ruszam przed siebie. – I chcę, ale też trochę muszę. To też już ci tłumaczyłam – sapię.

– Tak, tak. Człowiek z lasu, dziki, zapierający dech w piersi zwierz, szybsze bicie serc. Upadły anioł Mephisto i inne takie. Coś o starym pryku, jakieś organizacyjne zasady, sranie w banię. Proste pytanie, Almo, chcesz czy nie chcesz?

– Chcę, Zito.

– I o to chodzi! – Łapie za rączkę i pomaga mi ciągnąć walizkę. – Jeśli nie ma się na coś ochoty, to się, kurwa, nie ma. Prosta, pieprzona zasada. – Wyjmuje różaniec, mocno zaciskając go w dłoni. – A skoro chcesz, to możesz iść nawet do piekła. – Rzy jak koń. – Masz moje błogosławieństwo. – Potrząsa różańcem i chowa go do płóciennego worka, z którym nigdy się nie rozstaje. – Nie musisz się tak spieszyć, na pewno się nie spóźnimy. Wiesz, ile dziennie pociągów jeździ z Katanii do Palermo? Trzydzieści dwa. Dużo, co?

– A skąd to wiesz?

– Mam różne pasje. – Puszczam do mnie oczko. – A obserwowanie pociągów, nasłuchiwanie, czy nie nadjeżdżają, kiedyś było moim ulubionym zajęciem. Sensem.

Dostrzegam w jej spojrzeniu coś niepokojącego. Po moich plecach przebiega dreszcz, lecz potem przyjaciółka mruga i wszystko wraca do normy. Jest jak wcześniej.

– Każdy ma jakieś zainteresowania, nie? – Przejeżdża dłonią po ogolonej głowie. – Wymienię twoje, zobaczymy, czy dobrze cię znam. – Kopie kamyk. – Lubisz tandetną biżuterię, truskawkowe cukierki, książki o miłości i morderstwach. Do tego uwielbiasz pomagać innym i ułatwiać im życie, komplikując przy tym swoje. Wiesz, że to ten taksówkarz, który cię wiozł, zadzwonił po gliny?

– Tak. W leśnej chatce też znalazłam się, bo pomogłam. Już trudno. – Wzruszam ramionami. – A ty lubisz tworzyć chałwate błyskotki, wciągać jedzenie jak... – Gryzę się w język.

– Jak świnia. – Zita mi pomaga. – Nie bójmy się nazywać rzeczy po imieniu. – Uśmiecha się szeroko.

– Lubisz głośno się śmiać, no, tak jakby rzeć. – Zaciskam usta. – I uwielbiasz swój dom, bo często mi o nim opowiadasz, i jeszcze długie, aromatyczne kąpiele.

Zita potakuje.

– Takie ze świeczkami i ogromną ilością piany – dopowiada i przystaje przy umiejscowionej na dworcowym placu fontannie, przedstawiającej Hadesa i Persefonę. Przypatruje się rzeźbie. – Ujebałabym mu ten łeb – mówi prosto z mostu, jak to ona i wskazując palcem na napiętą w zawziętym grymasie twarz Hadesa. – On ją gwałci.

Prycham, bo to, co mówi, jest niedorzeczne.

– Znasz w ogóle ich historię? – dopytuje.

Kiwam głową.

– Według mitu Persefona została porwana przez Hadesa. Zmusił ją do panowania z nim w podziemnym świecie. To – wskazuję na wymodelowaną w betonie walczącą parę – scena porwania. Ta fontanna jest przepiękna, a do tego te konie morskie i syreny wokół nich. Perfekcyjnie ukazany dynamizm – zachwycam się.

– Wiadomo, że dynamizm, skoro próbowała się wyrwać z jego objęć – rzuca buntowniczo Zita i przewraca oczami. – Jej twarz wyraża przerażenie, w proteście odpycha go rękami. Ma zażawione policzki, potargane włosy. Wyraźnie mu się opiera, podczas gdy on ma napięty każdy mięsień. Ścisną zaborczo jej udo i obejmuje w pasie. Myślisz, że ona mu powiedziała, że tego chce? – Zerka na mnie. – A czym jest porwanie, jeśli nie pogwałceniem jej nietykalności i wolności osobistej? Co z tobą, Almo?!

– Masz rację. – Przypominam sobie, co czułam w leśnym domku i zaciskam pięści tak mocno, że gdybym tylko miała długie paznokcie, to zostawiłyby ślad po wewnętrznej stronie dłoni. – Myślisz, że trudno byłoby mu urwać tę betonową głowę? – Zastanawiam się głośno, a Zita wybucha śmiechem.



– Chodźmy już, bo zaraz odjeżdża nasz pociąg. – Wskazuje na tablicę odjazdów, umieszczoną nad głównym wejściem na dworzec i ciągnie mnie za rękę. – Dewastacja zabytkowej fontanny musi poczekać. – Uśmiecha się szeroko.

– Powiedziałaś: „Nasz pociąg”. Jedziesz ze mną?

– Pewnie. Muszę się upewnić, że dotrzesz na miejsce bez żadnych komplikacji. Będę twoją bagażową. – Znów rzy. – I tak nie mam nic ciekawszego do roboty. Ojciec prowadzi teraz jakąś arcyważną sprawę, a mama pojechała do dziadków – tłumaczy. – Umówiłam się z nią dopiero na wieczór. Będziemy oglądać filmy i objadać się lodami, dopóki nie rozbolą nas brzuchy. A teraz biegiem na trzeci peron!

– A bilety? – sapię, biegnąc za nią.

– Kupują je tylko lamusy! – Odwraca głowę. – Czyli nie my! – Wbiega po schodach i zatrzymuje się na górze. – Znajdę dla nas miejsca! – krzyczy jeszcze i znika z pola widzenia. Wciągam walizkę, zatrzymując się na każdym ze schodków, a gdy wchodzę zdyszana na peron, słyszę: – Almo, tutaj! Cały przedział dla nas, dawaj! – Zita emocjonuje się jak dziecko.

Chciałabym podzielać jej entuzjazm, ale myśl o kilkugodzinnej podróży nie napawa mnie ekscytacją. Już teraz czuję się brudna, spocona, a włosy przyklejają mi się do karku, powodując dyskomfort. Do tego ten sprawiający, że żołądek zawiązuje mi się w supeł stres, spowodowany niepewnością, jak zostaną przyjęta w domu Gottich i czy odnajdę się w innej rzeczywistości, bo moja, mimo że pokopana, jest mi doskonale znana. A w tym przypadku przewidywalność jest zaletą.

Wchodzę do przedziału, uśmiechając się szeroko, bo nie sposób tego nie robić, patrząc na królownę Zitę. Leży na kanapie z rękami założonymi za głowę i macha beztrudno stopą.

– Bilety kupuje się u maszynisty? – pytam, starając się zachować równowagę, bo pociąg rusza.

– Tak, jasne. – Zita wymachuje nogami i łapie się za brzuch, nie mogąc opanować śmiechu. – Kto by kierował pociągiem, gdyby on bawił się w kasjera?

Patrzę na nią pytająco.

– To, że wiesz, jak rozrabiać kokę, a nie wiesz, jak odnaleźć się w zwykłym życiu dowodzi, jak istotne jest środowisko, w jakim się wychowujemy – filozofuje. – Konduktor sprzedaje bilety, Almo. Piekarz piecze chleb, a listonosz roznosi listy.

– Wiem to, po prostu pomyliły mi się nazwy – warczę.

– W każdym razie załatwiłam nam już przejazd. – Unosi kciuk. – Ze mną nie zginiesz. – Przymyka powieki, a ja zajmuję miejsce na przeciwległej kanapie.

– Ile ci wiszę?

– Zero – odpowiada. – Jesteś szesnaście euro do przodu. Możesz kupić sobie nową bransoletkę.

– Fundnęłaś mi bilet?

– Nie. Zaproponowałam konduktorowi całowanie z języczkiem, gdy już dotrzemy na stację końcową – mówi jak gdyby nigdy nic, nie otwierając oczu. – I jeszcze laskę – prychna pod nosem.

– Co? Nie mogę w to uwierzyć! – Nachylam się, szarpiąc ją za ramię.

– Lepiej uwierz, bo wiara czyni cuda. Oczywiście tylko ta w sobie. – Patrzy na mnie i ziewa, otwierając szeroko usta. – Mam coś dla ciebie. Dobrze, że sobie przypomniałam. Patrz. – Siada po turecku i wyciąga ze swojego worka zawiniątko, które rozkłada na stoliku. – Podobają ci się? – Podsuwa w moją stronę koleczki. – Stał szlachetna i kuleczki z barwionego marmuru. Kupiłam dużo koralików i dodatków. To dobra wiadomość. Zła jest taka, że wydałam prawie całą kasę, jaką miałam ze sprzedaży działek, ale starczy mi, żeby kupić kolejne, rozrobić i się odkuć. A biżuterię sprzedam na targu w niedzielę.

– Co?! Myślałam, że to jednorazowo, a ty brzmisz, jakbyś rozkręcała jakiś narkobiznes. – Marszczę brwi. – Jeśli narobisz sobie kłopotów, to nawet twój ojciec ci nie pomoże. Nie możesz tak po prostu sprzedawać i nie dzielić się z nikim zyskiem. A jeszcze, jak ludzie zorientują się, że to totalny szajs, to już w ogóle pozamiatane. Rety. – Pocieram czoło. – Zdenerwowałaś mnie – sapię.

– O mnie się nie martw. Ja sobie radę dam – kwituje. – Poza tym sprzedaję w różnych prowincjach. Gdy rozgryzę, jak to wszystko działa, to przeniosę się, no nie wiem – stuka się palcem po brodzie – do Syrakuz na przykład. Macie tam kogoś? Nie będę wam zabierać chleba. – Uśmiecha się

ironicznie.

Kładę drżącą dłoń na szyi, myśląc, że w ten sposób uspokoję, ugłaskam energicznie pulsującą żyłę.

– Dobra, sorry – dodaje Zita. – Nie chciałam wyprowadzać cię z równowagi. Nie spełnię marzeń, sprzedając plastikowe bransoletki. Chcę tworzyć rzeczy z klasą. – Jej wzrok zasnuty jest wizją. – Zobacz, takie, które założy taka dama. – Wskazuje palcem na stojącą w korytarzu elegancką kobietę. – Ostatnim razem przez pół niedzieli stałam w prażącym słońcu. Na czysto, po zapłaceniu za miejsce na targu, zarobiłam dwadzieścia euro. Pytania?

– Dlaczego nie poprosisz o pomoc rodziców? Nie chcę, żebyś ryzykowała. Proszę, nie rób tego. – Obdarzam ją błagalnym spojrzeniem. – Nawet ja mogę dać ci pieniądze i nie musisz mi nigdy oddawać. Zgoda?

Zita uśmiecha się litościwie.

– Tylko muszę wziąć od Etny dane dostępowe do konta, bo w nerwach powiedziałam jej, żeby wsadziła je sobie wiesz gdzie. – Śmieję się cicho. – Albo mogę zainwestować w twoją firmę, bo w ciebie wierzę. W zamian za regularną dostawę błyskotek twojego autorstwa. Pasuje?

– Masz rację. Poproszę rodziców. – Uderza się dłonią w czoło. – Nie pomyślałam o tym wcześniej. Co dwie głowy to nie jedna. Najprostsze rozwiązania są najlepsze. – Siada obok mnie i przygarnia w swoje ramiona. – Kocham cię. I nic się nie martw. Nie będę ryzykować. To totalnie nie w moim stylu.

Wzdycham z ulgą.

– Tylko już się uspokój. Nie drap skórek, dobrze? – pyta, na co kiwam głową. – Muszę się chwilę przespać. Popilnujesz mnie?

Nie rozumiem, o co chodzi z tym całym pilnowaniem, chyba wyczytuje to z wyrazu mojej twarzy, bo dodaje:

– Moich rzeczy. Torby.

Zita wraca na swoją kanapę i kładzie się na plecach, pod głowę podkładając worek. Z kieszeni wyjmuję różaniec, zaciska go w dłoniach i zamyka oczy. Nie mam pojęcia, dlaczego nigdy się z nim nie rozstaje i czy słusznie nazywam ten metalowy łańcuch z medalikiem w kształcie domu zamiast krzyża różańcem. Chociaż ona sama tak go określa, ja nie jestem przekonana. Jej klatka piersiowa unosi się i spokojnie opada, a z kącika oka spływa łza. Sunie po skroni, zatrzymując się na uchu. Mam ochotę zetrzeć mokry ślad, ale zanim się na to decyduję, zrywam się z miejsca, bo zauważam przechodzącą korytarzem znajomą sylwetkę. Potykam się o własne nogi i mocuję z drzwiami przedziału. Gdy w końcu je uchylam i wystawiam głowę, rozglądając się w prawo i w lewo, zaczynam przypuszczać, że mózg płata mi figle. W przejściu nie ma nikogo poza siedzącym na plecaku chłopakiem, więc pewność, że widziałam Galla, z automatu wyparowuje. Siadam, kładąc nogi Zity na swoich udach i opieram głowę o zagłówek. Im dłużej wsłuchuję się w rytmiczny odgłos sunącego po szynach pociągu, tym bardziej odczuwam znużenie. Ziewam, powieki robią się ciężkie, więc pocieram je energicznie. Znów ziewam. To na nic.

Budzi mnie szarpnięcie i metaliczny, drażniący uszy dźwięk hamowania. Zerkam na śpiącą w najlepsze Zitę i przechylam głowę, żeby dostrzec, na jakiej stacji się znajdujemy. Po chwili pociąg znów rusza i mimo że powinnam budzić już przyjaciółkę, nie mam serca tego robić, widząc jej zrelaksowaną, beztroską twarz. Biorę medalik różańca między palce, chcąc się mu przyjrzeć, a wtedy dzieje się coś, co dosłownie odbiera mi oddech. Pewne jest, że Zita jest piekielnie silna, niesamowicie szybka i że bez skrupułów, jakiegokolwiek uprzedzenia poddusza mnie łańcuchem, zaciskając go coraz mocniej na mojej szyi. Wybałuszam oczy.

– Kurwa, Almo!

Najwidoczniej orientuje się, że ja to ja. Naiwniaczka, która nie stanowi dla niej żadnego zagrożenia, bo zwalnia uścisk i łapie mnie za twarz, chcąc chyba przekonać się, czy gały nie wyszły mi z orbit. Mało brakowało.

– Dlaczego tak się zakradasz?! – rzuca z pretensją.

– Zakradam? – wyduszam, masując szyję. – Tylko dotknęłam medalika, a ty poderwałeś się z

kanapy i zarzuciłaś ten swój łańcuch. Rety, ale się wystraszyłam. Zaraz serce wyskoczy mi z piersi. – Kładę na niej dłoń.

– To przepraszam. – Poklepuje mnie po udzie i wygląda przez okno. – Już dojeżdżamy. Czekać, muszę zorganizować odpowiednią wiekowo widownię, bo to ten czas. – Śmieje się i przejeżdża palcem po mojej szyi. – W porządku?

– Ten czas? To znaczy? – pytam.

– Laski czas! – wydiera się i wybiega z przedziału.

Nie nadałam za nią i jej pomysłami. Może i lepiej, bo gdybym miała dotrzymać jej kroku, to najpewniej wylądowałabym w psychiatryku lub zakładzie karnym. Rety. Pocieram ramiona, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Podskakuję w przestrachu, słysząc dobiegający z głośnika komunikat informujący, że zbliżamy się do stacji końcowej. Coraz większy stres. Nie dość, że nie wiem, dokąd poszła Zita, to dodatkowo boję się, że nie zdążę wysiąść, a noga zostanie przytrzaśnięta drzwiami, lub że stopa utknie między schodkami i nikt tego nie zauważy. To totalnie pokopane. Te wszystkie lęki, myśli, nad którymi nie potrafię zapanować.

Zerkam na stojącego w przejściu konduktora.

– Gdzie twoja koleżanka? Pora skasować bileciki. – Puszczą do mnie oczko.

Nie mam pojęcia, co mam na to odpowiedzieć.

– Jesteś niemową?

Milczę.

– O, to on, tu jest!

Słyszę głos Zity. Zrywam się z miejsca, łapię za rączkę walizki i przeciskam w drzwiach przedziału, popychając lekko tarasującego przejście faceta. Zita zmierza w naszą stronę, a za nią podążają trzy starsze panie. Pociąg wtacza się niespiesznie na stację.

– A to moja koleżanka – informuje, gdy zrównuje się ze mną, poklepując pokrzepiająco po ramieniu. Patrzę na nią kompletnie zdezorientowana, zwłaszcza że nagle wybucha płaczem. Szlocha i trzęsącym się palcem wskazuje na równie zaskoczonego jak ja konduktora. – Ten pan powiedział, że mamy mu to zrobić – wydusza. – To, co paniom mówiłam.

Kobiety obdarzają gościa pełnym obrzydzenia spojrzeniem.

– Nie wiem, o co chodzi. – Konduktor unosi ręce w obronnym geście.

– Jak to? – piszczy płaczliwie Zita. – Powiedział pan, że mamy panu pocałować, no, tego, nawet nie przechodzi mi to przez gardło, ale powiem. Penisa! – wykrzykuje, ocierając oczy. – A ja widziałam go tylko w podręczniku od biologii. Nawet miłosierne siostry z katolickiej szkoły, do której wracamy z przyjaciółką po przerwie, byłyby zdruzgotane pana postawą.

– Zdecydowanie! – oburza się jedna z kobiet. – Jak pan śmie składać takie propozycje! Biedne dziewczęta. – Drżącą dłonią kreśli w powietrzu znak krzyża.

– I do tego niepełnoletnie – kłamie Zita, pociągając nosem, ale widzę, że z trudem powstrzymuje śmiech.

– Jezu i Najświętsza Panienko! – wykrzykuje druga kobieta i zaczyna okładać konduktora torebką.

Zita puszcza do mnie oczko i, korzystając z zamieszania, popycha w stronę drzwi. Idę ze spuszczoną głową, bo nie mam śmiałości jej unieść. Co za wstyd. Zita chichra się, podążając za mną, niespieszona tym, że widownię nie były tylko trzy starsze panie, ale wszyscy, którzy wysiadają na końcowej stacji. Przyspieszam, chcąc jak najszybciej się stąd ulotnić i wpadam na potężne coś, tarasujące przejście. Patrzę przed siebie. Gallo.

– Niezłe przedstawienie za kilka euro. Nie wiem, czy śmiać się, czy płakać – stwierdza bez cienia uśmiechu.

– Z drogi, gościu! – wrzeszczy za mną Zita.

– Ja go znam – rzucam krótko. – Co tu robisz?

– A jak, kurwa, myślisz? – oburza się. – Dla ułatwienia powiem ci, że nie jeżdżę zapluskwionymi, metalowymi puszkami z własnej, nieprzymuszonej woli – warczy. – Wysiadamy. – Wrywa mi walizkę i idzie przed siebie.

Zerkam do tyłu. Zita postukuje palcem po głowie i wskazuje na Galla, który wyskakuje z pociągu. Przystaję, starając się przybrać odpowiednią pozycję, żeby bezpiecznie zejść po schodkach, ale niepotrzebnie, bo Gallo opiera stopę na jednym z nich, oplata ręką moje biodra i klnąc pod nosem, ściąga na dół. To samo robi z Zitą, której odebrało widocznie mowę, bo nagle milczy jak zaklęta.

– Przed dworcem czeka na nas auto – oznajmia Gallo, patrząc to na mnie, to na Zitę. – Przytulcie się, urońcie dziewczynskie łzy, pomachajcie sobie na do widzenia i spierdalamy.

Odchodzę na bok z Zitą, która dosłownie rzuca mi się w ramiona i przytula z całej siły.

– Nie musisz traktować tak dosłownie tego, co on powiedział – wyduszam, z trudem łapiąc oddech.

– Przepraszam – szepcze, nie wypuszczając mnie z objęć. – Nie zapomnisz o mnie?

– Rety, co z tobą? – Odsuwam się i patrzę na nią, próbując zrozumieć, dlaczego zamienia się w jakąś kluskę. – Uważaj na siebie i odezwij się, gdy dojedziesz do domu. Spotkamy się, gdy tylko będę w Katanii, a jeśli będziesz miała ochotę spotkać się tu, to też nie ma problemu. Możemy nawet codziennie.

– Nie oszukujesz? – Przygląda mi się podejrzliwie.

– Co? O co ci chodzi? Dlaczego bym miała? – dopytuję, a Zita wzrusza ramionami.

– To do zobaczenia. – Odchodzi, oglądając się za siebie kilka razy. Dopiero kiedy znika w podziemiach, podchodzę do Gallo.

– Co to za dziwaczka? – pyta i rusza naprzód. – Chcesz łyka? – Zerka na mnie kątem oka, przechylając butelkę z wodą.

– Żadna dziwaczka. Moja przyjaciółka – mówię z dumą i unoszę brodę. – Zita Belamonte.

Gallo wypluwa wodę, krztusi się, gestem nakazuje mi poklepać go po plecach.

– Córka sędziego Belamonte?

– Dokładnie – odpowiadam, a Gallo prostuje się i patrzy na mnie z rozbawieniem.

– Inaczej sobie ją wyobrażałem – stwierdza. – Ona wie, że będziesz żoną jednego z Gottich? – Mruży oczy.

– Mówiłam jej to i tamto. O co ci chodzi? Zaczynasz działać mi na nerwy.

– Jej stary posadził Sista, brata Diabła, i za nic nie chciał dopuścić do ponownego rozpatrzenia sprawy. Ugiął się dopiero po roku i powodem bynajmniej nie było to, że wśród świadków rozpętała się jakaś zaraza i zaczęli padać jeden po drugim. – Rechocze.

– A co było powodem?

– Inny powód. – Pstryka mnie w płatek ucha i zbiega po schodach. – Chcesz dowiedzieć się, jak przetrwać w domu Gottich i zdobyć odznakę wzorowego, piekielnego skauta? – Nie zdążam odpowiedzieć, bo od razu kontynuuje: – Zasada jest jedna i nie ma od niej odstępstw. Nie działasz na szkodę rodziny.

– W takim razie możesz mi już przypinać tę plakietkę. – Żartuję. – Jestem miła i bezkonfliktowa. Nikomu nie szkodzę, pomagam i inne takie. – Wzruszam ramionami, a Gallo się wzdryga.

– Gdy uchylą się przed tobą wrota piekła i przekroczysz próg posiadłości, możesz być pewna, że każdy z braci, jeśli zajdzie potrzeba, odda ci swój oddech. Rodzina to świętość, Almo. To płuca. Nie niszczy ich, jeśli nie chcesz się udusić.

## ROZDZIAŁ 6

### *Mephisto*

Nigdy nie przypuszczałem, że nadejdzie dzień, kiedy moim braciom odbierze mowę. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów mogę w spokoju zjeść kolację, nie wysłuchując przy tym burczenia Casimira, pytań Sista i snuty przez Vittoria opowieści dziwnej treści. Gdybym wiedział, że wystarczy zorganizować im wątpliwej jakości przedstawienie, w którym główne role odegrają Gallo i panna La Mantide, sprowadziłbym ją już wcześniej. Od dobrych piętnastu minut z zapalem negocjują, gonią się po ulicy, szarpią, ponownie dyskutują i tak do znudzenia. Jak to dobrze, że w sąsiedztwie nie ma żadnych domostw, bo ta niezrównoważona, cudownie szurnięta dziewczyna zepsułaby nam wypracowywaną przez lata, nieposzlakowaną reputację, ha! Co jakiś czas bracia obdarzają mnie nagłym spojrzeniem, jakby oczekiwali adekwatnej do sytuacji reakcji. Muszę ich rozczarować. Dopiero co wszedłem w fazę jebanego zen, więc żadnej akcji, kontrakcji i odzewu nie będzie. Kontrolowanie procesu myślenia i spokojny umysł. To tak jakby cały ja, a już na pewno motto dzisiejszego wieczoru. Wymyśliłem tę zabawę i bawię się w nią sam, bo, kurwa, lubię. Chowam widły, zaplatam palce w paragraf, z którego rozwikłaniem, pojęciem istoty miałby problem nawet adwokat Diabła i oddają się w ręce wszechświata, skupiając na sensach. Wszelkie bezsensy dżgam w myślach tęnym nożem, usiłując wznieść się na wyżyny spokoju.

To nie jest łatwe.

To nie jest, kurwa, proste.

Wdech.

Rozprawiam się ze wspomnieniem miłego do pewnego momentu poranka. Tnę je na tysiąc kawałków, podpalam, a spopielone resztki przydeptuję podeszwą, wcierając je w glebę. Odwracanie kota ogonem. Alma jest w tym dobra. Przyłapana na kłamstwie atakuje i nie tylko wbija szpilę, ale, jak na zakamuflowaną sadystkę przystało, kręci nią we wszystkie strony, wprawiając w ruch maszynę, nad którą kompletnie nie ma kontroli. To źle, bo ja też jej nie mam. Już wtedy, stojąc zwrócony do niej plecami, w tym ich pomalowanym na obrzydliwy fiolet korytarzu, próbowałem rozhulać zahibernowaną cierpliwość i nie wiem, czy mi się nie udało, bo starałem się niewystarczająco, czy po prostu za nic jej nie mam. Jedno z dwóch. Miałem wrażenie, że wszystkie wkurwiające, wypowiedziane przez Almę słowa, to piłeczki odbijające się od moich pleców. A te mam wyjątkowo wrażliwe. I przykro mi w chuj, ale biorąc zamach, szykując się do rzutu, trzeba liczyć się z tym, że piłka może się odbić i oddać, jebnąć w nierozważny łeb. W wyjątkowo piękną głowę. Boleję nad tym niezmiernie, nieprzerwanie i wciąż. Brak mi cierpliwości i kontroli, ale posiadam coś innego.

Wydech.

Coś, czego nie miałem nigdy wcześniej. Coś, co zarówno przeraża, jak i fascynuje. Co to takiego? POMIDOR.

Sam przed sobą zasłaniam się omertą, przysięgą milczenia, bo nawet ja nie chcę uczestniczyć w zdrowo szajbniętym procesie myślowym toczącym się w mojej głowie.

Pewne jest jedno, gdybym chciał zrobić Almie krzywdę, zrobiłbym. Ja o tym wiem i Gallo również ma tego świadomość. Jasne, każda dziewczyna chce usłyszeć, że jest dla kogoś ważna, że czuwa przy niej rycerz. Gdy Gallo powiedział, że jego obowiązkiem jest ją chronić i wstawił się za nią, zobaczyłem w jej oczach pewność. I, mimo że stała przede mną na trzęsących się nogach, a żyła na jej szyi cudownie pulsowała, mógłbym przysiąc, że w wyobraźni unosiła się metr nad ziemią. Bosko, ale czy nie należałoby najpierw wyjść z gęstej mgły, oparów naiwności? Daję sobie ręce uciąć, a jestem do nich szczególnie przywiązany, że okazałoby się wtedy, iż zbroja jej wybawcy nie jest zrobiona z blachy, lecz imitującej ją folii aluminiowej. Kurwa. To dopiero bal przebierańców. Kto jest kim? Czy ktokolwiek jest sobą? Czy granica między iluzją a rzeczywistością istnieje? A może już się zatarła? Ja pieprzę. Niby piekło, a jednak cyrk.

– Dlaczego tak się dziś zachowujesz? Siedzisz i nie reagujesz – odzywa się mój brat, Sisto, dla

którego najwidoczniej faza zen jest czystą abstrakcją.

– Kto? Ja? – Unoszę rękę, na której wytatuowane mam skrzydło. – Czy ja? – Unoszę drugą i się szczerzę.

– Ty to ty – wtrąca Vittorio i przewraca oczami. – Dlaczego zawsze zadajesz to pytanie: „Ja czy ja?”.

– Podpinam się. Też chciałbym wiedzieć. – Sisto wystawia dwa palce, jakby był pilnym uczniem, ale to tylko pozory. Mszczą się na nim nieodrobione lata temu lekcje. Ma zaległości, których nie sposób nadrobić. *Siadaj, pała.*

– Wkrótce się dowiecie – zapewniam.

Casimiro prycha, jakby niedowierzał. Zerka na wciąż szamoczącą się Almę, a po chwili, mrużąc oczy, intensywnie mi się przygląda.

– Nie patrz tak na mnie. – Odchylam się na krześle. – Mój umysł jest dziś niezmacony żadną pochmurną myślą. Jest jak lustro. Jesteś pewny, że chcesz się w nim przejrzeć?

Nie ucieka wzrokiem. Nie, bo wie, kim jest i niestraszne mu własne odbicie. Za to go szanuję. Odpuszczam zadanie tego pytania Vittoriowi, bo jest dzieciakiem, i Sistowi, bo jest człowiekiem chorągiewką. Nie chcę się wkurwiać. Zabawa w „spokojnego wielkoluda” ma sens tylko wtedy, gdy jest się grzecznym. Nie grzesznym.

– Co z nią jest nie tak? – Sisto ruchem głowy wskazuje na Almę.

– Wszystko? – Casimiro odpowiada pytaniem.

– Pójdę się przedstawić. Jestem jej ciekawy. – Vittorio wstaje od stołu. – I nie obgadujcie mnie pod moją nieobecność, bo to, co robicie, jest, kurwa, słabe – oburza się. – Ja mam piętnaście lat. – Celuje palcem w Sista. – Pukaj, zanim wejdziesz do kibla. A ty – wskazuje na mnie – nie pytaj w kółko, czy coś namalowałem. Nie mam weny, to nie mam. Jestem artystą. Muszę mieć inspirację do tworzenia, ale jak ją mieć, skoro ten – patrzy na Casimira – każe mi się babrać w bebechach. – Bierze wdech. – A reasumując, chodzi mi o to, żebyście się ode mnie odpiardolili.

Wybuchamy śmiechem.

– Prędeż cię odpiardolimy – mówimy chórem z Casimirem.

– Tak właśnie myślałem – rzuca Vitto. – Rozmowa na poziomie. Nie ma co. – Macha z rezygnacją ręką. – Idę poznać tę dziewczynę. Może, chociaż ona... – zerka na Almę i się krzywi – ...będzie normalna.

Gdy odchodzi, Sisto ciągnie wątek:

– On non stop przesiaduje w łazience. – Unosi ręce w obronnym geście. – Za każdym razem, gdy wchodzę, to albo wali konia, albo wyciska syfy, albo układa fryzurę włos po włosku. Czasem mam wrażenie, że to jego pokój, a nie po prostu kibiel.

– Skończ, nikogo to nie obchodzi – burczy Casimiro. – Lepiej powiedz, czy dowiedziałeś się, od kogo pochodzi ten towar, który Mephisto zdobył na weselu.

– Jeszcze nie. Wysłałem naszych ludzi do Syrakuz, skoro podobno właśnie stamtąd Ferro ma tę grudę. Pokręcą się tam kilka dni i zobaczymy.

– Czyli nic z tego nie będzie. Typowe dla ciebie podejście do sprawy – stwierdza Casimiro bez zawahania. – Podobno, zobaczymy – przytacza jego słowa. – Wkurwia mnie to – kwituje.

– Nie mój problem, że nie masz cierpliwości – mówi Sisto.

– Mam ją. Uwierz. – Podpala papierosa i wlepia we mnie wzrok. Wiem, do czego pije, ale nie ten czas, nie to miejsce. Cierpliwości.

– Jestem urobiony po łokcie, dobrze wiesz, ile w magazynach jest roboty. – Sisto wymachuje widelcem. – A do tego to całe bawienie się w gosposię. – Przewraca oczami. – Ciekawe, czy w innych rodzinach faceci też latają na mopie? Coś mi się, kurwa, nie wydaje. Nie możemy zmienić tej zasady? Dlaczego jesteś dziś taki dziwny? – Wpatruje się we mnie. – Tylko tak tu sobie siedzisz.

– Bawię się we flegmatyka – odpowiadam.

– Co? – pyta głucho.

– We flegmatyka się bawię.

Casimiro nerwowo przeczesuje włosy palcami, Sisto wybałusza gały.

– I nie, nie możemy zmienić tej zasady – dodaję.  
– A to niby dlaczego? – Nie odpuszcza.  
– Trzeba robić zwykle rzeczy. Higiena umysłu, te sprawy – tłumaczę.  
– Sterylizuj swój umysł, jeśli masz taką potrzebę – warczy Sisto. – Ja, gdy sprzątam po was chatę, czuję się jak pół-facet.

Wybucham śmiechem. Wyraz jego twarzy to niczym niezmacona dezorientacja. Robię z palców rogi i wzdycham przeciągle. Milczę.

– Co cię tak rozśmieszyło? – dopytuje skołowany.

– To, co powiedziałaś. – Odchylam się na krześle. – Nie każ mi rozwijać wypowiedzi, bo nie chcę łamać reguł zabawy. Bycie flegmą jeszcze mi się nie znudziło. – Rozpościeram ręce i się przeciągam.

– A co śmiesznego jest w tym, co powiedziałem? – draży ten jebany temat. Niemal czuję, jak niemrawiec, którym z całych sił próbuję być, szykuje się do transformacji. – Śmieszne to jest obserwowanie ciebie, gdy z wielkim zapalem wieszasz pranie. Największy zadymiarz zamienia się wtedy w pokraczną, wyrośniętą wrózkę, szalejącą w królestwie powiewających na wietrze prześcieradeł. To rzeczywiście jest komiczne.

– Kontynuuj – zachęcam, bo w sumie nawet podczas zabawy w „ciepłą kluseczkę” należy mi się chwila przerwy. Chociażby po to, żeby się nie rozgotować. A czuję, że woda zaczyna wrzeć.

– Nie kontynuuj. – Casimiro postanawia się wtrącić.

Zerkam na niego z litością. Za późno na działania prewencyjne.

– Nie wmówisz mi, że ty – Sisto prowokator celuje we mnie palcem – a każdy wie, jaki jesteś, ścierając kurze, szorując kibel lub stojąc przy garach, nie czujesz, że to poniżej twojej godności.

Przekrzywiam głowę.

– Mephisto Gotti – dodaje, jakby liczył, że otworzy się sezam, a to magia o odwrotnym skutku, zakłęcie zamykające ryj.

– Idź po nią – mówię do Casimira, wskazując Almę. – Najwidoczniej nie jest jedną z tych, która się wymęczy i padnie. Trzeba jej trochę pomóc.

On z kolei jest jednym z tych, którym nie trzeba powtarzać dwa razy. Wstaje, obdarzając Sista karcącym spojrzeniem.

– Dobra, debil, szybka akcja, bo naprawdę chcę uniknąć dzisiaj scen. – Przesuwam krzesło, żeby być bliżej brata. – To nie trzymanie ściery w łapie robi z ciebie pół-faceta, głąbie.

– Nie obrażaj mnie – obrusza się.

– Nie prowokuj mnie. Nie dawaj powodów. Od dziś możesz mi mówić per Mister Proper i nawet się nie obrażę. A wiesz, dlaczego? Bo wolę schylać się po klamerki, niż po to, żeby wylizać czyjeś buty. Rozumiesz chociaż trochę ten przekaz, czy za chuja nic? – Klepię go w tył głowy. – Dobra, spokojnie. – Rozmasowuję kark. – Skupmy się na twoim problemie. Pomogę ci odzyskać utraconą męskość. Porozmawiajmy o uczuciach. One są w końcu takie, kurwa, ważne...

– Nie mam problemu. Nie utraciłem męskości – warczy. – Powiedziałem, że sprzątanie chaty mi uwłacza. Gdyby ktoś zobaczył, że robimy to my, a nie pomoc domowa, to nikt nie traktowały nas poważnie.

Wybucham śmiechem, a Sisto się odsuwa. Powiedziałbym, że na bezpieczną odległość, ale taka niestety nie istnieje.

– Dlaczego się odsunąłeś?

– Bo się dziwnie zaśmiałeś?

– Nie mów, że czujesz respekt do chichrającej się pokracznej wróзки? Myślisz, że ona jest na tyle szalona, by wydłubać ci oko klamerką? – Cisza. – Do sedna. Przekaż obowiązki Almie. – Wskazuję na nią, bo właśnie zmierza w naszą stronę. – Zyskasz czas, żeby poszukać przyczyn swojego niedowartościowania. Zapewniam cię, że nie musisz daleko sięgać wzrokiem. Przekonasz się, że nawet nie sprzątając chaty, będziesz czuł się jak pół-facet, bo problem, którego według ciebie nie masz, tkwi tu. – Stukam palcem w skroń.

Sprawia wrażenie zdeorientowanego.

– Ona nie wygląda na taką, która zgodzi się na tyranie za mnie. – Patrzy na wymachującą chaotycznie rękami Almę. Chodzącą kwintesencję słowa „bunt”.

– Ach, te pozory. – Śmieję się. – Zaakceptuje wszystko, co jej zaproponujesz. Tylko nie przeciągaj tego w czasie. Ciężko obudzić w niej potwora, ale jest to możliwe. – Wskazuję na zasiniony nos. – Szybka akcja, zanim do jej mózgu dotrze, że wcale tego nie chce. Zrozumiano? Przy okazji czegoś ją nauczę – dodaję w ostatniej chwili, słysząc za plecami głos Casimira.

– Załatwione – oznajmia.

Alma zajmuje wolne krzesło, a za nią, kręcąc palcem przy głowie i dając mi jakieś sygnały wzrokowe, staje Gallo. Przyglądam się jej, gdy pociera twarz trzęsącymi się dłońmi.

– Jak coś, to ja nie płaczę – mówi cicho, zerka na mnie jednym okiem i wraca do przerwanej czynności. – Po prostu mam ochotę się obudzić. Dlatego tak robię. Tak pocieram. I jednak nie chcę tu być. – Wzrusza ramionami.

– Jakoś dotargałem tę walizkę – sapie Vitto. – Zamek się rozpieprzył i nie da się go zasunąć. Nie wiem, czy czegoś nie zgubiłem. – Ogląda się za siebie.

– Ona do reszty skretyniała – warczy Gallo.

– Walizka? – dopytuje durnowato Vittorio.

– Nie, kurwa, ona. – Gallo chwyta Almę za ramiona. – To, co odwaliła w podziemiach dworca, przechodzi ludzkie pojęcie! – Nachyla się i wrzeszczy jej do ucha.

– On zepsuł mi walizkę. – Alma robi najgłupszą minę, jaką w życiu widziałem i wskazuje kciukiem za siebie. – Przez niego zostałam tak jakby obrabowana z oszczędności. I jeszcze ręcznik mi skradziono. – Zakłada ręce na piersi. – Tak jakby – dodaje.

– Przeze mnie?! Podeszła do nas jakaś Cyganka z lalką na rękach...

– Dzieckiem. – Alma wchodzi mu w słowo. – Małym. Noworodkiem. – Unosi palec. – Biednym i chudym.

– Lalką – warczy Gallo. – Powiedziała tej naiwniaczce, że nie ma ubrań, jedzenia, kasy, a ta – zaciska pięści nad jej głową, jakby miał ochotę ją zmiażdżyć – nie myśląc wiele, bo po co, rozpięła walizkę i zaczęła rozdawać jakieś fanty.

– A on wyrwał z rąk tej pani bluzki, jakie jej podarowałam, a potem mną szarpał i mówił, żebym się opamiętała, a to on powinien, bo ja przecież byłam spokojna. I ta kobieta wpadła w panikę, dziecko prawie się obudziło...

– Po czym ty to niby wnosisz? – Gallo wybałusza oczy w zdziwieniu.

– Po tym, że jak jest głośno, to dzieci się budzą. – Alma wzrusza ramionami. – I gdy Gallo mnie tarosił, to ona wzięła z walizki pierwszą lepszą rzecz i uciekła w przestkach.

– Pierwszą lepszą rzecz – powtarza z niedowierzaniem Gallo. – Kopertę, z której wystawała kasa.

– Ręcznik, w który przypadkowo zaplątała się koperta – poprawia go Alma.

Uśmiecham się do Casimira, patrzącego na mnie tak, jakby nie pojmował, dlaczego to właśnie ta dziewczyna jest tu dzisiaj z nami. Po jego minie wnoszę, że totalnie nie może uwierzyć w nasze, kurwa, szczęście. Ha! On nie jest zabawnym człowiekiem, ale dezorientacja malująca się na jego gębie i nienaturalny wytrzeszcz oczu szczerze mnie bawią.

– O jakiej kwocie mowa? – Casimiro zadaje pytanie, opierając brodę na złączonych palcach i przypatruje się Almie.

– A co cię to interesuje? – odpowiada buntowniczo.

– Muszę wiedzieć, czy znów – akcentuje to słowo – mam ubrudzić dla ciebie ręce, czy się obejdzie.

– Sto euro – mówi rzeczowo Alma, a wszyscy wybuchają śmiechem.

– Czyli to drugie. – Jest wyraźnie zawiedziony.

– Ale z ciebie dusigrosz, Almo. Zaoszczędzić taką kasę. – Vittorio nabija się, wznosząc ręce ku niebu.

Przyciągam bliżej krzesło, na którym siedzi Alma i dotykam jej pleców. Czuję, że się spina. Zupełnie tak, jakbym przyciskał do nich lufę pistoletu, a nie palce. Wstrzymuje oddech i wypuszcza go, dopiero gdy przesuwam rękę i kciukiem przejeżdżam po jej karku. Pochyliła się jak spragniony pieszczot



kociak, sprawiając, że jestem w stanie myśleć tylko o ciasno oplatających mnie nogach, szerokim, durnowatym uśmiechu i chłodzie jej delikatnej skóry, a przecież miałem skupić się na strącaniu w przepaść, niszczeniu, odbieraniu, totalnej dewastacji. Odwraca głowę w moją stronę i robi to, co, jak zdążyłem zauważyć, przychodzi jej bez większego wysiłku, świdruje tym swoim nachalnym, obłąkanym wzrokiem. Nie przez sekundę, minutę lub dwie, ona może wgapić się we mnie bez końca. Popieprzone. Mały, podstępny kot w worku.

Sisto chrząka, przez co uwaga Almy skupia się tylko na nim.

– Jestem bratem Diabła. Sisto. – Macha do niej.

– A ja mam na imię Alma. Bardzo mi miło. Alma z rodu La Mantide. – Uśmiecha się ciepło. –

Dziękuję za zaproszenie.

– Uroczą... – Casimiro burczy pod nosem.

– Inaczej wyobrażałam sobie ten dom – rozgląda się dookoła – ale już trudno. To dlatego nie chciałam przejść przez bramę. Pomyślałam: „Co to, kurwa, ma być?!” – Chichocze.

– Nie pomyślałaś, tylko powiedziałaś na głos – poprawia ją Gallo. – I dodałaś: „Spierdałam stąd”.

Alma drapie się po głowie.

– Niezręczna sytuacja. – Wzrusza ramionami. – To do mnie niepodobne. – Ma minę, jakby sama nie wierzyła w swoje słowa. – Po prostu wyobraziłam sobie, że skoro jest to kościół, to musi być w nim ołtarz. I od razu zwizualizowałam sobie ofiarę składaną z dziewicy – mówi na wdechu. – Ja nią nie jestem. – Wskazuje na siebie palcem i zaprzecza ruchem głowy. – A więc luzik. – Śmieje się nerwowo. – A macie kościelne organy? Bo też usłyszałam w głowie tę melodię z „Draculi”. Mam nadzieję, że nie będę musiała przed zaśnięciem, wysłuchiwać takich złowrogich dźwięków. – Cisza. – W każdym razie miło was poznać i mam nadzieję, że będzie się nam dobrze razem mieszkało. Ja jestem bezproblemowa – zapewnia, a Gallo prychnie. – Moja rodzina nigdy nie miała przeze mnie żadnych kłopotów. Tylko raz mnie porwano, ale to tyle, co nic. – Macha lekceważąco ręką.

– Porwano cię? – pyta z przejęciem Vittorio.

– Tak, ale przez pomyłkę – mówi pewnie Alma.

– Opowiesz o tym? – Młody się nakręca. – Zarzucono ci na głowę worek, wpakowano do bagażnika?

– Yyy. – Zakłopotana pociera czoło. – Mniej więcej tak to było. Tylko bez worka i bagażnika.

– Grożono ci spluwą? Przyłożono nóż do gardła? – Brat nie odpuszcza.

– Nie – sapie Alma. – Zwabiono mnie – skubie skórki u rąk – wyszukany podstępem. – Pociąga nerwowo nosem.

– Opanować do perfekcji technikę szachrajstwa to diabelska sztuka. – Vittorio patrzy na mnie i się szczyrzy. – Powiesz coś więcej, zdradzisz, jaki był ich szatański plan?

– Wykorzystano moją miłość do zwierząt.

– To znaczy?

– Udający starego i ślepego gość zwabił mnie do lasu i wspólnie szukaliśmy małych, puchatych kotków, które mu uciekły. Masz jeszcze, kurwa, więcej pytań, palancie?! – Zakrywa usta. Robi tak za każdym razem, gdy do głosu dochodzi jej drugie „ja”. Zajebiste swoją drogą.

Vittorio łapie się za brzuch i zgina w pół, śmiejąc opętańczo.

– Chryste, ale mnie wkręciłaś! Małe, puchate kotki. – Ociera łzy rozbawienia. – To fragment jakiejś bajki z morałem dla naiwnych siedmiolatek? Chociaż nie, prędzej czterolatek, bo gdy ma się siedem lat, to wie się już, że nie można ufać nieznanym. – Prostuje się. – Dobrze, dobrze. – Zaciera ręce.

– A tak na serio?

Następuje długa, głucha cisza. Czas, kiedy każdy ma szansę na to, żeby odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Vitto siada przy stole i ściąga z rękawów bluzy niewidzialne paprochy. Alma zakręca na palcu skołtunione pasmo włosów. Casimiro ścisną nasadę nosa i oddycha tak głośno, jakby miał zaraz dokonać żywota. Sisto natomiast obdarza mnie pełnym zrozumienia spojrzeniem. Najpewniej dotarło do niego, że lepszej kandydatki, skłonnej przejąć jego domowe obowiązki, nie znajdzie. Nie, bo naiwnych wbrew powszechnie krążącej opinii nie sieją, a przynajmniej nie tak gęsto. Ha!

– Mam pytanie, Almo – odzywa się Sista. – Wzięłabyś na siebie część moich domowych

obowiązków? Zobacz, jakie mam odciski. – Macha energicznie rękami. Tak szybko, że nawet gdyby rzeczywiście miał jakieś ślady, nie sposób byłoby ich dostrzec. – To bardzo boli – jęczy. – Tylko kilka prac, bo nie mam serca zarzucać cię wszystkimi.

Mówiłem, cyrk.

– Dobrze, chętnie ci pomogę. – Alma unosi kciuk, a Casimiro patrzy na mnie wymownie. On też chce się w to bawić. – A co miałabym robić?

– Śniadanie, obiad i kolację. Na lodówce wisi prosta rozpiska.

– W porządku. Banalne. – Uśmiecha się do niego pokrępijając.

– Dziś ledwo co stoczyłem się z łóżka. – Casimiro podejmuje grę. – Ból w odcinku lędźwiowym. Cierpię na to od dziecka. A jutro muszę skosić trawnik...

Alma zasysa powietrze, jakby ją samą coś zabolalo.

– Mogę za ciebie – wchodzi mu w słowo. – Lubię prace na świeżym powietrzu. – Rozgląda się. – Mały teren – ocenia. – Raz, dwa i po robocie.

– Masz na coś uczulenie? – Vittorio zadaje jej pytanie, a ona przeczy. – Ja mam na detergenty. Po sprzątaniu nie mogę otworzyć oczu przez kilka dni. – Trochę go poniosło. – A umówiłem się na randkę i chciałem zrobić dobre wrażenie. Pomogłabyś? – Nie czeka na odpowiedź. – Dzięki! – Posyła Almie buziaka w powietrzu.

– Dobrze. To powodzenia. Będę trzymać kciuki, wiesz, za tę randkę. – Unosi pięści. – I przepraszam, że nazwałam cię palantem. Ogólnie wszyscy jesteście bardzo mili – dodaje.

Nikt nawet tego nie komentuje. Bracia wstają od stołu, a odchodząc w stronę frontowych drzwi, szturchają się łokciami i poklepują po ramionach, śmiejąc i zapewne nie dowierzając w swojego, kurwa, farta.

– Dobrej nocy! – krzyczy za nimi Alma.

Odwraca się tylko Casimiro.

– A tobie najmilejzego jutrzejszego „dzień dobry”. – Uśmiecha się lekceważąco, co całkowicie umyka Almie. Nie jestem zdziwiony.

Tak samo, jak tym, że nie muszę być prorokiem, mimo że czasem go świruję, żeby wiedzieć, że to bycie miłą za wszelką cenę wkrótce ją zgubi. Jeśli w porę nie odpędzi mgły, nie wyłoni się z tych pieprzonych tumanów naiwności, stanie nad najgorszą z możliwych przepaści. Zachwieje się na najcieńszej krawędzi. Skraję wytrzymałości. I kurwa, kim bym był, gdybym nie pomógł jej znaleźć tego wyjątkowego miejsca? Popchnę ją i wskażę kierunek, bo tylko w ten sposób dowie się, kim naprawdę jest. Metoda ta to gwarancja wyjścia szydła, ewentualnie kota, z worka.

– Dobrze się czujesz? – Z zamyślenia wyrывa mnie jej głos. – Nic nie mówisz, tylko siedzisz jak – mruży oczy – jakiś mruk.

– Urozmaicam sobie czas, zgrywając flegmatyka – mówię znudzonym tonem. – Pobawisz się?

– Dobra. – Chrząka i przybiera niedbałą, nad wyraz swobodną pozycję, zakładając ręce na oparcie krzesła. Grymaśnie wykrzywia usta, jakby patrzyła na coś obrzydliwego. – Jak mi idzie? – przebąkuje.

– Wyglądasz jak luzacki raper, który ma ochotę komuś przypierdolić. – Szczęrzę się, a ona się śmieje.

– Jebnięci – podsumowuje Gallo. – Zadzwoń do mnie, jeśli będę potrzebny. Muszę odpocząć. – Zerka na Almę. – Psychicznie – dodaje i obraca się na pięcie.

Chwytam ją w pasie i sprawnym ruchem sadzam okrakiem na swoich udach, dzięki czemu unikam wątpliwej przyjemności wysłuchiwana pisków i jęków protestu. Ale mimo to, gdy dociera do niej, że po raz kolejny dzisiejszego dnia jest oko w oko z Diabłem, średnica jej źrenic zwiększa się dwukrotnie. Uśmiecham się pod nosem na widok hardej, kamiennej twarzy i wyzywającego, pewnego spojrzenia. I być może dałbym się zwieść, nabrać na to całe „przedziej piekło zamarnie, niż moja dusza się ciebie ulęknie”, ale nie jestem ślepcem. Widzę tę drżącą, strachliwą żyłę, która zaraz rozsądzi jej szyję.

– Dasz się przelecieć na tym stole? – pytam.

Bum. Bum. Bum. Biedna żyła. I Alma, bo straciła głos. Wgapia się we mnie, zapominając o mruganiu. Aż w końcu ziewa. Dobre posunięcie. Jej mózg ewidentnie potrzebuje tlenu.

– Chce ci się spać czy ziewasz, bo jesteś zakłopotana i dajesz sobie tym sposobem czas na ułożenie w głowie odpowiedzi na moje – śmieję się – arcytrudne pytanie?

Milczy. Zgarnia z czoła kosmyk niesfornych włosów, wciąż nie spuszczając ze mnie wzroku. I gdy już myślę, że pora się zbierać, bo zabawę we flegmatyczkę potraktowała zbyt dosadnie, ona robi coś totalnie popieprzonego. Hola, kurwa, to nie czas na uczciwą wymianę! Kładzie dłonie na moich ramionach i obniża głowę, przytulając bok twarzy do torsu. I tak siedzi, wpołleży, nasłuchując dudnienia nieujarzmionego serca i mam nadzieję, że nie uśmiecha się głupkowato, bo zostać pokonanym własną bronią, to wielce przejebane. Dotykam jej policzka, a ona przesuwając zimnym nosem po wewnętrznej stronie mojego nadgarstka. Wącha go, to więcej niż pewne i całkowicie w jej zbzikowanym stylu. Włosy na moich przedramionach się unoszą, bo... bo jest mi zimno. Wielki mróz w środku upalnego lata.

– Idziemy. – Poklepuję ją po twarzy. – Nie pokładaj się tak. Wstawaj.

Wzdryga się. Nie muszę nawet powtarzać dwa razy, bo od razu zeskakuje z kolan. Patrzy z pretensją, jakbym zrobił jej wielką krzywdę, a to przecież ona wypróbowuje na mnie jakieś sztuczki, z góry zakładając, że zgadzam się na rolę testera.

– Już nie bawisz się we flegmatyka, tylko w palanta? – wypala i podchodzi do schodków, na których Vitto postawił walizkę. Schyla się i mocuje z zamkiem. – Nie podoba ci się przytulanie. Ciebie interesuje seks na stole – sapie, próbując wciągnąć bagaż wyżej.

– Właśnie. – Potakuję. – I nie podoba mi się pokładanie – poprawiam ją. – Nie znoszę takiego uwieszania, przyciskania, zupełnie, jakbyś chciała mnie pochłonąć.

– Ale to śmieszne. – Chichocze głupkowato i wystawia ręce, jak jakiś zombie. – Jestem jamochłon Alma, pożrę cię w całości. To znaczy pochłonę. – Kręci głową z niedowierzaniem. – Powiedz, o co ci tak konkretnie chodzi? – Posyła mi pytające spojrzenie. Sam najchętniej spojrziałbym na siebie takim wzrokiem, bo jedynie po części wiem, w czym rzecz. I na pewno, kurwa, nie zamierzam się tym z kimkolwiek dzielić.

– Po prostu nie bądź rzepem, jasne?

Wzrusza ramionami.

– Nie być rzepem. Zapamiętać. – Stuka palcem w skroń.

– Zostaw tę walizkę, ktoś wniesie ją do domu – mówię i uchylając drewniane, sakralne drzwi, wchodzę do środka.

Spośród wszystkich naszych rezydencji właśnie to miejsce, stary, przez lata rozbudowywany budynek kościoła, jest moim domem. To nie Dom Boży. To świątynia Diabła. Zlepek dusz. Przekraczając próg, niemal czuje się ich wibrującą energię. Zerkam za siebie, bo jestem pewien, że odgłos rozchodzących się echem kroków należy tylko do mnie. Alma stoi z rozdziawioną buzią i przygląda się pokrywającym ściany i kopuły mozaikom, przedstawiającym dantejskie sceny.

– To nie są sceny biblijne – stwierdza fakt.

– A dlaczego miałyby być? Musisz patrzeć szerzej. Pozory często mylą. Człowiek okazuje się diabłem, diabeł człowiekiem, lekka dusza ciężką. I tak dalej.

– Dlaczego na tym ornamencie ludzie żarzą się jak zapałki?

Wybucham śmiechem.

– Bo płoną?

– A tu? – Wskazuje na kolejny obrazek. – Czemu wielki diabeł pożera małego człowieka?

– Taki los czeka zdrajców rodziny, tych, którzy działają na jej niekorzyść. – Przykładam dłoń do ucha. – Słyszysz?

Być może wyteża słuch. Ma skupiony wyraz twarzy.

– Co masz na myśli?

– Błaganie o litość, jęki rozpacz, przejmujący, wwiercający się w mózg krzyk.

– Nic takiego nie słyszę. A ty? – pyta drżącym głosem.

– Nie i chciałbym, żeby tak pozostało. Nie bądź tym wiertłem, powodem dziurawiącym mój mózg.

Zakładam ręce na piersi, bo Alma obrała sobie za cel zwiedzenie parteru. Niepewnie stawia kroki na marmurowej posadzce, zupełnie tak, jakby obawiała się, że nadeptnie na rozżarzony węgiel. Rozgląda

się z zaciekawieniem, jednocześnie nie potrafiąc zapanować nad lękiem przed nieznanym. Skubie skórki u rąk i podskakuje w miejscu, gdy pocieram zapałką o praskę. Podpalam stojącą w centralnym punkcie holu pochodnię. Dopiero teraz możliwe jest dostrzeżenie ustawionego w apsydzie złotego tronu.

– O, kurwa, królewski tron! – krzyczy. – Przepraszam. – Zakrywa usta. – Kto na nim zasiada? Mogę poczuć się jak królowa? – Nie czeka na odpowiedź. Pędem rusza w jego stronę.

– Jeśli na nim usiądziesz, stracisz głowę – uprzedzam, jednocześnie marząc tylko o tym, żeby przyłożyć czoło do zimnej ściany.

Alma się śmieje. I o ile nie zdziwiłbym się, gdyby był to nerwowy śmiech, to ten melodyjny, przepełniony dziecięcą radością, dziwi mnie bardzo.

– A co to, jakiś zaczarowany fotelik? – nabija się. – Wyobraziłam sobie, że na nim siadam i od razu odpada mi głowa. Weź. – Posyła mi litościwe spojrzenie i obdarza uśmiechem z serii tych najśłodszych.

Ma wyobraźnię, to pewne. Szkoda tylko, że nie potrafi robić z niej właściwego użytku.

– Nie, no coś ty. – Szczerzę się. – Nie tak od razu. Musiałbym najpierw do ciebie podejść.

– A, a – jaka się – a kto może na nim siedzieć?

– Każdy. Pytanie tylko, po co?

– Żeby poczuć się ważnym?

– Dobra. Siadaj. – W jej oczach czai się niepewność. – Usiądź, duszyczko. Sam jestem ciekawy, co wtedy poczujesz. – Robię z palców rogi. Alma tkwi w bezruchu. – Siadaj! – wrzeszczę i aż sam się lękam, ha! Wrażen słuchowych, gdy mieszka się w akustycznym piekle, nie da się porównać z niczym innym. Alma zajmuje krzesło, opierając przedramiona na podparciu. – I jak? Czujesz się ważna?

– Nijak – warczy. – Na pewno poczułabym się wyjątkowo, gdybyś tak nie krzyknął – mówisz z przekonaniem. – A tak, to jedynie siedzę na tronie i boję się kogoś, kto podpira ścianę.

– Słusznie.

– Wcale nie. Mając władzę, nie powinno się bać.

– Masz ją, bo siedzisz na złotym tronie? – Śmieję się pobłaźliwie. – Prawdziwa władza tkwi tu – wskazuję na głowę – i tu – uderzam w tors. – Nie ma znaczenia, czy siedzisz na złotym czy drewnianym krzeselku. Na jednym i drugim łeb traci się tak samo – stwierdzam fakt, a Alma przewraca oczami. – I ponownie, pozory, wasza wysokość...

– To znaczy?

– Ściągnij ręce z podparcia i się mu przyjrzyj.

Robi, o co proszę i otwiera usta, zapewne porażona blaskiem oczywistości.

– No cóż. – Wzrusza ramionami. – Tron jest połączony. W niektórych miejscach złoto jest wytarte.

– Wnioski?

– Nie wszystko złoto, co się świeci – rzuca bez namysłu, ale nie o tę banalną mądrość mi chodzi.

– Nigdy nie lekceważ tych, którzy podpierają ścianę. – Uśmiecham się, bo Alma gwałtownie wstaje.

– Już na nim nie siedzę. – Asekuracyjnie unosi ręce.

– To tak nie działa, duszyczko. – Przykładam skroń do zimnej ściany. – Przecież cię uprzedzałem.

– Tak, ale potem mnie zmusiłeś, żebym usiadła – przekonuje. – Krzyknąłeś: „Siadaj!”.

Cięzka dusza.

– No i? – Zerkam na nią. – Chodź. – Przywołuję ją ręką i biegnę w stronę schodów prowadzących na górę. – Obiecuję ci najlepszą zabawę świata! Słowo Diabła, Almo! – Ekscytuję się na wyrost, bo bawiłem się w nią już tyle razy, że chyba sam musiałbym wejść w rolę Quasimoda, żeby poczuć ten cudownie pobudzający dreszcz. Alma, niczym moja osobista Esmeralda, rusza za mną. Trzy piętra. Tyle wkrótce będzie dzieliło nas od piekielnej otchłani. Cienka krawędź, wiatr we włosach i my, kurwa, tacy zakochani. Ha! – Szybciej, bojaźliwa królowno!

Nachylam się nad poręczą, żeby sprawdzić, czy Alma daje radę. Z zapałem przeskakuje po dwa schody, a gdy zrównuje się ze mną, łapię ją za rękę i popycham niepozorne, stalowe drzwi. To nie brama do raju, ani wrota piekła. To po prostu wejście na będącą gwarancją doskonałej zabawy dzwonnice.

– Ale tu wieje. – Alma stara się ujarzmić wpadające do oczu włosy. Ciągnę ją w stronę półokrągłego, wielkiego okna. – Zaraz urwie mi głowę. – Mocniej ściska mi dłoń. Z każdym stawianym krokiem wyczuwam coraz większy opór. – Nie chcę tu być. Ale wielki dzwon.

– Nie patrz w górę, patrz w dół – mówię, stając za nią. Chce się cofnąć, ale to niewykonalne.

– Pojebało cię!?! – krzyczy. – Wypadnę. Jeden krok i po mnie. – Trzęsie się. – To chore! Chcę stąd iść – piszczy, próbując się odwrócić, ale, kurwa, lekcja dopiero się zaczęła.

– Skacz – szepczę. – Skacz! – wrzeszczę. Sam nie wiem, czy najgłośniejszy jest świst wiatru, mój krzyk czy spazmatyczny płacz Almy. – Wkładam palce w szlufki jej spodni, w razie gdyby bardziej niż czeluści bała się stojącego za nią Diabła i postanowiła skoczyć. – Skacz, do cholery!

Cofa się, napiera jak mały taran, deptając mi po palcach. Śmieję się i odciągam ją od okna. Z rozczochranymi jeszcze bardziej niż zwykle włosami, trupią bladością policzków, nienaturalnie rozszerzonymi źrenicami wygląda jak upiór z dzwonnicy. Najpiękniejsza zmara, jaką w życiu widziałem. I co najważniejsze, straszdyło to BARDZO chce się ze mną bawić. Raj.

– No i dlaczego nie skoczyłaś?

– A jak myślisz, palancie, najgorszy ze wszystkich?! – Chyba jednak nie przypadła jej do gustu zabawa w dzwonników. Smuteczek. – Bo się bałam!

– Wysokości bardziej niż mnie, wywierającego na tobie presję? – Uśmiecham się pod nosem.

– Co ty, nienormalny jesteś?! – Zapluwa sobie brodę. – Gdybym skoczyła, tobym nie żyła. A z tobą mam szansę sobie poradzić, bo żyję.

– Myślałem, że już wyjaśniliśmy sobie kwestię mojej normalności – stwierdzam rzeczowo. – Jak twoja teoria ma się do sytuacji, która miała miejsce w holu, kiedy krzyknąłem, każąc ci usiąść na tym jebanym krzeselku? Nie sprzeciwiłaś się, bo co? Nie żyłaś wtedy?

– Oczywiście, że żyłam – warczy.

– To dlaczego usiadłaś jak posłuszny pudełek? – Nawijam kosmyk jej kudłów na palec. – Następnym razem, gdy będziesz się kogoś bać, wyobraź sobie, że stoisz na dzwonnicy i chwiejesz się na krawędzi. Bój się wysokości. I tego, jak będziesz się czuć w swoim towarzystwie tu – przyciskam kciuk do jej mostka – jeśli ulegniesz presji.

– Łatwo powiedzieć, postaw się, jeśli nie wie się, jakie będą konsekwencje. – Przewraca oczami. – Zwłaszcza że mówiłaś, że odpadnie mi głowa.

– Jeśli usiądziesz na tronie, a nie gdy się sprzeciwisz. Tak czy nie?

– Faktycznie – sapie. – I co teraz?

– Będziesz musiała ją stracić. – Wzruszam ramionami. – Czekają to każdego, kto kiedykolwiek posadził dupę na tym magicznym krzeselku. – Szczerzę się. – Tylko cicho. Wiem o tym tylko ja. – Wskazuję na siebie. – No i teraz ty – dodaje. – I pamiętaj, jeśli nie chcesz czuć się jak wymięta, wyciskana przez wiele rąk szmata, a to właśnie konsekwencja bycia bierną, to wyciągnij wnioski z diabelskich mądrości. W tym przypadku ucz się szybciej. Najszybciej, jak potrafisz.

– To porypane.

– Nie. To akurat takie nie jest.

Marszczy nos i zezuje tymi swoimi pięknymi oczami, sunąc wzrokiem po mojej twarzy. Nachylam się nad jej uchem.

– A teraz siad! – wrzeszczę i wybucham śmiechem, gdy podskakuje w przestkach.

Odwracam się, słysząc metaliczny odgłos tarcia drzwi o posadzkę. Do środka wtacza się popychany przez Casimira gość, więc jak mniemam, zaraz zabije dzwon zwiastujący koniec lekcji. Typ ciągnie nogę za nogą, na głowę zarzucony ma jutowy worek. Ach, ta nasza czarcia gościnność.

– Co wy tu robicie? – burczy Casimiro. – Ona nie powinna już spać? – Wskazuje na rozczochrańca.

– A co ja mam dwa latka? – oburza się Alma. – Kto to? Dlaczego ma na głowie worek?

– Ma lęk wysokości. – Casimiro uśmiecha się pobłaźliwie, a gość zaczyna poruszać chaotycznie łbem.

– To po co tu przyszliście?

– Jak to po co, Almo? Żeby pokonać strach raz, a porządnie. – Casimiro patrzy na przymocowany

do dzwonu sznur zakończony wisielczą pętlą, którą za moment założy na szyję naszego gościa.

Nie trzeba być nad wyraz domyślnym, żeby wiedzieć, że komuś po raz ostatni zabije dziś dzwon. Bim, bam, bom. Nie lubię się w to bawić. Nie, bo wielu zapomina, że to instrument z duszą. Wielce, kurwa, wątpliwe, żeby gość, który zdążył już zmoczyć spodnie, potrafił ją połechtać. Nie ma co liczyć na wyszukaną melodię. Biorąc pod uwagę niewielką wagę naszego obszczonego dzwonnika i to, że sznur jest krótki, skończy się na „bim”. A gdzie „bam”? A gdzie „bom”?

– No widzisz! – Alma tupie nogą. – Casimiro dba o komfort kolegi – oznajmia z uznaniem. – A ty nawet nie raczyłeś zasłonić mi oczu. – Brzmi, jakby naprawdę wierzyła w tę całą troskę o zaszczonego kumpla.

Ciągnę ją za sobą w stronę wyjścia i szczelnie zamykam za nami drzwi. Schodząc, Alma nie mówi ani słowa. Pograżam się w tej ciszy i odpływam myślami, dlatego gdy przystajemy na piętrze, pierwszy raz od niepamiętnych czasów podskakuję w jebanym przestkach! Pisk pieprzonej ekscytacji niemal rozsada mi bębenki, bo katańska dzikuska usłyszała bicie dzwonu.

– Biję dzwon. – Kładzie dłonie na policzkach i wytrzeszcza oczy. – Dzwon bije – powtarza. – Ktoś pociągnął za sznur, ale fajnie! – Podniecenie zaraz rozsadzi jej łeb.

– Taa.

– A dlaczego tylko raz?

– Długość liny nie była wprost proporcjonalna do wagi wisielca. Najpewniej nie doszło do skrócenia karku, lecz do uduszenia spowodowanego zaciśnięciem tętnic szyjnych – tłumaczę i zerkam na zegarek. – Trzy, cztery minuty. Zgon. Gra niewarta świeczki. Więcej tego wspinania po schodach, żeby dojść na dzwonnice, niż rzeczywistej zabawy.

Alma wybucha śmiechem.

– Mógłbyś wymyślać inne żarty, a nie takie o skręcaniu karków i odpadaniu głów? – pyta lekkim tonem. – Musisz być bardziej pomysłowy – zaleca.

– Jeszcze bardziej? – Udaję zdziwionego. – Następnym razem polecę bratu nieumiejętne założenie pętli na szyi dzwonnika. Wszystko po to, żeby za szybko nie stracił przytomności i umierał w boleściach. – Szczerzę się. – Rozbudzanie pokładów kreatywności. Robisz to dobrze, Almo.

– Nie wymyślaj. Nie koloryzuj – mówi, ale w jej głosie nie ma już niedawnego rozbawienia.

– Gdybym to robił, powiedziałbym ci, że rój motyli usiadł na linie, wprawiając dzwon w ruch machaniem kolorowych skrzydełek. Bądź dobra, ale nie głupia, do chuja! – Sfrustrowany nerwowo pocieram twarz, bo Alma robi minę, jakby miała się rozpląkać i pędzi na dół, mimo że jesteśmy już na właściwym piętrze. – Dokąd się wybierasz?

Przystaje i odwraca głowę.

– Daleko stąd.

– O tej porze? W obcym mieście? – Dziwię się. – Wiesz, gdzie są drzwi – dodaję. Waha się, słysząc to. Zabrzmiało, jakby mi nie zależało. Miało tak zabrzmieć. Zawsze chce się mieć to, czego się nie ma. Teraz zapewne czuje, jakby traciła jedyny, wielce niestabilny, ale jednak grunt pod nogami. Mnie.

– I nie będziesz mnie zatrzymywał?

– Mówią na mnie Diabeł, nie desperat. – Robię z palców rogi. – To cześć, bo idę spać. – Macham na pożegnanie i robię krok z zamiarem udania się do pokoju, ale ona oczywiście nigdzie się nie wybiera. Nie, bo nie chodzi o faktyczną potrzebę spierzenia. Alma też zna pewne sztuczki.

– Jak coś, to o mnie się nie martw. Pewnie nikt mi nic nie zrobi.

O tym mówiłem. Jeśli ją odjebią, to będę mieć wyrzuty sumienia. W jej mniemaniu oczywiście. A wszystko dlatego, że nie uczepiam się jej nogawki i nie szlocham spazmatycznie, porażony perspektywą jej rychłego wymarszu. A żeby było śmieszniej i żeby trudniej było ją wykurzyć, przysiadła na schodku. Ha! Ona NAPRAWDĘ chce odejść. Opieram się bokiem o ścianę.

– Mój ojciec zdradził mi sposób na przetrwanie w Palermo.

Och, kurwa.

– Nie wiem, czy zaśmiać się już teraz, czy poczekać? – pytam od niechcienia, a Alma marszczy nos i chrząka.

– Dzień dobry – mówi.

Wybucham śmiechem. To silniejsze ode mnie. Cudownie szurnięta.

– Raczej do widzenia, skoro wychodzisz.

– Dzień dobry. Jestem Alma Gotti. – Uśmiecha się, a po moich ramionach przebiega dreszcz.

Przyciskam skroń do ściany, chociaż więcej niż pewne, że powinienem przyłożyć do niej fiuta. – Brawo dla tatusia – stwierdzam z ironią.

Alma wydaje się zdezorientowana, ale tylko do czasu. Do momentu, kiedy jej wzrok zatrzymuje się na moim kroczu.

– Ciebie to podnieciło? – Wybałusza oczy. – Miałeś się przestraszyć – mówi z wyrzutem.

– Zakłęcie nie zadziałało, skoro teraz boisz się ty.

– Wcale, że nie! Ja widziałam już z milion fiu... – Kładzie dłoń na ustach, gdy mrużę oczy. – A, nieważne. Nie patrz na mnie tak... – przetyka ślinę – tak morderczo – sapie.

– Jesteś błada jak ściana i skubiesz skórki. Pominę to, że sturlałaś się tyłkiem trzy stopnie niżej, ale w porządku, załóżmy, że nie masz pietra.

Alma zakłada ręce na piersi, unosi hardo brodę, ale nie odmawia sobie zerkania na mnie kątem oka. Ach, te ciekawskie dusze.

– To ja już lepiej pójde – rzuca, jakby od niechcenia. – Chyba że bardzo chcesz, żebym została, to mogę się zgodzić – dodaje, wzruszając ramionami.

W wyobraźni widzę ją natykającą się na nieodpowiednich ludzi, snującą bez celu po ulicach Palermo. Mało tego, słyszę, jak melodyjnym, piekielnie seksownym głosem wypowiada to arcygroźne zakłęcie, od którego włos jeży się na rękach i to z zupełnie innych powodów, niż przypuszcza. Myśl ta sprawia, że spinają mi się wszystkie mięśnie. I ona nie może stąd odejść. Nie i już.

– Zostań – mamroczę.

– Co powiedziałaś? – Przykłada dłoń do ucha, mimo że na pewno usłyszała.

– Że masz stąd spadać.

– Żartuję, słyszałam za pierwszym razem. – Chichocze. – A dlaczego chcesz, żebym została?

– Przywiązałem się do ciebie.

Zmyślam. Ponosi mnie fantazja, do cholery! Przysięgam. Słowo Diabła. Jeden wielki farmazon. Totalna ściema.

– Jak to możliwe, skoro znamy się tak krótko? – Mruży oczy.

– Przywiązałem się do ciebie myślami. – Uśmiecham się pod nosem.

I oczywiście kłamię. Imaginuję. Całkowicie zniekształcam prawdę.

Alma staje na równych nogach. Od razu nabrała kolorów, gdy pomalowałem jej świat farbami o wdzięcznych nazwach „Łgarstwo” i „Bujda”. Sprintem pokonuje schody i staje naprzeciwko mnie.

– Ja też o tobie myślałam. W sumie to cały czas to robię. Z krótkimi przerwami na sen.

Coś mi mówi, że ona dopiero się rozkręca.

– Tyle że w snach też cię widzę. I kłamałam, że wyobrażam sobie kogoś innego. Może mi przejdzie, a może nie. – Wzrusza ramionami. – Przyznaję, jesteś dziwny, trochę nienormalny, jakby szalony i nie wiadomo, czego można się po tobie spodziewać. Taki delikatnie pomyłony odmieniec.

Ogrom komplementów.

– Ale i tak cię lubię.

Patrzy w moje oczy. Szczerze, kurwa, wątpię, żeby zobaczyła w nich w tym momencie coś szlachetnego.

– Zazwyczaj. Czasem lubię, czasem nie – dodaje i bez żadnego uprzedzenia wtula się całą sobą. Tak jak wcześniej w ogrodzie. Znów przykładła ucho do mojej klaty, ponownie pokłada się i uwiesza. – Twoje serce bije zdecydowanie za szybko. Nie potrafisz nad tym zapanować? Wiesz, że każde ma określoną ilość uderzeń, a potem się umiera? Zapanuj nad swoim sercem. Zgoda? – Ścisła mnie coraz mocniej.

Niech się piekło rozstąpi. Teraz.

## ROZDZIAŁ 7

### *Alma*

Mam ochotę krzyczeć. Nie, to nie oddaje stanu mojego ducha. Wrzeszczeć, wydzierać się opętańczo i wsadzić drewnianą łyżkę, którą od dwudziestu minut mieszam bezglutenowy sos do makaronu, w czyjeś gardło. Banał? Nie, do cholery! Sosik ten, według tego, co zostało napisane na KRÓTKIEJ rozpisce przyczepionej do lodówki, MUSI być naturalny, dietetyczny, zawieszisty i bez grudek. Odpowiednią gęstość mam uzyskać w sposób inny niż zwykle postawienie garnka na gazie i oczekiwanie, aż nadmiar wody odparuje, bo ryzyko, że w porę nie dostrzegę momentu, kiedy konsystencja będzie w deseczkę, grozi uzyskaniem słonej papki. A tej podniebienia domowników mówią stanowczo: „NIE!”. W grę wchodzi jedynie dodanie zblendowanego warzywa, oczywiście nie pierwszego lepszego, które wpadnie w rękę. Musi to być cukinia lub ziemniak. Wtedy jest cię szansy, że diabły radośnie pomerdają ogonami.

– KURWA!

Nie przepraszam, bo chciałam to powiedzieć.

Alma. Niewyspana, styrana królowa garów. Pot cieknie mi po twarzy, gdy nachylam się nad stertą naczyń w zlewie, których nie zdążyłam jeszcze pozmywać po śniadaniu: pierwszym i drugim. Zmywarka oczywiście nie działa lub specjalnie odłączyli jakieś arcyważne kable, żeby utrudnić mi życie.

„Najmilszego jutrzejszego dzień dobry”. Jasne. Zaczął się naprawdę świetnie, bo w środku nocy, i miło, bo Mephisto wykopał mnie z łóżka. Kto tak robi, do cholery?! On! Ten diabeł w ludzkiej skórze nastawił budzik na czwartą rano, bo to podobno najlepsza pora na pobudkę, jeśli ktoś ma zamiar wyrobić się ze śniadaniem na siódmą. Nie mylił się. Trzy godziny przygotowywałam pierwszy tego dnia posiłek, bo w tym domu każdy żre coś innego. Trawnik, który trzeba skosić, też zapewne nie ma kilku metrów, ale nie mam odwagi okrążyć rezydencji, żeby się przekonać. I jeszcze to całe sprzątanie. Słodka naiwności! Ten dzień nie może być gorszy.

Alma. Tytan pracy.

I postrach Diabła.

Nie zmyślam. On się mnie boi. Nie wiem, czy jest to spowodowane tym, że rozkwaśiłam mu nos i czuje do mnie respekt, czy po prostu obawia się przedwczesnej śmierci. Gdy się do niego przytuliłam, w jego języku „pokładałam i przyczepiłam jak rzep”, to serce niemal wyskoczyło mu z piersi. Niepotrzebnie straszylam go tą ograniczoną ilością uderzeń, bo odkąd poinformowałam go o tym fakcie i wtuliłam w niego z całych sił, trochę mu odbiło. Postanowił przestać marnować czas na głupotę, jaką jest sen i wybył na pół nocy, zostawiając mnie samą w pokoju wyglądającym, jakby nigdy nikt w nim nie sprzątał. W wielkim chlewie burczącego, zachowującego się nagle jakby coś go ugryzło, mającego muchy w nosie Diabła. I przyznaję, ulżyło mi, gdy wyszedł. Od rana czułam rosnące, szukające, ale nie mogące znaleźć ujścia napięcie. Czasami tak silne, że miałam ochotę wbić zęby w rękę. Zamiast tego, w chwilach, kiedy totalnie nie wiedziałam już, co ze sobą zrobić, wtulałam się w szalonego zwierza, jakby był moją ostatnią deską ratunku. Tyle że on nie chce nią być. A ja nie mogę być rzepem. Tym razem serio zapamiętam.

Albo i nie. Zobaczę.

– Pieprzę to. – Rzucam ścierę na kuchenny blat i odwracam się w stronę Galla. Mojego współtowarzysza niedoli, który od kilku godzin niemal leży na stole, udając, że ma wszystko pod kontrolą. Na dźwięk mojego głosu leniwie uchyla powieki. – Gdzie jest Mephisto i kiedy wróci?

– W pracy. – Przeciera zaspane oczy. Zazdroszczę mu, że dostał zaszczytu wyspania się. – I wyglądam ci na jego sekretarkę? Gdy skończy pracę, to wróci. – Wzrusza niebale ramionami.

Śmieję się, ocierając przedramieniem pot z czoła. Tu jest gorąco jak w piekle, mimo że powinien być przyjemny chłodek, skoro to kościół. Nic z tych rzeczy. Płoną pochodnie, a w kominkach bucha ogień. Jest środek dnia, pełnia upalnego lata. Pytań brak.

– Zabrzmiało, jakby serio miał jakieś arcyważne obowiązki. Może jeszcze mi powiesz, że tyra



jak wół od ósmej do szesnastej, nabawiając się odcisków. – Przewracam oczami.

– Drzazg. I nie, nie jak wół. Jak Diabeł. – Uśmiecha się pod nosem.

Do kuchni wchodzi rozemocjonowany Vittorio.

– No co ty, Almo! Dlaczego nie sprzątasz? – Gestykuje energicznie i wybiega, by po chwili wrócić z mopem i wiadrem pełnym spienionej wody. Stawia go przy moich nogach. – Znasz takie pojęcie jak właściwa organizacja czasu? – Zerka na zegarek. – Hol zawsze musi być wysprzątany nie później, niż do południa. To ulubione miejsce ojca. Czaisz bazę?

– Nie. Powie się mu, że wysprzątane i tyle. – Wzruszam ramionami. – Jest czysto, byłam tam wczoraj. Szkoda, że nie widziałeś pokoju swojego brata. Tam to dopiero jest syf. Gdy tam weszłam, to normalnie...

– Sam posprzątam – warczy i sięga po wiadro. – Może twojemu staremu można wcisnąć każdy kit, ale naszemu nie i lepiej nie próbuj, bo długo taka ładna nie będziesz. – Mierzy mnie wzrokiem z góry na dół, a potem unosi koszulkę, pokazując szeroką na dwa palce bliznę na brzuchu. – Lepiej dmuchać na zimne. Zwłaszcza że nie ma Mephista. – Kładzie dłoń na moim ramieniu. – Jakby trzeba było wziąć karę za ciebie, to wezmę, ale wołałbym nie, dobra? Niby ojciec już ich nie stosuje, ale w tym przypadku słowo „niby”, to ten, tak jakby klucz. – Mruga szybko. – Dlatego jeśli coś obiecujesz, to dotrzymuj słowa. Być naiwnym a oszustem to różnica, nie? Już wołę to pierwsze, drugie jest chujowsze. – Śmieje się. – Jest w ogóle takie słowo, Almo? „Chujowsze”. – Stuka palcem w brodę, jakby się nad tym zastanawiał.

Nic z tego nie rozumiem.

– A dlaczego, gdy jest Mephisto, to nie trzeba dmuchać na zimne?

– No, bo on to on, co nie? – Patrzy na mnie jak na głupią. – Książąt piekła może być wielu, ale król jest jeden. I nie daj się zmylić – szepcze. – Nie jest nim ten, który siedzi na naszym tronie. W sumie po co szepczę? – pyta jakby sam siebie. – To moje zdanie i mam prawo je mieć. Tego uczy mnie Mephisto. Mój brat – mówi z dumą. – Tylko nie ukrywam, że wołę je mieć, gdy jest blisko. – Śmieje się nerwowo. – Gdyby nie on, to byłbym jedną wielką blizną. Byłem naprawdę niegrzecznym dzieckiem. – Przygląda mi się i klaszcze. – Pora polatać na miotle. – Idzie w stronę wyjścia, ale po chwili przystaje i odwraca głowę. – Nikt w naszym domu nie zje tych vege specjalów, nad którymi wylewasz siódme poty. – Omiata wzrokiem ogrom garnków, porozstawianych w różnych zakamarkach kuchni. – No, ale zapewne nie jesteś na tyle naiwna, by sądzić, że metrowy rulon przywieszony do drzwi lodówki, stupunktowe menu z wesela twojej siostry, to nasz chleb powszedni. – Parska. – Chociaż ten cały francuski *omlette du fromage*, który wyczarowałaś na śniadanie był zacny. Fajna odmiana, gdy na co dzień wpięprzamy owsiankę z jabłkami, którą przygotowujemy w siedem minut.

Vitto wychodzi, Gallo wybuchu śmiechem, a ja otwieram usta.

– Szkoda, że mi nie powiedziałaś, że to weselne menu – mówię z wyrzutem. – Myślałam, że jesteś w moim zespole.

– W zespole? W tym czymś, wiążącym się ze współpracą? W takim razie założmy, że dziś współdziałałam z tobą tak, jak ty ze mną wczoraj na dworcu. I przed domem. A poza tym no cóż, też lubię dobrze zjeść. – Wyszczera złote zęby. – Do którego punktu dotarłaś?

– Dwudziestego trzeciego – sapię. – Czuję, jakby miały mi odpaść ręce. – Potrząsam nimi.

– No cóż.

– Przestań to powtarzać! – Tupię nogą. – Mam dość tego, że wszyscy są nieszczerzy!

– No cóż. Sama proponowałaś oszukanie starego w kwestii posprzątania.

– To przez takich jak wy tracę piękno charakteru. Moją dobrą duszę! – wykrzykuję i kładę rękę na ustach, bo przypominam sobie to, co Mephisto powiedział na weselu. „Erosa i Mephista łączy to, że obaj pożądamy tego, co piękne i dobre. Gdyby Eros zdobył to, czego pragnie, dbałby, żeby zawsze takie pozostało”. Mimo że w domu panuje ukrop, czuję prześlizgujący się po plecach lodowaty dreszcz. Wiem już, co zrobiłby Mephisto. Postąpiłby odwrotnie. Zniszczyłby.

– Przekucie niedojrzałości umysłowej w rozsądek nie obejdzie się bez strat. Skupmy się na pozytywach. Póki co, nie ma żadnych ofiar w ludziach. Czyż to nie cudowne, Almo? – Śmieje się i zatapia palec w kremie z groszku. **W ogóle nie zauważa, że stoję jak rażona piorunem. Blaskiem oczywistości.**

– Kim jest Eros? – pytam.

Pytanie to ma wielką moc. Taką ścierającą uśmiech z gęby, radosny wyszczerz. W ułamku sekundy podrywając na nogi przemądrzałego wielkoluda. Nakazującą mu zacisnąć rękę na moim ramieniu tak mocno, jakby amnezja, zapomnienie, że obiecał mnie chronić, były w pakiecie.

– Nigdy – syczy – nigdy nie waż się wypowiadać tego imienia. Zdecydowanie wymieszane z widocznym gołym okiem przerażeniem, malującym się na jego twarzy, każą mi sądzić, że mówi poważnie. – Nie w tym domu. Rozumiesz?

Potakuję energicznie, jednocześnie czując, że galopem zbliżam się do mety, granicy emocjonalnej wytrzymałości. I jeśli teraz, w tej chwili nie przekażę komuś tej bomby, to będzie ból i zgrzytanie zębów, szczypiące, barwiące plecy czerwienią, uwolnienie. Spuszczone z uwięzi daje niezłego kopa. To siła będąca w stanie ponownie wysłać mnie na linię startu.

– Czy mogę się do ciebie przytulić? – pytam wprost, a Gallo od razu zwalnia uścisk na mojej ręce i odsuwa się, robiąc dwa kroki w tył. – Na krótko. Minutę. Muszę to zrobić, bo – skubię skórki – bo czuję się – nabieram powietrza – dziwnie w środku. – Wskazuję palcem na zębra.

– Nie. Odpada. – Unosi ręce. – Jeśli wyglądam ci na przytulankę, to wiesz, że jestem bardzo przywiązany do swojego wnętrza. Kulek silikonowych czy innych farfocli, którymi wypycha się miśki.

– Robi kolejny krok w tył. – Może idź do kibla, na pewno czymś się zatrulaś skoro czujesz się dziwnie.

– Ale mnie chodzi o duszę... – Staram się spowolnić oddech, ale przestaję nad nim panować.

– Ten nawija o duszy, ta też o niej bredzi. – Jeszcze jeden krok w tył. – Mnie w to nie mieszajcie. Wy jesteście troszkę – macha dłonią w lewo, w prawo – jebnięci. To czyni sytuację nieco niezręczną, a ponieważ nie mogę zostawić cię samej, to proszę, żebyście udały się do waszego pokoju. – Pociera czoło. – Ty i twoja dusza. – Parska śmiechem. – Bo moja ma na to wywalone jajca.

Kręcę głową z niedowierzaniem. Bezuczuciowy ignorant. I pewnie, że pójdę do łazienki, tak, jak wstępnie proponował. Jestem z tych, którym nie trzeba powtarzać dwa razy. Zazwyczaj. A już na pewno nie w tym przypadku.

Rozwiązuję fartuch i ciskam go na krzesło, a wychodząc, szturcham Galla ramieniem. Idąc korytarzem w stronę znajdujących się w holu schodów, mijam trzech mężczyzn, którzy uśmiechają się na mój widok. Każdy z nich ma złote siekacze, co każe mi sądzić, że są ziomkami niewrażliwego na dyskomfort duszy wielkoluda.

– Gdzie Gallo?

Odwracam głowę, kiedy słyszę to pytanie, chcąc się przekonać, czy skierowane jest do mnie.

– Wyglądam na jego niańkę? – pytam.

Gość unosi brwi, wyraźnie zdziwiony moją buntowniczą postawą. Marzę tylko o tym, żeby ostudzić bulgoczące emocje. Nie o byciu miłą.

– Zaraz do mnie dołączy. Poszedł do toalety – dodaję, bo uświadamiam sobie, że w gruncie rzeczy nie wiem, czy powinien spuszczać mnie z oka, a mimo wszystko nie chcę, żeby miał kłopoty.

– Nie wchodź na piętro głównymi schodami. – Zerka na zegarek. – Omiń hol.

– Wyglądam na taką, której trzeba mówić, co ma robić?! – Zakładam ręce na piersi, a facet mierzy mnie wzrokiem.

– Czyli nie jesteś jedną z tych ulegających presji? – Przygląda mi się, jakby próbował wyczytać odpowiedź z rysów twarzy. – W takim razie możesz iść, którędy masz ochotę. – Uśmiecha się szeroko. – To twój dom. – Odwraca się, truchtem dołączając do, czekających w końcu korytarza, kolegów.

Wzruszam ramionami i przyspieszam kroku, chcąc jak najszybciej znaleźć się w pokoju. Rozmyślałam nad tym, jak najdelikatniej, nie urażając uczuć Casimira, oznajmić mu, że nie będę kosić za niego trawnika. A może jednak to zrobię? Jest szansa, że on jako jedyny nie wykorzystał dobroci mojego serca i naprawdę ma problem z kręgosłupem. Sprawia wrażenie poważnego. I szczerego. Dobra, skoszę. Chwila. To on życzył mi „najmilszego jutrzejszego dzień dobry”. Nachylając się nad parującymi garami zrozumiałam, że była to ironia. Z drugiej strony może jednak nie? Rety, dlaczego niektórzy muszą być tacy skomplikowani?! Dobra, skoszę.

W holu panuje półmrok. Wielkie, witrażowe okna zasłonięte są kotarami, a przestrzeń rozświetlają tylko płomienie pochodni. Jedna ustawiona jest w centralnym punkcie pomieszczenia, a trzy

inne dookoła okrytego, nie wiedzieć czemu, złą sławą tronu. Wyteżam wzrok, ale szybko odwracam głowę, koncentrując się na celu – schodach. Nie chcę brać udziału, a nawet być niemym świadkiem uskutecznianego tu, na moje oko tajemnego, rytuału. Na tronie siedzi ojciec Mephista, a przed nim klęczy Sisto i zawzięcie o czymś dyskutują. Z dwojga złego lepsze pasowanie na rycerza niż złożenie mnie, dziewicy, w ofierze. Slizgam się na mokrej posadzce i rozkładam ręce, chcąc zachować równowagę. Wydaje mnie zdradliwy pisk gumowej podeszwy butów. Nastaje cisza. Mam wrażenie, że trwa całą wieczność. Nie mam czasu, który mogłabym w ten sposób marnować, idę dalej.

– Kogo to moje oczy widzą?! – Głos ojca Diabła rozchodzi się echem.

Przystaję.

– Ma pan na myśli mnie? – Wskazuję na siebie palcem. – Jestem Alma La Mantide. Miło mi.

– Mnie też jest miło, że przyszłaś się przywitać, że nie jesteś jedną z tych niekulturalnych dziewczuch, które sądzą, że mogą mieszkać w moim domu na swoich zasadach. Chodź tu – warczy.

Waham się, bo teraz nie dość, że przytłaczają mnie uczucia żądające uwolnienia, to i strach wywołany złowrogim tonem. A taki właśnie jest. W tym przypadku nie mam żadnych wątpliwości.

– Śmiało! – ponagla mężczyzna, więc podchodzę do niego, przystając przy Siscie. – Don Pedro Gotti. – Wystawia dłoń, którą ściskam i potrząsam, a on się śmieje. – Nikt cię nie poinformował, jakie w moim – akcentuje to słowo – domu panują zasady?

– Jestem tu dopiero od wczoraj. – Wzruszam ramionami.

– Od wczoraj?! – wrzeszczy, a Sisto się wzdryga. – I dopiero teraz się ze mną witasz?! – Zaciska palce na podłokietnikach. – Nie przyszło ci do głowy, że przekraczając próg domu, należy przywitać się z panem – unosi ręce, zataczając nimi okrąg – tego królestwa?

– Yyy. – Drapię się po głowie.

– Zasada pierwsza. Widząc mnie, ujmujesz moją dłoń i całujesz ten pierścień. – Pokazuje sygnet.

– Zasada druga. Informujesz mnie o wszystkim, co dzieje się na terenie mojej posiadłości. Co podsłuchałaś, co widziałaś, co kto powiedział, zrobił. – Świdruje mnie wzrokiem.

– Mam być kablem? – wyduszam.

– Nie, słoneczko. Dobrą służką.

Czuję, jakby puls miał rozsadzić mi bębenki.

– Chyba nie myślisz, że sama w sobie jesteś jakąś wartością dodaną i będziesz snuć się po domu bezproduktywnie? Tak jak mój Sisto – poklepuje go po głowie jak psa – masz się tu zjawiać, gdy zauważysz lub usłyszysz coś, czym trzeba się ze mną podzielić.

– Ja nigdy nic nie widzę i nie słyszę, bo bujam głową w chmurach – mówię na wdechu. – A poza tym, nie żyjemy w średniowieczu. Król, służba i inne bzdety. – Macham lekceważąco ręką, mimo że nie chcę tego robić. I chcę przestać mówić, ale jak zwykle nie potrafię zapanować nad tym, co wydostaje się z moich ust. – I nie zamierzam całować jakiegoś pierścionka i dostać opryszczki, a obgadywać innych nie lubię i donosić też nie, bo to słabe. – Zerkam sugestywnie na Sista, na co się krzywi. – A skoro tak bardzo chciał mnie pan poznać, to trzeba było ruszyć dupę i zejść, przywitać się w sensie. Czy ja tu, kurwa, muszę mieszkać? Mało to hoteli w okolicy? Pierdol się, palancie! – Kładę dłoń na ustach. – Przepraszam. Nie chciałam być szczerą. To znaczy nie miła.

– Na kolana! – wrzeszczy tak głośno, że nogi same się pode mną uginają.

Trzęsę się jak osika, gdy klęczę ramię w ramię z Sistem. Don Pedro podkłada pięść pod mój nos. Uczucia, których doświadczam, są porównywalne do tych odczuwanych w leśnej chatce.

– Całuj!

Zamykam oczy, pozwalając łzom płynąć po policzkach, a gdy usta stykają się z pierścieniem jestem przekonana, że to, co tworzy się w moim wnętrzu, jest po stokroć gorsze od krzywdy doznanej w lesie. I choć byłam pewna, że to wtedy zostałam strącona do piekła, teraz wiem, że się myliłam. To był zaledwie jego przedśmiatek. Moja dusza płonie teraz. Podpałką jest poniżenie, wstyd i rozczarowanie sobą. I to boli. Bardzo. Don Pedro stuka podeszwą o posadzkę. Skupiam się na tym odgłosie i chowam twarz w dłoniach, kompletnie nie wiedząc, co mam zrobić. W głowie żadnej czystej myśli, w sercu pustka, a chwilę później nagła, niemal wwiercająca się w mózg głucha cisza.

Zdezorientowana patrzę przez palce i wtedy to dostrzegam. Strach w oczach don Pedra. Jest jak

niekontrolowana reakcja i trwa zaledwie ułamek sekundy, ale go zauważam. Wstaję z kolan. Całą sobą wyczuwam tę wibrującą w powietrzu, brudną energię. To jej boi się Pedro. Lęka się, bo, mimo że siedzi na tronie, nie on jest władcą tego piekła. Nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, że gdzieś za mną stoi podpierający ścianę ktoś, kogo nie można lekceważyć.

– Idź stąd – syczy Sisto.

Nie musi powtarzać dwa razy. Nogi nigdy już mnie tu nie przywiodą. Teraz marzę tylko o tym, żeby niezauważenie prześlizgnąć się obok Mephista i zamknąć w łazience. Na bardzo długo. I poczuć ból. Fizyczny, bo psychicznego mam potąd, po czubek głupiej, naiwnej głowy.

Odwracam się niespiesznie, chcąc przeciwną w czasie to, co nieuniknione. Tak, jak myślałam, Diabeł opiera się ramieniem o ścianę. Stoi dokładnie w tym samym miejscu, co wczoraj. Na tym podobieństwa się kończą. Z każdym stawianym przeze mnie krokiem, nabieram pewności, że się nie mylę. W wyobraźni widzę, jak rozpościera ramiona, dając mi możliwość wtulenia się w niego całą sobą, ale ona niestety jest wyjątkowo wybujała. I mimo że w czarnych, spranych dżinsach i błękitnej, rozciągniętej koszulce wygląda jak chodzące senne marzenie, takie, które chce się śnić i śnić bez końca, to zrównując się z nim, unosząc głowę i zerkając mu prosto w oczy, każdy, nawet największy chojrak, chciałby się obudzić. Mephisto najpewniej naoglądał się dziś aż nadto, bo, pomimo tego, że na mnie patrzy, sprawia wrażenie jakby nie widział. I właśnie to jest straszne. Mam ochotę pomachać dłonią przed jego twarzą, ale głos w mojej głowie, ten sam, który nakazuje mi „uciekać, gdziekolwiek, najdalej”, stanowczo odradza mi ten ruch.

– Gdzie jest Gallo? – pyta znużonym tonem.

– Poszedł do toalety – mówię pewnie i podskakuję w przestrachu, bo Mephisto wkłada palce do ust i głośno gwizdże.

Zza filaru wyłania się Gallo. Pociera rozcięty łuk brwiowy, sądząc może, że to niezawodny sposób na zatamowanie krwawienia.

– Następnym razem ustalcie wspólną wersję. – Obdarza mnie znudzonym spojrzeniem. – A teraz zabieraj stąd kłamliwą dupę. – Macha ręką, jakby gestem chciał przekazać „sio”.

– Chciałam powiedzieć prawdę, ale...

Przymyka mi szczękę. Robi to tak gwałtownie, że prawie odgryzam sobie język.

– Zaprowadź ją do pokoju i waruj przed drzwiami – zwraca się do Galla. – Chociaż to posłuszny pudełek powinien warować. Wszystko na opak.

– Zapomniałam pomyśleć o tym, że stoję na dzwonnicy – wyduszam. Pod powiekami znów zbierają się łzy. – Zapomniałam, że najbardziej boję się wysokości – dodaję.

– Ja na szczęście pamiętam, jak bardzo nie lubię wyciskanych przez wiele rąk szmat. – Mięsień jego żuchwy się zaciska. – Mam ochotę krzyknąć: „Spierdaj”, ale boję się, że klękniesz, a ja odruchowo przyjebię ci z kolana w twarz, więc przypomnij sobie chociaż, co oznacza przepełnione łagodnością słowo „odejdz” i po prostu to zrób. – Rozciąga mięśnie karku. Na jego twarzy nie sposób dostrzec żadnej emocji, do czasu, aż zerka w stronę wnęki, gdzie ustawiony jest tron. Wtedy się uśmiecha. I jest to tak piękny, niewinny, nieadekwatny do sytuacji chłopięcy uśmiech, że przez chwilę zastanawiam się, czy w międzyczasie, kompletnie poza moją świadomością, nie wydarzyło się tu coś miłego. Przechyla głowę w lewo i patrzy na swojego ojca.

– Mephisto, przestań – rzuca surowym tonem don Pedro.

– Ale co, ale jak? – Diabeł rozkłada bezradnie ręce i rozgląda się dookoła. – Mephista tu nie ma.

– Przestań mówić o sobie w trzeciej osobie. Nie znoszę tego – warczy jego ojciec.

– Mephisto! – wydziera się Diabeł. – Jesteś tu?! Hop, hop, kurwa!

– Skończ! Przecież każdy widzi, że tu stoisz – mówi don Pedro, stając za oparciem tronu.

Diabeł zatacza palcami kółka na skroniach, a potem rozkłada ręce i porusza nimi, jakby były szalkami wagi, aż wreszcie oznajmia:

– Pół na pół. Ja jestem tą lepszą połową. – Wskazuje na siebie palcem. – *Nie, to ja nią jestem.* – Tupie nogą.

On. Rozmawia. Sam. Ze. Sobą.

– Wpół-człowiek, wpół-bóg. – Mephisto wyszczerza zęby w uśmiechu, by za moment dodać: –

*Ha! Żartujesz? Jesteś diablem!* – Robi z palców rogi.

Wyteżam umysł, próbując zrozumieć, czego jestem świadkiem, ale to na nic. A co najlepsze, to nie koniec.

– Czy jestem nim, szkodząc jedynie w słusznym gniewie? – pyta. – *Kurwa, teraz to mnie zagięłeś. Czekaj, myślę.* – Diabeł mruży oczy, jakby się zastanawiał. – I co wymyśliłeś? – zadaje sobie pytanie. – *Do anioła wiele ci brakuje, diabeł to określenie na wyrost. Wiem! Ty jesteś po prostu popierdolony!* – Mephisto wzrusza ramionami, jakby słowa swojego alter ego brał za pewnik i wrzeszczy: – Tato, wiesz, jakie rzeczy robią popierdoleni ludzie?!

Don Pedro cofa się o kilka kroków.

Gallo ciągnie mnie, obejmując za nadgarstek.

– No tato! Powiedz, bo jestem pogubiony. Tak bardzo, że chyba coś komuś zrobię. – Mephisto jęczy, śmieje się, znów jęczy.

– Chodź, Almo – szepcze Gallo, a gdy nie reaguję, zaciska palce na moim przedramieniu i szarpie, ciągnąc w stronę schodów.

– A co tu się zaraz wydarzy? – sapię i oglądam się za siebie, potykając o własne nogi.

– Nic. Oni tak się po prostu bawią. No, jak ojciec z synem. – Przejeżdża ręką po włosach. Wydaje się zakłopotany.

– To dobrze, bo gdy Mephisto rozmawiał sam ze sobą – zaczynam, a Gallo uśmiecha się pod nosem – to w jego oczach tliła się chęć mordu – mówię, wspinając się po schodach. Z każdym stawianym krokiem czuję jakbym zapadała się w sobie.

– Śmierć za śmierć. Tylko ona może być powodem eliminacji członka rodziny, a ponieważ don Pedro cię nie zabił, to Mephisto nie zabije jego. Proste – rzuca lekko. – Zabicie członka rodziny jest wydaniem na siebie wyroku śmierci. Tak w skrócie.

– Ale ja nie należę jeszcze do rodziny – stwierdzam fakt.

Gallo łypie na mnie wzrokiem.

– Według Diabła należysz i nie mów, że jest inaczej. – Marszczy gniewnie czoło. – Gdyby to usłyszał, zrobiłoby mu się bardzo przykro. – Wybuchła śmiechem. – Co teraz będziesz robić? – Zerka na mnie kątem oka.

– To, co wychodzi mi najlepiej – wyduszam, na co mruży oczy. – Planuję leżeć i patrzeć w sufit – dodaję szybko.

– I całe szczęście, do cholery. Mam już dość wrażeń na dziś. – Wskazuje na rozwaloną brew. – Będę na korytarzu, w razie, gdybyś mnie potrzebowała – informuje, otwierając przede mną drzwi pokoju, a kiedy się zamykają, nie tracę czasu, tylko od razu podbiegam do nierozpakowanej jeszcze walizki.

Spod sterty wymiętych ubrań wyciągam książkę. Dziś nie zniknę w innym świecie, mierząc się z emocjami rozdygotanych bohaterów, bo swoich mam aż nadto. Zbyt wiele uczuć kłębi się w moim wnętrzu, a myśli w głowie. Przewracam energicznie kartki w poszukiwaniu ukrytej żyłki, lecz to nie ona wypada jako pierwsza. Patrę na woreczek z koką, którą planowałam dać Zicie i zastygam bez ruchu. Dosłownie na moment, bo tyle zajmuje mi podjęcie decyzji i mimo że wszystko we mnie krzyczy, że to totalnie zły ruch, robię to. Wysypuję proszek na szafkę nocną i wspominam słowa ojca, który opowiadał mi, że w czasach, kiedy koka była legalna, reklamowano ją hasłem „z tchórza zrobi bohatera, a z milczka gadułę”. Alma bohaterka. Zwijam pięć euro w rulonik i pochylam się nad kreską w momencie, w którym otwierają się drzwi, a w progu staje wyszczerzony Mephisto. Niech się piekło rozstąpi. Teraz. Wyraz jego twarzy zmienia się w mgnieniu oka, gdy przeskakuje wzrokiem między mną a rozsypanym na blacie towarem. Trzaska drzwiami i uderza w nie pięścią, jakby chcąc wyładować zwierzęcą, czającą się w jego spojrzeniu furję.

– Ja tylko to rozsypałam. – Wskazuję na niechlujnie usypaną ścieżkę białego proszku. – Ale...

Diabeł tak energicznie odwraca głowę w moją stronę, że cofam się o krok, jakby pchnięta podmuchem lodowatego wiatru. Jego klatka piersiowa unosi się i opada w nienaturalnie szybkim tempie. Odruchowo zerkam w stronę otwartych na oścież balkonowych drzwi i zastanawiam się, jakie są szanse na przeżycie upadku z pierwszego piętra. Wydają się większe niż po zetknięciu z wściekłym dzikusem, który więcej niż pewne, dźga mnie w myślach na tysiąc jeden kawałków. Jezu. Ja nie chcę tu być!

– Módl się, żeby piekło cię pochłonęło, zanim wpadniesz w moje ręce. – Kręci głową rozciągając te przeklęte mięśnie.

Nie mam pojęcia, czy to przestroga, obietnica zgonu, czy jedynie diabelski sposób na rozluźnienie. Chyba zaraz się dowiem, bo idzie w moją stronę. Rzucam się na łóżko z zamiarem przeturlania, ponieważ to jedyna, w moim mniemaniu, najmniej inwazyjna droga umożliwiająca szybkie dotarcie na balkon. Pieprzę to, skoczę! Na planowaniu się kończy, bo Mephisto szarpie mnie gwałtownie za nogę. Spadam z łóżka, opadając na czworaka.

– Wstawaj. – Nachyla się nade mną, widząc, że nie mam ochoty się ruszyć. Ma przyspieszony oddech, gdy łapie mnie za kark, a jego palce niczym zwierzęce szpony wbijają się w moją szyję.

– Na pomoc! – wrzeszczę.

Mephisto się śmieje, więc krzyczę jeszcze głośniejsze.

– Pomocy!

– Nie ma siły, która by cię przede mną obroniła – mówi spokojnie. – Nigdy ci tego nie powiedziałem?

Nie odpowiadam.

– Ale na pewno wspominałem coś o sukach. Ach, już wiem. Dziś w takim razie zademonstruję ci, jak się je traktuje. Wiesz, dlaczego to zrobię? – szepcze do mojego ucha. – Bo nią jesteś.

– Nie jestem. Pomocy! Gallo!

– Jesteś. Mogłabyś robić za szablon. Wypisz, wymaluj, wytnij, suka – mówi tonem bez wyrazu.

– Jeszcze mocniej zaciska rękę na moim karku i podrywa mnie do góry, wymuszając ustawienie się do niego przodem.

Pluję mu w twarz, przy okazji opluwając sobie brodę. Mephisto się śmieje.

– Głupia suka.

– Puszczaj mnie, kurwa, mam cię dość! – Wyrywam się, machając na oślep rękami.

– Nie wiesz, co znaczą te słowa, ale dziś się dowiesz. Jutro nie będziesz głupią, tylko mądrą suką.

Będziesz już wiedzieć, co znaczy mieć dość. Cieszysz się?

– Czy ty nie rozumiesz – warczę – że nic nie wzięłam?! Dociera to do ciebie, palancie?!

– A do ciebie, że laskę na to kładę?! – odpowiada w takim samym tonie.

– A do was to, że nie mieszkacie tu sami?!

Do pokoju wpada Vittorio.

– Wyprowadzam się z tego pietra – oznajmia. – Ja dojrzewam, a podczas tego procesu komfort psychiczny to podstawa. – Unosi palec pouczająco. – Co to? – Ruchem głowy wskazuje na nocny stół.

Na pieprzoną, krótką, ledwo widoczną kreskę koki, KTÓREJ. NIE. WZIEŁAM! W jego oczach pojawia się zrozumienie. I niech mnie już to piekło w końcu pochłonie, bo rzeczywiście zaczynam czuć się jak nic niewarta suka. Rozczarowanie malujące się na jego twarzy jest jak cios w policzek.

– Ale niefajnie – kontynuuje. – Być naiwną, a ćpunką to różnica, nie? To drugie jest chujowsze, Almo. – Macha ręką. – Zawołam Casimira.

Wychodzi z pokoju.

– Gdzie jest Gallo? – pytam.

– Poszedł do toalety. – Mephisto mówi dokładnie to samo, co wcześniej ja i uśmiecha się pobłaźliwie. – Twój rycerz skleja swoją zbroję, bo trochę popękała. – Puszczą do mnie oczko. – Gallo nie żyje. – Kładzie dłoń na ustach, jakby był w szoku. – Kłamię. Nie kłamię. Kłamię. Nie kłamię. A chuj z tym, jedno z dwóch. – Klaszcze. – Dziś poświęcimy czas rodzinie, duszyczko.

Patrzę na niego pytająco.

– I twoim przyjaciółom – dodaje. – Masz ich w końcu tak wielu.

– Nieprawda.

W progu, podpierając się o framugę przystaje Casimiro. Sprawia wrażenie znudzonego.

– Co jest? – pyta i patrzy na Diabła.

– Przyrowadź do naszego gabinetu gości Almy – odpowiada tajemniczo.

Casimiro uśmiecha się pod nosem i obraca na pięcie.

– Na pewno nikt mnie nie odwiedził. Jestem pewna. – Marszczę brwi i doznaję olśnienia. –

Przyjechały moje siostry?

Diabeł śmieje się złowrogo.

– Jeśli należą one do grupy alkaloidów o szkielecie tropanu to tak, duszyczko, przyjechały twoje siostry. I jeszcze ten, no, jak mu tam – mruży oczy – ester metylowy. Nie patrz tak, Almo. – Mocno pociera powieki. – Przrzekam, że nie będę o niego zazdrosny. Możecie się bawić, dopóki nie padniesz. A benzoiloeckgoninę znasz?

– Nie – sapię.

– Poznasz. – Uśmiecha się słodko i ślini palec, którym ściera z blatu usypaną przeze mnie białą ścieżkę. Przykłada go do nosa i się krzywi. – Ale znasz lewamizol. Masz robaki? – Unosi brew.

– Słucham?

– Twój towar rozrobiony jest z lewamizolem, środkiem do odrobaczania krów, a przecież ustaliliśmy już, że jesteś suką, a nie krową. Och, Almo. Wszystko na opak. – Rozkłada ręce i wybucha śmiechem. – Za mną! – wykrzykuje. – Obiecuję ci imprezę, jakiej – puszcza oczko – nie przeżył nikt. – Chwyta mnie za nadgarstek i ciągnie za sobą. – I dziękuję, że się ze mną bawisz. Jesteś super.

– A ty popierdolony. – Zapieram się piętami. – Ja nigdzie nie idę! I wiem, co robisz, Mephisto, ty planujesz mnie zniszczyć. Już cię rozgryzłam. Wiem, kim jesteś!

Diabeł zatrzymuje się i gwałtownie odwraca w moją stronę. Nie mam wątpliwości, że to jedna z tych chwil, kiedy marzy się o tym, żeby czas stanął w miejscu. Spojrzenie, jakim mnie obdarza, to szaleństwo emocji, istny chaos.

– Mephisto, niszczycielu dobra! – wykrzykuję i zaciskam powieki gotowa na konsekwencje, ale te nie nadchodzą.

– Och, kurwa. – Przykłada czoło do ściany i najzwyczajniej w świecie diabelsko chichocze. – Rozwiązałaś zagadkę, której nie było.

– Nie rozumiem. Była, bo przecież na weselu nie powiedziałeś mi, co zrobiłby Mephisto, gdyby zdobył to, czego pragnie.

Wybucha śmiechem i mocniej przyciska głowę, pocierając nią o ścianę.

– O to ci chodzi. – Uśmiecha się pod nosem. – Zagadka w zagadce. Tylko mnie mogło udać się coś tak piekielnie dobrego – mówi do siebie. – Niewiadomą nie jest to, czego nie mówię. Wielkim znakiem zapytania jest to, co wydostaje się z moich ust.

Zgłupiałam.

– Teraz dopiero masz łamigłówkę, co? Chodź, duszyczko, nie każmy gościom czekać, bo to bardzo niegrzeczne. – Rusza naprzód.

– Możesz obiecać, że nic mi nie zrobisz? – Wolę się upewnić, bo kompletnie nie wiem, czego mogę się spodziewać.

– Słowo Diabła – oznajmia oschle i popycha mahoniowe drzwi. Przepuszcza mnie przodem, wykonując zapraszający gest.

Wchodzę do pomieszczenia i rozglądam się dookoła. Zauważam siedzącego za biurkiem Vittoria. Jest też Sisto, który krąży od ściany do ściany i nerwowo przeczesuje włosy ręką.

– Usiądź. – Mephisto popycha mnie w stronę postawionej przy oknie skórzanej kanapy. Sam siada obok, rozpościerając rękę na oparciu. Emanuje od niego dziwny spokój. Mam nadzieję, że nie jest to cisza przed burzą. – Vitto, podaj pęsetę. Jest w szufladzie biurka – zwraca się do brata, a ten po chwili mu ją wręcza.

– A po co ci to? – pytam przestraszona. Moja wyobraźnia szaleje.

– Wyrwę ci paznokcie – rzuca w przestrzeń i zerka na mnie kątem oka.

Zasysam powietrze.

– Po to. – Wybucha śmiechem i zaciska dłoń na mojej nodze, gdy próbuję poderwać się z miejsca. – Przestań, chyba w to nie uwierzyłaś? – Kręci głową z rezygnacją. – Pokładaj we mnie wiarę, Almo. Nie zawiodę cię. – Unosi rękę i mruży oczy, przyglądając się palcom. – Tobie się wydaje, że możesz mnie lekceważyć, a to błąd. – Wzrusza niedbale ramionami. – Nie wiem, czy jesteś na tyle bogata, by za niego zapłacić.

– Mam pieniądze. Wypę – zapewniam. – Pół – poprawiam się.

– To najcenniejsze, co posiadasz? I jesteś pewna, że połowa Lavanzo należy do ciebie? – Śmieje się. – Nie zapominaj, że mam papier z twoim odciskiem. Sam Diabeł wie, co na nim powypisywał. – Uśmiecha się podstępnie. – W mojej szalonej rzeczywistości, a w niej właśnie jesteś – zatacza rękami okrąg – za błędy płaci się życiem, a może kawałkiem duszy? – zastanawia się głośno. – Jedno z dwóch, a może oba na raz? – pyta sam siebie. – To jest uczciwa wymiana! – wrzeszczy mi do ucha. Tak głośno, że aż Sisto podskakuje w przestkach. Mephisto za pomocą pęsety wyjmuję coś z palca i pociera dłonią o spodnie.

– Dobra, wiem, że pijesz do tego, że chciałam wciągnąć kreskę. Możesz to powiedzieć wprost, a nie skuteczniać te swoje wywody. – Przewracam oczami. – Zrozum w końcu, bo widzę, że do ciebie nie dociera, że nie mam już więcej towaru. A poza tym to każdy ma prawo robić, co mu się podoba...

Uderza mnie w tył głowy.

– Czy ty mnie właśnie walnąłeś? – wyduszam.

– W myśl teorii, że każdy ma prawo robić to, co mu się podoba. Czym różni się jedno od drugiego?

– Tym, że ja robię coś sobie, a nie komuś!

– Mylisz się, Almo – syczy, a żyła na jego skroni pulsuje. – W tym przypadku nie istnieje granica oddzielająca cię od reszty rodziny. Nie ma jej. I ciesz się, kurwa, że ktoś w ogóle zadaje sobie trud, żeby ci to wytłumaczyć. Niektórzy nie mają takiego szczęścia.

– Ładne mi szczęście. Oberwałam w głowę.

– No i chuj, głupia jesteś, głupia umrzesz. – Macha lekceważąco ręką, bo do gabinetu wchodzi Casimiro, który rzuca na blat stolika zafoliowaną paczkę towaru. Mephisto rozrywa ją kluczykiem od samochodu. – Wspominałem, że masz na palcu pierścioneł po naszej matce. Ćpuncie – przypomina, wysypując trochę proszku na stolik. – Gwarantuję ci, że nie skończysz jak ona. Nawet, jeśli miałabyś mnie za to znienawidzić. Masz na to moje słowo. Moje – powtarza. – Nie Diabła. – Formuje kreskę. – Smacznego. – Wskazuje na stół. – Daj jej jakąś rurkę – zwraca się do Casimira. – Vitto, nalej lodowatą wodę do wanny i przynieś leki obniżające ciśnienie.

Vittorio potakuje i wychodzi.

– A ty idź, zdaj relację ojcu, bo w tym jesteś najlepszy – mówi do Sista, ale ten nie rusza się z miejsca. Ja również nie wykonuję żadnego ruchu. – Co jest, Almo? – Mephisto pochyła głowę, żeby spojrzeć mi w oczy. – Jesteś dużą dziewczynką. Nie mów, że będę musiał cię karmić – cmoka.

– Słucham? Mam wciągnąć kreskę? – Wzbraniam się. – Sam mówiłeś, że mam nie brać, a teraz mi każesz?!

– Dokładnie. Raz, dwa – pogania.

– Mój ojciec miał rację. Będziesz najgorszym mężem na świecie – syczę.

– Myślisz, że jestem zainteresowany opinią typa, który dał się posadzić na wózku i handluje córkami, żeby utrzymać łeb na powierzchni?!

– Mnie nie kupiłeś – mówię pewnie, ale wątpliwość zasiała już ziarno. – Czy jednak tak? – Nabieram powietrza, a Diabeł obejmuje moją twarz rękami.

– Posłuchaj. Nie kupiłem cię. Rozumiesz?

Potakuję.

– Jesteś tak cenna, że nie byłoby mnie na ciebie stać. – Gdy to mówi, czuję bliżej nieokreślony ucisk w klatce. Zupełnie tak, jakby słowa te otuliły moją duszę. Zatapiam się w pewnym spojrzeniu Diabła, naprawdę w nim tonę. – A teraz wciągaj.

Wzdrygam się, kiedy siłą pochyła moją głowę nad stolikiem.

– Nie chcę. – Napinam mięśnie karku. – Porozmawiajmy, proszę – nalegam desperacko, a Diabeł jęczy przeciągle.

– Zwierzę ci się, duszyczko. Niezręcznie mówić mi o uczuciach, ale przepełniają mnie od czubka głowy po samą, kurwa, piętę i muszę, po prostu muszę ci coś wyznać.

Zaciekawiona unoszę głowę.

– Głęboko, gdzieś w samym środku – kładzie rękę na piersi – czuję, że czegoś bardzo, ale to bardzo mi brak. – Ma spojrzenie słodkiego szczeniaka. Chyba chodzi o mnie. Ja jestem tym brakującym



elementem, a moja miłość, chociaż w tym momencie najchętniej wsadziłabym mu palec w oko, jest w stanie zapełnić odczuwaną przez niego pustkę. – I smucę się bardzo, niezmiernie i wciąż, bo niby mam wszystko – rozgląda się dookoła – a jednak nie. I w chwili takiej jak ta, ubytek ten jest szczególnie odczuwalny. Chcę wyć jak zwierzę spuszczone z uwięzi. Niby już wolne, a jednak mające ochotę kogoś rozszarpać. Rozumiesz? – Opiera głowę na moim ramieniu. – Tak bardzo mi jej brak – jęczy głosem przepełnionym żalnością.

– Miłości? – pytam i chwytam go za dłoń, chcąc dodać otuchy.

– Nie, do diabła! Przecież wszyscy mnie kochają. – Prostuje się i chichocze jak dzieciak. – Mam na myśli cierpliwość. – Poważnieje. – Nie mam jej, Almo. – Patrzy prosto w moje oczy. – Więc albo wciągniesz tę przeklętą kreskę po swojemu, albo zrobimy to po mojemu. – Wybuchają śmiechem. – Diabeł dający ci wybór. Chyba jesteśmy w raju. – Obejmuje głowę, jakby świat nagle zawirował. – Ale czad!

Wciążam kreskę i przecieram nos. Chcę to już mieć za sobą. Mephisto całkiem oszalał, chociaż sądziłam, że bardziej odlecieć nie można. Podpieram się o oparcie kanapy i uśmiecham, bo czuję, że są już blisko. Euforia i wewnętrzna moc. Kocham te odczucia! Wybucham śmiechem. Mephisto to szatan, nie człowiek. Wymyślił karę, po której czuję się cudownie. Dzięki jego wymyślnej metodzie, serio odechciało mi się nawet zerkać w stronę narkotyków. To najstraszniejsze zło. Znów się śmieję. Mephisto również. Nawet Casimiro wydaje się rozbawiony, gdy formuje na blacie kolejną ścieżkę.

– Ponownie smacznego. – Diabeł ruchem głowy wskazuje na stolik.

– Nie, dzięki. Już mi dobrze. – Unoszę kciuk, uśmiechając się szeroko.

– Po wciągnięciu jednej porcji słyszysz w głowie jakieś głosy? Ktoś pyta, czy chcesz lub jak się czujesz? Weź. – Krzywi się. – Casimiro przyprowadził najbardziej doborowe towarzystwo, ale kurwa, to nie jacyś czarodzieje. – Przewraca oczami. – Wciągaj! – wrzeszczy.

– Dobra, ostatnią. Nie chcę, ale muszę. – Śmieję się i wciążam. – Rety. – Przecieram twarz rękami i potrząsam głową. – Chyba poleciało nie tam gdzie trzeba. – Poklepuję policzki. – Poczułam, jakby jakieś mikrocząsteczki wbiły mi się w mózg – nawijam. – Takie ukłucie w skroniach. – Masuję je. – Opowiedzieć wam o czymś niesamowitym? – Patrzę na stojących w rzędzie braci Diabła, a potem na niego samego. – Kiedyś ogarnęła mnie taka prokrastynacja, co było prawdziwym kuriozum. Tak wielkim jak majuskuła. Coś w stylu regresji ewolucyjnej, ale bardziej konterfekt. Nie chciałabym zostać posądzona o tromtadrację, ale wartość autoteliczna eudajmonizmu jest ważniejsza niż interlokutor. Zgadza się?

– Taa. Lepiej bym tego nie ujął. – Diabeł uśmiecha się i jest to najpiękniejszy wyszczerz, jaki w życiu widziałam.

Rzucam się na niego i przesuwam nosem po jego szyi.

– Pięknie pachniesz – stwierdzam fakt. – Mam ochotę cię zjeść. – Gryzę go. – Odciąga mnie, łapiąc za włosy. To źle, bo teraz byłabym w stanie oddać mu się cała. – Moje ciało i dusza należą tylko do ciebie, Mephisto.

– Wiem o tym – mówi pewnie, jakby była to najoczywistsza oczywistość. Wzdycha przeciągle, rozciągając mięśnie karku. – Dalej. Kolejna kreska. Podkręć tempo. – Zerka na Casimira. – Zaczynam się nudzić. – Ziewa i przykładą palce do mojej szyi. – Do dzieła, Almo.

Pociągając nosem po raz kolejny mam wrażenie, że eksploduje mi głowa. A odczucie, że waży ona tonę, zamiast odpuszczać, tylko się pogłębia. Szczypię mrowiące policzki i zaciskam palcami nozdrza, jednocześnie dmuchając, bo zatkały mi się uszy.

– Jeszcze – rzuca Diabeł, wkładając mi w rękę rurkę, którą odłożyłam. Dotyka mojej potylicy i obniża głowę. Niemal stykam się czołem z blatem.

Wciążam, a Casimiro rozsypuje kolejną porcję.

– Jeszcze raz.

– Ja dziękuję. Nie chcę w tym uczestniczyć – odzywa się Sista. – Chcesz ją zabić? Ona już ledwo kontaktuje.

Ścieram pot ze skroni. Mam wrażenie, że zaraz się rozpląnę.

– Wypierdalaj – warczy Mephisto. – Prosiłem cię o to już wcześniej. – Śmieje się gorzko. – O wypierdalanie. Sio i precz. – Macha ręką, szturchając mnie łokciem. – A ty wciążaj.

– Już nie dam rady. – Pocieram ramiona. – Coś po mnie chodzi. Jakieś robaki. – Wystawiam ręce przed siebie i się im przyglądam. Prosta czynność, jaką jest oddychanie, sprawia mi trudność.

Diabeł obejmuje moją twarz i mruży oczy.

– Boję się – mówię, nabieram powietrza i rozglądam się dookoła. – Dlaczego tu jest tak strasznie? – Uciskam mostek, bo ktoś chce mi wyrwać serce. – Ale duszę zostaw – mamroczę, głos drży. – Oni chcą mi zabrać duszę! – wrzeszczę. – Czy ja mam twarz? – Ugniatam policzki.

– Wciągaj, do kurwy! – Niewyraźny, jakby przedzierający się przez gęstą mgłę głos Diabła dociera do mojej świadomości. – Żeby odbić się od dna, najpierw trzeba go dotknąć. Poczucie stopami jego oślizgłość, ugrzęznąć w mule. Jesteś już naprawdę blisko – mówi cicho, pochylając mi delikatnie głowę. Ona waży tyle, co nic. Lekki obłok, w którym można zatopić dłoń. Chmurka. – Pomóż jej, bo wbije sobie rurkę w mózg.

Ktoś przytrzymuje moją rękę, a każdy neuron zostaje porażony prądem o natężeniu znacznie przekraczającym normę.

– Mamy to – mówi Casimiro.

– Nie – nabieram powietrza – nie mo, mo, mogę oddychać. – Obejmuję szyję. – Ja – gorąca lawa zalewa mi twarz – topię się, ja – kolejny płytki wdech – um, um...

– Masz rację, duszyczko. Tak wygląda umieranie. A ty robisz to dobrze.

## ROZDZIAŁ 8

### *Mephisto*

Byłem w raju. Przysięgam, że w nim byłem! Przez bite dwie godziny, kiedy dane mi było zmrużyć oko, odciąć się grubą, zwałkowaną kołdrą od tej pieprzonej wściekłej śpiącej obok – Almy. Czuję, jakby wielki młot uderzał w mój łeb. Un – walnięcie, alma – jeb, hermosa – kolejny wpierdol. *Un alma hermosa*. Piękna dusza. Co mi siadło na głowę, że właśnie te słowa wypowiedziałem w spróchniałej, leśnej chacie? Tego sam diabeł nie wie. Czasem coś palnę bez zastanowienia, podsunę kartkę, zażądam odcisku, zobowiązę się do wymian, podmian i chuj jeden wie czego, a potem mam ochotę sam skrócić sobie kark. Ha! Żartuję! Niczego nie żałuję! Jakbym śmiał, mając przy boku rozdygotaną, przepoconą, zawiniętą w cztery koce, imitującą naleśnik pannę?! To nic, że nie mam czasu jej przelecieć, a okoliczności nie sprzyjają nawet niewinnemu mizianiu za uchem. Nie szkodzi, że przez pół nocy robię za sprzątacza rzygów. A już na pewno nie przeszkadza mi pieszczotliwe ochrzcenie mianem dotkniętego obłędem psychola i groźenie zasadzeniem palca w oko.

Ona chce zabić mnie.

Ja chcę zabić ją.

To nasza definicja miłości.

Miałem przed sobą rząd bezproblemowych dusz, których myśli i czyny szły ze sobą w parze, a wybrałem właśnie ją. Ujebaną krwią, której smrodu nie znoszę, trzęsącą się jak galareta, wewnątrznie pokręconą laskę, która patrzyła na mnie tak, jakby znalazła coś, czego szukała całe życie. Kurwa, nie mogę zapanować nad wzruszeniem, bo złapać diabła za rogi, a jednocześnie strzelić sobie w piętę, to dopiero szczęście. Uśmiech szczerbatego losu. Odwracam się twarzą do śpiącej Almy. Mam ochotę pogłaskać ją po bledszym niż zazwyczaj policzku, ale od razu odrzucam ten pomysł. Jestem pewny, ponieważ próbowałem tego już wcześniej, że gdy otworzy ślepią, będzie chciała mnie ugryźć. I to z innych powodów niż te, jakie przyświecały jej po wciągnięciu drugiej kreski. Teraz nie jest napalona. Jest, delikatnie mówiąc, podminowana.

Mimo wszystko ponownie, po raz pięćdziesiąty postanawiam zaryzykować. Dotykam jej zimnego, naprawdę lodowatego nosa. Alma od razu otwiera oczy i porusza głową, marszcząc groźnie czoło. Zabieram rękę.

– Czy mógłbyś łaskawie nie dotykać i nie szturchać mnie co piętnaście minut? Żyję!

– Jesteś wściekła, bo stanąłem wczoraj na głowie, żeby wyczarować ci górę śniegu w środku gorącego lata?

– Wkurw mną trzęsie – warczy i próbuje wyswobodzić się z koców, w które jest owinięta. – Po co tak pozawijałeś? – Rzuca się jak ryba wyrzucona na brzeg. – Nienawidzę takiego ścisku. Nie mogę się ruszyć, Jezu, no.

– Chciałem, żeby było ci ciepło. Troszczę się. – Wzruszam ramionami. – O twoją duszę i ciało, które należą do mnie.

– A w życiu, palancie. – W końcu nabrała jakiegoś koloru. Wściekle czerwona Alma. – Musiałabym być szurnięta, żeby powierzyć swoją osobę twojej opiece. – Wreszcie udaje jej się wyciągnąć ręce z kokonu. – Słowa „troszczę się”, gdy wypowiadasz je ty, brzmią jak groźba. Odkoleguj się ode mnie, że się tak wyrażę. – Macha ręką, jakby przeganiała uprzykrzoną muchę, ściąga z siebie koce i siada, krzyżując nogi w kostkach.

Nie ma majtek. I to niby nieważny, nic nieznaczący szczegół i olać to, że przykuwa on całą moją uwagę i mam ochotę przelecieć ledwo żywą Almę. Kurwa.

– Słuchasz w ogóle tego, co do ciebie mówię?

Potrząsam głową i skupiam się na jej przekrwionych oczach.

– Odnoszę wrażenie, jakby otaczała mnie jakaś pustka. Nawet nie wiem, jak to określić – zwierza się.

– Tak bywa, gdy wpada się w kokainowy dołek. Przejdzie. – Uśmiecham się, mimo że absolutnie nie mam zamiaru jej pocieszać. Ma to, co chciała, tyle że w wersji hard. Cierpienie jest przyjacielem głupoty. – Jeśli masz chęć porozmawiać o tym, co teraz czujesz, to śmiało. Mogę być twoim powiernikiem – proponuję, bo chcę zakończyć ten temat. Nikt nie lubi rozmawiać o uczuciach, więc

wiadome, że odrzuci propozycję. Zero wysiłku, a punkt za bycie miłym, potrafiącym słuchać, a nie tylko gapić się na gołą cipkę facetem, zdobyty. Geniusz, nie Diabeł.

Słepia Almy niebezpiecznie błyszczą i nie mam pojęcia, czy czai się w nich jakaś niedająca się ujarzmić ekscytacja, czy po prostu powinienem szykować się na potok łez.

– Naprawdę?! – Niemal piszczy, nie dowierza. Czyli to pierwsze. Wypisz, wymaluj pieprzona ekscytacja. Przysuwa się bliżej, podskakując na tyłku i patrzy na mnie tak, jakbym zaproponował jej najlepszą zabawę świata, spełnił marzenie, skryte na dnie małego, zbzikowanego serca. Jest biała jak kreda, wygląda, jakby miała zaraz wykorkować, a mimo to wskrzesiła w sobie jakąś wszechmoc, żeby móc porozmawiać o UCZUCIACH.

Pocieram energicznie czoło. Nie taka była szatańska intencja. Alma nabiera powietrza.

– Teraz czuję tę pustkę, o której wspominałam. To tak, jakby ktoś odłączył zasilanie. Gdy ono jest, to świat jest ładniejszy, taki kolorowy, a gdy nie ma, to wszystko jest szare.

Unoszę brwi, wytrzeszczam gały, ale karczę się w porę i próbuję zapanować nad mimiką. Nie chcę, żeby pomyślała, że jest nie cudownie, lecz totalnie, wykurwiście wręcz szurnięta.

– Co o tym sądzisz? – pyta.

– No... – Wkładam palce w oczy. Mistrz elokwencji, kurwa. – Hormony uległy rozregulowaniu, dlatego padł twój system. – Wzruszam ramionami. – Nastrój – poprawiam się. – Emocje się popaprały. – Jestem w tym naprawdę dobry i dopiero się rozkręcam! Alma patrzy na mnie jak na psychologicznego guru, wyjścia nie mam. – Czujesz się teraz jak kapeć, bo stężenie dopaminy i serotoniny uległo znacznemu obniżeniu. Po koksie wybombiłaś się w kosmos, ale kurwa, pora wrócić na ziemię, ufoludku.

Teraz ona unosi wysoko brwi.

– To znaczy Almo.

Uśmiecha się słodko. Jedno, naprawdę krótkie spojrzenie na jej cipkę i lecimy dalej.

– Po kresce, dwóch, czułaś, że masz moc. Przepelniała cię euforia, błogość, miałas wrażenie, że trzymasz świat za pysk. Tak?

– Tak, ale już bym nigdy nie wzięła. To, co wysypałam na szafkę, miało być ostatnią działką i ostatnim razem – mówi z przekonaniem.

Mam ochotę skopać ją z łóżka, potem pod nie wepchnąć, ugnieść, a następnie poskakać po materacu.

– Taa, a na mnie mówią Anioł. Nie pierdol, duszyczko. – Zataczam kółka na skroniach. – Dlaczego akurat wczoraj miał być ten ostatni raz? Równie dobrze kreska, którą wciągnęłaś przed weselem swojej siostry, mogła taka być, a jakoś, kurwa, nie była.

– Bo się okazało, że jeszcze mam towar i...

– I znów chciałaś poczuć się dobrze, pokolorować swój świat farbami o nazwach „łatwo” i „przyjemnie”, a tu taki chuj. – Śmieję się. – Odkąd zorientowałem się, w co grasz i jakie są zasady twojej zabawy, postanowiłem i masz na to moje słowo, że zawsze ci ją zjebię. Będzie dokładnie tak, jak wczoraj. Kreska w kreskę.

– Dobrze. – Jest wymęczona, ma niemal przezroczystą skórę, zapuchnięte powieki, ale wszystko to blednie, gdy na jej twarzy pojawia się szeroki rogal. Moja groźba ją cieszy.

– Co? – pytam.

– Dobrze, w porządku. – Zaciska kciuki i potrząsa rękami. – Budujesz dla mnie mur. – Znów się szczerzy.

– Co? – ponawiam pytanie i liczę na odpowiedź, którą zrozumiem.

– M – u – r – literuje. – Otaczasz mnie nim. I ja się z tego po prostu cieszę. To sprawia, że tak mi miło w środku. – Wskazuje palcem na zębra. – Tego właśnie potrzebowałam.

Przykładam dłoń do jej czoła.

– Myślałam, że prędzej piekło zamarznie, nim znajdzie się ktoś tak śmiały, by złapać mnie za rękę i zbudować dla mnie mur.

Co ona pieprzy?

– Już dawno nikt nie zainteresował się tym, co robię i dlaczego, o rozmowie na temat uczuć nie wspominając. – Obejmuje policzki. – Wow – dodaje i patrzy tak, jakby była pewna, że lada moment

przeleci nad nami skrzydlaty grubas, sypiący brokatowym konfetti.

Po jaką cholere ją zaczepiałem, co mi odbiło, żeby macać jej nos, kurwa. Gdy już myślę, że to koniec pieśni, ona wypala:

– Tobie na mnie zależy.

– Nie masz majtek. – Diabelskie zagranie.

Alma najpierw wytrzeszcza oczy, a potem powoli pochyla głowę i gdy do jej świadomości dociera w końcu, że naprawdę NIE. MA. MAJTEK, zakrywa cipkę rękami.

– Dlaczego ich na sobie nie mam? – Przygląda mi się podejrzliwie, co akurat bardzo mnie wkurwia. Niemal czuję, jak usilnie wypracowywany dobry humor wyparowuje. – A, już wiem. – Pstryka palcami, jakby sobie coś przypomniała. – Ale i tak muszę... a, nieważne, zaraz wracam! – Podrywa się z łóżka i pędzi do łazienki, potykając się o rozpieprzoną na środku pokoju walizkę.

Poszedłbym za nią, bo ma wyjątkowo nieskoordynowane ruchy i lepiej mieć ją na oku, ale ponieważ nie zamknęła drzwi, cała jej cudownie szurnięta osoba odbija się w lustrzanych drzwiach szafy.

– Są tu! – krzyczy. – Pamiętam, że się obudziłam, poszłam zrobić siku i zapomniałam założyć z powrotem.

Nie wiem, czy mówi do mnie, czy do siebie.

– To nie tak, że zawsze ściągam majtki całkowicie, bo to by było dziwne – tłumaczy. – Po prostu opadły i nie miałam już siły, żeby je naciągnąć. – Wzrusza ramionami i rozgląda się po pomieszczeniu. W końcu niepewnym ruchem sięga po postawione na łazienkowym blacie lusterko.

Chcę zasugerować, że nie musi przeglądać się w małym, skoro nad umywalką jest wielkie, ale ona robi coś totalnie pokopanego, więc milczę. Staje w rozkroku i umieszcza je między nogami. Zmienia pozycję, unosi nogę, ponownie przygląda się odbiciu swojej cipki.

Nie mogę tego przegapić, a może jednak nie chcę. Chyba po prostu pragnę zrozumieć. Taa.

– Co robisz? – pytam, opierając się o framugę. Alma podskakuje na dźwięk mojego głosu.

– Znasz takie słowo jak prywatność?! – napada na mnie. Odkłada lusterko i sięga po leżące na podłodze majtki. – Sprawdzam, czy wszystko jest tak, jak przedtem.

– W sensie?

– Czy nic się nie zmieniło.

– A mówiąc wprost? – Przechylam głowę.

– Spałam obok ciebie bez majtek i pomyślałam, że ty, no wiesz...

– Nie wiem. Musisz powiedzieć prosto z mostu.

– No, że wykorzystałeś mnie, kiedy spałam.

Uderzam czołem we framugę, aż trzeszczy. Jeszcze raz, nieustannie i wciąż, aż w końcu sięgam po lusterko, które Alma odłożyła, rozsuwam rozporek i wyciągam kutasa. Przyglądam mu się wnikliwie z każdej, kurwa, strony.

– Jezu, co ty robisz?! – piszczy i zasłania oczy.

– Zdrzemnąłem się dwie godziny z tobą u boku, więc muszę sprawdzić, czy mój fiut wygląda identycznie, jak przed zaśnięciem. Mam mocny sen i po prostu boję się, że wykorzystałaś mnie, kiedy spałam.

– Wiadomo, że tego nie zrobiłam! – Jest przerażona. Naprawdę myśli, że posądzam ją o tę niedorzeczność.

– Czyli mówiąc najprościej, jak się da, uważasz, że cię zgwałciłem. Tak? – Rzucam lusterko na blat i zapinam rozporek. – Posuwałem cię podczas nielicznych, ale jednak przerw, między twoim jednym bełtem a drugim. Następnie sprzątałem rzygi, co było w kurwę podniecające i rznąłem cię dalej. Cały ja. Kropka w kropkę, Diabeł. – Robię z palców rogi, a Alma stoi i po prostu się gapi. – Gdy musiałaś wstać o czwartej, bo nie potrafiłaś odmówić moim braciom, nie tknąłem cię nawet palcem, ponieważ chciałem, żebyś się wyspała. Całuję cię w policzki jak pieprzony przedszkolak, dotykam czubka twojego nosa zamiast cycków, a ty wyjeżdżasz z tekstem, że cię wykorzystałem. – Podpalam fajkę i zaciągam się dymem. – Prędeż skręć ci kark, niż cię zgwałcę.

Alma zasysa powietrze. Zaczyna drżeć jej broda.

– Taka prawda. A ta bywa okrutna – kończę wypowiedź.

Wychodzę z tej jebanej łazienki, zanim będzie płacz i zgrzytanie zębów. Nikt nie działa mi na nerwy tak jak ona. Potrafi wskrzesić uśpione, mordercze instynkty, sprawić, że mam ochotę ją zabić i kochać, pieprzyć i trącać w lodowaty nos. Pięć sekund. Mógłbym stać z zegarkiem w ręku i odhaczać każdy ze wspomnianych punktów. Tyle czasu zajmuje jej zrobienie rozpięrduchy w mojej głowie. I tak za każdym razem. Dzień w dzień, od nowa i wciąż. Nie znoszę jej i uwielbiam jednocześnie. Kurwa, pieprzona, mać.

Zaciskam dłonie na balkonowej barierce i oddycham głęboko, licząc, że stanie się cud i zamiast krwi zaleje mnie fala cierpliwości. Minuty mijają, a ja nabieram pewności, że nic równie niedorzecznego się nie wydarzy. Nie, bo ja to ja, mimo i pomimo.

Alma z kolei to dobra dusza. Totalnie wyjątkowa. Inna niż wszystkie.

Próbuję sobie przypomnieć, co przeszkadzało mi w tych mniej wyjątkowych, przeciętnych i nic, pustka. No bo co mogło mi się nie podobać w bezproblemowych pannach, robiących dokładnie to, co chciałem? Oto jest pytanie, a odpowiedź na nie, niczym rzucona z impetem cegła, uderza w mój diabelski łeb, gdy tylko się odwracam.

Jest nią zmizerniałe, niemal przezroczyste czupiradło w postrzępionej spódnicy, które patrzy prosto w moje oczy i uśmiecha się od ucha do ucha. Co tu dużo mówić, jest rąbnięta, a ja skrzywiony. Teraz to do mnie dociera. Podchodzi do drzwi balkonowych i zatacza kółka biodrami.

– Fajne frędzle? – Bierze materiał spódnicy w palce. – W stylu Jane, tej od Tarzana – informuje i obraca się na pięcie po to, by chwilę później przysiąść przy swojej walizce. – Teraz znajdę czystą bluzkę, a potem jeszcze się prześpię. Będę eleganckim zgonem – mamrocze pod nosem, gdy wchodzę do pokoju i siadam na łóżku. – Pewnie się zastanawiasz, co widzę w kimś takim jak ty.

Wybałuszam gały.

– I serio nie wiem. Twoją zaletą na pewno jest to, że jesteś nieziemsko przystojny. – Ziewa. – Więcej plusów nie dostrzegam, ale skoro już zacząłeś budować mur, to zostanę, bo nie mam drabiny, żeby spieprzyć. – Chichocze jak opętana, a chwilę później opiera czoło o moje kolano. – Ale mi niedobrze, Mephisto.

Odruchowo przejeżdżam ręką po jej włosach, a ona zmienia pozycję, przykładając policzek do najgorszego z możliwych w tej chwili miejsc. Wkładam sobie do łba, że jest ledwo przytomna i ostatnie, o czym powinienem myśleć, to znalezienie się w niej. Z tym, że ja to wszystko wiem, a mimo to mam ochotę ją podciągnąć i posadzić na kutasie. Do diabła!

– Jak źle się czujesz w skali do pięciu? – Niezadanie tego pytania byłoby wbrew mojej naturze. Kurwa, kto pyta nie błądzi!

Alma unosi głowę, patrzy na mnie z niedowierzaniem i sapie.

– Wiem, do czego zmierzasz. – Zerka na moje krocze. – I cztery. – Przewraca oczami.

– Czyli tragedii nie ma?

– Powiedziałaś cztery, a to prawie pięć. Ja tak jakby nie żyję. – Rozkłada bezradnie ręce. – Mam nadzieję, że nie będę się tak czuła przez wiele dni lub tygodni. Tego nie wie nikt. – Wzrusza ramionami.

– Jak na trupa, bardzo dużo mówisz.

– Widocznie, gdy za życia było się głupią suką – wypomina mi, jak ją wczoraj nazwałem – to po śmierci jest się wygadany umarlakiem.

– Raczej wyszczekaną suką. – Odchylam się, podpierając dłońmi o materac. Prowokuję ją. Może się wkurwi, rzuci na mnie i wykorzysta.

– Raczej tak. – Wstaje i patrzy z góry, mrużąc oczy. Nie wiem, co rodzi się w jej umyśle, ale sądząc po wyrazie twarzy, trybiki pracują na najwyższych obrotach. – Wstań, to się do ciebie przytulę. Może mi się polepszy. – Gości na ustach zaledwie ułamek sekundy, a mimo to go dostrzegam. Podstępny, cwaniacki uśmiech. Teraz zamaskowany jednym z tych najśłodszych.

– Nie rób tego, duszyczko.

Przygląda mi się, jakby nie wiedziała, o co mi chodzi, a wie aż za dobrze.

– Czego niby? – Porusza ręką, sugerując, żebym ruszył dupę, a gdy to robię, gwałtownie zrywając się z łóżka i zaciskając dłoń na jej szyi, jest wielce zdziwiona. Próbuje wygiąć mi palce. Czerwienieje na twarzy. Zdziwienie zamienia się w przerażenie. Mnie też to przeraża. To wszystko.

– Nigdy nie wykorzystuj swojej osoby przeciwko mnie.

Alma potakuje.

– Nie musisz przytakiwać, wystarczy, że się uśmiechniesz. – Krzywi się, gdy poluzowuję uścisk.

Masuje szyję.

– Przytulenie jest zagrywką poniżej pasa, tak? – syczy. Cała ona to w tej chwili nienawiść w najczystszej postaci. Trzęsie się i zaciska pięści. Żyła na zaczerwienionej szyi niebezpiecznie pulsuje, gdy bierze zamach i przywała mi w twarz.

Trzy, dwa, jeden...

Jest. Paniczny strach w oczach, gdy dociera do niej, co zrobiła. Mimo to zaciska szczękę, a dzikość w spojrzeniu nie pozostawia złudzeń. Rozszarpać, pożreć. Jest na to gotowa. Zdecydowana stracić w tej walce życie, a ja czuję, jakbym dostał w twarz. Ha! Jakby dla odmiany ktoś chlusnął w nią lodowatą wodą, a nie wrzątkiem. Na palcach jednej ręki mogę policzyć, ile razy oberwałem od dziewczyny. Dwa. Pierwszy: uderzenie z główki w jej sypialni, drugi: teraz. Dziki, rozczochrany szogun, nieszanujący zasad piekielnej, uczciwej wymiany! Nie polega ona na odpłacaniu się tym samym, do chuja! Nie ma mi dawać tego, co ofiarowuję jej ja. Kawalek mrocznej, strąconej do piekła duszy w zamian za dobro, jakie w sobie nosi. Co z nią jest, kurwa, nie tak?!

Nie jestem oczywisty. Nikt nie wie, co w szatańskim łbie się rodzi. A już na pewno nie ma o tym pojęcia laska w kokainowym dołku, której wydaje się, że jest mistrzynią sudoku. Pokładanie się na mnie nie jest sposobem na odwrócenie mojej uwagi. Serce dostaje pierdolca, gdy to robi, bo mam klaustrofobię, nie znoszę ścisku. Na pewno nie dlatego, że jest moją... POMIDOR. Koniec smętnej pieśni.

– Przetrzep swoje rzeczy, bo zaraz wychodzę – rozkazuję.

Alma sprawia wrażenie zdezorientowanej. Sama nie wie, na czym się skupić. Na mruganiu w ekspresowym tempie, nadymaniu policzków jak wiecznie nienażarty chomik, czy nerwowym zakładaniu kudłów za ucho.

W końcu wypuszcza wstrzymywane powietrze i robi naprawdę dziwną minę. Taką, jakby czegoś nie rozumiała, a przecież wszystko jest jasne.

– Co masz na myśli?

– Bierzesz każdą rzecz – schylam się po jedną z jej szmat – i nią poruszasz, przetrzepujesz. To samo robisz z kosmetyczką i każdym fantem, który ze sobą przywiozłaś. To mam na myśli.

– Co cię ugryzło?

– Co masz na myśli, co cię ugryzło? – powtarzam jej słowa. – Rób, co mówię i tyle.

Pochyla się i przetrzepuje ubrania. Trzęsą się jej ręce. Przykro mi i boleję nad tym niezmiernie, ale tak to bywa, kiedy za dużo się ćpa. Ewentualnie, gdy ma się problem z zapanowaniem nad reakcjami wariackiego ciała. I mózgu.

– Kieszenie wywal na wierzch. I trochę szybciej, bo nie mam całego dnia – poganiam ją. – Duszczyko – dodaję i uśmiecham się pokrępowano.

Alma patrzy na mnie i wykrzywia twarz w grymasie.

– Daruj sobie. Bycie miłym ci nie wychodzi – burczy, wysypując na podłogę zawartość kosmetyczki. – Zaczynam już łączyć kropki.

Śmieję się.

– W twoim przypadku chyba kreski.

Obrusza się, jakbym ją obraził, a przecież szczerzy ze mnie Diabeł.

– Co to? – Wskazuję na wystające z walizki, wyświechtane coś.

– Podusia. Moja ulubiona. – Wzrusza ramionami, po czym wyciąga ją z walizki i rzuca na łóżko.

– Ma ze sto lat – mówi z dumą, a ja się krzywię. – Ale ją piero, żeby nie było – dodaję, usprawiedliwiając zdziwienie.

– To obrzydliwe.

– Może tak, może nie. Nie tobie osądzać, co jakie jest. – Obdarza mnie nienawistnym spojrzeniem. – To, co dla jednego obrzydliwe, dla drugiego jest piękne i może nie wyobrażać sobie bez tego życia. – Coraz bardziej trzęsą się jej ręce. – Tak tylko mówię. Nie musi tak być. Tego się nie wie. –

Przeciera policzek.

– Ryczysz?

– A wyglądam, jakbym to robiła?! – wydziera się i pociera dłońmi twarz. Beczy i tyle. – Już wszystko przetrzepane. Nic więcej nie mam. Kiedy ktoś przywiezie resztę moich rzeczy?

– Jeszcze skarpetki, buty i książki. Zaczynj od tych ostatnich, bo masz pod ręką. – Kiwam głową.

– Nie jestem leniwa. Mogę zacząć od rzeczy, które są głębiej lub dalej. – Śmieje się nerwowo.

– Nie. Szybciej, bo nie mam czasu. Mówiłem już.

– To możemy dokończyć później. Jak się wyśpię, a ty zrobisz, co tam masz do zrobienia. –

Uśmiecha się słodko.

– Podaj książkę – warczę.

– A którą?

– Obie, kurwa.

– Czyli książki. Podaj książki – poprawia mnie. – Nie książkę, bo są dwie – wymądrza się.

Sam po nie sięgam i odwracam grzbietem do góry, potrząsając nimi. Na dywanie łądują cztery nieodpakowane żyletki. Prochów brak.

– Po co ci one?

– No, to zakładki – mówi, drapiąc się po głowie. – Włożyłam je między kartki, żeby zaznaczyć ciekawe fragmenty. To chyba nie przestępstwo? – Unosi brodę. – Albo i tak. – Śmieje się. – A raczej wykroczenie, o, bo te żyletki ukradłam ojcu. Z tym, że mają małą wartość materialną. Nie martw się, nie pójdę siedzieć. – Poklepuje mnie po kolanie.

Wrażenie, że ukrywa w szafie trupa, nie chce odpuścić.

– Tniesz się? – pytam wprost, bo to najlepsza metoda, jeśli chce się uchwycić pierwszą, odruchową reakcję.

– Słucham? – Udaje, że nie usłyszała, żeby dać sobie czas na wymyślenie odpowiedzi. Wiem już, że na szczerłość nie mam co liczyć. – Nie, a co?

– Podwiń rękawy.

Cofa się o krok i ogląda za siebie, jakby liczyła, że jest za nią przejście do innego wymiaru.

– Powiedziałaś przecież, że nic takiego nie robię. – Skubie skórki u rąk. – Nie ufasz mi czy co? Wybucham śmiechem.

– Taa. To jest to. Kreska w kreskę, Almo. Lepiej bym tego nie ujął, a teraz podwijaj rękawy. – Nie czekam, aż to zrobi. Wykazuje zerowe chęci, niewystarczające do wybrukowania nawet jednego schodka piekła, które zaraz sama rozpęta. Kim bym był, gdybym nie postanowił jej pomóc? Przyciągam ją do siebie, mimo wyraźnego oporu. Wyrzywa się i wbija palce w moje przedramię.

– Zostaw mnie – sapie. – Świrze – dodaje.

– Skoro nim jestem, to jesteś moją konkurencją, kurwa!

Gryzie mi rękę. Więcej nie trzeba, żeby puściły hamulce. Czuję to zwalnianie zapadek we łbie, przemykający po moim wnętrzu tajfun, który zaraz ją zmiecie. Popycham ją na łóżko i siadam na niej okrakiem.

– Masz ostatnią szansę, żeby się opanować – mówię głośno. Do niej. Do siebie. Wierzga nogami, uderzając nimi o materac i moje plecy. – Pieprzona wścieklizna. – Zaciskam palce na jej nadgarstku i podciągam rękaw. To samo robię z drugim. Nic. Nacięć zero.

– Zabiję cię, gdy będziesz spał – wydusza. Ledwo łapie oddech. Rzuca się, kopie, jest tak szalenie nakręcona, jakby postradała zmysły, o rozsądku nie wspominając.

Nachylam się, żeby dosięgnąć do nocnej szafki. Wyjmuję z szuflady spluwę i wkładam Almie w dłoń.

– Zrób to teraz.

Patrzy na mnie zdezorientowana. Jej klatka piersiowa unosi się i opada w zawrotnym tempie.

– Nie bądź jedną z osób, które zabijają kogoś, kto pogrążony jest we śnie. Jedną z tych, strzelających w plecy, mając przewagę. Nie chcesz nią być. – Kładę się na niej i obejmuję szaloną głowę.

– A teraz, duszyczko, strzelaj! – wrzeszczę prosto w jej twarz.

– Nie zabija się członków rodziny, palancie! – Odwzajemnia się tym samym i odrzuca broń.



– Teraz jestem twoją rodziną, a dwie minuty temu nie byłam?!

Zaciska usta. Chyba nad tym myśli.

– Zastanów się nad odpowiedzią i nad tym, dlaczego jeszcze żyjesz. Przysięgam, że gdybyś nie była moja – mocniej zaciskam palce na jej głowie – już dawno rozwaliłbym ci łeb. – Przykładam policzek do cudownie zimnego czoła Almy. – Chryste, jak ty mnie wkurwiasz...

Zeskakuję z niej i zgarniam rozrzucone na blacie komody drobniaki. Jedna moneta, druga, trzecia. Liczę je, chyba tylko po to, żeby zająć myśli czymś neutralnym, odpędzić narastającą chęć mordy. Po chwili czuję postukiwanie w plecy. Co za gadzina. Odwracam się, by ujrzeć Almę, celującą we mnie chudym, drżącym palcem. Na pierwszy rzut oka widać, że boi się, że go odgryzę, ale coś silniejszego od zdrowego rozsądku, każe jej to robić. Nie mogła poczekać aż wyjdę. Musiała wstać i dalej drażyć tę skorodowaną już skałę.

– Ty mnie bardziej – syczy.

– Radzę ci odmaszerować. – Przeganiem ją ręką, a ona cofa się o krok. – Mówię poważnie, spierdalaj, gdziekolwiek, najdalej. Sio i precz! – wrzeszczę.

Mruga wielokrotnie i ucieka do łazienki. Zanim wyjdę, schylam się po porzucane na dywanie zyletki i chowam je do kieszeni. Nie dlatego, że jestem zły i niedobry. Śmierdzi tu trupem na kilometr, tylko nie wiem jeszcze, skąd ten smród dochodzi. Diabła nie oszuka, za to bez najmniejszego wysiłku sprawi, że każdy jebany włos zjeży się na głowie. Słyszę huk i dobiegający z łazienki pisk, a odczucia, jakie to we mnie wywołuje, porównywalne są do zasadzenia śrubokręta w ucho. Kurwa! Wbijam do środka, bo spazmom nie ma końca i okazuje się, że wcale nie muszę rozwalać jej łba. Moja dziewczyna jest samowystarczalna. Grzecznie rozłupie go sobie sama.

– Co ty odwalasz? – Podbiegam do niej i odwracam przodem do siebie.

Wydziera się, co potęguje nerwową atmosferę. Szlocha, ale z jej oczu nie płyną łzy.

– Weź ręce. – Odciągam je od jej twarzy. Ma rozcięte, już przybierające zsiniałą barwę czoło.

Nie przestaje spazmować, moje serce znów wali jak oszalałe, co tylko jest dowodem na to, że po prostu lubi tak pędzić bez względu na okoliczności. Sądząc ją na blacie i moczę róg ręcznika, żeby zetrzeć sączącą się z rany krew. Zanim jednak to robię, totalnie mi odwala. I to nie jest odruch. Nie, bo nie miewam takich odruchów! Przykładam usta do rozcięcia i zatapiam ręce w jej włosach. Ich intensywnie słodki zapach, w połączeniu z metaliczną wonią krwi i chłodem jej czoła sprawia, że spirala nie tylko się nakręca, zaczyna niebezpiecznie szybko wirować wokół własnej osi. Spirala sprzeczności. Mam ochotę potrząsnąć Almą. Wstrząsać nią nieustannie i wciąż. Chcę ułożyć głowę na jej piersi i za nic, przynigdy i w życiu jej stamtąd nie zabierać. Przecieram usta ręcznikiem. Chryste, jakie to popierdolone.

– Uderzyłam się o półkę. – Wskazuje na tą umiejscowioną nad umywalką, podczas gdy ja moczę ręcznik w zimnej wodzie. – Przestraszyłam się – mówi na wdechu. – Wyobrazłam sobie, że czaszka rozpada się na pół. To możliwe? – pyta głupio i pociąga nosem. – Dlaczego nic nie mówisz? – docieka, kiedy przemywam ranę. – I dlaczego trzęsą ci się ręce?

– Bzdura – kwituję i wyciągam z szuflady plaster. Rozrywam opakowanie.

– Ja tylko stwierdzam, co czuję, gdy przykładasz dłoń do mojego czoła. Przez ciebie dostanę wstrząsu mózgu. Przez chwilę pomyślałam, że to ze strachu o mnie. – Wzrusza ramionami.

– Nie pleć głupot. Gotowe. – Pstrykam palcami w opatrunek. Być może mocniej, niż zamierzałem.

Alma klunie pod nosem i odsuwa na bezpieczną w jej mniemaniu odległość.

Pochylam się nad umywalką.

– Mephisto?

– Czego nie wiesz? – rzucam w przestrzeń, szorując ręce.

– Mogę zadać ci jedno, proste pytanie?

Unoszę głowę, co mylnie interpretuje jako zgodę, ewentualnie zachętę.

– Czy ja... – Drapie się po nosie. – Czy ja jestem...

– Tak, Almo. Jesteś stuknięta. – Szczerzę się, a ona wypala:

– Czy ja jestem twoją słabością?

Biorę głęboki wdech.

– POMIDOR. – Odpuszczam spłukanie mydła z rąk. Wychodzę z łazienki tak szybko, jakby sam diabeł mnie gonił.

Brak mi cierpliwości i kontroli, ale posiadam coś innego. Prawda.

Coś, czego nie miałem nigdy wcześniej. Coś, co zarówno przeraża, jak i fascynuje. Nie chce być inaczej.

I taa. Zgaduj-zgadula. Łączenie kropek kreskami. Alma jest w tym dobra.

Jane mi się zachciało. Prosto z dżungli, z lasu, kurwa.

Wydech.

Otwieram z impetem drzwi pokoju, a do środka wpada zaskoczony Gallo. Kolejny psychiczny.

– Nie podsłuchiwałem. W sensie nie miałem przyłożonego ucha. – Prostuje się i poprawia marynarkę. – Oparłem się tylko, bo bolą mnie plecy. – Wyszczera złote zęby. – U Almy w porządku?

– Podaj definicję tego całego „w porządku” – mówię, zmierzając do pokoju Vittoria. Gallo dotrzymuje mi kroku. – W głowie rozpiardol, łeb rozwalony, bredzi jak mało która. To jak? W porządku?

– Ja wiem, że się na nią uparłeś – zaczyna – ale moim skromnym zdaniem wy po prostu do siebie nie pasujecie.

No i jeb. Gallo rozpościera ręce i zatacza się na ścianę.

– Ja pieprzę, tak bez uprzedzenia?! Bez rogów i poruszania łbem? – rzuca z pretensją.

– Widzisz, Gallo, zapewne twoim skromnym zdaniem moja pięść nie pasuje do twojego ryja, a moim, nieskromnym pasuje idealnie. Wnioski? I czy u ciebie jest w porządku? – pytam, a on porusza żuchwą. – Wracaj tam – wskazuję na drzwi pokoju – i zajmij się tym, co do ciebie należy. Prywatne osady zostaw dla siebie.

Mam zamiar już odejść, ale Gallo pstryka palcami, jakby sobie o czymś przypomniał.

– À propos osądów czy tam innych wyroków. Pamiętasz tę laskę, która wykradła dokumenty swojemu staremu i dała się wydymać na tysiąc jeden sposobów? Tę od ero-taśm, dzięki której mieliście haki na sędziego. No – postukuje się po brodzie – jak jej tam było...

– Zitę?

– Właśnie! – Znów pstryka. – Ty wiesz, kim ona jest?

– Córką sędziego? – Unoszę brwi i obdarzam go spojrzeniem, na jakie zasługują idioci.

– I kim jeszcze? – dopytuje, zamiast powiedzieć prosto z mostu. Ja w przeciwieństwie do Almy nie przepadam za zagadkami. Robię krok w jego stronę. – Dobra, już mówię. Przyjaciółką twojej ukochanej. – Krzywi się, wypowiadając ostatnie słowo. – Towarzyszyła jej w podróży do Palermo – oznajmia, a ja wybucham śmiechem. – Bawi cię to, że mamy zmartwienie?

– Zdefiniuj.

– Urabianie Almy, wyciąganie od niej informacji – wylicza. – Zemsta – dodaje złowrogim tonem.

– Nie znasz Zity. To taki tłuk, że Alma by ją z pięć razy sprzedała, a ona by się nawet nie zorientowała.

– Sprawiała wrażenie ogarniętej. – Nie daje za wygraną. – Dlatego byłem zdziwiony, gdy dowiedziałem się, że to ten owiany legendą, tracący głowę dla złych chłopców lachociąg.

– Dziwić się jest rzeczą ludzką, Gallo. To wszystko?

– Nie, kurwa. Co z tobą? – Wytrzeszcza gały. – Zerznąłeś przyjaciółkę swojej kobiety!

– Po pierwsze to było dwa lata temu. – Unoszę palec. – Po drugie i od tego powinienem zacząć, nie zrobiłem tego. Skoro ją poznałeś, wiesz, w czym rzecz.

– W czym?

– To widziałeś ją w końcu czy nie?! – warczę. – Sługusy się tym zajęły. Chciałem pomóc Sistowi osobiście, jak diabła, kurwa, kocham, ale to zadanie mnie przerosło. – Śmieję się gorzko. – A ponieważ dbam o stan psychy, muszę unikać degradujących ją atrakcji. Uwielbiam cię, główko. – Głaszczę się po łbie, a Gallo ściska nasadę nosa.

– Nie rozumiem.

Odwracam się, bo na piętro wchodzi Casimiro.

– Pamiętasz Zitę Belamonte? – zadaję bratu pytanie.

Udaje, że chwieje się na schodach, w ostatniej chwili łapiąc za poręcz.

– Co ci zrobiłem, że atakujesz mnie tym wspomnieniem? – Dołącza do nas. – Ona wciąż do mnie pisze. Do ciebie też? A nie, wątpię, uważa cię za impotentą. – Uśmiecha się pod nosem. – Ty wiesz, że przez nią Diabeł prawie się przekreślił? – zwraca się do Galla. – Wziął sobie za cel pomóc Sistowi, przyjął końską dawkę viagry, a jedyne, co udało mu się osiągnąć, to arytmia serca.

– To ona chce się spotkać po tym, co zrobiliście?

– Nie znasz jej, szczęściarzu. – Casimiro poklepuje go po ramieniu. – To tłuk.

– Piękny tłuk. – Gallo ma rozmarzony wyraz twarzy. – Oczy w kształcie migdałów, długie, gęste rzęsy, sprężyste, wysportowane ciało, zadziorny sposób bycia. I takie mądre spojrzenie – wymienia.

Patrzemy na siebie z Casimirem i wybuchamy gromkim śmiechem.

– Chcesz numer tej małej miss? – pyta Casimiro.

– A dasz? – Gallo nie może uwierzyć w swoje, kurwa, szczęście.

– Prześlę ci wizytówkę. – Casimiro unosi kciuk. – Mogę na słówko? – mówi do mnie i odciąga na bok. – O co tu chodzi? – szepcze.

Zerkam ponad jego ramieniem na Galla, który wygląda, jakby wstąpiła w niego nowa energia, gdy skocznym krokiem zmierza w stronę pokoju.

– Okazało się, że Zita to przyjaciółka Almy – mówię.

– Ale team. – Krzywi się. – A Gallo zdecydowanie potrzebuje urlopu. Pomyśl nad tym – kwituje. – Jeszcze jedno, dzwonił Serafino. Chce się z tobą spotkać, a podobno nie odbierasz od niego telefonów. – Patrzy na mnie pytająco.

– Dał mi już wszystko, co chciałem. Nie ma nic więcej, czym byłbym zainteresowany. Tak to działa. Przecież wiesz.

– Uprzedził, że tak powiesz. Wie coś, czego nie wie nikt. Cytuję jego słowa. W zamian chce odzyskać dostęp do portu, bo Selvaggio tylko zaśmiał mu się w twarz.

– Skąd u niego przeświadczenie, że zainteresuje mnie to tajemnicze coś?

– Właśnie on sam nie jest przekonany. – Wzrusza ramionami. – To jak, umówić go?

– Dobra, czuję się zaciekawiony.

– I dasz mu dostęp do portu, jeśli okaże się, że jego propozycja jest interesująca?

– Taa. Słowo Diabła. – Szczerzę się. – Uczciwa wymiana.

Casimiro przeciera twarz ręką.

– Jadę skontrolować magazyny, a potem może zaszyję się z jakąś dziwką. Zainteresowany którąś z opcji? Obiema? – Zachęcająco unosi brwi. – Chociaż tą drugą?

Waham się, patrząc to na brata, to na drzwi pokoju. Perspektywa zerżnięcia bezproblemowej laski, akcja napędzana pierwotnymi instynktami, przewidywalna reakcja, brzmią zachęcająco, ale to, czego nie mam, a bardzo bym chciał, kusi bardziej. Kuszenie Diabła. Alma robi to dobrze. Chcę właśnie ją. Tylko i aż.

– Nie. – Mam nadzieję, że Jane z lasu doceni moje, kurwa, poświęcenie. Casimiro rozdziawia gębę, gdy wznoszę ręce w dziękczynnym geście, składając modły do sił wyższych od najwyższych. – Błagam, jebany wszechświecie! – wydieram się. – Trzy i pół w skali do pięciu. – Potrząsam dłońmi. – Trzy i małe, pieprzone, pół! – Wybucham śmiechem, widząc minę brata.

– Ty jesteś niepoważny.

– Bo bawię się w szamana? No weź. – Uderzam go pięścią w ramię i odchodzę, zmierzając do Vittoria. Korci mnie, żeby już teraz sprawdzić, czy modły zostały wysłuchane. Potrząsam energicznie głową, chcąc wyrzucić wizję Almy rozkładającej przede mną nogi. Szepczące: „Trzy i pół, Mephisto. Pieprz. Mnie. Teraz”. Przystaję w miejscu. W sumie ten szept nie jest jakiś koniecznie niezbędny. Idę dalej. Wersja krzycząca, warcząca, błagająca. Przyjmuję je wszystkie. Biorę, co da. Byle dużo, od nowa i wciąż. Ha!

Wbijam do pokoju Vitta. Ledwo zdążę przekroczyć próg, a chęć zerżnięcia Almy, zamienia się w pragnienie zarżnięcia bezmózgiego małolata, sunącego pędzlem po płótnie. Na uszach ma słuchawki, więc zajście go od tyłu i skręcenie karku wydaje się dziecinnie proste. Nudne, lecz konieczne. Podchodzę i zaciskam przedramię na jego szyi. Zdziwiony, bo nie spodziewał się ataku, mimo że myśl ta, poczucie

realnego zagrożenia, powinny towarzyszyć mu od momentu pojawienia się na tym świecie, odrzuca pędzel, zamiast wykorzystać go do obrony. Charczy, szarpie się i wije, gdy drugą ręką strącam słuchawki z jego durnego łba.

– Zgadnij, kto to, po co i dlaczego – syczę mu do ucha i go puszczam. Zrywa się na równe nogi i odwraca w moją stronę, próbując zaczerpnąć tchu.

– Pogięło cię, Mephisto?! Nieźle mnie przestraszyłeś. – Pociera kark. – Nie rób tak, gdy jestem w objęciach weny, zatracony w innym świecie. Prawie dostałem zawału, a nie zdążyłem jeszcze dorosnąć – nawija.

– Co ci mówiłem na temat malowania w domu?

Vitto przewraca oczami, jakbym pieprzył od rzeczy, plótl straszne głupoty, od których więdną jego nastoletnie uszy. Kurwa.

– Że nie wolno, nu, nu. – Porusza palcem. – Bo przyjdzie zły pan i zrobi mi kuku – dodaje w takim samym tonie. – Tylko zapomniałeś podać rysopis, bo nie wiem, kogo powinienem się spodziewać. Miałeś na myśli siebie? – Uśmiecha się kpiąco, gdy siadam na kanapie. Poruszam ręką, co w diabelskim języku oznacza kontynuuj, kurwa. Vitto doskonale o tym wie. – Mogę być szczery? Ty jesteś jakiś przewrażliwiony na tym punkcie. Wiem, co się stało z Erosem i o mnie się nie martw. Ja nie jestem taki słaby! – wrzeszczy.

Bum. Bum. Bum. A w chuj nieprawda. Nie da się odtworzyć rytmu mojego rozszalałego serca. Pisku, ucisku w czaszce, która mam wrażenie, że zaraz eksploduje.

– Tak?

– Tak! Nie jestem pizdą, pieprzonym, tchórzliwym samobójcą!

– Mów dalej...

– A pewnie, że to zrobię – warczy. – Stary jak to stary, powiedział mu kilka niemiłych słów, a ten jak typowa cipa zdezerterował z tego świata. I wiem, że porównujesz obie te sytuacje, bo Eros był kreatywny, zainteresowany tworzeniem, a nie rozwalaniem łbów, a ojcu było to nie w smak, ale zrozum, ja taki nie jestem! Jeśli stary mnie zleje, poparzy za to, że maluję, to trudno. – Ledwo łapie oddech. – I wcale nie żałuję, że byłem za mały, żeby zapamiętać Erosa. To słaby człowiek. Taki nikt. I z niej też. Z naszej matki. Pieprzonej oszustki, która obiecała, że jej obrazy będą moje i jakoś, kurwa, nie są. Ćpanie ważniejsze od obietnicy, wszystko przećpała. – W jego oczach zbierają się łzy. Przeciera nos. – Zapomniała, że obiecała. – Kaszle. – Nic nie powiesz?

– A co chciałbyś usłyszeć? Wszystko wiesz, a przynajmniej mówisz z takim przekonaniem, jakby tak właśnie było.

Twarz Vittoria czerwienieje.

– I tak po prostu się z tym zgadzasz i to takim spokojnym tonem? Dodaj coś. – Nabiera powietrza.

– Masz coś dodać! – Tupie nogą.

Wstaje i podchodzi do niego, przybliżając usta do jego ucha.

– Następnym razem, gdy postanowisz powspominać, nie wykrzykuj tyle razy tego imienia.

– Jakiego? – Przełyka ślinę.

– Eros, Eros, Eros... – szepczę. – Nikt ci nie powiedział, że nie wolno źle mówić o zmarłych? Jeśli nie wierzysz w duchy, to ich nie wywołuj, Vitto. Może okazać się, że przestraszysz się tego, w co nie wierzyleś. To dopiero byłoby pokopane, co? – Wybucham śmiechem i uderzam go w tył czaszki. – I nie maź się, dzieciaku. Dostaniesz te bazgroły starej. Masz na to moje słowo.

– Super. Już mi lepiej. Słowo Diabła, juhu... – Krzywi się.

– Tak powiedziałem?

– Jak?

– Ja – unoszę jedną rękę – lub ja – unoszę drugą – powiedziałem: „Słowo Diabła”? – Szczerzę się.

– Nie, zarówno ty, jak i ty tak nie powiedziałeś. – Przeciera twarz. – Jezu, nie wierzę, że dają się wciągnąć w tę zabawę – sapie. – Najbardziej na świecie nie lubię niedotrzymanych obietnic. – Znów szklą mu się oczy.

– Łzy nie ugaszą ognia, który cię strawi, jeśli nie będziesz robił tego, co mówię – warczę. – Nie

chcę tego widzieć w domu. Maluj gdzie indziej. – Łapię go za kark i stykam nasze czoła. – Przytaknij, kurwa. – Puszczam go, gdy to robi. Wzdryga się i zerka za siebie. – Co jest? – pytam.

– Nie wiem, przez chwilę zdawało mi się, że ktoś za mną stoi. – Pociera ramiona.

– Wystraszyłeś się, że wywołałeś ducha?

Spina się, tężeje, robi się błądy.

– Nie bój się – mówię cicho. – Za tobą stoję ja.

Vitto oddycha coraz szybciej, na jego twarzy pojawiają się czerwone plamy, a zdarza się to tylko wtedy, gdy naprawdę ma pietra. Odwraca się gwałtownie, jakby chciał przyłapać stojącego za nim mnie na gorącym uczynku. Dopiero po chwili dociera do niego, co miałem na myśli. Z sykiem wypuszcza wstrzymywane powietrze.

– Faktycznie. Za mną stoisz ty. Cała twoja nienormalna osoba odbija się w lustrze. Ale mnie nastraszyłeś, niech cię kurwa, Mephisto!

Ach, te lustra. Pieprzone zwierciadła.

Śmieję się, wychodząc z jego pokoju. Vitto zamyka za mną drzwi. Słyszę odgłos przesuwania zasuw i donośny rechot Galla, stojącego z Rufem u szczytu schodów. Ten pierwszy przejeżdża ręką po włosach, gdy nasze spojrzenia się krzyżują. Kładę palec na ustach, nakazując mu milczeć i z prawdziwą, kurwa, gracją dwumetrowego, rozjuszonego potwora zmiierzam w ich stronę. Oczywiście plan, gdzie zaskoczenie odgrywa główną rolę bierze w łeb, bo jedynie głuchy nie usłyszałby przepełnionego wkurwem sapania i ciężkich kroków, których mógłby mi pozazdrościć pierdolony Yeti.

Rufo odwraca się i jestem pewien, że marzy tylko o tym, żeby pomachać mi przed nosem białą flagą.

– Wiesz, gdzie jesteś? – zadaję mu pytanie. – Czy wspominałem, że nie chcę cię tu nigdy widzieć?

– Powiedziałeś, że on – Rufo zwraca się do Galla, wskazując na mnie – wyjechał w interesach na kilka dni.

– Zjadłem dziś za dużo cukru – odpowiada Gallo i uśmiecha się niewinnie. – Od niego wszystko mi się miesza. Na tyle, że opierdoliłem dziś moją matkę, bo powiedziała: „Gallo, kochany syneczku”, a mnie się ubzdurało, że mam na imię Vallo i odczułem przeokropny żal, że to nie ja jestem ulubionym synkiem. Sam rozumiesz. – Rozkłada bezradnie ręce, Rufo sapie, a ja wybucham śmiechem.

– Moje genialne złotko. – Unoszę dłoń, a on się do niej łąsi. Rufo z kolei wykrzywia twarz w grymasie. – Ciebie też pogłaskać? – zwracam się do niego.

– Nie. – Krzywi się jeszcze zanim nasze łby zderzają się ze sobą.

Obserwujemy z Gallem turlającego się po schodach Rufa. I mimo że jesteśmy skupieni, żaden z nas na bank nie byłby w stanie określić, czy spada na łeb, czy na szyję. Przekrzywiamy głowy w lewo, w prawo, czekając aż sługus ojca znajdzie się na piętze, którego nigdy nie powinien opuszczać.

– Ale się, kurwa, niefortunnie potknął.

– Taa. – Szczerzę się.

– O, poruszył nogą! – Gallo cieszy się jak dzieciak i obdarza mnie przepełnioną ekscytacją spojrzeniem. – Twój stary nie będzie miał z tym problemu? – Wskazuje na próbującego zebrać się w całość Rufa. – Z drugiej strony, spadł to spadł. – Wzrusza ramionami.

– Poturbowany sługus to jego najmniejsze zmartwienie. – Przykładam palce do skroni. – Dobra, nie patrzmy na niego z góry – śmieję się z tej dwuznaczności – bo skurwiel czuje wtedy większą motywację, żeby się podnieść.

Przeciągam się i poklepuję policzki. Pieprzony „pokojokrażca”. Nim dziś jestem. Łażę jak naelektryzowany, a perspektywa ponownego zmierzenia z małą wściekłą nakręca, ale nie w tę stronę, w którą powinna. Jeśli nie powie: „Trzy i pół, Mephisto”, to się rozbeczę. Ha!

Popycham drzwi i uśmiecham się od ucha do ucha, bo Alma zdecydowanie nie jest nieżywa, skoro rozmawia z kimś przez telefon. Stał się ten jebaniutki cud! Bycie szamanem jest niepoważne? A w zęby ktoś chce? Stoi odwrócona tyłem, na głowie ręcznikowy turban, a każdy skrawek tego perfekcyjnego, stworzonego do odczyniania niegrzecznych rzeczy ciała, zakryty jest workowatą, flanelową piżamą w kratę. Na pierwszy rzut oka tak leciwą, jak jej poducha. Drapię się po głowie, żeby odpędzić chęć przywalenia nią w ścianę. Kuszenie Diabła. Taa. Czuję się skuszony w kurwę.

I nie jest to żart.

Działa na mnie świrująca Araba Alma w worku. Zachodzę ją od tyłu, opieram brodę na czubku jej głowy i zaciskam dłonie na piersiach. Podskakuje jak porażona prądem, waląc zbzikowanym łbem w moją żuchwę tak mocno, że dźwięczą mi zęby.

– Chryste – syczę i od niej odskakuję.

Odwraca się i jest tak bardzo przerażona, że aż decyduję się obejrzeć za siebie, sądząc, że stoi za mną ktoś w chuj straszny. Nikogo takiego nie widzę.

– Muszę kończyć, Etno – wydusza. – Ja ciebie też. – Rozłącza się i powolnym ruchem, nie spuszczać ze mnie wzroku, odkłada telefon na szafkę znajdującą się za nią. – Nic ci nie jest? Już wróciłeś?

– Nie wiem, kurwa, ślepa jesteś? – Macham ręką przed jej oczami. – Skoro stoję przed tobą, to wróciłem czy jednak nie?

Patrzy na mnie, nie pozwalając sobie nawet na mrugnięcie. Milczy.

– Mowę też ci odebrało? – dopytuję.

– Co? Nie. Dlaczego by miało? Wszystko jest w porządku.

Nie mam pojęcia, kogo próbuje oszukać, mnie czy siebie.

– Po prostu się przestraszyłam, bo myślałam, że zostałam objęta przez kogoś innego. Ciebie się nie boję. Ani trochę. Nawet w najmniejszym stopniu – mówi to takim tonem, że największy naiwniak by w to nie uwierzył.

Robię krok w jej stronę, a ona cofa się, wpadając na szafkę. Przechylam głowę i mrużę oczy.

– Powiedz, o co chodzi. Etna powiedziała ci coś, co cię przestraszyło? – pytam, ale zaciska usta. – I tak się dowiem, w ten czy w inny sposób.

Alma od razu zaczyna paplać.

– To ja już wolę w ten, a nie w inny. I już mówię wszystko jak na spowiedzi. – Nabiera powietrza. – Chodzi o to, że Etna wyrusza no, w ten – pstryka palcami – mini-rejs po Morzu Śródziemnym i zapytała, czy popłynę z nią. Tylko my dwie. Efesto wyraził zgodę, bo ogólnie akceptuje wszystkie pomysły mojej siostry i nawet kupił żagiel z wyszytą literką „E”, tak ją wspiera. Wiesz, w odkrywaniu nieznanymi lądów. A ona powiedziała, że ty się nie zgodzisz, że prędzej wbijesz mi – chrząka – to znaczy wybijesz mi to z głowy. I przestraszyłam się, że może mieć rację, ale nie boję się ciebie ani trochę, bo dlaczego bym miała, skoro jesteś taki – taksuje mnie wzrokiem – kochany. – Przesłupuje z nogi na nogę. – Więc zapytam wprost. Mogę pobawić się w Kolumba?

Wybucham śmiechem. W życiu nie słyszałem czegoś bardziej absurdalnego. Kłamstwa, które byłoby tak nieudolnie zamaskowane. Ponownie oglądam się za siebie, bo mam wrażenie, że tak się zakręciłem, szukając wrót do rajy, że wszedłem nie do tego pokoju, co trzeba, otworzyłem nie te drzwi. Nie wiem, co u La Mantide dodają dzieciakom do żarcia, ale don Alfredo mógłby w końcu zbić fortunę, o której marzy, zdradzając owiany rodową tajemnicą wzór na stworzenie oszołomki.

– Ty to już chyba popłynęłaś, co? A nawet pokusiłbym się o stwierdzenie, że zatonełaś w odmętach swojej wyobraźni. Poniosła cię wielka fala. – Podchodzę do niej i łapię za biodra, dociskając ją do szafki. – I pewnie, że możesz się pobawić, duszyczko. Ty w Kolumba, ja w Magellana. Odkryjemy nieznanne lądy, spenetrujemy ciepłe, wilgotne krainy, po drodze może wpadnę w jakąś dziurę albo dwie.

Alma otwiera usta.

– Lub trzy – kontynuuję. – Och, kurwa, to brzmi jak męcząca, wyciskająca z człowieka wszystkie soki i siódme poty przygoda, ale wchodzę w to.

Przełyka ślinę.

– Mało tego. Jeśli znajdziesz wielki skarb, jest cały twój. Nie musisz się z nim nikim dzielić. – Przyciskam usta do jej ucha. – Chyba że bardzo będziesz chciała.

– Na pewno nie będę chciała. – Oburza się, a jej policzki płoną czerwienią. – Czyli nie popłynę w rejs? – pyta głupio.

– Przecież powiedziałem, że popłyniesz. – Śmieję się. – Maszt już postawiony, więc nie możesz powiedzieć, że nie staram się spełnić twojego marzenia, bo staram się bardzo. – Chwytam ją za rękę i przesuwam nią po rozporku. – Teraz ty daj coś od siebie. Na początek może tę szmatę. – Naciągam

gumkę jej workowatych spodni i obejmuję zimny, pokryty gęsią skórą pośladek. – Zrobię z niej żagiel.

Piszczysz, gdy ją unoszę i odruchowo oplata nogami. Dociskam fiuta do jej krocza i stykam nasze czoła.

– Czuję się na cztery z minusem! – krzyczy spanikowana i przechyla głowę na bok. – Czyli wciąż źle i słabo!

Obejmuję jej twarz i wybucham śmiechem. Patrzy na mnie zdeorientowana i bezskutecznie odpycha.

– Och, kurwa, Almo. – Przejeżdżam językiem po jej rozchylonych wargach. Wyczuwam ich drżenie, gdy przytykam do nich swoje. – Nieustannie mnie zaskakujesz. – Wyginam usta w uśmiechu. – Ty naprawdę myślisz, że interesuje mnie samopoczucie kłamliwych suk? Nie zapytam o nie przed, w trakcie, ani po tym, gdy cię zerżnę. Wiesz dlaczego? – Wtulam nos w tę cudowną, rozszalałą żyłę na szyi, którą tak uwielbiam. – Bo chują w to wbijam. – Gryzę ją, na co lekko odchyła głowę i wczepia palce w przód mojej koszulki. Oddycha głośno, a ja nie potrafię pozbyć się wrażenia, po raz kolejny zresztą, że szatańską intencję szlag trafił. Ona nie jest przerażona. Ani myśli zwijać żagiel. Nie jest spięta, gdy opowiadam o pieprzeniu suk, sztywnieje dopiero, kiedy przestaję to robić. Prostuję się. – Zrozumiałaś to, co powiedziałem?

Otwiera oczy i wzdycha teatralnie. Tak, jakbym był natrętem, który śmie jej przerywać coś, co uskutecznia w tej swojej specyficznej głowie.

– Nie do końca. – Krzywi się. – W sensie trochę tak, trochę nie. Jeszcze musisz mi to wytłumaczyć. – Wzrusza ramionami.

– Chcesz uciec gdziekolwiek, najdalej? – Unoszę brwi, mimo że mam ochotę nią potrząsnąć.

– Teraz? W piżamie i z mokrymi włosami? Niezbyt, a co?

– Słuchałaś w ogóle tego, co mówiłem?

– Tak, słuchałam – mówi pewnie. – I jesteś w tym dobry, Mephisto.

Wytrzeszczam gały, a ona mocniej zaciska nogi na moich biodrach.

– W czym konkretnie?

– No, w tej grze. – Patrzy na mnie jak na debila. – Trochę się bałam, bo byłeś taki przekonujący i poważny, że przez chwilę miałam wątpliwość, czy to zabawa. To oznacza, że dobrze wszedłeś w rolę. Tylko nie wiedziałam, czy mam coś odpowiadać. Nie potrafię wymyślać takich rzeczy na poczekaniu, więc w wyobraźni to przerobię i następnym razem cię zaskoczę.

*Jezu. Kurwa. Chryste.*

– Znów mi niedobrze. – Przykłada dłoń do ust, więc ją puszczam.

Znika w łazience, a ja stoję jak słup soli i spoglądam pod nogi, nie potrafiąc określić, czy jestem w piekle i łażę po rozżarzonych węglach, czy w raju i zatapiam giry w niebiańskim obłoczku. Na odpowiedź nie muszę długo czekać.

– Mephisto, jednak nie zwymiotowałam! – krzyczy Alma. – Rozczeszę włosy i przyjdę. A, i wymyśliłam jedno zdanie, ale nie wiem, czy podniecające. Ocenisz? – Podpiera się o framugę. – Moja cipka jest wilgotna na samą myśl, że wkrótce się w niej znajdziesz.

Mój kutas podryguje. Tak, przyjacielu, trafiliśmy do raju.

– Trochę za długie, zdążyłam się zawstydzić, wypowiadając je. – Rumieni się i uśmiecha słodko. Mały, szurnięty aniołek. – Mogę zdradzić, dlaczego naprawdę byłam przestraszona, gdy wróciłeś.

Przechylałam głowę i mrużę oczy, wyczekując rozwinięcia myśli.

– Usłyszałam coś, co mnie przeraziło, ale już sobie to przetłumaczyłam w głowie. – Stuka palcem w czoło. – Uznałam po prostu, że nie jest to prawdą. No, bo oczywiste jest, że nie jesteś na tyle nieobliczalny i bez skrupułów, by zadźgać Sopię Mancini szpikulcem, a potem podpalić lokal jakiegoś biednego przedsiębiorcy. – Przewraca oczami i okręca się na pięcie.

Etna. Mały diabeł, który nie chciał mi wskazać drogi do raju.

Bez skrupułów i z odpowiednią dozą nieobliczalności uchylę przed nią rozgrzane wrota.

Po to, by wypowiedzieć słowa, które będą ostatnimi, jakie usłyszysz.

„Etno, trafiłaś do piekła”.

Świadkiem mi matka. Omerta.

## ROZDZIAŁ 9

### *Alma*

Jestem posiadaczką tylu pucharów, że metaforyczna półka, na której je ustawiam, ugina się pod ich ciężarem. Myślałam, że ten wręczony mi za naiwność błyszczy najjaśniej. Cóż. Byłam naiwna, pozwalając sobie tak sądzić. Od wczoraj ma konkurenta. Zdobyte za łgarstwo, szczere, oślepiające swym blaskiem złoto. Taki myk. I wcale nie hura, do cholery, bo tak się zakręciłam, omamiona małymi zwycięstwami nad Mephistem, że prawdopodobnie wpadłam we własnoręcznie utkaną z kłamstw pajęczynę.

Komu udaje się wymyślić misterne kłamstwo, uniknąć konsekwencji, odetchnąć z ulgą, a później i tak wypaplać wszystko od A do Z? Mnie. Kto tak robi? Ja.

Połączyłam kropki i złapałam Diabła za rogi. Odkryłam, że jestem jego słabością i że z niewiadomych przyczyn, bo przecież ja to ja, chyba mnie lubi. Mało tego, wyznaczyłam granicę, przywalając mu w twarz i odwróciłam kota ogonem, przytulając go, gdy chciał mnie przelecieć. A potem już tylko kłamałam. I przyznaję, jestem WSPÓŁWINNA, a winą za moje kłamstwo należy obarczyć trzy osoby.

Zapalnikiem była Etna, Diabeł iskrą, a ja ogniem. Taka przypadła mi rola, mimo że nawet nie zgłaszałam się na ochotniczkę! Nie chcę wiedzieć, co zrobił, robi i będzie robił Mephisto, bo mam świadomość, że nie jestem w stanie udźwignąć ciężaru tych czynów. Mogę próbować go poskramiać, ale wciąż przypomina to bardziej ujeżdżanie rozszalałego byka, niż faktyczne okiełznanie. Nie można zarzucać na moje plecy tobołka z tykającą bombą, tak jak zrobiła to Etna. Nie potrafię wskazać myślom właściwego kierunku, poradzić sobie z emocjami, gdy jest ich w nadmiarze, a już na pewno nie umiem rozbrajać ładunku wybuchowego. Staralam się, mimo że żaden ze mnie saper i gdy myślałam już, że mi się udało, wybuchł mi w rękach. Dzięki, palantko!

Nie widzę sensu w byciu prawdomówną. Nie, bo nie ma znaczenia, czy mówię prawdę, czy się z nią mijam. Efekt zawsze jest ten sam. Tak czy siak nikt mi nie wierzy. Na wszystko muszę mieć niezbite dowody, bo moje słowo nigdy nie jest wystarczające. Nie inaczej było podczas rozmowy z Etną. W ciągu dwudziestu minut zdążyłyśmy się pokłócić, pogodzić, ponownie podrzeć koty i znów pokochać. Przegięła, stwierdzając, że polubienie Diabła jest niemożliwe i że trzeba być szurniętym, żeby uważać inaczej. No i dobra, jestem! Odpłaciłam się tym samym, najeżdżając na „pana chodzącą konsekwencję” i o, afera murowana. Być może niepotrzebnie dodałam, że została sprzedana za beczkę soli, bo sypnęła mi nią w twarz, opowiadając o wyczynie Mephista na wyspie Levanzo.

Potem było już tylko gorzej. Diabeł od razu wychwycił szok, mimo że próbowałam go zamaskować, wymyślając historyjkę o rejsie w nieznane. Po raz kolejny przyłapał mnie na kłamstwie, bo w tym domu nawet prosta czynność, jaką jest mijanie się z prawdą, to zadanie, które przerasta. No i stało się, zaiskrzyło. Przez krótką chwilę napawałam się jego podyktowaną chęcią dania mi nauki, nachalną bliskością, brudnymi słówkami, które zamiast przerażać, podniecały i, mimo że ponownie skłamałam, twierdząc, że to zwierzęce zachowanie uznałam za grę, czułam, że żyję.

„Nie potrafię wymyślać takich rzeczy na poczekaniu, więc w wyobraźni to przerobię i następnym razem cię zaskoczę”. – Jeszcze jedno kłamstwo.

„No, bo oczywiście jest, że nie jesteś na tyle nieobliczalny i bez skrupułów, by zadźgać Sopię Mancini szpikulcem, a potem podpalić lokal jakiegoś biednego przedsiębiorcy”. – I kolejne.

Mogłam sobie darować, ale chęć zobaczenia miny Mephista okazała się silniejsza. Chciałam sprawdzić, czy będzie zakłopotany, wychwycić skruchę, ewentualnie inne, mniej ludzkie uczucia. Nie zobaczyłam nic. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Dopiero gdy odwróciłam się na pięcie, dotarło do mnie, że to właśnie ten moment, w którym wpadam we własne sidła. Po serii małych zwycięstw, ugłaskaniu Diabła, sprawieniu, że nie drażył już tematu mojego przerażenia, sama wyśpiewałam w czym rzecz. Brawo, Almo.

A co najgorsze, przypominałam sobie o omercie, przysiędze milczenia. Co dzieje się w Las



Vegas, zostaje w Las Vegas, czy jakoś tak. Etna złamała zasadę, ale przecież nikt o tym nie wie. Oprócz mnie. I Diabła, któremu wszystko wypaplałam.

I nie szkodzi, że gdy wyszłam z łazienki, to nie było go w pokoju. To nic, że wrócił w środku nocy i zanim położył się spać, skakał po materacu, wykonując taniec, spowodowanej Diabeł jeden wie czym, radości. I nie mam pojęcia, co czuć i myśleć, bo ten człowiek jest chodzącą sprzecznością. Pochwalił mnie, wykrzykując: „Almo, jesteś genialna!”, by chwilę później nastraszyć, szepcząc mi do ucha: „Duszyczko, rano będziesz moja”.

Przez niego nie mam odwagi otworzyć oczu, mimo że słyszę jego równomierny oddech, typowy dla ludzi pogrążonych w głębokim śnie. W głowie tysiąc myśli, ale ani jednej sensownej wymówki, którą mogłabym się posłużyć, żeby przełożyć „to rano”, na bliżej nieokreślone „kiedyś tam”. Pragnę jego bliskości najbardziej na świecie. Wstrzymuję powietrze w oczekiwaniu i czuję mrowienie w podbrzuszu, gdy porusza się na łóżku. Dreszczyk niepewności przeradza się w rozczarowanie, jeśli jego ręka nie łąduje na moim biodrze lub brzuchu i wychodzi na jaw, że Mephisto jedynie przekręcił się na drugi bok. Uwielbiam mieszankę strachu i podniecenia, kojarzącą mi się tylko z nim. To, jak moje ciało reaguje, nawet, kiedy tylko na mnie patrzy, lecz lęk przed odrzuceniem, odkryciem tego, co tak bardzo chcę ukryć, przyćmiewa wszystko inne. Boję się, że zrezygnuje, powie: „Sio i precz, gdziekolwiek, najdalej”. Nieidealny charakter i nieperfekcyjne ciało. Trudno dostrzec plus w gęstwinie minusów, więc szansa, że wykopie mnie wielką stopą, gdy dotrze do niego, że się wkopał, jest większa niż mniejsza. Przygryzam wargę, chcąc skupić uwagę na bólu, jednak jest on zbyt mały, żeby przynieść ukojenie.

Wysłuchuję się w oddech Mephista, a mając pewność, że śpi, uchylam powieki i unoszę kołdrę. Ześlizguję się bezszelestnie z łóżka, sięgam po rozrzucone na dywanie książki, z zamiarem odszukania żyletek. Oddycham głęboko, chcąc wyciszyć wewnętrzne rozdygotanie i opanować drżenie rąk. Kartki szeleszczą głośno, jakby wyrażały bunt przeciwko brutalnemu traktowaniu. Przerzucam je coraz szybciej, targając kilka stron, gdy krew zaczyna szybciej płynąć w żyłach, żądając natychmiastowego uwolnienia. Posyłam śpiącemu Diabłu nienawistne spojrzenie. Żyletek nie ma. Wszystkie zajmują! Schylam się i przetrzepuję jeszcze nierozpakowane, ułożone w walizce ubrania. Wkładam rękę pod łóżko, przejeżdżam nią po podłodze, ale nie wyciągam nic poza szarymi kłębkami kurzu. Rozglądam się, a kiedy mój wzrok zatrzymuje się na rzuconych niechlujnie na oparciu fotela ubraniach Mephista, je również postanawiam przetrzepać. I to jest, do cholery, dobry ruch! Wyczuwam swoją własność, gdy tylko zanurzam dłoń w kieszeniach jego spodni. Ulga, jaką odczuwam, jest nie do opisania. Przepelnia od palców stóp po czubek pogrążonej w chaotycznych myślach głowy. I jest naprawdę cudownie, pięknie, wspaniale, do czasu aż słyszę:

– Co robisz?

Patrzę na Diabła i uśmiecham się szeroko, mimo że wszystko we mnie krzyczy: „Dlaczego nie śpisz, kurwa?!”.

– Zbieram brudne ubrania, bo będę robić pranie. – Wzruszam ramionami. – I sprawdzam, czy nie zostawiłeś czegoś w kieszeniach. – Unoszę kciuk. – Jestem przezorna, bo kiedyś uprałam siostrze telefon, ojcu banknoty, matce szminkę...

– Sobie mózg... – Mephisto obdarza mnie litościwym spojrzeniem i ściąga koszulkę, którą rzuca w moją stronę.

Nie udaje mi się jej złapać nie dlatego, że zapatrzyłam się na jego wyrzeźbioną klatkę, ozdobioną przepięknym, kolorowym tatuażem, tylko po prostu marny ze mnie łapacz. Jego ręce znikają pod kołdrą, a chwilę później zakręca swoje bokserki na palcu i je również odrzuca.

– Też się rozbierz – zaleca. – Wypierz wszystko na raz. Oszczędność wody, działania proekologiczne i tak dalej. – Poklepuje coraz bardziej widoczne wybrzuszenie na kołdrze i wyszczerza zęby w cwaniackim uśmiechu.

– Na pewno się nie zmieści – rzucam, a on wybucha śmiechem. Mam ochotę strzelić sobie z procy w twarz, gdy orientuję się, że zabrzmiało to dwuznacznie. – Pranie w bębnie – dodaję szybko, chcąc ratować sytuację.

Diabeł patrzy nieustępliwie, więc mocno zaciskam uda, co nie umyka jego uwadze.

– Trzeba sprawdzić. – Przywołuje mnie ruchem głowy, ale udaję, że nie rozumiem, co oznacza

to skinienie i tkwią w miejscu.

– Uwierz na słowo, dobra?

Przeciera twarz i głośno się śmieje. Nawet nie przypuszczałam, że potrafię tak rozbawiać ludzi. Trofeum komika roku? Mamy to!

– Duszyczko, błagam, przestań. – Tarza się w pościeli, nie mogąc zaczerpnąć oddechu. Po chwili poklepuje się po policzkach. Teraz jego mina jest isticie grobowa.

– To takie zabawne?

– A nie? – Zaciska usta, hamując zapewne kolejną salwę śmiechu. – Cały czas kłamiesz, a proponujesz mi uwierzenie ci na słowo. Delikatnie mówiąc, odrzucam tę propozycję, żeby nie powiedzieć, że kutasa na nią kładę. Jasne jak słońce w rajcu?

– Nie przesadzaj, że cały czas – burczę.

– Nawet teraz kłamiesz, że tego nie robisz, a dzień zaczęłaś od czego? – Wyczekująco unosi brwi.

– No, zgaduj-zgadula, Almo, przecież lubisz tę zabawę. – Kręci głową, gdy nie odpowiadam. – Od kłamstwa. Wiem, czego szukałaś w moich kieszeniach, ale chcę to usłyszeć od ciebie, więc słucham.

– Moich zakładek.

– Och, kurwa! – Rzuca się na łóżku, kopie w materac i oczywiście się śmieje. – Co za mózg! – piszczy jak dzieciak. – Moich zakładek! – powtarza po mnie. – Zaraz zdechnę z tego śmiechu. – Uderza się poduszką w głowę.

– Przestań.

– Ty przestań, bo w końcu mi się to znudzi. Nie chciałbym być wtedy w twojej skórze.

– Co ci się znudzi?

– Udawanie rozchichotanego flegmatyka zaczyna mnie nużyć. Rozumiesz, co chcę ci przekazać?

– Milczymy dłuższą chwilę, aż w końcu Mephisto wzdycha, podnosi moją wysłużoną poduszę i wrzeszczy: – O, coś wypadło z tego próchna!

Zaciekawiona staję na palcach i zerkam z bezpiecznej odległości.

– Chodź tu, przecież cię nie ugryzę.

– Wczoraj ugryzłeś. – Przytaczam fakt.

– Słowo Diabła, że dziś będę grzeczny. – Kładzie rękę na piersi.

– Dobrze. – Uśmiecham się i podbiegam do łóżka. Przysiadam na materacu, a Mephisto przekręca się na bok i oplata mnie ramieniem w talii. Sięgam po drewnianą, ozdobną zakładkę do książki. Na pewno nie wypadła z mojej poduszki, mimo że wygląda, jakby naprawdę należała do mnie. W drewnie wypalone jest moje imię, a na rogach znajdują się wyrzeźbione, małe kwiaty. I jest to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek dostałam, bo nie mam wątpliwości, że to podarunek. – To dla mnie? – Zerkam na Diabła. – Gdzie ją kupiłeś?

– Zrobiłem.

– Nie wierzę. – Dla odmiany to ja się śmieję.

– Ty nie wierzysz w prawdę, ja nie wierzę w kłamstwo. – Pstryka palcami w opatrunek na moim czole. To wredne. – Pocałuj mnie. – Obejmuje mój kark.

– Eee, w ramach podziękii?

– Nie. W ramach wstępu do diabelsko dobrego rżnięcia – oznajmia znudzonym tonem i kładzie się na plecach, wciągając mnie na siebie.

– Ale dałeś słowo, że będziesz dziś grzeczny – sapię w jego usta, gdy atakuje moje.

– Ja czy ja? Myślałem, że rozgryzłaś już, że gdy mówię: „Słowo Diabła”, to moje intencje nie są szczerze. Sama wspominałaś, że połączyłaś już kropki. Chyba że wtedy też kłamałaś.

– Przestań w końcu zarzucać mi kłamstwa – warczę i odpycham się od jego torsu. Przytrzymuje mnie za biodra i uśmiecha podstępnie, gdy siadam na nim okrakiem. Będąc w tej pozycji jego członek nie wbija mi się brzuch, lecz w krocze. Barierej między nami stanowi kołdra i piżamowe spodnie, ale odczuwam to specyficzne napieranie, które jednakowo podnieca i wprowadza w popłoch. Odczucia te są spotęgowane, atakują zarówno ciało, jak i umysł, gdy mocniej zaciska palce i przesuwa mnie lekko w przód, a potem w tył, sprawiając, że ocieram się o niego w pełnym znaczeniu tego słowa. Jezu!

Mephisto zerka na mnie z dołu. Nie potrafię rozszyfrować wyrazu jego twarzy.

– Co się dzieje w twojej głowie?

– W mojej? – pytam głupio. – Nic. A co ma się niby dzieć? – napadam na niego. – O co ci chodzi?!

Mruży oczy.

– Chcę, żebyś przyrzekła, że już nigdy mnie nie okłamiesz. – Łapie za moje nadgarstki, jakby chciał mieć pewność, że nie zwieję. – Możesz oszukiwać innych, zmyślać do woli, ale nie próbuj tego w stosunku do mojej osoby. Chyba że lubisz złe zakończenia. – Uśmiecha się pod nosem. – Dla mnie bez znaczenia – stwierdza oschle i zwalnia uścisk. Podpiera się na łokciach i unosi brwi. Czeka.

Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Rozpływam się pod jego spojrzeniem, przytłoczona lawiną uczuć. Patrzy tak, jakby nie mógł doczekać się, aż pożre mnie w całości. Zapewne dlatego przez moment odczuwam przeogromną chęć przyznania, że oszukałam w sprawie mojego dziewictwa. Z tym, że ja nie boję się bólu. Chcę go czuć. Skupić się tylko na nim. Niech będzie on i długo, długo nic, do momentu oczyszczenia myśli. Domyślam się, że przyrzeczenie obowiązywałoby od teraz, więc nie ma mowy o niedotrzymaniu słowa, skoro kłamstwo już się rzekło.

– Przyrzekam.

Na twarzy Diabła pojawia się naprawdę szeroki uśmiech.

– Wierzę ci – mówi pewnie, a ja odnoszę wrażenie, że nagle, pod wpływem słów, których nie usłyszałam nigdy wcześniej, zagubiony odłamek duszy wskoczył na swoje miejsce. On. Mi. Wierzy. Olać „kocham cię”, kiedy „wierzę ci” brzmi po stokroć lepiej. – A teraz wyskakuj z łachów. – Szczerzy się i poklepuje mnie po udach. Tyle, jeśli chodzi o romantyzm.

Wahanie musi być aż nadto widoczne, skoro postanawia wziąć sprawy w swoje ręce. Dosłownie, bo sekundę później leżą już na plecach. Energicznie odrzuca kołdrę na bok, nie pytając nawet, czy nie chcę nakryć się nią po czubek głowy. A chcę! Zeskakuje z łóżka, chwytając za nogawki moich workowatych spodni, przez co nie mam wątpliwości, że zabawa w ospałego flegmatyka dobiegła końca. Serce wali jak oszalałe, gdy na jego twarzy pojawia się zadziorny uśmiech. Cofam się, odpychając piętami od materaca, do momentu aż trafiam głową w zagłówek. Próbuję skupić wzrok na diabelskich oczach, ale to niewykonalne, gdy Mephisto stoi przede mną nagi, potężny, gotowy władać nie tylko piekłem, ale wziąć w posiadanie mnie całą. Obserwuję niespieszną wędrówkę jego spojrzenia. I mimo że to tylko wzrok, odnoszę wrażenie, że muska każdy skrawek moich gołych stóp, łydek i wnętrze ud. Słyszę świst wypuszczanego powietrza, kiedy kończy to szalone, wprawiające ciało w drżenie tournée, robiąc przerwę na przystanku zwanym cipką. Przelyka ślinę, jego krtań się porusza. Wstrzymuję powietrze, podczas gdy on bierze głęboki wdech. Stoi u moich stóp i pieprzy mnie wzrokiem. Tyle i aż, bo działa to tak bardzo na moje zakończenia nerwowe, że odczuwam mrowienie skóry głowy. Przymykam powieki, nie mogę zdecydować, czy włożyć ręce we włosy, czy między uda. Mam ochotę zrobić to wszystko i jeszcze więcej. Pragnę Diabła. Na sobie. We mnie. Niemal słyszę słodki, zachęcający szept: „Tak, tak, tak”, gdy zaciskam palce na guziku koszuli. Chwilę później zagłuszony ohydnie piskliwym krzykiem: „Ty, naiwna idiotko! Twoje plecy! Fuj i bleee!”

Wzdrygam się i zerkam na Mephista. Odczuwam przemykający po kręgosłupie dreszcz, gdy nasze spojrzenia się krzyżują. To, co dostrzegam w jego oczach, wzbudza trwogę i oczarowuje jednocześnie. Sprawia, że chcę wyjść z poharatanej skorupy i oddać mu się całą. Ofiarować duszę. Bezterminowo. Na zawsze.

Mephisto łapie mnie za kostki i przyciąga bliżej. Prostuje się i chrząka. Uśmiecham się, widząc jego poważną minę.

– Almo – wygłasza oficjalnym tonem – uważam, że jesteś totalnie wyjątkowa. Uważamy – poprawia się, głaszcząc z czułością swojego fiuta. I – znów chrząka – co ważne, sądziłem tak, zanim zobaczyłem twoją cipkę. – Szczerzy się, a ja wytrzeszczam oczy. – O cyckach nie wspominam, bo nie widziałem ich wcale. – Robi smutną minę. – Wiesz, co to oznacza?

– Nie? – Unoszę brwi, a on kręci z niedowierzaniem głową.

– Że to miłość, kurwa! – wydiera się tak głośno, że przez chwilę odnoszę wrażenie, jakbym znajdowała się we wnętrzu wielkiego głośnika. – Jebana miłość, Almo! – Rozpościera ręce, podskakuje i rzuca się na łóżko jak totalny szaleniec, którym zresztą jest. Zamykam oczy, bo wydaje mi się, że

gruchnie na mnie, przygniatając swoim ciałem, ale nie, jestem szczęściarą, bo jedynie przyszpila mi włosy łokciami do materaca. Auć. – Sorry – mówi od niechcienia i wciska się między moje nogi, rozchylając je swoimi nachalnymi, umięśnionymi udami. – Wszystko we mnie krzyczy, że twoja cipka to moje ulubione miejsce. – Odchyła się lekko i najpewniej, bo nie mam odwagi spojrzeć, co on tam cuduje, obejmuje penisa. Sądzę tak, ponieważ chwilę później czuję, jak niespiesznie, z totalnie skupionym wyrazem twarzy, przejeżdża nim po mojej, tu akurat wątpliwości nie mam, mokrej kobiecości. Mephisto unosi wzrok i się szczyrzy, a ja zacynam chichotać.

– Wiesz, że masz minę, jakbyś pierwszy raz był w wesołym miasteczku?

Jeszcze szerszy wyszczerz.

– Taa. Tyle atrakcji i mam bilet na wszystkie. – Podpiera się na przedramionach i mrucząc, liże mi szyję. Są to długie, pociągłe liźnięcia, które w połączeniu z oszalamiającym zapachem, kojarzącym mi się tylko z Mephistem, sprawiają, że mój świat wiruje.

Jedną rękę trzyma na czubku mojej głowy, drugą mocuje się z guzikami piżamy. Nieustannie liże i przygryza skórę szyi, sunie językiem po linii żuchwy, przygniata twardym ciałem. Jest gorąco jak w piekle.

– Ściągnij bluzkę. – Wkłada przedramię pod moje plecy i ciągnie za rękaw, rozpiętej już koszuli.

– Wolę nie, bo mi zimno.

Mruży oczy, ale tylko na moment, do czasu aż jego wzrok ląduje na odsłoniętych, wypiętych w jego stronę piersiach. Kładzie między nimi dłoń i sunie szorstkimi opuszkami, zaczynając od mostka. Trasa, jaką obiera, podobnie jak sam Diabeł, nie jest oczywista. Nie jestem w stanie przewidzieć, gdzie zawędrują jego palce. Gdy przejeżdża nimi po żebrach, na moim ciele pojawia się gęsia skórka, a sutki twardnieją. Mephisto obejmuje moją pierś, wtula się w nią i przymyka powieki, by za moment, bez żadnego uprzedzenia, posyłając w diabły delikatność, otrzeć szorstkim zarostem o nadwrażliwą na dotyk brodawkę. Wyginam plecy, zaskoczona wrażeniem, jakie wywołał ten ruch. Oplatam go nogami, a on odchyła się i podpiera na pięściach. Zaciska mięśnie żuchwy, przechyla głowę najpierw w lewo, potem w prawo, aż słychać odgłos chrupnięcia w karku. Zerkam na niego z dołu, na zdobiącego jego klatę kolorowego feniksa, który świdruje mnie jednookim, mieniącym się jak szafir spojrzeniem. Mam ciarki, zdominowana przeświadczeniem, że nie tylko chce poznać wszystkie moje sekrety, ale że już je zna. Mephisto zakłada ręce za głowę. Skrzydła ptaka unoszą się, jakby był gotowy do wzbicia w powietrze. Coś w tym jest, bo do cholery, znów to samo! Diabeł szczyrzy się, opada na mnie, wgniatając w materac i ponownie przygniata moje włosy. Syczę z bólu.

– Jezu, już Yeti ma większą grację niż ty. – Przewracam oczami.

– Zmienisz zdanie, gdy zobaczysz, z jaką gracją zaraz się w ciebie wbiję. – Przygryza zębami moją wargę i poklepuje po policzku. – Wpuść mnie.

Chcę odpowiedzieć, więc otwieram buzię. Wykorzystuje chwilę i wsuwa język do środka, odnajdując mój. Pocałunek, tak samo jak cała jego osoba, jest chaotyczny. Boję się, że stracę zęby, gdy ociera się o nie swoimi. Zasysa mój język, wargi, a jego żywiołowość i rozgorączkowanie wprawiają moje ciało w drżenie. Podpiera się na przedramieniu, mocno zaciska dłoń na mojej kości biodrowej i gładzi ją kciukiem. Puls przyspiesza, mrowienie w tempie błyskawicy rozchodzi się po każdym skrawku skóry. Mephisto jęczy w moje usta, gdy pieszczę jego język, więc zatracam się w dynamizmie chwili, w chaosie naszych ciał, pozbawiona możliwości analizowania. Jestem tylko ja i on. I niespokojna ręka, którą zwinnym ruchem wsuwa mi pod tyłek. Przejeżdża nią po mokrej cipce, sunie wyżej, wyżej, aż dociera do drugiej dziurki i zaczyna pocierać ją palcem.

– Ale cię zerznę – szepcze, zgarniając moje włosy w garść.

Odchyła głowę i przejeżdża językiem po mojej odsłoniętej szyi. Nie przestaje mnie pieścić, zwiększa nacisk palca, gdy poruszam biodrami. Sama nie wiem, czy powinno mi się to tak bardzo podobać, ale zdaję się na osąd zakończeń nerwowych, urywany oddech, który zaraz stracę i wciąż narastające, szukające ujścia erotyczne napięcie, którego do tej pory dane mi było doświadczyć jedynie, kiedy pieściłam się sama. Mephisto wsuwa nogę między moje uda, dzięki czemu mogę się o nią ocierać, podczas gdy on pożera moje usta i pieści drugą szparkę. Czuję się przytłoczona intensywnością doznań, potężnym, osłaniającym mnie ciałem. Obejmuję go za kark, gdy puszcza włosy i sunie dłonią po piersi,

brzuchu, docierając do spragnionej pieszczoty cipki. Obniża się i przykładła ucho do mojej piersi, jednocześnie pocierając łechtaczkę. Zatapia palec w moim mokrym wnętrzu. Mam ochotę złączyć uda, bo intensywność doznań, kiedy zajmuje się na raz obiema dziurkami jest bezwstydnym, popychającym na skraj doznaniem. Jęczę i odchylam głowę, łapiąc Diabła za przedramię, gdy wysuwa i wsuwa palec. Zaciskam rękę, chcąc ograniczyć możliwość jego ruchów, ale jedyne, co udaje się uzyskać, to otulający piersi ciepły oddech. Mephisto warczy zwierzęco, nie zaprzestając pieszczoty. Więcej nie trzeba, by stracić mnie w przepaść. Czuję się pochłaniana przez rozkoszną otchłan, gdy zaciskam ręce na jego ramionach, porażona mocą przetaczających się przez ciało odczuć. Cipka pulsuje. Jest tak wrażliwa, że kiedy Diabeł przejeżdża po niej palcami, mam ochotę go pogryźć.

Wzdycham głęboko, a on unosi głowę. I jeśli myślałam, że widziałam już wszystkie jego oblicza, to byłam w błędzie. Tego wyrazu twarzy nie da się zamknąć w żadnych ramach. Czarne, jakby usmolone rzęsy, niczym złowrogi cień, dodają spojrzeniu nieustępliwości. Czai się w nim wszystko to, przed czym powinno się uciekać. I czuję ten zapierający dech w piersi strach. I unoszące się w powietrzu podniecenie. Coś tak intymnego, tak bardzo naszego, że nie mam odwagi mrugnąć w obawie, że się ulotni i zniknie.

– Na pewno nie jesteś dziewicą?

Zaskakuje mnie tym pytaniem. Teraz nie tylko nie mrugam, ale też wytrzeszczam oczy.

Pewnie nie zorientuje się, że nią jestem. Nie chcę, żeby wyszło, że w tej sprawie również skłamałam. Może nie będę krwawić. Zachowam kamienną twarz i skuteczną grę pozorów. Brzmi jak proste zadanie. Takie na moje siły. Tobołek, który jestem w stanie udźwignąć.

W końcu ile może ważyć kłamstwo?

– Na pewno.

– Jeszcze raz, bo nie dosłyszałem – stwierdza oschle i mruży oczy, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Powiedziałam, że nie jestem dziewicą – powtarzam, a Mephisto podciąga się na rękach i styka nasze czoła. Chwilę tkwi w bezruchu, aż w końcu stuka swoim o moje. Łapie mnie za włosy i odchyła głowę, składając na policzku krótkiego, niewinnego całusa.

Zastanawiam się, co teraz nastąpi, bo podpira się na przedramieniu i wystawia rękę, żeby dosięgnąć do nocnej szafki. Dopiero gdy wyjmuję z niej prezerwatywę, do mojej świadomości dociera powaga sytuacji. To, że za moment naprawdę stracę dziewictwo i sama nie wiem już, co powinnam zrobić. Mogłam przyznać się wcześniej albo i nie. Powiedzenie prawdy teraz jest równoznaczne ze złamaniem obietnicy szczerości. To znaczy i tak już ją złamałam, ale wiem o tym tylko ja. Jezu. Znow ten przytłaczający natłok myśli i decyzje, których nie potrafię podjąć.

– Jak coś, to biorę pigułki – informuję.

– No i? – Unosi brwi.

Mam wrażenie, że nagle zrobił się jakiś niemiły. Niemal poczułam ten chłód, którym powiało.

– Zabezpieczam się, więc ty nie musisz. To miałam na myśli.

– Nie mów mi, co muszę, a czego nie – oznajmia rzeczowo. – Nie jesteś moją żoną. Zajdziesz w ciążę, mnie jutro odstrzelą, a ty zostaniesz z dzieciakiem sama i bez niczego. Myśl czasem – kwituje.

Przyznanie wprost, że coś mogłoby mu się stać sprawia, że odczuwam osiadający na dnie duszy niepokój.

– Ho, ho, twoje wypowiedzi ociekają romantyzmem – wyduszam. – Mam pół wyspy jak coś. – Chcę go uspokoić, bo popada w katastrofizm, a dodatkowo wciąga w to mnie. – I moją rodzinę. I teraz jeszcze twoich braci.

– Przestań. – Krzywi się i rozchyła mi nogi. Kładzie się na mnie, wtula twarz w szyję i zaciąga się moim zapachem. – Zamki z piasku są wykurwiste, ale no właśnie, są z piasku.

– O czym ty do mnie w ogóle mówisz? – sapię, bo przygryza płatek mojego ucha.

– O tych ludziach, na których chcesz polegać.

– Rodzinie?

– Taa. Zamkach z piasku. – Unosi głowę i obejmuje moją twarz. – Ufaj sobie i mnie. – Wybucham śmiechem. Jestem zdezorientowana, bo nie nadażam za tokiem jego rozumowania. – To znaczy tylko mnie. Sobie lepiej nie. – Ścisną mi policzki i przechyla głowę. – Rozłóż szerzej nogi. – Uśmiecha się

krzywo, a ja ani drgnę. – No, zrób to, bo obijasz mnie rozdygotanymi kolanami.

Przesuwa opuszkami po mojej nodze, na której od razu pojawia się gęsia skórka. Wyobrażam sobie, że oddycham głęboko, choć tak naprawdę nie mam pewności, czy w rzeczywistości pozwalam sobie chociaż na płytki oddech.

– Bo mi zimno, mówiłam przecież. Dlatego się trzęsę.

– A ja wspominałem, że ci wierzę. Jest w porządku. – Spojrzenie, jakim mnie obdarza, jest całkowitym przeciwieństwem pokrzepiającego uśmiechu, jaki pojawia się na jego twarzy. Przetykam ślinę, gdy pochyła się i obejmuje moją szyję, kładąc kciuk na krtani. – Chcesz coś dodać?

Wsuwa palec w moją szparkę, nie spuszczać ze mnie wzroku. Nie wykonuje żadnego, nawet najmniejszego ruchu. Świadomość, że jest w moim wnętrzu i jednocześnie patrzy mi prosto w oczy, niesamowicie podnieca. Przetykam ślinę, a Mephisto porusza przyciśniętym do krtani kciukiem w górę i w dół. Jeśli sądzi, że gest ten ma działanie uspokajające, to jest w błędzie. W wyobraźni już widzę, jak miażdży mi tchawicę, gdy orientuje się, że złamałam obietnicę szczerości.

– Tak, chcę – mówię pewnie, a on wyjmuje ze mnie palec. – Nie mogę doczekać się, kiedy w końcu przejdziesz do rzeczy, bo tylko gadasz i gadasz, i...

Mephisto przykłada wargi do moich.

– Masz rację, duszyczko. Koniec gadania. – Wygina usta w uśmiechu. – Na dyskusje był przecież czas.

Szybkim ruchem, wciąż nie poluzowując uścisku na szyi, rozsuwa bardziej moją nogę i przesuwa penisem po cipce. Gdy ociera się o dziurkę, wstrzymuję powietrze. Najwidoczniej to zauważa, bo droczy się, na przemian zwiększając i zmniejszając nacisk, aż w końcu się we mnie wsuwa. Nadymam policzki i wytrzeszczam oczy, ale długo nie wytrzymuję i wypuszczam powietrze z sykiem. Pokerowa twarz. Za to pucharu nie będzie.

– Mogłeś uprzedzić – warczę i wbijam palce w jego ramiona. – A nie, o tak, zniecka.

– Och, kurwa, Almo. – Unosi moją roztrzęsioną nogę wyżej. Jeśli sądziłam, że przed momentem wszedł we mnie cały, to byłam w ogromnym błędzie. Czuję, jak się wślizguje, centymetr po centymetrze. Mam wrażenie, że trawi mnie ogień. – Powiedziałem, że cię zerżnę. Czym to było, jeśli nie uprzedzeniem? – Zwiększa nacisk kciuka na krtani. – Ja dotrzymuję obietnic – obdarza mnie sugestywnym spojrzeniem – więc daj się pieprzyć.

Otwieram usta, bo wykonuje gwałtowny ruch biodrami, wbijając się mocniej, poruszając szybciej. Moje mięśnie zaciskają się na jego męskości. Przygniata mnie swoim ciężarem, zabiera rękę z szyi i zaciska w garści włosy. Szarpie za nie za każdym razem, gdy się we mnie zagłębia. Mam ochotę udusić go za ten przesadny dynamizm, ale ciało ze mną nie współpracuje. Każdy mięsień napięty do granic możliwości. Kawałek drewna, bryła z betonu. Tym teraz jestem.

– Jak na puszczałką, jesteś strasznie spięta. Rozluźnij się – szepcze. – Bo to potrwa. – Śmieje się i przyciska czoło do mojego obojczyka, nie przestając się poruszać. Coraz mocniej wczepiam palce w jego ramiona, zostawiając na nich czerwone ślady. Uczucie rozpierania zamiast się zmniejszać, tylko się pogłębia. Mephisto wślizguje się we mnie pod różnym kątem, całkowicie wysuwa penisa, by za moment z powrotem zatracić się w mojej cipce. To sprawia, że od nowa muszę radzić sobie z tym specyficznym odczuciem. Sapię. – Przyspieszyć? – pyta, unosząc głowę. – Częściej wysuwać kutasa i wbijać go mocniej? – warczy, jakby był wściekły i mruży oczy, przez co mam wrażenie, że mnie przejrzał.

– Dobrze. Możesz. Bardzo chętnie – mówię zdecydowanym tonem, ale nie mam pewności, czy nie drży mi broda. – W sumie na to liczę. – Powinam się zamknąć. – Gdy robiłam to z innymi, to...

Mephisto zamyka mi usta pocałunkiem, a po chwili styka nasze czoła. Wzdycha, warczy. Sprawia wrażenie osoby, w której wnętrzu rozgrywa się prawdziwa walka. Odchyła głowę, potrząsa nią i uderza się w policzek. Zamyka oczy.

– Odejść – mówi cicho. – Wypierdalaj! – wrzeszczy i potrząsa głową.

Myśl, że te słowa skierowane są do mnie, sprawia mi przykrość. Nie chcę w to wierzyć, ale w pokoju nie ma nikogo poza nami. Wstrzymuję oddech, bo gdy otwiera oczy i nasze spojrzenia się krzyżują, odnoszę wrażenie, że pochyła się nade mną NIE. WIEM. KURWA. KTO. I rety, nie

zwariowałam. Widzę, że mam nad sobą Diabła. Po prostu patrzy na mnie jak nie on. Jakby nie był sobą. To pokopane. Totalnie szalone. Niezaprzeczalnie zryte.

– Cześć – rzuca, lekko się uśmiechając. – Jestem Eros. – Przejeżdża dłonią po moim policzku. – Będę cię kochał na wieki.

Mrugam szybko, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć. Mephisto wybucha śmiechem.

– O ile nie będziesz łągać jak kłamliwa suka. Taa. – Szczerzy się i delikatnie ze mnie wysuwa.

Odczuwam przeogromną ulgę, nie czując go w sobie. Ściąga gumkę, odrzuca ją na podłogę, a następnie wsadza ręce pod moje pachy i lekko unosi. Siada na mnie okrakiem, opierając swój ciężar na piętach. – Złącz cycki i patrz mi w oczy, gdy będę je pieprzył. – Potakuję oszołomiona i ściskam biust. Diabeł liże moje piersi, a następnie wsuwa między nie penisa. Nigdy się nie rumienię, ale teraz czuję, jakby policzki płonęły żywym ogniem, gdy zaczyna się poruszać. Dopiero kiedy chwyta moje włosy i odchyła mi głowę, odrywam wzrok od piersi i skupiam go na jego twarzy. Nie potrafię określić, który widok jest seksowniejszy, bo oba sprawiają, że odczuwam mrowienie każdego skrawka ciała. Diabeł uśmiecha się lekko, w międzyczasie posuwając moje cycki. I kompletnie nie wiem, jak wytłumaczyć to, że gdy tak robi, pragnę, by ponownie się we mnie znalazł. Ruchy Diabła są coraz gwałtowniejsze. Wyczuwam unoszące się w powietrzu niemal elektryczne napięcie, gdy dziko wbija się w moje cycki. Mephisto odciąga moje ręce i kładzie na swoich biodrach. Obejmuje mój biust, ociera się, pod palcami wyczuwam, jak bardzo jest spięty, gdy dotykam jego pośladków.

– Mały – warczy – pieprzony – mocne pchnięcie – kot – kolejne – w worku.

Zasłania moje oczy ręką, trzęsie się, wrzeszczy jakby był obdzierany ze skóry i kończy na moich piersiach. I brodzie. I policzku. Jezu. A kot jest w punkt. Zapomniał dodać poharatany, ale nie będę się pograżać, bo coś mi się zdaje, że mnie przejrzał.

– Poczekaj, wytrę cię. – Materac ugina się pod jego ciężarem. Chwilę później trze moją skórę. Mocno.

– Co to jest? Tym dotknąłeś mojej twarzy? – Wskazuje na skarpetkę.

– To pierwsze, co wpadło mi w rękę. Jednodniowa. Świeża. – Wybucha śmiechem i zeskakuje z łóżka. – Skarpeta, którą nosił sam Diabeł.

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– To niekulturalne.

– Podobnie, jak to, że nie przywitałaś się z Erosem. – Wygina usta w podkówkę. – A on był dla ciebie taki, kurwa, miły. – Zrezygnowany opuszcza ramiona.

– Nie rozmawiam z nieznanymi. – Nie wiem, po co kontynuuję tę dziwną rozmowę. Daję się wciągnąć w grę, której zasad nie rozumiem.

Diabeł się uśmiecha.

– Fakt, nie powiedziałaś ani słowa, gdy posuwał twoje cycki. – Mruży oczy. – Rżnięta przez Mephista byłaś bardziej rozmowna. – Pociera brodę, jakby się zastanawiał. – Sam nie wiem, jaką wersję twojej osoby wolę bardziej. Tę milczącą czy rozgadaną. – Unosi dłonie, jakby były szalkami wagi. Jedna wyraźnie się przechyla. – Milczącą. Wtedy przynajmniej nie kłamiesz. – Robi wdech. – Puszczalska dziewczica. To oksymoron? – pyta i od razu odpowiada: – Efesto będzie wiedział. Zapytam go o to jutro, gdy złożę mu wizytę. – Pstryka palcami. – Jeszcze jedno, ostatnie, bo znudziła mi się już zabawa w „zrobię Diabła w chuja” – mówi poważnym tonem. – Musisz wiedzieć, że każde kłamstwo ma swoją wagę. Jeśli koniecznie chcesz oszukiwać, zawsze upewnij się, że to nie ciebie wgniecie w ziemię. Krwawic – zerka na prześcieradło – i zaciskać zęby z bólu warto tylko w słusznej sprawie.

– Wiadomo, jesteś znawcą. – Prycham w myśl zasady, że najlepszą obroną jest atak. I, mimo że się zgadzam, trudno mi przyznać się do błędu. Przed nim. – W końcu jesteś Diabłem. Twoja ksywka na pewno nie wzięła się znikąd. Mistrz szachrajstwa.

Maszeruje w miejscu.

– Chodzące kłamstwo. – Wskazuje na siebie i rzuca się na łóżko. – Leżące kłamstwo. – Wybucha śmiechem. – Ale jeśli chcesz zwracać się do mnie per mistrzu – rozkłada ręce – możesz. – Szczerzy się i poklepuje się po kłacie. – Oprzyj się, bo to będzie długa i w kurwę wzruszająca historia. – Ociera niewidzialną łzę. – Nie o tym jak Diabeł stał się Diabłem, bo to tajemnica. – Puszczą oczko i kładzie

palec na ustach. – Lecz o tym, że warto, a nawet pokusiłbym się o stwierdzenie, trzeba czytać między wierszami. Zaintrygowana?

Potakuję i opieram głowę na jego piersi. Przeczesuje moje włosy. Chrząka.

– Dawno, dawno temu. A nie, to wersja dla dzieciaków. Bajka ze szczęśliwym zakończeniem, a ty przecież jesteś już kobietą. Niestraszne ci ból i krew. – Przedrzeźnia mnie i szczypie w ramię. Ponownie chrząka. – W sumie to będą dwie historie, mądre opowieści. – Śmieje się cicho. – Gdy żyła nasza matka, tradycją było, że dzieciaki przebierały się podczas świąt we własnoręcznie zrobione kostiumy. W kurwę pomysł, co? – Sunie palcem po moim ramieniu. – Mój brat... A nie, to nie ta historia. – Wzdryga się. – Zgadnij, za kogo się przebrałem?

– Za diabła – jęczę. – Też mi zagadka.

– Za anioła, kurwa. Co z tobą? – Potrząsa mną, a ja się śmieję. – Zrobiłem skrzydła z prześcieradła i ślizgałem się po poręczy schodów, udając, że latam. Nieustannie, od nowa i wciąż. Zgadnij, czego szukałem?

– Ale fajnie! – Ekscytuję się. – Pewnie były białe? Złote wyglądałyby super.

– Tak, najpierw były białe. Potem purpurowe. I tym oto sposobem dotarliśmy do końca pierwszej opowieści.

Unoszę na moment głowę.

– Nie ogarniam. Dlaczego zmieniły kolor?

– To historia o czytaniu między wierszami. Robisz to źle, Almo. – Przyciska mój policzek z powrotem do swojej klaty. – Co pierwsze przychodzi ci na myśl, gdy o tym myślisz?

– Nie wiem, że je pomalowałeś?

– Może i tak. Mogłem też wycierać nimi krwawe rzygi zaćpanej matki. Równie dobrze mogły przybrać taką barwę, bo coś pod nimi skrywałem. Coś, co wciąż rośnie. – Unosi ręce, jakby były skrzydłami. – Jest już naprawdę wielkie.

Przez moje ciało przetacza się dreszcz niepokoju.

– Powiesz, co to? – Staram się zamaskować drżenie głosu. Nieudolnie.

– Kula ognia.

Nie mam pojęcia, jak to skomentować.

– Już wiem, czego szukałeś, zjeżdżając z tej poręczy. – Przypominam sobie o pytaniu, na które nie odpowiedziałam. Puchar za rozładowanie napiętej atmosfery? Mam go w garści!

– Czego?

– Guza. – Śmieję się tylko ja. Coraz ciszej. Milknę.

Mephisto wzdycha.

– Drogi do raj, duszyczko.

– Rozumiem. – Udaję mądrzejszą niż jestem. Totalnie nie ogarniam.

– Wcale nie, ale przejdźmy do kolejnej opowieści. – Głaszczę moje włosy. – Piękne, letnie popołudnie. Słońce dawało w czachę. Miałem z osiemnaście lat i właśnie zszedłem z jakiejś suki. Stałem na balkonie i zauważyłem starego opalającego się przy basenie, a ponieważ to mój tata, z troski o stan jego skóry krzyknąłem: – Tatusiu, spalisz się w tym piekle!

– I co dalej?

– Nic. Spierdoliłem do pokoju, bo serio na dworze był piekarnik. – Wybuchą śmiechem. – Koniec opowieści.

– A tym razem co powinnam wyczytać między wierszami?

– Może, że będąc w twoim wieku, miałem bujniejsze życie erotyczne niż ty? – Czochra mi włosy.

– Taa. To na pewno to, Almo. Słowo Diabła.

Przez chwilę leżymy w ciszy. Mąci ją dzwoniący telefon Mephista. Obraca się na bok, żeby dosięgnąć do nocnej szafki.

– To Efestu. – Szczerzy się, siada tyłem do mnie i odbiera.

Moje serce rozpoczyna szaleńczy galop. Wcześniej, gdy mignęły mi przed oczami jego plecy, byłam przekonana, że ma na nich dziarę. Myliłam się. To nie tatuaż. Mnóstwo szram, wypalonych śladów i bruzd. Jedna wielka blizna, która pod wpływem wykonywanych ruchów, uniesienia ręki, pochylenia,



napina się i sprawia wrażenie, jakby miała pęknąć. Gdzieniedzie cienka jak papier, niemal przezroczysta, podkreślająca zarys mięśni. Gdybym chciała, z łatwością mogłabym policzyć każdą, nawet najmniejszą żyłkę, bo widać je wszystkie. Nim do mojej świadomości dociera, co robię, kładę dłoń w najbardziej zabliźnionym miejscu, by następnie przyłożyć do niego policzek. Obejmuję Diabła ramionami. Przytulam. Wyczuwam, że wstrzymuje oddech, ale nie rozplata moich rąk. Wtulam się tak mocno, jakbym chciała przekazać mu swoją energię, dodać otuchy, mimo że nie sprawia wrażenia osoby, która tego potrzebuje. Nie chcę płakać, ale to silniejsze ode mnie. Ból sprawia samo wyobrażenie, przez co musiał przejść, zostając tak oszpeconym. Ocieram mokry policzek o jego plecy. Dopiero wtedy zrywa się z łóżka, zasłania dłońią głośnik telefonu i mówi:

– Nie rozczulaj się tak. – Uśmiecha się i przeciera kciukiem moje oczy. Zaczyna krążyć po pokoju i nawet z odległości słyszę podniesiony głos Efesto. Diabeł odsuwa komórkę od ucha i pociera je, kręcąc z niedowierzaniem głową. Przez dobrą minutę w ogóle nie słucha, co ma do przekazania Efesto, aż w końcu oznajmia: – Cichutko. Dzwoniłem do ciebie wczoraj, żeby poinformować o wizycie, którą zamierzam wam złożyć. Nie zapytaniem, czy mogę, lub czy sobie tego życzysz. No w kurwę mnie nie znasz. – W skupieniu wysłuchuje rozmówcy, a po chwili pyta: – Ja? Co kombinuję? Nic, nigdy i w życiu. Moje intencje zawsze są jasne i szczerze. Słowo Diabła. – Przeciera twarz. – To nie moja sprawa, dopóki nie zacznie nią być. Tak, dokładnie. To powiedziałem na wyspie. I cóż. Stało się. Spełni się diabelskie proroctwo. Do widzenia. – Odsuwa telefon od ucha, ale szybko przykłada go z powrotem. – A, i miłego dnia. Zapomniałem dodać. – Wybuchają śmiechem i się rozłączają. Patrzy na mnie.

– Co tam, Almo?

– Co ci się stało w plecy?

– Szybciej będzie wymienić, co się nie stało. Nie użądliła mnie osa.

– To dlatego chodzisz z ochroną? Wiesz, z tymi dwoma? – Pstrykam palcami. Nie potrafię przypomnieć sobie ich imion. – Żeby nikt dodatkowo cię nie skrzywdził?

Mephisto się śmieje.

– Nie, duszyczko. Gdyby przemawiał przeze mnie tego rodzaju strach, to nie odstępowałoby mnie na krok tutaj, w domu – tłumaczy. – Nie znoszę dotykania, poklepywania po plecach. Bardzo mnie to wkurwia. Każdemu, kto tak robi, mam ochotę skrócić kark. – Uśmiecha się słodko. – Wbrew opinii krążącej na temat mojego dziwactwa, pancerni nie ochraniają mnie. – Przygląda mi się sugestywnie. – To nie ja potrzebuję ochrony.

– A więc teraz skrócisz mi kark czy co? – Śmieję się nerwowo. – Bo dotknęłam twoich pleców...

– Taa. Jeśli jeszcze raz będziesz wycierać o mnie gile. Dam ci ostatnią szansę na poprawę.

Wiadomo, dlaczego.

– Bo jestem twoją słabością?

Uśmiecha się tak szeroko, że aż serce rośnie. Cudownie szczerzy, chłopięcy wyraz twarzy. Niemal czuję, jak wzbijam się wysoko, wysoko...

– Nie, bo od jutra będziesz właścicielką całej wyspy, a nie połowy. – Wybuchają śmiechem. – Dlatego, Almo.

I spadam. Gleba.

– Jak to? Ale ja nie chcę. – Wzbraniam się. Diabeł wzrusza ramionami. – Nawet połowy nie chciałam. A po co jedziesz do Selvaggiów? Mogę z tobą? – nawijam jak nakręcona. Coś tu nie gra, a to, że nie mam pojęcia co, sprawia, że czuję się nie tylko wykluczona, ale także zagubiona.

– Wiesz, czym jest omerta? – pyta, na co potakuję. – A masz pojęcie, czym grozi jej niedotrzymanie?

– Efesto złamał tę zasadę? – Wytrzeszczam oczy w niedowierzaniu. – Ale z niego palant! – Owijam się kocem i zeskakuję z łóżka. – A niby taki mądry, co nie? Nawet ja mam świadomość, że trzeba trzymać gębę na kłódkę i nie rozpowiadam wszystkiego na prawo i lewo. A wiem sporo, na przykład, że przebywający w moim domu Alessio tak naprawdę pracuje dla Selvaggiów. I że Efesto ma swojego człowieka także w rodzinie Bommarito. Nieźle, co? I jak coś, to nie mam gumowego ucha. Po prostu byłam w odpowiednim miejscu o właściwym czasie. To nie tak, że podsłuchałam.

Mephisto mruży oczy. Uderzam dłońią w głowę.

– No i wypaplałam. – Wzruszam ramionami i zasuwam usta na niewidzialny zamek.

Mam nadzieję, że ta lawina słów skutecznie odwróciła jego uwagę. Jasne jest, że to Etna złamała przysięgę, ale zwalić winę na Efesta zawsze warto. Przyglądam się Diabłu. Staram się ocenić, czy osiągnęłam cel. Czy zakręciłam go tak bardzo, że sam już nie wie, o co gra.

– Taa. Jedna krew – kwituje Mephisto. – Błagam, moce wszechmocne! – wrzeszczy, wznosi ręce i nimi potrząsa. – Żeby nie podzielił losu Efesta, żeby mi się nie odbiło tak jak jemu!

– W sensie?

– To twoja siostra złamała przysięgę. Konsekwencja – wskazuje na siebie – jeszcze jest w Palermo, ale jutro zapuka do ich drzwi. Trzy razy. Puk, puk, puk. – Stuka w moje czoło. – Czy to było dwa? – Zastanawia się głośno. – Ile razy puka śmierć?

– Co?! – Popycham go. – Moja siostra niczego nie złamała, palancie! Tylko ją tknij, to zobaczysz! I w ogóle nawet tam nie jedź, bo coś ci zrobią! – Ogarnia mnie panika. Sama nie wiem, kogo mam chronić w pierwszej kolejności. To pokopane. – Oni udają takich – krzywię się – radosnych, a kto wie, co tam cudują, gdy nikt nie patrzy. Jezu. – Krążę nerwowo po pokoju. – Co ci się uroiło w tej głowie, że posądzasz o coś moją siostrę?! – Patrzę na niego spod byka.

– Nie o bliżej nieokreślone coś, tylko o naruszenie zasady. Ona jest ważna. – Przeciąga się. – Tak czułem, że to robi. To była kwestia czasu. Nie powinna wspominać ci o tym, co wydarzyło się na wyspie. Jej błąd, mój zysk. Tak to działa.

– I ty jesteś strażnikiem zasad, tak?

– Taa. – Szczerzy się. – W niego teraz się bawię.

– Jeśli zrobisz coś Etnie, nigdy ci tego nie wybaczę.

Mephisto otwiera usta, jakby chciał odpowiedzieć, ale, nie myśląc wiele, dodaje:

– Nie od niej dowiedziałam się o tym, co zadziało się na wyspie.

Zdziwiony unosi brwi.

– Robi się coraz ciekawiej – stwierdza. – Od kogo w takim razie?

– Nie pamiętam imienia. Od takiego gościa, który tam był. – Wzruszam ramionami. – Nie znasz.

– Macham lekceważąco ręką.

– Był tam tylko Nino. Jej ochroniarz. – Mruży oczy.

– Nie o niego mi chodzi. O innego typka. I nie jestem w stanie podać jego personaliów.

– Powiedziałem, że był tam tylko on – powtarza. – Decyduj, Almo. Ona czy on. Komu zabije diabelski dzwon?

## ROZDZIAŁ 10

### *Mephisto*

Miła, milsza, najmilsza. Alma.

Och, kurwa, biada temu, kto da się zwieść, wyprowadzić w pole, zatracić w niewinnym spojrzeniu sarnich oczu. Któż to wie, co czai się pod wachlarzem pokręconych jak jej umysł rzęs. Krople deszczu uderzają o szklane tarasowe zadaszenie. Jestem pewien, że to stary Bommarito zsyła z zaświatów dziękczynny deszcz w podzięcie za odjebanie. Z własnej woli chciał wdepnąć w minę, owoc lędzwi Alfreda La Mantide, a tu, o, miła niespodzianka, kulka na dzień dobry i do widzenia. Wystawiłbym twarz, by skapać się w mokrych wyrazach wdzięczności, ale nie jestem taki! Nie przywłaszczam sobie cudzych dokonań. Ha! Oczywiście, że to robię! Przyznaję przed sobą, bo zasługuję na szczerłość i uroczyście oświadczam, że to nie ja sprzątnąłem Bommarita w dniu jego zaręczyn z Alną. Zgarnąłem jedynie nagrody. I świetnie. I sumienie czyste. RAJ. Gdy przybyłem na miejsce, było już po robocie. To co, pogńiewam się, że ktoś mnie wyręczył?

Chwila zadumy, bo refleksje małe i duże to coś, od czego zaczynam każdy dzień. Śmieję się w głos. Siedzę na tarasie, czekając na Serafina, wpięprzam najgorsze tiramisu, jakie było dane mi jeść, i rzę jak koń. Kurwa, jak to dobrze, że ja to ja, bo inaczej zanudziłbym się na śmierć. Albo i nie, skoro do diabelskiego teamu dołączyła Alma. Chryste, ta to dopiero ma pomysły! Zagrała w kółko i krzyżyk, stawiając ten drugi na Bogu ducha winnym Ninie. Wymyśliła zabawę w „odjemy Nina”, a co tam, a nuż nikt nie zauważy. Może nawet jemu umknie fakt, że został wyeliminowany. Alma jest sędzią. Ja katem. I co? Nie pobawię się? Sam nie znoszę, gdy ktoś podważa zajebistość moich pomysłów. To zabija kreatywność. Podcinać skrzydła, krzywić się, z zapalem i trwogą wykrzykiwać: „Zwariowałaś, ty mała, szurnięta głowo?!”. Kto tak robi? Na pewno nie ja. Chciałem pobawić się po mojemu. Grzecznie, z klasą. Krztuszę się ciastem. Pojechać do Selvaggiów, ugrać coś bez łez i ofiar, ale nie, Alma wymyśliła coś innego, więc idźmy w to tango i hej!

Tylko najpierw zjem ciasto. Przysmak zrobiony przez miłą Alnę. Ludzie, którzy mają coś z głową tak robią. Najpierw proponują zabawę w uśmierćmy przypadkową osobę, a potem coś im odważa i wycofują się rakiem. Alma od rana zarzuca mnie smakołykami, „pieprz mnie mocno” słówkami, bo... „Odwidziało mi się, Mephisto”. To jej słowa. Korzystam z tej przystępniejszej odsłony jej osobowości, bo panna cotta i ravioli były pyszne, i nie wspominam, że to, co się odwidziało, już się zadziało. Spotkałem się z Ninem, gdy spała.

Dzień spędzamy w katańskiej rezydencji. Przyjechaliśmy w środku nocy, bo Alma, słysząc, że wyruszam w jej rodzinne strony, ani myślała odpuścić. Ekscytacja rozsadzała mały, zbkikowany łeb i tak długo wierciła mi dziurę w brzuchu, aż w końcu uległem i zabrałem ją ze sobą. Zerkam na zegarek. Jeśli Serafino się nie pośpieszy, to podobnie jak jego stary zostanie poczęstowany ołowiem, a nie deserem prosto spod ręki najmilszej z najmilszych. I niech się piekło rozstąpi, Efesto miał rację, wspominając kiedyś, że słowa mają moc. O kurwa, ale on jest mądry. Na posesję wtacza się auto na miejscowych blachach. Sunie niespiesznie, jakby obwieszczając, że oto przybył Serafino Bommarito, król. Złych decyzji. Odrywam warstwę ciasta, tę najobrzydliwszą, posypaną gorzkim kakao. Wsuwam resztę i patrzę na wysiadającego z gracją baletnicy głąba. Rozgląda się dookoła. Ma skupiony wyraz twarzy i zmrużone oczy. Powstrzymuję śmiech. Na tym właśnie polega problem ludzi jego pokroju. Węszy podstęp tam, gdzie go nie ma. Z kolei w sytuacji, gdy naprawdę powinien wykazać się czujnością, opuszcza spodnie i pozwala się dymać. Ostro. Pokrętna logika. Bierny umysł. Lubię to.

– Niezła hacjenda – stwierdza z uznaniem, wspinając się na werandę. – Cześć. – Macha ręką jak dziewczyna, na co uderzam czołem o stół. – Jak coś, to moi ludzie są w aucie.

– No i? Mam ich zaprosić na ciasto, zapolować na nich, czy po jaki chuj o tym mówisz?

Serafino uśmiecha się cwaniacko.

– Nie jestem sam, w sensie bezbronny, więc nic nie kombinuj. To miałem na myśli.

– Też nigdy nie jestem sam, Serafino. Zawsze mam towarzystwo.

Rozgląda się i wzrusza ramionami, gdy nikogo nie zauważa.

– Do rzeczy. Mów, co cię do mnie sprowadza.

– Chcę się z tobą dogadać po przyjacielsku. Jeśli dasz mi dostęp do portu, zdradzę ci sekret.

– W tej kolejności? – Śmieję się kpiąco. – Odpada. – Zakładam ręce na piersi.

Bez względu na to, czy jego tajemnica mnie zainteresuje, i tak pragnę oddać mu dostęp do portu.

Dzięki takim ludziom jak on mogę dłużej bawić się w bezrobotnego. Mój umysł i praca jego rąk to przepis na sukces. Bycie zarobionym, a nie urobionym po łokcie.

Serafino chrząka i częstuje się kawałkiem ciasta.

– Smacznego – mówię grzecznie. Unosi głowę i przygląda mi się podejrzliwie. Odsuwa od siebie talerz.

– Jednak nie mam ochoty. Zatrute, tak?

– Widać, że w ogóle mnie nie znasz. Otruć przyjaciela? Za kogo mnie, kurwa, masz?

– A jesteśmy przyjaciółmi? – Gołym okiem widać, że się rozluźnia. W wyobraźni już pewnie biega ze mną po łące. Pożyczamy sobie siatkę na motyle, łapiemy je, a potem wspólnie wrywamy im skrzydełka. Ocieram niewidoczną łzę. Moc pierdolonych wzruszeń.

– A nie? – Wybałuszam gały. – Powiedziałaś, że chcesz się dogadać po przyjacielsku. – Zawiedziony opuszczam ramiona. – Założyłem, że nimi jesteśmy. Może na wyrost – dodaję ciszej, ale w moim wnętrzu rozgrywa się prawdziwa impreza. Ostrzę widły w rytm dudniących basów.

– Nie, spoko, też tak sądzę. – Rozluźnia się. – Dlatego chcę się dogadać, bo wiesz, nie przychodzę do ciebie z niczym. Nie oczekuję prezentów czy przysług – zapewnia, więc cóż, daję się nabrać. Wierzę mu. Przyrzekam. Słowo Diabła. – Sprawa ma poniekąd związek z twoim bratem.

– Którym?

– Z Erosem.

Kamienna twarz, kamienna twarz. Powtarzam to niczym mantrę.

– Byliście sobie bliscy, mimo że zupełnie różni – oznajmia, więc śmieję się, nie chcąc, by zorientował się, że wkracza na grząski grunt. – Mam na myśli charakter – dodaje.

– Taa i co z nim? Co z Erosem? – rzucam od niechcenia.

– No i on miał przyjaciela. Byli nierozłączni. Pamiętasz go?

– Niestety nie. – Rozkłada bezradnie ręce, a Serafino sapie. Najwidoczniej nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Nie pamiętasz Spirito z rodziny Beneventano?! – unosi się. – Przecież nie raz spędzaliśmy wspólnie czas. No, kurwa. Jego starzy byli zafiksowani na jego punkcie, chcieli, żeby został lekarzem. Udzielał nam lekcji z anatomii, krojąc padlinę i śmiał się jak Frankenstein, gdy wyciągał mózgi. Jak można nie pamiętać tego pato-zjeba?! – Pstryka palcami, jakby wpadł mu do głowy genialny pomysł. – Pociął cię skalpelem, gdy spaliłeś Erosowi łuk. – Zrywa się z krzesła i łapie mnie za nadgarstek. – Gdzie ten ślad? – pyta zdziwiony. – Wyciął tyle mięcha, a nie ma żadnej szramy.

Wstaję i unoszę koszulkę, pokazując szeroką bliznę na brzuchu.

– Już wiem, o kim mówisz. Chętnie zatańczyłbym na jego grobie – zapewniam. Chryste. Pieprzony Serafino. – Pociął mi brzuch, a nie rękę. Kurewsko bolało.

– Mógłbym dać sobie głowę uciąć za to, że była to łapa.

– No i widzisz, nie miałbyś łba – kwituję.

– Ja już odprawiłem taniec radości na jego mogile. – Uśmiecha się znacząco.

Opieram czoło o chłodny blat. W chwilach takich jak ta nie mam pewności, czy potrafię dobrze zamaskować chęć mordy.

– Za to, że wyciął mi literę „S” na skroni.

Leniwie unoszę głowę.

– Każdy myśli, że to pierwsza litera mojego imienia. Tyle dobrego. Szczęście w nieszczęściu. Trochę krzywo mu wyszło, ale był jakiś rozdygotany. – Parska śmiechem.

– Też sądziłem, że to „S” oznacza Serafino, a nie Spirito – mówię, o dziwo, szczerze. – Kiedy ci to zrobił?

– Podczas wojny między naszymi rodzinami. Lubiłem go, a on wyciął mi taki numer. A raczej

taką literę. – Ewidentnie stara się mnie rozbawić, więc co, nie zaśmieję się? Wybucham śmiechem. – Kilka chwil przed śmiercią. – Wygląda, jakby intensywnie nad czymś myślał, aż w końcu dodaje: – Jeśli rozmawiamy jak przyjaciel z przyjacielem, to powiem ci, że czasem zastanawiam się, dlaczego po prostu nie wbił mi skalpela w czachę, a jedynie naznaczył. – Klaszcze i potrząsa ramionami. – No, ale to pytanie bez odpowiedzi, bo duchy nie mówią. A biorąc pod uwagę, że Spirito oznacza „duch”, wydaje mi się to wyjątkowo zabawne. Cała rodzina Beneventano w piachu. Bommarito górą. – Unosi pięść w geście zwycięstwa.

– Ty go zabiłeś? – Robię z palców rogi.

– Nie. Nasz człowiek, Mariano, o ile dobrze pamiętam. Zastrzelił go, zakopał i...

– Chciałbym go poznać. Uścisnąć dłoń – oznajmiam bez większych emocji, ale wszystko aż we mnie dygocze.

– Nie dałeś mi dokończyć... Zastrzelił, zakopał i wkrótce potem zniknął. – Robi minę, jakby nie ogarniał. – Szukaliśmy go, ale rozplątał się w powietrzu. Olać. – Niedbale macha ręką. – Lokalizacja grobu Spirito w zamian za dostęp do portu.

Kręcę łbem, rozciągam mięśnie.

– Ty naprawdę sądzisz, że jestem aż tak pojebany, by chcieć zatańczyć na grobie typa, którego ledwo pamiętam?

– Obaj wiemy, że tak. – Przekrzywia głowę. – Jesteś.

Wybucham śmiechem.

– Dobra, tu mnie masz. – Wystawiam rękę. Serafino przybija mi piątkę. Dużo mnie to kosztuje. Wkładam całą siłę woli w to, żeby go nie złapać, nie przyciągnąć i nie skręcić mu karku. – To jednak za mało. Jednonocna rozrywka. Chcesz skorzystać z portu raz?

– Nie, no wiadomo, że stale.

– Właśnie. Wobec tego nie jestem zainteresowany. Zjedz ciasto i sio. – Stawiam wszystko na jedną kartę i go odganiem. Oby, kurwa, nie uniósł się honorem i nie poszedł w pizdu. Oby, oby. Zaciskam kciuki pod stołem.

– To czego jeszcze chcesz? – jęczy.

– Czterdzieści procent twojego towaru. Z każdego załadunku.

– Masz mnie za debila?

– Jeśli nie skorzystasz to tak, będę cię za niego uważał. Teraz, nie mając dostępu do portu, twój zysk to zero – stwierdzam fakt. – Uczciwa wymiana.

– Trzydzieści dla ciebie – targuje się.

– Pięćdziesiąt.

– Chyba kpisz. – Wstaje od stołu. Najgorzej. Zmierza w stronę schodków, ale po chwili przystaje i się odwraca. – Dobra, kurwa – sapie sfrustrowany. – Muszę zacząć zarabiać, bo te organizacyjne składki mnie wykończą. – Wystawia rękę w moją stronę.

– Lokalizacja grobu?

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciąga karteczkę. Potrząsam jego dłonią na znak przypieczętowania piekielnie dobrej umowy i przygryzam usta, żeby tylko nie wygiąć ich w uśmiechu.

– Niepotrzebny ci mój krwawy odcisk? – pyta i od razu sobie odpowiada: – A, nie, przecież już go masz. – Uderza się w czoło. – To tamto skreślisz i wpiszesz nowe ustalenia, czy po prostu zapamiętasz, co aktualnie uzgodniliśmy, a resztę puścisz w niepamięć?

– Taa. Jedno z dwóch.

Serafino wzrusza ramionami, jakby było mu to obojętne. Wyjeżdżając z terenu posesji uchyla szybę i energicznie macha. Jest naprawdę szczęśliwy. Serce rośnie, gdy ma się szansę zrobić dla kogoś coś miłego.

Alma rozsuwa tarasowe drzwi i wystawia głowę na zewnątrz.

– Myślałam, że już nigdy stąd nie pojedzie – burczy. – Chcesz dokładkę? – Wychodzi na werandę. – A może zrobić ci masaż głowy?

Troskliwa Alma. Wybucham gromkim śmiechem.

– Czego chcesz?

– Od razu, że czegoś chcę. – Przewraca oczami i wskakuje mi na kolana. Wierci się, natrętnie ociera tyłkiem. Nie spuszcza ze mnie wzroku, gdy robi tę swoją niewinną minę. – Czyli ogólnie jesteś zrelaksowany? – pyta głupio.

– Jak zawsze.

– Czyli niezbyt?

– Zbyt. O co ci, kurwa, chodzi?

– Mogę jechać z tobą do rodziny Selvaggio?

Wiedziałem.

– I po co do nich jedziesz, skoro powiedziałam, że to nie od Etny dowiedziałam się o wyspie? Od Nina też nie. To mi się po prostu przyśniło. Moja babcia miała taki dar. Mam to po niej najwidoczniej.

– Przestań, duszyczko. Mówiłem ci, że powinnaś mi ufać. To wciąż aktualne.

– Czyli nie zrobisz nic mojej siostrze ani Ninowi?

– Nie lubię się przemęczać. Spokojnie – pocieszam ją, więc nie mam pojęcia, dlaczego wygląda, jakby miała się rozbeczeć. – Nie zrobię więcej niż jest konieczne, by uzyskać to, czego pragnę. – Gładzę dłonią jej zimne udo. – Możesz jechać ze mną pod warunkiem, że poczekaś w aucie. Chwilę pobawię się z nimi, a potem z tobą. Ty i ja. Ciemna noc, niebo pełne gwiazd, pohukiwanie sowy i my, tacy, kurwa, zakochani. – Śmieję się cicho.

– Zapraszasz mnie na randkę? – Jej oczy błyszczą jak te gwiazdy, o których wspomniałem. – Na imprezę?

– Taa. Będziemy najgorętszą parą w towarzystwie. – Całuję ją. Od razu oddaje pocałunek, zapominając o tym, co ją trapi. Cząstka romantyka to coś, co się ma albo nie. Moja babcia była romantyczką. Odziedziczyłem to po niej najwidoczniej.

– Czasem czuję taką miłość do ciebie. – Odrywa usta od moich i unosi ręce, zataczając nimi duży okrąg. – Tak wielką, że mam wrażenie, że wyzionę ducha. – Muska moje wargi. – Ale to czasem. Nie non stop. Dlatego jeszcze żyję. – Chichocze.

– Mam podobnie. – Szczerzę się. – Niekiedy z tej miłości mam ochotę skrócić ci kark. – Przejeżdżam językiem po najbardziej pulsującym miejscu na jej szyi. Alma odchyła się i wczepia palce w przód mojej koszulki. Wzdycha cicho, gdy wsuwam rękę pod jej sukienkę i przyciskam ją do wilgotnych, koronkowych majtek.

– I co jeszcze masz ochotę mi zrobić? – podpuszcza mnie. Nie wie, co robi. – Tylko uprzedzam, że wciąż jestem obolała – dodaje asekuracyjnie.

Gwiżdżę, chcąc przywołać Erosa, ale jedynym, który przybywa, jest pieprzony Gallo. Wparowuje na taras z naręczem kwiatów i starannie zapakowanym prezentem. Kokarda zasłania mu pół gęby. Wyciągam rękę spod sukienki Almy, na co marszczy nos niezadowolona i ogląda się za siebie. Potem patrzy na mnie, przybliża się i szepcze:

– Nie lubię go. A ty?

– Taa. Postawimy na nim krzyżyk? – Kręci głową z niedowierzaniem i schodzi z kolan.

– Ktoś ma dziś urodziny? – pyta Alma, przeskakując wzrokiem między mną a Gallem. – Pięknie zapakowane – zachwyca się.

– To prezent dla twojej siostry – informuję. Alma uśmiecha się szeroko, jakby spodobało jej się to, co usłyszała. – Nie wypada składać wizyty bez подарunku. Takie są zasady. – Odchylam się na oparciu krzesła, a Gallo zaciska usta, zapewne hamując śmiech.

– A co jest w tej torbie? Mogę zerknąć?

Ciekawska z niej dusza.

– Nie – odpowiada Gallo, wykrzywiając twarz w grymasie. – Wiesz, ile wysiłku kosztowało mnie efektowne zapakowanie? I to specjalnie palermiańskiej kuchni, Ozorro Ninorro.

Wybucham śmiechem. Wymyślanie nazw. Gallo robi to dobrze.

– To bardzo miłe. To co? Lecę się szykować. – Alma podekscytowana zaciska kciuki. – A mogę w czasie, kiedy będziesz składał wizytę, pójść na targ? – Jej głos przepełniony jest nadzieją. – Znam okolicę jak własną kieszeń. Chcę kupić nowe bransoletki. – Potrząsa tymi, które ma na nadgarstku.

– Pewnie...

– Super. – Podskakuje z radości. – Sama, tak? Nie zgubię się, ani nic. Pójdę, wybiorę, kupię i wrócę. Mam tam ulubiony stragan, dużo różnych świecidełek, które wprost uwielbiam.

Za dużo słów. Wiecznie nawija jak nakręcona, gdy coś kombinuje.

– A jak wolisz? – Zadanie tego pytania to najprawdziwsza przyjemność, a tej nie mogę sobie odmówić.

– Wolałabym z Gallem – Alma jest cwana, ale to ja jestem Diabłem – ale wiadomo, nie chcę, żeby się fatygował. – Taka z niej dobra dusza. – Oczywiście mężczyźni nie przepadają za zakupami, a ja bywam na nich bardzo męcząca. Coś głęboko w środku – kładzie rękę na piersi – każe mi wykazać się zrozumieniem i dobrym sercem. – Uśmiecha się niewinnie. – Niech stracę. – Macha niedbale ręką.

– Skoro wolisz z Gallem, to chętnie dotrzyma ci towarzystwa – mówię. Oboje sapią. – Postanowione. Wyjeżdżamy za dziesięć minut. Sio. – Przeganiem ją ruchem dłoni.

Wyruszamy dwoma autami. Pancerni zajmują tylną kanapę mojego wozu, a Alma z ociąganiem typowym dla ludzi, których misternie uknuty plan wziął w łeb, wsiada do samochodu Galla. Założyła buty na obcasie, zapewne mając na uwadze zaproszenie na późniejszą randkę. Mogłem zasugerować kalosze, bo o tańcu na mogile Spirito nie ma mowy. Nie, bo to on dał mi życie. Dar, za który nie zdążyłem się odwdziaczyć. Nigdy też nie uzyskałem informacji dotyczących tego, kto go zabił. Aż do dziś. Mariano. Kimkolwiek jest, łąduje na liście osób do odjebania. Nie starczy mi życia, żeby zapolować na nich wszystkich, ale zemszczę się choćby zza grobu. Daję słowo. Kiedy rozpętała się wojna między rodziną Beneventano a klanem Bommarito, Spirito miał czternaście lat. Nie mieli szans wyjść z tego starcia cało. Byli na to zbyt eleganccy. To ich zgubiło.

Moim zamiarem nie jest potwierdzenie tego, co oczywiste. Jego śmierci. Jeśli istniałby cień szansy, że chodzi po tym świecie, Serafino nie byłby taki spokojny. Nawet on wie, że zemsta to spóźnialska suka. Swoją trzymam na uwięzi od dwunastu lat. Wkrótce spuszczę ją ze smyczy. Jest wściekła, szalona i zła. Trzeba się jej bać. Wzdrygam się, czując narastającą ekscytację. Oddycham głęboko. Suka warczy, gotowa rozszarpać każdego, kogo wskażę palcem. Tik-tak, kurwa. Bim, bam, bom.

Śmieję się w głos, przystając przed wjazdem na teren rezydencji Selvaggiów. Patrząc w kamerę i przykładam palce do skroni. Brama od razu zaczyna się przesuwac. Przecieram ze zdumienia oczy. Trę i trę, ale obraz się nie zmienia. Oni są tacy gościnni. Radością napawa ich fakt, że mnie zobaczą. Ale miło! Dodaję gazu, zanim się rozmyślą, i parkuję na podjeździe. Tylu ludzi dookoła! Tyle osób, które najwidoczniej nie mogły doczekać się, aż mnie zobaczą! Są wszędzie. W ogrodzie, na werandzie, przy każdym możliwych schodach, otaczają samochód i przez moment, krótką, kurwa, chwilę mam szansę poczuć się jak najprawdziwszy celebryta. A nie jak Diabeł prosto z piekła. Potrząsam głową, sięgam po powitalne fanty i wysiadam z auta. Szczerzę się do zgromadzonego tłumu, ale nikt nie odwzajemnia uśmiechu. To niesympatyczne. Niemal czuję, jak opadają mi rogi. Niektórzy są tacy, kurwa, podli. Ha. Zmierzam ku drzwiom wejściowym i wykrzywiam gębę, bo średnio ogarniam tę szopkę. Taka armia, żeby powitać jednego, niepozornego Diabła? Czy ja jestem jakiś nieobliczalny, szalony, ewentualnie mocno jebnięty? Uzbroidli się, jakby przyjechało zło wcielone, a przecież to tylko ja. Zwykły Diabeł.

– Ja czy ja? – zadaję sobie pytanie. – Ja – odpowiadam. – *Nie, bo ja* – kłócę się sam ze sobą.

Gość, który do tej pory szedł ze mną ramię w ramię, postanawia dać mi jednak trochę przestrzeni i zostaje w tyle. Wzruszam ramionami. Po co mi jego towarzystwo, skoro mam własne? Słyszę przeładowywanie broni. Och, ponuracy. Rząd niewesołych dusz.

Przekraczam próg. Auro i Aris, niczym cienie, podążają za mną. Ludzie Efesta gestem nakazują kierować się na górę, co postanawiam uczynić. Wspinam się po schodach, by za moment wybałuszyć gały, bo jakiś tasmański diabeł pędzi na łeb, na szyję i przemyka obok z prędkością światła. Obstawiam, że zaraz rypnie i skreśli ten mały, chudy kark, więc przystaję, by popatrzeć. Mamy to, płacz i lament.

– Moje kolana! – biadolili dziewczynka. – Rajstopy podarte!

– Mogłeś ją złapać. – Typ w na oko o kilka rozmiarów za ciasnym garniturze zwraca się do mnie tonem przepełnionym pretensją.

– Ja czy ja? – pytam. – Chciałbyś być przeze mnie złapany? – Robię z palców rogi. Nie uzyskuję odpowiedzi. – No właśnie.

U szczytu schodów czeka reszta komitetu powitalnego. Nie mam wątpliwości, że właśnie to piętro zajmują młodzi państwo Selvaggio. Drą ryje, aż miło. Przekraczam próg gabinetu. Jeden diabelski krok i nastaje cisza. Efesto stoi oparty o biurko. Wygląda, jakby ktoś podpiął go do prądu. Każdy włos sterczy w inną stronę. Sapie jak lokomotywa, rozgrzany do czerwoności. Małżeństwo mu, kurwa, służy.

– Cześć, siadaj – rzuca Efesto, wskazując na skórzaną kanapę. Przeciera twarz dłonią. Już kiedyś zauważyłem, że gdy tak robi, jego oblicze się zmienia. Teraz wydaje się opanowany, ale kogo on chce oszukać? Diabła? Otwiera usta, jakby chciał coś dodać, ale Etna go uprzedza.

– Hej, Mephisto. Jak minęła podróż? – pyta głupekowato.

Efesto zaciska pięść i przystawia ją do ust. Sprawia wrażenie człowieka, który ma ochotę pożreć rękę tylko po to, żeby nie przygrzmocić w czyjś dumny łeb.

– Zamilcz, kotku – syczy przez zaciśnięte zęby. – Przejdźmy do rzeczy, Mephisto. – Przeczesuje włosy palcami i zajmuje miejsce na ustawionym naprzeciwko mnie fotelu. – Zawracasz mi dupę, bo coś tam, ktoś tam. – Uśmiecha się pod nosem. – To jest poważne?

– A, bo ty uważasz, że jestem poważny. Dobrze zrozumiałem? – Też się uśmiecham. W pomieszczeniu unoszą się opary niczym niezmaconej radości i harmonii.

– Powiedz wprost, w co pogrywasz i co chcesz osiągnąć. – Patrzy na mnie pobłaźliwie. – Postaram się dostosować do twojego poziomu ogarniania rzeczywistości.

– Inaczej. To ja dostosuję się do twojego. Wspinanie po schodach męczy bardziej, niż schodzenie. Oszczędzę ci wysiłku. Skup się na konsekwencjach. Szczyty zdobędziesz później.

Efesto się śmieje. Żyła na jego skroni pulsuje.

– Konsekwencje wynikające z zawracania mi dupy. Czy tym razem ja dobrze zrozumiałem?

– Nie. Źle – kwituję. – Skutki kłapania jadaczką, Efesto. Efekty, następstwa, rezultaty. Co ci będę tłumaczył, kochasz je wszystkie. – Szczerzę się. – Jako świeżo upieczony, usłużny posłannik naszej matki, Omerty – kładę rękę na piersi – ten, któremu przypadła niegodziwa rola, niesienia złych wieści, uroczystie oświadczam, że mamusia płacze. Dostała w pysk. – Rozkłada bezradnie ręce.

– Tak, słyszałem. Ktoś tam, coś tam. – Efesto idzie w zaparte, więc robię to samo. Uczę się od najlepszych.

– Konsekwencje będą jak zimny okład na stłuczony policzek naszej matki – oznajmiam.

– Skupmy się na faktach. – Pewny swego, rozkłada ręce na oparciu fotela. – Popartych dowodami – dodaje.

Etna. Niezbity, nerwowo krążący po gabinecie dowód. Obaj o tym wiemy. Nie sądziłem, że nadejdzie czas, kiedy Efesto będzie udawał głupiego, byle tylko ochronić jej dupę. Świat się kończy.

– Efesto, Efesto. – Chowam twarz w dłoniach. – Dopadło cię to. Ta w kurwę wyzerająca mózg choroba.

– Jaśniej.

– POMIDOR. – Śmieję się i unoszę ręce. – Dobra, zapomniałem, że mam się bawić nie w doktora, lecz w gościa stojącego na straży zasad. – Kręcę łbem. – Dam ci niezbity dowód na to, że pewne słowa się rzekły – mówię, na co mruży oczy i zerka na Etnę, drapiąc się po skroni. – A potem omówimy resztę.

– Jaśniej.

– Sposób zapłaty za lekcję. – Wzruszam ramionami. Czy to nie oczywiste?

– Jaką, kurwa, lekcję? – unosi się.

– Hiszpańskiego. – Puszczam oczko do Etny. – Samo: „Dziękuję” mi nie wystarczy – uprzedzam. – Nawet gdy wiem, że cierpisz katusze, rozdarty między przyrzeczeniem miłości a przysięgą złożoną organizacji. Może właśnie dlatego. – Rozprasza mnie ta pulsująca na jego skroni żyła. Potrząsam głową. – Nie jesteś lepszy ode mnie. Ja nie jestem lepszy od ciebie. Jesteśmy równi. Ale dziś to ja będę górą. Wykorzystam twoją słabość.

Efesto uderza pięściami w stół jak największy frustrat.

Nie odwiedzam go codziennie. Na palcach jednej ręki mogę zliczyć, ile razy postawiłem nogę w jego domu. Skoro tu jestem, to w konkretnym celu. Nie macham diabelskim ogonem nadaremno. Efesto ma coś, czego pragnę. Przyszedłem mu to zabrać. Tyle i aż.

– Zaczynaj. – Macha nerwowo dłonią.



Wstaję i chrząkam teatralnie. Nie wiem, w jakim celu to robię. Wszystko mi się już pierdoli. Strażnik zasad, posłannik Omerty, teraz, kurwa, krupier rozdający karty. Przyznaję, bycie kreatywnym czasem rozsądza czachę.

– Pora na prezenty – mówię radośnie i sięgam po starannie zapakowany podarunek. – Proszę, to dla ciebie. Zasłużyłaś.

Etna waha się i zerka na Efesta, który kiwa głową. Odbieram to, jako: „Dalej, śmiało. KOTKU”. Ona najwidoczniej również tak to rozumie, bo w końcu podchodzi i zabiera pakunek z moich rąk.

– To miłe – rzuca krótko. – Ale nie trzeba było. Co to? – Uśmiecha się lekko. Jej policzki wiecznie są wściekle czerwone. Gorąco mi od samego patrzenia. Na szczęście na horyzoncie majaczy widmo ugaszenia tego żaru potokiem łez. Nie jest źle.

– Drobiazg. Dosłownie. – Przykładam palce do skroni.

Etna rozwiązuje kokardę. To, co tam znajdzie to „złoto”, starannie zapakowane przez złotko. Chwila napięcia, ekscytacja rozsadzająca mi łeb i mamy to! Chociażby dla tego widoku warto było się tu pofatygować.

– Co to jest? – pyta Efesto. – Pokaż. – Gestem nakazuje jej podejść.

– Nie wiem, coś obrzydliwego. Nie zamierzam więcej dotykać tej torby. – Krzywi się z obrzydzeniem.

Efesto wzdycha i podchodzi do biurka, na którym położony jest prezent. Zerka do środka. Na jego twarzy zauważam cień uśmiechu, ale szybko go maskuje.

– To język, Etno – stwierdza rzeczowo i siada z powrotem w fotelu. Przygląda mi się, jakby nie do końca rozumiał, w co się bawię. Po kolei.

– A do kogo on należy? – Etna się wzdryga.

– Należał. Czas przeszedł, skoro jest w torbie, a nie w gębie. Wiesz, jak jest po hiszpańsku język?

– zadaję jej pytanie. Sprawia wrażenie zdezorientowanej.

– Nie. – Patrzy nieufnie.

– A znasz kogoś, kto pomógłby mi podrasować znajomość hiszpańskiego?

Efesto wybucha śmiechem. Już zajarzył. Etna ma minę, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią. Szkoda, że wcześniej nie wykazała się zdolnością myślenia.

– Jedyna osoba, jaka przychodzi mi na myśl, to Nino. Mój przyjaciel. – Unosi kciuk. – Zapytam, czy życzy sobie, żebym podała kontakt do niego. Nie ma problemu.

– I myślisz, że co odpowie? – pytam.

– Tego nie wiem.

– A ja wiem. – Szczerzę się.

– Ja niestety też. – Efesto przeciera twarz ręką. – Nic. Nic nie odpowie. To język Nina, Etno.

Nie sądziłem, że to możliwe, ale jej twarz robi się jeszcze bardziej czerwona. Efesto z trudem hamuje śmiech. Pewnie zorientował się w regułach gry. Jeśli nie, a cieszy się jak pojebany, to znak, że z nim również jest coś nie tak. Opcja druga: ma radochę, naiwnie sądząc, że Etnie się upiekło. Może odnosić wrażenie, że ciachnąłem pierwszemu lepszemu jęzor i po sprawie. To tak nie działa. Nie takimi zasadami kierujemy się w piekle.

– To niemożliwe – sapie z przejęciem Etna. – Po prostu nie mogę w to uwierzyć – ponowne sapnięcie. – Dlaczego to zrobiłeś? Nie, to nie może być prawda. – Nabiera powietrza. – Nie miałeś powodu. Na pewno nawet nie widziałeś się z Ninem. Chcesz mnie tylko nastraszyć. – Oddycha coraz szybciej. – Efesto, zrób coś! – piszczy.

– Niby co? Nie jestem chirurgiem. Nie potrafię nawet zacerować skarpetki. – Wzrusza ramionami. – Dobra. Winny mielenia jęzorem ukarany. – Rozkłada ręce. – Tak jakby żegnam? – Co za gość! Zero wyrzutów sumienia, że niewinny typ stracił język. Najważniejsze, że ta papla, jego, kurwa, żona, ma się świetnie.

– Tak jakby nie do końca, Efesto, bo jeszcze nie skończyłem – syczę. Spinają mi się mięśnie karku, a to zły znak. Kręcę głową, chcąc je nieco rozluźnić. – Twój przyjaciel, zanim został ukarany za nietrzymanie gęby na kłódkę – zwracam się do Etny – za to, że zdradził Almie, co wydarzyło się pamiętnej – mrugam do niej – nocy na wyspie, powiedział mi jedno, bardzo mądre zdanie. – Uśmiecham

się lekko. – *El silencio es oro*<sup>2</sup>. – Etna zaczyna płakać. – A więc jak, widziałem się z nim czy nie? – pytam chłodno.

– Boże, Nino. – Etna obejmuje torbę prezentową. Obrzydzenie zawartością odeszło w niepamięć.

– Boże – powtarza. – Jak mogłeś, Mephisto?! – wrzeszczy, trzęsie się, zaciska pięści.

– Idź stąd – warczy Efesto.

On. Mówi. Do. Mnie.

Och, kurwa, chyba będziemy ganiać się po gabinecie. Może nawet szarpać. Walczyć na noże i strzały. Któryś z nas straci życie. Mam ciary! Zapowiada się piekielnie dobra zabawa!

– Nie pójdę. – Krzyżuję ręce na piersi. – Zapnę się nogami, rękami, zahaczę rogami o nogę stołu. Takie tam – wymieniam.

– Już dawno chciałam ci to powiedzieć... – Etna nabiera powietrza i patrzy na mnie z nienawiścią. – Jesteś pierdolnięty! Nawet nie zadałeś sobie trudu, żeby dowiedzieć się, kto wypaplał to Almie! – Drży jej broda.

– Milcz, kurwa! – krzyczy Efesto. Typowe włoskie małżeństwo. Ostrzę już widły. Macham ogonem. Niemal widzę, jak coś w Etnie buzuje. Lava czy inny chuj. Zaraz usłyszę to, na co czekam.

Trzy, dwa, jeden...

– Ja powiedziałam wszystko Almie! – Gestykuje jak opętana. – A ty zrobiłeś to – wskazuje na torebkę – to – jąka się – Ninowi! Jesteś podły. Nienawidzę cię!

Efesto uderza rękami w blat stolika. Przeskakuje wzrokiem między mną a Etną. Wygląda, jakby nie wiedział, kogo udusić w pierwszej kolejności. Nie poddam się bez walki!

– Już się zbieram. – Unoszę asekuracyjnie ręce. – Którędy do gabinetu twojego ojca? – Idę w stronę drzwi. – Nic się u was nie zmieniło? Nadal to on jest osobą decyzyjną w waszej rodzinie?

Efesto zrywa się z fotela. Sprawia wrażenie osoby niespełna rozumu, gdy wykrzywia twarz w trudnym do zidentyfikowania grymasie. Podbiega do drzwi i przytrzymuje je, uniemożliwiając mi wyjście. Zerkam na Etnę, następnie na niego. Udana para. Najpierw: „Nienawidzę cię, jesteś pierdolnięty, idź stąd”, a teraz: „Nie możesz stąd wyjść, jesteś super, zostań”. Łapię za klamkę, udając, że mocuję się z drzwiami. Sapię, przecieram wyimaginowany pot z czoła, żeby dodać chwili odrobiny dramatyzmu.

– Przestań – warczy Efesto. – Obaj wiemy, że nie masz zamiaru iść do starego. Mów, czego chcesz. Co ma na celu ta szopka?

– Skoro nalegasz, to powiem. Mam dla ciebie propozycję – oznajmiam, a on mruży oczy. – Nie do odrzucenia. – Unoszę palec. – Zasady są święte. W waszej rodzinie szczególnie ważne. Twój ojciec jest starej daty. Jeśli dowie się, że Etna znieważyła naszą matkę, nie będzie łaskawy.

– Do sedna.

– Wiszę ci przysługę – zaczynam, a Efesto uderza łapą w ścianę. – Tak, wiem, jesteś sfrustrowany. Też byłem, gdy dwa lata temu tak mną zakręciłeś, że przez moment zapomniałem, jak się nazywam. Dałem się wrobić w pieprzony dobry uczynek. To się, kurwa, nie miało prawa wydarzyć! – wrzeszczę mu do ucha. – Czekałem na odpowiedni moment – rozkładałem ręce – i jestem. Zawsze przychodzę po to, co moje. – Puszczam oczko do Etny, na co się wzdryga. – Wnioski?

– Nie masz wobec mnie żadnego zobowiązania. Nie wisisz mi już żadnej przysługi.

– Taa. Nie odebrałem jej podstępem. Ja wam ją wyświadczyłem. Ofiarowuję ci życie, Etno. – Wznoszę ręce jak prorok. – Uczciwa wymiana.

– Idź już. Mówię poważnie. – Efesto macha ręką. Wygląda na... mówiącego poważnie. Lękam się go, gdy jest w takim stanie. Lekko niestabilny, z rozbieganym wzrokiem, w którym tli się chęć mordy. Zabić kolegę? Kto tak robi? Kiwam głową i wychodzę, a za mną Auro i Aris.

Wpadam na tą małą, która mijala mnie na schodach.

– Podśluchiwałaś? – pytam, mimo że odpowiedź jest oczywista.

– To mój dom. Mogę w nim robić, co chcę. – Uśmiecha się psotnie i pochyla. Masuje kolana, zataczając na nich kółka. – Trochę szczypią – informuje, naiwnie sądząc, że mnie to obchodzi.

Zbiegam po schodach. Dziewczynka dotrzymuje mi kroku.

– Takie są konsekwencje bycia pokraką – rzucam w przestrzeń. – Szczypiące kolana, obtarte

łokcie, skręcony kark...

– To prawda, proszę pana.

– Wiesz w ogóle, czym są konsekwencje? – Patrzę na nią z powątpiewaniem. Nie odpowiada. Nie wie. Mnie za to znudziła się już zabawa w nauczyciela, więc nie zamierzam jej uświadamiać.

Wychodzimy na zewnątrz. Dzieciak ani myśli odpuścić. Biegnie za mną niczym kolejny cień, nachalny, pancerny, niezdarnie potykając się o własne nogi. Odprowadza mnie na podjazd, a gdy przystajemy przy aucie, nie wierzę w to, co widzę. Karoseria od strony kierowcy jest porysowana. Długa, głęboka krecha.

– Ty to zrobiłaś?

– To nie ja. Jeśli byłaby to moja sprawka, na pewno bym pana nie odprowadzała. Bałabym się konsekwencji. – Przesuwa palcem po rysie. – Zepsute. – Wzrusza wątlymi ramionami.

– Wiem, że to ty. Widzę to w twoich oczach.

– Ktoś tam, coś tam – odpowiada. – Skupmy się na faktach. Popartych dowodami.

To dziecko mnie przeraża. Efesto koncertowo wyprał jej mózg. Rozglądam się, bo teren ich rezydencji naszpikowany jest kamerami. Mają hopla na tym punkcie. Na pewno jej niecny występek został uwieczniony.

– Kamery są tu, tu i tu. – Wskazuje. – Nie ma tu martwej strefy, dlatego wykasowałam nagranie dziesięć minut temu. Dziś Etna mnie nie uczesała, bo cały czas płakała i trzęsły się jej ręce. Lubię ładnie wyglądać na filmach. – Chichocze, a ja wytrzeszczam gały. Co więcej mogę zrobić? Przecież to tylko dzieciak. Niesforna dziewczynka. Miniaturowa psuja. Chryste. – Nazywam się Chiara Selvaggio. – Unosi hardo brodę. – Wiem, czym są konsekwencje, proszę pana. – Prezentuje szczerbaty uśmiech i ucieka w stronę domu.

Przez dłuższy czas tkwię w bezruchu, dopiero gdy słyszę trąbienie klaksonu, oglądam się za siebie. Przed bramą wjazdową stoi zaparkowany samochód. Gallo opiera się o maskę, a naprzeciwko niego stoi nie kto inny jak Nino, który miele swoim ozorro. Jestem zniesmaczony jego brakiem profesjonalizmu. Pancerni wsiadają do auta i wyjeżdżamy poza teren posesji. Ludzie Selvaggiów odprowadzają nas tęsknym wzrokiem, zapewne żałując, że wizyta dobiegła już końca. Od zawsze wiedziałem, że nie da się mnie nie lubić. Macham im na pożegnanie środkowym palcem. Też mam uczucia! Też już, kurwa, tęsknię!

Zatrzymuję się przy Gallu i uchylam szybę.

– I jak, Etna zadowolona z prezentu? – zagaja. – Od dziesięciu minut wydzwania do Nina. – Wskazuje na niego. – Nie wiedział, czy może już odebrać, czy jeszcze nie.

– Zaraz do niej oddzwonię – mówi Nino. – Może dzięki tej akcji w końcu zrozumie, że warto trzymać gębę na kłódkę. Pewnie była przerażona? A Efesto nie zorientował się, że to nie jest ludzki język? – dopytuje podenerwowany. – Mam nadzieję, że nie będzie miała mi za złe, że zgodziłem się wziąć w tym udział. – Drepcze w miejscu, jakby nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

On uważa, że miał wybór. Uderzam dłońmi o kierownicę, nie mogąc pohamować śmiechu. Nino. Ten to dopiero ma poczucie humoru. Wesoła z niego dusza. Widać, że wcale mnie nie zna. Czytanie między wierszami. Robi to źle. Spotykając się z nim w środku nocy na rynku, powiedziałem: „Masz trzy minuty, żeby wymyślić, jak uchronić dupę Etny przed konsekwencjami”. Odebrał to jako: „Zależy mi na życiu Etny tak samo, jak tobie”. Kurwa. Gdzie tu logika? Może zmyliły go te uronione przeze mnie łzy, niezamierzenie wytworzona atmosfera paniki i strachu? Tylko czekać, aż przypisze sobie wszystkie zasługi. Może jeszcze będzie próbował mi wmówić, że to on był pomysłodawcą tej genialnej zabawy? Nie bawię się tak!

– Więcej nie piszę się na zakupy z Alną – wtrąca Gallo. – Nie dość, że miała tylko dziesięć euro, z czego sześć rozdała potrzebującym – robi palcami cudzysłów w powietrzu – to jeszcze kazała mi stać w kolejce po jej przysmak, o którym niby marzy i śni, kanapkę z owczą śledzioną. – Wzdryga się. Ja zresztą też. – Fundnąłem jej. – Rozpiera go duma.

– Wow, stary, ty to masz gest. – Nino żartobliwie trąca go łokciem.

– Dobrze pół godziny stałem w ścisiku, w pełnym słońcu, żeby kupić to obrzydlistwo, które potem i tak wywaliła do kosza. „Odwidziało mi się, Gallo” – przytacza najpewniej jej słowa, bo wypowiada je

nienaturalnie wysokim, piskliwym tonem. Sam zresztą usłyszałem rano podobne stwierdzenie. – Biegała między straganami jak kot z pęcherzem, aż zakręciło mi się w głowie od podążania za nią wzrokiem, a potem... – Chrząka.

– Straciłeś ją z oczu, bo zrobiła cię w jajo – dokańczam za niego, na co niepewnie, ale jednak potakuje.

– Co ciekawe, gdy w końcu się pojawiła, to okazało się, że nic sobie nie kupiła, tylko tobie. – Wytrzeszcza gały. – Miła jakaś. – Jeszcze większy wytrzeszcz. – Podobno najważniejsze jest dla niej sprawianie małych przyjemności innym. – Uśmiecha się jak debil.

– I co mi kupiła?

Zadanie tego pytania to formalność. Wiedziałem, że coś knuje. Bransoletki, jasne.

– Cztery żyletki. Zwykle takie. – Wzrusza ramionami.

Taa. Zapach trupa wciąż unosi się w powietrzu. Sam już nie wiem, czy przetrzeć oczy, które aż szczypią od tego smrodu, czy zatkać uszy, bo ponownie rozlega się dźwięk klaksonu. Alma. Przestaję ją lubić. Niby najmilsza z najmilszych, a wciąż tkwi w aucie Galla i ani myśli się przesiąść, o wtuleniu, pokładaniu się na ukochanym nawet nie wspomnę. Chryste. Nasz związek z góry skazany jest na porażkę. Żartuję! Całkowicie mijam się z prawdą! Zaraz pomogę jej znaleźć drogę do piekła. Nie dlatego, że mam ciary, a na ramionach pojawia się gęsia skórka, gdy tylko pomyślę o jej zimnych, oplatających mnie udach. Po prostu też potrafię być miły. Ot tak. Bezinteresownie. Z miłości.

Trąbienie nie ustaje. Mała wścieklizna ani myśli odpuścić. Gallo uderza rękami o dach auta, chcąc zapewne dać jej do zrozumienia, żeby się opanowała. Jestem za. Na nic się to zdaje.

– Co jest, kurwa – warczę rozdrażniony i wysiadam.

– Pewnie chce, żeby już ją odpiąć – rzuca lekko Nino. Gwałtownie odwracam głowę w jego stronę, a gdy nasze spojrzenia się krzyżują, potrząsam łbem myśląc, że mam zatkałe uszy i źle, kurwa, słyszę.

– Co powiedziałeś? – Wolę się upewnić.

– On powiedział, że Alma prawdopodobnie chce, żeby rozkuć kajdanki, którymi jest spięta – tłumaczy tępo Gallo, mimo że pytanie nie było skierowane do niego.

Stukam w tylną szybę swojego auta, pokazując, żeby Auro i Aris opuścili pojazd.

Nabieram powietrza. Mam ochotę przymknąć powieki, złączyć palce, wejść w fazę niczym niezmaconego spokoju ducha, wsłuchać się w świergot ptaków, wyobrazić sobie szum górskiego strumyka. Wszystko, byle tylko nie brudzić dziś rąk. Umówiłem się na randkę, kurwa!

– Kto wpadł na ten wspaniały pomysł? – Zaciskam mięśnie szczęki. Zęby ocierają się o siebie, gdy wyginam usta w wymuszonym uśmiechu. – Kogo mam pomiziać diabelskim ogonem?

Gallo wymachuje chaotycznie palcem. Wskazuje na niebo, być może licząc na boski cud.

– Ja ją skułem – mówi pewnie Nino. – Nie jest to jakiś nowatorski, czy tam genialny pomysł. – Macha niedbale ręką. Ależ on jest skromny. – Raczej powszechnie stosowana praktyka, gdy w grę wchodzi radzenie sobie z dziewczynami La Mantide.

– Uwięziłeś moją duszę?

– Co? Nie. Tylko Almę. – Już w trakcie wypowiedzania tych słów na jego twarzy pojawia się zrozumienie.

Za późno, nie w porę i nie w czas.

– Widziałeś kiedyś, jak rozstępuje się piekło? – Rozkładam ręce i przymykam oczy. Czas mija i nic. – No rozstap się – warczę i uderzam stopą o ziemię. Gallo rechocze. – A w kurwę z tym! – Doskakuję do zdezorientowanego Nina. Łapię go za kark i ściskam, uderzając jego głową o maskę. Raz, drugi, trzeci. Wyrywa się i klnie, lecz zanim zdąży zareagować, w pełni ogarnąć, w co się bawimy, Auro zarzuca mu worek na łeb, a Aris skuwa jego ręce i pakują go do bagażnika auta, w którym siedzi Alma.

Gallo rechocze, z trudem łapiąc oddech.

– O rety – wydusza. – On serio czekał, aż piekło się rozstąpi, czy co, że był taki zaskoczony? – Ociera łązy rozbawienia.

Udziela mi się ten dobry nastrój. Opieram dłoń na jego ramieniu i śmieję się w głos. Szczęśliwości nie ma końca. On się odchyła, ja zginam wpół. Śmiechy, chichy, rechoty. Niezamierzenie gwałtownie

się prostuję i zupełnie przypadkiem tył mojej głowy zderza się z jego twarzą.

– Oj – mówię cicho, widząc, że zakrywa nos. – Bolało? – Tyle ciepła zawarte w tym jednym, krótkim słowie. Troskliwy Diabeł.

Gallo przeciera usta przedramieniem i odchyła łeb, chcąc zatamować krwawienie. Asekuracyjnie wystawia w moją stronę dłoń. W innej sytuacji odczytałbym ten gest jako „stop”, „nie zbliżaj się”, „łapy przy sobie”, ale na pewno nie to ma na myśli. Niektórzy mają spory problem z okazywaniem uczuć. Ręka aż sama rwie się, żeby ugłaskać jego rozdygotaną duszę. To co, włożę ją w kieszeń? Będę przetrzymywał? A może skuję ją kajdankami? Jeb. Znow leje się krew, gdy moja pięść zderza się z jego twarzą. Syczy i patrzy na mnie z wyrzutem.

– Dobra. – Pluje na ziemię. – Nie powinienem pozwolić skuwać Almy. Czaję i skończ. Jedźmy już stąd. – Porusza językiem i znow wypluwa zabarwioną na czerwono ślinę.

– Myślałem, że mnie znasz. Ty wiesz, kim ona jest?! – Podchodzę bliżej i wrzeszczę mu do ucha. Odsuwa się, żeby zwiększyć dzielącą nas odległość.

– Słowo. To się już nie powtórzy. – Kolejny krok w tył. – Trudno sobie z nią poradzić. Jedno mówi, a drugie robi. Nie mam doświadczenia w byciu niańką – warczy. – Utrzymanie Almy w ryzach znacznie wykracza poza moje umiejętności. Myślałem, że to będzie proste, mam w końcu siostry, ale się pomyliłem. Trzepnąć jej nie mogę, rozgryźć też nie, a pieprzę to. – Zlizuje krew znad wargi. – Nie wiem, na czym polega wasz fenomen. Drzecie koty, potem się przytulacie, by następnie znow zatrząść całą chatą, gdy zetrzecie się ze sobą w jednym pomieszczeniu. Odbija ci na jej punkcie. Ona z kolei ma pierdolca na twoim. Nie mam pojęcia, co to i jak ogarnąć to rozumem. – Obejmuje głowę, jakby obawiając się, że wybuchnie. – To jest miłość? Czy ona nie powinna być prosta? – filozofuje.

Alma stuka w szybę i opiera o nią dłoń. Obdarza mnie tęsknym spojrzeniem i do diabła, też za nią tęsknię!

– Rozkuj ją, ale nie odpinaj kajdanek od kierownicy. – Poklepuję go pokrzepiająco po ramieniu. Pociąga nosem, charka krwią i rozgląda się zdezorientowany. On nie ma pojęcia, kto zajmie miejsce Almy. Chyba zbyt czule go pogłaskałem, skoro do reszty skretyniał.

Alma wyskakuje z auta niczym wystrzelona z procy i od razu się na mnie, no cóż, pokłada. Wtula się całą sobą, oplata rękami w pasie. Mam wrażenie, że gdyby była taka możliwość, wlaźłaby mi pod skórę. Jakoś to przeżyję. Trudno. Blaski i cienie, tfu, ciernie więzów miłości.

– A, przepraszam, znow jestem niczym jamochłon – oznajmia, ale nie odsuwa się nawet o milimetr. Wręcz przeciwnie, ściska mi żebra jeszcze mocniej i mocniej, aż w końcu puszcza. – Lepiej ci? – Unosi głowę. Nie wiem jak mnie, ale jej zdecydowanie jest gorzej. – Pytam, bo trochę tu narozrabiałeś. – Wskazuje kciukiem za siebie. – Następnym razem przytul się wcześniej, wiesz, zanim cię poniesie.

– Nie poniosło mnie. Zawsze się tak zachowuję. Co z tobą? – Wymijam ją i ruchem głowy nakazuję Gallowi wsiąść do auta. Gdy to robi, zatrzaskuję na jego nadgarstku kajdanki i wyciągam kluczyk ze stacyjki.

– Weź – burczy i szarpie ręką. – Już się ściemnia. Nie chcę zostać sam na nie swoim terenie – syczy mi do ucha, gdy schylam się, żeby przetrzepać mu kieszenie.

Wyjmuję portfel i komórkę. Odchylam się, bo Alma puka w klapę bagażnika, licząc zapewne, że Nino jest w nastroju na takie zabawy. Przenajmniej jedna dusza.

– Cichutko. Nie obchodzi mnie to. Jestem pewny, że o tym wiesz. – Głaszczę go po głowie. – Nie utrudniaj rozstania. Nie przerzucaj na mnie swoich lęków, bo i tak już ledwo powstrzymuję wzruszenie, a nie chcę wyjść na mazgaja. – Śmieję się cicho i zatrzaskuję z impetem drzwi.

Alma wciąż puka w klapę i przykłada do niej ucho, zerkając na Arisa, który grozi jej palcem.

– Almo! – wołam. – Impreza nie rozkręci się sama, nie pozwólmy towarzystwu czekać! – Gestem zapraszam ją do auta. Podbiega od razu. Jest taka podekscytowana wizją zbliżającej się randki, że zapomina o zamkniętych w puszcze, nierozsądnych duszach.

– Impreza! – krzyczy radośnie i podskakuje. – Będę wariować na całego, piszczeć, a na koniec padnę – snuje wielkie plany.

Wsiadamy. Tylną kanapę zajmują Auro i Aris. Ostatni raz spoglądam w stronę rzucającego się w

furiackich spazmach Galla i dodaje gazu. Alma wierci się w fotelu i uśmiecha szeroko, gdy obdarzam ją przelotnym spojrzeniem. Chwytam ją za nadgarstek, chcąc potrząsnąć oplatającymi go bransoletkami.

– Nowe? – pytam jak skończony kretyń.

– W sensie bransoletki? – odbija pytanie jak skończona idiotka, a gdy nie odpowiadam, dodaje:

– Nie, stare. Nie było żadnych, które by mi się spodobały.

– Czyli nic nie kupiłaś?

Obniża szybę w oknie i wystawia przez nie głowę. Przymyka oczy.

– Lubię ten zapach, a ty, Mephisto? – Zmiana tematu. Wiadomo. – Mandarynki dojrzewające w słońcu. – Zaciąga powietrze i wsuwa dłonie między uda, mocno je zaciskając.

– Kupiłaś mi coś? – Nie odpuszczam.

– Co mówisz?! – krzyczy, mrugając szybko, gdy wiatr rozwiewa jej włosy. – Tak wieje, że nic nie słyhać!

Naciskam przycisk unoszenia szyby. Och, kurwa, duszyczka ma coś ze słuchem, ale nie sposób jej odmówić refleksu. W ostatniej chwili, sekundy przed zmiążdżeniem krtani, chowa głowę do środka.

– Czy ty jesteś normalny?! – napada na mnie, ale najwidoczniej dociera do niej bezsensowność tego pytania, bo jedynie macha ręką, burczy i skupia się na podziwianiu widoków.

– Kupiłaś mi coś? – Sam jestem zmęczony swoim natręctwem.

Alma odwraca gwałtownie głowę.

– Dobrze wiesz, że tak! Gallo pewnie ci powiedział, dlatego w kółko zadajesz to beznadziejne pytanie! – Uderza dłońmi o deskę rozdzielczą. – Kupiłaś mi coś, kupiłaś mi coś – przedrzeźnia mnie. – Co ty masz pięć lat, że nie można iść na zakupy i nic ci nie kupić?!

– Kupiłaś mi coś?

Alma szarpie za włosy jak największa, najbardziej sfiksowana frustratka. W końcu otwiera torebkę i sapiąc, niemal zapluwając sobie brodę wyciąga kupiony na pewno z myślą o mnie prezent. Lubi sprawiać małe przyjemności innym. Jasne. Miła Alma.

– Masz – syczy, kładąc na mojej nodze żyłkę. – Masz, masz i masz. – Dokłada jeszcze trzy. Zasuwa zamek i zakłada ręce na unoszących się nienaturalnie szybko piersiach. Wystawiam dłoń. Patrzy na mnie pytająco, przeciera mokry od łez policzek, aż w końcu kładzie na niej swoją. Całuję jej lodowatą, trzęsącą się rękę i wjeżdżam w przyklastorną uliczkę, na której ulokowany jest cmentarz.

Zerkam na Almę, bo wyczuwam, że mi się przypatruje. Ma piękne, wielkie, błyszczące oczy, okolone wachlarzem mokrych rzęs. Wgapia się natrętnie i mocniej przyciska dłoń do moich ust. W chwilach takich jak ta nie mogę się zdecydować, czy ją zniszczyć, czy kochać. Czy jestem tym, który naprawia, czy tym, który rujnuje. Jedno z dwóch? Oba na raz? Alma nabiera powietrza, jakby obawiała się, że jej go zabraknie. Skupiam się na parkowaniu, podczas gdy ona wyswobadza się i wtula policzek w moje ramię, obejmując mnie mocno w pasie.

– Jesteśmy – informuję. – Zostajecie w aucie – zwracam się do pancernych. Alma się odsuwa i wygląda przez szybę, a ja wysiadam. Wyciągam z bagażnika szpadel i latarkę.

Wejścia na teren cmentarza strzeże święta Agata, patronka Katanii. Mieszkańcy wierzą, że chroni ich przed skutkami klęsk żywiołowych, niszczycielską, plującą kulami ognia Etną. O tej porze nekropolia jest zamknięta, więc chcąc wysłuchać niesionych przez wiatr opowieści z krypty, a pragniemy tego bardzo, musimy się włamać. Potrząsam ramionami, gotowy na śmiertelnie dobrą zabawę, do czasu aż wyczuwam postukiwanie w plecy. Nie muszę się odwracać, by wiedzieć, że to chudy, trzęsący się i trupio zimny palec Almy.

– Mephisto, jesteś pewny, że nie pomyliłeś drogi? – szepcze.

– Taa. – Odwracam się. – Nigdy nie błędzę, gdy mi na czymś zależy.

Wytrzeszcza oczy, patrząc na szpadel, który dzierżę w dłoni.

– Czyli to nasza randka? – Robi krok w bok i zerka na bramę cmentarza. – Jakieś to... – wzdycha, jakby nie potrafiła znaleźć właściwego słowa.

– Nietypowe? – pomagam jej. – Niecodzienna impreza. Niebanalny chłopak i dziewczyna. Tacy my. Kropka w kropkę. Kreska w kreskę, Almo. Chodź. – Ciągnę ją za rękę, ale wyczuwam opór. – No, chodź. – Co za uparta dusza. – To dla mnie ważne – dodaję, a Alma splata nasze dłonie. Zdanie klucz.

Wypowiadam je w myślach, ciągnąc za kłódkę, którą spięty jest łańcuch oplatający cmentarne wrota, ale to zakłęcie ma moc otwierania jedynie serduszka najmilszej z najmilszych. Szlag.

– Przeciśnij się przez tę szczelinę – zarządzam i naprężam łańcuch.

Alma sapie, wyrażając niezadowolenie, sugerując, że mój pomysł jest mocno zjebany. Nie znoszę tego, ale spokojnie. Wdech i wydech.

– I ja mam stać sama po tamtej stronie? A ty którędy wejdiesz? A gdy już przejdę, a ty na przykład zemdlejesz, to jak mam się wydostać? A nie mogę tu zostać i pilnować wejścia? A co jeśli...

Zatykam jej usta.

– Jesteś mi potrzebna. Ktoś musi trzymać latarkę. Przełaż.

– Weź Arisa lub Auro, proszę. – Składa ręce jak do modlitwy.

– Nie ufam im na tyle, żeby odsłaniać przed nimi pewne karty. Właż, kurwa – syczę zniecierpliwiony.

– Dobra, spokojnie. – Unosi dłonie. – Zrobiło mi się miło, słysząc, że mi ufasz, więc zgadzam się wziąć w tym udział. – Uśmiecha się szeroko. Nie dość, że miła, to dodatkowo łaskawa.

– Taa, a teraz włącz. – Chwytam ją za łokieć i pomagam jej precyzyjnie się przesuwać przez szczelinę. – Trochę zwawiej, bo północ nas zastanie – ponaglam. – A wtedy serio zaczyna się tu impreza – straszę ją, chcąc, żeby przestała skutecznie ruchy baletnicy i wskrzesiła w sobie prawdziwego cmentarnego łotra.

– Już. Nie potargałam sukienki? – Bierze materiał w palce.

Przekazuję jej latarkę i szpadel, a następnie wspinam się na mur, obejmując ukruszony, wbudowany w ogrodzenie, kamienny krzyż.

– Mephisto, trochę szybciej, bo zaczynam się bać.

Zeskakuję z murku i wyjmuję z kieszeni karteczkę. Patrzę dookoła, chcąc rozeznaczyć się w terenie. W centralnym punkcie cmentarza wzniesiono kolumbarium z każdej strony otoczone ścianami, w których zamurowane są urny. W kaplicach po prawej znajdują się rodzinne grobowce, a za nimi, w najodleglejszej, zalesionej części nekropolii dostrzegam zarys niskich grobów, gdzie zmarli chowani są bezpośrednio w ziemi. Mamy to.

– Chodź, duszyczko. – Chwytam ją za rękę i ciągnę, podążając wybrukowaną alejką. Co jakiś czas się potyka i ogląda za siebie.

– Mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje – mówi piskliwym głosem. – O, Boże – wydusza. – Zobacz. – Wskazuje palcem na rząd dziecięcych nagrobków. Na niektórych postawione są zabawki, a o drewniane krzyże opierają się rozczochrane lalki w spłowiałych od słońca ubrankach.

– Spokojnie. To one tak się gapią. – Chcę ją pocieszyć, ale robi się jeszcze bledsza. – Rozglądaj się za grobem Spirito Beneventano. Powinien być w tej alejce. – Pokazuję jej kartkę.

Krążymy między nagrobkami z dobry kwadrans. Poszłoby sprawniej, gdyby Alma zechciała się rozdzielić, ale kurczowo trzyma moją rękę i ani myśli poluzować uścisk. Przez głowę przebiega mi myśl, że Serafino zrobił mnie na szaro i to w niewymagający wysiłku, mało wyszukany sposób, lecz w końcu zauważam to, czego szukam.

– Jest – rzucam krótko i pochylam się nad wbity w ziemię, kamienną płytą.

– Zgadza się tylko numer, ale nie widać, co wyryte jest w kamieniu – mądrzy się Alma.

Przejeżdżam palcem po obrosniętym obślizgłym mchem napisie.

SPIRITO

Więcej nie trzeba, żebym zmobilizował się do działania. Ściągam koszulkę, bo nagle zrobiło się gorąco jak w piekle, i wciskam ją w rękę Almy. Przymyka powieki i zaciąga się jej zapachem jak totalnie moja, wyjątkowa świruska.

– Rozłóż ją na trawie i na niej usiądź, bo to potrwa.

– Yyy, ale co? – pyta głupio.

– Dokopanie się do niego.

– Do kogo? – Wybałusza błyszczące naiwnością oczy.

– Do Spirito. Po to wziąłem szpadel. – Potrząsam nim. – Zabiorę go do domu.

– Yyy, szpadel?

– Nie, kurwa. Spirito. – Szczerzę się, bo radość rozsadza mi łeb.

– W sensie kości? – drąży temat. – Ale to pokopane, Mephisto – kwituje, gdy nie udzielam odpowiedzi.

Może tak, może nie. Nie potrafię zebrać myśli, ocenić, na którą stronę przechyla się szala. Nie, kiedy w końcu dowiedziałem się, gdzie pochowany jest Spirito. Najgorsze z możliwych miejsc. Teren wrogów rodziny Beneventano. Zabiorę go do Syrakuz. Miejsca, gdzie się urodził i kochał całym swoim anormalnym sercem. Do jego domu. Zatapiam szpadel w ziemi i śmieję się w głos, żeby wyeliminować spinające mięśnie napięcie. Alma patrzy na mnie jak na obłąkanego grabarza, zapewne dziękując w duchu losowi za to, że postawił mnie na jej drodze. Ha. Cała przyjemność po mojej stronie.

– Nie kłamałeś, gdy mówiłeś, że będziemy najgorętszą parą na imprezie – stwierdza, wyrrywając żdzbla trawy, po czym ziewa znudzona.

– Nie kłamałem, gdy powiedziałem, że zawsze mówię ci prawdę. Mogłabyś wziąć ze mnie przykład. – Ocieram przedramieniem pot z czoła. – Ale gorąco.

– Zrobić ci zdjęcie, jak już będziesz wychodził z tej dziury? Mogę dorobić płomienie – proponuje. – Będzie efekt, jakbyś naprawdę wyłaniał się z podziemia, z piekieł.

– Taa, w kurwę pomysł, Almo. Włammy się na cmentarz, zbeczcemy zwłoki i udokumentujemy to. – Postukuję szpadlem o ziemię, czując, że się w niej zapadam. – Bycie kreatywnym pozostaw mnie, zgoda? A teraz poświeć latarką.

Wstaje i niepewnie, z jawnym ociąganiem podchodzi do wykopanego dołka. Wyczuwam, że zapada się pode mną wieko spróchniałej trumny. Kojąca wilgoć ziemi w połączeniu z ogniem, który rozsadza mi czachę, mogłyby być niemal oczyszczającym przeżyciem. Ale nie są. Bekam i zasłaniam nos przedramieniem, bo w tej chwili po stokroć wolałbym wachać śmierdzącą krew jakiegoś spaślaka, niż zaciągać się kwaśnym odorem zgniłych, splamionych płynami ustrojowymi ubrań. Schylam się, wyciągam czaszkę i odwracam w stronę ledwo stojącej na trzęsących się nogach Almy.

– Poświeć na to.

Przyglądam się czaszce i odkładam ją na usypany z ziemi kopiec. Ponownie się schylam i przeczesuję dno trumny, przerzucam szczątki, a narastający wkurw zaraz rozsadzi mi łeb. Ktoś tu, kurwa, nie żyje i nie mam na myśli trupa, w którym właśnie się babram. Pieprzony Serafino. Król złych decyzji, krzywych, bardzo krzywych ruchów. Zabiję go. Słowo, że to zrobię. Warczę jak dzikie zwierzę i wyskakuję z wykopanej w pocie czoła dziury.

– To nie on. Zbieramy się – rzucam krótko. – I cichutko, nic do mnie teraz nie mów – dodaję, widząc, że Alma otwiera buźkę.

– Po czym wnosisz? – No i musi się odezwać.

– Spirito miał diastemę między górnymi siekaczami.

Zerka na czachę z idealnym, modelowym wręcz użębieniem.

– Kurwa! – Wściekam się. Podskakuję w miejscu i potrząsam ramionami.

– A dlaczego tak bardzo zależy ci na jego szczątkach? Wiem! – Pstryka nagle palcami. – Nasz błąd. Pomyliliśmy groby. – Uśmiecha się szeroko. Gdyby nie to, że trzęsą się jej łapy, nogi, a nawet płatki uszu, pomyślałbym, że jest gotowa niestrudzenie przeczesywać podziemne, cmentarne korytarze. – Trzeba było zdrapać mech z całej płyty. – Wskazuje na nią palcem. – Zobaczyłeś imię i od razu założyłeś, że to on. Jesteś za bardzo narwany. Dziki, warczący zwierz – ocenia mnie i wzrusza beztrąsko ramionami.

Mam ochotę wrzucić ją do wykopanego dołka, bo wiecznie zadziera nosa. Z drugiej strony chłód jej skóry kusi jak wąż w rajcu i to właśnie dlatego postanawiam się nad nią zlitować. Powodem bynajmniej nie jest to, że jest totalnie wyjątkowa.

Zdrapuję z płyty ten pieprzony mech, a w miarę ukazywania się kolejnych, wrytych w kamieniu słów, serce coraz szybciej wali mi w piersi. Mam wrażenie jakby czas pędził, a jednocześnie się zatrzymał. Znów jestem nastolatkiem. Po raz kolejny tworzę pierwszy łuk, krzywy, źle wyprofilowany, pełen wad i niedociągnięć, przez co do cna niepowtarzalny. Nieidealny jak Alma. I ja. Niemal widzę tamtego siebie, wypalającego na nim napis. I pochylającego się nade mną, jak teraz ja nad kamieniem Spirito. Słyszę jego głos, gdy czyta:



TAK BARDZO MARTWY.

TAK BARDZO...

Nie zdążam wypowiedzieć w myślach napisu, bo mąci je jąkanie Almy. Wspominałem kiedyś, że przy mnie nie będzie się jąkać, miała stracić mowę, ale kurwa, teraz, w takim momencie?! Odwracam się niespiesznie, by po chwili zerwać się na równe nogi, bo biorąc pod uwagę miejsce i okoliczności, w jakich się znajdujemy, na bank coś ją opętało. Wymachuje rękami, zakrywa usta, podskakuje, przeraźliwie krzyczy:

– Duch! Duch! Między drzewami! Duch!

Piszczy i osuwa się na ziemię.

Oglądam się za siebie, ale niczego nie zauważam.

Grobową cisza.

Mącę ją głośnym, pochodzącym z czeluści płuc śmiechem, bo przypominam sobie słowa Almy.

„Będę wariować na całego, piszczeć, a na koniec padnę”. Alma wizjonerka.

2 *El silencio es oro* (hiszp.) - Milczenie jest złotem.

## ROZDZIAŁ 11

### *Alma*

Zły, gorszy, najgorszy. Diabeł.

Wypisz, wymaluj. Cały on. Wczoraj prawie straciłam życie, uderzając o wystający korzeń. Głowa niemal rozpadła mi się na pół i na pewno, o mały włos nie wpadłam do wykopanego dołka. A jedyną reakcją Mephista na to nieszczęście było odczynianie diabelskiego tańca radości, gdy cudem się ocknęłam! Zdawał się nie zauważać natrętnie pulsującego, rosnącego na moim czole guza. I, co nie dziwne, w kółko, jak najgorszy natręt wypytywał: „Pamiętasz, kim jestem i że mnie uwielbiasz?”. Jestem pewna, że obdarzyłam go spojrzeniem, na jakie zasługuje każdy nieczuły, samozwańczy grabarz, rzuciłam w niego garścią ziemi, wytarłam twarz o jego koszulkę, przez moment, serio, krótką chwilę zaciągając się jej zapachem, a potem... Diabeł złączył nasze usta. I rety, co to był za pocałunek! Niesamowity, niezapomniany, wprawiający w drżenie każdą cząstkę mojego jestestwa, gwałtowny, pełen pasji, wśród tłumu gapiów; wpatrujących się w nas plastikowych oczu upiornych laleczek, duchów czających się między drzewami, pustych oczodołów, leżącej u mych stóp czaszki. Więcej nie trzeba, by zwymiotować, co też uczyniłam. I najpewniej ponownie zemdlałam, bo kiedy odzyskałam świadomość, byliśmy już w drodze do Palermo.

Wcześniej jednak naprawdę zobaczyłam ducha. Nietypowego, bo eleganckiego, w białej marynarce. Stał bez ruchu, obserwując nas z oddali. Przrzekam, że tak było!

Teraz leżę w naszym łóżku, na wyświechtanej podusi i przysięgam, że czuję się jakbym umarła, ożyła, ponownie kipnęła. Skronie pulsują, jestem odrętwiała i mniej więcej co godzinę łapie mnie skurcz łydek. Boli niemal wszystko. Oprócz niej. Duszy, która ma się wyjątkowo dobrze. Mephisto głaszcze ją na wiele sposobów, zapewne nie mając nawet o tym pojęcia. Kręci mi się w głowie, gdy wiruję na diabelskim, napędzanym obłędem młynie.

Można oszaleć.

Całkowicie i nieodwracalnie.

Zakochać się w Diabie.

Nie mylił się, mówiąc, że każdy, kto usiądzie na złotym tronie, straci głowę. I choć zapewne nie zakochanie miał wtedy na myśli, stało się, straciłam ją. Dla niego.

Coś głęboko w środku podpowiada mi, że jest tym, który łapie mnie za rękę, chroniąc przed samą sobą. Gdy wczoraj przyłożył moją drżącą dłoń do ust, myślałam, że eksploduję z nadmiaru emocji. Na utkanej z uczuć arenie znów miała miejsce prawdziwa walka, zupełnie tak, jakby moja dusza nie mogła się zdecydować, czy być ciężką, czy lekką. Byłam wściekła na niego, bo wymusił oddanie żyletek. Na siebie, że nie wykazałam się sprytem i zamiast dwóch, wręczyłam mu wszystkie, a lubię je mieć. Świadomość, że mogę w każdej chwili z nich skorzystać, napawa mnie trudnym do zdefiniowania spokojem. W tamtym momencie nie było o nim mowy. Nerwowo przecierałam, widoczny gołym okiem dowód niestabilności i słabości, łyzy. I gdy myślałam już, że zaraz rozpadnę się na milion kawałków, a myśli tłukły się w głowie, Diabeł spojrział na mnie spod usmolonych rzęs. Spodziewałam się zobaczyć zwątpienie, rozczarowanie, niezrozumienie, a jedyne, co dostrzegłam w jego oczach, to spokój. Wpatrywał mi się w oczy, a ja miałam wrażenie, że dryfuję w łódce kołysanej ruchem leniwych fal.

A potem wszystko wróciło do normy i chyba zaczynam przyzwyczajać się do jego stylu bycia, bo nawet niespecjalnie zaskoczyło mnie, że parkietem, na którym przyszło nam odczyniać harce, okazał się cementarny plac. Nie bałam się! Ani trochę! Jeśli się trzęsłam, to z zimna. Moje drżenie to jednak nic w porównaniu z dygotem Mephista. Mistrzowsko prezentował wiele faz rzucawki, różne oblicza, stany od euforii po nieujarzmione wkurwienie. Cały on. Tak bardzo zły. Tak bardzo mój.

Zamieram, bo Mephisto porusza się i ociera o mnie szorstkim policzkiem. To właśnie przez te chaotyczne ruchy się nie wyspałam. Kto tak robi? Tylko najgorszy z najgorszych bez uprzedzenia, nie siląc się na żadne słowa wstępu, czy chociażby zadanie pytania: „Co ty na to?”, ściąga swojej dziewczynie majtki, kładzie głowę między jej nogami i... zasypia. Dręczyciel, mistrz słodkich tortur.

Diabeł. Przygryzam wargę i wgapiam się w sufit. Myślałam, że w świetle dnia będzie łatwiej. W nocy, w ciemności, wyobraźnia podsuwała mi różne scenariusze. Każdy jego ruch, liźnięcia, których oczywiście nie mógł sobie odmówić, gdy co jakiś czas zmieniał ułożenie głowy, powodowały, że puls niebezpiecznie przyspieszał. Potem wszystko wracało do normy, a ja z frustracji i wzmożonej chęci posunięcia się krok dalej, oczekiwania na kolejne śmiałe ruchy, zaciskałam powieki i wsłuchiwałam się w jego oddech. A on spał w najlepsze. Ot tak. Jakby moje ciało było ulubioną poduszką, a lizanie cipki i wtulanie się we wnętrze uda były odruchowym, nic nieznaczącym przerywnikiem, towarzyszącym przejściu z pierwszego do drugiego stadium sennej fazy NREM.

To była udręka, ale prawdziwa korona cierniowa wbija się w mój rozgorączkowany mózg dopiero teraz, kiedy jest jasno i widzę wtulonego we mnie okrutnika, niemal niedźwiedzią łapę ułożoną na moim brzuchu, umięśnione ramiona i zmasakrowane plecy. Zapiera mi dech. Odczuwam wewnętrzne drżenie, nad którym nie potrafię zapanować, a pod jego wpływem coś się kruszy, coś pęka. I nie jest to budowany przez Mephista mur.

To wibracja duszy. Ugłaskanej, nie złęknionej. Mogę oddać kawałek. Jeśli zechcę. Nigdy z przymusu czy strachu. Przypominają mi się słowa Zity, więc uśmiecham się pod nosem. „Jeśli nie ma się na coś ochoty, to się, kurwa, nie ma. Prosta, pieprzona zasada”.

Spotkałyśmy się na targowisku i nie był to przypadek. Nie mogłam dłużej czekać aż mnie odwiedzi i miałam dość zbywania za każdym razem, gdy do niej dzwoniłam. „Jestem zapracowana”, „Ledwo widzę na oczy”, „Odpadają mi ręce”. Traktowałam to jako słabe wymówki. Byłam przekonana, że doszła do wniosku, iż towarzystwo dziewczyny takiej, jak ja, wywodzącej się z szemranych kręgów, jednak nie jest znajomością, na jaką córka sędziego może sobie pozwolić. Lecz gdy usłyszałam: „Almo, przyjedź do Katanii”, wszelkie obawy wyparowały. I cóż. Ona naprawdę pracuje. Ciężko. Ma jakąś niewyobrażalną parę w rękach i zacięcie w oczach, którego nie zauważyłam wcześniej. Wczoraj natomiast, przez krótką, trwającą ułamek sekundy chwilę, gdy nasze spojrzenia się spotkały, autentycznie się wzdrygnęłam. I mimo że okoliczności były sielskie; nad nami roztaczało się bezchmurne niebo, przygrzewało słońce, w powietrzu unosił się zapach dojrzałych owoców, a Zita wśród piętrzących się wokół skrzynek z pomarańczami wyglądała pięknie, dziewczęco, jakby została przeniesiona na targowy stragan wprost z cytrusowego gaju, dostrzegłam ją. Surowość. Taką samą, jaka czai się w spojrzeniach ludzi organizacji. Zbijającą mnie z tropu bezkompromisowość. Na moment, bo potem na twarzy Zity zagościł szeroki uśmiech, a jeszcze później między bazarowymi budkami hulał jej głośny śmiech. Do czasu, aż zrugął ją szef. Stałam jak zaczarowana, patrząc na ocierającą pot przedramieniem, dźwigającą ciężkie pudła przyjaciółkę. Z jednej strony nie rozumiem, dlaczego pracuje na stoisku, skoro wywodzi się z zamożnej rodziny. A z drugiej zazdroszczę samozaparcia, chęci realizacji marzeń za pieniądze zarobione pracą własnych rąk i pomysłu na siebie, którego mi zupełnie brak.

Kiedy się z nią rozstawałam, wcisnęła do mojej kieszeni kilka euro. Nie chciałam ich przyjmować, ale zapewniła, że to drobiazg, bo na dniach otrzyma pierwszą, prawdziwą wypłatę. Rozpierała ją duma, gdy wypowiadała te słowa, a moje serce rosło, a potem, w miarę, jak się od niej oddalałam, malało. Wszystko za sprawką siedzącego pod drzewem, rozbawionego po pachy, popijającego wino mężczyzny, któremu pomogłam, oddając ostatnie zaskórniaki. Kiedy mnie zaczepił, wydawał się taki smutny i zagubiony. Cała ja. Alma. Naiwna i splukana. Czasem, zazwyczaj, mam dość tej strony swojej osobowości. Utrudniającej życie wrażliwości na cudzą, często pozorną krzywdę. Boję się, że gdy w końcu zrobię użytek z przesłanej przez Etnę karty płatniczej, rozdram wszystko „potrzebującym”. Lepiej już byłoby osobiście przehulać, ale budowany przez Mephista metaforyczny mur z dnia na dzień jest coraz wyższy. Trudno go przeskoczyć, a będąc szczerą, nie chcę tego robić.

Z zamyślenia wyrывa mnie krótki, ale głośny dźwięk telefonicznego alarmu. Mephisto jęczy przeciągle i poklepuje mnie po brzuchu.

– Podaj – wydusza chrapliwym głosem.

Biorę położony na szafce telefon i, chcąc nie chcąc, zerkam na wyświetlacz. Na mapce zaznaczony jest punkt. „Via Ruggiero Settimo”, powtarzam w myślach, licząc, że zapamiętam. Miga na nim napis: „Pożegnanie ukochanej”. Przetykam nerwowo ślinę, a w piersi zaczyna mi kiełkować coś na kształt zawodu.

Diabeł unosi głowę. Jestem zmieszana, bo czuję, jakbym została przyłapaną na czymś niewłaściwym. On z kolei zdaje się nie mieć z tym problemu, całkowicie ignorując fakt, że z impetem odrzucam komórkę. Sięga po nią i spogląda na ekran. Przez jego twarz przemyka cień smutku, lecz po chwili wyszczerza zęby w uśmiechu.

– Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem, ale spanie na mokrej poduszce jest w kurwę, Almo.

Mephisto przejeżdża językiem po mojej cipce, a ja wybałuszam oczy, nie wiedząc, czy poddać się chęci zaznania rozkoszy, czy oplecenia jego szyi nogami i skręcenia mu karku. Decyzja zostaje podjęta za mnie i nijak ma się do tego, czego pragnę. Gdy tylko z moich ust wydobywa się niekontrolowany jęk i wczepiam palce we włosy Mephista, gwałtownie zeskakuje z łóżka, podchodzi do komody, wyciąga z paczki papierosa i wychodzi na balkon.

Nie rozumiem. W końcu, po wielu godzinach, łączę ze sobą odrętwiałe nogi i syczę z bólu. Spod sterty skołtunionej pościeli wygrzebuję majtki i siadam na materacu, wlepiając wzrok w Diabła. W przerwach między zaciąganiem się dymem a wypuszczaniem go podskakuje w miejscu i kręci głowę, jakby chciał rozciągnąć mięśnie karku. Nie dziwię się, na pewno nie było mu wygodnie spać w takiej pozycji. Tyle że ja mam gorzej, bo do szeregu cielesnych bolączek dołączył właśnie wewnętrzny dyskomfort spowodowany jawnym odrzuceniem.

– Tatusiu, kocham cię! – wydziera się Diabeł i macha energicznie.

Nie znam dobrze jego ojca, co nie zmienia faktu, że nie wywarł na mnie dobrego wrażenia. Trzeba chodzić wokół niego na palcach, a najlepiej w ogóle schodzić mu z drogi i unikać. Na szczęście mam w tym wieloletnią wprawę.

Dołączam do Mephista. Don Pedro rzeczywiście jest w ogrodzie i rozmawia z wieszającym pranie Casimirem. Wychylam się, widząc, że wśród ubrań są też moje, a przecież wszystkie brudy wrzucam do kosza, stojącego w naszej łazience.

– Dlaczego Casimiro rozwiesza moje ciuchy? – pytam zdziwiona.

– A ty nie pierzesz jego ubrań, gdy jest twoja zmiana? – Gasi peta, w leżącej na stoliku popielniczce. – Po prostu się odwdzięcza. Na tym to polega – stwierdza tonem sugerującym, że to oczywistość. – Ktoś robi coś miłego dla ciebie, a ty dla kogoś. I na odwrót. Jeden krzywy ruch i... – Strzela karkiem. – Możesz sprawiać pozory czynienia czegoś w dobrej wierze, stworzyć iluzję, ale to trudna i niebezpieczna sztuka. – Mruga do mnie. – Często przerastająca samego diabła – oznajmia, a ja nie mam pojęcia, czy mówi o sobie, czy ogólnie. – Złudzenie, prawda, dobro, zło. Najdłuższa zabawa świata – rzuca w przestrzeń, śledząc wzrokiem przemierzającego ogród ojca.

– Naprawdę go kochasz? – Niemrawo wskazuję palcem na don Pedra.

– Słowo Diabła, Almo. – Kładzie rękę na piersi i uśmiecha się szeroko. – Uwierzyłaś w to? – Obdarza mnie litościwym spojrzeniem.

– W sumie tak. – Wzruszam ramionami.

– Najwidoczniej nie trzeba powtarzać kłamstwa wiele razy, latami, nieustannie i wciąż. W kurwę, tyle roboty na marne. – Uderza ręką o barierkę zapewne w udawanej złości, bo, wracając do pokoju, chichocze diabelsko.

Idę za nim. Wchodzi do garderoby, więc też to robię. Chcę wiedzieć, dlaczego zachowuje się dziś, nie sądziłam, że kiedykolwiek przemknie mi to przez myśl, jeszcze dziwniej niż zazwyczaj. Podpieram framugę, podczas gdy on szpera w szafie.

– Mephisto – zagajam, ale pochłonięty przerzucaniem ubrań, nawet się nie odwraca. – Lubisz mnie?

Wybucha śmiechem.

– I to niby ja mam mentalność pięciolatka. – Kręci głowę. – Są! – wykrzykuje, wyjmując coś spod sterty koszulek. Podchodzi do mnie i wyciąga przed siebie ręce. W każdej trzyma spluwę. – Którą wybierasz?

– Żadną. – Robię krok w tył. – Ja nie jestem taka jak ty. Jak wy – poprawiam się i zataczam krąg, żeby zaakcentować uogólnienie.

– Taa. A więc którą? – ponawia pytanie, jakby to, co mówię, nie było słyszalne. – Z ręki Erosa czy Mephista? – Potrząsa nimi. – Szybciej, duszyczko.

Uśmiecham się, bo już zrozumiałam i sięgam po broń.

– Od Erosa, bo jest tym dobrym i na pewno jest nienaładowana. Już to rozgryzłam. Tę zabawę.

– Co? – pyta głucho. – W życiu nie słyszałem czegoś równie niedorzecznego. – Unosi brwi w niedowierzaniu. – To nie kwestia dobra czy zła, ale życia lub śmierci. – Sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie ogarniał mojego toku rozumowania. – Muszę coś załatwić i wrócę dopiero wieczorem. Miej ją przy sobie. W tym modelu nie musisz nic odbezpieczać. Blokady zwalniają się automatycznie pod wpływem nacisku na spust.

Mówi to takim tonem, jakby chodziło o poczęstowanie kogoś porcją zupy, a nie niosącym śmierć łożem i jak gdyby nigdy nic zaczyna się ubierać.

– A kto może mi zagrażać?

– Każdy może być potencjalnym wrogiem – stwierdza, podskakując na jednej nodze, gdy zakłada spodnie.

– Nie zamierzam nikogo krzywdzić, ale będę czujna i w razie czego zdam się na intuicję.

Gwałtownie unosi głowę i otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu się na to nie decyduje. Mimo to domyślam się, że miał to być komentarz nawiązujący do mojej intuicji, a raczej jej braku, bo sama, kiedy już wypowiedziałam te słowa, zrozumiałam, jak bezsensownie brzmią. Nie mają zastosowania w moim przypadku. Mephisto ugryzł się w język. Przyglądam mu się, sądząc, że zrozumiałem, co z nim jest dziś nie tak.

– A dlaczego uciekłeś z łóżka jak poparzony? – Postanawiam zapytać wprost i wyjaśnić chociaż jedną, nurtującą mnie sprawę. Odkładam pistolet na szafkę i wychodzę z garderoby, bo Mephisto to robi.

– Może dlatego, że jestem poparzony? – Unosi koszulkę i pokazuje plecy. – A może powodem jest to, że nie mogę dać ci dziś niczego miłego? Jedno z dwóch, Almo.

– A w jakim sensie?

– W takim, że nie mam nastroju na mizianie i szeptanie ci do uszka o tym, jak cudownie szurnięta jesteś.

– Ale ja wcale tego nie...

Trzaska drzwiami łazienki. Niemal zderzam się z nimi twarzą. Mało tego, przekręca zamek i szarpanie za klamkę, które uskuteczniłam, na nic się zdaje. Chciałam tylko powiedzieć, że wcale nie oczekuję delikatności czy romantycznych uniesień. Zresztą w tym momencie jedyne, czego pragnę, to ugryźć się w rękę lub przywalić palcem w nogę stołu. Ewentualnie w jego pokręcony, diabelski łeb! Przyglądam ucho do drzwi. Jestem niemal pewna, że Mephisto wymiotuje. Słysząc szum płynącej wody, aż w końcu wychodzi, zgarnia kluczyki z blatu i opuszcza pokój, nawet na mnie nie patrząc. Wybiegam za nim.

– Dlaczego wymiotowałeś? – Chwytam go za łokieć.

– Bo chciało mi się rzygać. – Przystaje i taksuje mnie wzrokiem. – Nie biegaj po domu w majtkach. – Obejmuje mój kark, całuje w czoło i zbiega po schodach, by tym razem trzasnąć drzwiami wyjściowymi.

Tkwią w bezruchu do czasu, aż zauważam stojącego w progu swojego pokoju Vittoria.

– Lepiej nie wchodzić mu w drogę przez kilka najbliższych dni – rzuca jakby od niechcenia i pociąga nosem. – Czujesz unoszący się w powietrzu różany zapach? Jakaranda mimozolistna – mówi tonem sugerującym, że to słowo klucz, ale co mi z klucza, skoro nie wiem, do którego zamka go włożyć.

– A jaki ma to związek z Mephistem i jego zachowaniem?

Przywołuje mnie palcem, więc podchodzę bliżej.

– Rok w rok, gdy te drzewa zaczynają kwitnąć – rozgląda się – Diabeł zachowuje się jakoś inaczej – obniża głos, niemal do szeptu. – W tym czasie bardziej widoczne jest jego rozchwianie. To chyba fenomen tej całej szczególnej więzi oplatającej go z – przełyka ślinę – Erosem – wypowiada to imię ledwo słyszalnie.

– Powiesz więcej, bo wciąż nie rozumiem?

– Podobno, gdy Eros się zabił, to cała podłoga w ich pokoju była obsypana liliowo-purpurowymi płatkami. Był to ponoć surrealistyczny widok, piękno i brzydota. Za kilka dni jest rocznica jego śmierci.

– Co masz na myśli, mówiąc: „W ich pokoju”?

Vitto sapie, jakby sfrustrowany tym, że niczego nie rozumiem.

– Erosa i Mephista. Musieli być blisko siebie. To właśnie ten fenomen, o którym wspomniałem. Razem było im źle, a oddzielnie jeszcze gorzej. Mówię to, co podsłuchałem przez lata. – Wzrusza ramionami. – Nie pamiętam Erosa, bo miałem trzy lata, gdy postanowił zdezerterować z tego świata. – Nabiera powietrza i ponownie się rozgląda. – Powiedzieć ci jeszcze coś?

– Pewnie – rzucam beztrasko, chociaż przez moje ciało przetacza się dreszcz niepokoju.

– Tylko nie możesz tego zdradzić. – Przygląda mi się wnikliwie, jakby z rysów twarzy chciał odczytać, czy potrafię dochować tajemnicy. – Moim zdaniem Mephisto ma go na sumieniu, obwinia się za jego śmierć, stąd to zachowanie.

Wątpię, że udaje mi się zamaskować szok.

– Ponoć zwykle był dla niego chujem. Obaj lubili strzelać z łuku, a Diabeł podpalił jeden z tych, który dla Erosa miał wyjątkową wartość. Kto wie, może właśnie dlatego wywiesił białą flagę, bo miał już tego wszystkiego dość. On był słaby.

– Nie mów tak – warczę. – W tej historii to właśnie jego najbardziej mi szkoda. – Wbijam palec w jego tors.

– Nie dziwię się, skoro twoje serce mięknie nawet dla – chrzaka, by dodać piskliwym głosem: – małych, puchatych kotków.

Rozdziawiam usta. Naprawdę zabrakło mi słów, ale nie pary w ręce. Przywalam Vittoriowi w twarz, aż odskakuje mu głowa.

– Jezu. – Przykładam dłoń do ust. – Przepraszam, nie chciałam tak postąpić, ale nie lubię, gdy ktoś mi to wypomina – tłumaczę od razu. – Bycie dobrym to nie przestępstwo. To nie jest złe, tylko to, co zrobili mi tamci ludzie.

Vitto pociera policzek, na którym pojawiła się czerwona plama.

– Masz rację, to chujowsze, Almo – przyznaje i porusza szczęką. – Pytanie z innej beczki! – wykrzykuje radośnie i klaszcze. Za nim też trudno nadażyć. – Chcesz, żebym zagrał na trąbce podczas waszego ślubu?

Przygryzam wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem, ale to na nic. Śmieję się w głos.

– Słucham? – pytam, mimo że słyszałam doskonale.

– Następna – sapie. – Na trąbce, kurwa. Co w tym niby śmiesznego? Mephisto też się zaśmiał, a to przecież poważne pytanie. – Patrzy wyczekująco, odwzajemniam się tym samym. – Odkryłem nową pasję i chcę zaprezentować się szerszej publiczności. Od tygodnia gram na polanie za domem – tłumaczy z zaangażowaniem. – Gdy będą padały ważne słowa, zatrąbię, żeby zaakcentować, że są godne zapamiętania. Co ty na to? Dziwniej i tak już nie będzie, w końcu to wasz ślub. To samo w sobie jest, no, dziwne. – Wzrusza ramionami. – Ojciec pewnie mnie zleje, ale biorę to na klatę. To jak? – Składa ręce jak do modlitwy.

– Zgoda, tylko nie wiem, kiedy to nastąpi i czy w ogóle – stwierdzam fakt, a w sercu znów gości niepokój, gdy przypominam sobie o „ukochanej” Mephista.

– Za tydzień. Stary wczoraj ogłosił datę podczas kolacji – zdradza.

– Dlaczego tak szybko?

– Szybko? Właśnie wolno. Myśleliśmy, że nie doczekamy momentu, kiedy Mephisto w końcu znajdzie żonę. Biorę trąbkę i lecę na pole. – Kładzie dłonie na moich ramionach. – Ale będzie super!

Podeksycytowany znika za drzwiami pokoju i jest kolejną osobą, która trzaska mi nimi przed nosem. Ciekawi mnie to, co opowiedział, chociaż może to być jego swobodna interpretacja, przekręcenie faktów i lwia część dopowiedzeń, żeby dodać opowieści pazur. Był w końcu zbyt mały, żeby zapamiętać, jakie relacje faktycznie łączyły Diabła z bratem. Sądzę, że gdyby dane mi było poznać prawdę, mogłabym lepiej zrozumieć Mephista. Pomóc mu przejść przez trudny okres, mimo że nie jestem pewna, czy rzeczywiście jego zachowanie wynika ze zderzających go wyrzutów sumienia.

Głos z tyłu głowy nakazuje mi znaleźć pokój w przeszłości dzielony przez braci. Inny z kolei stanowczo to odradza, a ponieważ nie wiem, którego posłuchać, zdam się na zasadę pierwszeństwa.

W pośpiechu zakładam spódnicę i wybiegam z domu. Przed bramą wjazdową zauważam Galla. Przystaję za krzakiem, nie chcąc, żeby mnie przyuważył. Mam do załatwienia wiele spraw, a jego

obecność mogłaby pokrzyżować mi plany. Nie dziwi mnie, że go tu widzę. Wiedziałam, że sobie poradzą. Nino potrafi bez większych przeszkód wyswobadzać się z kajdanek, pamiętałam o tym. Być może nie powinnam zatajać tego faktu przed Mephistem, ale postanowiłam dać szansę Ninowi, mimo że do dziś w głowie dudnią mi jego słowa: "Jest tylko jedna osoba, za którą jestem odpowiedzialny. Ty nią nie jesteś". Powiedział wtedy prawdę, a ta czasem boli i za nic nie chce zatrzeć się w pamięci. Pochyliła przemykam za krzakami do czasu, aż znajduję się za ścianą budynku. Widok na tę część ogrodu roztacza się z naszego balkonu, więc wspomniane przez Vittoria drzewo rośnie najpewniej na tyłach domu. Gdy je znajdę, będę wiedzieć, na której z kondygnacji powinnam szukać dawnego pokoju Mephista i Erosa.

Wychodzę zza winkla. Najpiękniejsza jakaranda, jaką w życiu widziałam, od razu wpada mi w oko. Ma rozłożyste, obsypane fioletowymi kwiatami gałęzie. Przepelnia mnie odczucie wkroczenia do bajkowej krainy, do czasu, kiedy zauważam dwóch opierających się o pień żołnierzy. Zerkam to tu, to tam, niby od niechcenia kopię kamyk, podziwiam piękno przyrody. W skrócie, robię wszystko, żeby moje ruchy nie wyrażały zestresowania, lecz swobodę. Z tej strony budynku są tylko dwa, umiejscowione jedno przy drugim, okna. Jedno z nich jest otwarte na oścież i wisi w nim żółknięta, potargana firana.

– Spacererek? – pyta jeden z mężczyzn.

– Tak – rzucam bez zastanowienia i dopiero po chwili doznaję olśnienia. – Nie – poprawiam się. – To jest mój cel. – Wskazuję na drzewo. – Będę się tu opalać. Nago. – Drapię się po czole, gdy wytrzeszczą gały. – Więc musicie stąd pójść, żeby Mephisto nie wpadł w szal i inne takie. Po prostu, żeby nie zrobił tych różnych rzeczy, które się wam z nim kojarzą. – Wzruszam ramionami i uśmiecham się przyjaźnie, a oni od razu zrywają się z miejsca. O nic nie pytają, pędzą, nie oglądając się za siebie. Nie potrafię zdecydować, czy mnie to śmieszy, czy jednak przeraża.

Przystaję przy drzewie i unoszę głowę. Kolorowe płatki wirują na wietrze, a firana w oknie lekko trzepocze. Przelatuję ślinę i staram się odpędzić wizję, w której ktoś mnie zza niej obserwuje. Porusza nią wiatr. To jego sprawa. Na pewno. Przesuwam dłonią po chropowatym pniu. Wycięte są na nim imiona wszystkich braci. „Sisto”, „Casimiro”, „Vittorio”, „Mephisto” i „Eros”. Dotykam wyżłobionego przekreślenia. Ogarnia mnie smutek, złość i zawód. Nie potrafię określić, która z emocji jest dominująca, ale wiem, że wszystkie one spowodowane są tym, co opowiedział mi Vitto. Przez moment nie jest mi szkoda mającego wyrzuty sumienia Diabła, jeśli oczywiście w tym sęk, by po chwili jego też zrobiło mi się żal. Cała ja. Sama nie wiem, co czuć i myśleć, bo w każdym staram się dostrzec dobro. Mam już tego dość, wiecznej karuzeli uczuć, nieustannego rozchwiania.

Okrażam drzewo. Do drugiej strony pnia przybite są niewielkie, tworzące prowizoryczną drabinkę, deseczki. Robię kilka kroków w tył i ogarniam wzrokiem rozłożenie konarów, szacując szanse na dostanie się do wnętrza pokoju tą drogą. Oceniam je jako minimalne. Owszem, „Tarzan” to mój ulubiony film, ale nigdy nie marzyłam, żeby być bujającym się na lianach dzikusiem, tylko Jane, a to subtelna różnica. Z drugiej strony ryzyko, że zostanę przyłapaną, gdy będę przechadzać się po piętrach i poszukiwać właściwych drzwi jest większe niż mniejsze. Jezu. Tak trudno mieć na karku moją głowę!

Po raz kolejny tego dnia decyzja zostaje podjęta za mnie, bo zza rogu wyłaniają się don Pedro i Rufo. Wszystko wydaje się lepszą opcją niż spotkanie z nimi. Na samo wspomnienie naszego pierwszego starcia w holu robi mi się słabo. Włazę na drzewo, kurczowo zaciskając palce na deseczkach. Im jestem wyżej, tym większe odczuwam napięcie. Marzę o podrapaniu się po nosie, bo mam wrażenie, że nagle wszystkie mieszkające w koronie owady zgodnie odradzają mi zapuszczanie się w głąb ich kwiecistego królestwa, zawzięcie atakując z każdej strony. Przysiadam na jednym z szerszych konarów, czekając z ruszeniem dalej, aż Rufo i Pedro przejdą, ale oni przystają pod drzewem i zawzięcie dyskutują. Modłę się, żeby nie spaść na ich łby, bo więcej niż pewne, że oberwałabym w swój. Wystarczy, że spojrzą w górę, a ujrzą dyndający tyłek Jane świrującej Tarzana. Rety. Ten dzień miał szansę być naprawdę wspaniałym. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Przyznaję.

– Zadbaj, żeby w tym miejscu – zaczyna don Pedro, postukując podeszwą buta o ziemię – została postawiona pergola i podest dla mistrza ceremonii. Po lewej – wskazuje ręką – ludzie La Mantide, po prawej nasi. Krzesła muszą być oznaczone herbami obu rodzin. Po ślubowaniu oficjalnie przekażę synowi władzę. Prawnik nie zasiądzie z nami przy stole. Wpadnie tylko na moment. To kameralna uroczystość.

– A po co w ogóle go zapraszać? – Rufo zastanawia się głośno. Sama jestem ciekawa.

– Z chujem na łby się pozamieniałeś?! – wydziera się Pedro i uderza go w głowę. – Mephisto ma krwawe zobowiązanie Almy. Po ślubie połowa Levanzo zostanie przepisana na mnie. Już mam pomysł, co tam wybuduję. Ta dziewczyna buja w chmurach, nawet się nie czesze, po co komuś takiemu grunt? – pyta jakby sam siebie. – To jedyny plus tych zaślubin, bo ani to ładne, ani mądre, na pewno od początku chodziło mu o jej teren.

Odruchowo dotykam napuszonych włosów. Faktem jest, że dziś jeszcze się nie uczesałam, ale mam to w planach. Mephisto natomiast zdobywa kolejnego minusa. Wprawdzie spodziewałam się, że wypisał na tym okrytym złą sławą papierku tego rodzaju oczekiwania, ale nie sądziłam, że obrabują mnie z wyspy! Otrzymałam ją od Etny, żeby nie być od nikogo zależną i mam zamiar podzielić się moją częścią z siostrami, gdy będą już pełnoletnie. Nie oddam jej i już! I auć. Brzydka, głupia, naiwna, splekana. Tyle kaprysów losu w tak małym ciele. Zakrywam usta dłonią, żeby nie parsknąć gorzkim śmiechem.

– On powiedział, że dostaniesz jej majątek? – dopytuje Rufo.

– Tak. Familia to świętość. Nawet gdyby nie położył dłoni na piersi i nie złożył przyrzeczenia, wygłaszając: „Słowo Diabła”, wiedziałbym, że mówi prawdę. Rodziny się nie okłamuje.

Rufo śmieje się w głos. Jest w tym dźwięku coś tak złośliwego, że aż się wzdrigam.

– Jakoś podczas zaprzysiężenia, gdy przypiąłem go do poręczy i podpaliłem rozłożoną na jego ramionach, nasączoną naftą serwetę, to skłamał. „Wielka mi rzecz, chrzest ogniem. Nawet nie pisnę”. – Obniża tembr głosu, zapewne cytując Mephista. – A potem wrzeszczał i łzy jak grochy ciekły mu po ryju. Wnioski? Kłamał. – Rechocze, zginając się wpół. – I to jego nudne już: „Nigdy przed nikim nie klękne”. – Robi cudzysłów w powietrzu. – Jakim to trzeba być świrem? Nadstawiać plecy i przyjmować kary za braci. Jedno uklęknięcie i byłoby po problemie, ale nie, bo to zawzięty kutas – syczy ze złością i uderza pięścią w pień. – On coś knuje. Przeczuję kłopoty, gdy przekazesz mu władzę. Wspomnisz moje słowa.

– Co ty pieprzysz?! – unosi się don Pedro. – Myślisz, że trzeba być królem piekła, żeby nacisnąć na spust? Skoro nadal żyję, to chyba jasne, że o żadnych kłopotach nie może być mowy. Proste zasady dziedziczenia, Rufo. Jemu nie zależy na majątku, ani władzy. Gdyby tak było, znalazłby żonę wcześniej lub po prostu mnie zabił.

– Właśnie ciekawe, dlaczego jeszcze tego nie zrobił...

– To Mephisto. Moja wkurwiająca, ale jednak chluba. On nie potrzebuje powodów. Zawsze robi po swojemu, nie zważając na konsekwencje.

– Musi być coś, na czym szczególnie mu zależy. Właśnie dlatego, że to Mephisto, powinienes, powinniśmy – poprawia się – już nie żyć. A mimo to mamy się świetnie. Mówię ci, coś tu śmierdzi – dodaje szeptem.

Na szczęście akurat ze słuchem mi się poszczęściło. Dzięki, szczodry losie! Nie jestem głuchym, siedzącym na gałęzi ptaszkiem. Jedynie brzydkim, o, co oczywiście, ptasim mózdzku.

– Pamiętasz, jak kiedyś w złości powiedziałeś mi, żeby zapomniał o majątku? Że będzie musiał zadowolić się rupieciami, jako prezentem ślubnym? – drąży temat Rufo.

– Tak, ale miał minę! – Śmieje się don Pedro.

– Właśnie, ale miał minę... Zadowolona w chuj! To o to mu chodzi! On chce te graty, które mu obiecałeś! Tylko dlatego jeszcze żyjesz, bo jako jedyny wiesz, gdzie są te śmieci. Nie zabiega o władzę czy zachowanie tradycji, dlatego kładł lachę na to całe szukanie żony, do czasu, aż pojawiła się ta, no, ona, ten mały przychlast, Alma.

Serio, jeśli jeszcze dłużej posiedzę na drzewie i nasłucham się tych pochwalnych, wyrafinowanych psalmów na swój temat, to, gdy w końcu z niego zejde, będę najbardziej dowartościowaną osobą na świecie.

Ojciec Diabła wybucha gromkim śmiechem.

– Powtarzam ci, to Mephisto. On nie jest sentymentalny. Łuk po ciapowatym bracie, obrazy matki ćpunka. Ale wymyśliłeś. – Kręci głową. – Co to jest w obliczu całego naszego majątku? – Wyrzuca dłonie w górę w teatralnym geście. – Do meritum, sądzisz, że mój syn zabije mnie, gdy tylko ofiaruję



mu to, czego w twoim mniemaniu pragnie, tak? Nie poślubił pierwszej lepszej, by wcześniej zgarnąć wymarzony prezent – śmieje się kpiąco – tylko czekał do niemal trzydziestki, aż wręczę mu fanty jego starej i łuk, potocznie nazywany kawałkiem nic niewartego drewna? Nie bądź debilem. Nie za to ci płacę.

– No, tak właśnie uważam – stwierdza niepewnym tonem Rufo. – To zabrzmie nieprawdopodobnie, ale, ale – jąka się – widocznie jest coś, czego Mephisto pragnie równie mocno. Chce upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Zawsze tak robi. Za co się nie weźmie, gdy rozpala ten swój pieprzony piekielny płomień, załatwia od razu kilka spraw za jednym zamachem. Przeanalizuj jego poczynania, a dojdiesz do tego samego wniosku – mówi z przekonaniem. – Miał wiele dziewczyn i przy żadnej nawet nie wspominał o ślubie. Czekał na tą jedyną, ryzykując, że nigdy nie dostanie rzeczy po matce i Erosie. Nie miał pewności, że ktoś nie wyeliminuje cię wcześniej, jedynej osoby, która wie, gdzie są te pamiątki, a mimo to czekał.

– Bzdury pleciesz.

– I jednak pomyliłem się, mówiąc, że pragnie tych rzeczy równie mocno. Jest coś, na czym zależy mu bardziej. Ktoś. – Milknie. – Alma – dodaje.

– Maszyna do zabijania, bezwzględny, wyhodowany ojcowską ręką zwierz i miłość. Czy ciebie już do reszty popierdoliło?! – Don Pedro wydziera mu się do ucha. – Pół godziny temu spotkałem go na podjeździe. Pojechał do swojej dziwki. O takiej miłości mówimy? – Zanoszą się śmiechem i machają lekceważąco ręką. – On nawet nie zna tego słowa – kwituje i rusza przed siebie. Rufo przez chwilę stoi w bezruchu, aż w końcu do niego dołącza.

Kilka głębokich wdechów to jedyne, na co mnie teraz stać. Postanawiam nie zwlekać i dostać się do dawnego pokoju braci, mimo że w pierwszej kolejności wypadałoby udać się pod wskazany na mapce Mephista adres. Tyle że... nie chcę tego robić. Jestem tchórzem. Boję się, że ujrzałabym coś, co roztrzaskałoby moje serce w drobny mak.

Jestem przekonana, że nie byłabym w stanie utrzymać na twarzy maski obojętności. Nakładałam ją po uwolnieniu z leśnej chaty, podczas wlekących się, zlewających w jeden miesiąc. Pamiętam świdrującą mnie wzrokiem Etnę, próbującą zapewne dojrzeć to, co jak sama myślałam, znikło bezpowrotnie. Sądziłam, że cienka granica dzieląca kreację od rzeczywistości już się zatarła i bezpowrotnie utraciłam dawną siebie. Z tym że ja to ja. Pokiereszowana, rozchwiana, beznadziejnie ufająca...

„Ja czy ja?”. W głowie dudnią mi powtarzane przez Mephista słowa. To nie nowość. Rozgościł się w niej i moim życiu na dobre. Nawet teraz, gdy knuję coś, za co prawdopodobnie przyjdzie mi zapłacić, słyszę: „Jesteś trochę popierdolona, co?”. Ścieram z twarzy uśmiech. Naprawdę niewskazane jest, żebym szczerzyła się jak głupia do sera, skoro dziś wyjątkowo mam ochotę potrząsnąć Diabłem, a w zależności od tego, co odkryję, być może też ukatrupić. I właśnie dlatego, do cholery, że on to on; krnąbrny, głośny, chaotyczny kusiciel, któremu codziennie oddaję kawałek duszy, tak bardzo zabolaloby, gdyby jednak postanowił ją zniszczyć. Rozpalił uczucia, którym za nic nie chcę dać wolności. Im nie. Pragnę, żeby tliły się pod skórą, dlatego przysięgam, że jeśli bez skrupułów je ugasi, to... W głowie pustka. Rety, nawet nie potrafię formułować gróźb, pod których wpływem włos zjeżyłby się na karku.

Tracę równowagę, co sprawia, że wracam do rzeczywistości. Staję powoli, przytrzymując się jednej z gałęzi i mamrocę pod nosem modlitwę, życząc sobie, żeby natura nie poskąpiła mi chociaż gracji. Małymi krokami wchodzę na konar, znajdujący się najbliżej otwartego okna i wzdycham z ulgą, bo moje zdolności są jednak iście cyrkowe. Jestem na ostatniej prostej, bez wątpienia najtrudniejszej, ponieważ w rzeczywistości prostą jest tylko z nazwy. Między ścianą budynku a drzewem jest spora szczelina. Nie ma szans, żebym dostała się do środka, nie ryzykując skręceniem karku. Marzę o zaniechaniu wszystkiego, wycofaniu, ale pragnienie to nadchodzi dopiero wówczas, gdy podpieram stopę o zamontowany pod oknem klimatyzator. Zaraz okaże się, czy potrafię zrobić szpagat. Jezu. W ostatniej chwili, wiedziona głosem uśpionego do tej pory rozsądku, decyduję postawić wszystko na jedną kartę i łapię za parapet. Coś trzeszczy, skrzypi, odpada. Piszczę, gdy niestabilna podpora osuwa mi się spod stóp. Podciągam się ostatkiem sił i z hukiem wpadam do pokoju.

Otrzepuję ręce, ubrudzone białym, rozsypanym na podłodze proszkiem, a gdy tylko unoszę

wzrok, mam ochotę w tej samej chwili zrobić w tył zwrot. Co mi strzeliło do głowy?! Wyglądam przez okno, oceniając szansę na powrót tą samą drogą, bo zagłębianie się w przeszłość z tej perspektywy nie wydaje się już czymś na wskroś fascynującym. Nie na tyle, żeby chcieć tu zostać z nieprzymuszonej woli. Poklepuję policzki, by odgonić narastającą panikę, ponieważ dostrzegam, że wentylator wisi na jednym haku, a co za tym idzie, możliwości wskoczenia na konar są ograniczone, żeby nie pograżyć się bardziej i nie powiedzieć, żadne. Zanim ponownie się odwrócę, przymykam powieki i uspokajam oddech. To tylko pokój. Pomieszczenie, w którym na pewno rozegrało się coś potwornego. Być może miejsce śmierci Erosa.

Odwracam się niespiesznie, wciąż nie otwierając oczu. Aż w końcu to robię. Muszę działać. Tkwienie w jednym punkcie w niczym nie pomoże, tłumaczę sobie, ale to by było na tyle. Stoję jak wmurowana, wpatrując się w doszczętnie zwęglone podłogowe deski. Rama, jedyna pozostałość, najpewniej spalonego łóżka, straszy powyginanym pod różnymi kątami kształtem. Na ścianie widoczne są pomarańczowe, wyblakłe plamy. To tylko kompot, powtarzam w myślach. Tak jest łatwiej. Ten niewielki pokój przechodni, bo po prawej znajduje się drugi, oddzielony od tego harmonijkowymi drzwiami, zapewne należał do Erosa. Sądzę tak, ponieważ do żyrandola przywieszony jest nadszarpnięty zębem czasu, wirujący dookoła własnej osi, aniołek trzymający łuk. Na wprost okna znajduje się jak mniemam, garderoba. Sugerują to rozrzucone przy wejściu ubrania.

Krążę po pokoju, sama do końca nie wiedząc, czego szukam i co moja obecność ma na celu. Ściany nie mówią, duchy przeszłości także są wyjątkowo milczące. Wyciągam przytrzaśniętą szufladą wystającą kartkę. Naszkicowany jest na niej łuk, którego poszczególne części są dokładnie opisane; ramię górne, owijka cięciwy, rękojeść, postawa strzały. Na półce obok również piętrzą się podobne rysunki: budowa łuku tradycyjnego, klasycznego, sportowego, olimpijskiego. Jest też kartka urodzinowa z wytłoczoną liczbą 14. Otwieram ją. Erosie, mimo że jesteś cienki jak cięciwa, życzę ci, żebyś dożył następnych urodzin. Twoja lepsza połowa – Mephisto.

Chcę stąd wyjść. Jeśli Diabła rzeczywiście zzerają wyrzuty sumienia, to, cóż, powinny. Przystawiam ucho do drzwi wyjściowych. Nie dochodzi zza nich żaden dźwięk, więc delikatnie przekręcam gałkę, a gdy otwieram je na oścież, robi mi się słabo. Przejście jest zamurowane. Przyznam, że takiego sposobu odgradzania się od przeszłości nie znałam i to zdecydowanie jeden z tych sprawiających, że serce rozpoczyna szaleńczy galop. Odwracam wzrok od spalonego łóżka, odczuwając narastający na nowo niepokój. Świadomość, że nie wiem, jak się wydostać, sprawia, że otaczające mnie przedmioty, a nawet dyndający na lampie aniołek nagle sprawiają wrażenie tysiąc razy straszniejszych, niż były przed momentem. Mało tego, ciemne wnętrza garderoby wzbudza trudny do okiełznania strach. Wyteżam wzrok, w uszach dudni puls i wtedy to dostrzegam, zarys stojącej w jej głębi postaci.

– Kto jest w garderobie? – pytam złęknioma, ale odpowiada mi głucha cisza. Na ścianie znajduje się włącznik światła. W równej mierze chcę go wcisnąć, jak nie mam na to ochoty. – Ja, ja – dukam – włączę światło. Jestem Alma – powoli zbliżam się do wejścia – i jestem dobra. – Unoszę i obniżam dłonie w uspokajających gestach. Wdech i wydech.

Pstryk.

Piszczę i podskakuję w miejscu, by po chwili zaśmiać się w głos. Jezu. Umysł potrafi płać figle. Zarys domniemanej postaci to jedynie wysoki wieszak, na którym wiszą różne szmaty. Wchodzę do środka i rozglądam się dookoła. Trudno stwierdzić, czy to garderoba, czy jednak rupieciarnia. Na podłodze zalegają kartony, o ściany oparte są pozwijane dywany, a w rogu stoi zakurzony kufer. Przechodzę między pudłami, kurz i zapach stęchlizny unoszą się w powietrzu. Jestem pewna, że od dawna nikt tu nie zaglądał. Uchyłam wieko skrzyni i odrzucam na bok materiał zakrywający jej zawartość. Na tle starych leżących na dnie fotografii jeden przedmiot zdecydowanie się wyróżnia. Nadpalony łuk. Przesuwam po nim palcami i wyciągam, chcąc przyjrzeć mu się z bliska. Obracam go do momentu, aż zauważam wypalony na nim napis. Te same słowa, które znajdują się na nagrobku Spirito. Nie było mi dane doczytać ich do końca, bo zemdlałam, mimo to nie uważam, że bym coś straciła. W części czy w całości, nieistotne, i tak mam problem z interpretacją.

TAK BARDZO MARTWY.

TAK BARDZO ŻYWY.

I ja, tak bardzo głupia, skoro skusiło mnie myszowanie. Tak czułam, że przyjdzie mi za to zapłacić. Nie mam wyjścia, muszę zadzwonić do Galla. Poprosić o pomoc i dochowanie tajemnicy. Będę go błagać, żeby nikomu nie zdradził, że ośmieliłam się odwiedzić to sekretne pomieszczenie. Nie oczekuję wiele. Jedyne podstawienia drabiny. Rety, ten dzień nie może być gorszy.

Zerkam do pudeł, w których pochowane są stare zabawki, ubrania i szkolne podręczniki. Zza szafy wystaje kawałek złotej rami. Wyciągam obraz, będący rodzinnym portretem i opieram go o ścianę. W dolnym rogu widnieje podpis: „Eva Gotti”. Robię krok w tył, żeby przyjrzeć mu się z szerszej perspektywy, bo coś nie gra. Na portrecie nie ma Erosa. Mephisto jest za to podwójny. Domyślam się, że to jedno z dzieł namalowanych przez ich matkę. Musiała być na niezłym hajku. Chyba że...

Klękam i wyjmuję z kufra zdjęcia, tasuję je, przeglądając jedno za drugim. Mimo że dłonie drżą mi coraz bardziej, nie to jest powodem dwojenia się obrazu w oczach. Przypominam sobie słowa Vitta. „To chyba fenomen tej całej, szczególnej więzi oplatającej go z Erosem”. No jasne. Eros i Mephisto. Bliźniacy.

Pewnie długo siedziałabym z rozdziawionymi ustami, ale zrywam się, słysząc tępy odgłos, porównywalny do dźwięku, jaki towarzyszy upadającym na podłogę przedmiotom. Wychodzę z garderoby, nasłuchuję i rozglądam się po pomieszczeniu. Na podłodze wśród rozsypanych świeżych, wpadających przez okno płatków i proszku, widoczne są ślady butów. Serce znów pędzi szaleńczo. Odciski moich podeszew, te prowadzące od okna i znajdujące się przy garderobie, są małe. W przeciwieństwie do tych wiodących do pokoju ulokowanego za harmonijkowymi drzwiami. Nie zwróciłam uwagi, czy były tu wcześniej, ale skoro drzwi są zamurowane, a wejście oknem niemożliwe, cały czas musiałam mieć towarzystwo.

Podbiegam do parapetu, bo ryzyko, że klimatyzator całkiem się oberwie jest i tak lepszą opcją, niż spotkanie z kimś ukrytym w pokoju, lecz wtedy go zauważam. Niespiesznie wysuwający się, przeslizgujący po framudze palec. Zamieram, gdy harmonijka zaczyna sunąć po szynie, a moim oczom ukazuje się...

– Eros? – szepczę, na co on niepewnie potakuje i spłoszony znika w głębi pokoju.

O kurwa.

Rzadko przeklinam, ale tu odwała się coś bardzo dziwnego. Trudno ogarnąć to rozumem. On żyje. Jest brudny, ma usmoloną twarz, podarte ubranie, rozczochrane włosy i przerażone spojrzenie. Przystaję w progu. Eros siedzi na łóżku, bujając się w przód i w tył. Wyszczersza zęby i syczy jak dzikie zwierzę, więc odruchowo robię krok w tył.

– Nie zrobię ci krzywdy – zapewniam. – Mam na imię Alma. Jestem dobrą osobą i możesz liczyć na moją pomoc – tłumaczę niczym dziecku, mimo że mam przed sobą dorosłego mężczyznę. – Mogę podejść bliżej?

Mruży oczy, jakby przetrwał w myślach usłyszane słowa, a po chwili kiwa głową. Planuję usiąść na ustawionym naprzeciwko łóżka fotelu, ale Eros obejmuje mój nadgarstek, mocno zaciskając na nim palce i wciąga na materac. Piszczę, a serce wali szaleńczo, gdy skupia wzrok na moich odsłoniętych nogach i umieszcza rękę nad udem. Wyraz jego twarzy to kotłowisko sprzecznych emocji. Wygląda na walczącego z chęcią dotknięcia mojej skóry, aż w końcu mnie głaszcze.

I wszystko jasne.

On jest popieprzony.

– Czyli jesteś Erosem... – rzucam głupio. Przybliży się, wciąż nie luzując uścisku na ręce, nasze twarze dzielą od siebie milimetry. Pociera policzkiem o mój. Głośno przełykam ślinę.

– Tak – mówi chrapliwym głosem, jak człowiek, który od lat nie wypowiedział słowa.

– A dlaczego tu tkwisz, skoro możesz wyjść oknem? I czym się żywisz? Grzybem ze ściany? I dlaczego wpatrujesz się we mnie tak, jakbym była twoją Alną i niemal dostajesz rzucawki, dotykając mojego zimnego uda?

– W kurwę, Almo, zepsułaś zabawę! – Mephisto zrywa się z łóżka. – Odegrajmy to jeszcze raz – proponuje. Jestem pewna, że patrzę na niego jakby był niespełna rozumu. Coś w tym jest, do cholery. – A na początku dobrze mi szło? – dopytuje. Czuję, że oczy wychodzą mi z orbit. – Pomyślałaś sobie: „O, jaki biedny dzikuszek”?

– Tak. – Przewracam oczami. – Nabralbyś mnie, gdybyś się tak nie przybliżał. Pachniesz jak ty, masz jakąś drzazgę w palcu. Poczułam ją rano, gdy dotykałeś mojego brzucha, a teraz uda. Do tego ten strupek na twarzy. Mówiłam ci wczoraj, że kształtem przypomina Sycylię. – Wzruszam ramionami. – Skąd się tu w ogóle wzięłaś?

– Najpierw zadzwonił do mnie Vitto. Przyznał się, że nieco go poniosło w interpretacji pewnych zdarzeń z przeszłości i nagadał ci jakichś bzdur. Potem Gallo, mówiąc, że zachowujesz się dziwniej niż zwykle i udajesz krzak. A na koniec sługusy, których przegoniłaś spod drzewa, strasząc mną.

– I postanowiłaś zgrywać zamurowanego w pokoju człowieka, który postradał zmysły?

– Serio udało mi się odegrać, że ogarnął mnie obłąd? Ja pieprzę, tyle talentów... – Kręci głową, udając, że sam nie wierzy w swoją zajebistość. – I tak, Almo, zapożyczyłem ten pomysł z książki, którą zabrałem ci w leśnej chacie. Bohaterka odnajduje zdziczałego typka, wpaja mu podstawy ogarniania rzeczywistości, przez ich ciała przechodzi prąd, dreszcz i trudna do opisanego słowami ekstaza, a na koniec usmolony szczęściarz po raz pierwszy ma okazję poruchać.

– To na pewno nie moja książka – kłamię i zakładam ręce na piersi. – A w którym momencie ona odkrywa, że odgłosy dochodzące z piwnicy to jego sprawka?

– A skąd wiesz, że dochodziły z piwnicy? – Mephisto wybuchł śmiechem. – W każdym razie żałuj, że zjełaś zabawę. Seks w pościeli niezmienną od dwunastu lat musi być w kurwę, Almo. – Chichocze diabelsko i przyciąga mnie do siebie. Nie sposób się nie uśmiechnąć, patrząc na tego kocmołucha. – Stary ustalił datę ślubu...

– Wiem, słyszałam – wchodzę mu w słowo. – I inne rzeczy też, opowiedzieć jakie? A chcesz wiedzieć, co znalazłam i jak wywnioskowałam, że Eros i ty byliście bliźniakami? A zdążyłeś dojechać w to miejsce, które miałeś zaznaczone na mapie? Chyba nie, skoro tak szybko pojawiłeś się z powrotem? – nawijam, ledwo łapiąc oddech. – A czy to prawda, że...

Przykłada dłoń do moich ust.

– Później mi opowiesz. – Zerka na zegarek. – Muszę się wykapać i jechać, bo przez ciebie będę spóźniony.

Chwyta mnie za rękę i ciągnie za sobą, a gdy przechodzimy przez pokój Erosa, przymyka oczy i robi głęboki wdech.

– A jak się tu dostałeś?

Diabeł uchyla przywieszony do ściany materiał, ukazując wejście do zakamuflowanego pomieszczenia. W podłodze znajduje się drewniana kłapa, którą uchyla.

– Zejdę pierwszy, bo schody są strome. Złapię cię, jeśli okażesz się pokraką.

Jak zwykle miły i czarujący.

– Mephisto, a dlaczego napisałeś bratu takie niemiłe życzenia na kartce urodzinowej? – pytam, stawiając stopę na śliskim, kamiennym schodku. Chcę porozmawiać o czymkolwiek, słyszeć jego głos, bo po zamknięciu drzwiczek przejście skąpane jest w mroku. – Znalazłam ją w jego pokoju.

– Nie zrobiłem tego.

– Przecież widziałam. I dlaczego podpaliłeś Erosowi łuk?

Warknięcie Mephista odbija się echem od ścian.

– Asekurujesz mnie tam, czy jednak odpuściłeś? Wkurzam cię? – dopytuję. – Ale tu ciemno. Masz zapalniczkę?

– Mam, ale to miejsce jest przyjaźniejsze, gdy panuje w nim ciemność. Taki paradoks. – Śmieje się cicho, podczas gdy słyszę jęk bóleści.

– Słyszałeś? – Przystaję w miejscu.

– Tak. Jęknąłem. Złaż.

– To nie ty, bo w tym czasie się śmiałaś.

– Zrobi ci się lepiej, jeśli powiem, że masz rację? – Wybuchł nieadekwatnym do grozy sytuacji śmiechem. – Masz. Co więcej, jesteś najpiękniejszą duszą, jaka kiedykolwiek gościła w tym tunelu. Casimiro przyjmuje tu swoich gości.

– Reasumując, Mephisto, nie jesteśmy tu sami?

– Na to wychodzi. – Chichocze.

Jeśli się ociągałam lub starałam się schodzić ostrożnie, to już tego nie robię. Jak to dobrze, że Diabeł jest niepoważny, niepoprawny, do cna niereformowalny i postanowił się po mnie pofatygować. Gdybym odkryła to tajemne przejście, na pewno postradałabym zmysły, słysząc te jęki. W końcu wyczuwam stabilny grunt pod stopami. Mephisto łączy nasze dłonie, a po chwili rozlega się zgrzyt zamka i odgłos przesuwania zapadki. Mrużę oczy, oślepią wpadającym przez kolorowe witraże słonecznym blaskiem.

– Tymi drzwiami wejdiesz do kuchennej spiżarni. – Wskazuje na nie. – Przebiorę się i cię znaję. Nikomu nie mów o naszej zabawie. Jasne?

– Ja się w nic nie bawiłam.

– Dokładnie o to mi chodzi. – Uśmiecha się szeroko, a przecież po prostu stwierdziłam fakt.

– A mogę jechać z tobą tam, dokąd się wybierasz? – pytam, bo później będę wyrzucać sobie, że tego nie zrobiłam, a w głowie zagości milion scenariuszy i wizualizacji pozycji, w których Mephisto zabawia się ze swoją ukochaną.

– Nie – odpowiada od razu.

– Powiem wprost. Widziałam napis: „Pożegnanie ukochanej” i twój ojciec powiedział, że pojechałeś do swojej dziwki – wyrzucam z siebie. – Jeśli ci nie pasuje, to bujaj się, gościu – przeganiam go ręką – i nie zwracaj mi głowy, bo mam inne rzeczy do roboty.

– Na przykład jakie?

– Inne. Teraz nie uściśnę, bo pomysły wpadają mi do głowy zniecka. – Unoszę dumnie brodę.

– Taa. Za pół godziny na podjeździe. – Kręci z niedowierzaniem głową. – Zastraszyłaś mnie słowem „pomysł”. Świat się, kurwa, kończy.

– Dobra decyzja. – Unoszę kciuk i uśmiecham się zadowolona, po czym znikam za drzwiami spiżarni i przechodzę do kuchni.

Przy stole siedzi Casimiro i czyści rozłożoną spluwę, a za nim stoi Sisto, który smaruje mu plecy kremem.

– Będzie opalanie? Idziesz na plażę? – pytam.

– Jasne, a ty ze mną, żebym mógł cię zakopać – odpowiada Casimiro, wpatrując mi się w oczy.

– Na mnie nie działają takie teksty. – Wzruszam beztrudnie ramionami, mimo że boję się go, gdy łypie na mnie groźnym wzrokiem. Nie wiem, co mu chodzi po głowie, bo prawie ze mną nie rozmawia. – Siostry mówią mi czasem gorsze rzeczy. Dlaczego masz minę, jakbyś hamował wymioty? – zwracam się do Sista.

– Może dlatego, że hamuje? – burczy Casimiro.

Staję za jego plecami i nabieram powietrza. Podobnie jak Diabeł ma poparzoną skórę, ale nie w tak rozległym stopniu. Mrugam energicznie, chcąc odpędzić zbierające się pod powiekami łzy, ale bez zadowalającego rezultatu, więc wachluję twarz dłońmi. Sisto unosi brwi i stuka palcem w czoło. Jeśli sugeruje to, o czym myślę, czyli, że jestem nadwrażliwa, to żadne zaskoczenie. Wiem o tym.

– Mam do was pytanie – zaczynam, rozprawiając na plecach krem, którego jest o wiele za dużo. – Za co przebieraliście się podczas świąt?

– Ja za kaktusa. Robiłem kolce z folii aluminiowej. – Rozpromienia się Sisto. – A potem, o ironio, w kaktusach kitrałem towar. Pamiętasz? – Klepie brata po ramieniu. – Diabeł zaproponował ten genialny – robi cudzysłów w powietrzu – sposób. I wsadzili mnie przez to do paki. On to wiecznie coś wymyśli, ale sam łap nie umoczy.

– Wsadzili cię, bo szykując transport zostawiłeś w kontenerze swoje dokumenty, idioto – prychnął Casimiro. – Ja za nic się nie przebierałem. To denne.

– Kłamie – dopowiada Sisto i puszcza do mnie oczko. – Udawał Draculę, bo od dziecka ma hopla na punkcie krwi i biegał za Erosem jak kot z pęcherzem, żeby się w niego wgryźć. W końcu ci się udało, pamiętasz? – zwraca się do brata, ale nie uzyskuje odpowiedzi. – Stara myślała, że go zagryzł. Było mnóstwo krwi. Jego i jej, bo rzygała juchą. – Wzdryga się na to wspomnienie. – Nigdy nie zapomnę słów, jakie wypowiedziałaś, gdy go ugryzłaś.

– Dobra, cicho – warczy Casimiro. – Smaruj dalej – dodaje, nie wiedząc nawet, że brat od kilku minut nawet nie dotknął jego pleców. Wyręczam go.

– Powiedział: „Łap nieśmiertelność, Erosie” – kontynuuje Sisto. Na ramionach Casimira pojawia się gęsia skórka. – A tu kłapa. Zakłęcie jednak nie podziałało, skoro jest tak bardzo martwy.

– A za kogo przebierał się Mephisto? – pytam lekkim tonem, nie chcąc zdradzić, że właśnie skuteczniam łączenie kropek. A mózg mi niemal paruje.

– A jak myślisz? To chyba nie jest arcytrudna zagadka. – Sisto się śmieje, a brat wchodzi mu w słowo.

– Za anioła.

– Znów kłamie. Za diabła. Stąd jego ksywa.

– To było dawno. Ma prawo ci się pierdolić – warczy Casimiro.

– Mów za siebie – odpyskowuje mu brat, a po chwili dodaje: – A zresztą, chuj wie. Czy to ważne? Nastaje niezręczna, wręcz nerwowa cisza. Na mnie już pora.

– Skończyłam. Poczekaj, aż krem się wchłonie, żeby nie pobrudzić koszulki – doradzam i myję ręce nad zlewem. Katem oka widzę, że Sisto wycofuje się z kuchni.

– Co niby skończyłaś? Nie mów, że to ty wysmarowałaś mi plecy. Ale bym się wkurwił.

– W takim razie tego nie powiem. Logiczne. – Przewracam oczami. – Gdybym jednak przyłożyła do tego rękę, to dlatego, że zawsze robię to, co dyktuje mi serce. Taka już jestem.

Casimiro wstaje od stołu, okrąża go i zrównuje się ze mną. Opiera ręce o kuchenny blat i patrzy mi prosto w oczy.

– A ja zawsze słucham rozumu i wiesz, co mi teraz podpowiada? – Nie czeka na odpowiedź. – Że lepiej nie wchodzić do piaskownicy i nie wkręcać się na chama w zabawę, której zasad się nie rozumie. Przypadkiem można zdeptać babkę, którą ktoś z zapalem chroni przed podmuchami wiatru i każdą kroplą deszczu.

– Ale z ciebie poeta – mówię.

– Jeśli będziesz grzeczna, dam ci poczytać moje spisane cudzą krwią wiersze. – Uśmiecha się lekko, co jest rzadkim widokiem.

– Tyle że ja w nic się nie bawię.

– Naprawdę? Siedziałem w kuchni, gdy wybiegałaś z domu. Jestem tu od tamtego czasu, a nie zauważyłem, żebyś przechodziła tędy do spiżarni, z której wyszłaś. – Przybliżyła się i pociąga nosem. – Wszędzie wyczuję ten zapach. Mieszanka krwi i tunelowej wilgoci. Poznałaś mojego gościa?

– Słyszałam tylko jęk. – Wzdrygam się na to wspomnienie. – W pierwszej chwili pomyślałam, że to uwięziony Eros, bo przez Mephista mam na tym punkcie schizę.

– Są dusze, których nie da się spętać w żaden sposób, więc nie, to nie on. Ta jęczydusza, którą miałaś przyjemność słyszeć, to moja inspiracja, dostawca krwawego tuszu. – Puszczą do mnie oczko. – Nie łaż tam. To moje ulubione miejsce. Nie będę się nim dzielił.

– Mówisz poważnie?

– Na tyle, na ile może mówić gość, który chciał zagryźć brata. – Zmierza w stronę drzwi. Gdy znika w holu, pozwalam sobie na westchnienie ulgi i wychodzę z domu.

Myślałam, że Mephisto nie dość, że już niecierpliwie wyczekuje mojego przybycia, to dodatkowo się piekli, ale nigdzie go nie zauważam. Obrywam z krzaka listki, gdy dostrzegam, stojącego przed furtką, ubranego w garnitur mężczyznę. Macha i uśmiecha się przyjaźnie, jakby mnie znał. Zerkam za siebie, bo być może wita się z kimś innym, ale nikogo za mną nie ma. Wzruszam ramionami, a potem unoszę rękę, żeby się przywitać.

– Cześć, Almo! Super, że akurat wyszłaś, spadasz mi z nieba! – wykrzykuje. – Jadę z don Pedrem do lekarza. – Wskazuje na zaparkowany przed bramą samochód z przyciemnianymi szybami. – Przyniosłabyś kluczyki od wozu, bo zapomniałem zgarnąć z komody? – pyta z nadzieją.

Nie potrafię skojarzyć jego twarzy, ale skoro zna moje imię i wie, gdzie są klucze, najwidoczniej jest pracownikiem Gottich.

– A nie możesz sam ich wziąć? – pytam trzeźwo.

– Jestem przesądny, nie chcę przechodzić ponownie przez próg, skoro wyszedłem. To przynosi pecha, a Pedro już się wkurza, wiesz, jaki on jest. – Wykrzywia usta. – Zagroził, że wyleje mnie z pracy, a mam na utrzymaniu rodzinę i psy, które niedawno przygarnąłem. One żrą za pięć – tłumaczy. – A

dobra, zaryzykuję, skoro nie chcesz pomóc. – Łapie za klamkę. – Najwyżej nie dożyję wieczora – dodaje nerwowo.

– Dobra, stój. – Unoszę dłoń w geście nakazującym pozostanie w miejscu. – Zaraz będę! – Biegę z powrotem do domu. Kluczyki faktycznie leżą na komodzie tuż przy drzwiach wejściowych. Wracam i przekazuję je przez szczelinę w furcie.

– Dzięki. Życzę ci, żeby spotkało cię wkrótce coś miłego. – Kącik jego ust lekko się unosi.

– Bardzo dziękuję i tobie również tego życzę. Pa i wspaniałego dnia! – Podskakuję i macham na pożegnanie, gdy odjeżdża.

Siadam na zacienionych schodach werandy. Po upływie pięciu minut zaczyna mi się nudzić, a wątpliwość, co do szczerości obiecującego zabrać mnie ze sobą Diabła, coraz mocniej postukuje mnie w ramię. Wstaję z zamiarem odszukania go, ale kiedy podchodzę do drzwi, otwierają się z impetem, a z domu wychodzi Mephisto.

Przez chwilę wydaje mi się, że widzę przechodzącego korytarzem za jego plecami don Pedra. Mrugam. Jednak mi się zdawało. To niemożliwe, skoro pojechał do lekarza. Upał daje mi się we znaki. „To nie mógł być on”, powtarzam w myślach do czasu, aż zacznam w to wierzyć.

– Długo zeszło, bo nie mogłem się domyć. W kurwę z taką zabawą, Almo. Następnym razem mnie nie namawiaj. – Wciska mi w ręce sweter, więc patrzę na niego pytająco. – Będzie chłodno, gdy będziemy wracać.

Biegę za nim, bo szybkim krokiem zmierza w stronę samochodu. To nic, że pędzi nawet nie sprawdzając, czy nadążam i wmawia mi, że to ja zachęcam go do obsmarowywania się sadzą. Nie szkodzi, że zajmował mi książkę i zdradził zakończenie, bo i tak frunę wysoko nad ziemią, jakbym do stóp miała przyczepione skrzydełka. Drobnym gest, jakim jest wręczenie swetra, znaczy dla mnie więcej niż wzniosłe wyznania miłości. Mam swoje miejsce w myślach Mephista, bo jestem dla niego ważna. Ewentualnie nie chce po prostu, żebym zakłócała mu spokój odgłosem szczękania zębów, ale ponieważ pierwsza opcja brzmi lepiej, to właśnie ku niej się skłaniam.

Wyjeżdżamy z terenu posesji. Jestem podekscytowana. Nie miałam zbyt wielu okazji, by zwiedzić Palermo, a moja ostatnia, całonocna balanga w tym mieście skończyła się w radiowozie. Szczęście w nieszczęściu, bo zanim wpadliśmy w imprezowy wir i przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie, zastanawialiśmy się, czym wrócimy do domu. Skręcamy w wąską uliczkę. Mephisto klnie pod nosem, niezadowolony, że musi zwolnić, gdy tłum turystów wręcz wylewa się z robiącego wrażenie budynku.

– Ale piękny zameczek! – Stukam palcem w szybę. – Ciekawe, czy mieszka w nim jakiś przystojny książę. – Rozmarzam się, opierając brodę na dłoni.

– Taa, przystojne szczątki cesarza Fryderyka II. To katedra, Almo – poucza mnie i trąbi wściekle.

– Bardzo mi się tu podoba. Wspaniałe zabytki. W Katanii trzeba się nachodzić i samemu odkrywać takie perełki, a tu zameczek na zameczku.

– To nie są, kurwa, zameczki – warczy i wciąż trąbi, jakby sądził, że tłum nagle się rozstąpi, bo jedzie Diabeł prosto z piekła. Chichoczę, na co Mephisto kręci głową. – Chcesz teraz kupić suknię ślubną, czy gdy będziemy wracać? Akurat przejeżdżamy obok sklepu. – Wskazuje na oszkloną witrynę.

– Wolę później. A można kupić na kreskę? Bo nie mam kasy. – Udamę, że biorę pod uwagę taką opcję, ponieważ chcę go rozśmieszyć.

Uśmiecha się pod nosem, jakby mnie przejrzał i kładzie dłoń na moim udzie. Nic nie mówi, ale przynajmniej już się nie wścieka. Wjeżdżamy w ulicę wypełnioną sklepami drogich marek. Zerkam na tabliczkę przyczepioną do elewacji jednego z budynków. **Via Ruggiero Settimo.**

– Palermo jest fajne. – Przerywam panującą ciszę, bo mam wrażenie, że nagle zaczęła nam ciążyć.

Mephisto śmieje się gorzko.

– To najmniej odpowiednie słowo, jakiego można użyć, Almo. Chcąc poznać miasto, dowiedzieć się, kim jest nasza rodzina, ja, ty, musisz czytać między wierszami. Iluzja. – Parkuje i zatacza krąg ręką. – Jeśli spojrzalabyś tam, gdzie inni boją się patrzeć, dostrzegłabyś, co znajduje się pod złudną warstwą. Fajny może być unoszący się w powietrzu zapach cytrusów, co nie znaczy, że zamaskuje smród płynącej

uliczkami krwi. Podobnie, jak nie rozwiąże więzów zależności oplatających mieszkańców, polityków i służby. To miasto skrywa tajemnice, niewidoczne gołym okiem sekrety. Palermo to ja. Jeszcze tego nie czujesz, ale Palermo to również ty. – Pochyliła się i obejmuje moją twarz. – A przecież nie jesteś pospolicie fajna, tylko totalnie wyjątkowa.

Wysiada z auta, więc idę za jego przykładem. Rozglądam się dookoła, nie do końca wiedząc, co tu robimy. Oprócz wystawnych punktów sprzedażowych nie dostrzegam nic, co byłoby warte uwagi.

– Co tu sprzedają? – Wskazuję na lustrzaną witrynę sklepu, przed którym zaparkowaliśmy.

Podchodzę bliżej, robię z dłoni daszek i niemal przyklejam nos do szyby.

– To lustro weneckie, więc z tej strony nic nie zobaczysz – tłumaczy Mephisto.

Unoszę głowę i zerkam na szyld. Zapewne mam minę z serii tych: „Wiem, że nic nie wiem”, bo nad wejściem wisi kolorowa, obsypana milionem kropek, składająca się z identycznych wzorów plansza.

– Co to? – Wskazuję na nią. – Dlaczego nie wiadomo, co tu sprzedają? Szyld bez napisu. Bezsens.

– Iluzja – odpowiada Diabeł. – Opowiadałem ci o niej przed momentem. – Przystawia palce do skroni. – Nie widzisz napisu, bo nie wiesz, jak patrzeć, żeby go zobaczyć. To stereogram. Pod trudną do rozszyfrowania powłoką ukryty jest trójwymiarowy obraz.

Znów to samo. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że ma na myśli mnie. I siebie. Gdy porównywał nas do Palermo, próbowałam nie okazywać żadnej emocji. Gdyby tylko wiedział, co ukryte jest pod cienkim materiałem mojej bluzki, pożałowałby ciekawości, chęci zajrzenia głębiej i zamarzył o owinięciu mnie szczelniej. Nie jedną, a wieloma warstwami. W porządku. To miasto to ja. Ale dlaczego jest nim Diabeł?

– A ty co ukrywasz, Mephisto?

Wybucha tak głośnym śmiechem, że aż zwraca na nas uwagę przechodniów.

– Zgaduj-zgadula, Almo. Połącz w końcu te kropki kreskami. – Chichocze diabelsko, gdy wiedziona ciekawością, co znajduje się w środku, ciągnę za klamkę sklepu. – Musisz zrobić z palców rogi, wtedy na pewno ktoś cię wpuści – informuje.

Stoję przed lustrzanymi drzwiami i przystawiam palce do skroni. Czekam. I nic. Obdarzam Mephista pytającym spojrzeniem.

– Nie działa? A zrobiłaś groźną minę?

– A trzeba? Na przykład taką? – Robię rogi i wykrzywiam twarz w grymasie.

– Nie widzę z tej odległości. Podejdź bliżej. – Przywołuje mnie, opierając się o bok auta. A gdy do niego podchodzę, obejmuje mnie w talii. – Jest dobrze. Sądźmy, że robisz wrażenie.

– Ty i Eros?

– Nie. Ja i mój kutas. – Przyciąga mnie do siebie, przez co nie wątpię w szczerść tych słów. Mocno wbija palce w moje biodra.

– Auć – piszczę odruchowo, a on od razu unosi ręce i wzdycha przeciągle. Nie mam wątpliwości, „delikatność” to nie jego drugie imię. Czuję gorąco na twarzy, bo moje ciało bardzo za nim tęskni, a od naszego pierwszego razu Mephisto trzyma się na dystans. W tym przypadku udało mi się chyba połączyć kropki. Kładę jego dłonie z powrotem na biodrach. – Nie przeszkadza mi, że jesteś taki – myślę nad odpowiednim słowem – ekspresyjny, czy tam narwany. Czuję całą sobą, że bardzo mnie chcesz i na pewno nie będę już taka uparta, żeby nie powiedzieć głupia, jak ostatnim razem. Przyznam się, gdy coś mnie zaboli i nie będziesz musiał się nade mną litować i zdawać na intuicję.

– Nie zlitowałem się nad tobą.

– Każdy ma prawo postrzegać to, jak chce. – Wzruszam ramionami. – W każdym razie nie wykręcaj się, mówiąc, że nie jesteś w stanie dać mi niczego miłego w obawie, że mnie skrzywdzisz.

Marszczy brwi i patrzy z powątpiewaniem, zapewne chcąc zasugerować, że plotę bzdury, ale wiem, że mam rację.

– Nie chcesz przyznać, że jestem dla ciebie ważna, ale to po prostu widać. Chcesz coś dodać?

– Usatysfakcjonuje cię słowo „pomidor”? – pyta poważnie, ale na jego twarzy błąka się cień uśmiechu. – Chodźmy, Almo, bo moja ukochana – robi cudzysłów w powietrzu – na myśl, o której zazdrość zżera cię od środka, nie będzie czekać wiecznie. – Ciągnie mnie za rękę.

– Wcale, że nieprawda – oburzam się. – To nie tak, że rozmyślałam, kim jest ta osoba i



planowałam przyjechać tu, żeby przyłapać was na gorącym uczynku. Bez przesady. Nie mam na twoim punkcie – kręcę palcem przy głowie – jakiegoś fioła.

– Tu nie dojeżdżają autobusy.

– Chciałam zamówić taksówkę – uświadamiam go. – Na twój koszt.

Diabeł się śmieje, a ja jestem zażenowana, bo przeczę sama sobie. Właśnie potwierdziłam, że jednak miałam zamiar zabawić się w detektywa.

Mephisto wyciąga z portfela czarną kartę i przykłada ją do czytnika umiejscowionego przy drzwiach. Wchodzę pierwsza. Już od progu uderza we mnie podmuch ciepłego powietrza niosący... zapach lasu. Mephisto zamyka za nami i przechodzi dalej, bo stoję jak zaczarowana. Moje wyobrażenie tego, co znajduje się w ukrytym za lustrzaną witryną miejscu, znacznie odbiega od rzeczywistości. Nie dostrzegam żadnej rozkładającej nogi, kuszącej Diabła dziewczyny, która od rana zaprzętała moje myśli. Jest za to grupa ubranych w fartuchy i okulary ochronne głośnych mężczyzn. Jeden piłuje drewno, a towarzyszący temu odgłos omal nie wprawia mózgu w drżenie, drugi je waży, trzeci zaplata jakieś sznurki. Pomijam tych, którzy wachają deski, bo nawet mnie wydaje się to aż nadto odjechane. Na podłodze walają się wióry i narzędzia, których nazw nie znam. Mephisto prowadzi ożywioną rozmowę. Jest głośno jak w ulu.

– To jakaś fabryka?! – krzyczę i zakłopotana drapię się po głowie, bo nastaje kompletna cisza.

Mam wrażenie, że słyszę odgłos trzepoczących rzes Mephista, gdy mruga w ekspresowym tempie, jakby nie dowierzał w to, co usłyszał. Mężczyźni wpatrują się w niego. Sprawiają wrażenie czekających na diabelski werdykt. Niemal widzę odmalowane na ich twarzach pytanie: „A tej pani to odcinamy niemądry łeb już teraz, czy dajemy jej szansę, licząc, że jeszcze zmądrzeje?”.

– A widzisz tu jakąś maszynę? – pyta Mephisto.

Odnoszę wrażenie, że najchętniej udusiłby mnie teraz gołymi rękami. Tylko po to, by łatwiej było stracić moje bezwładne ciało w przepaść.

– Wprawdzie teraz nie widzę – rozglądam się dookoła – ale nawet, jeśli czegoś nie widać, to nie znaczy, że nie istnieje. Sam tak mówiłeś – przypominam, na co uśmiecha się ciepło. Zupełnie tak, jakby chciał mnie kochać na wieki.

Tyle wystarczy, żeby każdy powrócił do wcześniej wykonywanych czynności. Mephisto splata nasze dłonie. Idę za nim, gdy schodzimy na niższą kondygnację.

– Zaraz poznasz moją ukochaną. Tylko bądź dla niej miła, Almo. Jeśli chcesz, możesz ją dotknąć, lubi być głaskana. – Zatrzymuje się i obraca gwałtownie, więc na niego wpadam. Delikatnie przesuwając ręką po mojej twarzy, szyi, piersi i brzuchu. Wstrzymuję oddech, gdy zaciska drugą dłoń na moim pośladku i całuje z zaskoczenia, przygryzając mi wargę. Jęczę w jego usta, a on wygina swoje w uśmiechu. – Też uwielbia zdecydowane ruchy. Całkiem jak ty. Tylko ona nie jęczy, raczej dziwnie trzeszczy. – Śmieje się, puszcza mnie, zostawia za sobą oszołomioną, pragnącą pieszczot i zbiega po schodach. Jezu, ale z niego Diabeł.

Przechodzimy przez długi korytarz. Na podłodze leżą bale pozbawione kory, których końce pomalowane są błyszczącym lakierem. Temperatura jest tu zdecydowanie wyższa niż u góry.

– Tu sezonujemy drewno. Proces ten polega na powolnym zmniejszaniu jego wilgotności.

– Rozumiem – mówię tonem sugerującym, że zjadłam wszystkie rozumy świata.

Mephisto znika za rogiem, więc przyspieszam kroku, a gdy do niego dobiegam, pierwszym słowem, jakie wydostaje mi się z ust jest:

– Wow. – Omiatam wzrokiem roztaczającą się przede mną przestrzeń, podzieloną na dwie, różniące się części. W jednej panuje totalny, typowy dla Mephista chaos. Zapalone jest w niej dające po oczach światło, a na podłużnym stole porzucane są narzędzia. Poznałabym, że to jego miejsce, nawet gdybym nie zauważyła przewieszzonego przez oparcie krzesła łuku, z wypalonymi na rękojeści płomieniami. Tego samego, który miał przy sobie, gdy wtargnął do leśnej chaty. Chciałabym pominąć fakt, że na ścianie przyklejony jest słusznego rozmiarów plakat z moim wizerunkiem, ale właśnie z tego powodu nie da się go zlekceważyć. Gapi się na mnie rozczochrana, stojąca przy garze, wyszczerzona, trzymetrowa Alma.

– Masz na moim punkcie obsesję? – pytam pół żartem, pół serio.

– Taa. Jak na to wpadłaś? – odpowiada poważnym tonem, przemierzając drugą część pomieszczenia i włącza małe lampki.

Po raz kolejny tego dnia rozdziawiam usta. Na podświetlonych różnymi kolorami stojakach ułożone są łuki. Mają różne kształty, kolory i zdobienia. Jeden podoba mi się szczególnie: wielokolorowy, sprawiający wrażenie tak kruchego, jakby miał rozpaść się w dłoni, a jednocześnie o niepozostawiającym złudzeń co do jego przeznaczenia, drapieźnym kształcie.

– Ale piękne łuki. – Obejmuję policzki. – Ty je zrobiłaś?

– Istotą wyrobu łuków jest profilowanie. „Zrobić łuk” – krzywi się. – Nie podoba mi się to określenie. I tak, Almo, ja je wyprofilowałam.

– Chyba już rozumiem. – Uderzam ręką w czoło. – To, że nazwałam to miejsce fabryką, było obrażą, bo to pracownia. Robisz, profilujesz – poprawiam się – łuki własnoręcznie. Już połączyłam kropki. Dlatego wiedziałeś, jaki gatunek drzewa rośnie w moim ogrodzie, bo się na tym znasz. A na weselu Etny, gdy Francesco pokazał ci zdjęcie w telefonie, sądząc, że znalazł identyczny łuk jak twój, wyprowadziłeś go z błędu, mówiąc, że żaden nie jest taki sam. Nie, bo nic, co robione jest ręcznie nigdy takie nie będzie. Wow, ja to mam mózg, Mephisto – oznajmiam z dumą, a Diabeł się szczerzy. – A dlaczego w tych łukach nie ma sznurków?

– Nie ma cięciw – poprawia mnie – żeby nie naprężyć niepotrzebnie ramion i ich nie zwichrować. – Przesuwa dłonią po jednym z łuków. Najpewniej po ramieniu, ale głowy nie dam sobie za to uciąć. – Dzięki temu zmniejsza się, między innymi, prawdopodobieństwo utraty siły ciągu.

– Rozumiem. – Potakuję. Mózg mi paruje. Za nic tego nie kumam.

– A oto i Cecilia. – Wskazuje na łuk w jasnoczerwonym odcieniu, na którym wypalone jest wspomniane imię. – Ukochana, z którą zdradzałem cię, jeszcze zanim się poznaliśmy, bo macam ją już od bardzo dawna. – Wybucha śmiechem. – Dziś oddaję ją w inne ręce. – Ociera niewidoczne łzy. – Ależ się wzruszyłem, Almo! – wrzeszczy, przyciąga mnie do siebie, po czym wtula twarz w moją szyję i śmieje się cicho.

– Jakoś nie widać. – Przewracam oczami i wczepiam palce w przód jego koszulki.

– Nie pokładam się na podłodze, szlochając i waląc w nią pięściami tylko dlatego, że to ja odebrałem jej dziewictwo, wypuściłem pierwszą strzałę. Przy zdrowych zmysłach trzyma mnie świadomość, że zawsze będę najważniejszą mężczyzną w jej życiu. – Liże mi szyję.

– To tak nie działa, Mephisto – wyprowadzam go z błędu.

– Nie bądź podła, Almo. – Chichra się jak dzieciak, odsuwa ode mnie i przystawia palce do skroni. – Skup się i wybierz łuk, a ja w tym czasie zaniosę Cecilię na górę. – Zerka na zegarek. – Dotykaj, sprawdzaj, jak układa się w dłoni, a gdy poczujesz tu – kładzie rękę na mojej piersi – że to ten, będzie twój.

– Ale ja nawet nie potrafię wypuszczać strzały.

– Nauczę cię. Zobaczysz, że to najlepsza zabawa świata! – krzyczy podekscytowany i sięga po pokrowiec, do którego pakuje piękną Cecilię.

– W takim razie już wybrałam. – Wzruszam ramionami, a Mephisto patrzy na mnie z powątpiewaniem. – Poproszę ten. – Wskazuję palcem na wielokolorowy, który zwrócił moją uwagę już wcześniej. – Chyba że jest totalnie wyjątkowy, zarezerwowany, to...

– Na oba pytania odpowiadam: „Tak”. I jest twój – mówi, nawijając na palce cięciwę. – Zrobiłem go z trzech rodzajów drewna. Mało sztywnego jałowca, dzięki czemu łatwiej będzie ci go nagiąć, delikatnej wiśni i wytrzymałej śliwy. W tej ostatniej – podchodzi bliżej i palcem przejeżdża po łuku – widoczne są pęknięcia. Trudno wysuszyć ten rodzaj drewna i ich uniknąć, ale efekt jest nietypowy, przez co wyjątkowy. Jak ty. – Pstryka palcem w mój nos.

Udaję, że ziewam, żeby usprawiedliwić zbierające się w oczach łzy. Widok skaz na łuku przywodzi na myśl blizny szpecące mi plecy. Mój łuk. Delikatny, wytrzymały, wyjątkowy.

– Co ci dolega? – Mephisto pyta prosto z mostu. Po taktownym Diabie, z którym miałam do czynienia rano, pozostało jedynie wspomnienie.

– Nic, a co by miało? – Uśmiecham się, mając nadzieję, że skutecznie maskuję rozdygotanie. – Dziękuję za podarunek. Nikt nigdy nie dał mi czegoś tak pięknego.

– To nie coś, lecz ktoś. – Mephisto odrzuca głowę na bok, jakbym nieświadomie, po raz kolejny tego dnia, mentalnie przywaliła mu w twarz. – Od dziś to przedłużenie twojej ręki. Bliska przyjaciółka.

Pakuje do pokrowca zwinięte cięciwy i wizytówkę z numerem telefonu. Sięgam po łuk, chcąc go dokładniej obejrzeć, a gdy go przekręcam, dostrzegam, że na nim również wypalony jest jakiś napis. Serce łomocze mi w piersi. Wątpię, żeby był to przypadek. Ściskam między palcami założoną dziś spódnicę z frędzlami, zerkam na obdrapane kolana, pamiątkę po uskutecznionej dziś nadrzewnej wspinaczce i nie mam złudzeń, że to wyjątkowe, wykonane przez Mephista małe dzieło sztuki miało należeć do mnie.

– Jane – czytam na głos.

– Taa, ją też już zdążyłem rozdziewiczyć. – Wybucho śmiechem, a potem patrzy na mnie jak niewinny szczeniak i dodaje: – Wybacz.

– Nie mów takich rzeczy, gdy właśnie się wzruszam! – Uderzam go w ramię.

– Widzę, dlatego powiedziałem: „Wybacz”. – Uśmiecha się pod nosem. – Zmywamy się, Almo. Tylko najpierw kilka, w kurwę nie lubię tego słowa – wzdryga się – zasad. – Unosi palec. – Miałem dać ci Jane po ślubie, ale skoro już się tu wprosiłaś, możesz wziąć ją teraz. Nikomu się nią nie chwalisz. Nabiera mocy w ukryciu. Rozumiesz?

– Nie – mówię zgodnie z prawdą.

– Nie łazisz z nią po domu i nie krzyczysz: „Zobaczcie, co mam!”.

– A, teraz rozumiem. – Zasuвам уста na niewidoczny zamek.

– Po drugie, nikomu nie mówisz, że tu byłaś. To miejsce nie istnieje. Jest iluzją.

– Przecież nie jest.

– Po trzecie, nie profiluję łuków.

– Sam mówiłaś, że profilujesz, a nie robisz. – Przewracam oczami. – To jednak wolisz określenie „robić łuki”? Zdecyduj się, Mephisto. – Kręcę głową, a on wrywa sobie włosy. Nie wygląda na kogoś, kto nie postradał zmysłów, a tak się zarzekał.

– Jak mogę coś zrobić w miejscu, którego nie ma? – pyta, a gdy nie odpowiadam, bo nie wiem, jak się do tego odnieść, warczy. – Bawisz się w to czy nie? Obiecałaś, że będziesz. – Tupie nogą.

– Niby kiedy?

– Na weselu Etny. Przyrzekłaś, że będziesz się ze mną bawić, a teraz coś odpierdalasz. Raz po mojemu, raz po twojemu, pamiętasz?

– Aaa, faktycznie. Już sobie przypominam, Mephisto. I dobrze, nie ma problemu.

Diabeł uśmiecha się szeroko i całuje mnie w usta. Mocno. A chwilę później łapie za rękę i ciągnie za sobą. Najpewniej ma zamiar wywlec mnie z miejsca, które nie istnieje. Łuk, który kurczowo ściskam też oczywiście jest fatamorganą. To ma sens. Jezu.

Mephisto przystaje przy jednym z pracujących na górze mężczyzn, otwiera futerał i składa czuły pocałunek na wygiętej w piękny łuk Cecilii. Zmyślam. Ten całus jest złudzeniem. Takie są zasady tej zabawy i nie zamierzam – jak to powiedział Casimiro – „zdeptać piaskowej babki, którą ktoś z zapalem chroni przed podmuchami wiatru i każdą kroplą deszczu”. Przechodzę przez wymyślone drzwi i stojąc na chodniku, wyczekuję na niemogącego rozstać się z ukochaną Mephista.

Unoszę głowę, by jeszcze raz przyjrzeć się tajemniczemu, na bank urojonemu szyldowi. Wpatruję się w niego intensywnie i skupiam wzrok na jednym punkcie, chcąc dojrzeć głębiej do czasu, aż obraz zaczyna mienić mi się w oczach. Robię kilka kroków w tył. Wzory układają się w jedno, a tysiące kropek wskakuje na swoje miejsce, tworząc napis.

EROS

Mrugam i znika.

## ROZDZIAŁ 12

### *Mephisto*

Spędzanie snu z powiek. Alma jest w tym dobra. I bynajmniej nie jest to konsekwencja całonocnego dymania. Raczej wydmuchiwanie. Bezsensowność, rozdrażnienie i sine jaja. Okres narzeczeństwa jest w chuj wspaniały i gdybym nie był Diabłem, przestraszony ewakuowałbym się w podskokach. Tyle że nim jestem, a ostatnim, na co mogę sobie pozwolić, jest zszarganie wypracowywanej przez lata reputacji. Dlatego jeszcze to znoszę. Nie ulęknię się, serio. Nie przeraża mnie świszcząca nosem, wymuszająca zachowania, których nie powstydziliby się sam święty, dziewczyna. To terrorystka. Ciemniejszy moją duszę, ciosa kołki na głowie, katuje anielskim spojrzeniem... Mały tyran. Każe mi grzebać w worach z darami dla ubogich w poszukiwaniu wyjętych psu z gardła łańców, smarować gębę sadzą, udawać zdziwaczałego dzikusa i dbać o to, by było jej ciepło. „Mephisto, nie zapomnij o moim swetrze”, usłyszałem zanim opuściłem wczoraj pokój. Nawet w myślach nie daje mi spokoju. O wywieraniu presji, by zabrać ją do pracowni nie wspomnę, bo ta w końcu nie istnieje. Żaden mężczyzna o zdrowych zmysłach by tego nie wytrzymał. Ratuje mnie tylko to, że takowych nie mam. Chciałbym krzyknąć: „Hura!”, ale szanse, że obudzę Almę są większe niż mniejsze. A wtedy znów zaczną się te dantejskie sceny...

– Hura! – wrzeszczę i zerkam na nie dającą oznak życia emocjonalną bandytkę. Szturcham ją nogą, łokciem, bo jeśli się nie wyspać, to chociaż solidarnie, ale ani drgnie. Leży z rozłożonymi rękami i nogami, uzurpując sobie prawo do materaca. Spychałem ją z łóżka trzy razy. Za każdym wracała.

Noc spędzam na wyszukiwaniu zalet tej specyficznej, śpiącej obok osoby. Skupiam się, wyteżam umysł, żeby uporządkować i wymieniłem w myślach, co mi się w niej podoba, ale to działanie jest marnotrawstwem czasu. Szkoda nocy, żal dnia. Łatwiej powiedzieć: „Wszystko”. Takie, kurwa, zaskoczenie.

Nawet to, że jest zupełnym bezguściem, ma swój urok. Pół wieczoru wybierała wymarzoną suknię ślubną, udając, albo i nie, istotę niespełna rozumu. Jestem pewien, że wpisała się w historię salonu jako pierwsza klientka, która przymierzała ją nie ściągając swetra. Nawet teraz ma go na sobie. Bycie zmarzluchem a oszołomką to różnica, ale słowo się rzekło. Po trzech godzinach cyrków, wzruszeń i pisków radości kupiła w końcu idealną, nie tyle na ślub, co na cygańskie *tournee*, obszytą koralikami, kryształkami, i tu dziwko, cekinami kieckę. Teraz tylko muszę rozejrzeć się za jakimś rozklekotanym, drewnianym wozem i możemy ruszać w tę pełną przygód, wymuszeń i pokładania się na ukochanym wspólną podróż. Obfitującą w porządne, dyktowane dziką żądzą rżnięcie, którego mi brakuje.

A było tak blisko. Mamiony niema obietnicą uchylenia przede mną wrót raj, osaczony ewidentnie chętną na pieprzenie, niemogącą pohamować rąk i ust duszyczką, w drodze powrotnej przykręciłem klimę w aucie, bo zrobiło się w kurwę gorąco. I to był błąd. W ciągu pięciu pieprzonych minut seksowna, napalona Alma zamieniła się w prychającą, jojczącą pannę. Miała przekrwione oczy, a z nosa ciekła jej woda. Potem było już tylko gorzej. Zostałem nazwany „nieczułym barbarzyńcą” tylko dlatego, że zaproponowałem postój na poboczu i szybki numer, zanim rozłoży ją na dobre. Słowo Diabła, że ton mojej wypowiedzi był czuły. Zasłużyłem na miano „gościa ratującego sytuację”, a zostałem zbesztany, zrównany z ziemią i opadły mi rogi.

Mało tego. Otrzymałem nieadekwatną do przewinienia karę i, co nie jest nowością, zostałem zmuszony do zaopiekowania się smarkulą w nocy, w tym do trzymania chusteczki, kiedy chciała wydmuchać nos. Kichała, wycierała o mnie twarz, wierciła się, aż w końcu padła i śpi do tej pory. Niech tylko jeszcze raz zapyta głupio, czy ją lubię!

Odpowiem: „POMIDOR”.

A jeśli ponownie postawi nogę w pokoju, do którego nigdy nie powinna włączyć, skręcę jej kark. Tylko dla niej pofatygowałem się tam po raz pierwszy od dwunastu lat. Powrót do przeszłości to niebezpieczna gra, a jej zasady znają tylko nieliczni. Ja, Casimiro i ten kutas Spirito, teraz najwidoczniej skutecznie zabawę w coś innego. W trupa. Samolubny outsider, odwracający się dupą do tych,

którzy być może też mieliby ochotę pobłaznować. Mógłbym potrzymać wieko trumny, wyrzeźbić napis w kamieniu, bo skasował sprawę. Tymczasem mam jedynie ochotę pomóc mu stać się bardziej martwym, skoro jest tak bardzo żywy, a mimo to milczy jak nagrobek, który najpewniej sam sobie postawił. O ile kilka dni temu byłem pewny, że bardziej sztywny być nie może, tak teraz mam wątpliwości. A mając je, zawsze myślę o Spirito. Żadne słowo nie kojarzy mi się z nim bardziej. Jedno mówił, drugie robił, trzecie myślał, a czwarte już planował. Dlatego jeśli jakimś cudem udało mu się wywinąć kostusze spod kosy, Serafino powinien spisywać testament, ponieważ jego koniec jest bliski.

Włosy na przedramionach stają mi dęba na samą myśl o tym, że mogę mieć rację. Napis na kamieniu nie pozostawia złudzeń. Te same zdania widnieją na skonfiskowanym przez ojca łuku. Znał je jedynie Spirito, ja, mój nieżyjący brat i stary. Trzech ostatnich z automatu wykluczam z kręgu podejrzanych. Wniosek jest prosty. Nie zostałem zaproszony do zabawy w tak naprawdę chuj wie co. Dziwne uczucie.

Zeskakuję z łóżka, słysząc dobiegający z korytarza hałas. Więcej niż pewne, że ktoś znów nadepnął tatusiowi na odcisk. Mam ochotę wyjechać go z piaskownicy przed czasem, nie odzyskując zabawek, byle tylko zamknął w końcu ryj. Definitywnie. Na zawsze. W pośpiechu zgarniam przewieszane na oparciu krzesła spodnie, bo nie chcę, żeby Vittorio nawinał mu się pod rękę.

Kątem oka dostrzegam ruch w pościeli. Alma przeciąga się leniwie, a gdy słyhać kolejny wrzask: „Gdzie jest moje auto?!”, gwałtownie zrywa się do siadu i przyciąga kołdrę do piersi, kurczowo zaciskając na niej palce.

– Znów to samo – mówi cicho.

– Niby co? – pytam, rozglądając się za koszulką.

– Ja to powiedziałam do siebie. – Wbijają palec w mostek. – I muszę jechać do Katanii, bo dzwoniła siostra i powiedziała, że mama źle się czuje. Już jestem spóźniona. – Zerka na nadgarstek, mimo że nigdy nie nosi zegarka.

– Zadzwoń do twojego starego, gdy już ogarnę swojego i zapytam, co z matką.

– Nie życzę sobie tego, Mephisto. – Skubie skórki u rąk.

– Nie jestem studnią życzeń i jebie mnie to, czego sobie życzysz, a czego nie. – Trzaskam drzwiami szafy. – Gdzie są moje koszulki?

– W sensie te znoszone?

– W sensie moje. Po prostu – warczę, bo rozmowa z nią, wrzaski w domu i dobijający się na mój telefon Sisto, to o trzy wkurwogenne bodźce za dużo.

– Jeśli chodzi o te sprane i rozciągnięte, to są w worku przed domem. Ewentualnie były, bo mogły już zostać zabrane przez fundację „Uśmiech losu”. – Unosi kciuk.

– Módl się, żeby uśmiech twojego losu nie okazał się szczerbaty i żebyś nie skończyła w czarnym worku.

Wytrzeszcza oczy, a przecież się staram, wkładam całą siłę woli w to, żeby nie zaprezentować tej najgorszej strony.

– To będę. – Potakuje żarliwie. – Też uważam, że muszę. I to nie od dziś, ale już dawno powinnam zacząć.

– Taa – kwituję i odczytuję wiadomość od Sista, bo uciążliwy z niego wrzód.

Skasowałem nagranie z występu Almy. Ojciec stracił przez nią auto i 30 białego. Casimiro wraca z magazynów. Czekam w ogrodzie.

Odkładam telefon. Wpatruję się w tę ciężką, chorobliwie bladą, zasmarkaną duszę i bardziej niż przelecieć, mam ochotę ją zabić. A skoro tak, to pora na odwrót, jebany w tył zwrot, zanim chęć zamieni się w czyn.

– Znów to zrobiłam, Mephisto. Dałam się podejść – wyrzuca z siebie, gdy przekraczam próg łazienki. – Wczoraj, gdy na ciebie czekałam, przy bramie stał gość. Poprosił o przyniesienie kluczyków, bo zapomniał ich zabrać. W aucie niby czekał twój tata. Poczulałam presję i się zgodziłam. Przepraszam – mówi piskliwym głosem. – Powinnam wcześniej powiedzieć, bo szybko wywnioskowałam, że zostałam oszukana, ale chciałam jeszcze przez chwilę tkwić w tej iluzji. Dopuszczenie do siebie myśli, że jestem jakaś wadliwa, nie jest przyjemne.

Uderzam ręką w lustro. Pęka, tworząc abstrakcyjną pajęczynę. Nie jest mi lepiej. Wkładam głowę pod strumień lodowatej wody, zamykam oczy i tkwię w bezruchu do czasu, aż czuję na ramieniu dłoń Almy.

– Chciałam pomóc, a wyszło jak zwykle.

Wydaję głowę spod kranu i energicznie pocieram twarz ręcznikiem.

– A kto pomoże tobie? – rzucam. Alma otwiera usta, więc szybko dodaję: – To pytanie było pieprzoną formalnością. Nawet nie fatyguj się z odpowiedzią – warczę. – Ojciec trzymał w bagażniku trzydzieści kilo koksu. Jeśli odkręcając to, dowiem się, że ta akcja jest sztyta grubymi nićmi i zrobię z siebie zakochanego debila, już nie żyjesz. – Wymijam ją i zakładam przepoconą, wczorajszą koszulkę.

– Co to znaczy?

– Że będziesz martwa.

– Akurat tę część zrozumiałam. – Pociera ramiona. – Uważasz, że dałam kluczyki komuś, kogo znam, a teraz udaję, by później ze swoim współnikiem sprzedać towar i tak dalej?

– Coś w tym stylu. Tylko wiedz, że jeśli jest w tym ziarno prawdy, to tego całego „i tak dalej” nie będzie.

Siada na łóżku, przygryza wargę i wyciera mokre od łez policzki.

– Nienawidzę samej siebie – sapie.

Gryzę się w język, bo coś silniejszego od trawiącej mnie złości każe mi to zrobić. Co nie zmienia faktu, że gdybym miał na karku głowę Almy, zakopałbym się żywcem.

– Zobaczę, co dzieje się w domu – informuję, przykładając rękę do jej czoła.

– Sprawdzasz, czy mam gorączkę, bo chciałbyś znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla głupich rzeczy, jakie robię, ale tu kolejne rozczarowanie – unosi trzęsący się palec – to nie kwestia podwyższonej temperatury.

– Mylisz rozczarowanie z wkurwieniem.

Przygląda mi się, jakby nie była przekonana, ale to prawda. Od lat bawię się ze starym w zabawę, której zasad nie zna. Mało tego, już ją kończę. Przez kilka kolejnych dni nie chciałem wchodzić mu w drogę, w spokoju odliczać godziny dzielące mnie od zdobycia długo wyczekiwanej nagrody specjalnej. I nie wyszło. Nie, bo Alma zapewniła mi dodatkową rozrywkę, a jej finał jest trudny do przewidzenia. Skoro odmówić nie można, pozostaje się zgodzić. I to powoduje, że krew, a nie pieprzone rozczarowanie gotuje mi się w żyłach! Nie toleruję ćpania i kłamstw. Akceptuję od początku dającą po gałach naiwność. Czas i doświadczenia sprawią, że ta cecha charakteru ewoluuje naturalnie. Nie zamierzam jej zmieniać na siłę. To najprostsza droga do zatracenia własnego ja.

Wiem, co mówię.

Ja czy ja?

Wychodzę z pokoju i zatrząskuję za sobą drzwi. Nasłuchuję dobiegających z dołu odgłosów, rozciągam mięśnie karku i podskakuję w miejscu, chcąc pobudzić tę stronę osobowości, która w zaistniałych okolicznościach sprawdzi się najlepiej. Wrzeszczę i śmieję się w głos, widząc stojących w korytarzu na dole Rufa i ojca.

– Juuuu, kurwa! – Ślizgam się po poręczy, zjeżdżając piętro niżej i doskakuję do nich. – Tato, dlaczego od rana drzesz mordę? – Wyszczierzam zęby w uśmiechu, widząc ich zdezorientowane miny.

– Zaczyna się... – jęczy Rufo i kręci z dezaprobatą głową. – Ktoś podpierdolił auto don Pedra, a w środku była góra koksu.

– Niech no tylko dorwę tego, który się ośmielił – syczy stary i zaciska pięść.

Wybucham wymuszonym śmiechem.

– Jakim trzeba być idiotą, żeby zostawić przed bramą samochód wypełniony towarem. – Zginam się wpół, zaciskając ręce na brzuchu.

– Waż słowa – warczy ojciec.

– Nazwałś mnie nim, gdy Sophia wykręciła mi numer z kontenerem. Popełniłeś błąd, a konsekwencje mają to do siebie, że parzą. Tak to leciało? To co, zagotować wodę czy odpuszczamy półśrodki i od razu wzniecemy ogień? – Kładę dłoń na jego ramieniu. Dostrzegam tłącą się w oczach niepewność. Nie ma pojęcia, czy mówię poważnie, czy się zgrywam.

– Pozwolisz mi tak do siebie mówić? – wtrąca Rufo. – Zapanuj nad nim, Pedro.

– I tu pojawia się problem. – Robię z palców rogi. – Wiesz jaki, prawda, tatusiu? – Uwieszam mu się na szyi. Drży. Być może ze strachu, nerwów lub niemal namacalnej niemocy. – Brak instrukcji obsługi. Takie, kurwa, niedopatrzienie! Jaki guziczek wcisnąć, żeby zapanować nad Diabłem?

– Dobrze, dość – kwituje stanowczo ojciec – bo odbiegamy od tematu.

Rufo chrząka i patrzy na mnie, mrużąc oczy.

– Skąd wiesz, że auto zostało zwinięte sprzed bramy? Nie wspominałem o tym. Mówiłem ci, że maczał w tym palce – zwraca się do ojca.

– Taa. Nawet rogi, bo to ja odjechałem tym rżęchem w stronę zachodzącego słońca. Coś mi się popierdoliło w głowie. – Obejmuję ją. – Myślałem, że to ogień, a wiadome jest, że mnie do niego ciągnie. I tak jechałem, jechałem ku pomarańczowej łunie... Żałujcie, że nie było wam dane usłyszeć mojego rozpaczliwego zawożenia, gdy zorientowałem się, że to jebane słońko.

– Dość! Zawsze parkuję przed bramą, Ameryki nie odkryłeś, Rufo. – Stary karci go wzrokiem. – A ty przestań się zgrywać! – Unosi rękę, jakby chciał mnie trzepnąć, ale się na to nie decyduje.

– On jest niepoważny. Ktoś taki ma rządzić naszym klanem?!

– Tatusiu, powiedz mu, żeby był dla mnie miłszy – jęczę, znów się na nim uwieszając. – Nie chcemy, żebym stracił motywację i przestał przynosić rodzinie najwyższe zyski. Dwoję się! – Tupię nogą. – A sługus podważa słuszność twojej decyzji. To tak bardzo boli!

– Zamknij się, Rufo – warczy ojciec, przerażony zapewne wizją utraty najlepszego źródła dochodu. – Dowiedz się, kto ośmielił się tknąć moją własność. – Łapie mnie za nadgarstek.

– W pierwszej kolejności obejrzę nagranie z monitoringu. Winnemu skręcę łeb. Słowo Diabła. – Kładę dłoń na piersi.

– Sisto już sprawdzał taśmę. Ktoś wykasował cały wczorajszy dzień – warczy ojciec. – Muszę się napić, zaraz rozsądzi mi głowę. – Rusza w stronę gabinetu.

Rufo tkwi w miejscu i uśmiecha się głupkowato.

– Z czego się tak cieszysz? – pytam.

– Nic, nic. – Macha lekceważąco ręką. – Przypomniało mi się tylko, jak płakałeś podczas przypalania. Piski, gdy stary z zaskoczenia połał cię wrzątkiem, kiedy Sophia wywinęła ci numer, też były w dupkę. Często wracam wspomnieniami do tych wydarzeń. Coś wspaniałego. Naprawdę to tak bardzo boli, żeby robić z siebie aż taką pizdę? – Śmieje się.

– Zobaczysz. Wszystko przed tobą. – Poklepuję go pokrępijając po ramieniu i wymijam z zamiarem wyjścia na dwór, bo zauważam siedzących na werandzie braci.

– I tyle? Nic mi nie zrobisz, nic więcej nie dodasz?

Bawi mnie słyszalne w jego głosie zdziwienie.

– Dlaczego bym miał? Sądziłeś, że sprowokujesz mnie, mówiąc prawdę? Zgadza się, ryczałem i piszczalem. Bolało, nadal boli, ale przeżyłem. – Rozkładał ręce. – A co najważniejsze, sam wybrałem drogę, po której kroczę. Jest po mojemu. Tak jak lubię. – Wyszczierzam zęby w uśmiechu. – Pewnie zastanawiasz się, dlaczego jeszcze żyjesz? – pytam wprost, a on wybałusza gały, zdziwiony, że go przejrzałem. – Bo chcę, bo wam na to pozwalam i ostatni powód – unoszę palec – bo tak sobie wymyśliłem. – Przykładam rękę do piersi. – Trochę powichrowaliście mi duszę, jest tak mroczna, że często sam jej nie chcę i boję się, naprawdę jestem przerażony tym, co wam zrobię, ale co poradzić? Nie da się jej spętać, zdominować, stłamsić. Jest tak kurewsko wolna – zasysam powietrze. – Od początku do końca. Znajoma i moja.

– Poważnie. Jesteś zdrowo jebnięty. Nie masz zwichrowanej duszy, tylko mózg.

– No wiesz co? – Udaję oburzenie. – Nie bądź taki niemiły, skoro właśnie przyznałem, że twoje życie jest w moich rękach. Jestem podatny na sugestie. Wmówisz mi, że mam coś z głową i zamiast po ludzku władować ci kulkę w łeb, będę się bawił z tobą, tfu – pluję – tobą, do czasu aż mi się znudzi.

– Czyli przyznajesz wprost, że coś planujesz.

– Ja czy ja?

– Zabijesz nas po ślubie, gdy dostaniesz spuściznę po matce i bracie.

– Zgadza się – przyznaję i uśmiecham się szeroko, co zbija go z tropu.

– Masz mnie za idiotę? – rzuca kpiąco. – Nie potwierdziłbyś, gdybym miał rację.

– Faktycznie, muszę dopracować sztukę szachrajstwa. – Zawiedziony opuszczam ramiona. – Zajmę się tym od razu. Przeanalizuję różne scenariusze i powymyślę cięte, a przede wszystkim sensowne, niedemaskujące mnie riposty. Będę to robił, masując sobie kolana. Lubię to robić, bo są takie gładziutki i nieugięte. – Wzdrygam się. – To normalne, Rufo? Czy ja jestem normalny?! – wrzeszczę mu do ucha i oddalam się w podskokach, a będąc przy drzwiach wyjściowych, zakręcę się efektownie na pięcie. – Fajny zrobiłem piruet?! – Chichoczę jak dzieciak, gdy słyszę stłumione:

– Pojeb.

I niech się piekło rozstąpi, jeśli nie ma racji! Cały ja. Rufo z kolei za dużo główkuje. Poddaje mnie dogłębnej analizie, próbując poznać kierujące mną motywy. Tylko po co? Już je odkrył. Bezsprzecznie mu się udało, lecz co z tego, skoro sam wątpi w ich słuszność, bo są tak nieprawdopodobne, że wydają się nieprawdziwe.

Wiem sporo o kłamstwie. Jest moim kompasem, wyznacza kierunek, gdy od lat niestrudzenie kroczę po ścieżkach oświetlonych jedynie rozsypanym na ziemi żarem. Krążę tam i z powrotem w plątaninie dróg, mimo że kilka razy dziennie przechodzę obok drzwi z napisem: „Wyjście”. Bolał mnie stopy, swąd przypalanej skóry śmierdzi kurewsko, ale uparłem się, żeby zdobyć to, czego pragnę. To pokręcone jak ja i taka jedna, która niespodziewanie stanęła mi na drodze.

Jakie trzeba mieć szczęście, żeby spotkać PRAWDĘ w labiryncie imaginacji. Brudną, pokrytą krwią, niezaprzeczalnie piękną, odurzającą brutalną autentycznością. Oczyszczającą jak pumeks, którego potrzebuję, żeby zdrapać z duszy rogowaciejący przez lata naskórek.

Raj? Piekło? Nie, kurwa, ani jedno ani drugie. Coś pomiędzy, o wdzięcznej nazwie: „Paradoks”. A lada moment: „Państwo Gotti”.

Coś tu się totalnie popierdoliło. Opary naiwności zmieszały się z mgiełką iluzji. A „uczciwa wymiana” okazała się, jak na moje standardy aż nazbyt uczciwa.

Zaraziłem ją kłamstwem, ona mnie prawdą. Antidotum wcięło.

Zmierzam w stronę siedzących przy stole braci. Vittorio jak zwykle cieszy się z niczego. Porusza palcami przy ustach, zapewne imitując granie na trąbce. Casimiro niecierpliwie postukuje podeszwą o tarasowe płytki, a Sisto ma tak przerażony wyraz twarzy, jakby właśnie rozważał nie tyle schowanie się pod stołem, co strzelenie sobie w łeb. Może nawet już jest po nieudanej próbie, bo na skroni ma przyklejony brudny opatrunek.

– W końcu jesteś – mówi Sisto i podnosi się z miejsca, jęcząc boleśnie, podczas gdy ja zajmuję swoje. – Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby nacisnąć: „Wykasuj”. To nie w moim stylu. Gdybym mógł cofnąć czas, to bym tego nie zrobił. Ja nawet nie przepadam za Alną – nawija podenerwowany. – Co mnie podkusiło – powtarza. – Jeśli wyda się, że skasowałem – szepcze – to nagranie, samo uklęknięcie przed ojcem mi nie pomoże. Tak czuję – sapie.

– Taa. Na twoim miejscu spakowałbym się i nigdy nie wracał. Zmienił tożsamość, fundnął sobie operację plastyczną i może dorysował wąsa. – Szczęrze się do niego.

– Naprawdę?

– Nie, co z tobą?! – Uderzam go w potylicę. – To nie twoja wina, że omsknał ci się palec. Nie panikuj. Świadomość nawet nie zdąży zarejestrować, że dostałeś kulkę w czachę, a jeśli stary jedynie cię postrzeli, to poprawię, żebyś nie cierpiał. Mam doświadczenie – pocieszam go.

Nastaje cisza. Sisto jest tak blady, jakby już teraz zaliczył zgon. Wybucham śmiechem, widząc jego zszokowaną minę.

– Jesteś nienormalny. To wcale nieśmieszne. – Przeciera twarz ręką. – Twoja żona nas pograży – wyrokuje.

– Jeszcze nie żona. Będzie nią, gdy zatrąbię. – Vittorio znów porusza palcami przy ustach, a ja patrzę na niego z powątpiewaniem. Jestem pewny, że mój wzrok wyraża jedno: „Zapomnij”. – No co? Alna się zgodziła. – Wzrusza ramionami.

– Ona na wszystko się zgadza i w tym problem. – Sisto nie odpuszcza.

– Czyli macie ze sobą wiele wspólnego – wtrąca Casimiro.

– Bycie dobrym nie jest złe. Żli są ludzie, którzy to wykorzystują. – Vitto wygłasza doniośle jakąś



pieprzoną złotą myśl. – Czy to ma sens? – pyta, pogrążony w zadumie.

– Nie. Nawet brzmi absurdalnie. Idź się pobaw. – Odganiem go.

Fuka, ale zabiera wyimaginowaną trąbkę i znika z pola widzenia. Sisto przysuwa krzesło bliżej mnie i siada na półdupku, zakładając nogę na nogę.

– Mogę zapytać, dlaczego jesteś taki radosny? – szepcze, jakby bycie szczęśliwym było przestępstwem.

– Żenię się, czy to nie wystarczający powód do radości?

– Rozmawiałem rano z Rufem. Powiedział, że planujesz zabić ojca po ślubie. – Na jego czole perli się pot.

– I co o tym sądzisz?

– Nic. To niedorzeczne – oznajmia Sisto i nerwowo przeczesuje włosy palcami. – Zasady są proste. Zabijając członka rodziny, samemu jest się skazanym na śmierć. Gdybyś to zrobił, musielibyśmy go pomścić. Chyba to rozumiesz. Zostałbyś wyeliminowany. Zdajesz sobie z tego sprawę, tak? – Patrzy na mnie jak na półgłówka. – I czy to prawda, że zależy ci na łuku Erosa i obrazach matki, które dostaniesz w prezencie?

– Taa. Obiecałem je Vittoriowi.

– To dlaczego nie zdecydowałeś się na ślub wcześniej?

– Niby z kim? – Krzywię się i odchylam na krześle.

– A mało to było chętnych? Mogłeś mieć to, na czym ci zależy już lata temu. To nie ma sensu.

– Mało, dużo, to bez znaczenia. Wiązanie się z duszą niekompatybilną z moją rzeczywistością jest bez sensu.

– Co to znaczy? Czyli, jakbyś nie natknął się na tę – Sisto nabiera powietrza – specyficzną Almę, to nadal byś czekał i ryzykował, że ojciec umrze, nigdy nie przekazując ci spuścizny po krewnych?

– Na to wychodzi. Tak sobie wymyśliłem.

Nie dziwię się, że nie rozumie mojego toku rozumowania. Mam ten sam problem, jeśli chodzi o jego powiewającą jak chorągiewka na wietrze osobę. Dzięki temu, że poczekałem ze ślubem, będę miał Almę i obiecane mi fanty. W innym wypadku miałbym tylko to drugie, a co najgorsze codziennie, nieprzerwanie i wciąż jakaś przeciętna dusza próbowałaby spętać moją. To nie tylko brzmi słabo, ale takie, kurwa, jest.

Trochę to trwało, pewnie za długo, ale w końcu wszystko, czego pragnę mam na wyciągnięcie ręki. Mimo to powstrzymam się i nie zamacham z radości diabelskim ogonem, dopóki krew tego, który stracił mnie do piekła, nie zabarwi mi rogów ognistą czerwienią.

Wystawiam twarz ku niebu. Zimny podmuch wiatru studzi mordercze zapędy, przekonując, że cierpliwość popłaca.

Cierpliwy Diabeł. Taa. Mam w chuj zalet.

Jakby tego było mało, w dzisiejszym menu serwuję prawdomówność. Raczę prawdą każdego, kto stanie mi na drodze, przyznając wprost, szczerze jak na spowiedzi, że po ślubie piekło stanie się bardziej gorące. I co? Nic. Uparcie wmawiają mi, że się zgrywam. Marna ta wymyślona przez nich zabawa w „udawajmy, że kłamię. Tak jest prościej”, ale doceniam starania.

I auć. Wyeliminują mnie. Zabiją. Gdybym lata temu nie został poczęstowany nieśmiertelnością, zastanawiałbym się, jak zginę i czy będzie bolało. Już dziś, zaraz, teraz, wykopałbym sobie dołek i zamówił trumienkę, ale roboty w kurwę, a sensu w działaniu zero. Uderzam czołem o stół, do czasu aż znajome mrowienie rozchodzi się wzdłuż kręgosłupa. To samo, którego doświadczam za każdym razem, gdy przykładam głowę do zimnych nóg Almy.

Lubię to uczucie.

– Jeszcze tu jesteś? – zwracam się do Sista.

– A gdzie miałbym być?

– Gdziekolwiek, byle nie tutaj, bo chcę porozmawiać z Casimirem. – Wskazuję na niego. – Spędź czas z ojcem, bo zegar tyka. – Uśmiecham się, na co kręci głową, bo przecież plotę straszne głupoty. – Za niedługo będziesz mógł zregenerować kolana. Nie dziękuj.

– Nawet nie miałem tego w planach. Mam nadzieję, że nie dożyję czasu, kiedy to ty będziesz

rządził klanem. – Krzywi się, jakby zjadł coś kwaśnego.

– Ale masz tupet – warczy Casimiro.

– No rzeczywiście, bo powinienem być wdzięczny – rzuca kpiąco Sisto. – Kary za moje przewinienia przechodziły na niego, bo nie chciał klękać, a nie dlatego, że ma takie dobre serce i zgłaszał się na ochotnika, by ściągnąć z moich barków to brzemię. Nikt nie musiał cierpieć, wystarczyło solidarnie okazać uległość. Moja wina, że jesteś chorobliwie zawzięty? – zwraca się do mnie. – A ty co? – Patrzy na Casimira. – Też klękałeś, a potem nagle ci się odwidziało, bo uznałeś filozofię życiową Diabła za słuszną.

– Bo taka właśnie jest. – Casimiro mówi tonem pozbawionym emocji.

Sisto wzdycha zrezygnowany i, nie dodając nic więcej, wstaje od stołu.

– Co ci się stało w skroń? – pytam, zanim odejdzie. – Nie powinienesz zmienić tego – wdrygam się – uświnionego plastra?

– O tym właśnie mówię! – wrzeszczy. – To kolejny skutek twojego dyrygowania mną! – Zapluwa sobie brodę. – Już raz przez ciebie siedziałem. Pomysły rodzące się w twojej głowie są wyjątkowo fatalne, godne pożałowania i popaprane.

– Bzdura – prycha Casimiro. – Plany są genialne, tylko wykonawcy kiepscy.

– Zamknij się, nie rozmawiam z tobą. – Sisto podpira się pięściami o stół. – Kazałeś mi szukać w Syrakuzach kontaktu – wlepia we mnie wzrok – bo wymyśliłeś, że koniecznie musimy mieć kokę, którą Ferro dał ci na weselu Efasta. Po co, na co? Któż to wie. – Rozkłada ręce. – Diabeł tak sobie ubzdurał, więc tak musi być, bo szlag go trafia, gdy ktoś ma coś, czego on pragnie – mówi o mnie w trzeciej osobie.

– Taa. Coś w tym jest. – Szczerzę się w ramach podziękowania za trafną analizę. – I udało ci się coś ustalić?

– Nie bezpośrednio – sapie. – Ale krótko po moim spotkaniu z nimi – robi cudzysłów w powietrzu – zgłosili się do Georgia Selvaggia. Być może zasilą szeregi organizacji.

– Skąd o tym wiesz? – pyta Casimiro.

– Ojciec mi powiedział. Głowy rodzin zostały zaproszone na kolację zapoznawczą. Jeśli dobiją targu, *Mano d'onore*<sup>3</sup> przestanie krwawić.

– A co to za klan? – pytam zaciekawiony.

– Zjebów! – unosi się Sisto i odrywa opatrunek. – Litera „S”. – Wskazuje na ropiejące rozcięcie.

– Mam ochotę wydrapać sobie mózg, bo w tym upale rana się nie goi i kurewsko szczypie.

– I jak myślisz, co oznacza ta litera? – Włosy na przedramionach stają mi dęba, gdy Casimiro zadaje to pytanie.

– Syrakuzy, no bo co innego? Gdy mi to wycinał, nawet nie wiedział, że moje imię zaczyna się na tę literę – warczy Sisto. – Teraz będę brany za ziomka Serafina, bo też ma takie znamię. Jeszcze zarzuci mi, że od niego zgapilem.

Mówi tak lekkim tonem, jakby rzeczywiście jego największym zmartwieniem w tym momencie było to, że będzie mało oryginalny, bo Serafino wcześniej zaklepał sobie ten wzór. Syrakuzy to najwidoczniej miasto żywych trupów. A jego gospodarz uważa, że lepszą pamiątką spoza miastowych wojaży zamiast muszelek, gipsowego wulkanu czy magnezu jest wyrzeźbienie czegoś w czaszce mojego brata. Błąd.

– Czekaj, bo czegoś tu nie rozumiem. – Casimiro marszczy brwi. – Typ cię pociął, a potem zgłosił chęć dołączenia do organizacji? Przecież wiadomo, że nie puścimy im tego płazem. – Śmieje się gorzko.

Sisto robi się czerwony na twarzy i mówi na wdechu:

– Sprzedałem nasz towar na ich terenie i niemal zarznąłem ich kurwę, więc wiesz...

– Idiota. – Casimiro zrywa się z krzesła i poklepuje mnie po ramieniu, przykładając palce do ust.

Częstuję go fajką.

– Jeździłem do Syrakuz kilka razy i niczego nie mogłem się dowiedzieć. W pewnym momencie nie wiedziałem już, czy ludzie stamtąd po prostu nabrali wody w usta, czy trop jest mylny. Z reguły nie jest tak, że wszyscy milczą, zawsze jest słabe ogniwo. Ale najwidoczniej nie tam. Sądząc, że teren jest niczyj, pozwoliłem sobie na wiele, jak się okazało – wskazuje na skroń – na zbyt dużo.

Kręcę palcem, dając mu znak, żeby kontynuował.

– Zabawiłem się w klubie z udającą świętszą od papieża dziwką – akcentuje ostatnie słowo. – Przyjebałem jej, bo uciekała dupskiem, a wychodząc, prochy, które miałem przy sobie, opchnąłem ochroniarzowi.

Uderzam czołem o blat, słysząc te rewelacje.

– Byłem wstawiony – dodaje na swoją obronę. – Zdążyłem zaledwie dojść na parking i przysięgam, niczym pierdolona zjawa pojawił się przede mną ten gość. A potem kolejni. I to nie żadna rodzinka, tylko jakaś sekta. Wyznawcy kogoś tam, nie zapamiętałem. – Macha niedbale ręką. – Otoczyli mnie, złapali się za dłonie i mamrotali coś pod nosami, gdy ten zjeb mi to wycinał.

– Mówił coś? – dopytuje Casimiro.

– Coś tam, że Syrakuzy mają wybredny nos, który raczy się jedynie starannie wyselekcjonowanym towarem. Zapytał, czy mam pojemny odbył, bo całe gówno, jakie zostawiłem w ich mieście trafi z powrotem tam, skąd wyszło.

Och, kurwa, nie wiem, czy zapłakać, czy się zaśmiać.

– I? – drażni temat Casimiro.

– I, i?! – Sisto zapluwa sobie brodę. – Nie czekał na odpowiedź! Gdy mi to – nabiera powietrza – robił, włożył w moją dłoń malutką, szklaną klepsydrę. I powiedział: „Umrzeć. Od tej pory to jedyne, co ci się uda”. Poradził skupić wzrok na przesypanych się niespiesznie piasku i z troską w głosie dodał, że to pomoże mi się rozluźnić, gdy będzie mi wkładał rozum do głowy od dupy strony.

– Pomogło? – pytam, przyciskając głowę do blatu.

– Nie, kurwa, uratowała mnie magia naszego nazwiska, a to i tak po jebanych najdłuższych trzech minutach mojego życia! Gdy jeden z jego ludzi odczytał je na głos, ten typ powiedział: „Wstyd, Sisto”. Jęcząc z bólu obróciłem się przodem do niego, a on wskazał na swoje oczy, chyba sugerując, że będzie miał mnie na oku. Nie mogłem zrobić kroku, taki byłem obolały i najpewniej zemdlałem, bo kiedy się ocknąłem, leżałem z opuszczonymi spodniami u jakiegoś nawiedzonego doktora, a po tamtych ludziach nie było śladu.

– Czyli ta rana na skroni to nie wszystko? – Casimiro ścisną nasadę nosa.

– A jak myślisz, do cholery? Nie uważasz, że bronilibym się, gdyby chodziło o samo naznaczenie, czy zwyczajne – prycha ironicznie – wsadzenie towaru w dupę? Nie robiłem tego, bo dopychał go skalpelem! Jakiś sadysta obrał mnie sobie za cel, bo kazałeś mi tam jechać! – Patrzy na mnie z wyrzutem, co jest, najdelikatniej mówiąc, nedorzeczne, zważając na okoliczności, w jakich zrobiono mu „kuku”. – I to jego sarkastyczne, wypowiedziane za każdym razem, gdy spinałem pośladki: „Ojejku” – warczy, zaciskając pięści.

Zerkam na Casimira i, mimo że zapewne powinniśmy zamilknąć, mówimy chórem:

– Spirito.

– O, no! – Sisto pstryka palcami. – Wyznawcy Spirito. – Doskonale wychwytyję moment, gdy na jego twarzy pojawia się zrozumienie. – Kumpel Erosa? – Wytrzeszcza oczy. – Nie wiem, nie wiem – powtarza – jeśli tak, to konkretnie przypakował i ogólnie – przełyka ślinę – urósł. – Milczy przez chwilę i dodaje zmieszany: – Yyy, a czy on nie powinien nie żyć?

– A wypowiedział chociaż raz słowo: „Ups”? – Przytaczam kolejne wyrażenie, którego nadużywał Spirito.

– Nie.

– W takim razie jest szansa, że to tylko zbieżność imion. – Casimiro śmieje się gorzko. Nikt jednak nie jest na tyle głupi, by uznać to za pocieszenie.

– Oby, oby. – Sisto zaciska kciuki i zmierza w stronę wejścia do domu, pocierając kark i kilkakrotnie oglądając się za siebie. Być może właśnie poczuł go na skórze. Oddech śmierci.

Potrząsam głową. Nienawidzę tego pieprzonego rozdarcia, które odczuwam w tej chwili, bo los postanowił ze mnie zakpić i umieścić mój łeb między młotem a kowadłem. To naprawdę parszywe uczucie, gdy szala nie przechyla się na stronę rodzinnych powiązań i więzów krwi. Łapię kontakt wzrokowy z przyglądającym mi się w skupieniu Casimirem.

– Wezmę ludzi i pojedę jutro do Syrakuz. Zajmę się tą sprawą po mojemu – stwierdza bez

ogródek. – Nie mogę tego od ciebie wymagać, bo i tak zrobisz, jak zechcesz, ale wolałbym, żebyś się w to nie mieszał – mówi uspokajającym tonem, jakby bał się, że poruszy nieodpowiednią strunę. – Jeśli Spirito rzeczywiście żyje, nie będziesz obiektywny, a ostatnie, co możemy zrobić, to odpuścić – warczy. – Nieważne, co zrobił Sisto. Jest naszym bratem i nikt – patrzy mi prosto w oczy – nie będzie go ruchał.

– Taa. Zabiorę się z wami. Jestem obiektywny. – Próbuję wmówić to przede wszystkim sobie. – Póki co rozejrzyj się za towarem starego. Mam przypuszczenie graniczące z pewnością, że nikt obcy nie mieszał w tym palców. I sprawdź, czy Sisto na pewno skasował nagranie z monitoringu.

Casimiro uderza pięściami w stół.

– No i widzisz? Już szukasz na niego haka. Obiektywizm w twoim wykonaniu. Mówił, że to zrobił, widziałeś, jaki był przerażony niesubordynacją w stosunku do ojca. Słyszysz siebie? – Mruga z niedowierzaniem. – A może to Alma maczała w tym palce? O tym nie pomyślałeś, co?

– To było pierwsze, co przyszło mi na myśl, ale posłuchałem naszego brata-kameleona i już bicząc się mentalnie za to, że w ogóle ją o to posądziłem. – Przykładam palce do skroni.

– Jakiego znów kameleona?!

– Gdy usiadłem przy stole, powiedział, że to nie w jego stylu wykasować nagranie. Owszem, przed i po dodał kilka mających na celu wprowadzenie nerwowości zdań, ale słowo się rzekło. Nie skasował, bo to, jak sam przyznał, nie w jego stylu. Logiczne. – Wzruszam ramionami.

– Ja pieprzę, serio? – Casimiro nie może pohamować śmiechu. – Rozkładasz na czynniki zdanie wypowiedziane, no właśnie, w nerwach?

Być może ma rację i to rzeczywiście nadinterpretacja, nagięcie faktów, a wyciągnięte przeze mnie wnioski nie mają dostatecznego uzasadnienia. Nie jestem obiektywny, bo mam wobec Spirito dług, którego nigdy, choćbym stawał na rogach, nie będę w stanie spłacić. To sprawia, że nie potrafię mieć mu za złe, że rządzi na swoim terenie twardą ręką według własnych zasad, a łamiącym je wymierza karę, w swoim mniemaniu, adekwatną do przewinienia. Staram się wskrzesić w sobie należyte do sytuacji emocje, wziąć przykład z zapatrzzonego w rodzinę Casimira, poczuć pierwotny zew, każący mi stanąć w obronie honoru brata, bo samo to, że nim jest, stawia go o szczebel wyżej, a przynajmniej powinno, ale zupełnie tego nie czuję.

Wkurwiają mnie. Jeden z drugim. Młot i kowadło. Po kolei...

Sisto, bo jest zmienny jak pogoda, jedno mówi, a drugie robi. Sam nie jestem święty, ale nawet na takiego się nie kreuję. Mam ostre rogi i zrytą banię. Wiem o tym. On z kolei nie raz usilnie podkreślał, że jest jednym z tych dobrych braci, a to, co odstawił w Syrakuzach, zupełnie temu przeczy. Problemem między nami nie jest rozbieżność w postrzeganiu świata, w którym przyszło nam żyć, jawna przepaść między naszymi kodeksami postępowania. Szkopuł tkwi w zaufaniu. Zdobycie go jest żmudnym, męczącym procesem, dlatego tekst Sista: „Wykasowałem nagranie z występów Almy” jest tak nieprawdopodobny, że wręcz niemożliwy. Nie można oczekiwać, że nagle zaufam komuś, kto nigdy nie dał mi ku temu powodów, nawet, jeśli naprawdę podjął ryzyko i nie wprost, ale jednak zadziałał na niekorzyść ojca, a tym samym wyciągnął w moją stronę rękę. Mnie też nikt nie wierzy, gdy mówię prawdę, bo kojarzę się z jednym, z kłamstwem. Tak to działa. Smutne. I prawdziwe.

Spirito, bo przez ponad dekadę nie dawał znaku życia, a wątpliwości, czy rzeczywiście z nim mój brat miał „przyjemność” stanąć oko w oko są coraz mniejsze. Zbyt wiele znaków na piekłoskłonie wskazuje na to, że powstał z martwych i pogrywa w coś według siebie tylko znanych zasad. To mnie drażni, wkurwia okrutnie, bo ja to ja, do cholery, i powinien zaprosić mnie do gry! Mam świadomość, że być może wcale się już nie znamy, a stracone lata są nie do nadrobienia, ale diabeł mi świadkiem, że gdybym miał wskazać, za kogo byłbym w stanie oddać rogi, skierowałbym palec właśnie na niego.

To na swój sposób przerażające. I ponownie, prawdziwe.

Tyle w temacie bezstronności.

– Byłem w magazynach – odzywa się Casimiro. – Robisz interesy z Serafinem?

– Interesy – powtarzam po nim. – Brzmi ładnie, ale nie musisz przeinaczać faktów. Myślisz, że moja psycha nie wytrzyma nazywania rzeczy po imieniu?

– W porządku – burczy. – Wykorzystujesz Serafina?

– W sensie, czy robię mu wodę z mózgu, obdzieram z ostatniej skóry, ewentualnie wyzyskuję?

W życiu! Masz skłonności do popadania ze skrajności w skrajność – wyrokuję, na co przekrzywia głowę. – My się po prostu przyjaźnimy. Ja i on. Drużyna Pierścienia w mocno okrojonej, zubożalej wersji.

– Dobrze. – Przeciera twarz ręką. – W takim razie dziś dostarczono towar twojego przyjaciela. Marny, więc trzeba go trochę podrasować. To w zamian za dostęp do portu?

– Taa – potwierdzam. – To ustalamy, że jutro jadę do Syrakuz, a ty zostajesz w domu i będziesz pilnował Almy.

– Chyba kpisz – prycha niezadowolony. – Wiesz w ogóle, co oznacza słowo „ustalamy”? Powiedziałem, że jadę rozmówić się – robi cudzysłów w powietrzu – ze Spirito, bo chyba obaj nie wąpimy, że to on. Nie jestem niańką. Na pewno nawet nie chcesz, żebym zaopiekował się twoją dziewczyną. To robota Gallo. Gdzie on w ogóle jest?

– W gospodarstwie jego starych rozpoczęło się winobranie. Po raz pierwszy był szczęśliwy, że tam jedzie. Spakował się w pięć minut i wypierdolił w długą. Wróci na ślub.

– W zeszłym roku jego matka musiała się tu pofatygować i wytargać go za łachy. Pamiętasz? – Uśmiecha się pod nosem. – Wizja spędzania czasu z Alną jest tak zniechęcająca, że nawet harowa przy zbiorach wydaje się fuchą marzeń. Sisto, Vittorio i reszta złotych będą mieć na nią oko. Zresztą cały czas zostawiasz ją samą, łązi po domu i wtyka nos, gdzie nie powinna, więc w czym problem? A! – Uderza dłonią w czoło. – Chodzi o to, że nagle przestałeś wszystkim ufać. Czuję się zaszczycony, że wykluczasz mnie z kręgu spiskowców czyhających na dobrą duszę twojej ukochanej – ironizuje. – Im bliżej ślubu, tym bardziej ciśnieniujesz. To zakrawa już na obsesję.

Zgadza się, mam ciśnienie i obsesyjnie pragnę znaleźć się między nogami Almy. Wznoszę ręce ku niebu, ignorując przepełniony rezygnacją wzrok brata, którego zdecydowanie przytłacza moja oryginalność i wysyłam niemą prośbę do sił wszechmocnych, licząc na spełnienie skrytych na dnie diabelskiego serduszka życzeń. Byłem grzeszny, tfu, grzeszny, cierpliwy i stały w uczuciach. Zasługuję na odrobinę czułości! Liczę, że będzie mi dane poznać w końcu tę osławioną przez samą Alnę puszczalską stronę jej osobowości, bo póki co, puszczony to czuję się ja, tyle że kantem. To jest poważne? Nie można wodzić mnie na pokuszenie, czarować spojrzeniem, bezkarnie oplatać kończynami, chrapać mi do ucha, pokładać się i podczas snu ocierać o moje ramię wełnianym, gryzącym swetrem, bo wtedy od razu mi staje. To chyba logiczne?

Nie zliczę, ile razy już plułem sobie w brodę z powodu strzelonego przeze mnie ostatnio focha. Do diabła, jakim to trzeba być imbecylem! Zamiast myśleć kutasem i iść za ciosem, postanowiłem poeksperymentować w łóżku i posłuchać rozumu zamiast błagalnych jęków duszyczki, oczekującej natychmiastowego zajęcia się jej cipką. Chciałem być miły. Pogoniłem sam siebie, wrzeszcząc w myślach: „Uciekaj. Gdziekolwiek. Najdalej!”, by w efekcie wylądować naprawdę daleko. Na balkonie. Wniosek jest prosty: Nie potrafię nawet skutecznie przed nią spierdolić. Wiedziony doświadczeniem następnym razem daruję sobie próby ratowania tyłka Almy, bo zrywając się z łóżka przyświecała mi właśnie ta, jakże szlachetna idea. Nie odczułem zewu przyzwoitości rozdzielając ją, a przynajmniej nie w pierwszym odruchu. W drugim tak, skoro skończyłem, posuwając jej cycki. Wielkoduszny Diabeł. Nawet litość w moim wykonaniu jest bezlitosna. Kurwa.

Unoszę rękę, tym samym sugerując Casimirowi, że na mnie już pora. Kilkukrotnie podskakuję w miejscu i rozciągam spięte mięśnie karku. Po godzinie spędzonej w towarzystwie braci bardziej doceniam, a wręcz tęsknię za, nie sądziłem, że kiedykolwiek pomyślę o niej w tej kategorii, bezproblemową Alną. Po stokroć wolę mieć na ramieniu jej duszę, mimo że nie raz mam ochotę po prostu ją strzepnąć, niż zastanawiać się, który członek rodziny, zamierzona gra słów, chce mnie wyruchać. Bo to, że chęć jest ogromna, wydaje się pewne, pytanie tylko, kiedy. Przeskakuję schody, chcąc jak najszybciej znaleźć się w narzeczeńskiej bańce szczęśliwości. Możliwe, że nieco naginam rzeczywistość do swoich rozbuchanych potrzeb, ale jest to dla mnie tak naturalne, jak oddychanie, więc zbytnio się nad tym nie rozwodzę. Mam wprawę w koloryzowaniu, weszło mi to w krew, wpęzło pod skórę.

Wtaczam się do pokoju i domykam drzwi nogą, w międzyczasie ściągając przez głowę koszulkę. Nie myślę wiele, z góry zakładam, że pod stertą skołtunionej pościeli leży Alma, którą zaraz zbałamucę, więc niczym naelektryzowany tasmański diabeł rzucam się na łóżko. I nic. Cisza. Kółdra nie krzyczy:

„Auć, moja poszewka!” i nie dołuje mnie, przyprawiając o kompleksy burknięciem, że mam mniej gracji niż Yeti.

Sprawdzam garderobę i balkon, aż w końcu z impetem otwieram drzwi łazienki.

W tej samej chwili mam ochotę zrobić krok w tył i zobaczyć, czy jednak coś mi się nie popierdoliło, bo z szafy wyturlał się trup, a przecież jestem w kiblu.

Alma podskakuje w przestרחu i wypuszcza trzymany w dłoni odłamek lustra. Z niewielkiego rozcięcia na jej plecach sączy się krew. Spływa po zabliźnionych wybojach niczym po wielokrotnie zmiętej w rękach mapie, a obserwowanie tej wędrowki mrozi mi krew w żyłach. Na moment, krótką chwilę, zamarza piekło. A to, kurwa, nie lada wydarzenie. Przyzwyczajony do stąpania po rozżarzonych węglach, nie jestem pewny, czy powinienem wykonać krok w przód, czy się wycofać. Oczywiście jest, że dwie, stojące na cienkim lodzie osoby, to na bank o jedną za dużo, a chęć rozegrania tej sceny od początku wydaje się aż nadto kusząca. Wykazałbym się wówczas kulturą i zapukał w drzwi, grzecznie czekał na magiczne: „Proszę wejść”, a gdybym to zrobił, Alma miałaby już na sobie sweter i byłoby... pięknie?

Wpatruję się w jej przerażone, nienaturalnie rozszerzone oczy, więc pewne jest, że słyszy trzeszczenie pod naszymi stopami, gdy w końcu postanawiam zaryzykować, bo odważny ze mnie Diabeł. To było do przewidzenia. Ja to ja. Nigdy nie klęknę, a tym bardziej się nie zląknę, widząc poharatanego, wyskakującego z worka kota, zwłaszcza takiego z obgryzionymi pazurami. Każdy stawiany przeze mnie krok wprowadza ją w coraz większe osłupienie. Na jej twarzy odmalowane są niezręczne, ciężkie jak słoń emocje i tylko czekam, aż to wszystko w końcu jebnie.

– Tym razem nie zadziałało – wkłada palce do ust i rozgląda w popłochu – skoro czuję się gorzej niż wcześniej. Mogłabym powiedzieć, że się schylałam i akurat w tym momencie odpadł kawałek lustra i spadł mi na plecy. To pierwsze, co przyszło mi na myśl. – Robi naprawdę głupią minę. – Chcesz, żebym tak powiedziała? Mogę, nie ma problemu, Mephisto. Udałbyś, że mi wierzysz i po kłopotcie. Tak byłoby najłatwiej. Nawet nie musielibyśmy o tym rozmawiać. Wypadki chodzą po ludziach. – Kiwa głową i patrzy na mnie wyczekująco.

– Brzmi jak zapowiedź najgorszej zabawy świata. Mam walić głupa? – Symuluję, że ślizgam się na posadzce, bo już wkręciłem się w te całe tańce na lodzie. – Wolę pobawić się po mojemu. – Łapie równowagę i robię krok w jej stronę.

– Poważnie? – Nie dowierza. – Czyli wolisz prawdę? Ale ty nawet się nie spodziewasz, jaka ona jest – krzywi się – niefajna.

– Wiem, jaka jest – pry cham pod nosem, bo dziś nawet o tym rozmyślałem. – Brudna, pokryta krwią, niezaprzeczalnie piękna, odurzająca brutalną autentycznością.

Alma nie wydaje się przekonana. Przygląda się temu, co wyprawiam. Nie jestem zdziwiony, skoro właśnie postukuję piętą w płytkę, próbując ocenić, czy nie pęknie, gdy postawię na niej stopę.

– Mephisto, możesz mi powiedzieć, co robisz? – Porusza chaotycznie palcem, wskazując na moje nogi. – Dlaczego stawiasz takie małe kroki?

– Bo stąпам po cienkim lodzie.

Wydaje się zdziwiona.

– Ale jak to? – Zerka na podłogę i unosi brwi. Ludzie pozbawieni wyobraźni tak robią. – I po co?

– Bawię się w bohatera i ruszam ci na ratunek... – Przestępuje z nogi na nogę, a jej oddech przyspiesza. Ewidentnie jest wzruszona, bo patrzy zaszklonym wzrokiem, najpewniej nie mogąc ogarnąć rozumem ogromu swojego szczęścia – żeby móc cię zerznąć – dodaję i uśmiecham się najmilej, jak potrafię, na co zszokowana otwiera usta i zakrywa piersi. – Widać, że bawisz się w to po raz pierwszy, skoro nie wiesz nawet, jaka jest podstawowa zasada zachowania na cienkim lodzie – stwierdzam fakt. – Ale to nic, powiem ci. Trzymasz łapy z dala od siebie. Gdy czujesz, że lód pęka i się pod tobą załamuje, rozkładasz rączki. Tylko wtedy masz szansę nie wpaść pod taflę. Wydaje się proste. – Przykładam palce do skroni.

– Czy ty może właśnie porównałeś to, co dzieje się w mojej głowie – stuka w nią palcem – do cienkiego lodu?

– Taa, bywam niebywale kreatywny, tylko nie wymyśliłem jeszcze co dalej – mówię zgodnie z

prawdą. Nie dodaję, że mnie to przerasta, bo szczerłość bywa przereklamowana. Jestem Diabłem, a nie psychologiem! ~~Bez~~problemowa Alma. Tak lepiej. Nie ma co się zapędzać w czarowaniu rzeczywistości.

– Mówiąc: „Co dalej” masz na myśli nas? Ciebie i mnie? – Wyzywająco kładzie dłoń na biodrze.

Asekuracyjnie przytrzymuję się umywalkowego blatu, przygotowany na rwący potok słów. Trochę ją już znam. Coraz lepiej.

– Wiedziałam, że tak będzie i już oswoiłam się z tym psychicznie. Nie jakoś bardzo, ale więcej niż mniej. – Nabiera powietrza. – W sumie trudno stwierdzić, co sobie myślałam. – Wzrusza niemrawo ramionami i mruga szybko, jakby chciała odpędzić łyzy, chociaż nie ma nawet załzawionych oczu. – Powinnam od razu pokazać, jaka jestem, bo ja to ja, ale na tyle, na ile rozumiem swoje uczucia, uważam, że bałam się odrzucenia. Jak widać słusznie. Nie będę cię nazywać palantem, ale musisz wiedzieć, że chcę, tylko się hamuję – nawija szybko. – Gdy dziś spojrzałam na swoje plecy, to pomyślałam, że nie wyglądają aż tak źle. – Drży jej głos. – Rany się zagoiły, bo odkąd tu mieszkam, nawet gdy czułam potrzebę przyniesienia sobie ulgi, panowałam nad tym w taki lub inny sposób. Aż do dziś. Powiedziałeś, że nie jesteś mną rozczarowany, ale ja sobą jestem i czasem nie lubię samej siebie. Tych, którzy mnie wykorzystują też nie znoszę, ale zwykle przez chwilę, a potem staram się ich tłumaczyć i szukać w nich zalet. To tak w skrócie.

Przynajmniej wiem, co to słowo oznacza w jej mniemaniu. Gdy będziemy pomykać naszym cygańskim wozem i zaproponuje drogę na przełaj, udam, że niedosłyszę.

– Mogłabym ci jeszcze coś poopowiadać o swoich spostrzeżeniach, ale lepiej będzie, jeśli się zamknę. Albo i nie. – Macha ręką, porzucając ten, bądź co bądź, genialny pomysł. – Nie wiadomo, kiedy znów nadarzy mi się taka okazja. Już to przerabiałam. Próbowала rozmawiać z mamą, ale, mimo że do niej mówiłam, to mnie nie słyszała. Było mi przykro, lecz ją też wytłumaczyłam. Po prostu nie wiedziała, jak zareagować, bo każdy boi się tego, z czym wcześniej się nie spotkał. – Podchodzi do mnie, opiera się tyłkiem o blat i kontynuuje: – Ewentualnie pomyślała, że samo mi przejdzie i przeżywam spóźniony bunt. Takie mam przypuszczenia. Pewności brak, bo nie porozmawialiśmy na ten temat, a ja uważam, że rozmowa jest ważna i...

– Chodziło mi o to, że nie wykombinowałem jeszcze, co masz robić, gdy już rozłożysz ręce – wchodzę jej w słowo. – Wtedy gdy załamuje się pod tobą lód. Musimy coś wymyślić.

– Wspólnie? Ty i ja? Czyli między nami wszystko aktualne? Nie musi, bo tak, jak kiedyś wspominałam, jest wielu chętnych, żeby mnie poślubić. – Unosi dumnie brodę. – Jeśli jednak jesteś mną zainteresowany, mimo różnych wad – zerka w moją stronę szukając potwierdzenia – to cofam w takim razie tego „palanta”. – Poklepuje mnie pocieszająco po ramieniu. – Zaraz ci pokażę, co trzeba zrobić po rozłożeniu rąk, bo wiem, tylko dokończę wcześniejszą myśl.

Pocieram energicznie twarz. Jak widać, trup do trupa niepodobny. Dla porównania: Ten, który wypadł z szafy jest aż nadto rozmowny, a Spirito z kolei milczy jak grób.

– Rozmowa jest ważna i o tym wiesz, bo sam kiedyś zaproponowałeś tą o uczuciach. Powiedziałam ci, że czuję pustkę, a ty odpowiedziałeś, że padł mi system. – Uśmiecha się lekko na to wspomnienie, jakby było miłe, a przecież była wtedy w kokainowym dołku, do którego sam ją wrzuciłem. Chryste. – Byłam raz – wystawia palec – u psychologa. Zapisała mnie do niego Etna. To było spotkanie grupowe i miałam piętnaście minut, żeby opowiedzieć o moim życiu wewnętrznym. Zdążyłam się przedstawić i wyjaśnić, co znaczy moje imię. Jakbyś nie wiedział, Alma oznacza „dusza”. Uznałam, że to ważne, bo przecież o nią się rozchodzi. I już nic więcej nie dodałam, mimo że miałam jeszcze trzy minuty. Nie mogłam poruszyć tematu domku w lesie, bo nie potrafiłam ocenić, jakie informacje mogę zdradzić. A terapia nie ma sensu, jeśli nie jest się szczerym.

– A co z tym domkiem?

– Dobrze, że pytasz. – Kiwa głową i odkręca kran. Podstawia pod niego buzię i łączywie pije wodę, a potem przeciera usta wierzchem dłoni. – Zaszło mi w gardle – tłumaczy. – Nie potrafię zrozumieć, dlaczego od momentu porwania z rezydencji Selvaggiów zaczęto nazywać mnie naiwną. Słyszę to na każdym kroku i zawsze ma to negatywny wydźwięk i, i... – jąka się, zaciskając pięść – wkurw już mną trzęsie! Jestem taka, bo zaufałam? Bo wierzę w ludzi, mimo świadomości, że mogą mnie rozczarować? Dużo o tym myślę, ale to wyższa filozofia, Mephisto i muszę to omówić z kimś

kompetentnym. – Przygląda mi się i kręci głową z niedowierzaniem. – Z kimś, kto coś mówi, a nie tylko potakuje, gapiąc się na moje cycki. – Robi zbulwersowaną minę i być może w odpowiedzi na nią uśmiechnąłbym się pod nosem, ale powstrzymuję się, dostrzegając tłącą się w jej oczach niepewność.

Jesteśmy w piekle, a ja tkwię w bezruchu jak zamrożony, bo o ile po labiryncie imaginacji mogę poruszać się z zamkniętymi oczami, to wrzucony w płataninę uczuć, których nie rozumiem, czuję się po prostu omotany. Na tym polu całkowicie bezużyteczny.

– W skali od jednego do dziesięciu jak bardzo jesteś rozczarowany tym, że nie jestem taka, za jaką mnie uważałeś?

Unoszę brwi, bo kompletnie nie rozumiem pytania.

– No wiesz, żyłeś w mylnym przekonaniu, że moja płyta główna jest kompatybilna z kartą graficzną – mówi, a ja wybałuszam gały. – Ciekawe porównanie? Zapożyczyłam od Ivo. – Wbija mi palec w ramię, zapewne oczekując odpowiedzi. Tylko jak brzmi prawidłowa, skoro od zawsze uważałem, że Alma jest szurnięta?

Przymykam powieki i przyciskam do nich palce, a gdy otwieram w końcu oczy, widzę stojącą przede mną z rozłożonymi niczym skrzydła rękami, szczerzącą się Almę. Stan radości nie utrzymuje się długo. Z każdą mijającą sekundą jej broda coraz bardziej drży. Patrzę na nią zdezorientowany. Nie mam pojęcia, na co czeka, czy powinienem nią potrząsnąć, czy jednak dać dyla. Obie opcje wydają się równie kuszące. Jesteśmy oszustami. Ja udaję, że wiem, jak postępować z grawerującą w swoim ciele laską, ona z kolei zgrywa dzielną twardzielkę.

Tak jak przewidziałem, zaraz rozpadnie się na moich oczach, a ja nie będę potrafił złożyć jej w całość. Wpadniemy pod taflę.

Aaa, o to chodzi! Zapomniałem, że jesteśmy na ślizgawce. Rozkładałam ręce, bo coś się kruszy, coś pęka, ale nie dostrzegam w spojrzeniu Almy tego, czego oczekiwałem. I to by było na tyle, skoro kręci nosem i bez skrupułów podważa zajebistość wymyślonej przeze mnie zabawy. Porzucam rolę empirycznego łyżwiarza, a jego angaż zgarnia Yeti. Łapię ją za biodra i mimo wyczuwanego oporu gwałtownie przyciągam do siebie. Zbyt mocno, bo z impetem zderza się piersiami z moim torse. Jest napięta jak struna. Jej skórę pokrywa gęsia skórka. Milczy uparcie, wyzywająco wlepia we mnie wzrok i ani myśli pokładać się na ukochanym.

– Co ci jest? Chcesz cukierka? – Nie czekając na odpowiedź, grzebię w kieszeni. Liczę, że to niedobór cukru we krwi jest powodem nedorzecznego zachowania, a nie najzwyczajniejszy foch. Wyciągam go, chcę wsadzić jej do ust, ale je zaciska.

– Powiedziałeś, że czasem będziemy się bawić po mojemu, więc proszę bardzo – mówi buntowniczo. – I nie wpychaj mi tego. – Zezuje na landrynkę. – To obrzydliwe.

– A jakie są reguły tej, czuję to w kościach, dennej zabawy? I weź, nie obrażaj tego cuksa. Dla jednych obrzydliwy, dla innych najpyszniejszy, nie? – Mrugam do niej, kładę go na języku, smakuję i jęczę z udawanej rozkoszy, bo co racja, to racja, jest naprawdę ohydny.

– Domyśl się, jakie są zasady. – Opiera dłonie na mojej kłacie.

– Daj odpowiedź.

– Musisz mi podarować coś, czego pragnę najbardziej na świecie. – Przygląda mi się niewzruszona. – Uczciwa wymiana – dodaje. – I już koniec, niczego więcej nie wymuszaj.

– Za dużo ze mną przebywasz. – Wybucham śmiechem. – To moje teksty. – Poklepuję ją po głowie.

– Bawisz się czy nie – warczy.

– Dobra, dobra, spokojnie. – Unoszę obronnie ręce. – Od początku wiem, na co czyhasz. – Biorę ją w ramiona i przytulam. Oddycha miarowo do czasu, aż przesuвам dłońmi po jej plecach. Wstrzymuje powietrze. Sunę palcami w dół, dotykając gładkich blizn. – Moja dusza jest w chuj niestrawna, ale może się nie przekręcić. W końcu to tylko kawałek.

Odpręża się, gdy wypowiadam te słowa. To dla niej typowe. Mogę grozić piekłem, roztaczać wizje kłopotów żołądkowych, ostrego rżnięcia, wykopywać dla niej dołki, stawiać na krawędzi, a i tak nie ucieka gdziekolwiek, najdalej, tylko wlepia we mnie błyszczące ślepia, w wyobraźni pewnie zacierając ręce i myśląc: „Ale będzie fajnie”. Chwilę stoimy w bezruchu, obejmuję ją mocniej, aż w



końcu otacza mnie rękami w pasie. Ścisza z całych sił, wierci się, próbując optymalnie dopasować nasze ciała. Przyciska policzek do mojej klatki, wzdycha przeciągle, gdy wsuwam palce za gumkę jej majtek, a chwilę później gwałtownie się odsuwa, zaciska ręce na moich przedramionach i kicha, zapluwając siebie i wszystko dookoła. Wiadomo. Nie jestem, kurwa, zdziwiony. Za każdym razem, gdy znaki na piekłoskłonie układają się w: „Zaraz poruchasz”, chmury na rajskim niebie Almy przybierają kształt środkowego palca. *Fuck*.

Cofa się, przecierając nos, więc łapię ją za nadgarstek, bo jeszcze jeden nierozważny krok, a skaleczy stopę odrzuconym wcześniej w popłochu odłamkiem. Zerka pod nogi.

– Tu upadł – mówi takim tonem, jakby rozglądała się za nim już wcześniej. Kuca, sięga po niego i zamiast wywalić go do kosza, uparcie próbuje dopasować fragment do lustra. Sapie i wystawia koniuszek języka, skupiona na zadaniu, które ją przerasta.

– Od razu widać, że puzzle to nie twoja bajka. – Kręcę głową i jej pomagam.

Alma przesuwa palcami po szklanej pajęczynie. Ma nieobecny wyraz twarzy.

– Tak je roztrzaskałeś, że prawie nic nie widać – burczy. – A chciałam się przejrzeć i zobaczyć, jaka jestem. – Przybliżyła twarz do roztrzaskanej, zniekształconej powierzchni.

– Przeglądając się w nim nigdy nie uchwycisz, jaka jesteś, co najwyżej, jak wyglądasz. Dlatego określam je mianem: „Pieprzonych zwierciadeł”, bo to, co najważniejsze się w nich nie odbija – stwierdzam, a Alma obdarza mnie sceptycznym spojrzeniem. – Nie patrz tak, wiem, o czym mówię. Jestem Diabłem. Dusze to moja specjalność. – Mrugam do niej żartobliwie, podczas gdy ona zaczyna płakać. Najchętniej jeszcze raz przyjechałbym w lustro, ale autoagresja, zważając na okoliczności, nie wchodzi w grę. – Mam w kurwę genialny pomysł, Almo! – Klepię ją w ramię, być może zbyt mocno, bo lekko się zatacza. W jej spojrzeniu dostrzegam niedowierzanie, ale też ciekawość.

– Ja tu właśnie płaczę, Mephisto. – Wskazuje na załzawione oczy i pociąga nosem.

– Wiem, że przechodzisz jakieś załamanie nerwowe, ale jeśli zgodzisz się, żebym cię przeleciał, to pokażę ci, jak jesteś piękna – proponuję, na co unosi brwi. – Mogę być twoim lustrem. Mephisto rozpali między nami ogień, a Eros więcej niż chętnie wbije w ciebie swoją strzałę – dodaję na zachętę, bo ją zamurowało i przystawiam palce do skroni. – Chciałbym włożyć w ciebie moje rogi. – Poruszam nimi.

– To konkretnie popieprzone, ale brzmi super, więc zgoda. – Przeciera mokre policzki i przygryza wargę, nieudolnie maskując uśmiech.

Wystawiam rękę w jej stronę w ramach przypieczętowania piekielnie dobrej umowy. Alma przybija mi piątkę i zanim zdąży zabrać dłoń, obejmuję ją za nadgarstek i przyciągam do siebie. Unosi głowę i zamyka oczy, wyczekując pocałunku. Uśmiecham się pod nosem, łącząc nasze usta. Wpychając do nich język z premedytacją podejmuję ryzyko wytworzenia tej osławionej więzi, która do dziś przeraża mnie niczym święcona woda, ale słowo się rzekło, a wymiana się dokonała.

Łapię Almę za pośladki i unoszę, bo od pochylania boli mnie szyja. Ścisza mi zaborczo policzki, żądając uwagi, bo na moment ją traci, gdy koncentruję wzrok na celu, łóżku.

– No całuj – dopomina się, ale rozplatom jej nogi i zrzucam ją na materac. Ma tak zszokowany wyraz twarzy, jakbym wyrzucił ją co najmniej przez balkon. A jednocześnie nie traci czujności, bo sprawnym ruchem zgarnia włosy i przytrzymuje je w garści, wiedząc, że się na nią rzucę.

– To słabe, że jestem taki przewidywalny – jęczę. – Podczas ostatniego skoku byłem nieśmiały i miałem założone bokserki? – pytam, ale nawet nie raczy odpowiedzieć. – To teraz dla odmiany będę śmiały i goły.

Rozbieram się w pośpiechu, Alma chce iść za moim przykładem, bo sięga do suwaka spódnicy.

– Nie ściągaj jej. Możesz ją zachęcająco unosić, gdy będę cię posuwał od tyłu.

Nie komentuje. Ma na wpół otwarte usta i delikatnie zaróżowione policzki. Leży przede mną z rozłożonymi nogami, ukazując skrawek białych, koronkowych majtek. Jestem pewny, że już jest mokra. Przesuwam dłonią po kutasie. Jej spojrzenie to mieszanka strachu, pożądania i niepewności. Z tej perspektywy wydaje się naprawdę niegroźna, ale mnie nie oszuka, wiem, jak potrafi zryć banię. Rozciągam kark, aż słyszę ciche chrupnięcie i posyłam Almie szatański uśmieszek. Przesuwa się w górę łóżka, zderzając z zagłówkiem i mówi szybko:

– Ja nie lubię od tyłu. – Wzrusza lekko ramionami. – Niestety – dodaje.

Śmieję się, słysząc tę niedorzeczność i włożę na łóżko, umiejscawiając głowę między jej udami, gdy zachęcająco muska je opuszkami. Odsuwam na bok wilgotny materiał majtek, przejeżdżam językiem po cipce i wsuwam go w śliską, zapraszającą swym ciepłem szparkę. Kurwa, to mój osobisty raj i zaraz bardzo w nim nabałaganie. Alma miauczy jak mały, łaknący pieszczot kociak, kiedy wkładam w nią palec i zaciska dłoń na moich włosach. Dołączam drugi, wyczuwając jej gotowość. Łączy nogi, a gdy je rozszerzam, dociskając do materaca, wierci się i napiera na moją twarz. Jest spragniona, żywiołowa, gotowa wykorzystać mnie do zaspokojenia swoich potrzeb. Obserwuję, jak ujeżdża palce i najchętniej wepchnąłbym już fiuta w tę cudownie reagującą, wygłodniałą cipkę. Porusza biodrami, wije się, jakby już wstąpił w nią Diabeł, a przecież ma w sobie jedynie moje rogi. Przesuwam się wyżej i przygryzam jej sutek, bo wyzywająco wypina piersi. Jest taka mokra, taka nagrzana, że kiedy dociskam palec do najciaśniejszej dziurki, muszę potrząsnąć łbem, ponieważ jęczy erotycznie, podjudzając mnie do bycia bardzo, kurwa, niegrzecznym.

– Pieprz mnie, póki możesz, bo zaraz ja będę pieprzył cię – mówię jej do ucha i obejmuję za szyję. Nie sądziłem, że to możliwe, ale mocniej zaciska drżącą cipkę na palcach. Obraca się na bok, napiera biodrami, mruczy w moje usta, wpychając w nie język. Seksownie ociera sutkami o tors za każdym razem, gdy nabija mi się na palce, aż w końcu zginam je w jej wnętrzu. Po chwili wrzeszczy w totalnie odjechanej ekstazie.

Przez dłuższy czas leży w bezruchu, następnie przeciąga się leniwie, przeciera nos i wzdycha.

– Ale to było dziwne uczucie, Mephisto. – Oblizuje wargi, gdy podnoszę się, żeby wyciągnąć z szuflady gumkę. – Jakby ktoś podłączył mnie do prądu. Miałam głupią minę? Wiem, co mam robić, żeby sprawiać sobie przyjemność i już nie raz miałam orgazm, ale ten w skali od jednego do dziesięciu otrzymuje najwyższą notę. A poza tym...

– Nie gadaj tyle.

Przerzucam ją na brzuch, zanim zdąży zaprotestować i gryzę ją w tyłek, który pokrywa się gęsią skórką. Kręcę głową, widząc, że zaciska pośladki, gdy siadam na nich okrakiem.

– Jezu – wydusza nerwowo i sięga po poduszkę, zarczując ją sobie na plecy.

– W kurwę, Almo, nigdy nie fantazjowałem o zerżnięciu żółwia. – Odrzucam poduchę na podłogę. – Chcesz mi skrzywić psychę? – Pochylam się nad nią, opierając przedramię przy jej głowie.

Przejeżdżam palcem po jej kręgosłupie, cienkich zarówno perłowych, jak i zaróżowionych, niepokrytych nawet meszkiem, bliznach. Szerszych wyżłobieniach, twardych, pogrubiałych przerostach, które na pewno swędzą, bo widać, że są rozdrapywane. Wybrzuszonych bliznowcach na łopatkach. Podążam śladem zaschniętej już teraz krwi. Alma nie pozwala sobie nawet na oddech, leży jak niezdolna do ruchu kłoda.

Głaszczę ją po włosach i opieram policzek o jej łopatkę. Spina się jeszcze bardziej.

– Kto ci wyrwał skrzydła?

Milczy dłuższy czas, aż w końcu wyrzuca z siebie nieskładnie:

– W tym domku.

To co przetacza się w tym momencie przez każdą komórkę mojego ciała, nie jest pieprzoną trąbą powietrzną, to kurewski, żądający uwolnienia tajfun.

– Selvaggio załatwili tych ludzi, już nie żyją – syczy, jakby coś ją bolało. – Więc czy mógłbyś poluzować ten wściekły uścisk? Bo zaraz mnie oskalpujesz.

Zabieram bezwiednie zaciśniętą na jej włosach rękę i masuję opuszkami skórę głowy.

– Nie drap tych przerostów. – Postukuję w środkową część pleców. – Zbledną i zrobią się miękkie.

– Miałam tam wyciętą datę.

Zaraz wybuchnie mi mózg.

– Ale już się z nią rozprawiłam. Czy nie? – szepcze drżącym głosem.

– Nie ma jej – mówię zgodnie z prawdą. Nie dodaję, że koncertowo spierdoliła sprawę, bo laserowe usunięcie pierwotnego naznaczenia byłoby prostsze niż zlikwidowanie tych głębokich wyżłobień.

– Twoi starzy nie wiedzieli, że zostałam okaleczona? Byłaś u lekarza?

– A jak myślisz? – rzuca w złości.

Teraz to na nich mam ochotę zapolować.

– Auć, czy możesz tak nie trzeć skóry głowy, bo wyłysięję? I wbijasz mi swojego, no, penisa w wątrobę. Po tej stronie jest ten narząd? – pyta głupio. – I dlaczego cały czas masz wzwód, łyknąłeś coś? Nie widzisz, jaka jestem?

– Jesteś zdrowo pieprznięta. – Śmieję się cicho i liżę jej obojczyk. – Piękna, prawdziwa i kocham cię. – Łuuu huuu, ale mnie poniosło. Żartuję, kurwa! Nie jestem niezrównoważony, anormalny czy nad wyraz impulsywny, żeby nie panować nad tym, co mówię. Ciszka. Alma znów nie oddycha. – Żyjesz? bo wiesz, co chcę zrobić...

– Tak, przelecieć mnie – wchodzi mi w słowo. – Dobrze, zgadzam się, Mephisto. Jestem bardzo mokra.

Ściskam jej pośladek, całuję kark, wgryzam się w szyję. Alma wypina idealny, stworzony do pieprzenia tyłek. Jednak zanim w końcu sobie ulżę, muszę ukoić tę poharataną, leżącą pode mną, wciskającą twarz w materac, moczącą prześcieradło łzami, duszę.

Zaakceptować.

Całą.

Od początku do końca. Moją.

Obrysowuję językiem każdą pokrywającą jej plecy bliznę. Im dłużej to robię, tym bardziej się trzęsie. Przekręca głowę na bok, łapie powietrze i płacze. Wygina się, gdy dotykam ustami najświeższej rany. A kiedy liżąc, zmywam z niej krew, wyje. Zawodzi jak dzikie, nieboskie stworzenie.

– Dajesz radę?

Płacze. Mam wrażenie, że mija wieczność, zanim w końcu mówi cicho:

– Tak, dziękuję, że pytasz. Kontynuuj. – Pociąga nosem. – Chcę płakać, więc będę, ale nie robisz nic źle. Oczyszczam duszę.

– A gdy skończysz, charkniesz smołą? – Wsuwam w nią palce. Spina się i chichocze jednocześnie.

– Nie rozśmieszaj mnie. – Zakrywa twarz dłonią.

Kłękam i szarpiąc za biodra unoszę jej tyłek. Pięknie go wypina, wciąż drży jak osika, ale zakładam, że się śmieje. Tak jest prościej. Przesuwam penisem po łechtaczce, drażnię i napieram na szparkę. Dozuję sobie tę długo wyczekiwaną przyjemność, wiedząc, że gdy w końcu się w niej znajdę, nie będę próżnował. Wciskam się w nią niespiesznie, a mimo to Alma napina każdy mięsień. Poruszam biodrami, coraz bardziej dociskając ją do siebie. Mam wrażenie, że rozdzieliczam ją po raz drugi, torując sobie drogę, przedzierając się przez niewidoczną, ale w kurwę wyczuwalną barierę.

– Wpuść mnie.

Łapię ją za włosy, co sprawia, że wygina plecy i genialnie nabija mi się na kutasa. Krzyczy zaskoczona. No cóż, mnie też to wprawiło w zdumienie. Ten cały związek przyczynowo-skutkowy był w chuj nieprzewidywalny.

– Kurwa, palancie – warczy, a chwilę później jęczy rozkosznie, gdy mocno zaciskam palce na pełnych, cudownie chłodnych biodrach.

Ciasne, ochocze, drżące ścianki jej cipki to kraina wiecznego szczęścia. Wdzieram się do niej, penetruję z niesłabnącym zapałem, podczas gdy oddech Almy staje się szybki i płytki. Pot cieknie mi po skroniach, gdy wykonuje coraz śmielsze ruchy, a nasze ciała obijają się o siebie w cudownie erotycznym, piekielnie dobrym rżnięciu. Wysuwam się, by za moment być w niej ponownie. Jeszcze raz, znów i, kurwa, wciąż, bo nie mam dość. Mógłbym na wieki pozostać w tym rajku, ale Alma przekręca głowę na bok i unosi zmysłowo tę przeklętą spódnicę. Ten ruch, to, że pamiętała o mojej fantazji, jej spojrzenie, dostrzegalne balansowanie na granicy zaufania i zatracenia sprawia, że wywalam gały do tyłu i ryczę jak obłąkany, ogarnięty ekstazą Diabeł, król pierdolonego piekła. Kończę w słodkiej, otulającej swym ciepłem cipce i opadam na Almę, okrywając jej wspaniałe ciało swoim, będąc przekonany, że odgryzę łeb każdemu, kogo wskaże.

– Nie mogę oddychać i chyba mam wstrząs mózgu – mówi, być może poważnie, ale nie mam

siły się z niej stoczyć. – I dlaczego tak robisz z oczami? Pokazujesz białka. To okropnie wygląda i się przestraszyłam.

Śmieję się i przewracam na plecy. Tłumię chęć przejechania ręką po jej idealnych krągłościach, bo znów będę pobudzony, a Alma wygląda na mocno sponiewieraną.

– Chciałem pogłaskać sobie mózg. On też potrzebuje czułości, Almo. – Obracam się w jej stronę i jednak kładę na niej łapy.

Uśmiecha się, z policzkiem wciąż wciśniętym w materac.

– Nie żyję – oznajmia, wpatrując się we mnie. – A ty?

– Żyję.

– Ty to chyba jesteś nieśmiertelny, co? – Przesuwa opuszkami po ledwo widocznym, zabliźnionym śladzie ugryzienia na mojej szyi, ziewa i zamyka oczy.

3 *Mano d'onore* (wł.) – ręka honoru.

## ROZDZIAŁ 13

### *Alma*

Zobaczył mnie. Prawdziwą. Od początku do końca. Poharataną, dygoczącą, roztrzaskaną w drobny mak, w większym niż zwykle nieładzie, a mimo to wciąż tu jestem.

Nie zliczę, który raz z kolei mam zamiar uszczyplnąć policzek, by upewnić się, że nie odpłynęłam do sennej krainy, ale mówię sobie: „Stop. Basta. Wystarczy”. To bezcelowe. Nie śnię. Stoję na trzymanej przez Vittoria drabinie, zawieszając na pergoli sznur kolorowych lampek. Ciepły wiatr rozwiewa włosy i, mimo że co jakiś czas do moich uszu dobiega podniesiony głos dyrygującego ślubną ekipą don Pedra, przepełnia mnie spokój i uczucie lekkości, którego nie odczułam już dawno. Zupełnie tak, jakby nagle moja dusza przestała być ciężką. Nakarmiona akceptacją, zamiast przybrać na wadze, schudła. Mimo to nie będę jeszcze wiwatować, bo wydaje się to reakcją na wyrost, biorąc pod uwagę fakt, że z samego rana doświadczyłam już tego pieprzonego efektu jo-jo. Gdy tylko otworzyłam oczy, a świadomość zarejestrowała brak swetra, leżenie tyłem do Mephista i oddech na karku, wpadłam w panikę. A potem poczułam zaciskającą się na biodrze ciepłą dłoń i, rety, jakie to szczęście, że destrukcyjne myśli uciekają niczym rażone piorunem za każdym razem, gdy zatracam się w objęciach Diabła. Z tą bezwzględnością, a jednocześnie przynoszącą ukojenie, czającą się za moimi plecami siłą, nie mają żadnych szans.

– Zerknij, czy ładnie to wygląda – zwracam się do Vittoria.

– Nie mogę, Almo. Chyba że później, z daleka. Na pewno nie spojrzę teraz w górę. Odpada – stwierdza kategorycznie.

– Bo?

– Ponieważ dojrzewam, jakbyś nie zauważyła – mówi z wyrzutem. – Przypadkiem zobaczę, co masz pod spódnicą i będę miał problem. Dopiero uczę się nad tym panować. Wczoraj stanął mi, gdy wsadziłem palce w pomarańczę, żeby ją rozpołowić – stwierdza z rozbrajającą szczerością, dlatego mam ochotę zasłonić uszy, lecz strach przed upadkiem jest silniejszy, niż odczuwane zażenowanie. – Ale to normalne – tłumaczy sam siebie.

Chwieję się na drabinie, słysząc dźwięk nadejścia wiadomości.

– Przeczytasz? Położyłam telefon na trawie. – Wskazuje miejsce. – Po lewej – instruuje, widząc, że błądzi jak dziecko we mgle.

W końcu go podnosi, odblokowuje i czyta na głos:

– „Za dwie godziny na dworcu autobusowym. Jedzie ze mną typ, który zamiast do swojej torby wsadził portfel do mojego worka. Powiedzieć mu o tym?”

– Odpisz, że tak. W końcu mogą być w nim dokumenty lub ostatnie pieniądze. – Kiwam głową, przekonując o słuszności słów, ale on nadal nie patrzy w górę. Wystukuje wiadomość.

Przychodzi kolejny SMS, który Vitto odczytuje:

– „Udam, że zasnąłam, uniknę w ten sposób wyrzutów sumienia. Chęć była, ale ze snem się nie wygra. Pa!”

Vittorio parska śmiechem. Sądziłam, że ten dzień nie może być lepszy, dopóki Mephisto nie zaproponował, żebym zaprosiła kogoś, kto dotrzyma mi towarzystwa, podczas gdy on będzie załatwiał swoje sprawy. Wybór był oczywisty. Zita. Właśnie do mnie jedzie i być może namówię ją nawet na nocowanie!

– Dosyć dobrze ci to wyszło.

Podskakuję w przestraszu, słysząc głos przechodzącego obok don Pedra. Nie zerkam w moją stronę, ale słowo się rzekło.

– Czy twój tata właśnie mnie skomplementował? – pytam, ostrożnie schodząc z drabiny. – Ale zrobiło mi się miło.

– Ma dobry humor po rozmowie z Diabłem. Widziałem, że przytulali się rano w sali tronowej. Ojciec nie bywa miły bez powodu.

Rozlega się trąbienie, a chwilę później słychać krzyki. Zdezorientowani zerkamy na siebie z

Vittoriem i ruszamy biegiem w stronę frontowej części domu, bo właśnie stamtąd dobiegają hałasy. Staję w miejscu, gdy okazuje się, że sprawcą zamieszania jest Serafino Bommarito. Jak wściekły szarpie za bramę i podskakuje w miejscu niczym rozwydrzone dziecko, do czasu aż podchodzi do niego gość z ochrony. Patrzę w stronę werandy, na której niewzruszony przedstawieniem siedzi objadający się słodkościami Mephisto. Przywołuje mnie ręką, więc do niego podchodzę i ładuję mu się na kolana.

– To dobre, spróbuj. – Wpycha mi w usta kawałek ciasta. Od godziny degustuje różne rodzaje, mające pojawić się w weselnym menu. Pożera je w całości, wszystkie mu smakują.

– Nie zauważyłeś, że przyjechał Bommarito? – mówię z pełną buzią. – I że jest wzburzony?

– Też go widzisz?! – Mephisto łapie mnie za ramiona i odsuwa. W jego oczach dostrzegam przerażenie. – Myślałem, że wyobraziłem sobie uwieszonoego na bramie wypłosza, a to się dzieje naprawdę! – Udaje szok. – W takim razie bardzo się boję – zawodzi, wtula się w moje piersi i szatańsko chichocze.

– Idzie tu. – Odchylam się lekko.

– Udawajmy, że on nie istnieje, dobra? – proponuje podekscytowany. – Jeśli dobrze to rozegramy, zgłupieje. Sam nie będzie wiedział, czy to sen, czy jawa. Uwierzy, że jest niewidzialny. Może nawet postrada zmysły i zwariuje. Super? – Znów przyciąga mnie do siebie.

Nie zdążę odpowiedzieć, bo po schodkach wbiega poczerwieniały ze złości Serafino.

– Mamy przesrane! – wrzeszczy. – Wszystko się wali, a ty jesz, kurwa, ciasto. Wiecznie je żresz. – Zapluwa sobie brodę.

Diabeł podsuwa krzesło, na którym mnie sadza, a sam odchyła się na oparciu swojego. Serafino kontynuuje:

– Policja skarbową skonfiskowała mi towar. – Krąży po tarasie. – Nie otrzymasz swojej doli, bo nie mam nic, okrągłe zero – rzuca w emocjach, a Mephisto patrzy na niego, jakby nie do końca rozumiał, o czym mówi. – Celowali w mój kontener, innych nawet nie sprawdzili. Przypadek, fatum? Dlaczego milczysz?!

– Przykro mi. – Diabeł rozkłada ręce. – Analizowałem, dlaczego użyłeś sformułowania „mamy przesrane”, ale to nie na moją głowę – obejmuję ją – bo nie doszedłem do żadnych wniosków. Twój pech nie zwalnia cię z danego mi słowa. Daję ci dwa tygodnie na dopełnienie warunków umowy.

– Mamy, bo jesteśmy zespołem. Na pewno masz w urzędzie ludzi. Nie pomożesz mi nawet odzyskać dostawy?

– Mogę, ale czy na pewno tego chcesz? – mówi tonem bez wyrazu. – To wyzyskiwacze, wycisną z ciebie ostatnie soki, złupią, wydoją. Oddadzą ci z dziesięć procent, ale jeśli to cię urzęda, pomogę. – Wzrusza beztrosko ramionami. – To dla mnie kłopot, ale drużyna to drużyna. – Przykłada palce do skroni.

– Dobre i to.

– Potrzebuję kasy na ruchy. To drogie kurwy.

– Ile? – pyta Serafino, więc Mephisto sięga po serwetkę, zapisuje na niej kwotę i pokazuje Serafinowi. – Aż tyle? Mam wrażenie, że cały świat sprzysiągł się przeciwko mnie. – W złości uderza pięściami w stół. – Czyli mam dwa tygodnie na dostarczenie ci twojej działki, kasy na ruchy, a sam zostanę z dziesięcioma procentami – rzuca głucho. – Czasem naprawdę mam wrażenie, że jedyne, co mi się w życiu uda, to umrzeć.

Diabeł zasysa powietrze.

– Co powiedziałeś?

– Umrzeć. Od tej pory to jedyne, co mi się uda. Spirito rzucił na mnie klątwę. – Wskazuje na skroń. – Pato-zjeb. – Macha niedbale ręką. – Ewentualnie to stary z zaświatów rzuca mi kłody pod nogi. – Zamyśla się. – La Mantide powiedział, że posprzątałeś po robocie. Gdzie go pochowałeś? Ekshumuję zwłoki i urządzę pogrzeb z honorami. Może odczaruję rzeczywistość.

Mephisto krztusi się ciastem, wydusza jakieś nieskładne „zaraz wracam”, łapie mnie za rękę i ciągnie za sobą do domu. Zatrzymuje się dopiero, gdy jesteśmy w kuchni. Podskakuje radośnie i otwiera szafkę, w której trzymamy herbatę.

– To ty zabiłeś don Mauricia? Dla mnie?

Odchyła głowę.

– Miałem to zrobić, ale gdy przyjechałem był już trupem – szepcze. – Spirito zaprosił mnie jednak do zabawy, Almo. – Cieszy się, opróżniając puszkę.

– Ten martwy?

– Jednak żywy. – Kiwa głową. – Wszystko złożyło się w całość. Załatwił starego Bommarita, bo ma z nimi kosę. Przejął towar Serafina, skoro wczoraj dostarczono mi moją część do magazynów. Teraz ten głąb – wskazuje głową w stronę widocznej przez okno werandy – zapłaci nam za swoją własność i z całego kontenera dostanie dziesięć procent. Kurwa, raj. – Potrząsa głową.

– A co z tym ciałem don Mauricia? – dopytuję.

– Nie wiem, nie obchodzi mnie to.

Wybiega z kuchni, a będąc w salonie nabiera szufelką popiół z kominka i wyspuje go do puszek, którą szczerze zamyka. Sprawia wrażenie człowieka, który zaraz eksploduje z nadmiaru szczęścia. Pędzi na taras, a ja za nim. Jezu.

– Co to? – pyta zdezorientowany Serafino, gdy Mephisto stawia przed nim osobliwy dar. – Nie jestem przeziębiony. Wolę kawę.

– To prochy twojego ojca – informuje Diabeł, zajmując krzesło.

– Skremowaliście go i wsypaliście do tego, tego – zacina się – pudełka? Dlatego mnie nawiedza!

– Uchyła wieczko. – Co on taki miał i szarawy? – Przygląda się prochom.

– Został zmielony, bo jak zapewne wiesz, po spaleniu kości nie obracają się w pył – tłumaczy cierpliwie Mephisto. – A szary, bo taki miał na sobie garnitur, ewentualnie jego dusza była brudna. – Chichra się i przyciska palce do powiek.

– Widzę, że humor ci dopisuje. – Serafino kręci głową z dezaprobatą. – Rozumiem, że nie przyjdiesz na pogrzeb?

– Nie. Nie lubię tych pieprzonych, stawianych przy pochówkach zwierciadeł. Zahaczyłbym rogiem o płótno, opadłoby i zostałbym wciągnięty do piekła, a przecież dobry ze mnie Diabeł. – Puszczą do mnie oczko. – Zanim pójdiesz, Serafino, powiedz, czy rozmawiałeś z kimś na temat swojej dostawy?

– Tak, kurwa. Dlatego wykluczyłem cię z kręgu podejrzanych. Inaczej od razu pomyślałbym, że napuściłeś skarbówkę i już dzielicie się tym, co należy do mnie.

– Słusznie. To byłaby i moja pierwsza myśl. Między naszymi duszami jest takie porozumienie, że aż mam ciary. – Patrzy na swoje przedramię, na którym pojawiła się gęsia skórka.

– Najpewniej sprzedał mnie kierowca, bo straciłem go z radaru – wyznaje szczerze. – Tyle że on pracował dla nas pięć lat i był zaufanym człowiekiem. To się kupy nie trzyma. Może ktoś wymusił od niego informacje i już gdzieś wacha kwiatki od spodu. Dojdę do tego – zapewnia.

– Wiedział o tym, że towar jest do podziału?

– Tak. Powiedziałem przecież, że to mój zaufany człowiek – warczy. – Idę rzeźbić dalej, mimo że czego się nie dotknę zamienia się w gówno. Ty tu sobie siedzisz, relaksik, za każdym razem, gdy cię widzę to coś wpierdalasz, układasz piramidki, cieszysz się z niczego, a ja mam wiecznie pod górę. Sprawiedliwość – burczy. – Na razie.

Odchodzi, z rezygnacją powłócząc nogami. Przez moment jest mi go szkoda, ale wspomnienia nadchodzą niczym wysoka fala i uświadamiam sobie, że żadne, związane z klanem Bommarito, nie są dobre. W głowie dudnią słowa don Mauricia, chcącego sprawdzić, jak bardzo „wyeksploatowana” jestem, groźby zainteresowania się moimi młodszymi siostrami, jeśli zawiodę jego oczekiwania. Serafino to ta sama krew. Nie jest zbyt mądry, ale cechuje go brak skrupułów, a to w naszych kręgach jest najwidoczniej jedną z mocniejszych kart.

Z domu wychodzi Casimiro. Towarzyszą mu Aris i Auro, którzy kierują się w stronę stojącego na podjeździe auta.

– Jedziesz do Syrakuz? – Brat zwraca się do Mephista.

– Tak, tak. – Zrywa się z miejsca. – Poradzisz sobie? Mogę cię zawieźć do twoich starych – składa mi propozycję.

– To nie po drodze – burczy Casimiro, a Diabeł gromi go wzrokiem. – To znaczy, jeśli chce, to oczywiście – akcentuje to słowo – możemy ją podwieźć.

– Spokojnie, będę miała towarzystwo, więc dzień szybko zleci. Zresztą nie pierwszy raz zostaję sama, a nie zamierzam wtykać nosa w nie swoje sprawy – uprzedzam. – Zjem obiad, pojadę na dworzec, pochodzimy po mieście i wrócimy do domu – informuję o swoich planach.

– A o której przyjeżdża twoja siostra?

– Yyy, co? Ja zaprosiłam Zitę, moją przyjaciółkę. To z nią rozmawiałam od razu po przebudzeniu – wyprowadzam go z błędu. – Poznasz ją, gdy wrócisz.

– My już ją znamy – jęczy Casimiro. – Jej stary...

– Jest sędzią. – Mephisto wchodzi mu w słowo. – Niekoniecznie chcemy ją tu widzieć, a wręcz jestem przekonany, że nie chcemy. Mamy na nią uczulenie. – Uśmiecha się przesadnie miło. – Nie zamierzam wybierać ci przyjaciół, więc powłóczcie się po mieście.

Podoba mi się to, że nie selekcjonuje mi znajomych.

– A potem niech wypierdala – kończy wypowiedź.

Otwieram usta, ale nie wydostaje się z nich żadne słowo. Zakłopotana drapię się po głowie, odprowadzając ich wzrokiem. A gdy wyjeżdżają z terenu posesji, moją pierwszą składną, ale niekoniecznie mądrą myślą jest: „Czyli z nocowania nici?!”.  
– Obiad podano! – wrzeszczy Vittorio, wychodząc z domu. – Przesuniesz te talerze z ciastem? Lubisz risotto z kurczakiem i warzywami?

Zanim zdążę odpowiedzieć lub wykonać jakikolwiek ruch, podbiega do nas podenerwowany Sisto. Trzęsie się, jakby grunt osuwał mu się spod stóp. Jego nastrój jest zaraźliwy. Gwałtownie wstaje z miejsca.

– Boże, Boże. – Szarpie za włosy. – Już po mnie. I po tobie. – Potrząsa moimi ramionami.

– A możesz jaśniej? Bo nie rozumiem.

– Usunąłem nagranie z monitoringu, ale najwidoczniej ktoś – chrząka – je zgrał, zanim to zrobiłem. Ojciec właśnie je ogląda. – Przeciera czoło przedramieniem. – Tym razem nie wystarczy, że klęknę. Nie może się wydać, że je usunąłem, rozumiesz? – syczy. – Vitto – patrzy na niego – morda w kubeł.

– A o jakim nagraniu mówisz i co ja mam z tym wspólnego? – dopytuję.

– Chodzi o to, na którym widać, jak przekazujesz kluczyki od wozu starego jakiemuś gościowi.

– Myślałam, że Mephisto już to załatwił – mówię zgodnie z prawdą. – Wczoraj, gdy się o tym dowiedział.

– Nic nie załatwił. Myślisz, że jest cudotwórcą?! – warczy Sisto. – Tylko o tym rozmawialiśmy, a potem zaszył się z tobą w pokoju, więc kiedy niby miał to zrobić? – pyta z wyrzutem.

– Może dziś rano, bo rozmawiał z tatą – wtrąca Vitto. – Na pewno nie zostawiłyby Almy samej, gdyby ta sprawa była otwarta. Widać, że w ogóle go nie znasz. – Vittorio jak gdyby nigdy nic pałaszuje obiad. – Jedz, Almo. – Wskazuje widelcem na talerz. – I nie bój się, w razie czego wezmę karę za ciebie. – Wzrusza ramionami i dodaje: – Dobry wyszedł ten kurczak.

– Straciłam apetyt. A co mi zrobi wasz ojciec? – Przyłapuję się na skubaniu skórek u rąk.

– W najlepszym przypadku wygna cię z domu. Nie wyrazi zgody na ślub. Nielojalność, narażanie rodziny na kłopoty są niewybaczalne. Tylko błagam, nie mówcie, że skasowałem to nagranie – Sistowi drży głos – bo wyjdę na takiego, który kopie pod starym dołki.

– Alma na wygnaniu. Dobrze. – Vitto śmieje się w głos. – Jak w średniowieczu, wygnanie, chłosta lub śmierć. Jedno chujowsze od drugiego. – Poklepuje pierś i beka.

W pierwszym odruchu mam zamiar po prostu opuścić posiadłość. W drugim i trzecim także. Wygnam się sama i zadzwonię do Mephista. Robię kilka kroków w tył, planując za moment dać dyla, lecz z domu wychodzą Rufo i don Pedro. Każdy z nich niesie dwie czarne torby. Nie sprawiają wrażenia wzburzonych, ale co ja tam wiem. Nie potrafię odczytywać ludzkich emocji, ani intencji. Sisto nerwowo przestępuje z nogi na nogę. Chyba wyczekuje werdyktu, jednocześnie zaciskając kciuki i zapewne modląc się, żebym go nie wkopała. Nie mam takiego zamiaru. Chciał mi pomóc, a że nie wyszło, trudno.

– Zawieziecie to z Rufem do magazynów. – Pedro kładzie torby na tarasie. – Wracając odbierzecie garnitur Mephista od krawcowej – wydaje polecenia. – I kupcie mi coś na zgaę, bo czuję, jakbym miał zionąć ogniem. – Masuje się po brzuchu. – Wieczorem pokażę ci obrączki – zwraca się do



mnie.

– Obejrzałeś nagranie? – Sisto zadaje pytanie, zamiast się zamknąć, skoro jego ojciec nawet nie porusza tego tematu. – I co to? – Rozsuwa zamek jednej z toreb. – Skąd to masz? – Wskazuje na paczki wypełnione białym proszkiem.

– Od Mephista. Odzyskał towar z nawiązką. Mam dubla. – Wyszczерza zęby w uśmiechu. – Rano przyznał, że to panna La Mantide wykazała się bezdenną głupotą. – Kręci głową. – Dlatego taśma z nagraniem, którą znalazłem w swoim gabinecie nie była dla mnie zaskoczeniem. Pewnie nawet sam Diabeł mi ją podrzucił. – Wzrusza ramionami, jakby było to nieistotne.

– Czyli nie jest pan zły? – Nie dowierzam.

– „Kasa i długo, długo nic” to moje motto. Nie przynosisz mi strat, nie widzę cię. Tak to działa. Z reguły – przyznaje wprost i rechocze. – Mephisto wspominał ci, że po ślubie przepisujesz swoją część wyspy na mnie?

– Tak – kłamię. – Bardzo chętnie dołożę swój kamyk, by wybrukować nasze piekło.

Wybucha śmiechem, a gdy się odwraca i przekracza próg, słyszę, że szepcze pod nosem: „Naiwna idiotka”. Może i tak. Tylko kim w takim razie jest on, skoro wychowując syna, przebywając z nim na co dzień, nawet nie zorientował się, że kiedy mówi: „Słowo Diabła”, to oszukuje? A jak sam wspomniał podczas rozmowy, którą podsłuchałam będąc na drzewie, właśnie to stwierdzenie padło z ust Mephista, obiecującego mu moją wyspę.

Dużo myślałam o specyficznej więzi łączącej go z ojcem, ale wciąż nie mogę zrozumieć zasad toczącej się gry. Wiem jedynie, że takowa ma miejsce, czuję unoszące się w powietrzu napięcie, gdy znajdują się w jednym pomieszczeniu. Don Pedro jest przekonany, że prowadzi w tym diabelskim tańcu, mimo że Mephisto przytłacza go swoją osobowością, nie dając chwili na wytchnienie. Cały czas wirują, kręcą się od nowa i wciąż, ale wiadome jest, że któryś z nich w końcu zgubi kroki, komuś zakręci się w głowie. Ktoś odpadnie. Gdybym miała powiedzieć, na czym polega ta zabawa, stwierdziłabym, że właśnie na tym. Na eliminacji. To tak popieprzone, że z góry odrzucam tę myśl i rozmyślam dalej...

A raczej zrobiłabym to, gdyby nie dźwięk telefonu i machający mi nim przed nosem Vitto. Odczytuję wiadomość od Zity.

– Widzisz, Almo, mówiłem ci, że ojciec nie bywa miły bez powodu. Diabeł zadbał, by miał dobry humor. – Vittorio puszcza do mnie oczko. – A ty po co przypomniałeś mu o tym nagraniu? – zadaje bratu pytanie, ale chyba nie oczekuje odpowiedzi, bo wstaje, zbiera ze stołu talerze i znika w domu.

– Nic tu po nas, jedziemy? – Sisto zerka na Rufa.

– Mogę zabrać się z wami? – Patrzą na mnie pytająco. – Dziś odwiedza mnie Zita. Muszę odebrać ją z dworca. – Stukam palcem w wyświetlacz trzymanego w ręce telefonu.

Sisto chce coś powiedzieć, ale Rufo klepie go w ramię.

– Nie będziemy się bawić w taksiarzy. Mamy w chuj roboty – warczy. – Poproś któregoś ze sługusów lub zamów taksówkę.

– Dobra, nie było pytania. To do potem. – Uśmiecham się i robię krok w bok, chcąc go wyminąć.

– Daj spokój, stary – odzywa się Sisto. – Alma jedną nogą jest już w – chrząka – rodzinie. A tej, jak wiadomo, się nie odmawia. – Ujmuje moją dłoń. – Podwieziemy cię i dzięki, że nie zdemaskowałaś mnie przed ojcem.

– Nie ma za co. Nie miałam takiego zamiaru. To sprzeczne z moim wewnętrznym „ja”. W takim razie skoczę po torebkę i zejść – informuję.

– Nie spiesz się, bo musimy jeszcze dotankować. Będziemy czekać na stacji, tej przy skrzyżowaniu – stwierdza Rufo, na co kiwam głową i pędzę do pokoju.

Zakładam spodnie, wygodne buty i zgarniam z szafki portfel oraz torebkę. Nie będę oryginalna, zanim wyjdę robię to, co każda bez pamięci zakochana dziewczyna, wtulam twarz w koszulkę swojego faceta. Pocieram nią o policzki, nos i w takiej, umówmy się, typowej, będącej na porządku dziennym sytuacji zastaje mnie Vittorio.

– Nie wnikam – mówi, drapiąc się po głowie, jakby był zakłopotany. – Przyszedłem sprawdzić, czy już wychodzisz i czy wzięłaś coś cieplejszego – wskazuje na moje odsłonięte ramiona – bo wieczorem będzie chłodno, a ty podobno masz katar, czy coś?

– Wezmę. – Sięgam po sweter. – Mephisto kazał ci tego dopilnować? – Na samą myśl, że tak, uśmiech od razu pojawia mi się na twarzy.

– Tak. Ale to, cytuję: „Nie z jebanej miłości”. Jedziesz taksówką?

– Nie. Sisto i Rufo mnie podwiozą.

– Wątpię, oni już pojechali.

– Będą czekać na stacji Esso. Muszą zatankować.

– Wczorajem tankowałem, bo to moje zadanie – mówi z dumą. – Ale pewnie założyli, że znów zapomniałem. – Przewraca oczami. – A, jeszcze miałem przypomnieć o spluwie. – Uderza się w czoło.

– Masz? I gdyby ktoś pytał, masz mówić, że jesteś Almą Gotti. To ważne. Jesteś w Palermo. A ono to...

– My – wchodzę mu w słowo.

– Właśnie. – Wyszczera zęby. – Czujesz się odpowiednio zaopiekowana? Co powiesz, gdyby Mephisto pytał, czy dobrze o ciebie zadbałem?

– Powiem, że świetnie. – Śmieję się i wymijam go w progę.

– O której będziecie z powrotem? – pyta jeszcze.

– Masz na myśli mnie i Zitę? Diabeł nie zgodził się na odwiedziny, bo to córka sędziego.

Sprzeczność interesów czy coś. – Macham lekceważąco ręką.

– A, bo to ta Zita. – Nabiera powietrza. – I Sisto wie, że to ją macie odebrać? – Mruży oczy.

– To znaczy powiedziałam mu tylko, jak ma na imię. A co?

– Jej stary wsadził go do paki i nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby spotkali się twarzą w twarz.

Rzeczywiście konflikt interesów, Almo. Ona podobno ma coś z dekle. – Stuka się w skroń. – A Sisto jest ostatnio jakiś zestresowany. Lepiej weź taksówkę. Postój jest na skrzyżowaniu niedaleko stacji.

Ewentualnie poczekaj, aż ojciec skończy spotkanie ze sługusami, to któryś cię podwiezie. – Kiwa głową.

– Tak zrób – dodaje.

– Zita jest zdrowa na umyśle – pryham. – Co ona ma wspólnego z tym, że Sisto nie przestrzega prawa?

Vittorio marszczy groźnie brwi. Ewidentnie nie podoba mu się to, co powiedziałam.

– Pamiętaj, po której jesteś stronie. Bycie chorągiewką jest najgorsze. Jesteśmy teraz twoją rodziną, więc weź się ogarnij, bo wybór jest prosty. – Idzie w stronę swojego pokoju. – Ale mi zepsułaś humor – mamrocze pod nosem, a chwilę później z hukiem zatrzaskuje za sobą drzwi.

Już któryś raz z kolei słyszę, że moja przyjaciółka jest, delikatnie mówiąc, niespełna rozumu. Nie zgadzam się z tymi krzywdzącymi ją opiniami! Różnica środowiskowa jest ostatnim powodem, dla którego rozważałabym pogrzebanie naszej przyjaźni. Zita jest pomocna, odważna i pomysłowa. A co najważniejsze, nie zostawiła mnie, kiedy w klubie wzbudziłam zainteresowanie policji, mimo że miała szansę niezauważenie się ulotnić. Dawałam jej nawet sygnały wzrokowe, ale odpowiedzią nie było wzięcie nóg za pas, lecz przewrócenie oczami i szeroki wyszczerz. Uciekła, dopiero gdy zostałam odwieziona do domu. Zawsze mogę na niej polegać. To prawda, że wybór jest prosty. Wszyscy mogą odetchnąć z ulgą. Oczywiście, że wybieram rodzinę. Od dziś Zita jest moją piątą siostrą. I po problemie.

Przechodzę przez pasy, bo postój taksówek znajduje się nieopodal wjazdu na stację. Rufo opiera się o maskę stojącego przy dystrybutorze auta, a Sisto przeszukuje bagażnik. Patrę pod nogi, licząc, że przemknę niezauważona. Wolałabym uniknąć tłumaczenia, dlatego rezygnuję z ich uprzejmości. Najpierw sama proszę o podwózkę, dezorganizując im dzień, marnując czas, a teraz, co miałabym powiedzieć? Że mi się odwidziało? Jezus.

– Nie widzisz nas?!

Unoszę głowę i uśmiecham się lekko, próbując zamaskować zakłopotanie.

– Wsiadaj! – Sisto przywołuje mnie ręką.

Przystaję, łapiąc za klamkę taksówki.

– Jednak nie chcę robić kłopotu! – odkrzykuję. – Do później!

Patrzą na siebie, aż w końcu Rufo rusza w moją stronę. Nie myśląc wiele, wskakuję do auta.

– Proszę jechać na dworzec autobusowy. – Nerwowo poklepuję kierowcę po ramieniu. Nie wiedzieć czemu, trzęsą mi się nogi. Odmawianie nigdy nie było moją mocną stroną. Mało tego, odczuwam coś na kształt wyrzutów sumienia, bo zachowałam się niedorzecznie, może nawet

niewdzięcznie. Rufo przyspiesza kroku. Wygląda na wzburzonego. – Dlaczego pan nie jedzie?!

– Pracujesz dla Gottich? Przed nimi nie da się uciec – stwierdza monotonnym, znudzonym tonem i odwraca głowę. Taksuje mnie wzrokiem i wykrzywia twarz w obrzydzeniu. – Naiwna dziwka.

– Słucham? – pytam zszokowana.

Nie uzyskuję odpowiedzi. Zresztą nie jestem przekonana, czy jej chce. Drzwi zostają otwarte, a Rufo wywleka mnie na zewnątrz, szarpiąc za łokieć.

– Można wiedzieć, co odstawiasz? – syczy mi do ucha, zacieśniając uścisk. – Sterczymy tu jak debile, a ty nawet nie raczysz podejść. Nie nauczyli cię w domu okazywania wdzięczności za przysługę?

– Wpojono mi przysługę za przysługę. Wdzięczność jest wtedy zbędna – odpyskuję.

– Hej, stary, chyba cię poniosło! – Podbiega do nas Sisto. Rufo od razu mnie puszcza. – Wszystko w porządku? – Przechyla głowę.

– Niezbyt, ale dziękuję, że pytasz.

– No i widzisz, co narobiłeś?! To Alma, człowieku.

– Przepraszam, odbiło mi. – Rufo unosi ręce. – To się więcej nie powtórzy. Zdenerwowałem się, bo nas olałaś, a przecież jesteście rodziną. Wybaczysz? I jedźmy już, bo mamy górę koksu w aucie. Nie możemy tak tu stać.

– Przepraszam, ale ja z wami nie jadę. – Rety. Powiedziałam to! Wprost! Jestem z siebie dumna.

– Wybaczam ci – patrzę na Rufa – ale czuję się jakoś nieswojo. Dlatego dziękuję, ale nie skorzystam z podwózki i cześć – wyrzucam na wdechu.

Brat Mephista przyjmuje to bez większych emocji. Potakuje, uśmiechając się przyjaźnie i wsiada, zajmując tylną kanapę.

Odwracam się plecami do Rufa, chcąc pójść na przystanek, bo chęć na podróżowanie taksówkami też wyparowała, lecz wtedy dzieje się coś, co nieodwołalnie zmienia moje plany. Rufo ponownie mną szarpie i zanim zdążę zorientować się w sytuacji, siłą wpycha do samochodu. W ostatniej chwili podciągam nogę, dzięki czemu nie przytrząskuje jej drzwiami.

– Rufo, co ty wyprawiasz?! – wrzeszczy Sisto. – Jezu, kurwa i wszyscy święci.

– Ja chcę wyjść! – Szarpię za klamkę, ale na nic się to zdaje. – Zaraz zwariuję, nienawidzę być uwięziona! – Uderzam pięściami w szybę i kopię w fotel kierowcy. Siedzący obok Sisto w uspokajającym geście kładzie dłoń na moim ramieniu. Przywalam mu z całej siły łokciem w twarz. – Jezu. Przepraszam. To odruch. Rufo, wypuść mnie! – Obejmuję go od tyłu za szyję, duszę, szarpię, nie potrafiąc nad sobą zapanować, a nawet złapać oddechu.

– Uspokój tę idiotkę – charczy.

– Almo, spokojnie. Wszystko jest dobrze. – Sisto zwraca się do mnie jak do dziecka. – Rufo, ty debilu, wystraszyłeś ją! Teraz boli mnie nie tylko dupa, ale też nos – pociera go i jęczy.

Jak to dobrze, że jest ze mną brat Mephista. W innym przypadku już postradałabym zmysły. Jestem tego pewna.

– Powiedz mu, żeby się zatrzymał, proszę – piszczę. – Zapomnę o tym, tylko chcę wyjść. – Obejmuję jego ręce i nimi potrząsam. – Proszę, błagam.

– Musimy go zabić, bo coś mu padło na łeb – szepcze mi do ucha Sisto. – Masz spluwę? Zapomniałem swojej. – Trzęsąc się, sięgam po torebkę. Wyciągam pistolet, który mu przekazuję. – Zatrzymaj auto – mówi tonem bez wyrazu i zaciska usta. Nie w złości, raczej jakby chciał zamaskować uśmiech.

– Nie zatrzymuję się na żądanie. Pierwszy przystanek to dworzec autobusowy, drugi – milczy przez chwilę – ustronne pobocze, las, urwisko? – pyta jakby sam siebie.

– Chyba będziemy musieli ciągnąć zapalki, jeśli nie będziemy zgodni. – Sisto puszcza do mnie oczko.

Serce wali mi jak szalone.

– Co tu się dzieje? – pytam głucho.

– Cicho, udaję, że jestem z nim w drużynie – odpowiada i kładzie palec na ustach. – Przecież nie zastrzelę go w trakcie jazdy, bo też zginiemy. – Gromi mnie wzrokiem. – Pobawisz się? Chyba tak, co? Z Diabłem w kółko się w coś bawicie.

Milczę, nie wiedząc, jaka odpowiedź jest tą właściwą. Czy dobrym rozwiązaniem jest udawanie głupiej, a może jednak podjęcie ryzyka i próba uduszenia ich gołymi rękami. O ile w pierwszej chwili przepełniały mnie przede wszystkim niemoc i niezrozumienie, tak teraz do tych odczuć dołączyła wściekłość. I strach. Paraliżujący, jak ten odczuwany w leśnej chacie. Nie pomaga świadomość, że Mephisto jest daleko stąd, pojechał do Syrakuz, zostawiając mnie pod opieką rodziny, która z założenia powinna być parasolem chroniącym przed deszczem. Tyle że ten okazał się jakiś, kurwa, dziurawy.

Może to po prostu głupi żart? W efekcie okaże się, że zorganizowali mi wieczór panieński i na koniec krzykną: „Niespodzianka!”.

Naiwna Alma.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, ale nie jesteś Diabłem – wypalam, a Sisto unosi brwi, jakby nie takiej odpowiedzi się spodziewał. – Żaden z was nie dorasta mu do pięt. Nawet nie potraficie dobrze odegrać roli dobrego i złego gliny. Znam tę zagrywkę. – Przęłykam nerwowo ślinę. – O to chodzi, tak? Musisz popracować nad mimiką i gestami, chujowo ci to wychodzi.

Uderza mnie rączką pistoletu w skroń tak mocno, że walę głową w szybę. Na moment tracę ostrość widzenia. Tą drogą daleko nie zajdę.

– Rzeczywiście jesteś wyjątkowa. Wyjątkowo wkurwiająca – syczy, zaciskając w garści moje włosy. – Zobacz, do czego mnie zmuszasz, kłapiąc niewyparzoną gębą, zamiast docenić, że to dziś jest ten dzień, kiedy spotka cię coś miłego.

„Życzę ci, żeby spotkało cię wkrótce coś miłego”.

Przypominają mi się słowa człowieka, któremu przekazałam kluczyki od samochodu don Pedra. Wątpię, żeby był to przypadek. I chyba jednak powinnam przeprosić Sista za niedocnienie aktorskich umiejętności, skoro wszystkich skutecznie oszukał.

– Zaplanowałaś to – wyduszam. – Znasz człowieka, który stał pod naszą bramą...

– Sprytnie? – Uśmiecha się cwaniacko. – To brat Rufa.

– Tak, bardzo – kłamię, bo nawet ja zauważam luki w tym misternym planie. Na moją niekorzyść działa jednak fakt, że nie ma mi kto pomóc. Gdy to sobie uświadamiam, ponownie tracę oddech. – Chciałabym być tak pomysłowa jak ty – komplementuję go, a Rufo parska. – Jesteś najinteligentniejszym z braci.

Sisto kiwa głową, przyznając mi rację.

– Już nie patrzysz na mnie jak wtedy w sali tronowej, gdy klęczeliśmy przed ojcem.

– Nie rozumiem.

– Tak, jak robi to Mephisto. Jak na posłusznego psa, który jedyne, co potrafi, to podać łapę i zamerdać ogonem.

– To dlatego mnie porwał? Bo wydaje ci się, że niewłaściwie na ciebie spojrzalam? I co zamierzasz ze mną zrobić? Posłuchaj. – Robię głęboki wdech. – Uważam to za żart. Niech Rufo zatrzyma auto, zaśmieję się i pójdę w swoją stronę. Naprawdę nigdy o tym nie wspomnę. Przysięgam. Będzie jak dawniej.

Sisto śmieje się gorzko i rozsiada na kanapie.

– Żeby było jak dawniej, musisz zniknąć...

– Dobrze – przerywam mu. – Obiecuję, że to zrobię. Wyjadę i nigdy już mnie nie zobaczysz.

– Nie zrozumieliśmy się, Almo. Dzisiaj umrzesz. – Mruży oczy, a mnie drży broda. – I nie płacz. To w niczym nie pomoże. To nie ten etap, że mogę się wycofać bez konsekwencji. Twoje życie lub moje. Wybór jest prosty. – Drapie się łufą po skroni. – Miałem nie brudzić rąk. Miało być inaczej – mówi tajemniczo. – Ale Mephisto jak zwykle wszystko zjebał.

– Myślałeś, że wasz ojciec wymierzy mi karę, być może zabije, bo przez moją głupotę stracił towar. Rzeczywiście skasowałeś nagranie, ale wcześniej je zgrałeś i tylko czekałeś, aż Diabeł z Casimirem wyjadą, żeby nie mogli zareagować i ochronić mnie przed don Pedrem. To ty podrzuciłeś mi taśmę – oznajmiam, a Rufo znów się śmieje. – Nie spodziewałeś się, że sprawa już jest załatwiona, dlatego tak natrętnie wypytywałeś o ten filmik, a tu niespodzianka.

– To jednak prawda, że ludziom przed śmiercią rozjaśnia się umysł. Racja, myślałem, że stary się wykaże, upozorujemy napad na chatę, przez co odsuniemy od siebie podejrzenia, ale nie wyszło. Można

powiedzieć, że Diabeł przypadkiem mnie wykiwał, ocalając Vittoria, bo jego też musielibyśmy wyeliminować. Ale nie ocalił ciebie, skoro siedzisz obok.

– A co Vitto ma z tym wspólnego?

– Jak to? Mephisto go wychowuje i ryje mu banię. Gdybyśmy wyrządzili ci krzywdę na jego oczach, na pewno nie byłby niemym świadkiem. Myśl trochę.

– Zabiłbyś brata? A co z zasadą „śmierć za śmierć”? Jezu. To niepojęte. – Chowam twarz w dłoniach. – Co ty robisz...

– Jestem gotowy na poświęcenia, byleby tylko Diabeł nie przejął władzy – mówi pewnie. – Dlatego musimy się ciebie pozbyć. Mój brat przez tyle lat nie chciał się żenić, a potem pojawiłaś się ty – warczy rozgoryczony. – Wolę to, co znam. Chcę, żeby rządził ojciec. Mephisto jest nie zrównoważony, ma swój świat. Nie chcę być jego częścią. Jestem na to zbyt normalny. Chyba rozumiesz? – Wbija mi łokieć w bok.

To, że rozumiem jest niedopowiedzeniem roku. Trafiłam z deszczu pod rynnę. Z zakładu dla obłąkanych do popieprzonej, piekielnej rodzinke. Chyba oczywiste, że nie ogarniam rozumowania Sista, bo ten jego plan to nietrzymający się kupy, nielogiczny paradoks.

– Dobra, dość. – Robię głęboki wdech, próbując wymyślić lepszą taktykę, skoro bycie miłą i komplementy na nic się zdają. – Diabeł cię zabije, nawet, jeśli nic mi nie zrobisz. To więcej niż pewne. Już ci, kurwa, współczuję – rzucam złowrogo, a Sisto śmieje się w głos. – I tobie też. – Klepię Rufa w ramię. – Moja babcia miała dar przewidywania przyszłości i mam to po niej – nawijam, chociaż mogłam to pominąć. Biorąc pod uwagę fakt, że zostałam porwana już dwukrotnie, umiejętność ta wydaje się przereklamowana. – Jak rozumiem, spotkaliśmy się na stacji, żeby domowe kamery nie zarejestrowały, że wyjeżdżam z wami? Chcieliście mieć alibi.

– Bingo – stwierdza beznamiętnie Rufo.

– Bardzo mądrze. – Klaszczę. – Nieważne, że zanim wyszłam z domu, miałam styczność z różnymi ludźmi, którym powiedziałam, że podwieziecie mnie na dworzec. I nieistotne, że na stacji są kamery i świadek w postaci taksówkarza. I to naprawdę nic takiego, że na pewno nagrało się, jak siłą zostają wepchnięta do auta. Takie tam szczegóły. – Macham ręką.

– Kurwa – syczy Sisto. – Zamknij się!

– W związku z tym proponuję mnie uwolnić i modlić się, żebym trzymała buzię na kłódkę. Póki co, jesteście bardziej martwi niż ja. Jeśli w tym momencie wysiądę, mogę uznać to za żart – proponuję widząc, że podjeżdżamy pod dworzec.

– Nie martw się o nasze alibi. O wszystko zadbaliśmy. Komu wypaplałaś, że cię podwozimy?

– Nikomu. Powiedziałam tak dla zmyłki, sądząc, że połkniecie haczyk i się nie pomyliłam.

– Czyli powiedziała Vittoriowi – stwierdza Rufo.

Dostrzegam stojącą pod dworcowym zadaszeniem Zitę. Ma tak brudne ubrania i twarz, jakby po godzinach dorabiała w kopalni. Przelicza najpewniej nie swoje pieniądze i uśmiecha się do siebie. Tymczasem ja próbuję wymyślić, jak wybrnąć z patowej sytuacji, w której tkwię po uszy, nie narażając przy tym przyjaciółki na niebezpieczeństwo.

– No i nie ma jej. – Rozglądam się dookoła. – Nie jestem zdziwiona, też bym nie czekała tyle czasu. – Przykładam czoło do szyby, wytrzeszczam oczy i przejeżdżam palcem po szyi, sugerując podrzynanie gardła za każdym razem, gdy ktoś przechodzi obok. Liczę, że któryś z przechodniów zrozumie niemy przekaz, ale nic z tego.

– Nie bądź taka cwana. Zaraz się okaże, czy tu jest – rzuca Sisto i wysiada. – Zita, tu jesteśmy! – woła radośnie, na co ona od razu unosi głowę. Szarpię za klamkę, pewna, że i moje drzwi zostały odblokowane.

– Panel sterujący jest przy kierowcy, debilko. – Rufo się śmieje. – Nie panikuj. Wkrótce cię wyniesiemy – chrząka – nogami do przodu.

Zita biegnie w naszą stronę. Uderzam rękami w szybę, ale nawet, gdy nasze spojrzenia się krzyżują, sądzi chyba, że moje szalone zachowanie to efekt radości wywołanej wyczekiwaniem spotkaniem, bo macha i jak gdyby nigdy nic okrąża samochód. Staram się przecisnąć obok Sista, ale blokuje przejście nogą.

– Zaraz cię odstrzelę – warczy.

– Uciekaj! – wrzeszczę, nie wiedząc nawet, czy przyjaciółka mnie słyszy. Kopię Sista w kolano, nie zważając na groźby, bo kolejna szansa na ucieczkę może się już nie nadarzyć i próbuję go odepchnąć, ale Rufo łapie mnie za włosy i pociągając za nie, wymusza powrót na miejsce. – Na pomoc! Ratunku!

– Cześć. – Słyszę głos Zity. – To Alma tak krzyczy? – Chwilę później otwiera drzwi pasażera i zerka do środka. Jeszcze nie zdarzyło się, żeby odebrało jej mowę, aż do teraz.

– Właż, bo urwę jej ten dumny łeb – mówi bez emocji Rufo.

– Nie wsiadaj – piszczę, mimo że chciałam krzyknąć. Kopię na oślep, gdy Sisto wsiada z powrotem, wykrzywiając twarz w grymasie bólu.

– Przestań wierzczać albo wpakuję jej kulkę w plecy. – Sisto przykłada spluwę do oparcia fotela, na którym siedzi Zita.

A ona, ot tak, jakby nie działo się tu nic niepokojącego, odwraca głowę, by zaprezentować odznaczający się na tle usmolonej twarzy, śnieżnobiały uśmiech.

– To jakieś wasze gangsterskie ćwiczenia? – Wymachuje chaotycznie palcem, zerka na mnie, mrużąc oczy. Łkam. – Dobra, nie było pytania. – Unosi rękę.

– To brat Mephista. A to sługus jego ojca. – Wskazuję głową to na jednego, to na drugiego. – Oni chcą mnie zabić, żeby nie doszło do ślubu, przekazania władzy i jakichś innych, urojonych w ich głowach bezsensów – tłumaczę.

– Zastępca. Prawa ręka – poprawia mnie zirytowany Rufo.

Dzwoni mój telefon. Melodia „Highway to hell” rozbrzmiewa we wnętrzu, więc nie muszę nawet zerkać na wyświetlacz, żeby wiedzieć, kto chce się ze mną skontaktować. Z trudem powstrzymuję łzy, gdy dociera do mnie, że droga, którą zmierzamy, bez wątpienia wiedzie do piekła, a ostatnim przystankiem jest śmierć. Sięgam po komórkę.

– To Diabeł?

Sisto przełyka nerwowo ślinę, a w jego oczach dostrzegam przerażenie, mimo że od brata dzieli go wiele kilometrów. Nie mam zamiaru odbierać. Boję się, że nie zdołam opanować emocji.

– Napiszę do niego, że wszystko w porządku, bo nie przestanie wydzwaniać.

Wystukuję wiadomość.

– Pokaż, co napisałeś – mówi i wrywa mi telefon z ręki. Przez chwilę patrzy w wyświetlacz. – Dobra, możesz to wysłać. – Zerka przez tylną szybę. – Jedź w stronę Monte Catalano – zwraca się do Rufa. – Skręć przy zalesionym wjeździe na dziką plażę. Tam się ich pozbędziemy. Potem pojedziemy po Vitta, weźmiemy go do magazynów i zrobimy rozpierduchę. Poturbujesz mnie, jego odstrzelisz, a reszta tak jak ustalaliśmy wcześniej. Nikt nas nie powiąże ze zniknięciem Almy.

Mephisto dzwoni ponownie. Spodziewałam się tego. Boli mnie serce na samą myśl o tym, jak wielką musi odczuwać teraz niemoc i gdybym mogła cofnąć wysłanie wiadomości, zrobiłabym to. Sisto wrywa mi telefon i wyrzuca go przez okno.

– Zbyt duży zbieg okoliczności, skoro jesteście w jednym plemienu, czy jak wy to tam nazywacie – stwierdza Zita. – Chyba że takie akcje w stylu „wielkie, kurwa, kłopoty” są u was na porządku dziennym. Są?

– Plemienu! – Rufo powtarza po niej i zanosi się śmiechem. – Pytał cię ktoś o zdanie?

– Tyle zachodu, a przecież wystarczyłoby zabić Mephista. Nie łatwiej? – pyta, a ja uderzam ją w ramię, chcąc, żeby zamilkła i nie podsuwała im pomysłów. – Rozumiem mechanizm. Tam, skąd pochodzę, silniejszy też pożera słabszego.

– A skąd pochodzisz? – dopytuje Sisto.

Najwidoczniej nie ma zielonego pojęcia, kim ona jest i powodem zgarnięcia jej z dworca nie jest osobista zemsta, raczej potrzeba wyeliminowania potencjalnego świadka.

– A co przyciskasz do moich pleców? – odbija pytanie i przegląda się w lusterku osłony przeciwsłonecznej, dając mi sygnały wzrokowe.

– Spluwę Almy – odpowiada i ponownie ogląda się za siebie. – To auto jedzie za nami odkąd ruszyliśmy spod dworca. Zjedź tu, zobaczymy, czy przejedzie dalej – nakazuje Sisto, więc Rufo spełnia polecenie i wjeżdża w głąb lasu, podążając leśną ścieżką. – To jednak nie ogon. – Sisto śmieje się

nerwowo.

– Nie bądź tego taki pewny. Logiczne, że gdyby ktoś nas śledził, to nie zjechałby w tym samym momencie, żeby się zdemaskować. Tam skąd pochodzę sprytniejszy pożera głupszego.

Nie ma już dla nas ratunku. I nie sądziłam, że przyznam rację członkom rodziny, dostrzegając ziarno prawdy w jej rzekomym obłąkaniu, ale cóż, coś w tym jest, do cholery, bo wiem, do czego zmierza! Chce żebym odzyskała swoją broń. Dlatego o nią wypytuje, ale to głupie, a nie sprytne!

Rufo parkuje w ustronnym miejscu. Dopóki byliśmy w drodze, widmo śmierci zdawało się abstrakcyjne i odległe, wręcz nierealne. Chyba ponownie, nieco naiwnie liczyłam, że zdarzy się cud i jak ma to miejsce w gangsterskich filmach, zostaniemy odbite. W wyobraźni widziałam nadlatujący helikopter, dyndającą na wietrze linę ratunkową i spektakularny wybuch pojazdu złoczyńców. Teraz natomiast nie pogardziłabym nawet chucherkowatym rycerzem na osle!

– Rozbieraj się. – Z zamyślenia wyrывa mnie głos Sista. – No nie patrz tak, ściągaj łachy. – Ściska moją pierś przez materiał bluzki. – Odsuwam się, przyciskając plecy do drzwi.

– Nie chcę. – Serce wali mi jak oszalałe.

– Daj spokój, stary – oponuje Rufo. – Nie mamy na to czasu.

– Nie zamierzam jej sobie odpuścić. Poczekaj na swoją kolej lub zabaw się z nią. – Wskazuje głową na przyjaciółkę. – Kopciuch ma niezłe ciało. Pokaż cycki.

– Dobrze, chętnie. – Zita wpatruje się we mnie znacząco. – Zrobię to, a następnie chciałabym się pomodlić. Potem możecie ze mną zrobić, co chcecie. Nawet nie będę płakać, bo to nie w moim stylu.

– Będziesz się teraz modlić? W takiej chwili? – Nie dowierzam.

– Wiara jest moją siłą, Almo. W niej pokładam nadzieję – mówi, rozpinając guziki.

– A w co wierzysz? – Rufo wydaje się szczerze zaintrygowany.

Zita zdejmuje stanik i grzebie w swoim worku.

– W siebie. – Unosi głowę i uśmiecha się szeroko, ale jej spojrzenie nie odzwierciedla pogody ducha.

Wyciąga swój łańcuch, zaplata go na dłoniach, jakby rzeczywiście był różańcem.

– Skąd to masz? Widziałem u kogoś podobny. – Sisto dotyka nerwowo skroni, na której ma opatrunek.

– Znalazłam – odpowiada moja przyjaciółka i przemyka powieki. – Wiara jest moją siłą, moim mieczem, a siła to ja. – Całuje medalik, otwiera oczy i omiata wzrokiem naszą trójkę. – A teraz niech każdy robi to, co trzeba – syczy przez zęby, wpatrując się we mnie.

Nie wiem, kim jest ta siedząca z przodu dziewczyna, bo na pewno nie moją Zitą. A może to i ona, tylko sytuacja jest wyjątkowo niefortunna, pobudzająca na co dzień uspięte instynkty?

– Rozpinaj spodnie – rozkazuje mi Sisto.

Rufo głaszcząc nogę Zity, sprawdza coś w trzymanym w drugiej ręce telefonie i mówi:

– Ściśnij piersi, zrobię ci zdjęcie.

Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak głośno wciągał powietrze, jak Zita robi to w tym momencie.

– Jezu. Ja się po takim czymś nie pozbieram – oświadczam zdenerwowana i sięgam do guzika. – Nie dam rady. – Mimo że wpatruję się w Sista, słowa te kierują do niej.

– Nie masz wyjścia – stwierdza kategorycznie Zita i chyba rzeczywiście już go nie mam, bo wrzeszczy: – Teraz!

Zarzuca łańcuch na szyję Rufa, a ja kopię z całej siły w rękę, w której Sisto trzyma broń. Nie przewidział tego, bo wypuszcza ją, a co najważniejsze, nie słychać wystrzału. Uczucie ulgi nie trwa długo, bo opada na mnie i poddusza przedramieniem.

– Zabierz tę sukę! – charczy Rufo, szarpiąc się z Zitą.

– Postąpiłaś bardzo nierozsądnie. – Sisto przygniata mnie całym ciałem i przyciska wargi do moich.

– Nie mogę oddychać – wyduszam w jego usta i gryzę go w język. O tym jak wielki to błąd, dowiaduję się, gdy przywała mi z całej siły wierzchem dłoni w twarz.

– Zagrywka Mephista, co? – pyta, ale nie mam pojęcia, o czym mówi. – Wolę bawić się po mojemu – warczy, a z ust kapie mu krew.

Czuję ucisk w klatce piersiowej, serce wali jak oszalałe, bo z przodu nie dochodzą żadne głosy, oprócz głuchego uderzania czymś o szybę lub deskę rozdzielczą.

– Czyli na klęcząco? – wyduszam, bo znów mnie dusi, mocując się z moimi spodniami. Opuszczam bezwładnie rękę, licząc, że wyczuję odrzuconą przez niego broń.

– Nie wolno tak mówić do Zity – słyszę szept przyjaciółki. – Zita nie jest rzeczą – sapie z wysiłkiem i zaciska na zagłówku kierowcy zakrwawioną rękę. Odblokowuje drzwi i opada na swój fotel, wpatrując się we mnie tępo.

– Zita? Słyszysz mnie?! – wrzeszczę. – Nie, nie, nie – powtarzam i odpycham twarz Sista.

Ściąga mi spodnie do kolan i wsadza rękę w majtki. Chcę złączyć nogi, ale skutecznie to uniemożliwia. Rozpina klamrę paska i jestem pewna, że gdyby udało mi się przeżyć, zapamiętałabym ten metaliczny odgłos do końca życia.

– Na pomoc – mówię cicho. – Błagam, Zito, pomóż mi. – Duszę się łzami. – On mnie zgwałci. Pomóż mi! – piszczę i macham rękami na osłep. – Proszę, Sisto, ja jestem dobra!

Wybucha śmiechem i podwija mi bluzkę, odsłaniając piersi.

„To nie kwestia dobra lub zła, ale życia lub śmierci”, w głowie niczym natrętna zachęta do działania dudnią słowa Diabła. W wyobraźni widzę jego twarz, chmurne spojrzenie i chłopięcy uśmiech. Marzę, żeby nauczył mnie strzelać z łuku, chcę patrzeć, jak się złości, śmieje całym sobą, słyszeć szaleńcze bicie serca, gdy się na nim pokładam. Muszę o to zawalczyć.

Coś mokrego spada na mój policzek. Sisto wpatruje się we mnie zaszklonym wzrokiem i styka nasze czoła. Oddycham szybko, nie wiedząc, co się dzieje. Kątem oka dostrzegam wciąż siedzącą w bezruchu Zitę, wewnątrz wypełniają jąęki Rufa, kolejna łza spada mi na twarz.

– Chryste, Almo, przepraszam – wydusza, pocierając czołem o moje. – Co ja robię? Wybacz mi, proszę, wybacz mi – powtarza głucho. – Ja...

Drzwi zostają otwarte mocnym szarpnięciem. W ułamku sekundy na jego włosach zaciskają się czyjeś obleczone w lekarskie rękawiczki palce, a przed oczami przemyka mi błysk przecinającego mu gardło ostrza.

– Ups – mówi bez większych emocji nieznany mi głos.

Krzyczę ile sił w płucach, gdy zalewa mnie krew. W ustach czuję jej metaliczny posmak. Sisto odruchowo obejmuje szyję rękami, krztusi się, charczy i trzęsie, po czym opada na mnie, przygniatając swoim ciężarem. Przekręcam się na bok, próbując go strącić i sięgam po leżącą na dywaniku broń, podczas gdy Zita zostaje wyszarpięta z samochodu niczym bezwolna marionetka.

Przez moment sądziłam, że Mephisto przybył mnie uratować, ale po pierwsze jest tu zbyt spokojnie, a ostatnim, co mi się z nim kojarzy, jest spokój. Po drugie, nikt nie wykazuje zainteresowania moją osobą. Żaden z kręcących się przy aucie mężczyzn nawet nie sprawdził, czy żyję. Przypominam sobie o towarze, który don Pedro polecił zawieźć do magazynów i doznaję olśnienia, to napad rabunkowy. Tylko jak to ma się do tego, że jeden z rabusiów, tyczkowaty chłopak z długimi włosami, zapina właśnie guziki w bluzce Zity, a drugi wachluje jej twarz gazetą?

– Rufo, żyjesz? – pytam cicho, ale odpowiada mi tylko jęk boleści.

Próbuję podciągnąć spodnie. Mam wrażenie, że kąpię się we krwi, bo nie wsiąka ona w skórzaną tapicerkę. Przeszukuję kieszenie Sista, chcąc znaleźć telefon, ale bez oczekiwanego skutku. Zamykam oczy i udaję nieprzytomną, gdy pozostałe drzwi zostają otwarte.

– Spokojnie. Nie będę delikatny.

Nie mam odwagi zerknąć, do kogo skierowane są te słowa, ale chwilę później nie mam już wątpliwości, bo Rufo wrzeszczy spazmatycznie:

– Zostaw mnie. Przysięgam, że cię zabiję!

– Mnie? Ja już jestem martwy – odpowiada mu nieznany głos.

Zaciskam powieki, słysząc, że mężczyzna się przemieszcza.

– Jesteś dziewczyną Erosa? – pyta, więc wstrzymuję oddech. – Należysz do Mephista? – ponawia pytanie i zatyka mi nos, odruchowo otwieram usta. Obejmuje moją dłoń i przekręca pierścionek zaręczynowy na palcu. – Ją też wyciągnijcie.

Odsuwa się, więc mocniej ujmuję uchwyt pistoletu i czekam na to, co nastąpi. Chwilę później



ktoś łapie mnie pod pachy i wyszarpuje z samochodu. Czując grunt pod stopami, szybko zapinam spodnie. Podbiega do mnie Zita.

– Dobrze, że powiedziałam, kim jesteś? – pyta cicho i odciąga na bok, chcąc nam zapewnić odrobinę prywatności. – Pomyślałam, że to pomoże, ale, jak widać, niewiele się zmieniło. – Drapie zakrwawione, posiniaczone czoło. – Oni są tu z mojego powodu. Udaję, że tego nie wiem, żeby zyskać na czasie. Dlatego mnie wyciągnęli, a tobą nie byli zainteresowani.

– Co ty mówisz? To napad rabunkowy. Widzisz – wskazuję na otwarty bagażnik, przy którym stoi trzech facetów – sprawdzają, czy towar jest dobrej jakości.

– No to tak... – zaczyna. Wydaje się zmieszana. – Ten w skórzanej kurtce to gość z autobusu. Mam jego kasę w worku. Pewnie zorientował się, że udawałam kamienny sen. Typowi w okularach – przechyla lekko głowę – tak jakby ukradłam kiedyś telefon. Korzystam z niego do dziś. – Przygryza wargę. – A temu z długimi włosami sprzedawałam nasze rozrobione z talkiem działki. Wmawiałam mu, że to koka z Kolumbii od samego El Chapa4. – Rzy jak koń, ale szybko zamyka usta. – Wpadliśmy z deszczu pod rynnę, ale nie bój nic, obmyślę plan. – Patrzy na mnie znacząco, a ja mam już dość. Słowa te, gdy wypowiada je ona, brzmią co najmniej niepokojąco. – I przepraszam, że nie pomogłam ci z Sistem. Chyba się zawiesiłam.

– On mi nie chciał zrobić krzywdy. Przeprosił, a tamten – zerkam dyskretnie na opierającego się o wypolerowany samochód mężczyznę w białym garniturze – i tak go zabił.

– I dobrze, zasłużył sobie – mówi bez ogródek. – Skoro nie chcieli nas skrzywdzić, to dlaczego tak wyglądamy? – Chwyta za brzeg mojej zakrwawionej bluzki i odlepia ją od skóry. – Zmywajmy się stąd.

– A powiesz mi jeszcze, o co ci chodziło z tymi dziwnymi tekstami: „Tam skąd pochodzę, bla, bla”? – Robię cudzysłów w powietrzu. – I dlaczego przyjechałaś taka brudna, jakby w sadzy?

– No jak to? Pochodzę z dżungli, dlatego zachowałam się jak dzikus, czy to nie oczywiste? A brudna, bo zostałam wyruchana – oznajmia, na co unoszę brwi. – Nie dosłownie, Almo. – Przewraca oczami. – Pamiętasz, jak cieszyłam się, że dostanę pierwszą wypłatę? Harowałam od rana do wieczora i gość mi nie zapłacił – warczy. – Spaliłam mu tę budę.

– Jezu, co ty mówisz? – pytam zszokowana. – Dlaczego tak się zachowujesz?

– Jak?

– Nie wiem, Zito, jak chłopak.

– Tak trzeba. Tak jest łatwiej.

Rozlega się warkot silnika, Rufo wycofuje samochód i z piskiem opon rusza przed siebie. Jedzie z otwartym bagażnikiem, zygzakiem, jakby zupełnie nie panował nad pojazdem. Rabusie wyciągają spluwy, ale najpewniej herszt bandy ruchem dłoni nakazuje im je opuścić. Robią to, mimo że nawet nie uniosł głowy, skupiony na wpatrywaniu się w wyświetlacz telefonu. Zostajemy z nimi same. Z oszczędnym w słowach i ruchach elegancikiem oraz jego bardzo specyficzną, arcydziwną drużyną, której członkowie wykrzykują po kolei, do czasu aż auto znika z pola widzenia:

– Oko za oko!

– Niech Duch będzie z tobą!

– I chwytaj dzień! – Jeden z nich teatralnie wyrzuca dłonie w górę. – Zito, a ty co mu powiesz?

– Siła to nie ty! – krzyczy ona, w mig wkręcając się w „zabawę”. Wpatrują się we mnie, jakby oczekiwali, że i ja coś wymyślę.

– Dojeżdż bezpiecznie – dodaję swoją cegiełkę. Nastaje niezręczna cisza.

– To ironia? Bo zabrzmiało obrzydliwie szczerze. – Patrzą na siebie zdezorientowani. – Ona to na pewno odłam rodziny Gottich?

– Nie odłam, wkrótce jej filar – odzywa się w końcu ich przywódca.

– Daj mi spluwę. – Zita wyrywa mi ją z ręki. – Nie miałaś wcześniej na palcu takiego wypasionego pierścionka?

– Jezu. Zgubiłam rodzinną pamiątkę! – Rozglądam się spanikowana, lecz po chwili doznaję olśnienia. – To ty. – Wskazuję na gościa opierającego się o auto. – Przekręciłeś go na moim palcu i niepostrzeżenie zrabowałeś! Nie masz pojęcia, kim ja jestem – mówię, idąc w jego stronę, mimo że

rozsądek nakazuje się zatrzymać.

– Dziewczyną Diabła. Tyle mi wystarczy.

– A ty złodziejem. To było coś cennego. W moich kręgach za takie zagrywki traci się rękę.

– Nie oczekuję litości.

– Słucham? Grozę ci odrąbaniem dłoni za złodziejstwo! To groźba, a nie litość.

– Powtarzam, że obejdzie się bez życzliwości. Żeby nie było – unosi ręce – doceniam waszą dobroduszość. Też bywam przychylny wobec ludzi, ale żeby aż tak? To wyższy stopień miłosierdzia. Co się tak telepieesz? – Zerka na przysłuchującą się rozmowie, szcękającą zębami Zitę. Nie czeka na odpowiedź, ściąga marynarkę i zarzuca ją na jej ramiona, po czym ponownie opiera się o maskę. – Brzmisz, jakbyś naprawdę wierzyła w to, co mówisz, tyle że wiara bez uczynków jest martwa.

– Będą uczynki – oburzam się. – Tylko muszę wrócić do domu i opowiedzieć o wszystkim, co zrobiłeś. O kradzieży pierścionka i zabiciu Sista. Wydaje mi się, że żałował swojego zachowania. Przeprosił, ale nie dostał szansy na poprawę, bo go zamordowałeś.

Nie przyznam wprost, że odczuwam coś na kształt wyrzutów sumienia i obwiniam się za to, co go spotkało. To głupie, totalnie bez sensu, bo przecież jego celem było wyrządzenie mi krzywdy, ale i tak nie potrafię wyrzucić z głowy natrętnych myśli. Może gdybym zamówiła taksówkę pod dom lub poczekała, aż któryś z ludzi don Pedra mnie podwiezie, nic złego by się nie wydarzyło? Alternatywnych możliwości jest mnóstwo. Równie dobrze, prędzej czy później Sisto mógłby skorzystać z najprostszego, pewnego w skutkach rozwiązania i tak, jak wspomniała Zita, zabić brata. Chcę, a jednocześnie boję się wrócić do domu, głównie dlatego, że mogę zostać uznana za winną. A wtedy będę nią nie tylko w swoich oczach.

– Twoja wiara w ludzi jest ujmująca, ale żal za grzechy i postanowienie poprawy nieszczególnie do mnie przemawiają, a może nawet i wcale. – Przesuwa dłonią po szczęce, jakby się nad tym zastanawiał.

– Mogę to zjeść? Znalazłam w marynarce – wtrąca Zita i wymachuje mu przed twarzą batonikiem proteinowym. – Możemy podzielić na pół – proponuje – albo na trzy – zerka na mnie, a po chwili ogląda się za siebie. – Na sześć?

– Miałaś wymyślić plan – przypominam, szepcząc jej do ucha.

– Cały czas myślę, Almo, tylko mi zimno, boli mnie głowa i szczypią ręce. Opadła adrenalina i chujowo się czuję. Potrzyjmy przez moment.

Wytrzeszczam oczy, gdy przekazuje nasz pistolet stojącemu naprzeciw gościowi i rozrywa opakowanie.

– Już – mówi. Odbiera spluwę, siada na trawie, opierając plecy o koło samochodu, wgryza się w baton i wkłada rękę do swojego worka. – Portfel, telefon i co by tu jeszcze dorzucić... – zastanawia się głośno, wykładając po kolei przedmioty na trawę. – Podręczny zestaw skauta? – Śmieje się cicho, jakby do siebie. – Jesteście zainteresowani takim nowoczesnym, rozkładającym się przedmiotem: łyżka, widelec i tępy nożyk w jednym?

– Można wiedzieć, co robisz? – syczę, pochylając się nad nią.

– Oddam im większość ich rzeczy, mały gratis i być może nas wypuszczą. – Wzrusza ramionami.

– Na razie tyle wymyśliłam. Nie mam siły już się bić, a ich jest czterech. Mogłybyśmy spróbować wyeliminować ich przywódcę, zastrzelić – ścisza głos i unosi głowę, uśmiechając się do niego szeroko. Bez wzajemności. – Ale od razu widać, że to cicha woda. Zupełnie jak ja. Na pozór mazgajowata, łagodna i subtelna.

Ona chyba rzeczywiście źle się czuje. To ostatnie słowa, jakimi bym ją opisała.

– Ale masz minę, Almo. Żartuję sobie. Do sedna. – Przeciera usta. – To kawał chuja. Czuję to. – Kładzie rękę na piersi. – Dlatego trzeba to sprytnie rozegrać. Dałam mu potrzyć broń, żeby sądził, że mu ufam. Jeśli nie będą chcieli się dogadać, pójdziemy w krzaki za potrzebą i uciekniemy.

– Myślałaś tyle czasu i wymyśliłaś to?

– Zaproponuj coś lepszego. – Patrzy buntowniczo. – Zauważ, że oddał mi broń, a wiesz co to oznacza...

– Niby co?

– Uważa, że nie jesteśmy dla nich żadnym zagrożeniem, nawet, gdy ją mamy. Równie dobrze mogłabym trzymać w ręce patyk. Na jedno wychodzi.

Dzwoni telefon jednego z mężczyzn. Odbiera i podchodzi do nas, włączając tryb głośnomówiący. Słyszę głos Ivo i wiem już, że nie zostałam zapomniana i być może jestem dla kogoś ważna.

– Dzień dobry. Z tej strony Ivo Selvaggio. Podaliście ten numer jako kontaktowy podczas wizyty, którą złożyliście mojemu ojcu. Czy mógłbym rozmawiać ze Spirito Beneventanem?

Ktoś przyciska dłoń do moich ust, a Zita podrywa się z miejsca. W ułamku sekundy z jej twarzy schodzą wszystkie kolory. Gość w marynarce ściska nasadę nosa, a gdy w końcu przejmuje komórkę, mam wrażenie, że najchętniej zamroziłby nas wszystkich spojrzeniem. Lub wyparował. Ulotnił się niczym duch.

No jasne. Myśl ta uderza we mnie jak grom z jasnego nieba. Spirito – Duch. Gdy uświadamiam sobie, kim jest stojący przede mną człowiek, zamiast odczuć spokój, odczuwam jeszcze większą niepewność. Coś się zmieniło, gdy jego nazwisko zostało wypowiedziane na głos. A może wrażenie to spowodowane jest tą przejmującą ciszą, bo nagle wszyscy wstrzymali oddech?

– Mów, Ivo – odzywa się i łapie Zitę za nadgarstek.

Może sądzi, że ona też się ulotni? Nie jest to taką zupełną abstrakcją, bo zdecydowanie jest w szoku. Tkwi w bezruchu z otwartymi ustami, jakby nie tyle zobaczyła przed sobą ducha, lecz sama go wyzionęła. To pokopane.

– Ten numer loguje się w tej samej okolicy, co komórka Almy La Mantide. Czy ona jest z tobą, a jeśli nie, to czy mógłbyś podjechać w miejsce, które wskażę? To niedaleko, a ja dojadę dopiero za pół godziny. Ważny jest czas.

– A czy to warunek przyjęcia do organizacji?

– Nie, ale...

– W takim razie nie mógłbym. Coś jeszcze?

– Weź, kurwa, tam podjedź, bo Gotti jest jak tykająca bomba. Jeśli wybuchnie, siła rażenia będzie ogromna. On jest dopiero w drodze do Palermo, nie teleportuje się, do chuja. Masz tam jechać, pato-zjebie!

– Widzę, że legenda o mnie wciąż żywa, mimo że jestem martwy.

– Możemy, egocentryku, porozmawiać o tobie kiedy indziej? Diabeł prosił...

– Diabeł prosił – powtarza. – Próbuję sobie to zwizualizować i mi nie wychodzi. Dlatego nie oddam Almy w twoje ręce. Przyjedź we wskazane miejsce. Możesz jechać za mną, gdy będę odwoził ją do domu.

– Nie mogłeś tak od razu? Bez wyprowadzania mnie z równowagi?! – wrzeszczy Ivo. – Dziękuję i do widzenia – dodaje spokojniej i się rozłącza.

W końcu gość stojący za mną zabiera rękę z moich ust.

– To mój przyjaciel i chcę, żeby to on odwiózł mnie do domu! – unoszę się.

– Domyślałam się, ale zdecydowałam inaczej – stwierdza Spirito i skupia uwagę na Zicie.

Nie rozumiem, co jej dolega i dlaczego dziś tak często się zawiesza.

Gdy tylko Spirito zwalnia uścisk, w Zitę wstępuje nowa, trudna do ogarnięcia rozumem energia. Tym razem to ona łapie go za przedramię i gwałtownie unosi rękaw koszuli. Przesuwa po skórze zakrwawionymi palcami, a potem robi coś totalnie szalonego, ściska mu twarz i kciukami unosi górną wargę.

– To naprawdę ty. Kiedy tylko cię ujrzałam, pomyślałam, że jesteś podobny do chłopca z mojej przeszłości, ale szybko odrzuciłam tę myśl, pewna, że nie żyjesz. Wiesz, kim jestem? Na pewno, bo przecież się nie przedstawiałam, a twój znajomy zwrócił się do mnie po imieniu. Teraz rozumiem. Znalazłeś mnie. – Obejmuje jego policzki jak nachalna ciocia. – Dlatego tu jesteś. Ale się zmieniłeś. Ja chyba też?

– Tak.

– Nie mogę uwierzyć, że cię widzę. Chyba jestem w szoku. Ja, ja... – jąka się – nie jestem już sama na tym świecie. Jesteś jedynym, co znam, czemu ufam. – Wtula się w niego, ale odsuwa ją gwałtownie na wyciągnięcie ramion.

– Daj spokój – rzuca chłodno.

Zita oddycha głęboko, aż w końcu zamiera. Po chwili jednak wykrzykuje radośnie:

– Chyba nie dałeś się wkręcić?! – Rzy tak, jak tylko ona potrafi. – Nie jestem już sama na tym świecie. Jesteś jedynym, co znam – zmienia głos, parodiując samą siebie. – Pieprzony Robin Hood. Zita nie ma telefonu? Dajmy jej! – mówi o sobie w trzeciej osobie. – Nie ma kasy? Podrzucmy! Może trafić do paki za dilerkę? Kupmy od niej cały towar! Uratujmy jej zasrane życie, żeby męczyła się dłużej! Och, kurwa, już wszystko rozumiem! Śledzisz mnie, świrze?!

– Nie będę z tobą rozmawiał w taki sposób.

– A, rozumiem, nie niżysz się do mojego poziomu?

– Tego nie powiedziałem – warczy. – Dotrzymuję danego ci słowa. Tyle.

– Co, kurwa? – Popycha go, jakby była szukającym zaczepki dresiarzem. Nabiera powietrza i odwraca się w moją stronę. – Muszę stąd iść, zgoda? – szepcze. – Poczekaj na kolegę. Dasz sobie radę? – dopytuje, a kiedy potakuję, ponownie staje przodem do Spirito. – Jeśli jeszcze raz spotkam któregoś z twoich pomocników, Mikołaju, poduszę was wszystkich. – Celuje w niego palcem.

– Wsiadaj do auta. Mam dość tego pierdolenia – odpowiada Spirito tonem nieznośnym sprzeciwu.

A co robi Zita, słysząc to? Wystrzeliwuje do przodu. Biegnie, ile sił w nogach, które najwidoczniej już zregenerowała, i nawet nie spogląda za siebie. Trzech facetów rzuca się w pościg, ale wątpię, by mieli szansę dogonić narwaną, wściekłą łanię. Muszę przetrwać w spokoju to, co się tu wydarzyło, wyciągnąć wnioski, znaleźć sens w bezsensie, ale nawet na ten moment, nie wiedząc, kto, co i jak, i tak kibicuję przyjaciółce.

Spirito stoi niewzruszony i przygryza usta. Czuję się niezręcznie w jego towarzystwie. Postanawiam przerwać krępującą ciszę.

– Co zajmuje twoje myśli? – pytam, będąc pewną, że porozmawiamy o nim i Zicie.

– Muszę kupić dłuto w kształcie litery „T” do otwierania czaszki i długie nożyczki kulkowe do rozcinania tchawicy, przewodu pokarmowego i oskrzeli. – Zerka na zegarek. – Zastanawiam się, czy zdążę przed zamknięciem sklepu. A co?

– Już nic. – Kręcę głową, a on zakłada ręce na piersi i uśmiecha się pod nosem.

Wkrótce w zasięgu wzroku pojawiają się jego ludzie. Dyskutują między sobą, żwawo gestykulując. Nie ma z nimi Zity. Odzyskuję za to swoją broń, którą najpewniej porzuciła.

– Brawo, Romeo. – Klaszcze gość w skórzaną kurtkę i patrzy na Spirito. – Laska wolala dać zgarnąć się glinom, niż ponownie narażać na konfrontację z twoim urokiem osobistym.

– Wyleciała wprost przed maskę radiowozu, gdy tylko wybiegła z lasu. Skuli ją, więc się dyskretnie wycofaliśmy – dodaje drugi.

– Ale to nic – wtrąca kolejny. Wygląda na wzburzonego. – Może tym razem trafi do koedukacyjnego zakładu dla młodocianych przestępców, straci głowę dla jakiegoś wyrostka i w końcu, do chuja, będziemy mieć ją z głowy – warczy. – A nie, czekaj. Wtedy też nie, bo stwierdzisz – wpatruje się w Spirito – że to zły człowiek i należy usunąć go z jej drogi. I tak w kółko, do usranej śmierci, bo nie chcesz przyznać, że...

– Zamknij się. – Spirito doskakuje do niego i zatyka mu usta. – Stul pysk.

4 El Chapo – meksykański przestępca, jeden z założycieli oraz przywódców kartelu z Sinaloi.

## ROZDZIAŁ 14

### *Mephisto*

Uderzam czołem o deskę rozdzielczą, wystukując rytm hymnu Bersalierów<sup>5</sup>. W głowie istna parada myśli. W uszach dźwięczy hejnał nawołujący do działania, płuca płoną żywym ogniem, a ja tkwię we wlekącym się aucie z rozmawiającym przez telefon bratem, którego stoicki spokój doprowadza mnie do wrzenia!

Coś bulgocze mi pod skórą. Połączenie wściekłości na samego siebie, niemocy i chęci wyrwania krtani głupcowi, który postanowił sprawdzić, czy piekło jest naprawdę tak bardzo gorące, jak opowiadają...

Czytając wiadomość od Almy miałem wrażenie, że ktoś włożył mój łeb między talerze perkusyjne. „Zadzwoń później. Spędzam miło czas. Słowo diabła”. Kilka mocnych jebnięć, których efekt utrzymuje się do tej pory i nic nie wskazuje na to, by odczucie rozsadzania czaszki miało wkrótce zniknąć.

Próbuję pojąć, co mi umknęło, lecz im dłużej o tym myślę, tym bardziej mam wrażenie, że nic.

Szarpię Casimira za ramię, przez co traci panowanie nad kierownicą i klnie pod nosem.

– Opanuj się. – Na moment odwraca głowę w moją stronę. – Zachowujesz się jak obłąkany. Ivo już ją zlokalizował i po nią jedzie, poza tym Russo też wysłał kilka patroli. Na pewno Alma łązi z Zitą po sklepach, a ta wiadomość to niefortunny dobór słów. Spokojnie – dodaje ciszej.

– Wiedziałem, że coś się odpiardoli. Jeśli okaże się, że miałem rację i Sisto mnie sabotuje, żebym nie przejął władzy, stracisz palec, którym za niego ręczyłeś – uprzedzam. – A zresztą, pierdolę twój paluch. Pozabijam was wszystkich! – wrzeszczę mu do ucha.

– Wciąż za niego ręczę – oburza się. – To nasz brat. Nie zapominaj o tym. – Łypie na mnie wzrokiem. – On i Rufo są w magazynie. Ivo sprawdził, gdzie logują się ich telefony... – W jego głosie coraz mniej pewności. – Następnym razem nie słuchaj mojego pierdolenia. Nie bez powodu to ty masz być władcą piekła.

– Gdy wrócimy, a Almy nie będzie w domu, polecą łby – uprzedzam, a Casimiro przełyka nerwowo ślinę. – I dlaczego, kurwa, nikt nie odbiera jebanych telefonów?! – Rzucam swój na podłogę i w nerwach kilkakrotnie przygniatam go podeszwą.

– No, teraz to na pewno się do kogoś dodzwonisz.

Jestem wściekły. Najbardziej na samego siebie. Nie powinienem do tego dopuścić, trzymać się pieprzonych zasad, nie dawać Almie wolnej ręki, zamknąć ją w piekielnej klatce, codziennie karmić poczuciem zagrożenia i strachu, a nie, pławić się w przereklamowanej normalności, która i tak okazała się pozorna. A przede wszystkim skuteczniej zamaskować swoją słabość. Najczulszy punkt. Almę.

Sam strzeliłeś sobie w piętę, Erosie.

Skusiłem się na podróż sentymentalną do Syrakuz pod przykrywką pomocy Casimirowi w „negocjacjach”, a tak naprawdę chciałem spotkać się z dawno niewidzianym przyjacielem. Zobaczyć go, bo do tej pory nie wierzę, że stąpa po tym świecie. Dotknąć Ducha.

Kolejny błąd. Bo o ile nie zmienił się przez lata, kiedy nie miałem z nim kontaktu, o tyle wciąż ostatnim, co go interesuje, jest to, czego chcą inni ludzie. Dla niego zawsze liczył się on sam.

Powinienem wczytać się w znaki na piekłosklonie, a w pierwszej kolejności przypomnieć sobie, czym, kim jest Spirito. Wychuchanym, przekonanym o swej wyjątkowości jedynym dziedzicem rodziny Beneventano, którego bańka szczęśliwości nagle pękła. Lecz jeśli był tak zafiksowany na przetrwaniu, jak na punkcie własnego ja, to kurwa, nie dziwię się, że ocalał.

Nie muszę nawet zamykać oczu, żeby wrócić wspomnieniami do dnia, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Wypalił mi się w pamięci, bo właśnie wtedy przestałem być dla ojca martwy. Stałem się żywy. W końcu, po piętnastu latach zobaczył we mnie syna, krew z krwi. Uwierzył w stworzoną na potrzeby sytuacji iluzję, nie domyślając się, że nie jestem tym, za kogo mnie uważa i że został wciągnięty w grę, której finałem będzie jego zgon.

Dlatego jestem w stanie zrozumieć to, czym być może kierował się Spirito, kiedy postanowił zniknąć. Czasem śmierć okazuje się najlepszą okazją życia, a umrzeć to najlepszy prezent, jaki można komuś sprawić.

„Tak bardzo martwy. Tak bardzo żywy”.

Cały ja. Cały on.

Spirito często u nas nocował. Nic nie zapowiadało, że tamten wieczór będzie się różnił od innych, a jednak okazał się tym, który wszystko zmienił, a już na pewno mnie, nieodwracalnie. Wszedłem na ścieżkę, z której nie było odwrotu. Zostałem zamknięty w labiryncie imaginacji i mimo że to mój bliźniak stracił wtedy życie, tak naprawdę obaj umarliśmy.

– Nie wierzę, że twój brat pozwolił nam zająć swój pokój – powiedział Spirito, niedbale rzucając plecak przy nocnej szafce, po czym zasunął harmonijkowe drzwi, odgradzające jedno pomieszczenie od drugiego.

Też nie mogłem w to uwierzyć, bo na palcach jednej ręki mogłem zliczyć sytuacje, kiedy ułatwiał mi życie. Nie raz cisnęliśmy się z przyjacielem na pojedynczej, wysłużonej leżance, którą ojciec wstawił do mojego pokoju okazując, w swoim mniemaniu, litość synowi-cipie, podczas gdy brat wylegiwał się na swoim królewskich rozmiarów łóżku, jak na przyszłego władcę piekła przystało.

– Dziś są nasze urodziny, a dał mi tylko tę kartkę. – Pomachałem nią przed jego oczami i przeczytałem na głos życzenia: – Mimo że jesteś cienki jak cięciwa, życzę ci, żebyś dożył następnych urodzin. – Przełknąłem ślinę. – Pewnie zorientował się, że to za mało, zwłaszcza że dałem mu kasę, którą oszczędzałem pół roku i własnoręcznie zrobiony łuk, więc dołożył nockę w jego królestwie – wytłumaczyłem.

– Podarowałaś mu pieniądze z własnej woli? – Spirito zmrużył oczy i usiadł obok mnie na materacu.

– Nie, wymusił – przyznałem. – Zagroził, że jeśli tego nie zrobię, to zdradzi ojcu lokalizację mojej kryjówki, a mam tam wszystkie narzędzia i hikorę. Trudno było mi ją zdobyć. To najbardziej wytrzymałe drewno świata, oczywiście, jeśli chodzi o naprężanie. – Byłem podekscytowany, tylko o tym opowiadając, a na samą myśl, że wkrótce zrobię z niego kolejny łuk, niemożliwa do opisanie słowami radość rozsadzała mój naiwny wówczas łeb.

– Zajebię, gnoja. – Zerwał się na równe nogi, ale złapałem go za nadgarstek. – No co? Skoro ty nie potrafisz się postawić – warknął. – To należy do niego? – Wskazał, leżącą na komodzie spluwę, a w jego oczach pojawił się szatański błysk. Podszedł do szafki i obracał pistolet w dłoniach. – Ciężki – ocenił. – Wolę skalpel. Ty też dostałeś gnata?

– No coś ty – zaoponowałem. – Ojciec powiedział, że pizda i broń nie idą ze sobą w parze.

Spirito włożył fajkę w szparę między jedynekami, podпалиł i się zaciągnął. Wstałem gwałtownie i zacząłem machać rękami, chcąc rozproszyć dym.

– Nie pal tu! Ktoś poczuje i pożałujemy – panikowałem.

– Ojejku – ironizował, przeładowując spluwę. – Zanim pożałujemy, rozstrzelamy ich wszystkich.

– Wyszczerył zęby w uśmiechu, stanął przed lustrem i poprawił krawat z logo elitarnej szkoły, do której uczęszczał. – Chyba mnie z niej wyjebią. – Postukał palcem w nadruk, zupełnie tak, jakby czytał mi w myślach. – Podobno coś jest ze mną nie tak. W plecaku mam opinię od psychologa, do którego wysłali mnie starzy. Koniec terapii. – Wzruszył niedbale ramionami, a ja się wzdrygnąłem.

Sięgnąłem po niego i rozpiąłem suwak, by po chwili wyciągnąć pobrudzoną czymś czerwonym kopertę. Wyjąłem z niej kartkę.

– Co oznacza, że twój rozwój moralny nie następuje prawidłowo? – zadałem to pytanie, jak się okazało samemu sobie, bo przyjaciel nie zamierzał odpowiadać. – Nie wykształcono szeregu emocji złożonych takich, jak wstyd, poczucie winy i empatia. Nie podporządkowuje się regułom, dostrzega jedynie swoje pragnienia i potrzeby. Zaburzenia w rozwoju społecznym i emocjonalnym. – Ziewnąłem, nic z tego nie rozumiejąc, i schowałem świstek akurat, gdy Spirito wyrzucał peta przez okno. – Sprawdzić, co rozlało się w plecaku? – zapytałem głupio.

– Daruj sobie. Znasz mnie jak nikt. Dobrze wiesz, że to nie farbka lub soczek wiśniowy. Wiedziałeś to już wtedy, gdy zakomunikowałem, że terapia dobiegła końca.

– Co zrobiłeś temu gościowi? – wysapałem.  
– Wyciąłem mu uśmiech na szyi, bo był jak na moje standardy zbyt ponury – oznajmił i rzucił się na łóżko. – Śpię z brzegu – poinformował.  
– Ja chciałem – przyznałem zgodnie z prawdą. – Nie lubię przy ścianie.  
– Domyślałem się, ale zdecydowałem inaczej. Gdy będę u ciebie następnym razem pobawimy się w „błądzącą strzałę”.

– Dobra.

– To nie było pytanie. Po prostu zgadzam się, żeby było po twojemu – skwitował i rozpiął rękaw koszuli. Chwilę przyglądał się wyglądającemu na świeże nacięciu w kształcie litery „Z”. – Panna „Z”. Gdy dorośnie, będzie moją żoną.

Nie miałem pojęcia, kogo miał na myśli.

– Mało mówi, w sumie tylko się na mnie gapi. Można ją uformować niczym figurkę z plasteliny – oznajmił, wpatrując się w sufit.

– O kim mówisz? Wyciąłeś to na znak miłości?

– Czego, kurwa? – Wybuchnął śmiechem. – Pociąłem ją, a ponieważ jest małą skarżypytą, zgodziłem się, żeby odpłaciła mi tym samym. Przynajmniej trzyma głowę na kłódkę.

– Co takiego?! Pociąłeś?!

– Naciąłem – poprawił się. – Drasnąłem. Lepiej?

– Jak można zrobić coś dziewczynie, nie wyobrażam sobie tego – sapnąłem zdenerwowany. – W ogóle komukolwiek. Dla mnie to niepojęte. Wątpię, żeby była tobą zainteresowana.

– Ona ma dziewięć lat. – Zaśmiał się cicho. – To wizja przyszłości. Kim jest panna „Z”, pytasz? Kiedyś będzie perłą w koronie rodziny Beneventano. Zobaczysz.

– Myślałem, że to ty nią jesteś.

– Nie. – Obdarzył mnie litościwym spojrzeniem. – Ja jestem koroną. A ty cięciwą – powiedział zdecydowanym, nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Dzięki – fuknąłem obrażony.

– Twój brat myśli, że zasadził ci kopa w nery tymi swoimi pieprzonymi życzeniami, ale nie tylko jemu umknął jeden, bardzo ważny szczegół. Tobie również. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Cięciwa jest najważniejszym elementem łuku. Nie zapominaj o tym, Erosie.

Wkrótce uświadomiłem sobie, że miał pierdoloną rację. I dowiedziałem się, że określony kształt można nadać nie tylko łukowi. Zmontowałem się z wielu, niekoniecznie pasujących do siebie kawałków, przybierając formę, która niejednokrotnie mnie przeraża. Niebawem też zacząłem zazdrościć Spirito tej pewności, trzymania za mordę, gloryfikowania własnego ja, bo moje z każdym mijającym dniem rozwiewało się niczym mgła. Aż w końcu sam przestałem ogarniać, kim naprawdę jestem. Ja czy ja?

Ile we mnie diabła, a ile człowieka?

Słyszac dźwięk telefonu Casimira, wracam do równie zjebanej jak przeszłość terażniejszości.

– To Rufo. Dam na głośnomówiący – informuje i odbiera. – Alma wróciła? – pyta od razu.

Sługus ojca wydaje się zasapany.

– Co? – jęczy do słuchawki Rufo. – A wychodziła gdzieś? Ja nie w tej sprawie. Auć – biadoli. – Napadli na nas. Na magazyny. Ledwo uszedłem z życiem i dopiero dojechałem do domu. I, i... – jąka się – Vittorio nie żyje. Gdy wszedłem, leżał w holu w kałuży krwi. I – szlocha – nie mogę o tym mówić – zawodzi.

Serce łomocze mi w klatce.

– O kurwa. – Nabieram powietrza, bo zrobiło mi się ciemno przed oczami.

– Jak to nie żyje?! – wrzeszczy Casimiro. – I o czym nie możesz mówić?

Słychać szmery i trzask, a potem głos Galla:

– Co tu się odpierdala?! Co mu jest? Hej, Vitto!

Chyba uderza go w policzki, a przynajmniej to sugerują docierające do nas odgłosy.

– A ty, co tu robisz? – W głosie Rufa słyszalne jest niedowierzanie, być może nawet pretensja.

– Wróciłem na ślub, a niby co? No, brachu, otwieramy oczy. Nie ruszaj głową. Co tak stoisz?!

Dzwoń po pogotowie! – Cisza. – Zresztą, sam to zrobię.

– On nie żyje, opamiętaj się – warczy Rufo. Z głośnika ponownie dobiegają trzaski.

– Zabieraj, kurwa, łapy! – krzyczy Gallo.

Casimiro patrzy na mnie i nerwowo pociera czoło. Czuję się, jakbym był trawiony przez ogień. Jak podpałka, dzięki której zapłonie dziś piekło.

– Gallo, co z Vittem? – dopytuje Casimiro.

– O, cześć – odpowiada złotko, a sekundę później rozlega się huk wystrzału. – Chryste – sapie, a połączenie zostaje przerwane.

Casimiro otwiera schowek i rzuca mi na kolana wyjęte z niego blistry z tabletkami.

– Połknij kilka, to na uspokojenie – mówi cicho. – Jeśli Rufo zastrzelił Galla, to Vittoria też. Wiesz o tym.

– Cichutko. – Przykładam palec do ust. – Nic do mnie nie mów.

– O co tu chodzi? – zastanawia się głośno, mimo że miał się zamknąć. – Rufo chce nas wybić, żeby żaden z synów nie przejął władzy, bo straci wtedy stołek, czy jak to rozumieć? Dlaczego wszystko się zjechało?

Wybucham naprawdę gorzkim śmiechem.

– To banalne. – Robię z dłoni szale. – Na jednej jesteście wy, moja rodzina, na drugiej ja. – Obniżam tę rękę. – Zdecydowałem, że raz w życiu wybiorę siebie. Przegraliście z częścią mnie, do której pragnąłem wrócić od dnia, kiedy zginął Mephisto. Tak bardzo chciałem odzyskać prawdziwą tożsamość, by móc ponownie stać się Erosem, i częśćkę własnego ja – mój łuk, że przyćmiło mi to racjonalną ocenę ryzyka. Tyle że ja to ja. Nie zmieni tego kawałek drewna, ani dotrzymana Vittoriowi obietnica. Chciałbym, żeby w tej wymyślonej lata temu zabawie chodziło jedynie o perfekcyjne odegranie roli, ale sam na pewno zauważyłeś, że granica między kreacją a rzeczywistością już dawno się zatarła. Jestem, jaki jestem. Uformowany przez życie, JA. Teraz już wiesz, jak to rozumieć?

Przyglądam się jego profilowi, gdy zaciska usta.

– Będzie dobrze – mówi pewnie. Nie wiem, czy próbuje uspokoić siebie, czy mnie. Dotarłem do ściany, do momentu, w którym jest mi obojętne, jak będzie.

– Czy dobrze, to nie wiem. Na pewno inaczej.

Gdy podjeżdżamy pod dom, brama od razu zaczyna się rozsuwać. Na podjeździe stoi samochód Sista. Wpuszczający nas człowiek nie wykazuje najmniejszych oznak zdenerwowania, kamienna, idealna do rozłupania twarz. Na pozór jest jak zwykle, ale zapewne nie tylko ja wiem, że to nie cisza przed burzą, prędzej niepewność, wyczekiwanie, towarzyszące tym, którzy decydują się rozpaść zapałkę w wietrzny dzień. W tym przypadku woleliby, żeby działanie to zakończyło się fiaskiem, ale już za późno, bo płonę.

Sięgam do klamki, Casimiro łapie mnie za przedramię.

– Jaki masz plan?

– Wyglądam ci na kogoś, kto go ma? Zrobię to, co wychodzi mi najlepiej – kwituję i wysiadam w pośpiechu. To samo robią Auro, Aris i Casimiro. Ten ostatni, gdy podbiegam do drzwi domu, mówi drżącym głosem:

– Chryste...

Odwracam się. Brat zerka do wnętrza samochodu Sista, a po chwili wymiotuje na podjazd. Casimiro, człowiek lubujący się we krwi, ten, który najchętniej by się w niej pławił, uwielbiający wszelkie obrzydliwości, rzyga jak kot. Pada na kolana, przykładając czoło do ziemi i wali w nią pięściami.

– Nie, nie, nie – powtarza głucho.

W miarę, jak zbliżam się do wozu, zauważam wystające z niego nogi. Buty Sista. I wypadaloby, żeby zaparło mi dech, tymczasem jedyną reakcją jest wypuszczenie oddechu ulgi. Bo nie jest to Alma. Dopiero kiedy zerkam do środka, unoszę mu głowę i przypatruję się twarzy, którą przecież tak dobrze znam, czuję to jebane zwarcie na stykach neuronów, odczuwalne za każdym razem, gdy kogoś tracę. Przez moment nie jestem w stanie wykonać żadnego ruchu. Wpatruję się w jego rękę i zsuwam z najmniejszego palca pierścione Almy. Przez ciało przetacza się tajfun emocji, złych, destrukcyjnych, rujnujących od środka, a jednocześnie nakręcających na totalną demolkę, unicestwienie. Odwracając się, wpadam na stojącego już za mną Casimira. Kładę błyskotkę na dachu, a kiedy ją dostrzega, zasysa



powietrze. Zerkam w stronę domu, piekielnych wrót, a gdy przekraczam próg, w głowie słyszę histeryczny krzyk: „Kiedy jak nie dziś? Niech płonie, niech płonie, niech płonie!”.

Kiedy mój wzrok łąduje na zmasakrowanym, przypiętym do poręczy schodów Rufie i majstrującym przy zapięciu jego kajdanek ojcu, mam wrażenie, że coś chce rozerwać mnie od środka. A gdy dostrzegam zszokowanego, leżącego w kałuży krwi Vittoria oraz siedzącego przy nim, przytrzymywanego przez sługusów Galla, nieudolnie próbującego zatamować krwawienie z uda, rozkładam ręce i wrzeszczę:

– Witajcie w mojej bajce!

Od razu go puszczają i robią kilka kroków w tył.

– Mephisto, spokojnie. – Ojciec asekuracyjnie unosi dłonie. – To nie czas na zabawę. Gallo pozwolił sobie na zbyt wiele, skuł Rufa, a on niemal stracił dziś życie, walcząc za naszą sprawę. Sisto nie żyje – wydusza. – Magazyny płoną.

– Wreszcie nadeszła ta wiekopomna chwila – mówię, idąc w jego kierunku. – Dzień, w którym piekło stanie się bardziej gorące. – Puls rozsadza mi bębenki. – Radzę wam szukać Almy – zerkam na naszych ludzi – chyba że chcecie spocząć tu – stukam podeszwą w posadzkę – na wieki. Wy trzej – przywołuję ich – rozwalcie wejście zamurowanego pokoju – dodaję ciszej, na co potakują. – A wy – zwracam się do Auro i Arisa – zostańcie tutaj.

– Wiem, że kazałeś sługusom ją znaleźć, ale ja tu rządę i zadysponowałem inaczej. Są sprawy ważne i ważniejsze. Tracę pieniądze! Dokąd idziecie?! Wracać tu natychmiast! – krzyczy ojciec za wychodzącymi ludźmi.

– Rufo zepchnął mnie ze schodów – jęczy Vitto.

– Zamknij się! – Ojciec czerwienieje na twarzy. – Zasłużyłeś! Przyłapał cię na malowaniu! Mówiłem, kurwa, że w moim domu nie ma miejsca dla pizd! – Telepie się ze złości. – Już jeden taki niedorozwój tu był. Źle skończył. Bardzo źle. – Zapluwa sobie brodę.

– A co byś powiedział, gdybym wyznał, że twój sługus – nachylam się nad Rufem i syczę mu w twarz – postanowił wywołać wilka z lasu, Erosa z trumny?

– Przestań natychmiast! – warczy ojciec.

– Nu, nu. – Celuję w niego palcem, bo sięga po spluwę. – Już raz mnie zabiłeś. Styknie. Zabierz mu gnata – mówię do Arisa.

– Nie zabiłem ciebie, tylko Erosa, co ty pieprzysz?!

– Ja jestem Erosem. Gdzie jest moja Psyche?! – wydzieram się do ucha Rufowi.

– Jezu – sapie Vittorio. – Dlatego wiecznie powtarzałeś to dziwaczne „ja czy ja”.

– Nie wierzę. – Ojciec osuwa się na podłogę. – Ty masz po prostu rozdwojenie jaźni. Jesteś chory psychicznie.

– Chyba tak – przytakuję. – Pewnie dlatego wydłubię mu zaraz oko palcami. – Przykładam kciuk do powieki Rufa. – A gdy skończę... – Zamyślam się. – Eee, nieważne, niech to będzie niespodzianka.

– Nie rób mi nic – panikuje Rufo. – Przysięgam, że nie wiem, gdzie jest Alma! Odniosłem rany w naszej sprawie, nie jestem zdrajcą. – Oddycha głośno.

– Zapytam ostatni raz, bohaterze. Gdzie. Jest. Alma? – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Nie chciałem tego mówić z szacunku do zmarłego, ale niech będzie – stwierdza łaskawie. – Zgarnęliśmy Zitę z dworca. Alma zapytała, czy podwieziemy je na plażę. W trakcie podróży Sista coś opętało, kazał jej się rozbierać, chciał ją zgwałcić, więc się zatrzymałem i próbowałem go powstrzymać, przysięgam! A wtedy zostaliśmy napadnięci. Zabili go, a ja ledwo uszedłem z życiem. Dziewczyny zostały wyszarpane, pewnie już są w jakimś burdelu lub rowie – snuje ponure wizje. – Kłamałem ze strachu, że mi nie uwierzysz.

– Teraz to widzę – mówi ojciec, zanosząc się śmiechem. Uderza dłońmi w uda, a trzymający go na muszce Aris patrzy na mnie zdeorientowany. – Ciebie w tobie. Eros jak malowany. – Jest naprawdę rozbawiony. – Wystarczyło powiedzieć, że twoja suka najpewniej została wyruchana, a tobie już trzęsą się nogi.

– Cichutko, tato. – Kładę palec na ustach. – Nie sprowokujesz mnie do wpakowania ci kulki w łeb. Wkrótce poczujesz to samo, co Mephisto, no, może trochę więcej, bo nikt nie ukróci twoich cierpień.

Cierpliwości. I zetrzyj z twarzy przerażenie, bo pomyślę, że jesteś pizdą.

– Kto na was napadł? – Skupiam uwagę na sługusie starego.

– A skąd mam wiedzieć? W stresie nie zapamiętałem szczegółów, ja też zostałem pocięty! – Wskazuje na skroń. Przecieram ją palcem, bo głowa Rufa to krwawa miazga, aż w końcu to widzę, litera „S”.

– To jego sprawka? – Pstrykam go w ranę. – I to on wyciągnął je z samochodu? – Milczy, więc wciskam palec w jego gałkę oczną, wpychając ją w głąb oczodołu. Piszczy, wije się szaleńczo, gdy haratam ją paznokciem. – O. – Nachylam się i obserwuję wyciekający z gałki płyn. – Już zapomniałem, jakie wrażenie robią na mnie wypadające struktury wewnętrzzgałkowe. Teraz drugie oczko, żeby to rozjebane nie było samotne. – Przytrzymuję mu głowę, bo wrzeszczy histerycznie i poklepuję go po policzkach, aby zaczął kontaktować. – Odpowiadaj!

– Taaak – jęczy przeciągle. – Musisz się zemścić. Nie zadawaj pytań – sapie. – Od razu zrób z nich sitko. W imię obrony honoru Almy. – Próbuje mnie podpuścić, licząc zapewne, że skręcę im łby, zanim poznam ich wersję zdarzeń.

– Co za pieprzona ulga. – Trudno wyczytać cokolwiek z wyrazu twarzy Rufa, mimo to dostrzegam coś na kształt zamaskowanej grymasem bólu dezorientacji. Czuję, jakby ktoś poluzował uścisk na moim gardle. – Czyli Alma jest ze Spirito – powtarzam głucho.

– Twoim przyjacielem z dzieciństwa? – wydusza ojciec. – To on też umarł na niby? W co wy pogrywacie... – Obejmuje głowę. – Jak mogłem się tak pomylić? Jak mogłem zabić Mephista?!

– Co? Nie ufaj mu – panikuje Rufo. Obrzydliwie mu się odbija, więc odskakuję, sądząc, że zwymiotuje. – Nie jest przyjacielem. – Z trudem łapie powietrze. – Zapytał swojego człowieka, czy zerznąć Almę w gumie, czy bez. Wezwij lekarza, błagam – wydusza.

– Jednak zajmiemy się też drugim oczkiem. – Szarpnię go za włosy. – A może lepiej językiem, żebyś już więcej nie kłamał. – Udaję, że się zastanawiam, a on zaciska usta. – Spirito pytający kogoś o opinię. Widać, że w ogóle go nie znasz. – Otwieram mu oko, lecz zanim zdążę przycisnąć do niego palec, odpływa. – No i zemdłał. – Klaszczę i zerkam na Casimira, uciskającego nogę Galla.

Wyłapuje moje spojrzenie.

Na widok krwi, w której się pławią, odruchowo kładę rękę na szyi, śladzie po ugryzieniu. Nie raz odnoszę wrażenie, że właśnie wtedy, gdy mnie naznaczył, a jego ślina mieszała się z moją juchą, wytworzyła się między nami niewidzialna więź, nic zrozumienia. Więcej niż pewne, że nie taki był jego plan. Ja sam nie miałem wówczas pojęcia, czym jest szatańska intencja... I zapewne dlatego, że o szachrajstwie wiedziałem tyle co nic, a Casimiro był trudnym do wyprowadzenia w pole obserwatorem, zorientował się, że nie jestem tym, kogo usilnie próbowałem zgrywać. Zdradziła mnie ta przeklęta blizna. Braterski dar nieśmiertelności. Mógł mnie wydać, stracić kolejnego brata, utorować sobie drogę do przejęcia władzy, a mimo to, bez wahania stanął u mego boku, mówiąc:

– Rób, co musisz.

Wytrąca mnie z rozmyślań. Dokładnie te same słowa padły z jego ust lata temu, gdy mnie zdemaskował.

Łapię starego za fraki i ciągnę za sobą, kierując się do mojego dawnego pokoju. Miejsca, w którym wszystko się zaczęło. Wkrótce historia zatoczy koło. Ojciec wrzeszczy szaleńczo, błaga o litość i wybaczenie, klnie, wierzga nogami. Nie rozumiem. Zgłupiałem. Przecież jestem dokładnie takim synem, o jakim marzył. Tym, kim miałem być od momentu opuszczenia dróg rodnych matki. Wyhodował bestię o sile dwóch dzikich drapieźników, nie poskromił jej, karał zamiast motywować, a teraz jest zdziwiony, bo chce go pożreć?

Sapię, wciągając go po schodach, a gdy w końcu docieram na piętro i zerkam w stronę rozwalonego przez sługusów muru, ponownie wracam wspomnieniami do dnia, kiedy przechodziłem przez ten próg po raz ostatni. Zanim jednak do tego doszło, zdążyłem umrzeć i narodzić się na nowo, władować dziewiczy nabój w czaszkę brata i nieodwracalnie znienawidzić ojca...

– No w kurwę! – wrzeszczał Mephisto, nie mogąc przybrać na leżance wygodnej pozycji. Obserwowaliśmy go ze Spirito przez szczelinę w harmonijkowych drzwiach, śmiejąc się cicho. – Auć. Jutro włożę ci tę sprężynę w dupę, Erosie!

Mimo że Spirito przewrócił oczami, jakby nie dowierzał, ja przelknąłem nerwowo ślinę wiedząc, że brat byłby do tego zdolny.

Spirito ziewnął znudzony do pewnego momentu zabawnym biadoleniem mojego brata i ponownie rzucił się na wielkie łóżko, które dzisiejszej nocy należało tylko do nas. Nie cieszył się z tego faktu tak, jak ja, bo będąc jedynakiem z nikim nie musiał się niczym dzielić, ale jednocześnie nie umniejszał znaczenia mojej radości, której nijak nie potrafiłem zamaskować. Dla mnie, chłopaka, któremu zawsze przypadały niepotrzebne już nikomu ochłapy, możliwość zajęcia pokoju Mephista, choćby na jeden wieczór, była najlepszym prezentem urodzinowym. Wtedy sądziłem, że lepszego nie mógłbym sobie wymarzyć.

Wkrótce przekonałem się w jak wielkim byłem błędzie, bo otrzymałem podarunek, którego nie da się wycenić ani zamknąć w żadnych ramach. Życie.

Nie powiedziałem wtedy „dziękuję”. Wyrzuciłem sobie to spowodowane szokiem, jakie wywołały ówczesne wydarzenia, niedopatrzenie, przekonany, że mój przyjaciel nie żyje. Nie raz robiłem to w myślach, lecz teraz, gdy wiem, że wkrótce stanę z nim twarzą w twarz, sam już, kurwa, nie wiem, czy powinienem dziękować, czy zatłuc, bo wepchnął mnie w sam środek piekła i syfu, ryjącego mi banię dzień po dniu.

– Teraz ty mi opowiedz, o jakiej dziewczynie marzysz – powiedział Spirito.

Zająłem miejsce przy ścianie i zakłopotany podrapałem się po głowie. Pierwsze, co przyszło mi na myśl, to, że chciałbym, żeby była dobra, ale mając w pamięci jego „można ją uformować niczym plastelinę” i inne „perły w koronie”, pospolite słowo „dobra” wydało mi się słabe.

– Nie wiem, kiedy ją spotkam, to będę wiedział, że jest tą jedyną – odpowiedziałem dyplomatycznie, a przyjaciel obdarzył mnie pełnym powątpiewania spojrzeniem.

– I niby gdzie chcesz się na nią natknąć, skoro całe dni spędzasz w kryjówce lub w lesie, szukając drewna?

– W takim razie może w lesie?

– Jane prosto z lasu, kurwa. – Zaśmiał się głośno.

– Dla mnie spoko. – Wzruszyłem ramionami. – Dobranoc. – Odwróciłem się i zamknąłem oczy.

– Wiesz, że jesteś jedyną osobą, która odwraca się do mnie plecami? – zapytał cicho. – Musisz mi bardzo ufać – dodał.

– To prawda. Ufam ci tak bardzo, jak moim strzałom.

Jeśli wiedziałbym, że po raz ostatni zasypiam jako Eros, starałbym się bardziej celebrować ulotną chwilę, wyryć w pamięci tę błogość, której potem nie zaznałem już nigdy. Pomimo tego, że byłem na samym dole rodzinnego łańcucha, a do tego jego najsłabszym ogniwnem, na swój sposób czułem się szczęśliwy. Doskonale pamiętam moment odpływania do sennej krainy, a jeszcze lepiej ten, gdy mój brat zasnął na wieki.

Przebudziłem się, czując muśnięcie na policzku. Przetarłem go, ściągając z niego płatek i zerknąłem w stronę uchylonego okna. Firana powiewała lekko, gałęzie rosnącej przed naszymi oknami jakarandy chwiały się na wietrze, gubiąc kolorowe kwiaty. Piętnastoletni ja pomyślał wówczas: „Wow, fioletowy śnieg”. Taa, już wtedy moje myśli bywały konkretnie zjebane. Przez niewielką szczelinę w oddzielających pokoje drzwiach sączyła się jasna poświata. Wkurzyłem się, przekonany, że brat po złości nie wyłączył lampy, a ponieważ ojciec założył mi oddzielny licznik i zużytą energię musiałem opłacać z kieszonkowego, wstałem, żeby zgasić światło.

Potarłem knykciami powieki, bo zaczęły szczypać mnie oczy i zamrugałem kilkakrotnie, jednocześnie wciągając powietrze nosem.

– Co tak jebie? – Spirito zapytał sennym głosem o to, o czym sam pomyślałem i nakrył głowę poduszką.

– U nas zawsze śmierdzi spalenizną. – Wzruszyłem ramionami, mimo że i tak nie widział tego gestu.

– Nie aż tak, kurwaaa – jęknął przeciągle, przyciskając mocniej poduchę, a potem zerwał się do siadu. – Coś się pali. Nie czujesz tego?

Nigdy nie odpowiedziałem na to pytanie. Gdy wsadziłem palec między framugę a drzwi i je

rozdzieliłem, odjęło mi mowę. Cofnąłem się i zerwałem z materaca kołdrę, po czym podbiegłem do stojącego w płomieniach łóżka, na którym leżał zakneblowany brat. Jego nogi i ręce przypięte były do ramy. Wił się, gdy uderzałem na oślep, chcąc ugasić trawiący go ogień.

– Znajdę gaśnicę. – Spirito wybiegł z pokoju.

– Eeros.

Usłyszałem stłumiony kneblem głos Mephista. Nie mogłem poradzić sobie z płomieniami, dusiłem się, ciemniało mi w oczach.

– Zaaabij mnieeee.

W desperacji opadłem na niego i przygniotłem, separując nasze ciała kołdrą. Próbowałem ochronić mu twarz i poluzować knebel, ale Mephisto był jedną, wielką raną.

– Proszęęę.

Zerwałem się na równe nogi i pobiegłem do drugiego pokoju. Wziąłem spluwę. Płakałem, nie wiedząc, jak postąpić. Nie byłem zabójcą.

– Boliiii.

Nie mogłem słuchać tego zawodzenia. Zbolałego głosu. Znieść widoku rozległych poparzeń. Strzeliłem.

– Przepraszam, Mephisto. Tak bardzo przepraszam...

To był ostatni raz, kiedy pozwoliłem sobie na łyzy, ale nie ostatnie naciśnięcie na spust i poparzenie. Nie wiem, czy to przez stres, obezwładniającą niemoc, ogień parzący płuca, otumaniający dym, ale gdy do pokoju wparował ojciec, trzymający na muszce mojego przyjaciela, nie dostrzegłem w nim mojego taty, zobaczyłem demona. I choć uginały się pode mną roztrzęsione kolana, serce galopowało, jakby miało wyrwać się z piersi, a gardło duszone było strachem, przyrzekłem sobie, że nigdy, ale to, kurwa, nigdy, przenigdy i w życiu, nie będę klęczał przed demonami.

– Coś ty zrobił, Mephisto?! Zabiłeś Erosa! – wrzeszczał Spirito, udając rozemocjonowanie.

– Morda w kubeł, dzieciaku. – Stary szturchnął go lufą. – Nie przypisuj mu wszystkich zasług. – Mrugnął do mnie. – Miałeś szczęście, że byłeś w tym czasie w kiblu, Spirito, a teraz zabieraj majdan i wypierdalaj. Nie ma już powodów, dla których miałbyś nas odwiedzać. Pizda – spojrzał na zwłoki Mephista, sądząc, że to ja – niemal wyparowała. Jak się z tym czujesz, synu? – zwrócił się do mnie. Skrzyżowałem wzrok z nieustępliwym spojrzeniem Spirito, nakazującym mi podjąć grę, udać, że jestem tym, za kogo uważa mnie ojciec, przywłaszczyć tożsamość Mephista.

Nabrałem powietrza i przyłożyłem palce do skroni.

– W kurwę dobrze, tatusiu – odpowiedziałem, wiedząc już, że moje życie diametralnie się zmieni.

Aris szturcha mnie i wręcza kanister. Uderzam ojca w twarz, chcąc go zamroczyć, bo przypięcie do powyginanej ramy mojego dawnego łóżka, gdy szarpie się histerycznie, nie mając wątpliwości, co się wydarzy, jest wręcz niewykonalne. Nie rozglądam się po pokoju, najchętniej zamknąłbym oczy, bo powrót do przeszłości jest trudną, zapierającą dech w piersi podróżą, lecz jeśli chcę ruszyć naprzód, a tego właśnie pragnę, muszę ją odbyć. Instynktownie być może to właśnie jej przede wszystkim się obawiałem. Kiedy dygoczę nad starym, do mojej świadomości dociera, że myślenie, iż to właśnie na łuku i obrazach zależy mi najbardziej, było po prostu bardzo wygodne. Odwlekałem moment zemsty, wyczuwając podskórnie, że będzie wyjątkowo trudny, totalnie mnie rozwali.

Zupełnie niepotrzebnie, bo nie czuję nic, czego wcześniej bym nie znał, nie doświadczył. Klucie w klacie, nerwowa trzęsawka, ciśnienie rozsadzające czachę. I to by było na tyle. Zdecydowanie za mało, bym klęknął.

– Posłuchaj – mówi nerwowo ojciec. – Akceptuję cię. Przysięgąm. Jestem z ciebie dumny, Erosie.

– Taa, ja z siebie też. A teraz kilka zasad, które ułatwią ci życie. Staraj się jak najmniej ruszać, żeby nie wzniecić większego ognia. I nie płacz, bo benzyna jest lżejsza od wody. Łzami jej nie ugasisz.

– Klepię go pokrępiając w ramię. – Jeśli powiesz mi, gdzie jest łuk i obrazy, okażę ci litość.

No cóż, jednak trochę mi na nich zależy.

– Znajdują się w bankowej skrytce.

– Aj. – Cmokam. – Kłamiesz, a ja tak bardzo tego nie znoszę...

– W porządku. Przyznaję, minąłem się z prawdą. Rozkuj mi ręce, wyjadę, a informację, gdzie są

te graty, przekażę ci telefonicznie. Muszę mieć pewność, że puścisz mnie wolno.

– Nie zrobię tego. Cóż to za absurdalny pomysł? – Polewam go benzyną. Chyba dopiero teraz dociera do niego powaga sytuacji.

– Jak to? Zależy ci na tych rzeczach, a sam powiedziałeś, że się nade mną zlitujesz – sapie spanikowany.

– Och, kurwa. – Śmieję się. – Przez moment zapomniałem, że mnie nie znasz. Myślałeś, że okazanie litości w moim wykonaniu jest równoznaczne z wolnością? – Nie dowierzam. – Chodziło mi raczej o zarzucenie na twoją głowę koca, żebyś szybciej się zatruł, a przez to krócej męczył.

– Nie rób tego. Będziesz żałował. To nie w twoim stylu.

– Co? Zabijanie? To bardzo w moim stylu.

– Błagam! Nigdy nie okazywałem ci, jak ważny dla mnie jesteś, ale to się zmieni! Wiele zrozumiałem. Będę takim ojcem, na jakiego zasługujesz. Proszę, chciałbym być na twoim ślubie. Byłem takim głupcem. Krzywdziłem was, swoje dzieci. Błagam, Mephisto, proszę, Erosie!

– Hmm... – Drapię się po brodzie. – Błaganie o litość, jęki rozpaczy, przejmujący, wwiercający się w mózg krzyk. Nie chcę tego, więc...

– Darujesz mi życie – dokańcza zdanie, wzdychając z ulgą. – Dziękuję.

– Zgaduj-zgadula. Robisz to źle, tato. Nie chcę tego, więc zaknebluję ci gębę. To chciałem powiedzieć. – Chichoczę szatańsko i ściągam koszulkę. Wsadzam mu materiał w usta i przewiązuję dookoła głowy. – Zadbajcie, żeby ogień się nie rozprzestrzenił – zwracam się do Auro i Arisa. – Ugaście go – wskazuję na ojca – zanim zdechnie. Niech tu sobie dogorywa choćby i kilka dni.

Wyciągam pudełko zapalek i odsuwam się na bezpieczną odległość. Gdy pocieram o praszkę, ojciec wybałusza gały.

– Dlaczego jesteś taki przerażony? – pytam, mimo że i tak mi nie odpowie, i rzucam zapalną przed siebie. Jego ubranie w ułamku sekundy zajmuje się ogniem.

– Ale buchnęło. Chyba zjarało mi rzęsy. – Aris energicznie przeciera oczy, a potem wskazuje na coś, znajdującego się za mną. – Don Pedro miał taką minę, bo zobaczył...

Odwracam się gwałtownie.

– Ducha – dopowiada Spirito.

Przez ostatnie dni wiele razy wyobrażałem sobie, co mu powiem, kiedy w końcu go zobaczę, lecz teraz, gdy jest na wyciągnięcie ręki, stoję jak zamurowany, bo trudno dopatrzeć się w nim człowieka, którego znałem lata temu. Po tyczkowatym, cherlawym chłopaku zostało wspomnienie. Mimo to zawsze, w każdych okolicznościach poznałbym te oczy. To wyniosłe, nieprzystępne, na moment zamrażające piekło spojrzenie.

– Czyli żyjesz... – rzucam głucho.

– Jeśli wyznacznikiem życia jest płynąca w żyłach krew, to tak, żyję – stwierdza enigmatycznie.

Może i skupiłbym się na sensie wypowiedzianych przez niego słów, ale z za jego pleców wyłania się Alma. Chociaż nie, to zbyt wielkie słowo. Wystawia niepewnie głowę i mruga szybko, chcąc odpędzić łzy lub wyjść z szoku. Ewentualnie oba naraz.

– Chodź tu. – Wyciągam do niej dłoń. Potakuje niemrawo, z jej postawy bije wahanie. – Jak długo tu stoicie? – pytam, bo być może zobaczyła lub usłyszała coś, co ją przeraziło. I dopiero gdy zadaję to debilne pytanie, uświadamiam sobie, że...

– Jesteśmy w pokoju, w którym głównym źródłem światła jest twój płonący stary. – Spirito stwierdza fakt. – Więc chyba możemy uznać, że wystarczająco długo. – Poprawia krawat i chrząka. – Przyjmij moje kondolencje. Zapewne już się domyśliłeś, że zabiłem twojego brata. Musisz wiedzieć, że mogłem, ale nie chciałem postąpić inaczej – mówi prosto z mostu.

Wycofuje się na korytarz, a po chwili schodzi do holu. Chwytam Almę za rękę i ciągnąc ją za sobą, biegnę za nim. Sytuacja na dole wydaje się opanowana. Gallo opatrywany jest przez naszego pakistańskiego doktora, jedynie Vittorio wciąż tkwi w bezruchu.

– Wezwałem do niego Asada – mówi Casimiro. – Szpital w tej sytuacji odpada.

– A ten dlaczego tak leży? – Spirito kopie młodego w stopę.

– Jest w szoku – odpowiada lekarz.

– Jestem sparaliżowany, a nie zszokowany – oburza się Vitto. – To znaczy takie mam przecucie.

– Zbadam cię – informuje Spirito i się nad nim pochyla.

Alma wybuchła płaczem. Wiedziałem, że to nastąpi. Nie miałem jedynie pojęcia, kiedy.

– To wszystko moja wina. Gdybym nie poprosiła o podwózkę, Sisto nadal by żył. On na pewno nie chciał mi nic zrobić, tylko był pogubiony. A gdy na mnie leżał – przełyka ślinę, a mnie znów wzrasta ciśnienie – to się rozpląkał i przeproszał, i żałował – piszczy. – Chyba go sprowokowałam i nakręciłam, mówiąc, że nie dorasta ci do pięt. Teraz bym tak nie powiedziała. Jezu. Przepraszam Meph..., yyy, Ero... – mota się, zapewne nie wiedząc, jak się do mnie zwracać. – Po prostu przepraszam cię – wyrzuca na wdechu.

Przyciągam ją do siebie. Jest napięta jak struna, przez materiał ubrań wyczuwam rytm szaleńczo bijącego serca. Drży w moich ramionach do momentu, kiedy kładę rękę na jej plecach. Tyle musi wystarczyć. Przywiera do mnie całą sobą. Być może chciałaby usłyszeć, że jest najważniejsza, że traciłem oddech nie wiedząc, w którą norę się zapuścić, żeby ją odnaleźć i nigdy w życiu nie czułem się aż tak bezradny jak dziś, ale nie powiem tego. Nie, bo stoimy w holu pełnym ludzi, zamków z piasku. Nie strzelę sobie w drugą piętę.

– A Rufo zrobił mojej przyjaciółce nagie fotki – dodaje płaczliwie.

– Kurwa, doktorku! Pojebało cię?! – Vitto zrywa się z podłogi i podskakuje na jednej nodze. – Pociął mnie! Zranił w piętę!

– Cud – stwierdza beznamiętnym tonem Spirito. – Masz czucie w nogach. – Podnosi się i podchodzi do zmasakrowanego, wciąż przypiętego do poręczy, Rufa. Przetrzepuje mu kieszenie, rekwiruje telefon, a następnie robi coś, czym doprowadza mnie do wrzenia. Wbija mu skalpel w skroń i zerka na swoją koszulę. – Ale jestem brudny – mówi cicho, jakby do siebie.

– No chyba coś ci się popierdoliło! – wrzeszczę i odpycham Almę, doskakując do niego. – Pojawiasz się nie wiadomo skąd i litujesz nad moim sługusem. Miałem plany co do niego!

– Rozumiem, ale dziś stał się bardziej mój, niż twój. Przecież go oznaczyłem – mówi to takim tonem, jakby było to równoznaczne z zaklepaniem.

– Spirito, co chcesz w zamian za ocalenie Almy? – wtrąca się Casimiro.

– Nie ocaliłem jej. Miała szczęście, że była z Zitą. Reszta z kolei – zerka na Rufa – miała pecha. Tak to działa.

– A co córka sędziego ma z tobą wspólnego? – dopytuje Casimiro.

– Skąd mam wiedzieć? A ma cokolwiek? – odpowiada zdezorientowany.

– Trudno cię zrozumieć. Z twojej wcześniejszej wypowiedzi wywnioskowałem, że Zita Belamonte jest przyczyną i skutkiem, a teraz sam nie wiesz, co, kto i po co...

– Przejęczyłeś się. Belgamonte – poprawia go Spirito.

– Moment. – Casimiro wyjmuje telefon. Po kilku minutach podchodzi do Spirito. – Zerknij. O niej mówimy? Na tej fotce jest ze swoim starym.

– Nie. Ona ci wmówiła, że jest córką sędziego? – Spirito zwraca się do Almy. Ta unosi zapłakaną, umazaną krwią twarz. Wygląda, jakby za moment miała rozpaść się na naszych oczach.

– A nie jest? – pyta cicho i pociera oko. – Gdy na jednej z imprez wylegitymował nas policjant, to spojrział na jej dowód i powiedział: „Zita Belamonte, córeczka sędziego. Stary nie będzie zadowolony”. Pewnie źle odczytał, ale dlaczego nie wyprowadziła go z błędu, a potem mnie? Wcześniej była po prostu Zitą, nie pytałam o nazwisko, bo to nie miało znaczenia.

– Mogę zobaczyć to foto? – Gallo wyciąga rękę w stronę Casimira. – I to jej numer mi podałeś, określając ją mianem „małej miss”? – Stuka palcem w wyświetlacz. – Czyli nie wymieniam romantycznych wiadomości z dziewczyną poznaną w pociągu, tylko z nią? Ja jebię. Mogłem dziś nie wracać – nawija. – Nie dość, że dostałem kulkę, to dodatkowo moje życie uczuciowe legło w gruzach.

– To kim jest w takim razie Zita Belgamonte? – przerywam ten smutny monolog.

– Kim jest panna „Z”, pytasz? – Spirito patrzy na mnie sugestywnie i wszystko staje się jasne. Perłą w koronie rodziny Beneventano. – Na mnie już czas. Spotkamy się wkrótce – informuje i zmierza w stronę wyjścia, lecz po chwili zatrzymuje się i odwraca. – Wyślę wam namiary na dziewczynę, która miała nieprzyjemność spotkać się w Syrakuzach z Sistem. Na skutek urazu głowy doszło do

przemieszczenia odłamów kostnych w głąb czaszki. Ma rozerwaną błonę śluzową końcowego odcinka odbytu i zaburzenia układu moczowego. Nie muszę tłumaczyć, jak w tej sytuacji należy się zachować. Na pewno to wiecie. A, jeszcze jedno. – Kładzie rękę na ramieniu Almy. – Sisto wyrażał skruchę, bo mnie zobaczył. Pomachałem przez szybę, zanim okrążyłem samochód i poderżnąłem mu gardło. Nie wierz we wszystko, co widzisz, bo często to, co najistotniejsze, rozgrywa się za plecami.

Casimiro zasysa głośno powietrze, a Spirito wychodzi, nie oglądając się za siebie. Podchodzę do okna, bo gdy otworzył drzwi, usłyszałem dobiegające z dworu hałasy. Na podjeździe zaparkowane są dwa nienależące do nas auta. Przy jednym stoją trzej rozmawiający ze sobą mężczyźni. Kiedy go zauważają, długowłosego gość otwiera bagażnik i wyjmuje śnieżnobiałą koszulę. Spirito rozpina tę, którą ma na sobie i zdejmuje. Na plecach wytatuowane ma sztylety i naprawdę wielką literę „S”. Nie jestem zdziwiony. Podczas gdy inni ozdabiają ciało imionami ukochanych, on zrobił sobie dziarę na swoją cześć.

Opieram się o parapet i w końcu, mimo że zawód zdradą Sista dusi od środka, pozwalam sobie na zaczerpnięcie głębokiego oddechu.

– Mephisto, ja już dłużej nie wytrzymam.

Odwracam się, słysząc głos Almy.

– Wiesz, wiesz – duka – o co chodzi, co mam na myśli. – Unosi rękę, chcąc wsadzić palce do ust, ale rezygnuje z tego pomysłu widząc, że są ubrudzone krwią. – I nie zostanę – rozgląda się i pociąga nosem – w tym domu. I twoją żoną też nie będę.

– Oczywiście, że będziesz – rzucam szorstko, skupiając się na ostatniej części jej wypowiedzi. Dopiero po chwili do mojej świadomości dociera, jak wiele dziś przeszła i że czeka na porządne przytulenie, a odkąd wróciła trzymam ją na dystans. Chyba podskórnie obawiam się, że gdy okażę, jak wiele dla mnie znaczy, ściągnę na nią kolejne nieszczęścia.

Podchodzę do niej, ale robi krok w tył.

– Wrócę do mojego domu.

– Już do niego wróciłaś – warczę, a Casimiro gromi mnie wzrokiem.

– Nigdy nie byłam świadkiem czegoś tak brutalnego, Mephisto. To, co zrobiłeś w swoim dawnym pokoju to, to, i, i... – jąka się i dodaje nieskładnie: – Bo ty nawet nie kontaktowałeś, co się wokół ciebie dzieje. Nie zauważyłeś, że tam przyszłam i nie słyszałeś, co do ciebie mówiłam. – Nabiera powietrza. – U mnie, w Katanii, takie rzeczy nigdy nie miały miejsca. – Wzdryga się, zerkając to na zakrwawioną podłogę, to na Rufa.

– Taa, bo u ciebie – akcentuję to słowo – preferowany jest cichy handel wymienny, a walutą są córki. Ja nie sprzedałbym swoich dzieci, braci, ciebie, a nawet jego – wskazuję na Galla – ale jestem więcej niż chętny, by rozwalić łeb każdemu, kto wykazuje się nielojalnością, zagraża mojej rodzinie lub za mocno klepnął mnie w plecy – oznajmiam. Po jej policzkach płyną łzy, tworząc jasne ścieżki na umorusanej twarzy. – Jeśli szukasz pretekstu, żeby wycofać się z tego, co już wypracowaliśmy i jest nim marne „jesteś taki brutalny, Mephisto”... – Macham rękami, imitując jej wysoki głos. – To cóż. – Nachylam się nad jej uchem i wrzeszczę: – Wypierdalaj!

Alma otwiera usta i złośliwie szczypie mnie w ramię, a Gallo jęczy:

– Ja jebię. Znów się zaczyna. Odpuściłem taniec w winie, przekonany, że przed ślubem będziecie spijać ambrozję ze swoich dziubków i mniej się umęcę, niż słuchając gderania matki, a tu taki chuj. Jest jak zwykle. Do tego mam dylemat, czy umówić się z córką sędziego, teraz już wiedząc, że wizualnie to, kulturalnie mówiąc, C47 po detonacji, czy jednak nie. W sumie, czy ja jestem jakimś, kurwa, pięknišem? – Zastanawia się głośno i zdecydowanie pyta o to samego siebie, ale Alma i tak postanawia odpowiedzieć.

– Nieważne jest piękno zewnętrzne, tylko prawda, Gallo.

Wybucham śmiechem.

– Złota myśl Almy. – Przykładam palce do skroni. – Przed chwilą postanowiłaś się ulotnić, bo zobaczyłaś brzydką prawdę, a teraz wciskasz mu kit.

Buntowniczo zakłada ręce na piersi.

– Z innego powodu. Tamto podkoloryzowałam, żeby winą za moje odejście obarczyć ciebie –

wyznaje prosto z mostu. – Ty sobie poradzisz z wewnętrznym dyskomfortem, a ja niezbyt. – Przygryza wargę. – Ale dobrze, powiem prawdę, żeby nie wyjść na gołosłowną. – Drży jej broda. – To was zszokuje i będziecie mną zawiedzeni. Dlatego wołałam zostać wygnana, zapewniając, że gdzie indziej byłoby mi lepiej. – Robi głęboki wdech i omiata nas wszystkich wzrokiem, a potem mówi: – Gdy Sisto został zabity, poczułam ulgę, w głębi duszy się ucieszyłam. Ale tylko przez chwilę – tłumaczy się nerwowo. – Dosłownie przez ułamek sekundy – dodaje szybko.

– A jak myślicie, Spirito dezynfekuje te swoje skalpele czy ciachnął mnie używanym? Teraz mam jakiegoś schiza – wtrąca Vitto. – Cały czas o tym myślę. Ze stresu nie urosnę – panikuje, a po chwili podskakuje na jednej nodze, żeby po raz kolejny przyjrzeć się swojej pięcie.

– Zamknij się – burczy Casimiro.

– Właśnie – przytakuje mu Gallo. – Wszedłeś Almie w słowo, a jestem ciekawy tej bomby, jaką na nas zrzuci.

Nikt nawet nie domyśla się, że ona już zrzuciła ze swych barków tę całą „bombę”. Ciężka jej najwidoczniej tak bardzo, że postanowiła zdezerterować z piekła w obawie, że wybuch zmiecie wszystkich z nóg. A tymczasem przegapiliśmy nawet moment, w którym powinniśmy zszokowani rozdziawić gęby.

– Już to wyznałam. Wyrzuciłam z siebie.

– Czyli? – Casimiro patrzy na nią wyczekująco, bo nie zrozumiał w czym rzecz.

– Ma wyrzuty sumienia, bo śmierć naszego brata, tego samego, który leży w aucie z opuszczonymi do kolan gaciami, była balsamem dla jej duszy. Tak to zrozumiałem – mądry się Vittorio.

– E, to jednak niewypał. – Gallo macha lekceważąco dłonią. – Daj mi więcej tych leków – zwraca się do naszego doktora. – Czuję się po nich lekki jak chmurka. – Wkłada ręce pod głowę i niczym najbardziej zrelaksowany człowiek świata kładzie się na ujebanej krwią posadzce.

Łapię Almę za nadgarstek i ciągnę za sobą na górę. Nie stawia najmniejszego oporu, bo zapewne nawet ona wie, że moje nad wyraz ekspresyjne: „Wypierdalaj” w tym konkretnym przypadku oznaczało tyle, co: „Zostań, nie odchodź, bez ciebie nie istnieje”. Przysięgam, że właśnie to miałem na myśli, gdy w tamtym momencie przez moje ciało przetaczała się furiacka fala najzwyczajszego wkurwu. Słowo Diabła.

Po przekroczeniu progu pokoju od razu rzucam się na łóżko, wciskając twarz w materac. Emocje wciąż buzują w żyłach i po prostu czuję, że potrzebuję chwili dla siebie, zanim uporam się z tymi rozsadzającymi mały, szurnięty łeb Almy. Oddycham głęboko, starając się uporządkować myśli, włączyć na drogę wiodącą ku upragnionej fazie zen i być może doszedłbym tam, gdzie wzrok nie sięga, ale ktoś najwidoczniej boi się, że zblądzę...

– Płaczesz? – pyta Alma.

Nie czeka na odpowiedź na to niedorzeczne pytanie, tylko od razu siada na mnie okrakiem i wtula się w moje plecy. Leży, ujebana juchą, której smrodu nie znoszę, a kiedy uświadamiam sobie, że to krew Sista, moja własna zaczyna wrzeć. Zaciskam zęby, bo połączenie tego faktu oraz dyskomfortu wywołanego ocieraniem o cienką jak papier skórę, która w niektórych miejscach jest wyjątkowo wrażliwa, zamiast relaksować, dodatkowo irytuje i cóż, boli.

– Wykąp się, a ja tu poleżę – proponuję, czując, że osiągnięcie stanu równowagi z nią na plecach jest po prostu niewykonalne.

– Dobra – mówi, ale nie rusza się z miejsca. – Sprawdziłam w słowniku, co oznaczają te słowa, które wypowiedziałeś w leśnej chacie. Nasz ślub aktualny? Lubię wyjaśniać wszystko od razu, bo niedopowiedzenia męczą – nawija. – To, co wyznałam w holu, przeczy temu, że jestem piękną duszą, prawda? Tyle że nie czuję się złą osobą, więc chyba nie odwołamy uroczystości? Zgadzasz się jedynie, żeby ją przełożyć. I jednak już nieważne, na nic nie odpowiadaj. – Nachyla się i zatyka mi usta dłonią. – Udajmy, że nie było tematu, bo już sobie to na szybko przetłumaczyłam. To po prostu twoja wina. – Poklepuje mnie po ramieniu. Milczę, licząc, że to ten złoty środek, klucz zamykający jej buźkę. Błąd. – Podzieliłeś się ze mną swoją duszą, dałeś mi kawałek, dlatego czasem mam prawo mieć nietypowe dla mnie myśli.

– W kurwę, Almo. – Włosy na moich przedramionach się jeżą. – Sisto chciał cię skrzywdzić.



Życzenie mu śmierci w żadnym razie nie jest nietypowe! – unoszę się. – I już cicho. Nic nie mów. Leż, jeśli musisz, ale milcz – warczę.

– Powiedziałaś: „Dla mnie” – drażny temat. – Ogólnie może i nie jest, ale DLA MNIE jest. Wiesz, o co chodzi? I powiem ci, że tak coś czułam, że jesteś Erosem, Mephisto. Ale to dziwnie zabrzmiało – stwierdza mało istotny, ale jednak fakt. – Dlatego ostatnio powiedziałam ci, że chyba jesteś nieśmiertelny. Połączyłam kropki.

– Taa.

– A jak to teraz będzie, skoro don Pedro nie żyje?

– Będziemy płacić mniej za media, bo odpadło dwóch mieszkańców. Kurwa, nawet trzech. Zapomniałem o sługusie.

– A tak na poważnie?

– Na poważnie, to możesz się już rozbeczeć, bo to nieunikniony finał tego słowotoku.

– Nieprawda. Widać, że mnie nie znasz – oburza się. – Co mam powiedzieć Etnie? Bo Selvaggio przyjechali na ślub i zatrzymali się w hotelu w centrum.

– Nie chcę być monotematyczny, ale proponuję proste: „Wypierdalać”.

– Co cię ugryzło? – sapie.

– Brat wbił mi kosę w plecy, prawie cię straciłem, spaliłem ojca, mój przyjaciel powstał z martwych i wiem, że to on, ale nie potrafiłem go dziś rozgryźć, a nigdy nie miałem z tym problemu – wyrzucam z siebie. – Masz jakąś maść na te ugryzienia? – pytam, ale nie doczekuję się odpowiedzi. – Złaż ze mnie. Muszę ochłonąć – rzucam szorstko, dlatego jestem zdziwiony, że mimo to, jak gdyby nigdy nic, Alma składa pocałunek na mojej łopacie i schodzi.

Chwilę krąży po pokoju, sprawiając wrażenie osoby niewiedzącej, co ze sobą począć. Rozgląda się dookoła, być może sądząc, że jest tu ktoś, kto posprząta szambo, które dziś wybiło, cały ten syf. Oddycha głośno, a gdy drżącymi dłońmi wyjmuje z komody ręcznik, niemal czuję to unoszące się w powietrzu, ciężkie jak ołów napięcie. Alma rzuca mi przelotne spojrzenie i znika w łazience.

– Nie zamykaj drzwi – mówię jeszcze, pamiętając o roztrzaskanym lustrze. Nie chodzi o to, że nie mam do niej zaufania. Nie ufam temu, co dostrzegłem w jej oczach. Szukającym ujścia emocjom, których wiem, że nie wypłuczają pieprzone łzy.

– Nie miałam nawet takiego zamiaru – odpowiada z irytacją.

Pięć minut później słyszę szum płynącej wody, a ten z założenia powinien być relaksacyjnym odgłosem. No właśnie, powinien – słowo klucz. Tyle że nawet on nie jest w stanie zagłuszyć płaczu Almy. Nie ma mowy o poukładaniu sobie we łbie, bo czuję to przekłete swędzenie. Skutek najdotkliwszego ukąszenia, na które nie ma odtrutki. Strzała wbita w piętę to pestka w porównaniu z tą zasadzoną prosto w bezduszne serce.

Uderzam pięściami w materac i złażę z łóżka. Pieprząc uprzejmości, rozsuwam szklane drzwi kabiny prysznicowej i wpycham się do środka.

– Posuń się trochę.

– Myślałam, że chciałeś побыć w samotności – stwierdza buntowniczo i coraz mocniej szoruje skórę głowy. Warczy w złości, nie potrafiąc poradzić sobie z ogromną ilością wytworzonej piany. – Płaczę, bo szczypią mnie oczy. Ja – polewa się wodą i mocniej zaciska powieki – w ogóle nie przejmuję się dzisiejszymi wydarzeniami. Bywałam już w gorszych sytuacjach. I jeśli to cię pocieszy, to też chyba niezbyt znam moją przyjaciółkę. – Krzywi się, bo mydliny, wpadają jej do ust. – Woda jest jeszcze różowa czy już przezroczysta?

– To drugie.

– Od zawsze wiedziałam, że nie należysz do najczulszych, ale dziś to już naprawdę przesada. Wydajesz się wewnętrznie zablokowany. Sztywny, spięty, sama nie wiem. – Poddaje mnie analizie, splukując pianę z ciała i kontynuuje: – Reasumując, ja też nic nie czuję. Kompletnie. – Wzrusza ramionami. – Jak jakiś robot lub właśnie ty. – Drży jej warga.

– Czyli nie odczuwasz potrzeby przytulenia?

Przeciera twarz i wgapia się we mnie przekrwionymi oczami.

– Skoro proponujesz, to niech będzie – stwierdza łaskawie i od razu oplata mnie ramionami,

wtulając się całą sobą. – O Jezu, w końcu. – Po chwili wzdycha z ulgą, przyciskając mokre, śliskie piersi do mojego torsu. Przywalam sobie mentalnie w ryj, by mieć zajęte ręce i zachować się znośnie, ale one same rwą się do jej krągłych, pokrytych gęsią skórą pośladków. – Wiesz, że wszedłeś pod prysznic w spodniach? To dlatego, że bardzo się do mnie spieszyłeś?

– Taa. Na pewno powodem nie była chęć zachowania większej kontroli nad kutasem. Słowo Diabła, Almo. – Uśmiecham się pod nosem i przesuвам ją bliżej ściany.

– Ja z kolei nie płakałam coraz głośniejsze i głośniejsze, licząc, że tego nie zniesiesz i w końcu tu przyjdiesz. Słowo Diabła. – W jej głosie słyszalne jest zniecierpliwienie, gdy mocuje się z guzikiem. W końcu rozpina mi spodnie. – Ten dzień skończy się dobrze. Zapewnimy sobie chociaż jedno miłe wspomnienie – mówi z determinacją. – Będziemy się kochać.

– Zwał jak zwał. – Pozbywam się ubrań i myję w pośpiechu. Już sama perspektywa, myśl, że zaraz będę w swoim ulubionym miejscu sprawia, że mięśnie karku nie są takie spięte. Analogicznie, chęć, by przyjechać komuś z główki, również rozmywa się niczym senna mara.

– Może chcesz, żebym nazywała cię Erosem, gdy będę potrzebować czułości? – pyta, a ja unoszę głowę i wykrzywiam gębę. – No wiesz, dwie ręce – kręci nimi – dobro i zło, delikatność i brutalność, piórka i płomień...

– Jesteś na... – gryzę się w język, przeczuwając, że gdy z moich ust wydostanie się słowo „naiwna”, będzie foch i drama – ...turalnie rzecz ujmując – Chryste, wysławiam się jak kreatywny inaczej – w błędzie. Imię to tylko imię, a ja to ja. Potrafię być czuły, to nieodłączna część mojej osobowości – przekonuję, a Alma prychna pod nosem, co odbieram, jako ironiczne „jasne”.

– Udowodnij. – Opiera dłoń na biodrze. RzUCA mi wyzwanie. – Chcę, żeby w kabinie unosiła się aura romantyzmu. – Rozmarza się. – I dziś nie warcz mi do ucha, że mnie zerzniesz, tylko powiedz na przykład...

Zatykam jej usta dłonią. Zdziwiona wybałusza oczy.

– Cichutko. Nie pouczaj mnie. Wiem, o co chodzi – ucinam temat i pochylam się, stykając nasze czoła, bo Alma zaplata ręce na moim karku. Wzdycha ledwo słyszalnie i mało subtelnie wypina spragnione pieszczoty cycki. Palcami obrysowuję ich kształt i opieram się przedramieniem o ścianę. Skupiam się na, w moim odczuciu, w chuj romantycznym mizianiu, omijając miejsca, które rozbudziłyby we mnie nieokrzesanego łobuza. Koniuszkiem języka przejeżdżam po ustach Almy, w ostatniej chwili maskując ziewnięcie przeciągłym westchnieniem. Czuję się jak niemota wrzucony w sam środek nieznaną krainę.

– Dlaczego nic nie mówisz? – szepcze w moje usta. – Miałeś powiedzieć coś miłego – przypomina.

– A, zapomniałem. Jesteś piękna jak kwiatek.

– Serio?

– Taa.

– Chodzi mi o to, czy serio stać cię tylko na taki komplement, a nie, czy naprawdę jestem taka piękna...

– Jesteś gorąca jak lato.

Odsuwa się i przygląda mi się wnikliwie, mrużąc oczy.

– A tak na poważnie, to zaraz tu, kurwa, zasnę – mówię wprost i chwytam ją za biodra, a ona chichocze.

Biorę jej dłoń i kładę na fiucie. Krtań Almy wchodzi w fazę „pieprz mnie” drżenia, gdy zaciska na nim palce. Całuję ją tak, jak lubię, mocno, uniemożliwiając zaczerpnięcie głębokiego oddechu. Tak, jak lubi ona. Staje na palcach, zarzucając mi nogę na biodro. Posuwam jej rękę i łapię za włosy, odchylając głowę.

– Ugryź mnie w szyję, a potem poliz i jeszcze przejeżdż po niej policzkiem – instruuje szybko, urywanym głosem.

Unoszę ją jednym ruchem, podtrzymując za pośladki. Wsuwam między nie rękę, kutasem drażnię jej cipkę i robię to, czego chciała, gdy zachęcająco dotyka szyi palcami. Oplata mnie ciasniej nogami, więc ocieram się o szparkę, wkładając całą siłę woli w to, żeby się w nią nie wbić, zanim założę gumkę.

Gdzieś z tyłu głowy kołacze myśl o zaufaniu, zamkach z piasku, zasadach i pieprzonych konsekwencjach, a wtedy ona mówi coś, co być może jest dla niej oczyszczającym wyznaniem, lecz dla mnie to zasadzona między żebra kosa. – Sisto wpychał mi język w usta, ale nie oddałam pocałunku i chwilę dotykał, ale przez majtki. – Ścieram płynącą po jej policzku łzę i nakierowuję penisa. Napieram na nią lekko, ale nie wykonuję decydującego ruchu, chcąc, żeby ten należał do niej. Alma przygląda mi się w milczeniu, po czym lekko unosi, zaplatając ręce na moim karku i powoli, w swoim tempie obniża, nie spuszczać ze mnie wzroku. Jestem przekonany, że mógłbym dojść, jedynie patrząc na jej twarz w tym momencie, więc zamykam oczy, poprawiam ją, żeby było nam wygodniej i przesuwam kciukiem po rozdygotanej krtani.

– Gotowa na romantyczne rżnięcie?

Atakuje moje usta i wczepia palce we włosy. Poruszam się w niej, na co jęczy rozkosznie, mocno zaciskając się na moim fiucie. Synchronizacja ruchów, kiedy jest tak bardzo napalona i sama nie wie, co zrobić z rękami, bo czuję ich dotyk wszędzie, graniczy z cudem. A myśl, że jest tylko moja, tak cudownie nieidealna, a przy tym zupełnie wyjątkowa, niesamowicie mnie kręci. Mistrzynie rozpieprzania i składania na nowo mojego systemu nerwowego, testerka cierpliwości, wkrótce Alma Gotti, królowa rajy, władczyni piekła.

Rozsuwa szerzej nogi, gdy bardziej przyszpilam ją do ściany. Przytrzymując za pośladek, pieszczę drugą dziurkę. Napiera na mój palec i dotyka łechtaczkę, energicznie ją pocierając. Wbijam się coraz pewniej, mocniej w ciasną, mokrą cipkę. Uda Almy drżą, gdy wypełniam ją całą, a kiedy zaciskam w dłoni jej włosy i liżę szyję, nie wytrzymuje napięcia i dochodzi na moim kutasie. Przytrzymuję ją w talii, bo całkowicie odpływa i przyspieszam, skupiając uwagę na poruszających się w rytm moich ruchów, piersiach. Nasze ciała objijają się o siebie i dźwięk ten w połączeniu z westchnieniami Almy, jest tak kurewsko erotyczny, że mam ciary. Wszędzie. Zakrywam jej uszy, bo wiem, że zaraz będę darł ryja jak dziki. Proroctwo się spełnia, gdy nasze spojrzenia się krzyżują i obdarza mnie szerokim uśmiechem, który, tu zaskoczenie, też mnie, kurwa, kręci!

Przytulałam ją z całej siły, gdy się z niej wysuwam i głaszczę potargane, wilgotne włosy.

– Lubię się bawić po twojemu, Mephisto – mówi cicho, wtula się mocniej i nagle sztywnieje. – Słyszysz ten koszmarny dźwięk?

– Taa. Vittorio gra na tej jebanej trąbce.

– I tak będzie codziennie?

– Dopóki mu się nie znudzi. – Wzruszam ramionami. – To jego dom. Po raz pierwszy może robić to, na co ma ochotę. Spopielenie, odrodzenie. – Poklepuję wytatuowanego na piersi Feniksa. – Tak ma być – przekonuję, głównie samego siebie, bo im dłużej słucham tego rżnięcia, tym bardziej mam ochotę wsadzić mu instrument w dupę. – A w kurwę z tym, przeniesiemy go na piętro starego i zrobimy wygłuszenie – postanawiam, gdy do moich uszu dobiega przeraźliwy jazgot. Alma się śmieje.

– Czyli teraz będę mogła afiszować się ze swoim łukiem? Mogę go już wyciągnąć spod łóżka? I nauczysz mnie strzelać? A możemy zacząć naukę już dziś? – nakręca się. – A ten łuk, o którym ci mówiłam, należy do ciebie?

– Nie mam pojęcia, co masz na myśli – przyznaję.

– A, fakt. – Kiwa głową. – Wspominałam o tym, gdy przyjechałam, ale byłeś w jakimś transie. Pytałeś ojca, gdzie są obrazy i łuk. Ja znalazłam te rzeczy, gdy, no wiesz, myszkowałam w waszym dawnym pokoju, w garderobie. Nawet chciałam ci o tym powiedzieć tego samego dnia, kiedy udawałeś dzikusa, ale nie chciałeś mnie słuchać.

Na ramionach pojawia mi się gęsia skórka, a serce rozpoczyna szaleńczy galop.

– Wszystko w porządku, Mephisto?

Odsuwam ją na wyciągnięcie ramion i wznoszę ręce w dziękczynnym geście, w myślach dziękując dłużnikom za to, że swego czasu postanowili zgrywać partyzantów i ukrywać się w lesie należącym do rodziny Selvaggio. I sobie, bo w chuj dobry ze mnie nawigator, a jeszcze lepszy Diabeł. Wywęszyłem najpiękniejszą z dusz i bez niczyjej łaski odnalazłem drogę do...

Alma dotyka mojego ramienia.

– Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz, Mephisto? Chcesz porozmawiać o uczuciach? Jakbyś

określił to, co teraz czujesz?

To proste. Sunę palcem po zaparowanej szybie. Jedno słowo.

RAJ.

5 Bersalierzy – formacja włoskiej lekkiej piechoty zmechanizowanej.

6 Taniec w winie – jedna z najstarszych tradycji winiarskich, czyli ugniatanie winogron stopami.

7 C4 – rodzaj plastycznego materiału wybuchowego.

## ROZDZIAŁ 15

### *Alma*

Mój dziadek Eduardo La Mantide mawiał, że każde okoliczności mogą być idealne, jeśli odpowiednio nagnie się je do swoich potrzeb. Mephisto widocznie uznaje tę samą zasadę, skoro pobieramy się w piątek. A przecież wszyscy Włosi wiedzą, że pod wieloma względami to najgorszy dzień tygodnia. Mama od zawsze wpajała nam, że trzeba wtedy unikać podróży, a o ślubie to już w ogóle powinno się zapomnieć. Katastrofa murowana! Żeby tego było mało, powiem: „Tak” siedemnastego dnia miesiąca, najgorzej! Nie bez powodu w samolotach włoskich linii lotniczych nie ma rzędu siedzeń o tym numerze. Jest pechowy, do cholery! Gdy podzieliłam się z Diabłem spędzającymi mi sen z powiek wątpliwościami, zaśmiał się w głos. To oczywiście, bo najwidoczniej lubi kusić nie tylko mnie, ale też los.

Zerkam to na śpiącego w fotelu Mephista, przytulającego do piersi odzyskany łuk, to na powiewające za oknem flagi. Czarną, żałobną i białą, ślubną. Złota nić użyta do wyszcycia na nich herbu rodu Gottich mieni się w blasku wschodzącego słońca. Przeszłość i przyszłość. Śmierć i życie. Spopielenie, odrodzenie i... zgraja dobijających się do drzwi dzikusów, czubów z zakładu dla obłąkanych, za którymi niesamowicie tęskniłam!

Zeskakuję z łóżka, wkładam szlafrok i, potykając się o własne nogi, pędzę otworzyć. Pierwsza do pokoju wparowuje Luna. Strzela mi przed twarzą balonem z gumy do żucia, co widocznie w jej języku jest równoznaczne z „hej” i rzuca się na łóżko. Mała Lisa obejmuje mnie w pasie, podczas gdy Isabella stoi w progu, nie mogąc zdecydować, czy wejść, czy jednak nie. Takiego dylematu nie mają za to mama i Etna. Ta ostatnia całuje w przelocie mój policzek i pochyla się, patrząc na stopy Diabła.

– Są jeszcze większe, niż zapamiętałam – wypala.

– Dlaczego nie jesteście jeszcze gotowi? – Mama bierze pasmo moich włosów w palce i się krzywi. – Gdy wychodziłam za twojego ojca, nie spałam całą noc, bo z emocji nie mogłam zasnąć. Przecież to wyjątkowy dzień, a ty łazisz w szlafroku, a ten śpi w najlepsze. – Kręci głową z dezaprobatą, gdy zerka na Mephista. – Nawet się nie ogolił. Wygląda na takiego zmarnowanego, jakby był po jakimś...

– Melanżu – wtrąca Luna. – Bibce, ewentualnie balandze.

– Przyjęciu – dokańcza mama i karcą ją wzrokiem. – I wstań, bo pognieciesz sukienkę!

– I tak ją zaraz ściągnę, bo umówiłam się z Ferrem na kontrolę stanu uzębienia. – Puszczą do mnie oczko, a mama czerwienieje ze złości. – Żartuję przecież, już wstaję. – Zeskakuje z materaca i poprawia kieckę. – Sprawdzę, czy jest tu konfesjonał, skoro zgrzeszyłam myślą i słowem. – Poklepuje mamę po ramieniu i wychodzi, a ja postanawiam wytłumaczyć pozostałym, dlaczego w piekle wszystko jest na opak.

– Położyliśmy się dopiero o czwartej, bo bawiliśmy się w łuczników. Jeśli mam być dokładna, to w Robin Hooda i Marion, ale w takiej podrasowanej, naszej wersji. A skoro biegaliśmy po lesie, to wiadomo, że jesteśmy rozczochrani. – Kiwam głową. – O, Mephisto ma nawet liść we włosach. – Wskazuję i się chichram.

Uśmiecham się na wspomnienie wczorajszego wieczoru, mimo że nauka strzelania z łuku nieco, no dobra, znacznie odbiegła od moich wyobrażeń. W nich nie było tak zasadniczo! Więc albo Diabeł jest marnym nauczycielem, albo mam rozbuchaną fantazję, bo byłam przekonana, że gdy tylko napnę cięciwę, strzała po prostu polecą daleko, daleko i trafi w obrany cel. Jezu, słodka naiwności! Zanim w ogóle mogłam spróbować, Mephisto zadreślał mnie teorią. Z dobrą godzinę zajęło nam określenie, które oko mam dominujące. Nie potrafiłam się zdecydować, kiedy złączyłam palce, tworząc z nich trójkąt, czy obrany przeze mnie punkt w oddali jest w środku, gdy patrzę lewym czy prawym okiem. Po co to komu?! Wyuczenie prawidłowej postawy zajmie wieki. Samo naciąganie cięciwy to wyższa szkoła jazdy, czarna magia. A wypowiedane przez Mephista zaklęcia tylko utrudniały sprawę. „Cięciwa na załamaniu między palczkami. Naciągaj ją siłą mięśni palców, nie ramion. Środkowy i wskazujący nad strzałą, wskazujący

z kolei pod nią. Kiedy to zrobisz ma dotykać ust i nosa, dłoń pod szczęką. No, w kurwę, nie łap jej palcami! Stopy na linii celu, plecy i biodra wyprostowane, rozkrok nie większy niż szerokość barków. Wypuść płynnie strzałę”. Nie muszę dodawać, że gdy to robiłam, upadła przy moich butach. Reasumując, pierwsza lekcja była niewypałem, a jedyny komplement, jaki było mi dane usłyszeć to: „Ucieka ci oko”. Mephisto jest „bardzo” romantyczny. I „niezwykle” cierpliwy.

Lecz, co najważniejsze... Trzyma mnie za rękę. Mocno.

– A po co to robiliście? – pyta mama, więc wracam do rzeczywistości. – To niepoważne – dodaje głucho.

– Może i tak, ale bardzo mi się podobało. – Wzruszam ramionami.

– Kilka dni po takiej tragedii, a wam głupoty w głowie...

Dokładnie sześć. Według Diabła to wystarczający czas, by ochłonać. Nie na tyle, żeby zamurować drzwi oddzielające przeszłość od teraźniejszości, ale by zamknąć je na klucz i stworzyć iluzję. Bańkę ochraniającą nas, rodzinę, oraz bajkę dla mas, ludzi z najbliższego otoczenia, organizacji.

– To prawda, że ojciec Diabła, brat i ich człowiek zginęli w wybuchu? – pyta Etna, zdejmując z wieszaka moją sukienkę. – Ale ładna. Pasuje do ciebie. – Przesuwa palcem po rzędzie koralików.

– Ekspertyza wydana przez biegłych wyklucza możliwość pomyłki – informuję.

– Podobno pojechali oglądać stary hotel, obiekt pod inwestycję? – dopytuje mama. – Ulatniał się tam gaz?

– Nie wiem – odpowiadam.

– Tak szybko pobrali materiały porównawcze i wydali opinię? – draży temat.

– Nie mam pojęcia.

Etna wybucha śmiechem. Patrzę na nią pytająco.

– Pamiętasz, gdy jechałyśmy na dwudzieste drugie urodziny Efešta, a ty wypytywałaś Nina o sprawy organizacji? W kółko odpowiadał: „Nie wiem, nie wiem”. Dopiero niedawno zrozumiałam, o co w tym chodziło. – Zerka na śpiącego Diabła i się wzdryga. – Najwidoczniej jesteś pilniejszą uczennicą ode mnie, skoro już teraz wiesz, że milczenie jest złotem. – Przewraca oczami i przybliży usta do mojego ucha. – Ale srebro też ładnie błyszczy. Zdradzisz prawdę? Proszę, proszę – wymusza natrętnie, podczas gdy ja skupiam uwagę na najmłodszej siostrze, która usilnie próbuje wyciągnąć łuk z objęć Mephista.

– Nu, nu, bo odgryzę ci rękę. – Diabeł otwiera oczy. Lisa chwilę się mu przygląda, a potem wybucha płaczem.

– Obudziłaś go! – Etna ma do niej pretensje. – A było tak fajnie – jęczy.

Mephisto wstaje, prostuje kości rycząc jak lew, sięga po leżącą na komodzie paczkę fajek i, nie siląc się na uprzejmości, wychodzi na balkon.

– Nie ma co, bardzo przystępny sposób bycia – ironizuje mama. – Spojrzał na nas, jak na zło konieczne. Zamiast się szykować, zmienił jedynie miejscówkę. Zmusiłaś go do tego ślubu, czy co?

Zakłopotana drapię się po głowie.

– To znaczy ja tylko mówiłam: „Musisz się ze mną szybko ożenić albo nie będę się z tobą bawić”, ale rzadko, z dwa razy dziennie w ciągu ostatnich kilku dni. To chyba nie zmuszanie? Chociaż może i tak, skoro użyłam słowa „musisz”. – Lekceważąco macham ręką. – Ale on też nie jest święty – bronię się. – W końcu to Diabeł. – Potakuję żarliwie i przejmuję sukienkę z rąk Etny. – Przebiorę się.

– Powiedz mu, żeby wyszedł. – Mama patrzy w stronę balkonu. – Nie powinien oglądać cię w sukni przed uroczystością. To przynosi pecha. O Jezu! – krzyczy i zszokowana obejmuje policzki. – Pobrudzona! Spójrz, plama! – Marszczy materiał. – I co teraz?!

– E, to nic. Prawie niewidoczne. Przypnę broszkę i po problemie. – Podchodzę do komody, o którą opiera się Etna i otwieram leżącą na blacie szkatułkę. Ozdoby, co nie jest, do cholery, dziwne, brak. – Palantko! – Popycham siostrę. – Ona znów sobie przywłaszczyła – skarżę się mamie.

– Wielka mi rzecz. – Etna wzdycha. – Przecież na ślubie trzeba mieć coś pożyczonego.

– Ale to panna młoda powinna mieć coś, co należy do kogoś innego, a nie goście – tłumaczę. – A zresztą, ty o tym wiesz, tylko udajesz głupią. Powiem Efestowi, że kiedyś wzięłaś potajemnie jego slipki i przytulałaś do nich twarz przed zaśnięciem. – Zakładam ręce na piersi.

– Nie robiłam czegoś takiego. – Wytrzeszcza oczy.

– Wiem, ale powiem tak przy wszystkich, gdy tylko usiądę przy stole.

– Dobra, masz. – Oddaje mi broszkę. – To i tak nie pomoże, bo dół sukienki też brudny. –

Wskazuje palcem.

– Dlaczego ta kreacja jest w takim stanie? – pyta mama.

– Bo już nie raz ją wkładałam. Szkoda, żeby wisiała, skoro jest taka piękna. Diabeł widział mnie w niej z pięć razy. Ostatnio podczas zabawy w męża i żonę. A nie. – Zastanawiam się głośno. – Chyba, jako Marion też miałam ją na sobie. Mephisto, czy dzisiejszej nocy byłam ubrana w suknię ślubną?! – wydzieram się, oczekując potwierdzenia lub zaprzeczenia.

– Taa.

– No, to zagadka rozwiązana. – Unoszę kciuk.

– Dziecko, przynieś mi kieliszek wina. I weź ze sobą siostry. – Mama zwraca się do Etny. – Tu, w tym domu, wszystko jest na odwrót, ale spokojnie – mówi jakby do siebie – zaraz wszystko ogarniemy. – Przebieram się w garderobie, a ona kontynuuje: – U Selvaggiów wszystko było dopięte na ostatni guzik. To tradycyjni. Poza tym teraz okoliczności są nietypowe – pociesza się. – Tylko dlatego nie mają wam za złe tych przymusowych wakacji w Palermo. Bo wiesz, że spędzili sześć dni, nudząc się w hotelu?

– Mogli zwiedzić zameczki! – odkrzykuję. – I podobno inteligentni ludzie nigdy się nie nudzą, więc...

– To nie są, kurwa, zameczki – sapie Mephisto, wchodząc do środka. Zapina mi sukienkę, całuje w szyję i sięga po koszulę. – Pamiętasz, w jakich spodniach byłem na weselu Efesty? – Nerwowo przetrzepuje kieszenie losowych par. – Nieważne, już mam. – Wyciąga garść papierków i je przegląda. – To nie, to też nie. – Rzuca je na dywan. – O, to będzie w kurwę, Almo. Małżeństwo wymaga diabelskiej wytrwałości – mówi tajemniczo i wyszczerza zęby w uśmiechu. – Wykąpię się i zejdę do gości.

Wychodzi, a ja się schylam i podnoszę kartki. Te same, które znajdowały się pod weselnymi nakryciami na ślubie Etny. Na każdej napisana jest inna myśl, a jedną z nich Diabeł wygłosił przed momentem. Pewne jest jedno. Ukradł mi pomysł! Sądzę tak, ponieważ także mam przyszykowaną karteczkę. Wyciągnęłam ją spod talerza Francesca, a dziś miałam zamiar podarować ją Mephistowi podczas składania ślubnej przysięgi. Na mojej napisane jest: „W małżeństwie konieczna jest cierpliwość. Anielska”. Byłam przekonana, że to oryginalny pomysł i byłby taki, gdyby nie postanowił ode mnie zgapić!

Etna wraca do pokoju i przekazuje mamie kieliszek. Ta wypija zawartość jednym haustem i wzdycha głęboko. Jak pustynny wędrowiec, który w końcu dorwał się do wody.

– Pójdę po ozdoby do włosów i może dolewkę? – pyta, lecz najwidoczniej nie oczekuje odpowiedzi, bo od razu wychodzi na korytarz.

Siadam przy toalecie.

– Jak coś, to goście nie są zniecierpliwieni, Efesty ich zagadał – informuje Etna. – Bella się wkurzyła, bo jakiś młody, biegający z trąbką chłopak zatrąbił wprost do jej ucha. Luna siedzi z Ferrem pod takim fioletowym drzewem, a mała bawi się z Chiarą. A przyjedzie Zita?

– Yyy, niestety nie może. – Nabieram powietrza. – Ma problemy prawne, czy coś w tym stylu.

– Co to niby znaczy?

– Nie mam pojęcia. Tylko tyle udało mi się wyciągnąć od Mephista. Nic więcej nie chce powiedzieć, bo to podobno sprawa Spirito. Wiesz, to niby Zita nią jest – tłumaczę, pudrując twarz.

– Ten człowiek był u nas w domu. Spirito Beneventano. Jediną osobą, z którą chciał rozmawiać, był don Giorgio, ale usłyszałam coś, zanim Ivo przyłapał mnie na podsłuchiwanie pod gabinetem. Teść zapytał go, gdzie się podziewał przez te wszystkie lata, a on odpowiedział... – Etna szepcze mi do ucha: – Chory umysł zawsze błądzi.

– Weź, nie mów mi takich rzeczy. – Przecieram ramiona, bo zjeżyły się na nich włosy.

– Przyniosłam wsuwki! – Odwracamy się, słysząc głos mamy. – Ojciec nie może się już doczekać, kiedy odprowadzi cię do ołtarza. Trzymaj głowę prosto. – Obejmuje ją. – Podaj szczotkę, Etno – wydaje polecenia.

– Nie planowałam tego rodzaju „atrakcji”. – Robię cudzysłów w powietrzu. Wyłapuję w lustrze

pytające spojrzenie mamy. – Nie chcę, żeby mi towarzyszył.

– Jak to nie chcesz? Taka jest tradycja – kwituje.

– Zasady są okropne – wtrąca Etna. – Ale nie martw się, zajmę się tym. Będiesz szła sama, tak jak chcesz.

– Przestań, Etno. Mało to wstydu najadła się nasza rodzina na twoim ślubie? Niczego się nie nauczyłaś? – Mama się złości.

– Nauczyłam. Teraz wiem, że nie wystarczy przypiąć kółka jego wehikułu do poręczy, żeby go unieruchomić. Trzeba mu też zakneblować usta, żeby nie mógł wezwać pomocy.

– Jezu, nie wiedziałam, że tak zrobiłaś. – Zszokowana zakrywam usta.

– Bo się spóźniłaś... – Mama rozczesuje mi włosy, przez co są jeszcze bardziej napuszone. – Podawaj mi wsuwki.

– Dobrze, ale upnij tylko nad uszami, żeby było widać kolczyki, a reszta niech będzie rozpuszczona.

Pięć minut później marzę jedynie o tym, żeby ten dzień już się skończył. Mama czesze mnie po swojemu, nie zważając na sugestie. Etna z kolei wyemigrowała na balkon. Bawi się w królową, machając do zebranych w ogrodzie gości.

– Boli mnie głowa. Skóra jest poharatana wsuwkami – jęczę. – Nie chciałam koka. – Próbuję pomalować rzęsy, ale trzęsie mi się ręka. – Nigdy nie słuchasz.

– Jest tak upięte, że widać biżuterię. Tak chciałaś – wmawia mi.

– To jest kok – burczę i w ostatniej chwili zamykam oczy, bo spryskuje go ogromną ilością lakieru. – Zabiję się – sapię.

– Nie zaczynaj, Almo. Już to przerabialiśmy.

– Przerabiać a przerobić to różnica – warczę. – Zresztą nieważne. Nie chcę umrzeć naprawdę, tak się mówi, wyglądając jak ja – wskazuję na swoje odbicie – w dniu, który miał być wyjątkowy. – Mrugam szybko, żeby odgonić łzy.

– A ona nie chciała mieć rozpuszczonych? – pyta Etna, wchodząc z powrotem do pokoju.

– Chciałam – piszczę płaczliwie.

Rozlega się pukanie, a po chwili słyszę głos Efesty.

– Co tak długo? – Podchodzi do nas i przez chwilę przygląda mi się bez słowa. Drży mi warga i nie mogę nad tym zapanować. – Co za dramat się tu rozgrywa? – pyta oschle.

– Almie nie podoba się uczesanie i to, że ojciec ma ją odprowadzić przed ołtarz – tłumaczy Etna.

– Wygląda elegancko. Nie protestowała, gdy ją czesałam, a teraz płacze – mówi mama. – A oczywiście, że Alfredo nie odpuści. Zwłaszcza po tej zniewadze na waszym ślubie. – Patrzy na niego sugestywnie. – To jej ojciec.

– Powiedziałaś raz, jak sobie życzę, ale nie posłuchałaś. Chciałam być miłą, ale teraz żałuję, że nie wykazałam się stanowczością.

– A gdzie jest Mephisto? – pyta Efesty.

– Szykuje się w łazience. Zaraz wyjdzie. – Kiwam głową.

– Yhm. To na razie. Idziemy, Etno. – Daje jej jakieś sygnały wzrokowe.

– Co?! – krzyczy siostra. – Nigdzie nie idę. Chcę być z Alną. Sama mogę wybrać, co mi pasuje.

– Zaczyna się. – Efesty zatacza kółka na skroniach.

– Co tu się dzieje? – pyta Gallo. Jeszcze jego tu brakowało. Staje przy Etnie i również mi się przygląda. – Ona płacze. Diabeł o tym wie?

– Bez przesady – warczy mama. – To rodzinne sprawy.

– No właśnie, rodzinne, dlatego o to zapytałem. Alma wygląda na udręczoną. Udręczona dusza – rzuca w przestrzeń i zgarnia z łóżka poduszkę, którą zaczyna mnie wachlować. – Ja stąd spadam, a wy powiedzcie mi, że nie może jej oglądać przed ślubem. Zyskacie na czasie. To hej. – Odrzuca poduchę i idzie w stronę drzwi, lecz niestety w tym momencie z łazienki wychodzi Mephisto.

Gallo natychmiast do niego doskakuje.

– Chodź, musisz przywitać gości. – Szarpie go za przedramię. – I zamknij oczy, bo oglądanie panny młodej przed ślubem przynosi pecha – nawija nerwowo.



– Wiem, co mam robić. – Mephisto strąca jego dłoń i podchodzi do toaletki. Gdy nasze spojrzenia się krzyżują, uśmiecham się najszerzej, jak potrafię, nie chcąc wzbudzać podejrzeń. Po jego minie wnioskuję, że ewidentnie tego nie kupuje.

– W końcu wyglądasz po ludzku – ocenia mama, taksując go wzrokiem, na co on nabiera powietrza i głośno je wypuszcza. Efesto staje za Etną i mocno obejmuje ją ramionami.

– W tym momencie więcej we mnie Diabła niż człowieka – odpowiada, przykładając palce do skroni. – Gallo zaprowadzi was do ogrodu. Wysłuchacie recitalu mojego brata, Vittoria. Bawcie się dobrze. – Macha ręką w geście nakazującym zejście mu z oczu. – A, i nie zapomnijcie poprosić o bis. Dopilnuj tego – zwraca się do Galla, a ten potakuje, nieudolnie maskując uśmiech. Doskonale wie, że słuchanie grającego na trąbce Vitta to jedna z najbardziej wymyślnych tortur. Kara doskonała.

– No i widzisz, Efesto, po co te nerwy? – mówi Etna, gdy ten, mimo stawianego przez nią oporu, ciągnie ją za nadgarstek. – Almo, panuję nad sytuacją! – przekonuje. – Daję się stąd wyprowadzić nie dlatego, że Efesto mnie szarpie. Powodem jest to, że chcę! To mój wybór!

– Macie jeszcze to dobre wino? – dopytuje mama, gdy Gallo chwytą ją za łokieć, prowadząc ku drzwiom.

Wyjmuję wsuwki, wrywając przy okazji trochę sztywnych jak druty włosów. Przyglądam się wiążącemu buty Diabłu, który w przeciwieństwie do mnie, prezentuje się doskonale. Wyrzucam z głowy myśl, że trafił mi się jak ślepej kurze ziarno, ale coś w tym jest, do cholery! A może po prostu to on ma problem ze wzrokiem, skoro nie spieprza w podskokach?

– Mephisto, widzisz, jak wyglądam? – pytam, a on unosi głowę.

– Taa – rzuca od niechcienia.

– I co ty na to?

– No co? – Zerka na zegarek.

– Jezu, nieważne – warczę, dotykając nietypowego, bo utkanego z kudłów hełmu. – Nie chcesz przypadkiem uciec gdzie pieprz rośnie?

– Pewnie, że chcę! – Gwałtownie podrywa się z materaca. Mam wrażenie, że tylko czekał na to pytanie i już żałuję, że drażyłam temat. Składa szybki pocałunek na moim policzku, a potem biegnie do garderoby. – Myślałem, że ci zależy, ale skoro nie, to, w kurwę mi ulżyło. To jednak nie dla mnie.

Serce wali mi jak szalone.

– A, a – jąkam się – ale jak to nie dla ciebie? – pytam cicho.

– Zwyczajnie. Skoro o skręcaniu karków naszym gościom myślałem dziś częściej niż o tobie, to raczej dobrze nie jest, co? – Opiera się o framugę. – Znalazłem taki, pasuje? – Rzuca mi biały sweter. – Idziemy?

– Tylko, ale, w sensie... – plotę nieskładnie. – Dokąd niby?

– Na plażę, do lasu... – warczy, jakby tracił cierpliwość.

– Razem? Ty i ja, wspólnie?

– A w jaki sposób niby chcesz się pobrać? Korespondencyjnie, kurwa? Co z tobą?

Patrzy na mnie jakby był pewny, że jestem stuknięta. W jego oczach nie dostrzegam żadnej, najmniejszej wątpliwości.

– Aaa, już rozumiem. – Pstrykam palcami. – Bez słowa uciekniemy z własnego ślubu, zostawiając gości, których sami zaprosiliśmy. To ma sens, Mephisto – ironizuję, lecz od razu przywalam sobie mentalnie w twarz, bo, no cóż, ten pomysł jest genialny! Nie będę udawać, że jest inaczej. – W takim razie, może pobierzemy się w lesie?

– Dla mnie spoko – odpowiada i zgarnia z komody pudełko z obrączkami.

Zrywam się z krzesła i biegnę po pokoju, nie wiedząc, w co włożyć ręce. Czuję, jakby z niemożliwej do ogarnięcia rozumem ulgi i nakręcającej do działania ekscytacji miała wybuchnąć mi głowa. Nie muszę się stresować, tańczyć tak, jak zagrają inni, udawać. Przez moment zapomniałam, że jesteśmy w piekle, a ono rządzi się swoimi prawami. Tymi, które ustanowi Diabeł.

Wybiegam za nim, gdy wychodzi z pokoju, a kiedy się z nim zrównuję, zarzuca rękę na moje ramię i uśmiecha się szeroko. W ogrodzie podbiega do nas rozemocjonowany Vittorio.

– Mam chwilę przerwy, bo muszę przepłukać gardło. Tak im się podoba moje granie – wskazuje

na siedzących przy stole gości – że w kółko proszą o bis – mówi uradowany. – A Efesto chyba się nawet wzruszył. Zobaczcie, jak poczerwieniał z emocji.

Zerkamy w jego stronę. Nie mam wątpliwości. Gdyby spojrzeniem można było zabijać, już bylibyśmy martwi.

– Pan Gotti? – Odwracamy się, słysząc męski głos. – Benjamin Caruso – przedstawia się urzędniczym tonem tyczkowaty gość. Pierś ma przepasaną szarfą w kolorach włoskiej flagi. – Będę miał dziś przyjemność udzielić państwu ślubu – informuje. – W imieniu burmistrza i swoim składam również najszczerze kondolencje z powodu śmierci bliskich. To dla miasta duża strata.

– Taa. – Diabeł klepie go w bark tak mocno, że mężczyzna traci równowagę i mimowolnie robi kilka kroków w przód. – Plany trochę się zmieniły. Pójdziemy na spacer. – Uśmiecha się lekko. – Do lasu – dodaje ciszej.

– Przepraszam na minutę. Muszę połączyć się z przełożonymi. Zostałem poinstruowany, by informować o każdej zmianie lokalizacji. – Drży mu krtań. – Ja, ja – powtarza się – dopiero rozpocząłem tę pracę i mam rodzinę, dziecko w drodze. I nie chciałem przyjmować tego zlecenia. – Ściera pot nad wargi. – Koledzy się śmiali, że to będzie dla mnie chrzest. Benjamin Caruso rzucony od razu na głęboką wodę – mówi o sobie w trzeciej osobie, nabiera powietrza i poklepuje policzki. – Już. – Chrząka. – Panika minęła. – Do dzieła, panie Gotti. Zróbmy to! – Unosi pięść w teatralnym geście.

– On jest szurnięty. – Diabeł szepcze mi do ucha. – Ale to nic, bo my jesteśmy bardziej. – Wyszczera zęby w uśmiechu. – Casimiro! – woła przechodzącego nieopodal brata, a gdy ten podchodzi, mówi: – Wrócimy za dwie godziny. Zajmij się gośćmi.

– Czyli jednak plan „B”. Las czy plaża? – pyta, a gdy nie uzyskuje odpowiedzi, udaje, że zasuwają usta na niewidzialny zamek. – Zapomniałem, że ona tu stoi – dodaje ciszej, lecz nie wiem, jaki związek ma jedno z drugim.

– Czy możemy już ruszać? – dopytuje Benjamin. – W którym to dokładnie miejscu? – Pokazuje Mephistowi mapkę w telefonie. – Zaznaczę, żeby nie zabłądzić.

– Nie wiemy – wtrącam. – Wybierzemy jakieś ładne drzewo i tyle. To spontaniczna decyzja. – Wzruszam ramionami.

– A będzie stolik, przy którym będzie można usiąść i podpisać dokumenty? – Porusza trzymaną w dłoni teczką. – Dopełnić formalności?

– To dziki las. Nie ma tam ścieżek rekreacyjnych. I kolorowych światełek też nie. – Zerkam na te zawieszane na pergoli. – Nad tym ubolewam najbardziej – przyznaję. – Ale coś za coś. Złożymy przysięgę w sercu totalnej głuszy, gdzie dzikie zwierzęta ostrzą kły, a natura rządzi się swoimi prawami.

– Rozumiem – odpowiada sztywno urzędnik i luzuje krawat, a Mephisto, nie wiedząc czemu, wybucha śmiechem.

Opuszczamy teren posesji, by dotrzeć na usytuowane w pobliżu domu wzgórze, za którym rozpościera się las. Diabeł stawia tak wielkie kroki, że trudno za nim nadążyć. Również przyspieszam, licząc, że oddalimy się wystarczająco, by w końcu przestać słyszeć echo jazgotu trąbki.

– Czy mam wygłosić przemowę? Dopracowywałem ją dwa tygodnie, bo jakość jest ważna – peroruje Benjamin, ściąga szarfę i rozgląda się na boki, gdy wchodząc do lasu przydepuje suchą gałązkę. – Proszę spojrzeć na tekst. – Przekazuje Diabłu kartkę. – Moja żona stwierdziła, że to, co wymyśliłem, jest urocze.

– Odpada. – Mephisto wykrzywia twarz w grymasie i oddaje mu świstek, nawet nie czytając, co jest na nim napisane.

– Mogę zerknąć? – pytam. Benjamin potakuje i wręcza mi tekst przemowy. Wypowiadam co ciekawsze fragmenty: – Coś zawrzało, a to znak, że miłość kipi tu i tam. Kap, kap, kap. Czy słońce, czy burza, Alma się nie wkurza, a gdy Mephisto się złości...

– Łamie urzędasowi kości – dokańcza Diabeł.

Benjamin śmieje się nerwowo i wybiega na przód, asekuracyjnie zwiększając odległość.

– To taki żart! – tłumaczy. – Byłem na szkoleniu pracowniczym i tam przekonywali, że dobrze sklecić taki tekst, bo rozładowuje ślubne napięcie. Nie wiem, dlaczego nie zadziałało – mówi jakby do siebie. – Wolicie standardowo, nie ma problemu. – Unosi ręce w obronnym geście. – Jestem

profesjonalistą. Myślę, że nie mogliście trafić lepiej. Mam w sobie zapał, którego brakuje starym wyjadaczom.

– Tu będzie dobrze – mówię, przystając pod rozłożystym drzewem.

– Zapamiętaj to miejsce, wrócimy, jeśli nie znajdziemy lepszego – proponuje Mephisto. Splata nasze dłonie i ciągnąc mnie za sobą, prowadzi w głąb lasu.

Benjaminowi z kolei najwidoczniej coraz bardziej podoba się leśna sceneria, bo z zaciekawieniem rozgląda się dookoła i z namaszczeniem dotyka kory drzew. Może i poszłabym za jego przykładem, ale skupiam się tylko na tym, co przede mną. Zatrzymuję się i przez chwilę tkwię w bezruchu. Wyswabdzam dłoń z uścisku Diabła, przecieram oczy, sądząc, że umysł płata mi figla.

– Skąd to się tu wzięło? – wyduszam.

Las sam w sobie jest piękny, lecz widok rozpościerający się przed moimi oczami to magia, ziemski raj. Gałęzie drzew ozdobione są, nie przesadzam, tysiącem małych żarówek i łapaczami snów. Wsłuchuję się w melodię przyczepionych do nich, poruszanych wiatrem kryształowych dzwoneczków i przysięgam, brak mi tchu. Między dwoma wysokimi sosnami ustawiono ozdobiony białymi kwiatami ślubny łuk.

Patrzę na Mephista.

– Taki był plan? – pytam drżącym głosem.

– Szatańska intencja – odpowiada.

– Sam to wszystko przygotowałeś?

– Taa, Almo. Słowo Diabła. – Wyciąga dłoń, więc kładę na niej swoją, widząc stojącego już pod pergolą Benjamina. – Uwaga pod nogi.

Zerkam w dół.

– Co to, do cholery? – Nie potrafię ukryć zdziwienia. Zamiast pasującego do delikatnej scenarii dywanu, na leśnej ściółce rozsypany jest węgiel. Dużo węgla. Czarna ścieżka. Piekło w raju, a może raczej raj w piekle?

– Trochę po mojemu, trochę po twojemu – odpowiada, gdy zmierzamy w stronę zakładającego szarfę urzędnika.

Diabeł nie puszcza mojej ręki, ścisza ją coraz mocniej, nawet kiedy stoimy już pod łukiem. Mam wrażenie, że najchętniej zaczęłyby truchtać w miejscu, bo wydaje się spięty. Tylko czekać, aż zacznie wymachiwać łbem i rozciągać mięśnie karku. W momencie, w którym o tym myślę, przekrzywia głowę, a pełną napięcia i oczekiwania chwilę zakłóca chrupnięcie kości.

– Przepraszam, musiałem – rzuca krótko.

– Zebraliśmy się tu, żeby połączyć dwie błądzące po świecie dusze... – zaczyna Benjamin, a Diabeł niemal gniecie mi dłoń.

– No, w kurwę, czy napisałem na kartce: „Błądzące po świecie”? Mów tylko to, co kazałem – warczy.

– Proszę się do mnie zwracać z szacunkiem należnym stanowisku, jakie sprawuję – odpowiada urzędnik stanowczym tonem i ściąga oficjalną przepaskę. – Teraz wszedłem w skórę zwykłego Benjamina – informuje. – Jest szarfa, nie ma szarfy. Urzędnik, Benjamin. Tak to działa. – Unosi kciuk. – Powiem tylko, że chciałem wykazać się pomysłowością, dlatego dodałem „błądzące”, ale skoro nie błądzą, to nawet lepiej. – Szybko z powrotem wkłada przepaskę.

– Bycie kreatywnym pozostaw mnie. Rób, co masz robić – syczy Diabeł.

– Panie urzędniku, zapomniałeś dodać – oznajmia pouczającym tonem Benjamin, po czym kaszle: – Zebraliśmy się tu po to, żeby połączyć dwie dusze. Czy chcecie wstąpić w związek małżeński?

– Tak – odpowiadamy jednogłośnie.

Benjamin odczytuje słowa oficjalnej przysięgi. Najpierw powtarza je Mephisto, a później ja:

– Ja, Mephisto Eros Gotti biorę cię za żonę i ślubuję, że zawsze będę ci wierny, w radości i bólu, w zdrowiu i chorobie. Przysięgam kochać cię i szanować każdego dnia mojego życia.

– Ja, Alma La Mantide biorę cię za męża i ślubuję, że zawsze będę ci wierna, w radości i bólu, w zdrowiu i chorobie. Przysięgam kochać cię i szanować każdego dnia mojego życia.

– Wymieńcie się obrączkami na znak oddania – urzędnik bije się w pierś – miłości i lojalności,

która w waszych kręgach jest szczególnie ważna.

Diabeł łypie na niego wzrokiem, bo oczywiście jest, że Benjamina nieco ponosi.

– Po prostu miłości i lojalności. Oddanie i resztę dodałem od siebie. Chryste, nie nadaję się do tej pracy – mówi do siebie i klepie się w policzek. – Już. Po panice. – Uśmiecha się szeroko. – Powinieneś dać mi obrączki wcześniej. Zapomniałem o tym i jeszcze o tej przysiędze miłości. – Obgryza paznokcie.

Mephisto kręci głową i wyciąga pudełko, które mu przekazuje.

– Ale to nie mnie powinieneś podarować, tylko pannie młodej.

– Tylko to, kurwa, potrzymaj. – Diabeł traci cierpliwość. – I otwórz – dodaje z rezygnacją.

Po chwili dotyka mojej drżącej z emocji dłoni i przyciąga do siebie. Pochyla się, całuje delikatnie w usta i szepcze:

– Chcesz się przy...

– Tak. – Wtulam się w niego, wiedząc, o co chciał zapytać. Nabieram powietrza, podczas gdy on sunie ręką po moich plecach, najskuteczniej, bez zbędnych słów kojąc rozdygotanie. – Już mi lepiej. – Gdy wypowiadam te słowa, odsuwa się nieznacznie i podaje mi swoją obrączkę. Wiem, że to czas na przysięgę miłości.

– Moja dusza należy do ciebie, Mephisto. Jest naznaczona dobrem, tak krystaliczna, że często sama jej nie chcę, ale nie dlatego pragnę ci ją oddać...

Zakładam na jego palec obrączkę, a on sięga po moją.

– Moja dusza należy do ciebie, Almo. Jest naznaczona złem, tak mroczna, że często sam nią gardzę, ale nie dlatego ją tobie ofiarowuję...

Przymykam na moment oczy. Po moich policzkach płyną łzy wzruszenia. Uchylam powieki, czując delikatny podmuch wiatru.

Emocje sięgają zenitu, bo Diabeł robi coś, czego nie przewidziałam w najśmielszych scenariuszach.

Potężny, nieobliczalny, szalony dziki zwierz, od którego za nic w świecie nie chciałabym uciec gdziekolwiek, najdalej... klęka.

Ujmuje moją dłoń i niespiesznie, patrząc mi prosto w oczy, odsłaniając przede mną duszę, wsuwa na palec obrączkę.

– Zaprzysiężony, do piekła strącony, po kres związany przysięgą...